



Nowy bestseller autorki Wyspy. Ponad pół miliona egzemplarzy sprzedanych w Wielkiej Brytanii. Hiszpania, lata 30., czasy Drugiej Republiki. Prawdziwą pasją młodej wrażliwej Hiszpanki Mercedes jest taniec flamenco, któremu oddaje się całym sercem. Wojna domowa i dyktatura Franco stawiają jej wypełnione muzyką życie do góry nogami. Dwaj bracia dziewczyny trafiają do więzienia, trzeci zostaje skrytobójczo zamordowany. Mercedes wyrusza na poszukiwanie swojego ukochanego, który zniknął zabrany na przesłuchanie. Przemierzywszy targany wojną kraj wyjeżdża do Anglii z grupą dzieci, uchodźców z baskijskiego Bilbao.

Grenada, 1937

Nocną ciszę pograżonego w mroku mieszkania z zawartymi okiennicami przerwał stuk cicho zamykanych drzwi. Dziewczyna dopuściła się występku, przychodząc tak późno, i do tego zgrzeszyła, usiłując chyłkiem wejść do domu.

— Mercedes! Na miłość boską, gdzieś ty się podziewała? — rozległ się surowy szept.

Z ciemności wyłonił się młody mężczyzna. Stanęła przed nim w korytarzu, nie więcej niż szesnastoletnia, z pochyloną głową, trzymając ręce za plecami.

— Dlaczego wracasz tak późno? Dlaczego nam to robisz?

Umilkł rozdarty między całkowitą desperacją a bezwarunkową miłością do tej dziewczyny.

— Co tam chowasz? No tak, mogłem się domyślić.

Wyciągnęła przed siebie ręce. Na otwartych dłoniach balansowała para sfatygowanych czarnych butów, miękkich jak ludzka skóra i tak zdartych, że prześwitywały podeszwy.

Delikatnie ujął ją za nadgarstki i przytrzymał.

— Proszę cię, po raz ostatni proszę cię...

— Przepraszam, Antonio — powiedziała cicho, podnosząc wzrok i patrząc mu w oczy. — Nie mogę z tym skończyć. Nie mogę się powstrzymać.

— To jest niebezpieczne, *querida mia*. Naprawdę niebezpieczne.

Część 1

Rozdział 1

Grenada, 2001

Zanim dwie kobiety wpuszczone jako ostatnie zdążyły zająć miejsca na widowni, opryskliwy *gitano* zdecydowanym ruchem zaryglował drzwi.

Pięć dziewcząt o kruczoczarnych włosach weszło na salę, powłócząc za sobą sute treny przylegających do ciała i falujących przy kostkach sukni w kolorach ognistej czerwieni i oranżu, zjadliwej zieleni i żółtej ochry. Żywe barwy, melanż ciężkich woni, szybkie wejście i arogancki krok były przemożnie, wystudiowane teatralne. Za nimi szli trzej mężczyźni w strojach ponurych jak na pogrzeb, cali w czerni, od wypomadowanych włosów po skórzane buty ręcznej roboty.

Atmosfera uległa zmianie, gdy słabe, ulotne klaskanie, niemal muśnięcie dłoni dłonią, zaczęło przenikać ciszę. Od jednego z mężczyzn dobiegał dźwięk zdecydowanie uderzanych strun. Od drugiego dolatywało głębokie, żalosalne zawodzenie, które szybko przemieniło się w pieśń. Chrypliwy głos harmonizował z surowym pomieszczeniem i wyrazistą, ospowatą twarzą. Słowa wypowiedane w obcej gwarze rozumiał jedynie śpiewak i członekowie zespołu, ale słuchacze wyczuwali sens. Miłość odeszła.

Tak minęło pięć minut, kiedy to pięćdziesięcioosobowa widownia siedząca w ciemności na ławkach pod ścianami

jednej z wilgotnych *cuevas* w Grenadzie ledwie śmiała zacerpnąć tchu. Nie wiadomo, w którym momencie pieśń się skończyła — po prostu ucichła — co dla dziewcząt było znakiem do wyjścia. Szły jedna za drugą, krokiem pełnym surowej zmysłowości, patrząc przed siebie w kierunku drzwi i nie zwracając najmniejszej uwagi na obecność cudzoziemców. W ciemnym pomieszczeniu panowała złowieszcza atmosfera.

— To wszystko? — szepnęła jedna z kobiet przybyłych jako ostatnie.

— Mam nadzieję, że nie — odpowiedziała jej przyjaciółka.

Przez kilka minut wisiało w powietrzu niezwykle napięcie, a potem popłynął w ich stronę słodki, przeciągły dźwięk. To nie była muzyka — rozległo się łagodne, perkusyjne klekotanie: stuk kastanietów.

Jedna z dziewcząt wracała. Przemierzała podłużne pomieszczenie, głośno stąpając i omiatając falbanami zakurzone buty turystów w pierwszym rzędzie. Suknia, jaskrawopomarańczowa w wielkie czarne grochy, opinała brzuch i piersi tak bardzo, że rozchodziły się szwy. Dziewczyna uderzała butami o pas drewnianej podłogi, stanowiący miejsce do tańca, w rytmie raz! dwa; raz! dwa; raz! dwa, trzy; raz! dwa, trzy; raz! dwa...

Potem ręce się uniosły, kastaniety zadrgały, wydając głęboki, piękny trył, i zaczęło się powolne wirowanie. Dziewczyna obracała się, trzymając w rękach małe czarne krążki i cały czas uderzając w nie palcami. Widzowie byli zahipnotyzowani.

Towarzyszyła jej smętna pieśń wykonywana przez mężczyznę, który niemal cały czas miał spuszczone oczy. Dziewczyna tańczyła dalej, jak pogrążona w transie. Jeśli odbierała muzykę, nie dawała tego po sobie poznać; jeśli pamiętała o obecności widzów, oni tego nie wyczuwali. Na zmysłowej twarzy malowało się jedynie skupienie, wzrok sięgał innego świata, który tylko ona widziała. Pod pachami materiał pociemniał od potu, kropelki zaczęły zbierać się na czole, a ona krążyła coraz szybciej i szybciej.

Taniec zakończył się tak, jak zaczął — jednym zdecydowa-

nym tupnięciem, kropką. Ręce były wzniesione ku górze, spojrzenie spoczywało na niskim, półokrągłym sklepieniu. Reakcja widzów została zignorowana. Równie dobrze mogło ich tam nie być. Temperatura w pomieszczeniu wzrosła, a siedzące z przodu osoby wdychały mocny zapach piżma przemieszanego z potem, jaki niósł się w powietrzu od tancerki.

Gdy opuszczała scenę, następna dziewczyna już zajmowała jej miejsce. W tej drugiej wyczuwało się zniecierpliwienie, jak gdyby chciała szybko mieć ten występ za sobą. Czarne grochy znowu przepływały przed oczami widzów, teraz na błyszczącej czerwieni, a kaskada kręconych kruczych włosów przysłaniała twarz o cygańskim wyglądzie, pozostawiając na widoku jedynie wyraziste arabskie oczy grubo obwiedzione czarnym węglem. Tym razem zamiast kastanietów słyszać było powtarzające się bez końca uderzenia butami: stuk! stuk, stuk; stuk! stuk, stuk; stuk! stuk, stuk...

Szybkość ruchu od pięty do palców i z powrotem była zawrotna. Ciężkie czarne buty na niewysokich, stabilnych obcasach, obite na czubkach stalowymi gwoździami, wywoływały drżenie podłogi. Kolana amortyzowały zapewne siłę tysiąca fal uderzeniowych. Przez pewien czas śpiewak w milczeniu patrzył w dół, jak gdyby napotkanie wzroku tej ciemnej piękności mogło przemienić go w kamień. Niepodobieństwem było powiedzieć, czy gitarzysta nadaża za uderzeniami stóp tancerki, czy też dyktuje ich tempo. Porozumiewali się z doskonałą płynnością. Prowokacyjnym ruchem dziewczyna uniosła warstwy ciężkich falban, odsłaniając zgrabne nogi w ciemnych pończochach, i zaczęła jeszcze bardziej popisywać się szybkością i rytmicznością kroków. Na wpół jak tańczący derwisz i na wpół jak wirujący bąk obracała się, aż nastąpiło crescendo. Róża, ledwie trzymająca się włosów, pofrunęła w stronę widzów. Nim upadła, tancerka odmaszerowała do wyjścia, nie pochyliwszy się, by ją zabrać. Był to introwertyczny występ, a zarazem tak otwarty przejaw pewności siebie, jakiego widzowie jeszcze nigdy nie widzieli.

W ślad za nią pierwsza tancerka i akompaniator opuścili jaskinią, zachowując niewzruszone twarze i nadal obojętnie odnosząc się do publiczności, choć była gromkie brawa.

Nim spektakl się zakończył, na scenę wyszła jeszcze szóstka tancerzy i wszyscy przekazywali te same, silne i niepokojące, uczucia namiętności, gniewu i żalu. Wśród nich był mężczyzna, który poruszał się równie prowokacyjnie jak prostytutka, była tam również dziewczyna, która wyrażała cierpienie niepasujące do jej niezwykle młodego wieku, oraz stara kobieta o pociętej głębokimi bruzdami twarzy, na której wyrzyło się siedem dziesięcioleci cierpienia.

Na koniec, gdy wykonawcy jeden za drugim opuścili pomieszczenie, zapaliły się światła. Zmierzająca do wyjścia publiczność dostrzegła tancerzy i muzyków zgromadzonych w pokoiku na zapleczu, którzy sprzeczali się, palili papierosy i popijali tanią whisky z wysokich szklanek napełnionych po brzegi, korzystając z czterdziestopięciominutowej przerwy między występami.

W nisko sklepionym pomieszczeniu panowała duchota, czuło się odór alkoholu, potu i zatęchłego dymu z cygar. Widzowie z przyjemnością wyszli na dwór i odetchnęli chłodnym nocnym powietrzem, którego świeżość i czystość przypomniała im, że opodal są góry.

— Niezwykłe — powiedziała Sonia do przyjaciółki.

Tak naprawdę nie umiała określić swoich odczuć i tylko to słowo tu pasowało.

— I takie mocne — przytaknęła Maggie.

— Otóż to — zgodziła się Sonia. — Bardzo mocne. Inaczej to sobie wyobrażałam.

— Te dziewczęta nie sprawiały wrażenia szczególnie szczęśliwych, prawda?

Sonia pominęła milczeniem pytanie Maggie. Flamenco niewątpliwie miało niewiele wspólnego ze szczęściem. Tyle zdążyła sobie uświadomić w ciągu ostatnich dwóch godzin.

Wracając brukowanymi uliczkami do centrum Grenady,

zgubiły się w starej dzielnicy mauretańskiej, Albaicin. Zagładanie do mapy na nic by się nie zdało, ponieważ maleńkie zaułki w większości nie miały nazw i czasem kończyły się ciągiem wąskich schodów.

Sonia i Maggie zorientowały się, gdzie są, dopiero gdy skręciły za róg i przed ich oczami otworzył się widok na Alhambrę, teraz delikatnie oświetloną reflektorami, które zalewały budynki ciepłym bursztynowym blaskiem do złudzenia przypominającym promienie zachodzącego słońca, choć było już po dziesiątej. Liczne blankowane wieżyczki, rysujące się na tle bezchmurnego czarnego nieba, tworzyły scenierię niczym z *Księgi tysiąca i jednej nocy*.

Trzymając się pod rękę, przyjaciółki w milczeniu schodziły ze wzgórze. Ciemnowłosa, posągowa Maggie stawiała krótsze kroki, by dostosować się do chodu Sonii. Siłą przyzwyczajenia robiły tak niemal przez całe życie, połączone głęboką przyjaźnią, natomiast fizycznie odmienne pod każdym względem. Nie musiały rozmawiać. Rześki stuk butów na bruku, przypominający perkusyjne klaskanie tancerzy flamenco i dźwięk kastanietów, był teraz przyjemniejszy niż ludzki głos.

* * *

Działo się to w środę pod koniec lutego. Sonia i Maggie przyjechały zaledwie przed kilkoma godzinami, ale już w drodze z lotniska Sonia uległa urokowi Grenady. Zimowe zachodzące słońce oblewało ostrym światłem miasto, a za nim, niczym na dekoracjach teatralnych, dramatyczny cień kładł się na pokrytych śnieżnymi czapami górach. Gdy taksówka mknęła autostradą, pierwszy raz ujrzały w przelocie geometryczny zarys Alhambry pełniącej straż nad miastem.

W końcu kierowca zwolnił i zjechał z autostrady, a one napawały się widokami wspaniałych placów, okazałych budowli i imponujących fontann tu i ówdzie, zanim skręcił, wybierając drogę wąskimi brukowanymi uliczkami, które przecinały miasto.

Sonia, mimo że jej matka pochodziła z Hiszpanii, odwiedziła ten kraj zaledwie dwukrotnie, za każdym razem zatrzymując się w nadmorskich miejscowościach wypoczynkowych na Costa del Sol. Przebywała na schludnym pasie wybrzeża, gdzie zjeżdżającym tłumnie Anglikom i Niemcom sprzedawano słońce przez okrągły rok i śniadania przez okrągły dzień. Okoliczne tereny, na których wyrastały podobne do siebie wille z bogato zdobionymi kolumnami i fantazyjnymi balustradami z kutego żelaza, znajdowały się zupełnie blisko, a zarazem o miliony kilometrów od miasta odznaczającego się płataniną ulic i beładną zabudową wznoszoną przez stulecia.

Tu unosiły się nieznanym wonie, zderzało się stare z nowym, były kawiarnie przepelnione miejscowymi, gdzie w witrynach piętrzyły się małe, połyskujące ciasteczka, które podawali poważni mężczyźni dumni ze swego fachu, były zapuszczone mieszkania z zamkniętymi okiennicami i balkonami, gdzie suszyły się świeżo uprane prześcieradła. To miejsce jest prawdziwe, nie ma w nim nic sztucznego, myślała Sonia.

Skręcali to tu, to tam, na lewo i na prawo, na prawo, na lewo i znowu na lewo, można by pomyśleć, że wracali do miejsca, skąd wyruszyli. Każda uliczka była jednokierunkowa i czasem niemal zderzali się z motocyklem, który pędził pod prąd. Piesi, nie zważając na niebezpieczeństwo, schodzili z chodnika prosto pod koła. W tym labiryncie zaułków tylko taksówkarze mogli sobie poradzić. Różaniec zawieszony na lusterku wstecznym uderzał o przednią szybę, a z obrazka na desce rozdzielczej skromnie spoglądała Maria Panna. Podczas jazdy nie było ofiar w ludziach, zatem chyba robiła, co do niej należało.

Mdły, landrynkowy zapach odświeżacza powietrza w połączeniu z wybojami na drodze przyprawiał obie pasażerki o nudności, więc odetchnęły z ulgą, gdy samochód w końcu zwolnił i usłyszały zgrzyt zaciąganego hamulca ręcznego. Dwugwiazdkowy hotel Santa Ana mieścił się przy małym, zaśmieconym placu, między księgarnią a zakładem szewskim.

Właśnie zamykano stragany stojące rzędem na chodniku. Sprzedawcy pakowali bochenki o gładkiej złocistej skórce i wielkie porcje płaskiego chleba z oliwkami, chowali owinięte papierem woskowanym ostatnie kawałki tart owocowych, początkowo wielkości koła u wozu.

— Umieram z głodu — oświadczyła Maggie, patrząc, jak straganiarze ładują towar do małych furgonetek. — Wezmę coś od nich, zanim znikną.

Działając pod wpływem impulsu, jak to ona, przebiegła przez ulicę i zostawiła Sonii uregulowanie należności za kurs. Przyniosła pokaźny kawał chleba, od którego już zaczęła odłamywać cząstkę za cząstką, żeby jak najszybciej zaspokoić głód.

— Ale pyszny! Spróbuj — powiedziała, wciskając przyjaciółce do ręki pajdę chleba z chrupiącą skórką.

Stały na chodniku, obok bagaży, i zjadały się, zasypując kamienne płyty okruszkami. Zaczynała się pora *paseo*. Ludzie wychodzili z domów na wieczorną przechadzkę. Panowie razem z paniami, panie ręka pod rękę, panowie parami. Wszyscy byli ubrani starannie i choć przechadzali się dla samego spaceru, sprawiali wrażenie, jakby przyświecał im jakiś cel.

— Przyjemnie wygląda, prawda? — odezwała się Maggie.

— Co masz na myśli?

— Życie w tym mieście! Spójrz na nich! — powiedziała, wskazując tłoczną kawiarnię na rogu placu. — Jak sądzisz, o czym oni rozmawiają, popijając *tinto*?

— Przypuszczam, że o wszystkim — uśmiechnęła się Sonia. — O wydarzeniach domowych, skandalach politycznych, piłce nożnej...

— Wiesz co, zameldujmy się w hotelu, a potem chodźmy gdzieś na drinka — zaproponowała Maggie, zjadając ostatni kęs chleba.

Za przeszklonymi drzwiami znajdował się jasno oświetlony hol i recepcja, którym nieco splendoru przydawały cukierkowe wiązanki jedwabnych kwiatów i kilka ciężkich barokowych

mebli. Uśmiechnięty młody człowiek stojący za wysoką ladą podał nowo przybyłym karty meldunkowe, następnie zrobił kserokopie paszportów, poinformował o porze śniadania i wręczył klucz. Przyczepiona do niego drewniana pomarańcza naturalnej wielkości gwarantowała, że wyjeżdżający gość zwróci klucz, by znów zawisł na jednym z haczyków umieszczonych rzędem za ladą.

Reszta hotelu wyglądała tandetnie. Stojąc nos w nos, z walizkami balansującymi jedna na drugiej, Sonia i Maggie wjechały maleńką windą na trzecie piętro i wyszły na wąski korytarz. W mroku niesły objające się o ścianę walizki, aż znalazły drzwi z dużym, zaśnieżonym numerem 301.

Pokój był z jakimś tam widokiem. Ale nie na Alhambrę. Okno wychodziło na ścianę, a ściślej na klimatyzator.

— Raczej nie będziemy spędzać czasu na siedzeniu w oknie — zauważyła Sonia, zasuważąc cienkie zasłony.

— Nawet gdybyśmy miały balkon ze wspaniałymi fotelami i rozległym widokiem na góry, i tak byłby nieprzydatny — dorzuciła ze śmiechem Maggie. — Jeszcze nie o tej porze roku.

Sonia szybko otworzyła walizkę, wepchnęła kilka T-shirtów do komódki przy łóżku i powiesiła resztę ubrań w wąskiej szafie; zgrzyt metalowych wieszaków przesuwanych po drążku przyprawił ją o ból zębów. Ze względów oszczędnościowych łazienka była równie mała jak sypialnia i Sonia musiała wcisnąć się za umywalkę, by zamknąć drzwi. Po umyciu zębów wrzuciła szczoteczkę do szklanki, jedynej w wyposażeniu łazienki, i znowu pojawiła się w sypialni.

Maggie leżała na łóżku przykrytym narzutą w kolorze czerwonego wina, jej walizka stała na podłodze, wciąż zamknięta.

— Nie wyjmiesz rzeczy? — zapytała Sonia.

Z doświadczenia wiedziała, że Maggie zapewne przez cały pobyt będzie żyła na walizkach i grzebała wśród złotych koronek i zwiniętych w kłęb bluzek z żabotami, zamiast choć cokolwiek powiesić.

— Słucham? — mruknęła zatopiona w lekturze Maggie.

— Nie rozpakujesz się?

— Może później.

— Co czytasz?

— Leżała na stole, razem ze stertą ulotek — wyjaśniła Maggie, trzymając broszurę przy twarzy i próbując odcyfrować słowa.

Słabej mocy żarówki tylko odrobinę rozpraszały mrok w ciemnobezowym pokoju i w tym świetle ledwie dało się czytać.

— Znalazłam reklamę tancerzy flamenco. Występują w miejscu o nazwie Los Fandangos. W dzielnicy zamieszkałej przez Cyganów, jeśli mój hiszpański mnie nie zawodzi. Pójdziemy?

— Czemu nie? W recepcji chyba powiedzą nam, jak tam trafić.

— Występ zaczyna się dopiero o wpół do jedenastej, więc zdążymy coś zjeść.

Niedługo potem szły ulicą, z planem miasta w ręku. Przemierzały labirynt krętych uliczek, to zdając się na własne wyczucie, to zaglądając do planu.

Jardines, Mirasol, Cruz, Puentezuelas, Capuchinas...

Sonia pamiętała znaczenie większości tych słów, poznanych jeszcze w czasach szkolnych. Każde brzmiało czarownie. Było jak pociągnięcie pędzlem, tworzyło miejski pejzaż, pomagało złożyć obraz całości. Gdy zbliżyły się do serca miasta, zauważyły, że nazwy ulic odzwierciedlają dominację religii rzymskokatolickiej.

Kierowały się w stronę katedry, stojącej w punkcie centralnym. Z planu wynikało, że stamtąd wszystko promieniuje. W gmatwaniu wąskich uliczek znalezienie jej wydawało się niepodobieństwem. Dopiero widząc jakąś balustradę i dwie żebraczki przed rzeźbionymi drzwiami, Sonia podniosła głowę. Ujrzała niezwykle masywną budowlę. Kamienna bryła, podobna do fortecy, przysłaniała niebo. Katedra nie wznosiła się do światła jak te, które przychodziły Sonii na myśl — Świętego Pawła, Świętego Piotra czy Sacre Coeur. Raczej je zakrywała — tak wyglądało to z miejsca, gdzie stała Sonia. Nie obwieszczała

swej bliskości widokiem wielkiej, pustej przestrzeni od frontu. Czała się za zwyczajnymi ulicami pełnymi kawiarni i sklepów i niemal z każdego punktu wśród tych wąskich zaułków była niewidoczna.

O równej godzinie przypominała jednak światu o swojej obecności. Gdy przyjaciółki stały przed kościołem, rozległo się bicie w dzwony. Dźwięk był tak donośny, że aż się zatoczyły do tyłu. Głębokie metaliczne uderzenia dudniły im w głowach. Sonia zakryła uszy dłońmi i śladem Maggie cofała się przed ogłuszającym dzwonieniem.

Była ósma. Otaczające katedrę bary z przekąskami *tapas* zapępniały się gośćmi. Maggie zwróciła uwagę na lokal, przed którym stał na chodniku kelner z zapalonym papierosem, i podjęła szybką decyzję.

Gdy usadowiły się na wysokich drewnianych stołkach, zamówiły wino. Podawano je w niskich szklaneczkach razem z sutą porcją jamon. Ilekroć zamawiały następną szklaneczkę, w czarodziejski sposób pojawiało się więcej *tapas*. Te drobne dania, składające się z oliwek, sera i pasztetu, powoli zaspokoily głód przyjaciółek.

Lokal, który wybrała Maggie, całkowicie zadowalał Sonię. Za ladą baru rzędami zwisały się z sufitu ogromne szynki, niczym gigantyczne nietoperze zwisające głowami w dół z gałęzi drzew. Tłuszcz skapywał z szynek do małych plastikowych rozków. Obok wisiały *chorizos*, a na półkach z tyłu znajdowały się wielkie puszkii oliwek i tuńczyka. Niewiele dalej niż na wyciągnięcie ręki stały w rzędach butelki. Sonii ogromnie podobał się ten omszały bałagan, intensywny słodki zapach *jamon* i pogodny nastrój gawędzących gości — to wszystko otulała ją niczym ulubiony płaszcz. Otrząsnęła się z zamyślenia, słysząc głos przyjaciółki.

— Jak życie?

Takiego wymownego pytania można było się spodziewać po Maggie. Ciężkiego jak dwie oliwki i pomidor koktajlowy, nadziane na wykałaczkę, którą Sonia trzymała w ręku.

— Świetnie.

Wiedziała, że ta odpowiedź nie wystarczy przyjaciółce. Czasem ogarniała ją irytacja na Maggie, która zawsze chciała dojść najkrótszą drogą do sedna sprawy. Od spotkania na lotnisku Stansted, wcześniej tego dnia, prowadziły lekkie, płytkie rozmowy, ale można było się spodziewać, że prędzej czy później z ust przyjaciółki padną konkretne pytania. Sonia westchnęła. Za to uwielbiała Maggie, a zarazem jej nie znosiła.

— Jak się miewa twój przykurzony małżonek?

Tego bardziej bezpośredniego pytania nie dało się odeprzeć jednym słowem, zwłaszcza słowem „świetnie”.

Po dziewiątej bar zaczął raptownie wypełniać się gośćmi. Wczesnym wieczorem przesiadywali tam głównie starsi panowie, tworząc żywe gromadki. Wyglądali porządnie, jak zauważyła Sonia, byli niscy, ubrani w sztywne marynarki i wyglansowane buty. Później schodzili się trochę młodszy ludzie, prowadzili ożywione rozmowy na stojąco, balansując szklaneczkami z winem i talerzami z *tapas* na wąskiej półce umocowanej właśnie w tym celu wokół sali. Robiło się coraz głośniejsze i tym trudniej było prowadzić rozmowę. Sonia przysunęła się do Maggie tak blisko, że stołki zetknęły się drewnianymi krawędziami.

— Jeszcze bardziej się przykurzył — powiedziała jej prosto w ucho. — Był niezadowolony, że tu jadę, ale sądzę, że mu przejdzie.

Sonia spojrzała na zegar nad barem. Występ tancerzy flamenco miał się rozpocząć za niecałe pół godziny.

— Czy nie powinnyśmy już iść? — zapytała, zsuwając się ze stołka.

Przy całej sympatii do Maggie wołała tymczasem nie odpowiadać na osobiste pytania. Choć w opinii najlepszej przyjaciółki w ogóle nie warto było mieć męża, Sonia często podejrzewała, że stwierdzenie to ma związek z tym, iż Maggie nigdy nie miała męża, a przynajmniej nie własnego.

Dopiero co podano im przy barze kawę, a Maggie nie zamierzała zostawić nietkniętej filiżanki.

— Zdążymy — powiedziała. — W Hiszpanii wszystko zaczyna się z opóźnieniem.

Wypiły aromatyczną *café solo*, przecisnęły się przez tłum i wyszły na dwór. Tłoczno było również na ulicy, przez całą drogę na Sacromonte, gdzie szybko dostrzegły tablicę ze strzałką do Los Fandangos. Bielony, niedbale otynkowany budynek znajdował się na zboczu wzgórza. To właśnie była *cueva*, gdzie miał się odbyć spektakl. Gdy zbliżały się do celu, już słyszały urzekająco improwizowane akordy na gitarze.

Rozdział 2

Tej nocy, po powrocie do hotelu, Sonia leżała na łóżku i patrzyła w sufit, nie mogąc zasnąć. Tanie hotele mają to do siebie, że w dzień w pokojach jest za ciemno, a w nocy za jasno. Snop światła latarni przenikający gładkie zasłony oświetlał halucynogenne beżowe zawijasy na suficie, a Sonii nadal kręciło się w głowie po kawie. Nawet gdyby nie wpadające światło i wypita kawa, cienki materac prędzej sprowadziłby bezsenność niż sen.

Sonia rozmyślała o tym, jak wiele zadowolenia sprawia jej przebywanie w tym mieście. Miarowy oddech Maggie, która spała na drugim łóżku, tuż obok, działał na nią dziwnie po-krzepiająco. Rozpamiętywała miniony wieczór i wykręcanie się od odpowiedzi na pytania przyjaciółki. Maggie i tak dojdzie prawdy, domyśli się, jak sprawy stoją, niezależnie od słów Sonii. Wystarczył cień smutku przebiegający po twarzy w odpowiedzi na pytanie: „Co słyhać?”, żeby domyśliła się, jakie padną słowa. To dlatego James nie lubił Maggie i w istocie rzeczy sporo mężczyzn podzielało jego odczucia. Miała bardzo przenikliwy umysł, generalnie odnosiła się do mężczyzn krytycznie i w sytuacjach budzących wątpliwości raczej nie była skłonna przyznawać im racji.

James był przykurzony, jak to zyczliwie ujęła Maggie.

Chodziło nie tylko o jego wiek, lecz także o nastawienie. Kurz pewnie osiadł na nim jeszcze w kołysce.

Ich ślub, który odbył się przed pięcioma laty w następstwie podręcznikowo romantycznych zalotów, był obrazem sztucznej, choć bajkowej doskonałości. Leżąc na twardym, wąskim łóżku, pod każdym względem niepodobnym do wielkiego łoża z baldachimem, na którym spoczywała w noc poślubną, Sonia wróciła myślami do czasów, gdy James pojawił się w jej życiu.

Poznali się, gdy miała dwadzieścia siedem lat, a jego czterdzieste urodziny zbliżały się wielkimi krokami. James był młodszym współnikiem w małym prywatnym banku. Przez pierwsze piętnaście lat swojej kariery zawodowej pracował po osiemnaście godzin na dobę i ambitnie piął się po szczeblach drabiny korporacyjnej. Choć w biurze przesiadywał osiemnaście godzin, dwadzieścia cztery godziny spędzał z telefonem w rękę, gdy finalizował kontrakt. Czasami późną nocą podrywał w winiarni dziewczynę, ale tych pań w żadnym wypadku nie przedstawiłby swoim rodzicom. Raz czy dwa razy pozostawał w związku z recepcjonistką z banku, kociakiem na wysokich szpilkach. Z tych romansów nic nie wynikało, dziewczyny prędzej czy później odchodziły i zazwyczaj podejmowały pracę asystentki w innym banku.

Zaledwie kilka tygodni przed przełomowymi urodzinami James „zmienił priorytety”, jak powiedzieliby amerykańscy właściciele jego banku. Potrzebował kogoś, z kim chodziłby do opery, na przyjęcia, miał dzieci. Innymi słowy, chciał się ożenić. Sonia, przez kilka lat nieświadoma tego faktu, w końcu uprzytomniła sobie, że ładnie wpisała się jako jedna z pozycji na jego liście spraw do załatwienia, sporządzonej w notesie.

Dobrze pamiętała ich pierwsze spotkanie. Pracodawca Jamesa, Berkmann Wilder, akurat dokonał fuzji z innym bankiem i zatrudnił agencję PR, w której pracowała Sonia, do przeprowadzenia rebrandingu. Na konferencje z przedstawicielami instytucji finansowych Sonia zawsze ubierała się prowokacyjnie, wiedząc, że większość pracujących w City panów ma dość

banalny gust, więc gdy weszła do gabinetu zarządu banku, jej pociągająca powierzchowność nie umknęła uwagi Jamesa. Drobną, jasnowłosa, o jędrnym tyłeczku wyraźnie rysującym się pod obcisłą spódnicą, o kształtnym biuście uwypuklonym koronkowym stanikiem, który lekko prześwitywał spod jedwabnej bluzki, była ucieleśnieniem fantazji wielu mężczyzn. Natarczywe spojrzenia Jamesa niemal ją krępowały.

„Kapitalna — tak opisał ją James swemu koledze podczas przerwy na lunch tamtego dnia. — Do tego żywa jak iskra”.

Tydzień później, gdy przyszła na drugie posiedzenie, zaproponował roboczy lunch, który zakończył się przy winie w winiarni. Po tygodniu byli już „parą”, jak to mówił James. Sonia straciła głowę i wcale nie chciała mieć jej znów na karku. James był nie tylko całkiem przystojny, lecz również wypełniał rozmaite luki w jej życiu. Pochodził z dużej, okropnie angielskiej, na wskroś konwencjonalnej rodziny, mieszkającej w jednym z hrabstw położonych wokół Londynu. Życie Sonii nie opierało się na tak trwałych fundamentach, więc zbliżenie się do tych ludzi dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Dwa znaczące związki, w jakich pozostawała przed trzydziestką, skończyły się dla niej katastrofalnie. Najpierw związała się z muzykiem, potem z włoskim fotografem. Ani jeden, ani drugi nie był jej wierny, James zaś pociągał ją swoją rzetelnością ukształtowaną w prywatnych szkołach.

„Ależ on jest dużo starszy od ciebie!” — mówili przyjaciele Sonii.

„Dlaczego miałyby to być takie istotne?” — pytała.

Zapewne właśnie różnica wieku sprawiała, że stać go było na przesadną hojność. Na walentynki wysłał jej nie tuzin czerwonych róż, lecz tuzin tuzinów i wypełnił nimi każdy skrawek jej małego mieszkania w Streatham. Jeszcze nigdy nie czuła się tak rozpieszczana i w istocie nigdy nie była tak szczęśliwa jak w dniu swoich urodzin, gdy zobaczyła pierścionek z dwukaratowym brylantem w kieliszku szampana. Jedyłą możliwą odpowiedzią było „tak”.

Choć Sonia nie zamierzała zrezygnować z satysfakcjonującej ją pracy, James dał jej wieloletnie zabezpieczenie finansowe, a w zamian ona wniosła w posagu zdolność rodzenia dzieci i tolerancyjne nastawienie do teściowej, której zdaniem żadna kobieta nie zasługiwała na takiego męża jak jej syn.

Leżąc w ciasnym pokoju hotelowym w Grenadzie, Sonia rozmyślała o swoim wspaniałym białym weselu, którego wspomnienia nadal żyły w jej pamięci; profesjonalnie nakręcony na wideo film wciąż był od czasu do czasu odtwarzany. Ślub odbył się po dwóch latach znajomości, w wiosce w Gloucestershire, opodal domu rodzinnego Jamesa. Obskurny południowy Londyn, gdzie dorastała Sonia, nie stanowiłyby dostatecznie malowniczej scenerii tych zaślubin. Wśród uczestników ceremonii dało się zauważyć znaczną dysproporcję (goście ze strony panny młodej byli zdecydowanie mniej liczni niż ze strony pana młodego, po której roilo się od dalekich krewnych, małych dzieci i przyjaciół rodziców), ale Sonia tak naprawdę dostrzegała jedynie brak swojej matki i wiedziała, że takie same odczucia ma jej ojciec. Poza tym wszystko wyglądało doskonale. W kościele unosił się zapach frezji, którymi przyozdobiono krańce ławek, i rozległo się głębokie westchnienie, gdy prowadzona przez ojca Sonia przeszła pod łukiem z białych róż. W sukni z tiulu, tak szerokiej u dołu, że niemal wypełniała główną nawę, sunęła po dywanie w stronę pana młodego. W blasku słońca korona z kwiatów tworzyła wokół niej świetlistą aureolę, przez co cała postać wydawała się tego dnia półprzezroczysta, nieziemska, o czym przypominały jej oprawione w srebrne ramki fotografie stojące w domu.

Po przyjęciu (obiadem składającym się z czterech dań podjęto trzystu gości pod namiotem w biało-różowe pasy) James i Sonia udali się Bentleyem do Cliveden, a o jedenastej następnego ranka już lecieli na Mauritius. Początek był znakomity.

Przez długi czas Sonia była zachwycona, gdy James obсыpywał ją czułościami i otaczał troską. Podobało się jej, gdy otwierał przed nią drzwi, gdy z podróży służbowych do Rzymu

przywoził atlasową bieliznę w pudełkach wyściełanych jedwabiem, a z Paryża wracał z perfumami, zapakowanymi warstwowo jedno pudełko w drugie niczym matryoski, i z kupionymi na lotnisku apaszkami od Chanel czy Hermesa, nie całkiem w jej guście. Nawyk ubierania żony i decydowania o zapachu, który roztaczała, przejął po ojcu. Teściowie Sonii, Richard i Diana, trwali w związku małżeńskim niemal pięćdziesiąt lat, więc takie podejście niewątpliwie odpowiadało kobietom, doszedł do wniosku James.

I James, i Sonia byli zaabsorbowani pracą zawodową. Sonia przeniosła się do nowszej i mniejszej agencji, która zajmowała się kształtowaniem wizerunku przedsiębiorstw produkcyjnych, nie zaś, jak poprzednia, firm ulokowanych w City. Uznała, że w życiu prywatnym dostatecznie często widuje bankierów i prawników. Nie zważała na to, że mąż nie stara się zmienić trybu pracy. O każdej porze dnia i nocy odpowiadał na telefony i prowadził jakieś konferencje telefoniczne między Londynem, Tokio i Nowym Jorkiem. Za pensję bankiera płaciło się życiem osobistym. Sonia rozumiała to doskonale i nie przeszkadzało jej, że James udaje się na kolacje z klientami kilka razy w tygodniu. Gdy spędzał wieczory w domu, miał dość siły, by co najwyżej przeglądać „Inestors Chronicle” lub wpatrywać się pustym wzrokiem w telewizor. Wyjątek stanowiły sporadyczne wyjścia do kina i regularne przyjęcia, które wydawali i na które chodzili.

Z pozoru ich życie wyglądało obiecująco. Mieli wszystko: dobrą pracę, dom w Wandsworth, który nabierał coraz większej wartości, i dużo miejsca, żeby założyć rodzinę. Sprawiali wrażenie stabilnej pary, tak jak solidny był ich dom i ulica, przy której mieszkali. Należało się spodziewać, że następnym etapem będzie posiadanie dzieci. Ale ku rozdrażnieniu Jamesa coś powstrzymywało Sonię przed podjęciem tej decyzji. Zaczęła usprawiedliwiać się przed sobą i przed Jamesem, twierdząc zazwyczaj, że to nieodpowiednia pora na przerwanie kariery

zawodowej. Przyznanie, nawet w głębi duszy, jakie są prawdziwe powody, nie było łatwe.

Sonia nie potrafiła wskazać konkretnego punktu w czasie, kiedy zaczęły się problemy z alkoholem. Prawdopodobnie nie stało się to w określonej chwili, przy którymś kieliszku wina, w którymś barze, skąd James wrócił wieczorem do domu, wypiwszy według niej za dużo. Może nastąpiło to podczas służbowego lunchu albo nawet na przyjęciu, kto wie, czy nie tym, które urządzili tydzień wcześniej, zastawiając wielki mahoniowy stół najlepszą porcelaną i kryształami otrzymanymi w prezencie z okazji ślubu, bajkowo wspaniałego, przed pięćdziesięcioma laty.

Miała przed oczami swoich gości, którzy stali w salonie urządzonej w przyjemnej jasnoniebieskiej tonacji, trzymając w rękach smukłe kieliszki z szampanem i prowadząc stereotypowe rozmowy. Wszyscy panowie byli w garniturach, panie też miały swój ściśle obowiązujący strój: czółenka na niewysokich obcasikach, powiewne spódnice i coś, co poprzednie pokolenie nazywało „bliźniakiem”. Do tego jakiś brylantowy wisiorek był również *de rigueur* oraz bransoletka w postaci kilku pobrzękujących kółek. W ten bezpretensjonalnie elegancki sposób ubierano się w jej czasach — kobieco, trochę zalotnie, ale w żadnym wypadku nie wyzywająco.

Przypomniała sobie zwyczajowe pogawędki o tym, kiedy zapisać dzieci do przedszkola, o spadku cen nieruchomości, o pogłoskach dotyczących otwarcia na błoniach nowej restauracji z drobnymi daniami na wynos; potem napomykano o strasznej awanturze między kierowcami na sąsiedniej ulicy, a panowie dla poprawienia atmosfery zaczęli opowiadać wulgarnie dowcipy, które krążyły w Internecie. Sonia pamiętała, że chciało jej się wyć na myśl o rozmowach prowadzonych w tak przewidywalny sposób przez klasę średnią i o zebranych w jej domu ludziach, z którymi w swoim odczuciu nie miała nic wspólnego.

Tamtego wieczoru James jak zwykle chciał się popisać

ogromnym zbiorem najlepszych roczników czerwonego wina. Panowie, zmęczeni długim tygodniem pracy, wyrazili chęć opróżnienia kilku butelek burgunda z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku i po niecałych dwóch kieliszkach napotkali krzywe spojrzenia żon, które zorientowały się, że to one będą musiały prowadzić auta w drodze powrotnej.

O północy pojawiły się cygara.

„Częstujcie się — namawiał James, puszczając obiegiem pudełko z hawanami. — Sto procent pewności, że były zwijane na udach kubańskich dziewic!”.

Choć te słowa padały już tysiąc razy, wszyscy mężczyźni ryknęli śmiechem.

Dla konserwatywnych czterdziestosześcioletnich bankierów, jak James, taki wieczór stanowił idealną rozrywkę: bezpieczną, szacowną, pełną jowialnego humoru, dokładnie w guście jego rodziców. W istocie niczym nie różnił się od przyjęć wydawanych przez starszych państwa Cameronów. James opowiedział kiedyś Sonii, jak to w dzieciństwie siedział na podeście schodów, spoglądając w dół przez balustradę i wyławiając strzępy rozmów i wybuchy śmiechu, które dolatywały z jadalni, ilekroć otwierały się drzwi i matka biegła do kuchni, skąd przynosiła wazy z zupą lub misy z duszonymi potrawami i stawiała je na słusznych rozmiarów stoliku na kółkach. To podglądanie zawsze kończyło się na długo przed wyjściem gości i w pamięci Jamesa pozostawała miła atmosfera przyjęcia. Sonia zadawała sobie czasem pytanie, czy między jego rodzicami dochodziło do słownych utarczek, gdy patrzyli na pozostawiony przez gości rozgardiasz, i jak często jego zmęczona matka kładła się spać o drugiej nad ranem u boku chrapiącego męża.

Tamtego wieczoru w zeszłym tygodniu goście wyszli dobrze po północy. Na widok smętnych pozostałości po przyjęciu James zareagował tak napastliwie, że Sonia nie posiadała się ze zdumienia, zważywszy, że to on, jak zawsze, postanowił zaprosić do domu kolegów z City i ich piskliwe żony. Sama leż nie była zachwycona, że trzeba będzie uporać się z kielisz-

kami zbyt delikatnymi, by wsadzić je do zmywarki, popielniczkami pełnymi tłących się petów, bulionówkami, które miały obwódki po zupie, zakrzepłe niczym zielony beton, obrusem pochłapanym winem oraz białymi lnianymi serwetkami, na których idealnie odcisnęły się uszminowane usta. Ktoś rozlał kawę i nie wspomniał, że zabrudził się dywan. Na jasnym fotelu została plama po czerwonym winie.

„Po co zatrudniać sprzątaczkę, skoro nadal musimy szorować naczynia?” — wybuchnął James, gdy po natarciu na szczególnie oporny garnek fala wody przelała się przez krawędź zlewu. Goście może i ograniczali się w picciu, ale nie James.

„Przychodzi tylko w dni powszednie. Przecież wiesz” — przypomniała mu Sonia, wycierając kałużę tłustej wody pod wpływającej pod jego stopy.

James dobrze wiedział, że sprzątaczką nie przychodzi w piątek wieczorem, ale to nie powstrzymało go przed zadawaniem tego pytania, ilekroć stał przy zlewie i toczył boje z uporczywymi zabrudzeniami.

„Te cholerne proszone kolacje! — zaklął, niosąc trzecią tacę pełną kieliszków. — Po co my je urządzamy?”.

„Bo otrzymujemy zaproszenia, a ty lubisz przyjęcia” — wyjaśniła spokojnie Sonia.

„To jakieś błędne koło, psiakrew!”.

„Upłynie kawał czasu, nim znowu będzie nas to czekać. Ludzie są nam winni mnóstwo zaproszeń”.

Sonia zdawała sobie sprawę, że nie należy kontynuować tego wątku. Lepiej było trzymać język za zębami.

O pierwszej w nocy talerze były porządnie ustawione w zmywarce jeden za drugim, wierzchem w prawo, niczym stojący rzędem żołnierze. James i Sonia odbyli już swoją zwyczajową dyskusję o tym, czy należy splukać sos przed włożeniem naczyń do zmywarki. James triumfował. Elegancka zastawa z Worcestershire już lśniła w szumiącej zmywarce, rondle były nieskazitelnie czyste, a oni nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia.

Udanie się na spoczynek w Grenadzie wyglądało zupełnie inaczej. Sonia delectowała się samotnością na wąskim łóżku i przebywaniem sam na sam z własnymi myślami. Tyle w tym było spokoju. Dźwięki, które do niej dolatywały, działały pokrzepiająco: warkot motoroweru pod oknami, pogłos stłumionej rozmowy na wąskiej uliczce i nieco chrapliwy oddech jej najdawniejszej przyjaciółki.

Choć do pokoju wpadało światło latarni ulicznej i niebo zaczynało się rozjaśniać, zapowiadając nadejście świtu, myśli Sonii wreszcie się uspokoiły i zgasły jak świeca. Przyszedł sen.

Rozdział 3

Zaledwie kilka godzin później obudziły je natarczywe impulsy budzika.

— Pobudka! — powiedziała Sonia z udawaną wesołością, spoglądając na zegar przy łóżku. — Czas się zbierać.

— Dopiero ósma — jęknęła Maggie.

— Nie przestawiłaś wskazówek — zauważyła Sonia. — Jest dziewiąta. Mamy się tam pojawić o dziesiątej.

Maggie tylko naciągnęła na głowę prześcieradło. Sonia wstała, wzięła prysznic i wytarła się szorstkim, cienkim ręcznikiem. Dwadzieścia po dziewiątej była już ubrana. Przecież przyjechała do Grenady w konkretnym celu.

— Rusz się, Maggie. Nie powinnyśmy się spóźnić — mobilizowała przyjaciółkę. — Skoczę na dół na kawę, a ty się ubieraj.

Przy miękkim croissancie i letniej kawie przestudiowała plan Grenady i znalazła miejsce, gdzie miały się stawić. Szkoła tańca znajdowała się niedaleko, pod warunkiem że człowiek szedł uważnie i skręcał w odpowiednie uliczki.

Popijając kawę, Sonia dumiała nad rozwojem wypadków. Wszystko zaczęło się od filmu. Gdyby nie ten film, nie odkryłaby tańca. Jak w grze planszowej — nie wiedziała, dokąd zaprowadzi ją następny ruch.

Wyjście do pobliskiego kina należało do nielicznych form

spędzania wieczoru poza domem, na które James zgadzał się w dni powszednie, nawet jeśli zwykle zasypiał na długo przed rozwiązaniem akcji. Kierownictwo miejscowego południowo-londyńskiego kina stanowczo sprzeciwiało się wyświetlaniu hitów, ale miało dostatecznie liczną klientelę gustującą w wyrafinowanych filmach artystycznych, by widownia w połowie zapełniała się niemal każdego dnia. Kino znajdowało się nie więcej niż półtora kilometra od ich domu, lecz atmosfera po lewej stronie Clapham Common była dużo mniej spokojna — karaibskie lokale z daniami na wynos, kebabiarnie i bary z *tapas* konkurowały z chińskimi, hinduskimi i tajskimi restauracjami, tworząc scenerię zupełnie inną niż wypolerowane wielkomiejskie restauracje nieopodal ich domu.

Wyszli na boczną uliczkę, zupełnie jak z niesamowicie ponurego filmu Almodóvara, który obejrżeli. Po chwili uwagę Sonii zwróciło coś, czego dotąd nie zauważyła: jaskrawy, migający szyld w wulgarnym stylu Las Vegas. SALSA! RUMBA! — krzyczały neonowe litery. Na słabo oświetlonej ulicy len wesoły neon podnosił na duchu.

Gdy podeszli bliżej, usłyszeli natarczywie rytmiczną muzykę i dostrzegli niewyraźne ruchy za matowymi szybami okien. Zaledwie przed kilkoma godzinami na pewno przechodzili obok tego budynku w drodze do kina, ale nie przyjrżeli mu się dokładnie, a teraz za tą banalną fasadą plomby z lat pięćdziesiątych, postawionej w miejscu, gdzie spadła bomba podczas nalotów na Londyn, pulsowało życie.

Gdy minęli budynek, Sonia uprzytomniła sobie treść napisu na niniejszym, podświetlonym szyldzie:

Wtorek — początkujący
Piątek — średnio zaawansowani
Sobota — wszyscy

Z wewnątrz dolatywały ledwie słyszalne, lecz urzekające latynoskie brzmienia. Sam powiew rytmicznej muzyki silnie

podziałal na Sonię. Pospieszny stuk butów oddalającego się Jamesa utwierdził ją w przekonaniu, że mąż w ogóle nie zwrócił uwagi na ten szyld.

Kilka tygodni później, wchodząc do domu po powrocie z biura, musiała jak zwykle mocno pchnąć drzwi wejściowe, żeby odsunąć na bok zwał papierzysk. Zalegające w holu ulotki działały jej na nerwy tak samo jak śnieżna breja na poboczu drogi. Przynoszono najróżniejsze reklamy lokali z daniami na wynos i towarów z dostawą do domu, katalogi sklepów dla majsterkowiczów, w których nie zamierzała bywać, oferty prania dywanów za pół ceny i informacje o kursach angielskiego, zupełnie jej nieprzydatne. Jednej ulotki nie mogła jednak wrzucić do pojemnika na makulaturę. Na wierzchu widniało zdjęcie szyldu z neonowym napisem: „Salsa! Rumba!”, który mrugał do niej przed paroma tygodniami. Na odwrocie podano dni i godziny zajęć, a na dole kartki zamieszczono całkiem wzruszające słowa: „Ucz się, żeby tańczyć. Tańcz, żeby żyć. Żyj, żeby tańczyć”.

W dzieciństwie Sonia chodziła na cotygodniowe lekcje baletu, a potem na lekcje stepowania. Jako nastolatka porzuciła naukę tańca, ale na szkolnych dyskotekach zawsze bawiła się do upadłego. Po ślubie James dał jej jasno do zrozumienia, że to nie w jego stylu, więc rzadko nadarzała się sposobność. Teraz okazje do potańczenia trafiały się od czasu do czasu jedynie na oficjalnych przyjęciach urodzinowych lub firmowych imprezach organizowanych przez bank Jamesa, kiedy to w wynajętym lokalu znalazł się niekiedy mały kawałek parkietu oraz didżej puszczał jakiś przypadkowo wybrane hity z lat osiemdziesiątych. To nie było prawdziwe tańczenie. Nie odstępowała jej myśl, że jest miejsce, oddalone o kilka minut jazdy samochodem, gdzie brałaby lekcje tańca. Może weźmie się na odwagę i pójdzie tam któregoś dnia.

Ten dzień nastąpił szybciej, niż sobie wyobrażała. Minęło kilka miesięcy. Mieli iść na film i gdy podjeżdżała pod kino, James zadzwonił na jej komórkę z wiadomością, że musi zostać

w pracy. Po drugiej stronie ulicy mrugał do niej neon szkoły tańca.

Sala była równie zaniedbana jak fasada budynku. Farba odpadała od sufitu, na wysokości talii człowieka ciągnęła się wzdłuż ścian brudna obwódka, jakby pokój napelnił się kiedyś wodą, niczym gigantyczne akwarium. Być może dlatego unosił się tam wyraźny, nieprzyjemny zapach wilgoci. Z sufitu zwisało sześć nagich żarówek na przewodach różnej długości, ściany ożywiało kilka plakatów reklamujących hiszpańskie fiesty. Niechlujny wystrój tylko potęgował ogólne wrażenie rozpadu. Mało brakowało, a Sonia by się wystraszyła, ale jeden z instruktorów zauważył stojącą w drzwiach postać. Uczestnicy zajęć zgotowali jej ciepłe powitanie i zaraz rozpoczęła się lekcja.

Sonia szybko złapała rytm. Nim zajęcia dobiegły końca, odkryła, że krok może być połączony z czymś tak nieznacznym jak zakręcenie biodrami i niekoniecznie wymaga skrupulatnego liczenia w każdej sekwencji. Dwie godziny później, zarumieniona, wyszła z budynku na chłodne wieczorne powietrze.

Z jakiegoś powodu, którego nie mogła nikomu wyniszczyć, Sonia nie posiadała się z radości. Nasyciła się samą muzyką. Myła przepelniona bez reszty — tylko tak potrafiła określić w duchu swój stan — i bez wahania zapisała się na kurs. Z tygodnia na tydzień tańczenie ekscytowało ją coraz bardziej. Czasem ledwie umiała zapanować nad swoim entuzjazmem. Nastrój tych zajęć nie opuszczał jej jeszcze z godzinę po wyjściu z sali. Taniec wywierał jakiś czar. Już po kilku minutach wpadała niemal w ekstazę.

Uwielbiała wszystko, co wiązało się z wtorkowymi zajęciami prowadzonymi przez Juana Carlosa, przysadzistego Kubańczyka w wyglansowanych, spiczastych sztybletach do tańca. Zachwycał ją rytm, dynamika oraz nasuwające się pod wpływem muzyki skojarzenia z ciepłymi krajami zalanymi słońcem.

Gdy trzeba było pokazać skomplikowane kroki, Juan Carlos korzystał z pomocy swej jeszcze niższej żony, Marisy. Kilkunastu uczniów przyglądało się z zachwytem, stojąc w niemym

uniesieniu. Zwinność kroków i lekkość ruchów przypominały zróżnicowanej gromadce widzów, po co przychodzą tu każdego tygodnia. Co prawda kobiety zazwyczaj tańczyły z kobietami. Starszy z dwóch mężczyzn, Charles, bez wątpienia był w młodości dobrym tancerzem. Mimo że zbliżał się do siedemdziesiątki, stawiał w tańcu kroki lekkie jak piórko i prowadził partnerkę zdecydowanie, a przy tym z bezbłędnym wyczuciem muzyki. Nigdy nie zgubił rytmu i ściśle wypełniał polecenia instruktora. Ilekroć Sonia tańczyła z nim, wiedziała, że Charles jest myślami ze swoją żoną, zmarłą niewiele ponad trzy lata temu, jak wywnioskowała z krótkiej rozmowy. Był dzielny, dziarski i pełen uroku.

Drugi pan, czterdziestoparolatek z lekką nadwagą, od niedawna rozwodnik, zainteresował się kursem tańca, by zawierać znajomości z kobietami. Choć w grupie proporcja pań do panów była zadowalająca, zajęcia go rozczarowały, ponieważ nikt nie interesował się nim ani na jotę. Co tydzień zapraszał na drinka inną kobietę i każda po kolei odmawiała. Być może dlatego, że obficie się pocił, nawet podczas wolnych tańców. Dziewczęta wołały tańczyć ze sobą niż twarz przy twarzy ze zdesperowanym, spoconym mężczyzną masywnej postury.

Po kilku tygodniach Sonia uprzytomniła sobie, że wtorek jest jej ulubionym dniem, a lekcje tańca figurują w terminarzu jako sprawa, o której nie można zapomnieć. To, co zaczęło się jako miła odmiana, przerodziło się w pasję. Kompakty z muzyką do salsy walały się w bagażniku. Jadąc samochodem do pracy, Sonia tańczyła w myślach. Co tydzień wracała z zajęć rozpalona i zarumieniona z emocji. Jeśli James był już w domu, rzucał jakąś protekcyjną uwagę na powitanie, mącąc jej euforyczny nastrój.

„Wytanńczyłaś się? — zapytał kiedyś z wyższością, podnosząc wzrok znad gazety. — Co słyhać u baletnic?”.

James przybrał niby żartobliwy ton, w którym pobrzmiwała wyraźna nuta sarkazmu. Sonia nie dała się sprowokować, ale uznała, że powinna odeprzeć krytykę.

„Te zajęcia są podobne do lekcji stepowania, które tak mnie wciągnęły przed paroma laty. Nie pamiętasz?”.

„Ledwie, ledwie — doleciała ją głos zza gazety. — Tylko nie rozumiem, dlaczego chodzisz tam co tydzień”.

Któregoś dnia napomknęła o swoich nowych zainteresowaniach Maggie, najdawniejszej przyjaciółce, jeszcze z czasów szkolnych. Były nierozłączne przez siedem lat szkoły średniej; dwadzieścia lat później nadal łączyła je niemal równie bliska przyjaźń. Spotykały się kilkanaście razy w roku i spędzały wieczór w winiarni. Maggie zapaliła się do tego pomysłu. Czy leż mogłaby przychodzić? Czy Sonia zabierze ją na zajęcia? Sonia nie posiadała się z radości. Będzie jeszcze weselej.

Więź między nimi zadzierzgnęła się, gdy miały jednaście lat, i nigdy nie zerwała. Początkowo zbliżyło je zdanie egzaminu obowiązkowego dla wszystkich jedenastolatków, po którym dostały się do tej samej szkoły średniej w Chislehurst, gdzie nosiły takie same granatowe żakieciki uwierające w szyję i sztywne flanelowe spódniczki szeleszczące przy każdym ruchu. Już pierwszego dnia w nowej szkole posadzono je razem w czwartej ławce — bladą, niedużą Sonię Haynes i wysoką, gadatliwą Margaret Jones — ponieważ ich nazwiska znajdowały się blisko siebie w dzienniku klasowym.

Od tego dnia zaczęły dostrzegać w sobie nawzajem i podziwiać liczne cechy, którymi się różniły. Sonia z zazdrością obserwowała niefrasobliwe nastawienie Maggie do nauki, a Maggie z podziwem patrzyła na skrupulatne notatki Sonii i porządnie opracowane lektury. W opinii Maggie kolorowy telewizor Sonii był najbardziej zadziwiajączą rzeczą na świecie, ale ta w każdej chwili zamieniłaby go na buty na platformach, jakie mogła nosić jej przyjaciółka. Sonia chciała mieć równie pobłażliwych rodziców jak Maggie, której pozwalano przebywać poza domem do północy, Maggie zaś wiedziała, że chętnie wracałaby o wcześniejszej porze, gdyby przed rozpalonym kominkiem leżał zwinięty w kłębek pies. To, co miała jedna, dla drugiej było czymś upragnionym.

Dziewczęta wiodły pod każdym względem odmienne życie. Sonia była jedynaczką i gdy zaczynała naukę w szkole średniej, jej mama już poruszała się na wózku inwalidzkim. W ich domu bliźniaczym panowała przygaszona atmosfera. Natomiast Maggie mieszkała w ruderze z czwórką rodzeństwa i wyrozumiałymi rodzicami, którzy raczej się nie przejmowali, czy córka jest w domu, czy nie.

Chodziły do szkoły dla dziewcząt, gdzie w niewielkim stopniu spożytkowywały swą energię na zdobywanie wiedzy. Najbardziej interesowały je szkolne zatargi, dyskoteki i chłopcy, a rozwijającą się przyjaźń cementowały wyznania i tajemnice. Gdy mama Sonii w końcu poddała się stwardnieniu rozsianemu, które od lat z wolna wyniszczało jej organizm, Sonia opłakiwała ją razem z Maggie. Przyjaciółka w zasadzie zamieszkała u nich, wspierając Sonię i jej ojca swoją obecnością i łagodząc ich potworny ból. Były wtedy w szkole średniej. Rok później to Maggie znalazła się w trudnej sytuacji. Zaszła w ciążę. Jej wyrozumiali z pozoru rodzice źle przyjęli tę wiadomość i dziewczyna znowu mieszkała u przyjaciółki przez kilka tygodni, dopóki rodzice nie pogodzili się z sytuacją.

Choć łączyła je tak bliska zażyłość, ich drogi rozeszły się po ukończeniu szkoły. Niedługo potem Maggie urodziła dziecko (nikt nie znał nazwiska ojca, nawet najlepsza przyjaciółka, być może również sama Maggie) i z czasem zaczęła zarabiać na życie, w niepełnym wymiarze godzin ucząc garncarstwa w kilku college'ach i prowadząc zajęcia wieczorowe. Teraz jej córka Candy miała siedemnaście lat i właśnie rozpoczęła naukę w szkole plastycznej. Przy dobrym oświetleniu matkę i córkę, które nosiły kolczyki w kształcie dużych kół i stroje na modłę cyganerii artystycznej, można było spokojnie uznać za siostry. Na widok Maggie w ostrym świetle nasuwało się pytanie, dlaczego kobieta w tym wieku nadal ubiera się w Topshop. Miała długie ciemne loki prawie jak jej córka, ale po latach palenia papierosów śniada twarz była poorana zmarszczkami, które wskazywały prawdziwy wiek. Maggie mieszkała z Candy

na granicy Clapham z Brixton, opodal ciągu sklepów z artykułami za jednego funta i najlepszych hinduskich restauracji wegeterianских na zachód od Delhi.

Styl życia Sonii, praca w agencji PR, kosztownie umeblowany dom oraz James — wszystko to było obce Maggie, która nigdy nie kryła niepokoju z powodu związania się przyjaciółki z tym „sztywniakiem”.

Mimo że ich życie potoczyło się bardzo różnymi torami, geograficznie nie oddaliły się zanadto od siebie, mieszkały w odległości zaledwie kilkunastu kilometrów po południowej stronie Tamizy. Przez prawie dwadzieścia lat jedna zawsze pamiętała o urodzinach drugiej i obie pielęgnowały przyjaźń, spędzając długie wieczory przy paru butelkach wina i snując opowieści o najdrobniejszych zdarzeniach w swoim życiu, a po zamknięciu lokalu rozstawały się na całe tygodnie albo i miesiące.

Połowę pierwszej lekcji salsy w Clapham Maggie przesiedziała pod ścianą, cały czas wystukując rytm nogą, lekko kołysząc się w biodrach i ani na chwilę nie odrywając wzroku od stóp instruktorów pokazujących kroki, które uczniowie mieli ćwiczyć. Tego wieczoru Juan Carlos nastawił muzykę tak głośno, że drżały deski podłogi. Po pięciominutowej przerwie, gdy wszyscy napili się butelkowanej wody, a Sonia przedstawiła przyjaciółkę tancerzom, Maggie była gotowa wyjść na parkiet. Kilkoro stałych uczestników spoglądało na nią sceptycznie; nie wierzyli, że ktoś może dołączyć w połowie kursu i dogonić pozostałych, bali się, że przez nią będą robili wolniejsze postępy.

Kubańczyk ujął dłoń Maggie i przed lustrem poprowadził ją w tańcu. Reszta grupy obserwowała ich, kilka osób z nadzieją, że Maggie się pomyli. Choć marszczyła czoło w skupieniu, pamiętała każdy krok i półobrót, które ćwiczyli tego wieczoru, i nic popełniła ani jednego błędu. Taniec przyjęto oklaskami.

Sonia była mile zaskoczona. To, co jej zajęło całe tygodnie, Maggie osiągnęła w pół godziny.

„Jak tego dokonałaś?” — zapytała, gdy siedziały w winiarni po zajęciach i popijały rioję.

Maggie powiedziała jej, że podczas pobytu w Hiszpanii przed kilkoma laty wzięła parę lekcji salsy i podstawy techniki pozostały jej w pamięci.

„To tak jak z jeżdżeniem na rowerze — dodała od niechcienia. — Gdy już się nauczysz, nie zapomnisz”.

Po kilku zajęciach ogarnął ją jeszcze większy zapał niż Sonię i mając niewiele obowiązków w codziennym życiu, zaczęła chodzić do klubu miłośników salsy, gdzie wraz z setkami ludzi tańczyła w ciemności do piątej rano.

* * *

Za kilka tygodni Maggie miała obchodzić trzydzieste piąte urodziny.

„Jedziemy do Hiszpanii, żeby sobie potańczyć” — oznajmiła.

„Świetny pomysł — odrzekła Sonia. — Wybierasz się z Candy?”.

„Nie, z tobą. Kupiłam bilety. Do Grenady. Czterdzieści funtów w obie strony. Wszystko załatwione. No i zapisałam nas na lekcje tańca podczas pobytu”.

Sonia dobrze wiedziała, jak bardzo nie spodoba się to Jamesowi, ale w żadnym wypadku nie mogła odmówić przyjaciółce. Jakikolwiek wahanie nie spotkałoby się z jej zrozumieniem. Maggie była człowiekiem wolnym duchem i nie mieściło jej się w głowie, że można rzec się prawa chodzenia własnymi drogami. Poza tym, co ważniejsze, Sonia nie chciała odmówić. Taniec już stał się siłą napędową jej życia, dawał uczucie wyzwolenia, od którego była uzależniona.

„Fantastycznie! — zawołała. — Kiedy jedziemy?”.

Wycieczka miała się odbyć za trzy tygodnie, w połączeniu z urodzinami Maggie.

Oziębła reakcja Jamesa nie była niczym zaskakującym. Jego dezaprobata wobec tanecznych zainteresowań żony spotęgowała się na wiadomość o podróży do Grenady.

„Wygląda mi to na coś w rodzaju babskiego wieczoru —

odezwał się lekceważąco. — Czy nie jesteś trochę za stara na (akie imprezy?)".

„Wiesz, Maggie ominęło huczne wesele, więc może dlatego chce szumnie uczcić trzydzieste piąte urodziny".

„Maggie... — James jak zawsze nie krył pogardy dla Maggie. — A dlaczego nie wyszła za mąż? Jak wszystkie inne".

Rozumiał, co żona widzi w swoich przyjaciółach ze studiów, koleżankach i kolegach z pracy oraz różnych znajomych mieszkających w sąsiedztwie. Natomiast jego nastawienie do Maggie było inne. Nie tylko należała do mrocznej, sięgającej czasów szkolnych przeszłości jego żony, ale również nie dawała się zaszufładować i dlatego nie rozumiał, co skłania żonę do utrzymywania tej znajomości.

Z dała od męża, pod życzliwym spojrzeniem Marii Panny na taniej reprodukcji w pokoju śniadaniowym hotelu Santa Ana, Sonia uprzytomniła sobie, że przestała się przejmować opinią Jamesa o swojej niekonwencjonalnej przyjaciółce.

W drzwiach stanęła Maggie. Miała zapuchnięte oczy.

— Przepraszam za spóźnienie. Zdążę wypić kawę?

— Nie zdążysz, jeżeli mamy przyjść na lekcję punktualnie. Lepiej ruszajmy od razu — zarządziła Sonia, nie chcąc dopuścić, by Maggie wymyśliła kolejny powód do zwłoki.

W ciągu dnia to Sonia brała sprawy w swoje ręce. Wieczorem przyjaciółki zamieniały się rolami. Zawsze tak było.

Gdy wyszły na ulicę, zaskoczyło je ostre powietrze. Przechodnie pojawiali się z rzadka: garstka staruszków z małymi psami na smyczach; ludzie siedzieli w kawiarniach. Witryny większości sklepów były nadal zasłonięte metalowymi żaluzjami, tylko w piekarniach i kawiarniach dało się zauważyć jakieś oznaki życia, a w powietrzu niosła się kusząca woń ciastek i *churros*. W wielu kawiarniach już panował tłok, kłębiła się para z ekspresów do kawy i dym papierosowy. W większej części miasta ruch zaczął się dopiero za godzinę. Nim to nastąpi, ranne ptaszki, takie jak Sonia i Maggie, miały wąskie uliczki niemal wyłącznie dla siebie.

Sonia prawie nie odrywała wzroku od planu miasta, śledząc kręte zaułki i ciasne przejścia, by trafić na miejsce. Krokami przyjaciółek kierowały niebieskie napisy na ceramicznych tabliczkach ulicznych, melodyjne i pełne uroku nazwy — Escuelas, Mirasol, Jardines — przybliżały je do celu. Kobiety przecięły zlany wodą plac, rozchlapując kałuże, i minęły wspaniały stragan pełen wonnych, lśniących kwiatów, ustawiony między dwiema kawiarniami. Gładkie marmurowe płyty chodnika pod stopami były miękkie. Piętnastominutowy spacer zdawał się trwać nie więcej niż pięć minut.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiła triumfalnie Sonia, wkładając złożony plan miasta do kieszeni. — La Zapata. To tu.

Dom był zapuszczony. Fronton pokrywały warstwy małych afiszy przez lata przyklejanych jeden na drugim do ceglanego muru i reklamujących wieczory flamenco, tanga, rumbi i salsy organizowane w całym mieście. Chyba każdą budkę telefoniczną, słup latarni czy wiatę na przystanku autobusowym wykorzystywano, by informować przechodniów o zbliżających się *espectaculos*; zapowiedź występu często była zasłonięta nowym ogłoszeniem, jeszcze zanim się odbył. Powstawał swego rodzaju bezładny collage, który dawał obraz ducha tego miasta i obfitości spektakli tanecznych i muzycznych, stanowiących jego życiodajną siłę.

La Zapata, równie zaniedbane wewnątrz, jak i na zewnątrz, było całkowicie pozbawione splendoru. Tu odbywały się nie występy, lecz próby i ćwiczenia.

W holu znajdowało się czworo drzwi: dwoje zamkniętych i dwoje otwartych. Zza jednych dochodziło gromkie tupanie. Stado byków pędzących ulicą nie narobiłoby tyle hałasu. Tupanie nagle ustało i rozległo się rytmiczne klaskanie w dłonie, niczym stuk kropli deszczu po trzaskach gromu.

Jakaś kobieta przeniknęła zdecydowanym krokiem obok nowo przybyłych i pobiegła nieoświetlonym korytarzem. Podbite stalowymi gwoździami czubki butów i obcasy stukwały o kamienną podłogę. Zza otwartych przez chwilę drzwi buchnęła muzyka.

Dwie Angielki stały przed oprawionymi plakatami i oglądały reklamy przedstawień sprzed dziesięcioleci, nie wiedząc, co robić. Wreszcie Maggie zwróciła na siebie uwagę chudej jak **N/czapa**, zmęczonej na twarzy kobiety, może pięćdziesięcioletniej, która z ciemnej klitki w części recepcyjnej najprawdopodobniej zarządzała tym miejscem.

- Salsa? — zapytała z nadzieją Maggie.

Kobieta kiwnęła zdawkowo głową na znak, że ich obecność **została** zauważona.

Felipe y Corazón... alli — powiedziała i stanowczym **gestem** wskazała jedne z otwartych drzwi.

Sonia i Maggie weszły do **sali** jako pierwsze. Postawiły torby w kącie i zmieniły buty.

- Ciekawe, ile będzie **osób** — rzuciła Maggie, **zapinając sprzączkę**.

Jedną ścianę pokrywały lustra, wzdłuż przeciwległej biegł **drewniany** drządek. Było to surowe pomieszczenie z wysokimi **oknami**, które wychodziły na wąską uliczkę, i nawet gdyby nie **warstwa** brudu na szybach, do środka wpadałoby niewiele światła. Od drewnianej podłogi, wypolerowanej przez lata **użytkowania**, **bił** zapach pasty.

Sonii ogromnie spodobał się nieco stęchły zapach starości i zużycia, jakim emanowały ściany tej **sali**, **oraz** wypełnione kurzem, brudem i woskiem szpary między deskami podłogi. Zauważyła kłaczki kurzu zalegające między żeberkami wiekowych kaloryferów i srebrzyste pajęczyny kołyszące się lekko pod sufitem. W każdej warstwie kurzu siedziało dziesięć lat historii tego budynku.

Do **sali** weszła sześćoosobowa grupa. Byli to studenci z Norwegii (głównie dziewczęta) studiujący iberystykę na uniwersytecie. Po chwili dołączyło kilku dwudziestoparoletnich **mężczyzn**, miejscowych.

- To pewnie tak zwani **fordanserzy** — szepnęła Maggie do Sonii. — Czytałam w broszurze, jak to wynajmuje się ich, żeby wyrównać liczbę kobiet i mężczyzn.

W końcu pojawili się instruktorzy. Felipe i Corazón byli smukli jak nastolatki, ale zniszczona skóra zdradzała, że mieli dobrze po sześćdziesiątce. Kościstą twarz kobiety przecinały głębokie bruzdy, które wyżłobił w równych odstępach nie tylko upływ czasu, lecz również jej ekspresja i do przesady swobodne okazywanie emocji. Ilekroć się uśmiechała, śmiała albo krzywiła, cierpiała na tym jej skóra. Oboje mieli kruczoczarne włosy i byli ubrani na czarno, co jeszcze bardziej podkreślało szczupłość figur. Na tle białych ścian wyróżniali się jak sylwetki wycięte z czarnego papieru.

Dwanaście osób stało wyczekująco, w pewnej odległości od siebie, przodem do instruktorów.

— *Hola!* — powitali ich chórem nauczyciele, posyłając im szeroki uśmiech.

— *Hola!* — zawołała zgodnie cała gromadka, niczym klasa zdyscyplinowanych sześciolatków.

Felipe postawił przyniesiony odtwarzacz CD na podłodze i nacisnął „play”. Przestrzeń, w której przebywali, uległa transformacji. Radosny dźwięk trąbki we wstępie utworu przebił powietrze. Uczniowie zaczęli odruchowo naśladować ruchy Corazón. Słowa były zbędne, tak wyraziście pokazała, o co jej chodzi. Przez pewien czas wszyscy spokojnie się rozgrzewali: obracali ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach, napinali mięśnie stóp, rozciągali szyję i barki, kręcili biodrami, ani na chwilę nie odrywając wzroku od nauczycieli, zafascynowani ich ciałami smukłymi jak wrzeciona.

Felipe i Corazón, choć dorastali w kulturze flamenco, wyczuli, skąd wiał wiatr. Z nauczycielskiego punktu widzenia, wywodząca się z Kuby salsa była bardziej dochodowa i mogła podobać się widzom, których nie pociągała dramatyczna intensywność flamenco. Niektórzy ich rówieśnicy jeszcze występowali, lecz Felipe i Corazón zdali sobie sprawę, że w ten sposób nie zarobią na przyzwoite życie. Przyjęta strategia się sprawdziła. Doskonale opanowali salsę i stworzyli nowe układy choreograficzne, a ich kursy przyciągnęły zarówno wielu miesz-

kańców Grenady, jak i cudzoziemców. Lubili salsę; była płytsza, nie tak wyczerpująca emocjonalnie jak ich prawdziwa pasja, przypominała lekkie jerez w porównaniu z bogatą w smaku rioją.

Przez kilka lat chętni do nauki salsy napływali ciągłym strumieniem. Felipe i Corazón, ludzie starsi i doświadczeni, bez trudu stali się mistrzami. Po krótkim pokazie kroków mogli zatańczyć każdy taniec na świecie. Jak muzycy ze słuchem absolutnym, wysłuchawszy skomplikowanej melodii, potrafią ją powtórzyć nuta w nutę i potem zagrać z wariacjami, tak samo było z tą parą. Jednego dnia zobaczyli sekwencję kroków, u następnego już je opanowali, wystarczyło raz przyjrzeć się ruchom mężczyzny i kobiety.

Przyszła pora na pierwsze instrukcje. Najczęściej rozlegały się krzyki Corazón. Jej głos górował nad muzyką do salsy, nawet nad ostrymi dźwiękami trąbki jazzowej, która wybijała się ponad inne instrumenty.

— *Y un, dos, tres! Y un, dos, tres! I!* Klask! Klask! Klask! i! Klask! Klask! Klask! I...

Nie ustawała. Ciągłe powtórki, jedna za drugą, aż rytm miał prześladować uczniów, nawiedzać ich w snach. Każdy dobrze wykonany obrót był przyjmowany entuzjastycznie, okrzykiem zachęty.

— *Eso es!* Otóż to!

Gdy Felipe uważał, że pora przejść do następnego elementu, spróbować czegoś nowego, wołał:

— *Vale!* W porządku!

I zaraz następowała prezentacja kolejnego obrotu, nazywanego *vuelta*.

— *Estupendo!* — wołali nauczyciele, nie wstydząc się przesadnej pochwały.

Przed ćwiczeniem każdego nowego kroku kobiety przechodziły do innego partnera, tak że po pierwszej połowie zajęć tańczyły ze wszystkimi fordanserami po kolei. Choć żaden z tych młodych mężczyzn nie znał angielskiego, wszyscy biegle posługiwali się językiem tańca.

— Coś wspaniałego! — powiedziała Maggie, mijając Sonię na parkiecie.

Możliwe, że jej prawdziweja objawia się w tańcu, pomyślała Sonia. Maggie niewątpliwie wyglądała na zadowoloną, gdy mężczyzna pociągał ją to w jedną, to w drugą stronę, a ona ocierała się o jego ciało przy przejściu, przejeżdżając mu ręką po karku zgodnie z jego precyzyjnymi wskazówkami. Nonszalanckie machnięcie ręką wystarczyło, by wiedziała, że ma wykonać obrót. Odpowiadała na taki gest w takt i bez wahania. Sonia patrzyła, jak nauczyciele wybierają jej przyjaciółkę, by zademonstrować skomplikowaną sekwencję kroków, i dziwiła się, że tak bardzo pociąga ją taniec, w którym całkowicie dominuje mężczyzna. Ta zagorzała feministka, kobieta lubiąca rządzić, była szczęśliwa, gdy partner wywijał nią w tańcu.

Gdy nauczyciele chwalili Maggie, jej twarz przybierała na chwilę wyraz, jaki Sonia pamiętała z czasów szkolnych — lekkiego zdziwienia, któremu towarzyszył szeroki, promienny uśmiech zadowolenia.

W przerwie wniesiono wielkie dzbany wody z lodem i plastikowe kubki. Na sali zrobiło się duszno, więc wszyscy pili łąpczywie. Słysząc było strzępy uprzejmych i sztywnych rozmów, które prowadzili ludzie różnych narodowości.

Gdy ugasili pragnienie, Angielki wyszły do toalety. Sonia zwróciła uwagę na mnogość graffiti, przede wszystkim kilkanaście inicjałów głęboko wrytych w starym drewnie. Niektóre rysy niemal się zatarły z upływem czasu, inne były świeże, niedawno wyżłobione i miały cielisty kolor. Jedne inicjały, wyjątkowo ozdobne, przywiodły jej na myśl snycerstwo kościelne, dzieło sztuki. Takie głębokie nacięcia w litych drzwiach niewątpliwie odzwierciedlały trudy miłości. Osoba, który podjęła ten wysiłek, chciała dać wyraz nie przelotnej namiętności, lecz prawdziwego, nieprzemijającego oddania. „J — M”. Taki przejaw uczucia zniknie z tych masywnych drzwi dopiero wtedy, gdy zostaną zdjęte z zawiasów i przeznaczone na opał.

Ruszyły z powrotem do sali. Zatrzymały się na korytarzu, gdzie niemal zachodząc jeden na drugi, wisiały oprawione afisze, wśród nich plakat przedstawiający Felipe i Corazón. Był zapewne z połowy lat siedemdziesiątych, sądząc po kroju czcionki. Reklamował spektakl flamenco.

— Maggie, popatrz, to nasi nauczyciele!

— Boże, rzeczywiście! Czas jest okrutny!

— Aż tak się nie zmienili — zaprzeczyła Sonia, stając w ich obronie. — Zachowali dawne sylwetki.

— Ale te kurze łapki... wtedy jeszcze ich nie miała — zauważyła Maggie. — Myślisz, że zatańczą dla nas flamenco? Może nauczą nas tupania? Zagrają na kastanietach?

Nie czekała na odpowiedź. Natychmiast weszła do sali i żywo gestykulując, przedstawiła swoją prośbę nauczycielom.

Sonia obserwowała ją, stojąc w drzwiach.

W końcu Felipe sklecił parę zdań po angielsku.

— Flamenco nie można się nauczyć — powiedział gardłowo. — Trzeba mieć je we krwi i na dodatek być Cyganem. Ale jeśli chcesz, spróbuj. Zrobię dla ciebie mały pokaz, nim się rozejdziemy.

To stwierdzenie miało stanowić wyzwanie.

Przez następną godzinę uczniowie ćwiczyli kroki demonstrowane przed przerwą i na kwadrans przed końcem zajęć Felipe klasnął w dłonie.

— A teraz flamenco — powiedział.

Dumnym krokiem podszedł do odtwarzacza CD, szybko przerzucił zbiór płyt i ostrożnie wyjął tę, której szukał. W tym czasie Corazón zmieniała w kącie buty na te podbite stalowymi gwoździami o stabilnych obcasach.

Uczniowie stanęli z boku, czekając w milczeniu. Usłyszeli uderzenia dłoni o dłonie i niskie dźwięki bębnów. Muzyka była mroczna, zupełnie inna niż beztraska salsa.

Corazón wyszła energicznym krokiem przed gromadkę widzów. Wyglądało to tak, jakby już nie pamiętała o ich obecności. Gdy rozległy się dźwięki gitary, tancerka uniosła najpierw

jedną rękę, potem drugą, rozkładając przygięte palce w kształt wachlarzowatego liścia palmy. Przez ponad pięć minut wystukiwała skomplikowaną sekwencję pięta — palce, pięta — palce, coraz szybciej, aż gromkie rozwibrowanie nagle urwało się z ostatnim, zdecydowanym „łup” twardego buta o deski podłogi. Ten taniec był zarazem mistrzowskim popisem siły i zapierających dech umiejętności technicznych, tym bardziej imponujących ze względu na wiek tancerki.

Wraz z końcowym tupnięciem, idealnie w rytmie, popłynął z głośników lament i w jakiś niesamowity sposób osnuł wszystkich na sali. Męski głos był zachrypły, miał surowe, gardłowe brzmienie, wyrażał ból, który zaledwie kilka minut wcześniej malował się na twarzy Corazón.

Zanim znieruchomiała, dołączył do niej Felipe i przez chwilę naśladował ruchy żony, pokazując widzom, że ten taniec to nie czysta improwizacja, lecz dobrze wyćwiczony układ choreograficzny. Potem zajął miejsce żony na środku sali. Przez chwilę stał w pozie, wąski w biodrach, o szczupłych plecach wygiętych w łuk jak litera „C”, a potem zaczął robić obroty, waląc nogami w podłogę. Stukot metalu o drewno odbijał się od lustrzanej ściany. Ruchy Felipe były jeszcze bardziej zmysłowe niż jego żony i z pewnością bardziej kokietyjne. Wyglądało to tak, jakby flirtował z uczniami; przesuwał dłońmi w górę i w dół po ciele, kołysał biodrami raz w jedną, raz w drugą stronę. Sonia patrzyła z zapartym tchem.

Jakby chciał prześcignąć żonę, wykonywał jeszcze bardziej skomplikowane sekwencje kroków, w jakiś cudowny sposób kończone raz za razem w tym samym miejscu; walenie butami zagłuszało muzykę. Popis był nasycony niezwykłą namiętnością, która nie wiadomo skąd się brała.

Poza zamykająca taniec — oczy wzniesione w górę, jedna ręka zapleciona wokół szyi, druga na przodzie w poprzek ciała — wyrażała czystą arogancję. Z tyłu rozległ się przyciszony głos: „Ole!”. — Należał do Corazón; nawet ją wzruszył ten pokaz, pełne zatopienie się w działaniu. Zapadła cisza.

Po chwili Maggie zaczęła entuzjastycznie klaskać. Pozostali uczniowie też bili brawo, lecz z mniejszym zapalem.

Na twarzy Felipe pojawił się uśmiech, znikła cała arogancja. Corazón stanęła przed uczniami i rzuciła im wyzwanie:

- Flamenco? Jutro? Chcecie? — zapytała, pokazując po-
zółkle zęby.

Kilka Norweżek, nieco zażenowanych tak jawną manifestacją
emocji, zaczęło gawędzić ze sobą, a fordanserzy już spoglądali
na zegarki, sprawdzając, czy czas pracy dobiega końca. Nie
zamierzali pracować w nadgodzinach.

- Tak, ja chcę — odezwała się Maggie.

Sonia poczuła się nieswojo. Flamenco ogromnie różniło się
od salsy. Z tego, co zobaczyła w ostatnich dwunastu godzinach,
wynikało, że flamenco jest nie tylko tańcem, lecz stanem
uczuciowym. Salsa była niefrasobliwa, stanowiła formę ucieczki
przed emocjami, a poza tym to dla niej tu przyjechały.

Wszyscy uczniowie zdążyli się już rozejść. Sonia potrzebo-
wała odetchnąć świeżym powietrzem.

- *Adiós* — powiedziała Corazón, pakując swoje rzeczy do
torby. — *Hasta luego*.

Rozdział 4

Była godzina pierwsza. Najbliższa okolica szkoły tańca nie wyglądała okazale. Na zwyczajnej bocznej uliczce, gdzie znalazły się przyjaciółki, mieścił się skład z częściami samochodowymi i punkt dorabiania kluczy, poza tym niewiele więcej. Gdy doszły do końca ciemnego zaułka i skręciły na główną ulicę, atmosfera uległa zmianie, oślepiło je jaskrawe słońce, ogłuszyła obłędna kakofonia dźwięków na zapchanych w porze lunchu jezdniach, gdzie codziennie powstawały korki.

W barach i kawiarniach tłoczyli się robotnicy budowlani i studenci, ludzie, którzy mieszkali zbyt daleko za miastem, żeby wracać do domu na sjęstę. Wszystkie sklepy — warzywnicze, papiernicze i niezliczone zakłady fryzjerskie — znowu były zamknięte na cztery spusty po zaledwie kilkugodzinnej działalności od czasu, gdy Sonia i Maggie ostatnio tędy przechodziły. Zewnętrzne metalowe żaluzje miały podnieść się nie wcześniej niż po czwartej.

— Zajrzyjmy tu — zaproponowała Maggie, zatrzymując się przy barze La Castilla, drugim, obok którego przechodziły.

Wewnątrz znajdowała się długa lada pokryta blachą ze stali nierdzewnej i kilkanaście stolików pod ścianą. Tylko jeden był wolny i Angielki szybko przy nim usiadły.

Intensywne wonie — piwa, szynki, niewybieranego popiołu,

lekką kwaśny zapach koziego sera, zapach sardeli i przenikający je wszystkie aromaty świeżo zmielonej kawy — tworzyły mieszankę charakterystyczną dla kawiarnianego życia w Hiszpanii. Przy barze siedzieli rzędem robotnicy fizyczni, ubrani jednako w niebieskie kombinezony, głusi na wszystko i skupieni tylko na stojących przed nimi talerzach. Tacy byli głodni. Niemal jednocześnie odłożyli widelce, sięgnęli po paczki mocnych papierosów i trzymając je w niezgrabnych rękach, palili w chmurach dymu. Przez ten czas właściciel wyprodukował kilkanaście czarnych kaw i ustawił je rzędem na blacie. Dla tych ludzi był to powtarzany codziennie rytuał.

W końcu szef zwrócił uwagę na nowo przybyłe.

- *Señoras* — odezwał się, podchodząc do ich stolika.

Sonia i Maggie wybrały dania z tablicy wiszącej za barem: ogromne, chrupiące *bocadillos* przełożone sardynkami. Sonia patrzyła, jak właściciel baru robi kanapki. W jednej ręce trzymał nóż, w drugiej — papierosa. Dokonywał imponujących sztuk ekwilibrystycznych: chochelką nabierał z miski rozgniecione pomidory i rozsmarowywał na kawałku pieczywa, potem wyławiał sardynki z puszkę wielkości wiadra, a przez cały czas miarowo pociągał papierosa Corona. Choć procedura może i wyglądała niekonwencjonalnie, rezultat wcale nie rozczarowywał.

- Jak ci się podobały zajęcia? — spytała Sonia między jednym a drugim kęsem.

- Nauczyciele są wspaniali. Uwielbiam ich — odrzekła Maggie.

- Czują smak życia, prawda?

Musiła podnieść głos, żeby przebić się ponad brzęk monet wypadających z jednorękiego bandyty stojącego opodal ich stolika. Podczas lunchu przez cały czas słyszały nieustanny stukot automatu do gry i teraz jeden z gości wrzucił do kieszeni **garść** monet, po czym odszedł, pogwizdując z zadowoleniem.

Sonia i Maggie jadły łączywie, smakowało im mało wyrażone połączenie zimnego piwa z tłustą rybą, podobały się

mocne zapachy harmonizujące z prostotą tego lokalu. Patrzyły, jak robotnicy wychodzą z baru, zostawiając po sobie obłoki dymu i mnóstwo małych papierowych serwetek, zmiętych i rzuconych na podłogę wyglądającą jak dywan śniegu.

— Jak myślisz, co sądziłby o tym James? — odezwała się Maggie.

— Słucham? Co myślałby o tym barze? Uważałby, że jest bardzo brudny, prymitywny.

— Miałam na myśli kurs tańca.

— Wiesz, co by powiedział. Że to są bezsensowne zachcianki — rzekła Sonia.

— Nie rozumiem, jak ty go znosisz.

Maggie zawsze szła na całego. Słyszając tak otwarcie wyrażoną niechęć do swego męża, Sonia o mało nie stanęła w jego obronie, ale właściwie nie miała ochoty myśleć o nim tego dnia i szybko zmieniła temat rozmowy.

— Natomiast mój ojciec uwielbiał tańczyć. Dowiedziałam się o tym zaledwie przed kilkoma tygodniami.

— Naprawdę? Nie przypominam sobie nic takiego z tamtych czasów.

— Wtedy nie było już o tym mowy, z powodu choroby mamy.

— No rzeczywiście — bąknęła trochę zmieszana Maggie. — Zapomniałam.

— Gdy widziałam się z nim ostatnio — ciągnęła Sonia — entuzjazm, z jakim przyjmował moje opowieści o lekcjach salsy, prawie równoważył cynizm Jamesa.

Sonia zazwyczaj odwiedzała swego starego ojca w dniu, gdy James grał w golfa. Była to świetna okazja, zważywszy, że panowie mieli sobie niewiele do powiedzenia. W przeciwieństwie do rodziców Jamesa, u których odwiedziny wiązały się z trzygodzinną podróżą z Londynu, zabieraniem zielonych kaloszy i czasami strojów wieczorowych oraz z obowiązkowym noclegiem, ojciec Sonii mieszkał w odległości zaledwie pół godziny jazdy samochodem, na dalekich peryferiach Croydon.

Z niezmiennymi wyrzutami sumienia Sonia przyciskała guzik jego domofonu, jeden z dwudziestu przy wejściu do nijakiego bloku mieszkalnego z lat pięćdziesiątych. Przy każdej kolejnej wizycie miała wrażenie, że czeka coraz dłużej, aż rozlegnie się brzęczyk i otworzą się główne drzwi prowadzące na jasnozieloną klatkę schodową z gołą posadzką. Potem, czując zapach środków dezynfekujących, szła na drugie piętro, gdzie Jack Haynes stał już na progu mieszkania, by powitać jedynaczkę.

Sonia przypomniała sobie te ostatnie odwiedziny i okrąglą twarz siedemdziesięcioośmiolatka, która pokryła się zmarszczkami uśmiechu na jej widok. Objęła ramionami korpulentną sylwetkę, a następnie pocałowała czubek głowy pokrytej plamami wątrobowymi, starając się nie zwichrzyć nielicznych pasemek srebrnych włosów zaczesanych pieczołowicie na łysinę.

„Sonia! Jak to miło cię widzieć” — powiedział serdecznie.

„Cześć, tato”. Przytuliła go jeszcze mocniej.

Taca z filiżankami na spodeczkach, z mlekiem w dzbanuszku I z herbatnikami Rich Tea na talerzu już stała na niskim stoliku w salonie. Jack uparł się, żeby Sonia usiadła, a sam poszedł do kuchni po imbryk. Gdy niósł go do salonu, pokrywka głośno brzdąkała, a z dziobka wylało się na dywanik trochę jasnego płynu. Sonia wiedziała jednak, że nie należy proponować ojcu pomocy. Taki właśnie rytuał pozwalał przeżywać starość z godnością.

Gdy ojciec nalewał przez sitko herbatę do filiżanek, Sonia zaczęła zadawać zwyczajowe pytania.

„No i jak... ”.

Przerwał jej łoskot pociągu, który przejeżdżał ledwie kilka metrów za tylną ścianą budynku i spowodował takie drgania, że mały kaktus spadł z parapetu na podłogę.

„A niech to! — powiedział starszek, dźwigając się z trudem. - Nie ulega wątpliwości, że te pociągi jeżdżą teraz coraz częściej”.

Gdy znalazła się szczotka i szufelka i gdy rozsypany żwir,

sucha ziemia i kolczaste odnogi kaktusa zostały zebrane i wciśnięte do plastikowej doniczki, można było podjąć rozmowę. Rozmawiali o tych samym sprawach co zawsze: czym zajmował się Jack przez parę ostatnich tygodni, co zalecił mu lekarz na artretyzm, ile czasu trzeba będzie czekać na wstawienie endoprotezy biodra, jak udała się niedawna wycieczka do Hampton Court w towarzystwie ludzi przychodzących do ośrodka opieki dziennej i jak przebiegł pogrzeb starego znajomego, z którym Jack odbywał obowiązkową służbę wojskową. To ostatnie wydarzenie było chyba główną atrakcją miesiąca, albowiem konsolacje wyprawiane w domach ludowych w różnych częściach kraju dawały doskonałą sposobność tym, którzy przeżyli, do spotkania się na kilka godzin wspomnień i do zjedzenia wystawnego podwieczorku.

Sonia przyglądała się ojcu, słuchając jego pogodnych opowieści. Siedział w elektronicznie sterowanym fotelu, który razem z Jamesem podarowała mu na siedemdziesiąte piąte urodziny, i chyba wiódł tu wygodne życie, choć nie pasował do otoczenia przypominającego charakterem poczekalnię dworcową. Wszystko w tym mieszkaniu wyglądało prowizorycznie prócz osobliwych edwardiańskich mebli, z którymi nie chciał się rozstać po wyprowadzce z poprzedniego domu. Te mahoniowe sprzęty, ciemne i masywne, łączyły go z jego ostatnim domem, gdzie mieszkał z mamą Sonii. Mimo że były kompletnie niepraktyczne — kredens zawłaszczył dużą część salonu, szeroka sekretera zasłaniała pół okna i tak mrocznej sypialni — nie rozstałby się ani z nimi, ani z gąszczem zielistek zajmujących pokryte kurzem powierzchnie mebli.

Gdy ojciec zrelacjonował pokrótce najważniejsze zdarzenia w swoim życiu w ciągu ostatnich kilku tygodni, przyszła kolej na Sonię. Zawsze sprawiała jej to trudność. Machinacje w świecie PR-u były nie do pojęcia dla człowieka, który przez całe życie uczył w szkole, więc Sonia jak najmniej mówiła o tym, czym się zajmuje, i starała się zasugerować, że jest zatrudniona w branży reklamowej, o której ktoś z zewnątrz miał większe

wyobrażenie. Jej życie towarzyskie również było ojcu kompletnie obce. Podczas tej ostatniej wizyty opowiedziała mu jednak, że zaczęła chodzić na kurs tańca, a on zareagował z zaskakującym entuzjazmem.

„A konkretnie jakich tańców się uczysz? Kto prowadzi zajęcia? Jakich używasz butów?” — wypytywał.

Sonia wyraziła zdziwienie, że ojciec tyle wie na ten temat.

„Gdy zalecałem się do twojej mamy, a także w pierwszych latach po ślubie, dużo tańczyliśmy — odrzekł. — W latach pięćdziesiątych to była powszechna rozrywka. Jakby wszyscy świętowali koniec wojny”.

„Jak często chodziliście na tańce?”.

„Przynajmniej dwa razy w tygodniu. Co sobotę i zazwyczaj jeszcze w jeden albo dwa wieczory”.

Uśmiechnął się do córki. Ogromnie się cieszył, gdy go odwiedzała, i wiedział, że w nawale zajęć z trudem znajduje czas na te wizyty. Zwracał jednak uwagę na to, by nie rozgadywać się o przeszłości. Dzieci nudzi wysłuchiwanie opowieści rodziców o dawnych czasach, zawsze sobie powtarzał.

„Jak to się mówi, najlepsze w życiu rzeczy nic nie kosztują, prawda?” — dodał, obdarzając ją uśmiechem i mając nadzieję, że ona nadal to wie, nawet jeśli mieszka w pięknym domu i jeździ drogim samochodem.

Sonia kiwnęła głową.

„Wprost nie mogę uwierzyć, że nic o tym nie wiedziałam”.

„Zrezygnowaliśmy wkrótce po twoich narodzinach”.

Myślała zdumiona, że w ogóle nie знаła tej strony życia rodziców, choć miała piętnaście lat, gdy umarła mama. Jak większość dzieci nie zastanawiała się zbyt nad tym, co oni robili, zanim przyszła na świat, i nic nie rozbudziło jej ciekawości.

„Nie pamiętasz, ile czasu sama poświęcałaś na tańczenie w dzieciństwie? — zawołał. — Chodziłaś na lekcje w każdą sobotę po południu. Popatrz!”.

Jack wygrzebał z sekretery plik fotografii. Na wierzchu leżało zdjęcie Sonii, która stała przy kominku w domu rodzin-

nym, blada i zawstydzona, w białej spódniczce baletowej ozdobionej wstążkami. Bardziej interesowały ją pozostałe zdjęcia przedstawiające rodziców na różnych imprezach tanecznych. Na jednym znajdowali się oboje: ojciec wyglądał podobnie jak teraz, tylko jego bardzo jasne włosy jeszcze się nie przerzedziły, mama zaś była prostą jak struna, elegancka, czarne włosy miała gładko zaczesane do tyłu i zebrane w ciasny kok. Trzymali w rękach trofeum. Na odwrocie fotografii widniał napis ołówkiem: „1953, tango, pierwsze miejsce”. Większość zdjęć była zrobiona podczas konkursów.

Sonia wzięła do ręki dwa zdjęcia.

„To naprawdę mama?”.

Zachowała wspomnienie siwej, słabowitej kobiety, która nie opuszczała domu. Na zdjęciach mama była pełna życia, silna i — co najbardziej przykuło uwagę Sonii — wyprostowana. Trudno było skorygować obraz, który tak długo pozostawał w pamięci.

„W tamtych czasach tańczyło się jak należy — powiedział Jack. — Uczono nas kroków i tańczyliśmy w parach, nie tak jak dzisiaj”.

Na widok tych fotografii w Jacku obudziły się silne emocje i gdy w milczeniu przyglądał się swemu wizerunkowi, powróciły wspomnienia, jak to on i Mary nie zawsze trzymali się reguł podczas występów. W tańcu panuje zasada, że mężczyzna prowadzi, ale oni nie zawsze jej przestrzegali. Przy całej subtelności ich ruchów, czy to w tangu, w rumbie, czy w paso dobre, Jack zawsze wiedział, kiedy Mary chce, by ją prowadził — dawała mu znak, ściskając go lekko za ramię. To ona w pełni panowała nad ich ruchami. Inaczej być nie mogło, ponieważ tańczyła od dnia, gdy nauczyła się chodzić, aż do czasu, gdy nogi zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa.

Jack znalazł jeszcze jedną kopertę pełną zdjęć. Każde przedstawiało jego z żoną w sztywnych pozach, a na odwrocie była data i nazwa tańca, za który otrzymali nagrodę.

„Co się stało z tymi cudnymi sukniemi?”. Sonia nie mogła się powstrzymać, by nie zadać tego pytania.

„Niestety, zostały oddane do sklepu charytatywnego, gdy przestała tańczyć. Mary nie mogła znieść widoku tych strojów w szafie”.

Choć Sonia ze zdumieniem przyjęła wiadomość o tej ważnej, a dotychczas jej nieznannej części życia swego ojca, nie musiała pytać, dlaczego rodzice porzucili taniec i dlaczego w ogóle o tym nie rozmawiali. Mama, będąc w ciąży, zachorowała na stwardnienie rozsiane i niedługo potem zaczęła się poruszać na wózku inwalidzkim.

Sonia chętnie zostałaaby tu do wieczora i wydobyła od ojca więcej informacji, ale wyczuwała, że i tak chyba padło z jej strony o jedno pytanie za dużo. Jack już włożył zdjęcia z powrotem do koperty.

Tylko jedna fotografia zawieruszyła się i nadal leżała spodem do góry na niskim stoliku. Sonia odwróciła ją, zanim podała ojcu. Zobaczyła gromadkę dzieci w rozpinanych sweterkach zrobionych na drutach. Dwoje siedziało na beczce, a dwóch chłopców opierało się o nią. Miały na twarzach oficjalne uśmiechy. Stoliki w tle wskazywały, że zdjęcie zrobiono przed kawiarnią, z kolei bruk na ulicy pozwalał sądzić, że znajdowała się gdzieś w Europie, ale nie w Wielkiej Brytanii.

„Co to za dzieci?” — spytała Sonia.

„Krewni twojej mamy” — wyjaśnił powściągliwie Jack.

Sonia musiała już iść. Objęli się na pożegnanie.

„Do zobaczenia, kochanie. Miło było cię widzieć — powiedział z uśmiechem Jack. — Niech taniec sprawi ci dużo przyjemności”.

Gdy wracała do domu tego popołudnia, w jej głowie przeżywały się obrazy rodziców sunących po parkiecie. Być może wiedza o ich zamiłowaniu do tańca pozwalała zrozumieć, dlaczego już nie umiała wyobrazić sobie życia bez lekcji salsy.

* * *

Przez kilka minut Sonia przeżuwała w milczeniu lunch, siedząc w barze w Grenadzie, przy stoliku zasłanym okruszkami pieczywa z pastą pomidorową. Gdy podniosła głowę, jej wzrok

padł na szereg tanich reprodukcji obrazów olejnych przedstawiających kobiety w długich sukniach z sutymi falbanami. Były to banalne hiszpańskie motywy, ale każda restauracja i kawiarnia w mieście powieliała ten szablon.

— Naprawdę chcesz uczyć się od nich flamenco? — zapytała Sonia.

— Tak.

— Nie sądzisz, że to będzie trudne?

— Chodź mi o same podstawy — wyjaśniła pewnym tonem Maggie.

— A wiadomo, co to takiego?

Sonia uważała, że we flamenco nie ma czegoś takiego jak „podstawy”. Przecież to cała osobna kultura. Lekko zirytowała się, widząc, że Maggie nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Dlaczego jesteś tak źle nastawiona? — burknęła Maggie.

— Wcale nie jestem. Tylko zastanawiam się, czy to nie wygląda tak samo jak w wypadku Angola, który przyjeżdża tu z tanią wycieczką z biura podróży i pyta, czy mógłby nauczyć się walczyć z bykami. Po prostu nie wydaje mi się to możliwe.

— W porządku, twoja sprawa. Ale to nie znaczy, że ja nie mogę spróbować, prawda?

Rzadko kiedy przyjaciółki nie potrafiły się dogadać i wówczas obie przyjmowały tę sytuację z zaskoczeniem. Sonia nie wiedziała, dlaczego tak ją drażni postawa Maggie i jej założenie, iż zdoła przeniknąć zewnętrzną warstwę tej kultury, lecz widziała w tym brak szacunku.

Dokończyły posiłek w milczeniu, które w końcu przerwała Maggie.

— Kawa? — zapytała, chcąc oczyścić atmosferę.

— *Con leche* — uśmiechnęła się Sonia.

Nie potrafiły zbyt długo boczyć się na siebie.

W blasku słabnącego popołudniowego słońca, które przybierało kolor ochry, Sonia i Maggie wracały do hotelu. Na ulicach panował teraz martwy spokój, ruch ustał, sklepy nadal

były zamknięte. Przyjaciółki zamierzały wziąć przykład z Hiszpanów i spędzić kilka godzin sjesty w łózkach. Sonia mało spała minionej nocy i zaczynała odczuwać zmęczenie.

Choć zasłonki zatrzymywały ledwie odrobinę światła, nic przeszkodziło jej zapaść w głęboki sen. W normalnych warunkach klaksony samochodów, wycie syren policyjnych i trzask drzwi na korytarzu z pewnością by ją obudziły, ale teraz przez kilka godzin znajdowała się w stanie błogiej nieświadomości.

Gdy ocknęły się ze snu, nastał już zmierzch i słońce nie wpadało do pokoju. Zwyczaj udawania się na sjestę **miał** tę zasadniczą wadę, że wstawało się z łóżka przy gasnącym **świele**, gdy ciało i rozum mówiły, że pora się kłaść.

Tymrazem Sonia z niechęcią myślała o wstawaniu, natomiast Maggie zerwała się z pościeli.

- Rusz się, Sonia, wychodzimy!

- Jak to? Dokąd?

Sonia miała zapuchnięte oczy i mętlik w głowie, na wpół przytomna i zdezorientowana usiłowała przypomnieć sobie, **gdzie** się znajduje.

- A po co tu przyjechałyśmy? Idziemy na tańce!

- Na tańce? Hm...

Wciąż była ociężała, nie zaspokoiwszy w pełni potrzeby snu. Dokuczał jej ból głowy. Słyszała, że Maggie bierze prysznic, śpiewa, pogwizduje, nuci pod nosem; *joie de vivre* przyjaciółki niemal rozsadzała łazienkę. Tego wieczoru Sonia nie czuła się na siłach, żeby tańczyć.

Maggie wróciła do pokoju, zawinawszy jeden ręcznik na głowie jak turban, drugi ciasno wokół piersi; nagie ramiona o ciemnej karnacji odcinały się od bieli. Przyglądając się przyjaciółce, Sonia stwierdziła, że jest w niej coś majestatycznego, nawet posągowego. Maggie nadal nuciła sobie, wkładając dzinsy i białą koszulę z żabotem, zapinając szeroki skórzany pasek. Miała zarumienioną twarz po ciepłym prysznicu i kilku godzinach słońca, którym cieszyły się w ciągu dnia. Wyglądała

tak, jakby błędziła gdzieś myślami i zupełnie zapomniała o obecności Sonii.

— Maggie?

Odwrociła się i usiadła w nogach łóżka przyjaciółki, próbując założyć koleczki w kształcie kół.

— Słucham? — Maggie przechyliła na bok głowę.

— Będziesz się gniewać, jeśli dzisiaj nie wyjdę do miasta?

— Skądże! Tylko szkoda. Przecież wybrałyśmy się tu na tańce...

— Rzeczywiście, ale jestem zupełnie wypompowana. Jutro pójdziemy razem, masz moje słowo.

Maggie dalej szykowała się do wyjścia: spryskała się perfumami, obrysowała atramentową czernią oczy i podkreśliła tuszem długie rzęsy.

— Dasz sobie radę sama? — zapytała z troską Sonia.

— Co takiego złego może mi się przydarzyć? — zaśmiała się Maggie. — Tu nie ma ludzi wyższych ode mnie. W razie potrzeby zawsze zdołam uciec.

Sonia wiedziała, że Maggie mówi to z przekonaniem i że dorówna każdemu. Nie musiała ani przez chwilę martwić się o jej bezpieczeństwo. Wśród swoich znajomych nie miała drugiej równie niezależnej kobiety.

Sonia zapadła w drzemkę. O wpół do dziesiątej Maggie była gotowa do wyjścia.

— Zjem coś po drodze. Na pewno nie chcesz iść ze mną?

— Wolę zostać i porządnie się wyspać. Do jutra.

Drugą noc Sonia cieszyła się spokojem, leżąc najednoosobowym łóżku. Choć hałasy uliczne niosły się w górę, w pokoju panowała cudowna cisza. Sonia z przyjemnością myślała o tym, że będzie tu sama, że nikt nie zepsuje jej pogodnego nastroju.

Zupełnie inaczej czuła się wieczorami, gdy kładła się wcześniej do łóżka, zmęczona po długim dniu pracy, i leżała spięta, zastanawiając się, kiedy James wróci do domu. Raz, może dwa razy w tygodniu przychodził na chwiejnych nogach o trzeciej czy czwartej nad ranem i zatrząskiwiał drzwiami tak zamaszyście,

że dzwoniły witrażowe szybki. Potem włożył na górę i zwał się w ubraniu na łóżko, a z jego ust wydobywały się cuchnące wyziewy po wieczornych libacjach. To nie seks — szybki, ostry i łatwo wymazywany z pamięci — do którego czasem dochodziło, gdy był w takim stanie, budził w niej największą odrazę. Zbierało jej się na wymioty, gdy czuła kwaśny odór stęchłego alkoholu. Nic innego na świecie nie przejmowało jej takim wstrętem i dlatego odsuwała się od zwałistej, ciemnej postaci, która leżała obok niej w mrocznej sypialni i zakłócała ciszę chrapaniem. Następnego dnia żadne z nich nie napomykało o tym ani słowem. James wstawał o szóstej rano nawet bez śladu kaca, brał prysznic, wkładał urzędowy uniform i wychodził do pracy dokładnie o tej samej porze jak każdego Innego dnia. Jakby nie zdawał sobie sprawy, że wydarzyło się coś niecodziennego. I nikt inny też o tym nie wiedział. W albumie ze zdjęciami z ich lat małżeńskich stanowili idealną parę. Taka była wersja oficjalna.

Leżąc w półmroku, Sonia poczuła skurcz żołądka na myśl o obrzydzeniu, jakim ją to wszystko napawało. Przewróciła się na bok i dotknęła chłodnej, mokrej od łez poduszki. A chciała mieć spokojną noc, nadrobić brak snu. Nie została w hotelu, żeby dręczyć się wspomnieniami o tym, co ułożyło się niepo-myślnie. Od czasu do czasu budziła się z niespokojnego snu i stwierdzała, że łóżko Maggie nadal jest puste.

O trzeciej nad ranem, właśnie gdy znowu przysnęła, obudził ją chrzęst klucza w zamku.

- Nie śpisz? — szepnęła Maggie.
- Nie — mruknęła.

Hałas, jakiego narobiła Maggie po wejściu niepewnym krokiem do pokoju, wyrwałby ją nawet z głębokiego snu.

- Miałam fantastyczny wieczór — powiedziała z entuzjazmem Maggie, zapalając górne światło nieświadoma nastroju przyjaciółki.

- Świetnie — odrzekła Sonia ze źle skrywanym rozdrażnieniem.

— Nie złość się. Trzeba było iść ze mną!

— To prawda. Sama nie wiem, dlaczego nie poszłam. Nawet się nie wyspałam.

— Po prostu boisz się wyluzować — oświadczyła Maggie i jakby dla przykładu ściągnęła gumkę z upiętych do góry włosów i rozpuściła gęste loki na ramiona. — Ponieważ spędzimy tu tylko parę wieczorów, powinnaś się zabawić. Dlaczego, u licha, zostałam w hotelu?

— Ze stu powodów. Po pierwsze, nie tańczę dość dobrze.

— Bzdura! — prychnęła Maggie. — A nawet jeśli rzeczywiście tak jest, wkrótce będziesz świetna.

Po tym kategorycznym stwierdzeniu zgasiła światło i naga padła na łóżko.

Rozdział 5

Mimo przerywanego snu i niewyspania Sonia wstała wczesnym rankiem. Chciała wyjść na dwór, bo od zaduchu w pokoju rozboleła ją głowa. Poza tym była głodna.

Biorąc pod uwagę to, że lekcja tańca zaczynała się dopiero po południu, a Maggie na pewno będzie nieprzytomna jeszcze przez jakiś czas, Sonia szybko się ubrała, napisała przyjaciółce kilka słów wyjaśnienia i cicho wymknęła się z pokoju.

Po wyjściu z hotelu skręciła w prawo i doszła do głównej arterii, która stanowiła kręgosłup centralnej dzielnicy. Wkrótce zorientowała się, że w Grenadzie nie można zablądzić — tak prosta była topografia tego małego miasta. Na południu, w oddali, wyrastała wysoka ściana gór; ulice biegnące na wschód pięły się ku Alhambrze; natomiast te, które biegły na zachód, opadały ku równinie. Nawet gdyby Sonia weszła w labirynt wąskich zaułków wijących się wokół katedry, widok tej monumentalnej budowli, stopień nachylenia ulicy albo przelotne spojrzenie na góry podpowiedziałyby jej, gdzie skręcić. Bezcelowe włóczenie się takimi uliczkami dawało poczucie swobody. Można było zapuścić się w tę część miasta bez strachu przed zgubieniem drogi.

Skrećwszy kilka razy to w lewo, to w prawo, Sonia niezmienne wychodziła na kolejny plac. Na wielu z nich stały

okazałe, bogato zdobione fontanny, a na wszystkich znajdowały się kawiarnie i w każdej garstka gości. W jednym miejscu, na zdrzewionej otwartej przestrzeni, cztery sklepy oferowały turystom niemal identyczny zestaw pamiątek: wachlarze, lalki ubrane w stroje tancerzy flamenco i popielniczki ozdobione wizerunkami byków. Przed innym sklepem stał las obrotowych stojaków z pocztówkami. Można było odnieść wrażenie, że Hiszpania objawia się pod milionem postaci i każda znajduje nabywców. Sonia dokonała szybkiego wyboru i kupiła kartkę z typowym wizerunkiem tancerki flamenco.

Po godzinnej przechadzce odzyskała jasność umysłu. Znalazła się na placu Bib Rambla, pełnym straganów z kwiatami, które dodawały mu barw w ten dość blady lutowy dzień. Było wpół do dziesiątej. Choć panowała tu cisza i spokój, jak to w mieście poza sezonem, przybywało przechodniów. Sonia minęła dwóch Skandynawów z wypchanymi plecakami, optymistycznie ubranych w szorty i wywołujących dreszcze i lekki śmiech, oraz grupę studentów ze Wschodniego Wybrzeża zwiedzających miasto z amerykańskim przewodnikiem, którego głos niósł się po spokojnym placu. Spośród kilku kawiarni do wyboru jedna pociągała ją szczególnie. Na stolikach zaczynały kłaść się promienie słońca, które wędrowały po dachach domów i z wolna przenikały do tej części miasta, a na zewnątrz stała beczka z bujnymi pelargoniami, które przetrwały chłodną zimę i przewieszały się przez obrzeże.

Sonia podeszła zdecydowanym krokiem do najbardziej nasłonecznionego stolika, usiadła, napisała parę słów na pocztówce do ojca, po czym zabrała się do czytania przewodnika, z którego wynikało, że miasto może się poszczycić nie tylko słynną Alhambrą z jej ogrodami.

Niemal w sekundę po złożeniu zamówienia kelner w podszłym wieku, zarazem właściciel kawiarni, postawił przed nią kremową *café con leche* i jednocześnie zerknął jej przez ramię. Książka była otwarta na stronie, gdzie pisano o Federicu Garcii Lorce, „najznamienszym z hiszpańskich poetów”. Sonia zdą-

żyła już przeczytać, że aresztowano go w Grenadzie na początku hiszpańskiej wojny domowej.

- On zatrzymywał się w tej okolicy, wie pani.

Słowa kelnera dotarły do jej świadomości i podniosła głowę. Zdziwiło ją nie to, że podejrzwał, co czytała, lecz głęboka powaga na przystojnej, pokrytej zmarszczkami twarzy.

- Lorca?

- Tak. Niedaleko stąd spotykał się z przyjaciółmi.

Sonia widziała kiedyś sztukę *Yerma* wystawioną w Teatrze Narodowym. Dziwnym trafem była na tym przedstawieniu razem z Maggie, ponieważ James musiał iść na służbową kolację, o której dowiedział się w ostatniej chwili. Teraz przypomniała sobie opinię przyjaciółki na temat spektaklu: „Nudne i przygnębiające”.

Zapytała, czy poznał Lorcę, a kelner odrzekł, że widział go parę razy.

- Wielu mieszkańców Grenady uważa, że razem z nim umarła część miasta — dodał.

To zdanie zabrzmiało intrygująco i zrobiło na niej wrażenie.

Wiedza Sonii o wojnie domowej w Hiszpanii pochodziła głównie z paru mętnie pamiętanych książek Ernesta Hemingwaya i Lauriego Lee; w jej głowie ostało się niewiele więcej ponad to, że obaj brali udział w walkach. Z zaciekawieniem spojrzała na starszuka, którego śmierć Lorki najwyraźniej dotknęła osobiście.

- Co chce pan przez to powiedzieć? — zapytała, uprzytamniając sobie, że musi się odezwać.

Gdy rozeszła się wieść o tym, co spotkało Lorcę... został zamordowany strzałem w plecy... wszyscy ludzie o liberalnych poglądach zrozumieli, że nikt nie jest bezpieczny i że wojna dla całej Grenady właściwie się skończyła.

- Proszę mi wybaczyć, ale niewiele wiem o wydarzeniach z czasów hiszpańskiej wojny domowej.

- Trudno się dziwić. Duża część mieszkańców tego kraju też niewiele wie. Większość albo zapomniała, albo została wychowana niemal w kompletnej niewiedzy o tych sprawach.

Sonia widziała, że ten stan rzeczy budzi jego dezaprobatę.

— Dlaczego do niej doszło? — spytała.

Kelner, mężczyzna niskiej postury, jak wielu Hiszpanów w jego wieku, pochylił się do przodu i chwycił za oparcie wolnego krzesła przy stoliku Sonii. Jego ciemne oczy wpatrywały się w czerwony obrus z takim skupieniem, jak gdyby badał wątek i osnowę tkaniny. Mijały minuty i Sonia zastanawiała się, czy jej pytanie nie uleciało mu z głowy. Choć nadal miał więcej włosów ciemnych niż siwych, jego twarz o wyrazistych rysach była pomarszczona niczym jesienny liść. Sonia przypuszczała, że przekroczył osiemdziesiątkę. Zauważyła również bardzo powykręcane palce lewej ręki i uznała, że to z powodu artretyzmu. Jej ojciec też często się zamyślał, więc takie chwile milczenia były dla niej czymś całkiem zwyczajnym.

— Wie pani co? — odezwał się w końcu. — Chyba nie umiałbym tego pani wyjaśnić.

— To nie jest ważne — odparła szybko, widząc jego zaczerwienione i załzawione oczy. — Pytałam z ciekawości.

— Właśnie że jest ważne — zaprotestował lekko poruszony, kierując wzrok prosto na nią.

Nagle uświadomiła sobie, że źle rozumiała jego poprzednią uwagę. Bystre spojrzenie tego człowieka przekonało ją, iż ani trochę nie stracił przytomności umysłu.

— Martwię się, że ta okropna historia zaginie, tak jak zaginął Lorca i wielu innych — ciągnął starszek.

Sonia odchyliła się na oparcie krzesła. Zaskoczył ją ładunek emocji zawarty w tych słowach. Mężczyzna mówił o zdarzeniach sprzed prawie siedemdziesięciu lat, a brzmiało to tak, jakby rozgrywały się wczoraj.

— Nie potrafię wymieniść jednego jedyne go powodu wybuchu wojny domowej. Początek był taki niejasny. Ludzie właściwie nie wiedzieli, co się dzieje, i z pewnością nie mieli wówczas pojęcia, do czego to doprowadzi i jak długo potrwa.

— Ale co zapoczątkowało to wszystko... dlaczego Lorca

miął z tym związek? Przecież był poetą, a nie politykiem, prawda?

— Pani pytania wydają się takie proste, więc chciałbym udzielić prostych odpowiedzi, ale nie umiem. Lata poprzedzające wojnę domową wcale nie były spokojne. Przez pewien czas w kraju panował chaos, sytuacja polityczna tak się skomplikowała, że większość z nas nie potrafiła się w niej rozeznąć. Ludzie znosili głód, lewicowy rząd nie robił tyle, ile należało, więc wojskowi postanowili przejąć władzę. Tak to można w skrócie wyjaśnić.

- Brzmi jednoznacznie.

- Ale takie nie było, zapewniam panią.

Sonia popijała kawę. Wciągnęła ją ta rozmowa, a ponieważ nie pojawiali się nowi goście, kusiło ją, żeby dowiedzieć się od starego kelnera czegoś więcej.

Wtedy zajęła dwunastoosobowa grupa japońskich turystów z przewodnikiem, którzy po chwili siedzieli przy stolikach, czekając, aż zostaną obsłużeni. Staruszek poszedł zająć się nimi, a Sonia patrzyła, jak zapisuje zamówienia w notatniku. Gdyby nie odznaczał się cierpliwością, procedura byłaby skomplikowana, gdyż goście nie znali hiszpańskiego ani angielskiego, którym on posługiwał się biegle, choć z wyraźnym akcentem. Nic dziwnego, że w tylu restauracjach karty dań ilustrowano krzykliwymi zdjęciami nieapetycznie wyglądających potraw i pianistych koktajli mlecznych — cudzoziemcy mogli składać zamówienia, zwyczajnie wskazując dania palcami.

Gdy kelner przyniósł Japończykom napoje i ciastka, postawił następną filiżankę kawy również na stoliku Sonii ujętej tym, że o niej pomyślał.

Widząc, jak w kawiarni przybywa gości, zorientowała się, że staruszek już nie będzie miał sposobności poświęcić jej całej swojej uwagi.

— *La cuenta, por favor* — powiedziała, wykorzystując większość znanych sobie hiszpańskich słów, by poprosić o rachunek.

Właściciel kawiarni potrząsnął głową.

— Nie trzeba.

Sonia uśmiechnęła się. Wzruszyła ten prosty gest. Wycucie mówiło jej, że nie miał w zwyczaju fundować gościom napoi.

— Dziękuję. To była interesująca rozmowa — rzekła. — Chciałabym zobaczyć dom Lorki. Jak tam dojdę?

Wskazał ulicę i polecił, żeby skręciła w prawo przy końcu. Po dziesięciu minutach powinna znaleźć się przed La Huerta de San Vicente, letnią posiadłością rodziców Lorki w południowej części miasta.

— To ładny dom — dodał. — Zawiera ciekawe pamiątki po poecie i jego rodzinie. Tylko jest trochę zimny.

— Zimny?

— Sama pani zobaczy.

Nie mogła zadawać mu więcej pytań. Miał dużo pracy i już odwrócił się, żeby przyjąć kolejne zamówienie. Wstała, wzięła książkę, torebkę i plan miasta i lawirując między stolikami, wyszła z kawiarni.

Po kilku krokach staruszek ją dogonił i złapał za ramię. Chciał jej powiedzieć jeszcze jedno.

— Powinna pani pójść także na cmentarz. Lorca tam nie zginął, ale na wzgórzu zastrzelono tysiące ludzi.

— Tysiące?

Kiwnął głową.

— Tak, kilka tysięcy — rzekł z rozmysłem.

Dla Sonii była to ogromna liczba, gdy wziąć pod uwagę wielkość miasta. Może staruszek szwankował jednak na umyśle. Co za dziwaczny pomysł, żeby wysyłać turystę na miejski cmentarz. Skinęła z uśmiechem głową. Dom zmarłego poety zaciekawił ją, ale nie zamierzała odwiedzać miejsca pochówku.

Stosując się do otrzymanych wskazówek, poszła długą, prostą ulicą Recogidas prowadzącą na skraj miasta. Sklepy były już czynne. Strzępy melodii wypływały z nich na chodniki, gdzie pojawiało się coraz więcej młodych kobiet, które szły pod rękę, rozgadane, machając nowiutkimi plastikowymi torbami. Była

to ulica sklepów z modą młodzieżową, z kuszącymi witrynami; wystawione na nich wysokie boty, paski w intensywnych barwach i szykowne żakiety prezentowane na manekinach o pustych twarzach przyciągały te dziewczęta z taką samą siłą, jak sklepy ze słodyczami przyciągają dzieciarnię.

Gdy szła słoneczną stroną ulicy, która budziła w człowieku poczucie, że życie nigdy dotąd nie było tak cudowne, nie mogła wyobrazić sobie targanej konfliktami Hiszpanii, jak ją przedstawił właściciel kawiarni. Choć Sonię zaintrygowały wzmianki o wojnie, była zdziwiona, że zachowało się tak niewiele świadectw tamtych czasów. Nie widziała ani tablic, ani pomników upamiętniających minione wydarzenia; nic nie wskazywało na to, by młodzi ludzie dźwigali brzemień przeszłości. Zabytki Alhambry stanowiły chyba największą atrakcję turystyczną Grenady, ale ulice podobne do tej dawały obraz Hiszpanii, która zmierza ku przyszłości, przekształca wiekowe budynki w futurystyczne pałace ze szkła i stali. Pozostało kilka sklepów, gdzie zauważyła staroświeckie witryny, bogato zdobione szyldy i nazwiska właścicieli wypisane złotymi literami na przyciemnionym szkle, ale te sklepy były ciekawostką zachowaną celowo ze względów sentymentalnych, a nie częścią współczesnej Hiszpanii.

Kiedy Sonia znalazła się na końcu ulicy, gdzie nie docierał handel, natomiast wyrastały pozbawione wyrazu bloki mieszkalne niczym rzędy roślin uprawnych, jej wzrok bez przeszkód sięgnął poza granice miasta, ku równinnemu obszarowi zwanemu Vega, pokrytemu bujnymi zielonymi pastwiskami. Zerknąwszy na plan Grenady, skręciła w prawo i po przejściu kilku bram weszła do parku. Obejmował kilkaset arów i wyglądał jak połączenie ponurego zieleńca miejskiego z ogrodem z epoki elżbietańskiej, miał wysypane piaskiem ścieżki, które biegły między geometrycznie wytyczonymi rabatami i niskimi żywopłotami z bukszpanów. Rośliny niedawno podlano. Kropelki wody leżały niczym kryształowe paciorki na szkarłatnych aksamitnych płatkach, zapach róż zmieszany z zapachem lawendy unosił się w wilgotnym powietrzu.

Park był prawie pusty. Sonia zauważyła jedynie paru ogrodników i dwóch siwowłosych panów, którzy siedzieli na ławce, oparłszy łaski o kolana. Pogrążeni w rozmowie nawet nie podnieśli głów, gdy ich mijała, i ani odrobinę nie przejęli się odgłosem trąbki, który przeszył powietrze. W pustej przestrzeni wzmógł się dźwięk wydany przez samotnego muzyka, który zapewne nie grał dla publiczności (przy braku spacerowiczów byłoby to bezcelowe), lecz wykorzystywał to miejsce do ćwiczeń.

Jak wynikało z przewodnika, La Huerta de San Vicente stał w środku parku. Sonia spojrzała na kępę drzew i w gęstym listowiu zamajaczył biały dwupiętrowy budynek, przed którym grupa ludzi czekała na otwarcie drzwi.

Dom wyglądał skromniej, niż przypuszczała, myśląc o osobistości tej miary co Federico Garcia Lorca. O godzinie jedenastej rozwarły się ciemnozielone drzwi i zwiedzających, którzy weszli do środka, powitała po hiszpańsku elegancko ubrana pani w średnim wieku. W odczuciu Sonii miała sposób bycia gospodyni, która traktuje ten dom jak swoją własność, lecz również odnosi się do niego z nabożeństwem. Oczekiwała, że goście będą zachowywać się tu niczym w świątyni.

Hiszpańszczyzna Sonii pozwoliła jej zrozumieć kilka rzeczy z przemowy, którą kobieta wygłosiła na początku zwiedzania: Lorca uwielbiał to miejsce i przez wiele lat z radością spędzał tu letnie miesiące... Dom wygląda tak samo jak w dniu, gdy go opuścił, w sierpniu tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, by szukać schronienia u przyjaciół w centrum miasta... Po śmierci Lorki członkowie jego rodziny wyemigrowali... Zwiedzający mają pół godziny na obejrzenie domu i sąproszeni o niekorzystanie z lamp błyskowych.

Sonia odniosła wrażenie, że kobieta oczekuje od turystów znajomości biografii i dzieł tego człowieka, podobnie jak przewodnik w katedrze zakłada, że wszystkim wiadomo, kim był Jezus Chrystus.

Wystrój wnętrza surowością dorównywał udzielonym infor-

macjom. Białe ściany, wysokie sufity, terakotowe posadzki. Zdaniem Sonii zarówno w domu, jak i w otaczającym go parku odczuwało się brak duszy. Trudno było wyobrazić sobie, że przy ciemnym drewnianym stole jadalnym, wokół którego stały twarde krzesła z wysokimi oparciami, toczyły się kiedyś ożywione rozmowy albo że przy niezgrabnym biurku Lorca pisał wiersze. W szafce umieszczono kilka rękopisów pokrytych drobnym, nieporządnym pismem i ozdobionych delikatnymi, kolorowymi rysunkami. Na ścianach wisiały interesujące portrety oraz scenografie projektu Lorki. Ale to wszystko nie pomagało zrozumieć, jakim był człowiekiem, sprawiało wrażenie skorupy, łupiny pustej w środku. Sonia doznała rozczarowania. Staruszek z kawiarni mówił o nim z takim żarem, a tu prawie nie czuło się atmosfery życia rodzinnego, stwierdziła zakłopotana. Może ten dom wywołał uczucie przygnębienia, ponieważ sprowadziła ją tu opowieść o zamordowaniu poety.

Zatrzymała się przy ladzie z pocztówkami. Dopiero one coś wyjaśniły. Znajdowało się tam kilkadziesiąt portretów mężczyzny. To jego obecność zaznaczała się niegdyś w tym domu. W twarzy na zdjęciach było coś zdumiewająco żywego i współczesnego; czekoladowobrązowe oczy przytrzymały nie tylko wzrok fotografa, lecz każdego, kto wiele lat później patrzył na te pocztówki.

Miał faliste włosy, gęste brwi, trochę kostropatą skórę z powodu trądziku i uszy odstające bardziej, niż sobie zapewne życzył. Wcielał się w różne postacie. Na jednym zdjęciu odgrywał rolę wujka, a bratanica — tak do niego podobna, że mogłaby być jego córeczką — siedziała mu na kolanach i uczyła **się** czytać, pulchnym paluszkami wskazując jakieś słowo. Na innym ochoczo pozował wraz z bratem i siostrą i cała trójka wyglądała tak, jakby dusiła w sobie śmiech podczas tej sesji fotograficznej. Ze zdjęcia promieniował żar słońca i uczuć łączących rodzeństwo. Znalazły się tam również grupowe wizerunki rodziny i migawki z dawno minionego świata, gdy dzieci nosiły bawełniane fartuszki, niemowlęta miały na gło-

wach czepki, kobiety zajmowały się haftowaniem, a mężczyźni odpoczywali na pasiastych leżakach. Na wielu portretach uwi-
doczniała się frywolność Lorki: tu pozował jako pilot ogrom-
nego dwupłatowca, tam wystawiał uśmiechniętą twarz z za-
wielkiego tekturowego wizerunku otyłej kobiety w wesołym
miasteczku. Na tego rodzaju fotografiach czuło się dziecięcą
wesołość; na innych, gdzie pojawiał się w towarzystwie in-
telektualistów lub tylko jakiegoś młodego mężczyzny, był
niezmiernie poważny.

We wszystkim, co robił — czy grał na pianinie, czy wygłaszał
przemówienie, wyprawiał harce, przybierał pozy — widać było,
że kocha życie. Te zdjęcia tchnęły ciepłem i witalnością, które
zrobiły na Sonii wrażenie, jakiego nie wywarł sam dom.
Ukazywały ulotne chwile, cenne i beztroskie, w życiu, które
niedługo później zostało przerwane. Choćby dlatego były
frapujące.

Na końcu rzędu pocztówek, leżących na ladzie w zgrabnych
drewnianych przegródkach, znajdowało się zdjęcie, na którym
Lorca w jasny letni dzień stał przed drzwiami frontowymi
właśnie tego domu, a za jego plecami kładł się czarny cień.
Sonia zastanawiała się, czy zostało zrobione tamtego lata, gdy
go aresztowano i zabito.

Przesuwała się wzdłuż lady, biorąc po jednym zdjęciu niemal
z każdej przegródki.

— Czy mogę pomóc? — zapytała dziewczyna przy kasie.

Lekko zakłopotana patrzyła, jak długo tkwi tutaj ta klientka.
Od czasu do czasu zdarzały się kradzieże, zazwyczaj gdy
przychodziły wycieczki szkolne, ale stojąca przy ladzie kobieta
wcale nie wyglądała podejrzanie. Gdy podeszła z plikiem
fotografii, sprzedawczyni pochyliła się nad stertą książek.

— Jeśli chce pani mieć aż tyle, warto kupić to — poradziła.

Sonia wzięła małą książeczkę i zaczęła przerzucać stronicę.
Znalazła tam wszystkie fotografie z pocztówek i jeszcze inne,
opatrzone podpisami i cytatami. Ze słownikiem w rękę być
może zdoła je przetłumaczyć.

Jej wzrok spoczął na ostatnim zdjęciu Lorki. Ubrany w biały garnitur siedział razem z elegancką kobietą w berecie przy kawiarnianym stoliku, na którym stała karafka z winem. Słońce przelewało się przez gęste liście drzew, przy innych stolikach siedzieli w wiklinowych fotelach goście. To był obraz ludzi korzystających z wolnego czasu, Hiszpanii cieszącej się pokojem.

Pod spodem znajdowało się kilka słów: "*Lo que mas me importa es vivir*". Sonia zrozumiała je bez słownika: „Dla mnie najważniejsze jest to, by żyć”.

Tragiczna ironia tych słów uderzyła ją z całą siłą. Pokazane tu wizerunki Lorki — w turbanie, w samolocie, z przyjaciółmi, z rodziną — świadczyły o tym, że miał nienasycony głód życia. Dzisiejszemu człowiekowi wprost nie mieści się w głowie, że poeta mógł być kimś na tyle ważnym, by skazywać go na śmierć. Ten prosty, bielony wiejski dom jawił się jako czysta niewinność zastygła w czasie, pomnik, który pozostał nienaruszony, choć wszystkim w jego sąsiedztwie zawładnęła nowa, spoglądająca w przyszłość Hiszpania. Wyglądał jak grobowiec, w którym nie ma zwłok.

Sonia zapłaciła kilka peset za książkę i wyszła.

Wkrótce była z powrotem w hotelu. Gdy nacisnęła przycisk windy, z kabiny wyszła Maggie, rozpromieniona po dziesięciu godzinach nieprzerwanego snu.

- Sonia! — zawołała, nie posiadając się z radości. — Gdzieś ty była?

- Włóczyłam się po mieście — wyjaśniła Sonia. — Zostawiłam ci kartkę.

- Tak, zauważyłam, ale nie wiedziałam, kiedy wrócisz.

- Tylko pójść po buty — powiedziała przez szparę w zamykających się drzwiach.

W klaustrofobicznie małej windzie zaczęło jej się robić słabo i uprzytomniła sobie, że należało coś zjeść. W lustrzanej ścianie ujrzała swoją twarz oświetloną żółtą żarówką. Mając świeżo w pamięci wesołe oblicze Maggie, tym wyraźniej

zobaczyła zapadnięte oczy i policzki, cienie pod oczami i przetłuszczone, zszarzałe włosy. Choć w duchu uważała, że nie przejmuje się swoim wyglądem, wiedziała jednak, że i tak poczuje ukłucie znanego od dawna żalu, gdy na Maggie mężczyźni będą spoglądać z podziwem, a ona stanie się jej niewidoczną przyjaciółką. Po latach występowania w tej roli było to aż nazbyt znajome uczucie.

Weszła do pokoju i szybko wyszczotkowała włosy, obrysowała oczy czarną konturówką, pomalowała usta błyszcznikiem. Zjeżdżając windą na dół, zauważyła poprawę i ogarnął ją trochę lepszy nastrój.

Wkrótce szły już ulicą, popędzając się nawzajem, obie równie przejęte myślą o zbliżającej się lekcji tańca.

Zaledwie po dwudziestu minutach przygaś w Sonii zapał do nauki i zaczęły jej zgrzytać w uszach ostre dźwięki wydawane przez muzyków na instrumentach dętych i lekko zniekształcone przez odtwarzacz CD. Była sztywna jak manekin na wystawie, który widziała przed południem — stawy kompletnie jej zastygły, szyja stężała. Całkowicie skupiona na przyswojeniu sobie instrukcji liczyła takty jak dziecko, powtarzała w myślach liczby i starała się je zapamiętać.

Felipe zauważył jej zmarszczone brwi i spięte ramiona.

— *Senora*, nie tak. Proszę. Luźniej.

Odebrała to jako naganę. W tym miejscu grzechem był brak luzu i myślenie zamiast odczuwania. Powątpiewała, czy tego dnia zdoła tańczyć inaczej.

Odetchnęła z ulgą, gdy punktualnie o piątej zajęcia się skończyły.

— Marnie mi idzie — mruknęła pod nosem, szarpiąc się z klamerką.

W końcu zdjęła buty bez odpinania i wściekła cisnęła je na torbę stojącą kilka kroków dalej.

— Nie gadaj bzdur — odezwała się Maggie. — Po prostu masz zły dzień. Wieczorem idziesz ze mną do miasta. Tylko w ten sposób nabierzesz wprawy. Przecież taki był cel naszego przyjazdu.

- Czyżby? — burknęła Sonia. — Nie przypominam sobie.

- No i uczczenie moich urodzin.

- Maggie, przepraszam! To dzisiaj! Najlepsze życzenia!

O Boże, jestem okropna. Zupełnie zapomniałam, jaki dziś dzień. Strasznie mi przykro.

Chwyciła przyjaciółkę w ramiona i na zalanej słońcem ulicy zdusiła ją w uścisku.

- Nie przejmuj się — powiedziała z uśmiechem Maggie. — Wiem, jak to bywa, naprawdę. Masz dużo na głowie. Ale dla własnego dobra zostaw za sobą te problemy. Wyluzuj się.

W zwykłych okolicznościach okazałaby poirytowana tymi zaleceniami, lecz nie tego dnia, nie w urodziny Maggie.

- Pewnie masz rację — zgodziła się.

- No więc pójdiesz ze mną wieczorem na tańce?

- Oczywiście. A dokąd się wybierzemy?

- Całkiem blisko szkoły tańca jest dobre miejsce, bardzo sympatyczne, ani trochę nie onieśmiela. Będziesz zachwycona.

* * *

Tuż przed północą Sonia schyliła się pod niskim kamiennym lukiem i zeszła wąskimi schodami do słabo oświetlonej sutereny. Po jednej stronie znajdował się niewielki bar, a przed nim rząd stołków. Dwie tańczące pary mogły pozwolić sobie na luksus korzystania z całego parkietu. O tej porze wykonywane przez nich zwroty i obroty wydawały się akrobatyczne.

Sonia szybko domyśliła się, dlaczego przyjaciółka chciała przyjść akurat tutaj. Ledwie znalazły się na dole schodów, z mroku przy barze wyłonił się przystojny, krępy osobnik i ruszył w ich stronę. Przekrzykując głośną muzykę, Maggie przedstawiła Paca, ale potem, mimo szaleńczej gestykulacji całej trójki, niewiele udało im się zakomunikować. Przeszkodą było nie tyle bezlitosne dudnienie, ile to, że Hiszpan nie znał angielskiego, a Angielki hiszpańskiego. Paco poświęcał jednak uwagę Sonii, co pozwoliło jej docenić jego wdzięk, fundował drinki obu paniom i koniec końców wykonał przepaszający

gest, po czym poprowadził Maggie na parkiet. Fizyczna atrakcyjność nowego wybranka Maggie nie uszła uwagi Sonii. Choć był od niej niższy, miał w sobie coś kusząco seksownego.

Sonia obserwowała tę parę zahipnotyzowana tym, jak Paco trzyma dłoń szeroko rozpostartą w zagłębieniu talii Maggie i pewnie prowadzi ją, z wprawą wykonując nieznaczące ruchy. Siedziała na krawędzi stołka ze szklanką zimnego piwa w rękę i przemożnym uczuciem *deja vu* w głębi serca. Ileż to razy patrzyła z boku na tańczącą przyjaciółkę? Tak było, gdy miały po czternaście lat, i tak jest teraz, ponad dwadzieścia lat później.

Nikt nie mógł długo być obserwatorem — zbiorowy zapal taneczny sprawiał, że na każdego przychodziła kolej. Klub wypełniał się gośćmi i wkrótce Sonia została poproszona do tańca. Odrzucenie zaproszenia nie wchodziło w rachubę, nawet gdyby chciała to zrobić.

Rozpoznała muzykę — jeden z utworów, do których tańczyli na zajęciach tego popołudnia — i nabrała pewności siebie, słysząc znajomy rytm. Nie był ani zbyt wolny, ani zbyt szybki. Następne pięć minut zażyłości i fizycznego kontaktu z partnerem ożywiło ją i napelniło energią. Niemal od razu poczuła przyjemne zsynchronizowanie ciała i umysłu, gdy stopy bez instrukcji zareagowały na muzykę, jak gdyby przecięto niewidzialne liny, które unieruchamiały ją na ziemi. Z ostatnim taktom zbliżenie się skończyło. Taniec był celem sam w sobie. Sonia zauważyła jedynie, że partner prowadził tak, jak gdyby tańczył przez całe życie. Przychodziło mu to równie naturalnie jak oddychanie.

Podczas trzeciego czy czwartego tańca — każdy z innym nieznanym — skrępowanie zaczęło mijać. Już nie mówiła stopom, w którą stronę mają się zwrócić, i nie liczyła w myślach taktów. Kiedyś w ulotnej chwili wyobraziła sobie właśnie takie doznanie. Obserwowała wówczas kubańskich nauczycieli — to było w Londynie — i widziała po wyrazie ich twarzy, że ten taniec wypływał z duszy, nie z głowy. Przypomniała sobie, jak włosy stanęły jej na karku z wrażenia. Teraz sama tego doświadczyła. Oczarowanie tańcem zapadło jej głęboko w serce.

Między tańcami Sonia stała przy barze. Co jakiś czas Paco i Maggie schodzili z parkietu i dołączali do niej. Skóra Maggie lśniła. Biała bluzka, fosforyzująca w świetle neonówek, była przezroczysta od potu. Zbierające się nad czołem kropelki wyglądały jak tiara.

- Wszystko w porządku? — pytała przyjaciółkę. — Dobrze się bawisz?

- Doskonale — odpowiadała Sonia bez cienia poirytowania.

Nic miała pojęcia, o której godzinie przyłożyła głowę do poduszki. Znowu spędziła bezsenną noc, ale tym razem nie z niepokoju o Maggie, której łóżko w dwuosobowym pokoju pozostało puste. To krążące w jej ciele endorfiny spowodowały, że wirowała do świtu.

Rozdział 6

Dochodziło południe, gdy Sonia ustawiła kurki na chłodną wodę i aż zaparło jej dech, gdy spadł na nią lodowaty strumień z prysznicza. Tego potrzebowała, by całkowicie oprzytomnieć i rozpocząć dzień. Następnie pomyślała o filiżance kawy oraz o tym jednym jedynym miejscu, gdzie należało ją wypić. Wyszła z hotelu, stwierdziwszy, że i tak jest już za późno na kiepskie śniadanie, jakie tu serwowano: zapakowanego próżniowo croissanta o przedłużonym terminie przydatności do spożycia, nadającego się do konsumpcji tylko po umoczeniu w kawie.

Jakby kierowana wewnętrznym głosem ruszyła w kierunku tamtego ślicznego placu tą samą drogą co poprzedniego dnia. Ciągnęła ją tam nie tylko myśl o doskonałej *café con leche*, lecz również przekonanie, że należy doprowadzić do końca pewne wątki rozmowy prowadzonej z uprzejmym kelnerem. W ten chłodny ranek wszystkie stoliki na zewnątrz były puste, wobec tego weszła do środka. Ponad pięć minut siedziała przy stoliku i nikt do niej nie podszedł. Ogarnęło ją uczucie zawodu niewspółmierne do sytuacji. Przecież jest tu mnóstwo kawiarni, gdzie dają przyzwoitą kawę, powiedziała sobie.

Tymczasem miała sposobność zaobserwować, że im tłoczniej jest w jakimś lokalu, tym liczniej schodzą się tam goście.

Zamierzała pójść ich śladem i złożyć zamówienie gdzie indziej, gdy za jej plecami rozległ się przyjazny głos:

- *Buenos dias, señora.*

Odrzuciła się. Stał przed nią właściciel, uśmiechnięty i wyraźnie ucieszony jej widokiem.

- Myślałam, że kawiarnia nie jest jeszcze czynna.

— Skądże! Przepraszam, rozmawiałem przez telefon. Co pani podać?

- *Café con leche, por favor.* I może coś do zjedzenia. Jakieś ciastko?

Po kilku minutach na stoliku pojawiła się kawa z ciastkiem.

- Późno poszła pani spać? — zapytał staruszek. — Nie chcę być niegrzeczny, ale wygląda pani na bardzo zmęczoną.

Sonia odpowiedziała uśmiechem. Podobała jej się szczerłość tego kelnera, poza tym wiedziała, że wygląda okropnie z resztkami makijażu na twarzy i śladami niewyspania.

- Wieczór się udał?

- Tak. Byłam na tańcach.

- Lubi pani tańczyć? Może doświadczyła pani *duende*?

Sonia nie знаła tego słowa. Brzmiało jak „duet”, więc może pytał, czy znalazła partnera. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin pomyślała o Jamesie. Jak czułby się tutaj? Czy podobałby mu się niewyszukany wystrój szkoły tańca? Ciężka harówka na lekcjach? Poziom decybeli w nocnym klubie? Odpowiedzi na te wszystkie pytania były przeczące. Może przypadłaby mu do gustu dostojna architektura, pomyślała Sonia, spoglądając na górne piętra masywnych, całkiem okazałych budynków okalających nawet ten mało ważny plac. Przez chwilę miała poczucie winy, że nie przyszło jej na myśl zadzwonić do męża, ale z drugiej strony on też do niej nie zadzwonił. Była niemal pewna, że gorączkowo negocjuje jakiś kontrakt i nie odczuwa jej braku.

- Bawiłam się fantastycznie — powiedziała najprościej. — *Fantastico.*

- *Bueno, bueno* — rzekł, zupełnie jakby czerpał osobiste

zadowolenie z tego, że jego gość spędził przyjemny wieczór w mieście. — Ludzie zawsze będą tańczyć. Tańczyli, nawet gdy żyliśmy pod okrutnymi rządami. W odczuciu wielu z nas księża zniszczyli nam religię, ale dużo ludzi miało drugą, którą można było praktykować w każdej chwili. Taniec stał się dla niektórych nową religią, formą buntu.

— Tak naprawdę przyjechałam tu na lekcje tańca — wyjaśniła Sonia. — Taniec sprawia mi przyjemność, ale nie sądzę, by stał się dla mnie religią — dodała ze śmiechem.

— Zapewne nie. Ale dziś życie wygląda inaczej. W Grenadzie mnóstwo osób zajmuje się obecnie tańcem, nikt im tego nie zabrania.

Wyglądało na to, że podobnie jak dzień wcześniej właściciel kawiarni ma więcej wolnego czasu niż klientów, choć Sonia przypuszczała, że w sezonie jest na odwrót. Ponieważ sama też nie miała nic pilnego do zrobienia, ucieszyła się, widząc, że ten uśmiechnięty Hiszpan w podeszłym wieku chce z nią porozmawiać.

— Pan chodzi na tańce? — zapytała.

— Ja? Nie.

— Jak długo prowadzi pan tę kawiarnię?

— Och, od dawna. Przejąłem ją w połowie lat pięćdziesiątych.

— I mieszka pan tutaj tyle czasu?

— Tak — rzekł cicho.

Sonii niemal nie mieściło się w głowie, że przez dziesięciolecie można mieszkać i pracować w jednym miejscu. Kto by zniósł beznadziejną monotonię takiego trwałego stanu?

— Kraj był nadal targany wstrząsami. Na skutek wojny domowej zmieniło się wszystko.

Sonia zawstydzila się swojej nieznamomości historii Hiszpanii, ale uważała, że musi znaleźć właściwe słowa i coś powiedzieć.

— To na pewno było okropne dla...

Kelner przerwał jej. Zrozumiała, że nagle stracił ochotę ciągnąć ten wątek.

- Pani pewnie nie chce słyszeć o tym wszystkim. To bardzo długa historia, a pani idzie zaraz na lekcję tańca.

Miał rację. Po jej przyjściu nie pojawiło się więcej gości, nie zależało mu więc na tym, żeby szybko wyszła, natomiast rzeczywiście musiała iść na zajęcia. Choć przyjemnie gawędziło jej się z ujmującym właścicielem kawiarni, nie zrezygnowałaby z tańca. Zerknęła na zegarek i zdziwiła się, że minęło tyle czasu — było wpół do drugiej, a zajęcia zaczynały się o drugiej.

- Przykro mi, ale muszę już iść.

- Proszę mi jeszcze powiedzieć... Widziała pani dom Lorki?

- Tak. Rozumiem, dlaczego twierdził pan, że jest zimny. Trudno to sprecyzować, prawda? Ale jakoś można wyczuć, że wszystko skończyło się tam źle i dlatego dom stał pusty przez te lata.

- Podobał się pani park?

Czuła się jak pod ostrzałem. Staruszek chciał poznać jej zdanie, był szczerze zainteresowany jej spostrzeżeniami.

- Według mnie jest za bardzo formalny. Trudno sprawić, by ogród wyglądał ponuro, ale im się to udało.

Przyszło jej na myśl, że nie powinna tak nieładnie wyrażać się o mieście tego człowieka, i odetchnęła z ulgą, gdy odrzekł:

- Całkowicie się z panią zgadzam. To nie jest miłe miejsce. Lorca by go nie cierpiał. Na pewno. Właśnie taka sztywność i brak wyobraźni budziły jego sprzeciw.

Ni stąd, ni zowąd łagodny dotąd staruszek zapałał gniewem. Sonia nie mogła się powstrzymać, by nie porównać go ze swoim ojcem, który był samą łagodnością i cierpliwością. Nic nie wytrąciłoby go ze stanu spokojnej akceptacji świata. Natomiast ten Hiszpan zachowywał się inaczej. Dostrzegła coś nieugiętego w jego spojrzeniu, jakąś iskrę świadczącą o tym, że nie był na wskroś dobrotliwym człowiekiem. Jego osobowość miała również drugą stronę. Sonia pomyślała, że stereotypowe wyobrażenia o ognistym hiszpańskim charakterze są jednak w pewnej mierze uzasadnione. Twardy wzrok staruszka zaprzeczał łagodności, którą do tej pory w nim widziała. Wyrażał

tłumiony gniew — nie na nią, lecz na coś, co przemknęło mu przez myśl. Zmarszczki wokół ust wyostrzyły się, z oczu zniknął ciepły uśmiech, do którego zdążyła się przyzwyczaić.

— Muszę już iść — powiedziała. — Dziękuję za śniadanie. A może to był lunch? Sama nie wiem, ale dziękuję.

— Ta rozmowa sprawiła mi przyjemność. Niech taniec da pani dużo radości.

— Wyjeżdżam jutro wieczorem. Może przyjdę jeszcze raz na śniadanie, jeśli pana kawiarnia będzie otwarta.

— Oczywiście, że będzie. Rzadko mam wolne. Jak sięgnę pamięcią, codziennie była otwarta.

— Zatem do jutra — pożegnała się wesoło Sonia.

Uśmiechnęła się na myśl o ponownym spotkaniu, a także rozbawiła ją duma, z jaką mówił o kawiarni, najpewniej dziele swego życia. Wyglądało na to, że z nikim się nie związał. Nie miał żony. Nie miał syna, który zająłby jego miejsce. Zrzuciła torbę na ramię i ruszyła do wyjścia. Do rozpoczęcia zajęć pozostało niecałe pięć minut.

Weszła do szkoły tańca trochę spóźniona i przekroczyła próg sali, gdy Felipe i Corazón już pokazywali nową sekwencję kroków. Jednak nie salsy. Poprzedniego wieczoru młode Norweżki obejrzały spektakl na Sacromonte i teraz jeszcze bardziej zapaliły się do nauki. Maggie nie wyraziła sprzeciwu, a panowie zaakceptowali ten pomysł, pod warunkiem że w drugiej części zajęć wrócą do salsy. I znowu, w ciągu zaledwie dwóch dni, nauczyciele mogli zaprezentować uczniom najwspanialszy taniec na świecie, ich zdaniem.

Gdy pokaz flamenco zakończył się łomotem butów w podłogę, przypominającym strzały z karabinu maszynowego, Corazón zawołała:

— Okay, tyle na początek!

Muzyka, do której mieli teraz tańczyć, bardzo różniła się od krzykliwej salsy tak dobrze im już znanej, że niemal mieli ją we krwi. Znacznie trudniej było wyłapać czy wysledzić rytm. Odznaczała się regularnym metrum, ale również regularnie od

niego odchodziła, dezorientując słuchaczy. Prócz dźwięków gitary słyhać było kłaśnięcia, które przeplatały się w niezmiernie skomplikowanym kontrapunkcie, ale niekiedy spotykały się w unisonie, gasnąc na ostatnim takcie. Sonia wytężała słuch, by wychwycić układ rytmiczny.

Corazón trzymała teraz ręce w górze. Giętkie w nadgarstkach dłonie zataczały idealne koła, palce rozczapierały się zgodnie z muzyką, biodra kołysały się miękko i rytmicznie, młaśnięcie Językiem od czasu do czasu podkreślało akcenty muzyczne.

Wkrótce kobiety zaczęły ją naśladować, jedne lepiej, inne gorzej.

Ta rozgrzewka trwała dziesięć, piętnaście minut, kiedy to uczniowie wczuwali się w rytm, a Corazón wyrwała ich z na wpół hipnotycznego stanu okrzykami, co ani trochę nie zakłócało płynności jej ruchów.

- Słyszycie? Uderzenie w kowadło! Kucie metalu!

Uczniowie patrzyli na nią tępo.

Widząc taką głupotę, miażdżyła ich wzrokiem i rozwijała porównanie.

Jak to? — wołała coraz bardziej zniecierpliwiona. — Wytężcie słuch! Dzyń, dzyń! Dzyń, dzyń! Nie byliście w Albaicin? Nie widzieliście tych wszystkich rzeczy z kutego żelaza? Nie rozpoznajecie dźwięków, jakie wydają kowale przy pracy? Przecież one nadal niosą się tymi wąskimi uliczkami!

Ktoś zachichotał, ale Corazón uznała, że skoro nie rozumieją, to ich strata. Nie miała czasu i cierpliwości na dalsze wyjaśnienia.

Sonia zaczęła wyławiać odgłosy pracy kowali, krótkie pauzy między taktami przywodziły na myśl zamach młotem przed uderzeniem w metal. Corazón nie postradała jednak zmysłów. Klaskała w dłonie i kołysała się, chcąc w ten sposób pokazać, o co jej chodzi. Ci, którym przemówiło to do wyobraźni, usłyszeli walenie w kowadło.

Uwaga! Róbcie to co ja!

Zdawało się, że jest w swoim żywiole, służbistym tonem

wydając polecenia. Nie ulegało wątpliwości, że flamenco włada jej sercem, natomiast salsa to tylko zajęcie uboczne.

Zacisnęła dłonie w pięści i zaczęła odginać po kolei palce, od małego do kciuka. Powtórzyła ten ruch kilkakrotnie, potem w innej formie, zaczynając od palca wskazującego, a kończąc na małym i cały czas obracając dłonie w nadgarstkach raz w tę, raz w tamtą stronę.

Sonię, nieprzyzwyczajoną do takiego poruszania rękami, rozboleły ramiona, a nadgarstki wydawały się jak potłuczone. Nadal obracając dłonie i odginając palce, Corazón unosiła i opuszczała wężowym ruchem obie ręce jednocześnie, to trzymała je nad głową, to po bokach. Uczniowie nieporadnie usiłowali za nią nadążyć.

— *Mira! Mira!* — wołała zawiedziona i zarazem ogarnięta bezmiernym zapałem. — Patrzcie!

Wiedziała, że mogliby to robić znacznie lepiej, ale ćwiczenia zajęłyby wiele czasu. Na razie zajmowali się ruchami górnej połowy ciała, a czekało ich jeszcze mnóstwo pracy.

— Dobrze. *Muy bien.* Chwila przerwy.

Wszyscy przyjęli te słowa z wdzięcznością i odprężyli się, ale nie na długo. Felipe, który tymczasem przyglądał się, siedząc z boku, skoczył na równe nogi. Teraz on miał się znaleźć w centrum uwagi.

Uczniowie ustawili się dokoła niego w podkowie i patrzyli w skupieniu.

— To jest podstawowy element pracy nóg — powiedział.

Wyciągnął do przodu nogę lekko zgiętą w kolanie i tupnął, uderzając najpierw kłębem palucha, a potem piętą. Powtórzył to kilkakrotnie, coraz szybciej, demonstrując prosty ruch, który dawał kojarzony z flamenco efekt przytupywania. Gdy wszyscy zaczęli próbować, stwierdzili, że nie ma nic szczególnie trudnego w wykonaniu tego ćwiczenia w wolnym tempie.

— *Planta!* — krzyknął Felipe, uderzając stopą w podłogę.

Następny okrzyk wywołał efekt absolutnie dźwiękonaśladowczy i towarzyszył mu ostry stuk obcasem.

- *Tacón! Ta-CON!*

Gdy przeciwczyli ten podstawowy ruch, Felipe utrudnił im zadanie i zademonstrował przechodzenie od pięty do palucha w różnych kombinacjach. Część uczniów nadążała za nim. Ci, którzy mieli gorszą koordynację, zaczęli się mylić. Parę osób wpadło w niepohamowany chichot. To wszystko okazało się dużo trudniejsze, niż wyglądało na początku. Felipe kontynuował niezrażony. Traktował flamenco poważnie i nawet nie zauważył, że kilkoro uczniów przestało ćwiczyć.

— Musicie słuchać rytmów, jakie wybijają stopy — mówił. — Tupaniem tworzycie własną muzykę. Głowy macie puste, za to pełne uszy.

Coś w tym jest, pomyślała Sonia, usiłując się skupić i jednocześnie zastosować w praktyce zalecenie, by kierować się słuchem, a nie umysłem. Podchwyciła spojrzenie Maggie i zauważyła, że jej przyjaciółka po raz pierwszy ma lekko znudzoną minę.

Znów przyszła kolej na Corazón.

Najważniejsze zostawiłam na koniec — rzekła dramatycznym tonem. — A to dopiero początek.

Większość uczniów popijała wodę z plastikowych butelek. Nie przypuszczali, że będzie ich to kosztowało tyle wysiłku.

ActiTUD! — oznajmiła z taką ekspresją, by wszyscy zrozumieli, czego się od nich oczekuje.

Zadarta broda, nos wymierzony w stronę sufitu, arogancka poza — to wszystko przywodziło Sonii na myśl tancerki flamenco, których występ oglądała z Maggie przed trzema dniami. Corazón pokazywała wpatrzonym w nią uczniom, jak mają „zapowiedzieć” swój taniec.

Wejście na scenę jest najważniejszą chwilą całego spektaklu — mówiła. — Nie można zrobić tego cicho i spokojnie. Tancerz musi oznajmić wszystkim swoją obecność — językiem ciała. Musi powiedzieć widzom, że jest najważniejszą osobą na sali.

Corazon należała do tych kobiet, które przyciągają uwagę,

gdy tylko staną w drzwiach. Miała wrodzoną zdolność oddziaływania na otoczenie. Sonia zawsze sądziła, że jest to cecha naturalna, nigdy nie przyszło jej na myśl, że można ją w sobie wyrobić. Dwadzieścia minut później, zobaczywszy w lustrze kobietę w przekonującej pozie i uprzytomniwszy sobie, że widzi własne odbicie, stwierdziła, że osiągnięcie takiego efektu leży w granicach jej możliwości. Stojąc z wyciągniętą do góry ręką i rozłożonymi palcami, z tułowiem skręconym w tali i drugą ręką zgiętą z przodu ciała, do złudzenia przypominała tancerkę flamenco.

Donośnym kłaśnięciem dwa razy w dłonie Corazón zakończyła tę część zajęć.

— *Bueno, bueno.* Wspólnym staraniem jutro będziecie mogli wystąpić na Sacromonte — powiedziała z uśmiechem. — Po przerwie wracamy do salsy.

— Łaska boska — rzuciła Maggie w kierunku Sonii. — Flamenco chyba mnie nie kręci.

— Jeszcze parę dni temu paliłaś się do nauki — zauważyła Sonia, starając się, by jej słowa nie miały wydźwięku „a nie mówiłam”. — Wymaga więcej wysiłku, niż myślałaś?

Maggie odrzuciła do tyłu głowę i odgarnęła z twarzy grzywę włosów.

— To jest takie melodramatyczne, nie sądzisz? Skoncentrowane na własnym ja. Na pokaz.

— Chyba każdy taniec jest na pokaz.

— Nie zgadzam się. Przynajmniej nie wtedy, gdy tańczy się z partnerem. Jeśli już, jest to pokaz dla tej jednej osoby.

Dopiero teraz Sonia uświadomiła sobie pewną rzecz na temat swojej przyjaciółki. Dla Maggie tańczenie wiązało się nieodzownie z drugą osobą. Było elementem poszukiwań doskonałego, a przy tym nieuchwytnego mężczyzny. Całe życie Maggie zmierzało w tym kierunku.

— Jeszcze dwie minuty! — krzyknęła Corazón. — Dwie minuty.

Sonia wyszła z sali, kierując się do łazienki. Po drodze

dostrzegła za przeszkłonymi drzwiami wejściowymi dwie Norweżki i wszystkich fordanserów, którzy stali na chodniku w chmurze kłębiącego się dymu z papierosów. Jej uwagę przykuły dźwięki dolatujące przez uchylone drzwi po drugiej stronie holu. Czując się jak podglądacz, zerknęła przez szparę i zamarła z wrażenia. Kilkanaście osób siedziało pod ścianą i słuchało grającego na gitarze mężczyzny. Cała grupa wyglądała niechlujnie, niemal wszyscy byli w dżinsach i T-shirtach z dawno wypłowiałymi nadrukami, mieli blade ze zmęczenia twarze i potargane, sterczące na boki włosy. Najstarszy z wyglądu mężczyzna, o falujących włosach czarnych jak smoła i zebranych w kucyk, grał melodię pełną słodyczy i takiego smutku, że Sonię aż ścisnęło w gardle. Właśnie ta muzyka i towarzyszące jej delikatne klaskanie w dłonie sprowadziły ją pod te drzwi. Nie spoglądali na siebie; tego rodzaju rytmy wymagały skupienia, które można utrzymać, jedynie patrząc w pustkę.

Jedna z dziewcząt — o smukłej sylwetce i głęboko osadzonych oczach, ubrana w używane do tańca spodnie z czarnej lycry i bluzkę z półokrągłym dekoltem — podniosła się z podłogi, trzymając w ręce kłęb ciemnozielonego materiału. Stała w nim, podciągnęła tkaninę i przez chwilę mocowała się z zepsutym suwakiem. Robiła to bez pośpiechu. Następnie zapięła klamerki butów zszarzałych od kurzu. Na koniec wyjęła spinkę z zaczesanych do tyłu włosów i gęste loki opadły jej na ramiona. Zgarnęła wszystkie włosy tak, żeby nie wystawał ani jeden kosmyk, i znów je spięła. Gitarzysta grał dalej przy akompaniamencie klaskania. Dźwięki tworzyły wzór podobny do ręcznie wykonanej koronki. Trudno było dociec, jak poszczególne motywy połączą się w całość, ale po pewnym czasie utworzyły zdumiewający, symetryczny wzór.

Dziewczyna była gotowa. Zaczęła klaskać z pozostałymi, jak gdyby dostrajała się do rytmu. Podniosła ręce i płynnie przeszła do sekwencji zmysłowych ruchów rękami, do czego kontrapunkt stanowiły kołyszące się biodra. Tańczyła przed

gitarzystą, a on obejmował ją nieomylnym wzrokiem, odczytując każdy niuans tańca, dostrzegając nagle drgnienie ciała i odpowiadając dźwiękiem i rytmem. Raz pieścił palcami struny, a za chwilę ostrymi szarpnięciami wygrywał melodię, raczej przewidując, niż dyktując, co nastąpi. Dziewczyna odchyliła się do tyłu, znieruchomiła jakby zawieszona w powietrzu, po czym skręciła tułów w talii i zrobiła obrót. Utrzymując równowagę, dokonała wyczynu, który przeczył prawom grawitacji. Sonii nie mieściło się w głowie, że przy takiej ewolucji nie doszło do upadku. Dziewczyna powtórzyła tę figurę cztery, pięć, nawet sześć razy, udowadniając, że to nie był szczęśliwy traf, i za każdym razem jeszcze bardziej wyginała się w łuk.

Już wyprostowana wykonała serię zwinnych piruetów, kręcąc się w takim tempie, że Sonii przemknęło przez myśl pytanie, czy ona w ogóle się obraca. Wystarczyło mrugnięcie powieką, by przegapić to zapierające dech w piersiach wirowanie. Przez cały czas stopy wystukiwały gniewny rytm. Ręce, nogi, każde ścięgno pracowało przy tym popisie, nawet mięśnie twarzy, której piękne rysy wykrzywiały się w grymasie, upodabniając dziewczynę do maskarona.

Sonia zamarła w bezruchu. Wigor tej młodej kobiety oraz giętkość jej ciała wywierały wrażenie, ale najbardziej zdumiała ją ogrom siły fizycznej, która koncentrowała się w tej niepozornej postaci.

Parokrotnie zdawało się, że taniec zmierza naturalnym tokiem do końca, dziewczyna przystawała i przenosiła wzrok od gitarzysty na klaszczących, ale zaraz sama zaczynała klaskać, a potem znów przytupywała i kołysała się, wykonując węzowe ruchy rękami. Często rozlegał się cichy okrzyk zachęty: „*Ole!*”, świadczący o tym, że tancerka wzbudziła nie tylko podziw, lecz także emocje ludzi równych sobie, którzy siedzieli na swoich miejscach i kiwali się na boki.

Gdy taniec naprawdę się skończył, rytmiczne klaskanie natychmiast przemieniło się w huczną owację. Niektórzy wstali i zaczęli ścisnąć dziewczynę, teraz przepięknie uśmiechniętą.

Do drzwi, które podczas tańca Sonia uchyliła trochę bardziej, zbliżał się stanowczym krokiem jeden z akompaniatorów. Choć nie zauważył jej ani wcześniej, ani teraz, i tak oddaliła się chyłkiem i zniknęła w toalecie. Nie była świadkiem zbrodni, ale miała wrażenie, że obserwowała coś zakazanego, występ, który może nigdy nie zostałby zaprezentowany publicznie.

Tego wieczoru Sonia chętnie poszła znów do klubu salsy. Już nie odczuwała lęku na myśl o przekroczeniu progu lokalu, gdzie nie znała prawie nikogo. Gdy się rozluźniła i przyjęła kilka zaproszeń do tańca, zaczęła bawić się równie dobrze jak poprzednim razem. Salsa przyjemnie oddziaływała na umysł i ciało, była o niebo inna od nasyconego emocjami flamenco. Mimo to Sonia nie mogła wymazać z pamięci obrazu dziewczyny, która po południu tańczyła z taką nieokiełznaną namiętnością przed swoim *gitano*, swoim Cyganem.

Rozdział 7

Następnego ranka Sonia wreszcie zrozumiała, dlaczego leżące nieopodal góry nazywają się Sierra Nevada — śnieżne góry. Mimo pogodnego nieba w powietrzu utrzymywała się mroźna świeżość. Gdy Sonia wyszła rankiem z hotelu, miała wrażenie, że znalazła się w lodówce.

Był to ich ostatni pełny dzień w Grenadzie. Na myśl o pobycie w tym mieście, choć się nie zakończył, Sonię już ogarniała nostalgia. Została im jeszcze jedna lekcja tańca i jeszcze jeden wypad do nocnego klubu, który opuszczają o brzasku.

Tego dnia słońce miało z trudem wznieść się ponad blade wieże Alhambry i tylko przez krótki czas pokryć złotym blaskiem place, zanim schowa się za górami. Właściciel kawiarni — Sonia teraz zauważyła, że jej ulubiona kawiarnia nazywa się El Barril — wiedział, że niewielu gości będzie chciało siedzieć na chłodzie, więc nawet nie fatygował się wystawianiem krzesel. Sonia weszła do środka i musiała odczekać, by wzrok przyzwyczał się do panującego tam mroku.

Staruszek, zajęty polerowaniem kieliszków za barem, wyszedł jej na powitanie. Nie musiał pytać, czego się napije. Zaraz zaskrzypiał młynek do kawy i rozpoczęło się przygotowywanie napoju — ze skrupulatnością naukowca, który przeprowadza eksperyment.

Ponieważ nawet właścicielowi niewygodnie było pracować w mroku, przemierzył salę i przekreślił kontakt. Nagły rozbłysk światła odmienił pomieszczenie. Okazało się znacznie większe, niż Sonia dotąd przypuszczała — duży pokój, może trzydzieści okrągłych stolików, przy każdym dwa lub trzy krzesła i dziesiątki następnych w stosach do sufitu pod tylną ścianą. Ogrom wnętrza zaskakiwał. Umeblowanie i wystrój nie wyróżniały się niczym szczególnym, natomiast ściany przykuwały wzrok. Nie było na nich ani kawałka wolnego miejsca.

Na jednej ścianie wisiały dziesiątki plakatów zapowiadających korridę. Coś takiego Sonia już widziała. Identyczne druki sprzedawano w całej Hiszpanii, dostosowane do potrzeb indywidualnego turysty, z jego nazwiskiem, by mógł się poczuć jak słynny toreador. Każdy angielski chłopiec wracał stąd do domu z taką pamiątką. Ale wiszące tu afisze nie były pamiątkami turystycznymi. Pokryte patyną przeszłości wyglądały autentycznie. Sonia wstała, żeby im się lepiej przyjrzeć.

Reklamowane na nich walki byków odbywały się w całym kraju, na arenach w Sewilli, Madrycie, Maladze, Almerii, Rondzie... Lista była długa. Nazwy miast się zmieniały, ale jedno nazwisko powtarzało się na wszystkich plakatach: Ignacio Ramirez.

Sonia szła powoli od jednego druku do drugiego, zwracając uwagę na detale, niczym krytyk sztuki na wernisażu. Rząd plakatów kończył się fotomontażem czarno-białych zdjęć przedstawiających tego samego mężczyznę, zapewne Ignacia Ramireza. Po części były to portrety w sztywnych pozach, każdy w innym stroju toreadora: obcisłe haftowane spodnie trzy czwarte, krótki zakiet z bogatym wytłaczanym wzorem i trójgromny kapelusz. Mężczyzna miał groźną minę, z przystojnej twarzy biła arogancja i niepomaganie. Sonia zastanawiała się, czy takim samym spojrzeniem mierzył byka, by go przerazić i zmusić do uległości.

Zapewne właśnie to robił na innym zestawie fotografii, gdzie pokazano go w akcji. Stał naprzeciw byka, zaledwie kilka

metrów od pięciuset kilogramów nieokiełznanej wściekłości. Na paru ujęciach świst kapy uwidocznił się jako niewyraźna smuga. Na jednym zdjęciu zwierzę przebiegło tak blisko, że gdyby nie zasłonięte kapą rogi, można by zobaczyć, czy otarło się o ciało matadora.

W tym momencie procedura parzenia kawy została zakończona i filiżanka smolistego płynu wraz z dzbanuszką parującej białej piany znalazła się na stoliku opodal gościa. Sonia wlała odrobinę mleka do kawy i piła drobnymi łykami, ani na chwilę nie odrywając wzroku od fotografii. Kelner stanął obok jakby w gotowości do udzielenia odpowiedzi na pytanie.

— Kto to był Ignacio Ramirez? — zapytała Sonia.

— Najmłodszy z chłopców, którzy tu kiedyś mieszkali, i doskonały toreador.

— Byk zadał mu śmiertelny cios? Na tym zdjęciu znajdują się trochę za blisko, żeby to się mogło dobrze skończyć.

— Nie, tak nie umarł.

Stali przed fotografią, na której mężczyzna trzymał wysoko uniesioną szpadę, a byk znajdował się kilkadziesiąt centymetrów od niego. Fotograf zatrzymał w kadrze dramatyczną chwilę, gdy matador jest gotów wbić ostrze między łopatki zwierzęcia.

Człowiek i byk patrzyli sobie w oczy.

— To jest *la hora de la verdad* — odezwał się kelner.

— Godzina... czego?

— Można to przetłumaczyć jako „chwila prawdy”. Wtedy matador musi zadać śmiertelny cios. Jeśli wybierze nieodpowiedni moment albo nieczysto wbije szpadę, jest skończony. *Terminado. Muerto.*

Dopiero gdy zapoznała się z każdym zdjęciem po kolei i spojrzała w nieprzeniknione ciemne oczy wyzierające z fotografii, zauważyła potężny łeb i barki byka na ścianie naprzeciwko baru. Miał czarną jak węgiel sierść, niemal metr w barkach i nawet po śmierci przerażająco dzikie spojrzenie. Na tabliczce pod spodem, zawieszanej trochę za wysoko, przeczytała z trudem datę: 3 de Septiembre 1936.

To trafienie należało do jego najlepszych — rzekł staruszek. — Walka toczyła się tu w Grenadzie. Z tego zwierzęcia była bestia, co się zowie, a publiczność kompletnie oszalała. Mieliśmy wspaniały dzień. Nie potrafię opisać podniecenia na urenie. Widziała pani kiedyś korridę?

Nie, nigdy.

Powinna pani zobaczyć — powiedział z uniesieniem w głosie. — Choć raz w życiu.

- Chybabym tego nie zniosła. Wygląda tak brutalnie.

Cóż, istotnie, byk zazwyczaj ginie. Ale korrida to coś dużo więcej. Można ją porównać do tańca.

To stwierdzenie nie przekonało jej, ale wiedziała, że teraz nie jest odpowiednia chwila na rozmowę o okrutnym, w jej wyobrażeniu, sporcie. Podeszła do przeciwległej ściany, tak samo pokrytej masą zdjęć, w większości młodych kobiet w strojach do flamenco. Na niektórych widniał również mężczyzna.

Na pierwszy rzut oka można było sądzić, że są to zdjęcia różnych dziewcząt, ale po dokładnym przyjrzeniu się Sonia stwierdziła, że jest na nich jedna i ta sama dziewczyna, która przeobraża się z dziecka w dorosłą kobietę, z pulchnej małej dziewczynki, ubranej w sukienkę w groszki, w ponętą piękność o gniewnym wyrazie twarzy, ubraną w koronki, z brzydkiego kaczątką w pełnego wdzięku łabędzia, któremu nie brakuje nawet wachlarza z piór. Na każdym zdjęciu była inaczej uczesana: tu włosy w lokach, tam zaplecione w warkocze, gdzie indziej zebrane w kok albo z wielkim grzebieniem wpiętym z tyłu. Stroje także się różniły. Miała suknie z ogromnymi, falbaniastymi ogonami, czasem chustę z frędzlami albo spódnicę do kolan, a raz nawet spodnie i krótki żakiet. Co zdjęcie to inny ubiór, ale ta sama prowokacyjna, ognista ekspresja, czyli *actitud*, jak powiedziałyby Corazón.

Siostra Ignacia — pospieszył z wyjaśnieniem staruszek.

Jak się nazywała?

Mercedes Catalina Concepción Ramirez — wyrecytował powoli, jak wiersz.

— Brzmi imponująco.

— Dość powszechne imiona w tych okolicach. Cała rodzina mówiła na nią Merche.

— Była piękna, prawda?

— Tak, była... — urwał, jakby zabrakło mu słów —... bardzo piękna. Rodzice ją hołubili, a bracia tak rozpieszczali, że mogłoby się to dla niej źle skończyć. Zachowywała się niesfornie, ale wszyscy ją uwielbiali. Kochała taniec, flamenco, jak widać, i była bardzo dobra, bardzo, bardzo dobra. Zyskała sławę w tej części kraju.

Sonia wciąż miała w głowie obraz tancerki, którą widziała poprzedniego popołudnia. Kobieta na tych zdjęciach wyglądała zupełnie inaczej niż tamta.

— Gdzie tańczyła?

— Na wszystkich okolicznych fiestach, na *juergas*, to znaczy prywatnych przyjęciach, i czasem w barze. Od trzeciego roku życia zabawiała ludzi, udając tancerkę flamenco, i w nieskończoność, jak nakręcana lalka, ćwiczyła podstawowe kroki. W dniu swoich piątych urodzin poszła na pierwszą prawdziwą lekcję flamenco na Sacromonte i dostała na urodziny pierwszą parę prawdziwych butów to tańca.

Sonia uśmiechnęła się. Wzruszył ją oficjalny ton, jaki przybrał starszek. Jak u cudzoziemca w podeszłym wieku jego angielszczyzna była staranna. Z wyraźną przyjemnością opisywał szczegółowo wydarzenia z przeszłości.

— Zdaje się, że wytrwale zmierzała do celu. Czy jej matka tańczyła?

— Jak większość tutejszych kobiet — odrzekł starszek. — Każdy dorasta tu, stykając się z ludźmi tańczącymi flamenco. Tak już jest w tym mieście. Ludzie tańczą podczas fiest, na przyjęciach, na Sacromonte, większość dziewcząt w którymś momencie próbuje swoich sił, ale nie z takim zaangażowaniem jak ta mała.

— Kto jej akompaniował? Jej ojciec grał na gitarze?

— Trochę. Poza tym jeden z braci był bardzo muzykalny,

więc zawsze znalazł się ktoś chętny do grania. Pierwszy raz wystąpiła przed publicznością tu w barze. Miała wtedy z osiem lat. Akompaniował jej Emilio, ten brat utalentowany muzycznie. Przyjęto ją owacyjnie. Nie tylko dlatego, że wszyscy widzowie znali ją od małości — nie traktowali jej protekcjonalnie, dużej słowo. Dostrzegli w niej coś więcej. Ta dziewczynka, tańcząc, wchodziła w innym wymiar. Była w tym jakaś magia. Nawet gdy ludzie przywykli do jej występów, zawsze ściągała tłumy.

Zamilkł na dłuższą chwilę, wpatrzony w zdjęcia. Sonii wydawało się, że staruszek ma łzy w oczach. Odchrząknął, jakby coś uwięzło mu w gardle. Widać było, że chce dodać parę słów.

- Ona miała *duende*.

Znowu usłyszała to słowo. Staruszek wymówił je poprzedniego dnia, ale wtedy tak naprawdę nie wiedziała, co ono znaczy, natomiast teraz, w tym kontekście, domyśliła się sensu. Zdaje się, że to było coś nie z tego świata, jakaś moc, która powoduje, że człowiekowi włosy stają na głowie.

Oboje nie ruszyli się z miejsca przez parę minut. Przyglądając się tej kobiecie, Sonia przyznała w duchu: tak, ona miała *duende*.

Pożegnała się z właścicielem kawiarni i obiecała odwiedzić go, jeśli będzie kiedyś w Grenadzie. Choć rozmawiali ze sobą zaledwie parę razy, polubiła staruszka i na do widzenia pocałowała go w oba policzki. Jakże różniła się od Maggie! Żadna z jej dotychczasowych znajomości nie była tak bliska wakacyjnego romansu jak ta. A nawet nie poznali swoich imion.

Rozdział 8

Po południu odbywała się ostatnia lekcja tańca. Z upływem tygodnia coraz bardziej dawało się we znaki późne chodzenie spać. U wszystkich uczniów brak snu wywierał wpływ na ich zdolności wypełniania poleceń nauczycieli.

Sonia i Maggie nie były wyjątkiem, miały nogi jak z ołowiu, gdy starały się wykonywać zademonstrowane im tego dnia kroki. Sonia kilkakrotnie przeproszała swojego partnera; zazwyczaj opanowany fordanser, któremu przyszło tańczyć z Maggie, w którymś momencie krzyknął z bólu. Cierpliwość Corazón była na wyczerpaniu.

— *Vamos, chicos!* No dalej, wszyscy, proszę! — powtarzała, usiłując obudzić w uczniach energię. Potem wydawała okrzyki zachęty, jeśli udało im się choć w przybliżeniu powtórzyć obrót, który im pokazała. — *Eso es! Eso es!* Otóż to! Otóż to!

Nawet fordanserzy byli wyczerpani tego dnia. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby nie otrzymywali wynagrodzenia, woleliby znaleźć się wszędzie, tylko nie tu. Uczniowie nie nabrali animuszu ani werwy pod wpływem radosnej salsy, choć Felipe i Corazón usilnie starali się ich ożywić. W końcu nauczyciele zrezygnowali z dalszych prób.

— *Vale, vale.* Wystarczy. Zajmiemy się czymś innym — powiedziała Corazón. — Idźcie na przerwę, a potem zademon-

strujemy wam nowy taniec, który nie byłby zbyt forsowny nawet dla waszych babek.

Z odtwarzacza popłynęła muzyka o zupełnie innym rytmie.

— Merengue! — zawołała Corazón, porywając Felipe. — Jeżeli umiecie liczyć do dwóch, dacie sobie radę.

Był to rzeczywiście bardzo łatwy taniec w mechanicznym rytmie raz, dwa, raz, dwa, który wymagał od partnerów tylko tego, by chcieli przykleić się do siebie i kołysać z nogi na nogę. Banalny w swej prostocie, niemniej podniósł wszystkich na duchu. Po jakichś dziesięciu minutach został urozmaicony prostymi obrotami i nastrój na sali uległ zmianie. Twarze rozjaśniły się uśmiechami.

— Bardziej intymnego kontaktu w ubraniu chyba nie można sobie wyobrazić! — wysapała Maggie.

— I pomyśleć, że oni nazywają to tańcem — zgodziła się ze śmiechem Sonia.

Rozbawione przyjaciółki znowu przyłgnęły do siebie. Nastrój merengue nie mógł bardziej różnić się od napawającego niepokojem flamenco.

Efekty nauki tego tańca uwidoczniły się natychmiast, po jednej lekcji, a nie po upływie całego życia. Merengue przyzwalało na niemal bezecne zbliżenie z partnerem, podczas gdy flamenco wymagało całkowitego pogrążenia się w sobie. Było skrajnym przeciwieństwem tańca Cyganów i tylko nieliczni nie poddawali się momentalnie jego wdziękowi i żywiołowości. Nie miało mrocznego klimatu flamenco, ale również było pozbawione jego głębi.

Nadeszła chwila rozstania i wszyscy obcałowywali się w oba policzki, jakby połączyła ich przyjaźń do grobowej deski, wymieniali się numerami telefonów komórkowych, obiecywali sobie nawzajem spotkania w klubach salsy i odwiedziny w ojczystych krajach. Corazón powiedziała, że byli cudowni, i wyraziła nadzieję, iż wrócą tu, by kontynuować naukę. Felipe pozwolił żonie przemawiać również w jego imieniu i stał przy niej, kiwając z uśmiechem głową. Dla obojga była to cotygodniowa ceremonia.

Znalazłszy się na ulicy, ożywione nowym duchem po zakończeniu zajęć, Sonia i Maggie szły pod rękę.

— Chodźmy uczcić dobry początek naszej kariery tanecznej — zaszcebiotała Maggie.

— Świetnie. Dokąd pójdziemy?

Pytanie było retoryczne. Miały do wyboru setki barów, wszystkie nieopodal plamy słońca na chodniku, gdzie przystanąły.

— Przejdźmy się, aż coś przypadnie nam do gustu.

Spacerowały przez dziesięć minut, mijając zamknięte nadal sklepy i nielicznych przechodniów. Kilka par starszków — malutkich, siwowłosych i elegancko ubranych — wybrało się na popołudniową przechadzkę dla zdrowia, żeby rozprostować dotknięte artretyzmem nogi i po drodze może wstąpić gdzieś na kawę i kieliszek koniaku. Sonia i Maggie skręciły w główną ulicę.

Mało brakowało, a minęłyby Casa Enrique. Bar zajmował niewielką przestrzeń między dwoma sklepami. Przy wejściu nie kołysał się szyld, za to na chodniku, niemal tarasując drzwi, postawiono starą beczkę, która teraz służyła jako stół. Dwóch dystyngowanych panów, jeden w oliwkowej marynarce, drugi w ciemnym garniturze, siedziało w późnym popołudniowym słońcu i prowadziło przyjacielską pogawędkę, trzymając kieliszek riojy w jednej ręce i grube jak ogórek cygareto w drugiej. Byli uosobieniem tutejszej szacowności i zamożności.

Maggie wprowadziła Sonię do ciemnego wnętrza, po drodze obdarzywszy obu panów uśmiechem. W pomieszczeniu niewiele większym od korytarza znajdowała się szeroka może na metr przestrzeń dla klientów. Przyjaciółki zamówiły po kieliszku wina i wybrały przekąski z listy umieszczonej na tablicy przy wejściu.

— No i jak? Dobrze się bawiłaś? — zapytała Maggie, trącając kieliszek Sonii swoim.

— Wspaniale — przyznała szczerze Sonia. — Tańce sprawiły mi ogromną przyjemność.

— Mnie też. — Maggie nie kryła zadowolenia. — Było cudownie.

— Nie tylko z powodu tańców, jak sądzę — przekomarzała się Sonia.

— Istotnie, nie tylko...

Opróżniły kieliszki i wyszły na ulicę. Jeden z panów siedzących przy drzwiach zwrócił uwagę na Maggie i dotknął jej rumienia.

— *Senora...*

Przystanęła.

— No, Maggie, idziemy — powiedziała Sonia.

Objęła przyjaciółkę ramieniem, elegancko wyprowadziła z lokalu i powiodła ulicą. Po raz pierwszy przemknęło jej przez myśl, że Maggie powinna mieć się na baczności przed Hiszpanami odnoszącymi się do każdej napotkanej kobiety ze zbytnią śmiałością.

Zachciało im się spać, więc wróciły do hotelu i położyły się do łóżek. Pobyt w Hiszpanii wygląda jak praca na nocną zmianę, zauważyła Sonia, nastawiając budzik na jedenastą. To był ich ostatni wieczór w Grenadzie i nie zamierzały go zmarnować.

Przez cały wieczór Sonia miała wrażenie, że buja w powietrzu, że nie dotyka stopami parkietu. Wszystko, czego nauczyła się przez ten tydzień, złożyło się w spójną całość. Dotychczas jakaś część niej nie mogła zaakceptować opinii, iż rola kobiety polega nie na podejmowaniu inicjatywy, lecz na reagowaniu na inicjatywę mężczyzny. Teraz jednak to paradoksalne stwierdzenie nabrało sensu: bierność wcale nie jest równoznaczna z uległością. Poczwała, że jej siła zależy od tego, na ile trafna będzie jej reakcja. To nie miało żadnego związku z uległością. Kwestia była delikatna i Sonii przemknęła myśl o Jamesie, który zapewne nic by z tego nie zrozumiał.

Przez całą noc Sonia podskakiwała, wyginała się i rozciągała na parkiecie niczym sprężyna wprawiana w ruch. O czwartej nad ranem zabrakło jej sił, ale gdy dziękowała ostatniemu

partnerowi, na jej twarzy malował się promienny uśmiech zadowolenia. Nie nadepnęła mu na nogę ani nie wybiła go z rytmu, była upojona radością.

Maggie nie miała tak przyjemnego wieczoru. Paco się nie pojawił i po raz pierwszy od kilku dni wracała do hotelu z Sonią.

Gdy wyszły z klubu, ulice wciąż tętniły życiem, splecione w uścisku pary stały w bramach, młodzież ukradkiem wymieniała się narkotykami i pieniędzmi. Maggie, niemal zamroczona tanią brandy, szła chwiejnym krokiem, ciężko wspierając się na znacznie niższej Sonii, która musiała wyężyć wszystkie siły, żeby utrzymać ją w pozycji pionowej. Niewiele brakowało, a obie kilka razy straciłyby równowagę i upadły na wybrukowaną jezdnię. Sonii znów przypomniały się lata ich młodości i stwierdziła, że niewiele zmieniło się od tamtego czasu.

Udało jej się położyć przyjaciółkę do łóżka, przykryła ją prześcieradłem i postawiła szklankę wody na stoliku nocnym, wiedząc, że po przebudzeniu Maggie będzie umierać z pragnienia.

Następnego ranka Maggie najmniej martwiła się tym, że ma ciężką głowę. Była niepokieszona, że Paco okazał się równie nieodpowiedzialny jak wszyscy mężczyźni w jej życiu.

— Przecież i tak wracasz dziś do domu. — Sonia usiłowała przemówić jej do rozsądku.

— Nie o to chodzi — powiedziała przez nos Maggie. — Nawet się nie pożegnał.

W drodze na lotnisko Maggie nie odzywała się słowem, otepiała w pewnej mierze po opróżnieniu miniaturowych butelek z barku w pokoju hotelowym, co miało zastąpić bardziej treściwe śniadanie. Sonia próbowała wyrwać ją z rozpaczy.

— Ani na jotę nie zmieniłaś się od czasu, gdy miałyśmy po szesnaście lat! — zaczęła się lekko przekomarzać.

— Wiem.

Maggie cicho szlochała w mokrą chusteczkę i nie odrywała wzroku od szyby samochodu. Gdy głośno wciągała powietrze, połykając łzy, wydawało się, jakby tonęła.

Sonia w geście pocieszenia położyła rękę na ramieniu przyjaciółki i pomyślała, że obchody tych jakoby radosnych urodzin miały dość ironiczny przebieg — rozpoczęły się od jej łez, a skończyły na łzach Maggie. Może kobiety są zaprogramowane do płakania.

Taksówka z zawrotną szybkością pędziła autostradą, lawirując między samochodami osobowymi i ogromnymi wielokołowcami, które wiozły na północnoeuropejskie rynki produkty hiszpańskie z rozległych obecnie obszarów pokrytych tunelami foliowymi. Przyjaciółki nie odzywały się przez następne pół godziny i wreszcie smutek Maggie i uzalenie się nad sobą zaczęły słabnąć. Jej siły się wyczerpały.

Za łatwo dają się ponieść uczuciom — powiedziała w końcu i łzy znowu zakręciły się jej w oczach. — Ale chyba nie potrafię inaczej.

To trudne — wtrąciła pocieszająco Sonia. — Bardzo trudne.

Ich samolot czarterowy na Stansted miał czterogodzinne opóźnienie. Zanim wylądowały i przejechały przez Londyn, minęła już ósma wieczorem. Taksówka z Liverpool Street zawiozła je najpierw pod dom Maggie w Clapham, gdzie przyjaciółki uściślały się serdecznie na pożegnanie.

Uważaj na siebie! — zawołała Sonia przez okno.

Ty też. Zadzwoń.

Gdy taksówka ruszyła w dalszą drogę, Sonia odwróciła się i przez tylną szybę zobaczyła, jak Maggie wyciąga klucze z torebki. Śmieci i opadłe liście wirowały w rynsztoku. Dwie postacie w kurtkach z kapturem kręciły się opodal. Słabo oświetlona ulica w Clapham robiła żalosne wrażenie.

Choć była oddalona zaledwie o pięć minut jazdy, ulica, gdzie mieścił się dom Sonii — zadbana, z przyciętymi żywopłotami, ścieżkami z kostki mozaikowej i wypolerowanymi okuciami do drzwi — wyglądała jak z innego świata w porównaniu z tamtą, gdzie przy wejściu do każdego budynku znajdował się rząd guzików, a ogródek od frontu wypełniały pojemniki na śmieci.

Mimo że jej przyjaciółka cierpiała udrękę, która zapewne nie będzie trwała wiecznie — na to wskazywało wieloletnie doświadczenie — Sonia zamierzała zachować świetne samopoczucie będące pozostałością kilku ostatnich dni. Przycisnęła lśniący dzwonek, ale nikt nie otworzył drzwi, co przyjęła ze zdziwieniem, ponieważ samochód Jamesa stał przed domem. Odczekała kilku sekund, spodziewając się zobaczyć niewyraźny zarys jego postaci za witrażowymi szybkami, i zaczęła szukać klucza.

Postawiła bagaże na podłodze w holu i zatrzasnęła drzwi wejściowe pchnięciem nogą. Trzaśnięcie, przy dobrej akustyce wysokiego holu wyłożonego terakotą, zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. Sonia skrzywiła się, wiedząc, że James nie cierpi takiego hałasu.

— To ja! — zawołała. — Przyjechałam!

Przez uchylone drzwi do salonu zobaczyła siedzącego w fotelu męża. Czekał, aż ona wejdzie do pokoju, i dopiero wtedy się odezwał.

— Cześć — mruknął, jakby właśnie wróciła z pracy, nie zaś po blisko tygodniowej nieobecności.

Chłód w jego głosie wskazywał, że nie zależy mu na odpowiedzi i po tym beznamiętnym jednosylabowym powitaniu nie padnie słowo więcej. Z minimalnym opóźnieniem odrzekła tym samym tonem:

— Cześć. — I dodała niezdecydowanie: — Jak tu było?

— Dobrze, dziękuję. Zupełnie dobrze.

Opuszczona na chwilę gazeta znowu została podniesiona jak otwierane pionowo okno. Sonia widziała jedynie czubek głowy męża i lśniące miejsce świadczące o początkach łysiny.

Ostatnim słowem Jamesa, wypowiedzianym staccato, więcej niż z cieniem irytacji, towarzyszył głośny trzask rozprostowanej gazety, co świadczyło o podjęciu lektury doniesień o ruchach akcji poprzedniego dnia. Sonia już wychodziła z pokoju, rozpaczliwie pragnąc ugasić pragnienie, gdy usłyszała dobiegający zza pleców głos Jamesa:

— Nie musisz zbytnio przejmować się kolacją. Zjadłem duży lunch.

Po tych słowach Sonia zupełnie upadła na duchu. Przypomniało jej się, jakie zwątpienie ogarnęło ją tamtej nocy w hotelu, zaledwie przed czterema dniami. Miała wrażenie, że miliony kilometrów dzieli ją od Grenady.

Ani mi w głowie przejmować się kolacją, pomyślała, kierując się w stronę kuchni. Ale z jej ust popłynęły słowa:

- No dobrze, zobaczę, co uda mi się upichcić.

Wszystko wskazywało na to, że podczas jej nieobecności James co wieczór jadł poza domem. W lodówce wszystko było nietknięte, ser zapleśniał, pomidory nadgniły. Głębiej na półce leżał kawałek wędzonego łososia, którego termin przydatności do spożycia dopiero co minął — tym James się nie zatruje, uznała. Znalazła jeszcze parę wiejskich jajek. Wystarczy na coś w rodzaju posiłku.

Stojąc w aseptycznie czystej kuchni, miała wrażenie, że sterylność tego otoczenia tamuje jej oddech. Przy zlewie stała pusta szklanka — tylko ona nie znajdowała się na swoim miejscu; mokry krąg u podstawy był jedyną skazą na doskonałej powierzchni blatu. Dębowe szafki kuchenne z przeszklonymi okienkami miały tworzyć rustykalny klimat, ale na tych meblach nigdy nie zaznaczyłby się upływ czasu. Nawet kurz nie osiadłby na profilowanych listwach, nadając im odrobinę charakteru — tak dokładnie sprzątaczką przecierała je wilgotną ściereczką.

Przed ślubem ten dom należał do Jamesa i w odczuciu Sonii tak już pozostało. Zanim się wprowadziła, dokonano generalnego remontu, a potem nigdy nie było mowy o tym, że coś tu można zmienić wedle jej upodobań.

Właśnie wtedy do kuchni wszedł James i rzucił okiem na wystawione składniki.

Doszedłem do wniosku, że jednak położę się do łóżka — oznajmił. — Z samego rana mam spotkanie. Dobranoc.

Zanim Sonia zdołała coś odpowiedzieć, już był na piętrze. Odkręciła kran i odczekawszy dłuższą chwilę, napełniła szklan-

kę lodowatą wodą, po czym wypila duszkiem, stojąc z przechylną do tyłu głową i twarzą zwróconą w górę. Jeden z reflektorków się przepalił. Mała czarna dziura w suficie przykuła jej uwagę.

Swego czasu zainteresowanie detalami funkcjonowania domu skłoniłoby ją do udania się natychmiast w stronę szafki pod schodami i wymiany przepalonej żarówki na nową. Ale nie teraz. Takie rzeczy były już bez znaczenia.

Niekiedy stawała w kuchni i zadawała sobie jedno naprawdę istotne pytanie: czy o to jej chodziło? Jeszcze nigdy nie miała tyłu wątpliwości, czy odpowiedź jest twierdząca.

* * *

James odnosił się do Sonii chłodno przez kilka następnych dni. Pracował do późna, ona też, zajęta rozwiązywaniem sytuacji kryzysowych, które wytworzyły się podczas jej nieobecności.

Prawie przez tydzień nie nadarzyła się sposobność, by usiedli do wspólnego posiłku, a kiedy już to się stało, atmosfera była sztywna. O czym mieli rozmawiać? Sonia wiedziała, że Jamesa nie zainteresują szczegółowe opowieści o pobycie w Grenadzie ani wiadomość o nowej miłości Maggie. Rozmowa toczyła się na tematy ogólne do chwili, gdy została już połowa drugiej butelki wina i James powiedział:

— Gdy cię nie było, wziąłem jedną z twoich książek.

— Ach tak? — zdziwiła się. — Którą?

— *Koniec romansu* — rzekł otwarcie. — Grahama jakiegoś tam.

— Greene'a. Widzieliśmy film na podstawie tej powieści, nie pamiętasz?

James mruknął coś pod nosem.

— Podobała ci się? — zapytała Sonia.

— Nie przeczytałem jej. To znaczy nie do końca.

— Ale zacząłeś, tak?

— Przeczytałem tylko podkreślenia. Całkiem ciekawe.

Sonia nigdy nie pozbyła się szkolnego nawyku podkreślania zdań w książkach i robienia licznych notatek na marginesach.

Dużo o tobie mówiły.

Co chcesz przez to powiedzieć? — Sonia z lekką urazą przyjęła informację, że James analizował jej uwagi do tekstu. Trąciło to jakąś lubieżnością. — Dlaczego nie przeczytałeś całej książki?

Bo zależało mi na poznaniu fragmentów, na które zwróciłaś uwagę. Tak było szybciej.

James mówił napastliwym tonem. Sonia wiedziała, że szykuje się awantura. Sześć kieliszków wina wypitego do kolacji stanowiło tylko dodatek do suto zaprawianego alkoholem lunchu. Czuła, że nie da się uniknąć starcia. Walilo jej serce. Usta Jamesa miały fioletowy odcień, jakby pod wpływem wina, a zęby — zauważyła dopiero teraz — były mocno zabarwione jak po zjedzeniu czarnych jagód.

Podczas czytania zastanawiałem się, czy ty sama nie wdałaś się w romans. Niewątpliwie zaciekawiło cię postępowanie tej kobiety, Sary Miles.

James! To oburzające! Wyciągasz takie wnioski na podstawie kilku zaznaczonych fragmentów w książce?

No właśnie, to wyjaśniałoby, dlaczego co tydzień wymykasz się na te tak zwane lekcje tańca i gdzie spędziłaś zeszły tydzień!

Przecież byłam z Maggie w Hiszpanii, żeby uczcić jej trzydzieste piąte urodziny!

O tak, wiem, że byłaś w słonecznej Hiszpanii. — W jego głosie zabrzmiało szyderstwo. — Dostałaś pocztówkę od jakiegoś obleśnego południowca.

James wstał, chwiejnym krokiem podszedł do kredensu, na którym kładli dostarczoną pocztę, i wziął do ręki pocztówkę. Znajdował się na niej widok Alhambry.

„Droga pani Soniu, miło się z panią rozmawiało. Gdy znowu przyjedzie pani do Grenady, proszę nie zapomnieć mnie odwiedzić. Miguel" — przeczytał.

Pocztówkę zaadresowano na hotel, a stamtąd wysłano do domu Sonii. Uroczy gest ze strony staruszka, pomyślała. Ciekawe, skąd znał jej imię.

James wręczył jej kartkę tak, jakby parzyła go w palce.

— Przypuszczam, że to od kelnera, z którym parokrotnie rozmawiałam — wyjaśniła. — Zapewne nazywał się Miguel.

— Zapewne — prychnął szyderczo.

— Każdego ranka zachodziłam do jego kawiarni, a on opowiadał mi co nieco o historii Grenady — ciągnęła, zachowując się defensywnie.

— Rozumiem. — Oparł się plecami o krzesło i nalał sobie resztę wina. — Kelner — dorzucił z drwiną.

— Chyba się tym nie przejąłeś, James. Ten człowiek jest starcem.

— Sądysz, że w to uwierzę? Naprawdę tak sądzisz? Na miłość boską, Sonia, nie jestem idiotą!

Pochylony ku niej ostatnie zdanie wyrzyczał jej w twarz. Poczula, jak kropelka śliny zabarwionej czerwonym winem pada jej na usta, i ogarnęło ją obrzydzenie. Nie ona wywołała tę sprzeczkę, ale chciała mieć w niej ostatnie słowo.

— Co do tego nie mam pewności — powiedziała, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, zostawiając na stole resztki kolacji.

Tej nocy i przez następne spała w pokoju gościnnym. James jak zwykle wychodził do pracy skoro świt i wracał, gdy położyła się spać. Jakie to dziwne, uprzytomniła sobie Sonia, że można mieszkać z człowiekiem pod jednym dachem i nigdy go nie widywać. Zastanawiała się, jak długo będą tak żyć.

Nawet jeśli musiało dojść do starcia z Jamesem, nigdy by nie przypuszczała, że katalizatorem będzie lekko utykający staruszek z kraju oddalonego o tysiące kilometrów. To ją zaskoczyło.

Rozdział 9

We wtorek Sonia poszła na lekcję tańca w Clapham. Od powrotu z Hiszpanii kilkakrotnie rozmawiała z Maggie przez telefon i przypuszczała, że spotka się z nią na zajęciach.

W porównaniu z prowadzoną z rozmachem szkołą tańca w Grenadzie, mogącą poszczycić się sześcioma salami ćwiczeń i pełnym pamiątek holem, budynek w południowym Londynie wyglądał niepozornie. Mimo to obie siedziby charakteryzowały się tymi samymi dominującymi cechami. Wyczuwało się tam intensywną woń wilgoci i atmosferę zanieczyszczenia, ale również ożywienie, które wabiło większość osób przystępujących przez próg. Kierownicy obu przybytków musieli zajmować się pilniejszymi sprawami niż malowanie ścian i reperowanie światła. Najważniejszy był dla nich taniec.

Sonia lekko zdziwiła się, nie zobaczywszy przyjaciółki, ale wkrótce całą jej uwagę pochłonęły ćwiczenia. Po intensywnej praktyce w poprzednim tygodniu jej umiejętności poprawiły się tak wyraźnie, że pod koniec lekcji Juan Carlos powiedział jej, że jest za dobra, żeby tańczyć z początkującymi, i zapytał, czy nie chciałaby przenieść się do grupy dla średnio zaawansowanych.

— Bardzo chętnie — odparła. — Kiedy odbywają się zajęcia?
— W piątki o ósmej.

Podeksytowana i zaszczyczona zdawała sobie jednak sprawę, że to już będzie za wiele dla Jamesa. Z trudem przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

— A zatem do zobaczenia w piątek — pożegnał ją z uśmiechem nauczyciel.

Małżonkowie nie rozmawiali ze sobą już od kilku dni. Sonia nie była taka naiwna, by spodziewać się przeprosin Jamesa, zwłaszcza że wciąż podejrzewał ją o wakacyjny romans z nadawcą pocztówki, niemniej bardzo pragnęła ocieplenia atmosfery. Jego nieugięte poczucie wyższości i odmowa uwzględniania opinii innych ludzi nie były niczym nowym i dotychczas to ona zawsze robiła pierwszy krok do zgody. Wiedziała, że małżeństwo polega na wzajemnych ustępstwach, jednak kwestionowanie jej prawdomówności przepełniło ją teraz gniewem, który wlał w nią nowe siły, by po raz pierwszy rozważyć możliwość życia bez tego dominującego nad nią od siedmiu lat mężczyzny.

Chodzenie na lekcje tańca w piątek wieczorem bez wątpienia nie załagodzi sytuacji. Tego dnia rozkwitało ich życie towarzyskie, albowiem James nie musiał wstawać skoro świt następnego ranka i jeszcze nikt nie wyjechał na weekend. Tego wieczoru urządzano przyjęcia. Niemniej w obecnej sytuacji trudno było wyobrazić sobie, żeby siedząc przy stole zastawionym najlepszą porcelaną i gawędząc o cenach nieruchomości w Londynie, w rejonie SW12, z powodzeniem odgrywali rolę szczęśliwych małżonków.

Nie nadarzyła się okazja, by porozmawiać z Jamesem. Gdy przyszedł do domu, ona spała już od kilku godzin.

Następnego ranka zadzwoniła do Maggie.

— Dlaczego nie byłaś wczoraj na zajęciach? — zapytała stanowczym tonem.

— Umówmy się na drinka, to ci powiem — odrzekła tajemniczo Maggie. — O wpół do dziewiątej w Grapes?

Tego wieczoru Maggie chciała rozmawiać tylko o jednym. Ledwie stanęła w drzwiach pubu, promieniując zadowoleniem, Sonia domyśliła się, jaki to będzie temat. Ostatni raz widziała ją z zapuchniętymi od płaczu oczami. Teraz lśniły z radości.

- Co takiego się wydarzyło? — zapytała niecierpliwie.

Nalała Maggie wina, którego butelka już stała na stoliku, i trąciły się kieliszkami.

- No więc... w sobotę zadzwonił Paco. Okazało się, że tamtego wieczoru nie mógł przyjść do klubu, bo padł mu samochód... A jego komórka nie miała zasięgu. Bardzo przepraszał, szczerze i gorąco.

I tak powinno być, zważywszy, jaka byłaś przybita.

To nie wszystko. Chce, żebym znowu przyjechała... i została z nim.

Sonia zamyśliła się na chwilę. Choć wiedziała, że zdrowy rozsądek nigdy nie odgrywał większej roli przy podejmowaniu przez Maggie decyzji, uważała, że jej zadanie polega na tym, by od czasu do czasu zaproponować coś sensownego i doradzić ostrożność.

Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

Maggie spojrzała na przyjaciółkę z lekkim zdziwieniem.

Nie widzę dobrego powodu, żeby nie jechać. W gruncie rzeczy zastanawiam się, czy nie zostawić tego wszystkiego i nie zamieszkać tam na stałe. Od lat chodzi mi to po głowie.

Co z Candy?

Chce wynająć mieszkanie razem z koleżankami ze szkoły plastycznej, więc nie będzie jej brakowało mnie aż tak bardzo.

A twoja praca?

Mam umowy-zlecenia. Mogę to rzucić kiedy bądź. A Hiszpania jest przecież tania jak barszcz. Zaoszczędziłam trochę pieniędzy.

Jak dla mnie to wszystko dzieje się za szybko.

Istotnie, ale spójrzmy prawdzie w oczy, Sonia. Co mam do stracenia?

Trzeba było przyznać jej słuszność. Ramy jej życia były elastyczne. Sonię trzymało w miejscu wszystko do najmniejszego szczegółu, Maggie zaś wiązało niewiele. Nie miała zobowiązań finansowych, a jej córka wiodła samodzielne życie.

— Nawet jeśli nie wyjdzie mi z Pakiem — powiedziała, kołyszając winem w kieliszku — to przynajmniej będę mieszkała w kraju, który kocham.

Z punktu widzenia Sonii były tylko dwa powody, żeby odradzać przyjaciółce ten wyjazd: po pierwsze, będzie za nią tęskniła, po drugie, powątpiewała w szczerść Hiszpana.

Nie wyraziła tych myśli głośno. Pod koniec wieczoru wyszło na jaw, że Maggie już zarezerwowała bilet na samolot, co tylko potwierdziło niejasne podejrzenia Sonii, iż jej zdanie w ogóle się nie liczy.

Maggie była tak przejęta swoimi planami, że Sonia zdołała opowiedzieć jej o kłopotach z Jamesem dopiero przy końcu spotkania.

— A więc pokłóciliście się właściwie zaraz po twoim powrocie do domu? Z powodu jakichś uwag na kartach powieści? A potem on uznał, że romansowałaś z kelnerem?

— Do tego mniej więcej to się sprowadza — przyznała z zakłopotaniem Sonia.

— Przecież to absurd. On jest rzeczywiście idiotą, jeśli mogą tak powiedzieć.

— Możesz. W końcu zawsze tak uważałaś — zaśmiała się Sonia.

— No i co postanowisz w kwestii piątkowych lekcji tańca? — spytała Maggie, jakby to było najważniejszą sprawą.

— Boję się mu powiedzieć. Ale muszę chodzić na lekcje. Nie mogę po prostu przestać tańczyć, prawda?

— Nie możesz. Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu i spodziewam się usłyszeć, że podjęłaś słuszną decyzję.

Wypiły do końca butelkę wina i opróżniły miseczkę z mizerną porcją oliwek, które miały im przypomnieć o pobycie w Hiszpanii.

Wyszły na ulicę i wzięły się w objęcia.

Uważaj na siebie, Maggie — powiedziała Sonia. —
Będziesz w kontakcie, prawda?

- Oczywiście. A ty będziesz mnie odwiedzać. Jeśli nie,
przyjadę po ciebie i zaciągnę cię tam.

Dziesięć dni później, związawszy różne nitki swego życia
tak starannie, jak się tylko dało, Maggie wyjechała przeżyć
woje zauroczenie.

Rozdział 10

Sonia policzyła tygodnie od ostatniej wizyty u ojca. Gdy stwierdziła, że widziała go niemal przed dwoma miesiącami, ogarnęło ją poczucie winy, której jako jedynaczka nie miała z kim dzielić.

Żałowała, że nie mieszkają bliżej siebie, ale Jack niezmiennie zapewniał ją, że niczego mu nie brakuje i wołałby nie opuszczać znajomej dzielnicy, gdzie się urodził i przeżył dojrzałe lata. Czasami zastanawiała się, co będzie, gdy on zniedołężnieje, i próbowała wyobrazić sobie, że ojciec przeprowadza się do niej i Jamesa. Takiego obrazu jakoś nie udało jej się przywołać. Gdy zostawiła z tyłu zadrzewione ulice Wandsworth i minęła Balham, Tooting i Norwood, powiedziała sobie, że w żadnym wypadku nie może martwić ojca swoimi problemami małżeńskimi.

Croydon. Gdyby szukać miejscowości będącej pełnym przeciwieństwem Grenady, to szare przedmieście nadawałoby się doskonale. Tutejszy brak romantyczności, magii i piękna jest chyba bezprecedensowy w zachodnim świecie, pomyślała Sonia. Aż coś ścisnęło w duszy, gdy szło się tymi bezbarwnymi ulicami. Zastanawiała się, czy projektanci tej części miasta z lat sześćdziesiątych w ogóle przyjeżdżali tu, by zobaczyć, jak się starzeje ich dzieło. Czy wyobrażali sobie, że jasny beton

pokryje się nierównymi smugami brudu, że ogromne tafle przyciemnionego szkła zmętnieją od kurzu? Po co architekci mieliby, u licha, tu wracać? W każdym razie jej ojciec kochał tę okolicę i choć na jego oczach zmieniła się nie do poznania, widział jedynie cień tego, czym niegdyś była. Tu ulokował swoje serce.

Rytuał przebiegał tak samo jak zwykle. W to sobotnie popołudnie w mieszkaniu Jacka Haynesa herbatniki Nice już leżały na talerzyku ozdobionym wyblakłymi z upływu czasu kwiatkami.

Jak tam nauka tańca? — zapytał.

Idzie mi naprawdę dobrze — uśmiechnęła się. — Mam z tego wielką przyjemność.

To wspaniale. Chciałbym nadal móc tańczyć. — Zaśmiał się do siebie. — Mógłbym ci pokazać parę kroków z naszych dawnych czasów. Ale pewnie uznałabyś, że są zbyt staroświeckie.

Nie sądzę. Taniec to taniec, prawda?

Bo ja wiem. Tak czy owak, cieszę się, że nadal tańczysz.

Nie mieści mi się w głowie, że mogłabym zrezygnować.

Jak było w Hiszpanii? — spytał. — Dziękuję za pocztówkę. Udały się urodziny Maggie?

Tuż przed wyjazdem Sonia zadzwoniła do ojca z wiadomością, że wybiera się w podróż ze szkolną koleżanką.

Fantastycznie — odrzekła, popijając herbatę z delikatnej filiżanki. — Podczas pobytu wzięłyśmy kilka lekcji tańca.

Wspaniale. Dokąd pojechaliście?

Do Grenady...

Ledwie wymówiła nazwę miasta, a ojciec powtórzył ją cicho pod nosem.

Grenada. Tam urodziła się twoja mama.

Naprawdę? — zawołała Sonia. — Pierwsze słyszę. To takie piękne miejsce.

I wtedy Jack zasypał ją pytaniami. Chciał dowiedzieć się jak najwięcej: jak wygląda miasto, co jadła i gdzie, czy widziała

jakieś zabytki. Zawsze okazywał zainteresowanie jej życiem, ale teraz wprost nie mógł się nasycić informacjami.

Opisywała Grenadę ze szczegółami, płataninę brukowanych ulic, cudowne zadrzewione place, wspaniałe bulwary i ośnieżone góry, które stanowiły tło dla miasta, nierealną, prawie filmową scenografię. Zachwycała się ciepłą czerwoną kolorystyką Alhambry i nastrojową mauretańską dzielnicą u jej podnóża, taką samą od wieków i nadal pozbawioną samochodów. Jack słuchał z przejęciem, ale najbardziej interesowały go lekcje tańca.

Mówiła o szkole, nauczycielach i nocnym klubie, gdzie nabierały wprawy, i o rodzajach wykonywanych tańców.

— Tańczyliśmy salsę, merengue i nawet trochę flamenco — powiedziała.

Jack dolał sobie herbaty. Jak zwykle o tej porze przejechał z łoskotem pociąg towarowy i delikatnie zadzwoniły stojące na spodeczkach filizanki.

— W Grenadzie jest tak pięknie. Właściwie dlaczego mama stamtąd wyjechała? — zapytała Sonia.

Nie przestając mieszać cukru w filizance, Jack Haynes podniósł wzrok na córkę.

— To miało jakiś związek z wojną domową. Zdaje się, że mnóstwo ludzi wyjechało wtedy z kraju.

— I nie chciała wrócić?

— Nie sądzę. Poza tym poznała mnie — dodał z uśmiechem, a na jego starym obliczu pojawiło się tyle zmarszczek, ile miał lat.

— No tak. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbyś zamieszkać w Hiszpanii.

Trudno jej było wyobrazić sobie ojca za granicą. Źle znosił gorąco, lubił tylko proste jedzenie i nie znał języków obcych.

— Nie miała jakichś krewnych, których chciałaby odwiedzić?

— Zdaje się, że nie pozostał nikt z jej rodziny.

Słyszając mało konkretne odpowiedzi ojca, Sonia uznała, że

nie warto zadawać zbyt wielu pytań, ale zaczęli wspominać jej mamę. Jack zazwyczaj nie rozwodził się o Mary. Choć patrzył na chorobę żony i opiekował się nią przez piętnaście lat, jej śmierć była dla niego ciężkim ciosem. Nieznajomi, którzy z nim rozmawiali, zazwyczaj sądzili, że jego żona zmarła całkiem niedawno. Tak świeży wciąż zdawał się jego ból. Tego dnia Sonia ośmieliła się dłużej rozmawiać o matce.

Pozostało mi w pamięci jakieś mętne wspomnienie z czasów, gdy miałam dziesięć, może jedenaście lat — powiedziała w zamyśleniu.

Wspomnienie czego?

Tego, że mamie bardzo nie podobało się, gdy ludzie zaczęli wyjeżdżać na wakacje do Hiszpanii. Któregoś dnia jedna z moich szkolnych koleżanek wróciła stamtąd i zaczęła opowiadać, jaki to fantastyczny kraj, a mama wpadła wtedy w szal.

Tak było — wtrącił cicho Jack.

I pewnego lata zapytałam, czy moglibyśmy tam pojechać.

Jack doskonale pamiętał tę sytuację. Mary Haynes, choć fizycznie słaba, ostro zareagowała na propozycję córki. Czasem przejawiała resztki gwałtownego południowego temperamentu. Jack mógł powtórzyć niemal każde zjadliwe słowo, które wyrzuciła z siebie.

„Nawet gdyby chciano mi zerwać wszystkie paznokcie, moja noga nie postanie w tym kraju... dopóki ten faszysta nie znajdzie się w grobie”.

Sonia nie miała wówczas pojęcia, kto to jest „ten faszysta”. Początkowo myślała, że wykazała się niedelikatnością, proponując podróż do odległego kraju, gdy rodzice ledwie mogli sobie pozwolić na jakiegokolwiek wakacje. Potem ojciec wyjaśnił jej całą sprawę.

„Franco nadal jest u władzy — powiedział, gdy Mary oddaliła się na tyle, że nie mogła go słyszeć. — Doprowadził do wojny domowej, która była powodem wyjazdu twojej mamy z kraju. Dlatego ona wciąż nienawidzi tego człowieka”.

Było to w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku, a rok później Franco zmarł. Nawet po jego śmierci mama Sonii nie wyrażała chęci powrotu do Hiszpanii i ani razu o niej nie wspomniała.

Wypili jeszcze trochę herbaty i Sonia poczęstowała się słodkim ciasteczkiem.

— Jakie to smutne, że nigdy więcej nie zobaczyła Grenady — odezwała się. — Pielęgnowała swój hiszpański?

— Po jakimś czasie przestała. Na początku nie знаła słowa po angielsku, ale pamiętam, jak pewnego ranka obudziła się ze świadomością, że już nie śni w ojczystym języku, i się rozplakała.

Jack Haynes chciał, żeby córka przestała rozmyślać o smutnych doświadczeniach matki związanych z opuszczeniem kraju rodzinnego i żeby zachowała jej pozytywny obraz, więc zaraz się pohamował.

— Wiesz, mam kilka fotografii z czasów, gdy mama mieszkała w Grenadzie — powiedział, otwierając pełną papierów szufladę ciężkiego biurka i wygrzebując spod nich kopertę z zagiętymi rogami.

Gdy usiadł z powrotem w fotelu, podał Sonii parę zdjęć, które wypadły mu na kolana. Na pierwszym Mary stała przed kościołem, może podczas uroczystości Pierwszej Komunii. Uwagę Sonii przykuły dwa następne. Na drugim mama była ubrana w tradycyjny strój do flamenco. Spoglądała wesoło, przekornie, zalotnie, ale prawie pół twarzy zasłaniał, ku rozdrażnieniu Sonii, wachlarz. Gdyby nie wiedziała, że zdjęcie przedstawia Mary Haynes, w ogóle by jej nie rozpoznała — tak trudno było wyobrazić sobie, że kobieta z fotografii jest tą samą osobą co słabowita kobieta ze wspomnień. Tu miała krucze włosy, wyglądała majestatycznie; nie ulegało wątpliwości, że jest Andaluzijką.

Sonia spojrzała na następne zdjęcie. Przez chwilę nie odrywała od niego wzroku, potem zaschło jej w gardle. Sfotografowana kobieta w ogóle nie przypominała jej matki, nato-

miast była uderzająco podobna do kogoś innego — do dziewczyny ze zdjęć w kawiarni. Sonia uznała, że tę myśl należy porzucić jako absurdalną, ale nie potrafiła całkowicie jej wymazać.

Zauważyła, że te zdjęcia były oglądane po wielokroć, co potwierdziło jej podejrzenia, że ojciec częściej rozpamiętywał przeszłość, niż się do tego przyznawał. W żadnym wypadku nie chciała zasmucać go kolejnymi niepotrzebnymi pytaniami.

Zasłonięta wachlarzem kobieta mogła być jakkolwiek mieszkanką Grenady, powiedziała sobie stanowczo Sonia, ale gdy ojciec zaczął się krzątać wokół stolika, a potem poszedł do kuchni, żeby napelnić imbryk, wsunęła obie fotografie do torebki. Po wypiciu następnej filiżanki herbaty pocałowała ojca na pożegnanie.

* * *

Impas w stosunkach z Jamesem nie mógł się ciągnąć. Prędzej czy później któreś z nich musiało przemówić.

Sonia wiedziała, że James jest jeszcze bardziej uparty niż ona i dlatego to ona będzie musiała podjąć kroki zmierzające do zbliżenia stanowisk. Któregoś wieczoru, przed pójściem spać, zostawiła mu kartkę na stole kuchennym, proponując **wspólną** kolację następnego dnia. Ale gdy zeszła rano na śniadanie, okazało się, że kartka leżała nietknięta. Zajrzała więc do ich sypialni na piętrze. Zauważyła, że James, który zawsze ścielił porządnie łóżko, tego dnia go nie zastał. Stos czystych prześcieradeł, dzień wcześniej pozostawionych przez sprzątaczkę na środku łóżka, nadal leżał w tym samym miejscu. James nie wrócił do domu na noc.

Wieczorem, gdy spotkała go w holu, słowem nie napomknęła, że spędził noc poza domem.

- Proponuję, żebyśmy zjedli razem kolację — odezwała się.
- Dobrze. Skoro tego chcesz.

- Zrobię spaghetti — powiedziała, gdy James szybkim krokiem przeszedł obok niej, kierując się do łazienki.

Nie udało im się zasiąść do *tagliatelli putanesca*. Zanim Sonia skończyła robić sos, James już opróżnił pierwszą butelkę wina. Lont petardy został zapalony.

Nalewając sobie kieliszek wina z drugiej butelki, zapobiegliwie otwartej i postawionej na stole, czuła, że w Jamesie wzbiera agresja.

— No więc, tańczyłaś ostatnio? — wymamrotał.

Sonia przytaknęła, starając się mówić spokojnie i bez zaangażowania.

— Po tylu lekcjach, do cholery, płaszasz zapewne jak profesjonalistka — ciągnął.

Usiadła na krześle i bawiąc się nóżką kieliszka, wzięła głęboki wdech. Kieliszek wina również jej dodał śmiałości.

— Teraz będę chodziła na zajęcia w piątki — powiedziała.

— W piątki... Zdaje się, że to początek weekendu. Mam rację?

Wbrew sobie zaczęła dolewać oliwy do ognia.

— Wtedy odbywają się zajęcia dla średnio zaawansowanych. Już nie jestem w grupie początkujących — wyjaśniła.

— To będzie cholernie uciążliwe, Sonia. Schrzeni cały wieczór.

James powiedział to przyjaźnie, ale z odcieniem drwiny, co wydało jej się połączeniem dziwnym i trochę groźnym, po czym nalał sobie kolejny kieliszek i odstawił butelkę, waląc nią w stół.

— Kurwa mać, co za upierdliwość!

— Nie musisz tak się wyrażać.

— Trudno! Tak to widzę — wybełkotał. — Te przekłete tańce dezorganizują nasze życie.

Nasze życie, powtórzyła w duchu. Te dwa słowa kołatały się w jej głowie. Nasze?

Zabrzmiały dla niej obco. Ani nie czuła, że one nadal jej dotyczą, ani nie wyobrażała sobie, że może żyć bez tańca. Było coś groźnego w pijanym mężczyźnie metr osiemdziesiąt wzrostu, nawet jeśli siedział w prążkowanym garniturze przy własnym

stole kuchennym. Kołysał się w tył i w przód na krześle i gromił Sonię spojrzeniem. Zauważyła, że wino prysnęło na żółty jedwabny krawat i plama powoli rozchodziła się po materiale. Sonia chciała za wszelką cenę uniknąć scysji.

Makaron się ugotował. Wyłączyła gaz i podnosząc garnek, usłyszała ryk Jamesa:

— No jak?! Rezygnujesz czy nie?

Wzdrygnęła się, wystraszona krzykiem, i omal nie wypuściła z rąk garnka. Gorąca woda chlusnęła na podłogę. Widząc, jak trzęsą się jej ręce, Sonia postawiła garnek na ociekaczu.

— Nie mam teraz ochoty na jedzenie — powiedziała. — Pójdę wcześniej spać.

Rzeczywiście straciła apetyt. Wyszła z kuchni przestraszona do tego stopnia, że zaczęło jej się zbierać na mdłości, i wstrząśnięta myślą, że poślubiła człowieka, który teraz budzi w niej grozę.

Spanie w osobnych pokojach miało być zapewne jeszcze przez jakiś czas stanem „normalnym”. Czuła, że ścisną ją w żołądku. Nigdy nie wyobrażała sobie, że dojdzie do takiej sytuacji.

Następnego popołudnia na ekranie jej komórki pojawiła się koperta. Przyszedł SMS od Maggie z pytaniem, czy przyjechała-by na kilka dni do Hiszpanii. Nie minęła sekunda, a Sonia wysłała jednowyrazowe potwierdzenie. Żadne pilne sprawy nie trzymały jej w mieście, poza tym ponowny pobyt w Grenadzie stanowiłby pretekst do odwiedzenia leciwego właściciela baru. Właśnie taka sposobność była jej potrzebna.

Rozdział 11

Równe rzędy drzew oliwnych, silne winorośle i dojrzewające warzywa układały się na polach w szachownicę. Leżący wysoko w górach śnieg powoli topniał od połowy marca i przez cały kwiecień, a spływające potoki nawadniały żyzne pola, teraz porośnięte gęstymi łąnami zbóż. Słońce, które niemal z dnia na dzień świeciło coraz mocniej, sprawiało, że zielone truskawki i pomidory nabierały koloru dojrzałej czerwieni. Między polaciami upraw a urwistymi górami i falującymi wzgórzami bielity się plamy *pueblos*. Za brudnym oknem samolotu przesuwał się krajobraz inny od tego, który Sonia widziała ostatnim razem, odmieniony ciepłem wczesnego lata.

Po podróży klimatyzowanym samolotem Sonia nie spodziewała się, że gdy tylko otworzą się drzwi, buchnie na nią gorące powietrze. Zamrugła powiekami i wyszła na późne popołudniowe słońce, czując, jak przetaczające się po płycie lotniska fale żaru owiewają ją niczym poddmuchy z wielkiej suszarki do włosów. W tej samej chwili uzmysłowiła sobie, że coś zaczyna w niej tajać. Lodowata pogoda, jaka panowała w Anglii przez ostatnich kilka miesięcy, przemroziła ją na wskroś.

Pomknęła taksówką do centrum Grenady, po drodze ciesząc się przelotnym widokiem Alhambry. Kierowca lawirował na zatłoczonych w godzinach szczytu ulicach, żeby jak najszybciej

wrócić na lotnisko po następnego pasażera i zainkasować kolejną opłatę za kurs.

- Nie mogę pani tam zabrać — burknął, gdy pokazała mu adres. Zachowywał się tak, jakby nieokazywanie pomocy sprawiało mu przyjemność. — Wykluczone.

Maggie mieszkała w Albaicin, dawnej arabskiej dzielnicy, gdzie na krętych, brukowanych uliczkach ledwie mieścili się przechodnie, a co dopiero samochody. Kierowca bezceremonialnie kazał Sonii wysiąść na Plaza Nueva.

Rozejrzała się po placu. Po jednej stronie ciągnęły się rzędem kawiarnie, teraz pełne ludzi, głównie turystów, którzy orzeźwiali się napojami i lodami w gąszczu kolorowych parasoli reklamujących colę lub piwo. Stosując się do wskazówek przyjaciółki, Sonia przecięła plac i zaczęła wspinać się na szerokie kamienne schody biegnące obok kościoła.

Przejście tarasowało jej kilku Cyganów z dredami, którzy leżeli na stopniach: jeden brzdąkał na gitarze, drugi grał na flecie, trzeci rzucał piłkę wyliniałemu psu. Wciągając ciężką walizkę, Sonia potrąciła jedną z puszek, którymi zastawili schody, i wylała piwo. Gitarzysta poderwał się na nogi.

Zanim zdążyła coś zrobić, wyszarpnął jej bagaż z ręki i zaczął biec. Żołądek podszedł Sonii do gardła. Ruszyła pędem za mężczyzną i chwilę później zobaczyła, że zatrzymuje się na szczycie schodów.

Proszę... — odezwał się z wyraźnym akcentem.

Ku jej uldze i zdziwieniu postawił walizkę na gładkich kamieniach.

Gracias — podziękowała z zakłopotaną miną, widząc, że miał całkowicie szlachetne zamiary.

De nada — powiedział, a jego przystojna, brodata twarz rozjaśniła się uśmiechem.

Sonia zauważyła, że mógł mieć niewiele ponad osiemnaście lat. Zarost pokrywał anielskie, niemal dziecięce rysy.

Do przejścia miała nie więcej niż dwadzieścia metrów. Kółka walizki stukały głośno o bruk, gdy Sonia szła Calle Santa Ana,

trzymając się wąskiego paska cienia. Pod numerem trzydziestym drugim przycisnęła dzwonek do mieszkania numer osiem. Za ozdobną żelazną kratą i szybą w drzwiach wejściowych zobaczyła korytarz wyłożony od podłogi po sufit biało-niebieskimi kafelkami. Usłyszała, jak ktoś z góry wykrzykuje jej imię. Odeszła parę kroków od drzwi i podniosła głowę.

Niemal oślepiąca jaskrawym błękitem nieba zobaczyła zarys postaci. Na balkonie stała Maggie niebezpiecznie przechylona przez balustradę.

— Sonia! — krzyknęła jeszcze raz. — Masz!

Na kamiennych płytach wylądował z brzękiem pęk kluczy.

— To ten srebrny! Mieszkam na piątym piętrze!

Sonia otworzyła drzwi na klatkę i zaczęła wspinać się po schodach. Tu już nie było chłopca o twarzy cherubina.

Zadyszana dotarła na właściwe piętro. Na progu stała Maggie, uśmiechnięta, o lśniących oczach i opalonej twarzy, ubrana w długi egzotyczny kaftan w jaskrawych barwach.

— Sonia! Cudownie cię widzieć! — zawołała, biorąc od przyjaciółki walizkę. — Wchodź do środka.

W porównaniu z jasną, pokrytą płytkami klatką schodową mieszkanie wydawało się ciemne. Słaba żarówka w przedpokoju dawała przyćmione światło. Oczy Sonii z trudem przyzwyczajały się do mroku.

Maggie urządziła salon w stylu mauretańskim: tu i tam leżały chodniki i narzuty, wisiały arabskie lampiony i mobile z kolorowych szkiełek, które podzwaniały w powietrzu przepływającym łagodnie przez mieszkanie. Sonia była oczarowana zarówno wystrojem wnętrza, jak i widokiem z wielkich okien od podłogi do sufitu, roztaczającym się na rzekę Darro, która płynęła tuż pod domem i okrążała stłoczone budynki najstarszej dzielnicy Grenady.

— Bosko tu — powiedziała Sonia. — Jak, u licha, udało ci się znaleźć coś takiego?

— Za pośrednictwem przyjaciela przyjaciela fantastycznego

mężczyzny, którego poznałam w agencji nieruchomości, dokąd udałam się w poszukiwaniu mieszkania do wynajęcia.

- Ów fantastyczny mężczyzna to kto? — zapytała Sonia, natychmiast wychwyciwszy jakąś nutę w głosie przyjaciółki.

- No właśnie. Ma na imię Carlos. Jest właścicielem tej agencji — wyjaśniła Maggie, lekko tylko zarumieniona.

- A co z Pakiem?

Chyba się domyślasz. Powitał mnie na lotnisku i spędziłam z sobą kilka nocy. Potem były już same wykręty, wymówki i wybiegi. Ale w gruncie rzeczy nie mam do niego pretensji — dodała filozoficznie. — Koniec końców zawdzięczam mu to, że mnie tu ściągnął.

Czyli wszystko w porządku, tak? — dopytywała się dyskretnie Sonia.

W porządku? — zawołała z entuzjazmem Maggie. — Mało powiedziane. Tutejsi ludzie naprawdę umieją żyć. Choć życie tu jest dość wyczerpujące: dzień w dzień chodzi się spać o trzeciej nad ranem, a przecież trzeba wstawać do pracy. Ale ja to uwielbiam. Wszystko szalenie mi się podoba.

A ten Carlos? — spytała przekornie Sonia.

Sprawia wrażenie dość zainteresowanego. Często się widzujemy. No i lubi tańczyć... — Ostatnie zdanie Maggie wymówiła takim tonem, jakby było najważniejsze.

Przez kilka godzin wylegiwały się na kolorowych poduchach to/rzuconych na podłodze i popijały herbatę miętową. Po wyjeździe Maggie do Grenady rozmawiały tylko raz przez telefon, więc miały sobie mnóstwo do powiedzenia. Sonia wspomniała, że James coraz bardziej uzależnia się od alkoholu i z dezaprobatą mówi o jej lekcjach tańca. Nie wyjawiała, jak delikatna jest jej sytuacja domowa.

Słońce już zaszło, gdy wyruszyły do miasta na poszukiwanie *tapas*.

Późnym wieczorem przyjaciółki się rozstały: Maggie miała spotkanie ze swoim nowym chłopakiem, Sonia udała się do El Darril. Miała nadzieję, że zdąży do kawiarni Miguela przed

zamknięciem. Z rozbawieniem przypomniała sobie, jakie pochopne wnioski wyciągnął James na widok dostarczonej tyle tygodni temu pocztówki.

Prawie o wpół do dwunastej Sonia znalazła się na placu i zajrzała do kawiarni. Zobaczyła po minie staruszka, że rozpoznał ją w jednej chwili.

— Tak, tak, pamiętam! — zawołał. — Piękna Angielka. A więc pani wróciła!

— Oczywiście. I dziękuję za kartkę.

— Zatem doszła!

— Skąd pan wiedział, jak mam na imię? — zapytała, wyciągając na powitanie rękę, którą staruszek uścisnął z zapalem.

— Gdy pisała pani pocztówkę, rzuciłem okiem na podpis — przyznał z zawstydzeniem. — Zapamiętałem imię.

— Coś podobnego! — zdziwiła się.

Miała wrażenie, że spowolniał przez ten miesiąc od ich spotkania. Ujęta ciepłym powitaniem usadowiła się na stołku przy barze. Pozostali goście już wyszli.

— Przyjechała pani dalej uczyć się tańca? — zapytał. — Pewnie napije się pani kawy... a może brandy?

Nim Sonia zdążyła odpowiedzieć na któreś z tych pytań, spienione mleko już sphywało z bulgotem do dzbanka i rozmowa stała się przez chwilę niemożliwa.

Gdy Miguel parzył kawę, Sonia skierowała się jakby od niechcienia w stronę ściany ze zdjęciami. Wisiały jak przedtem: dumny toreador i obok tancerka. Podeszła jeszcze parę kroków i bacznie przyjrzała się oczom dziewczyny. Nie, nie miała stuprocentowej pewności. Z rysów twarzy dziewczyna przypominała kobietę na fotografii, którą Sonia włożyła cichaczem do torebki, ale podobieństwo nie było całkowite. Sukienka na tamtym zdjęciu mogła się kojarzyć ze strojami na tych oprawionych fotografiach, lecz nie była identyczna.

Miguel podszedł z tyłu, niosąc filizankę z kawą.

— Widzę, że podobają się pani te zdjęcia — zauważył.

Sonia zamyśliła się. Słowo „podość się” nie oddawało wrażenia, jakie na niej robiły, nie mogła jednak wyjawić prawdy. Zabrzmałaby mało wiarygodnie.

- Są fascynujące — powiedziała. — Niewątpliwie trąca myszką.

Istotnie — przytaknął Miguel.

Może wyglądają jak z odległej epoki, bo są czarno-białe - dodała pospiesznie. — W żadnym wypadku nie mogły być zrobione wczoraj, prawda?

- Ma pani rację. Utrwały się na nich konkretne czasy. Określony moment w dziejach.

To stwierdzenie miało chyba zawierać głęboką treść. Sonia czuła, że wyeksponowane zdjęcia są dla Miguela równie ważne jak być może dla niej. Nie mogła się powstrzymać i kontynuowała tę rozmowę.

Proszę mi opowiedzieć o zmianach, jakie zaszły w Grenadzie — rzuciła mimochodem, nie chcąc okazać, jak bardzo ją to interesuje.

Usiadła z powrotem przy barze, ze szklanego naczynia wzięła małą torebkę z cukrem, przedarla i wysypała cukier do kawy. Miguel polerował kieliszki i ustawiał je w równych rzędach.

Przejąłem bar w latach pięćdziesiątych — zaczął. — Wówczas był już dość zapuszczony, ale na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych stanowił centrum życia towarzyskiego. Przychodzili tu zarówno robotnicy, jak i profesorowie uniwersytetu. Ludzie nie zapraszali się nawzajem do domów, lecz spotykali się w barach i kawiarniach. W tamtych czasach właściwie nie widywało się turystów, z rzadka przyjeżdżał jakiś niepłochliwy Anglik, do którego dotarły opowieści o Alhambrze.

- W pana ustach brzmi to tak, jakby panował wtedy złoty wiek - zauważyła Sonia.

- Bo panował. W całym kraju.

Sonia zwróciła uwagę na fotografię wiszącą przy końcu ściany.

— Wyglądają jak członkowie Ku-Klux-Klanu! — zawołała. — Dreszcz przechodzi człowiekowi po plecach.

Zdjęcie przedstawiało kilkadziesiąt osób odzianych w białe szaty i spiczaste nakrycia głowy, podobne do kapeluszy czarownic, z małymi otworami na oczy. Cała grupa szła w procesji ulicą, niektórzy taszczyli krzyże.

— Tak wygląda typowa procesja w Wielkim Tygodniu — wyjaśnił Miguel, splatając ręce na piersiach.

— Bardzo dramatycznie — wtrąciła Sonia.

— To prawda. Przypomina teatr. Dzisiaj ludzie mają aż za wiele rozrywek, ale nam ich brakowało, a tak lubiliśmy się bawić. I nadal lubimy. Każdego dnia w tygodniu poprzedzającym Wielkanoc obnosi się po mieście te ogromne wizerunki Marii Panny i Jezusa Chrystusa. Czy była pani kiedyś w Hiszpanii w tym czasie?

— Niestety, nie.

— Uroczystości odbędą się za kilka tygodni. To niezapomniane przeżycie dla kogoś, kto nigdy nie widział *pasos*. Powinna pani zostać.

— Bardzo bym chciała, ale to niemożliwe. Przyjadę tu na Wielkanoc innym razem.

— Wizerunki są tak ogromne, że trzeba tuzina mężczyzn, którzy schowani pod każdym obrazem niosą go przez miasto. Towarzyszy im kapela i bractwo z ich kościoła parafialnego.

Sonia zerknęła na fotografię.

— *Semana Santa* tysiąc dziewięćset trzydzieści jeden — przeczytała głośno. — Coś szczególnego działo się w tym roku? Staruszek umilkł na chwilę.

— Tak. Król abdykował tuż po Wielkanocy tego roku i kraj uwolnił się od dyktatury. Ogłoszono powstanie Drugiej Republiki.

— To było chyba doniosłe wydarzenie — powiedziała Sonia zawstydzona jak nigdy dotąd nieznaną tajemnicą dziejów Hiszpanii. — Miało krwawy przebieg?

— Nie. Obyło się bez rozlewu krwi. Wcześniej często wybuchały zamieszki, ale to wydarzenie większość ludzi uznała za nowy początek. Przez osiem lat żyliśmy pod dyktaturą Miguela Primo de Rivery i cały ten czas mieliśmy monarchię. Nie mogło być gorzej. Zdaniem większości dyktatura nie zrobiła nic dobrego dla zwykłych ludzi. Z tego okresu zapamiętałem tylko to, że moi rodzice ciągle narzekali na jakieś zarządzenia, na przykład zakaz zgromadzeń czy konieczność zamykania kawiarni o wczesnej porze.

— Wyobrażam sobie niezadowolenie mieszkańców! — zawołała Sonia, której nie mieściło się w głowie, że można pozbawić Hiszpanię barów i kawiarni czynnych dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— No więc dyktatura w ogóle nie pomogła biedakom — ciągnął Miguel. — Gdy abdykował król Alfonso Trzynasty i proklamowano republikę, miliony ludzi wiedziały, że ich życie się poprawi. Tego dnia odbyły się wielkie uroczystości, bary i kawiarnie były przepełnione.

Miguel opowiadał z takim przejęciem, jakby to wszystko działo się poprzedniego dnia. Zachował żywą pamięć tamtych wydarzeń.

Mówi o tym w sposób niemal poetycki, pomyślała Sonia.

- Cóż to była za czarowna chwila! Przyszłość malowała się obiecująco. Czuję to, choć miałem tylko szesnaście lat. Oddychaliśmy świeżym powietrzem demokracji i wierzyliśmy, że od tego dnia coraz więcej ludzi będzie miało wpływ na rządzenie krajem. Potęga właścicieli ziemskich, którzy skazywali miliony chłopów na życie w biedzie, wreszcie została ograniczona.

Nie do wiary, że takie stosunki panowały jeszcze w latach trzydziestych! — zdumiała się Sonia. — Chłopi... właściciele ziemscy... jakie to prymitywne.

Otóż to, prymitywne — zgodził się Miguel.

Nalał dwie szczodre lampki brandy. Na koniec dnia zawsze wypijał kieliszek, a teraz cieszył się, że ma towarzystwo.

— Mam jeszcze jedno żywe wspomnienie. Wszyscy się uśmiechali. Z radości.

— Dlaczego akurat to utkwiło panu w pamięci?

— Sądzę, że życie wielu ludzi było pełne trudów i niepokoju. My, dzieci, po prostu pogodziliśmy się z takim stanem rzeczy, ale naszym rodzicom żyło się ciężko.

Miguel spojrział na zegar i zdziwiony powiedział przeproszającym tonem:

— Przykro mi, ale nie myślałem, że jest tak późno. Powiniennem zamykać.

Sonia wpadła w popłoch. Może nie zdoła już wypytać go o wiszące na ścianie fotografie i nie będzie miała okazji, by rozstrzygnąć dręczące ją wątpliwości na temat zdjęcia schowanego w torebce. Powiedziała to, co pierwsze przyszło jej na myśl, cokolwiek, byle tylko zatrzymać staruszkę chwilę dłużej.

— Ale w gruncie rzeczy nie wyjaśnił mi pan, co się stało — odezwała się natychmiast. — Dlaczego w końcu pan przejął kawiarnię?

— Najkrótsza odpowiedź na to pytanie brzmi następująco: wojna domowa.

Podniósł kieliszek do ust, jednak zanim upił łyk, opuścił rękę i uchwycił jej wyczekujące spojrzenie.

— Ale jeśli pani woli, przedstawię dłuższą wersję wydarzeń.

Sonia uśmiechnęła się promiennie.

— Mógłby pan? Ma pan czas?

— Czas się znajdzie. — Pokiwał głową.

— Będę wdzięczna. Chciałabym usłyszeć więcej. Opowie mi pan coś jeszcze o rodzinie Ramirezów?

— Skoro pani sobie życzy. Ludzi zazwyczaj nie interesują dawne czasy. Ale opowiem pani, co wiem. Niewielu pamięć dopisuje tak jak mnie.

— I opowie mi pan o tancerce i toreadorze? — zapytała, starając się nie okazać radości.

— Nawet mógłbym oprowadzić panią po mieście, jeśli chciałaby pani. O tej porze roku zdarza się, że w środy nie

otwieram kawiarni. Człowiek w moim wieku czasem potrzebuje mieć wolny dzień — zaśmiał się do siebie.

— To bardzo uprzejme z pana strony — powiedziała Sonia, nabierając lekkich wątpliwości. — Mówi pan poważnie?

— Naturalnie. Nie złożyłbym pani tej propozycji, gdybym nic traktował jej poważnie. Może spotkamy się... *mañana*...? Jutro o dziesiątej. Przed kawiarnią.

Była to wspaniała okazja: zwiedzać miasto w towarzystwie kogoś, kto zna je tak dobrze. Sonia wiedziała, że Maggie nie interesuje się historią ani kulturą Grenady, choć zdobyła encyklopedyczną wiedzę o tutejszych kawiarniach i barach z przekąskami.

Pożegnała się i wróciła do mieszkania przyjaciółki. Chciała porządnie się wyspać.

* * *

Punktualnie o dziesiątej następnego ranka Sonia przyszła na umówione spotkanie. Była zaskoczona, widząc Miguela w innej niż dotychczas sytuacji, bez charakterystycznego fartucha. Miał na sobie elegancką oliwkową marynarkę i wyglansowane do połysku buty. Spojrzała na niego trochę innym wzrokiem i dopiero teraz uprzytomniła sobie, że swego czasu na pewno był niezwykle przystojnym mężczyzną.

Buenos dias — powiedział, całując Sonię w oba policzki. Zanim ruszymy w drogę, chodźmy na kawę do mojego ulubionego lokalu.

W odległości kilku minut spacerem znajdował się niewielki plac, nad którym górował pomnik kobiety.

To Mariana Piñeda, bohaterka feministek — wyjaśnił Miguel. — Opowiem o niej później, jeśli pani zechce.

Sonia kiwnęła głową.

Kawiarnia, do której zabrał ją Miguel, była większa niż jego własna i bardziej zatłoczona, ale właściciel konkurencyjnego lokalu przywitał go serdecznie i w żartach dodał, że goście w towarzystwie *señora guapa*. Przy stolikach siedzieli w większości

wytworni starsi panowie, przy barze stało kilku biznesmenów, każdy przeglądał „El Pais”. W ustawionych rzędem popielniczkach tliły się mocne papierosy. Barmani pracowali sumiennie i raźnie, robili *tostadas* z oliwą z oliwek, pomidorami lub dżemem, parzyli kawę i wycierali sztućce. Świeże *churros* lśniły pod szklanym kloszem.

Dwie dobrze ubrane panie po pięćdziesiątce, o kasztanowych, sztywno ufryzowanych włosach, właśnie wstawały od stolika, gdy weszli Miguel z Sonią, więc szybko zajęli zwolnione miejsca. W kawiarni panował ciągły ruch i na wolny stolik było duże zapotrzebowanie. Zabierając dwa kieliszki po brandy, ze śladami szminki na brzegach, kelner przyjął zamówienie od Miguela i po kilka sekundach stały przed gośćmi dwie filizanki kawy — kelner poruszał się płynnie i z werwą, jak w tańcu, aż miło było patrzeć.

— Od czego by zacząć? — zapytał retorycznie Miguel.

Sonia z niecierpliwością pochyliła się w przód. Wiedziała, że starszek nie czeka na odpowiedź.

— Chyba wrócę do czasów poprzedzających wojnę domową. Do pięcioletniego okresu zwanego Drugą Republiką, o którym już wspomniałem, między końcem dyktatury w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym a wybuchem wojny domowej w trzydziestym szóstym. To były w miarę pomyślne lata dla Ramirezów. Tak, od tego możemy zacząć.

Część 2

Rozdział 12

Grenada, 1931

Na placach Grenady szemały monumentalne fontanny, a eleganckie dziewiętnastowieczne budynki górowały nad centrum miasta. Ich wysokie okna i pełne uroku balkony z kutego żelaza kontrastowały z bezładnie zabudowaną i popadającą w ruinę **dzielnicą** arabską o dłuższej historii, gdzie czerwieniły się trójkątnymi i trapezowymi dachówkami domy usadowione ciasno u stóp wzgórza. Ze szczytu czuwały nad całym miastem majestatyczne wieże Alhambrzy.

Drogi były w większości nierówne i kamieniste, złane wiosennym deszczem zamieniały się w potoki błota. Zwierzęta juczne rozwoziły towary po mieście; zwierzęta gospodarskie pędzono ulicami na targ. Przez całą zimę unosił się w powietrzu zapach łąjna, a w upalne letnie dni całe miasto śmierdziało. Gdy w górach nad Grenadą topniały śniegi, rzeka Genil niekiedy występowała z brzegów; natomiast gdy nadchodził sierpień, czasem prawie zupełnie wysychała. Na przerzuconych przez nią mostach znajomi i kochankowie umawiali się na spotkania przez okrągły rok.

Ramirezowie mieszkali nad kawiarnią El Barril będącą od trzech pokoleń własnością rodziny. W tej samej sypialni, gdzie urodził się Pablo Ramirez, jego żona wydała na świat dzieci. Pablo poślubił Conchę, gdy miała osiemnaście lat, i po roku

urodził się im pierwszy syn, Antonio. Gdy skończyła dwadzieścia sześć lat, była matką czwórki dzieci i niegdyś dorodna, wychudła w nawale pracy i trosk. Nadal miała piękną, zaokrągloną twarz, ale postarzała się nad wiek. Pablo, znacznie starszy od niej, był niski i ogorzały jak typowy mieszkaniec Grenady.

Choć rzadko cieszyli się chwilami wytchnienia, wiodli życie dające poczucie bezpieczeństwa i ciągłości, co z nawiązką rekompensowało ograniczone dochody. Nieustannie ktoś przemierzał bar, gdy wychodził z mieszkania na piętrze albo gdy wracał do domu. Pablo i Concha dużo pracowali, ale mimo to wspólny posiłek o godzinie trzeciej był rytuałem narzuconym przez nich i przestrzegany przez dzieci. Gdy któreś się spóźniło, poczuło na skórze uderzenie ojcowskiego kapcia. Cała czwórka kochała i szanowała rodziców. To ich łączyło przede wszystkim.

Kawiarnia El Barril była miejscem, gdzie spotykały się różne kultury Grenady. Mieszkając na skraju Albaicin, dzieci czuły się równie swobodnie w arabskiej dzielnicy, gdzie w powietrzu podzwaniały miarowe uderzenia kowalskiego młota w metal, jak i na Sacromonte, gdzie Cyganie mieszkali w jaskiniach wydrążonych na zboczu wzgórza. Żalodne zawrodozenie w pieśniach *gitanos* było częścią codziennego życia w tej samej mierze co głęboki ton dzwonów katedry i wołanie straganiarzy na targu kwiatowym. Z górnych pokoi mieszkania roztaczał się widok na zielone łąki leżące poza granicami miasta i dalej na góry Sierra Nevada.

Antonio, Ignacio, Emilio i Mercedes Ramirez, jak wszystkie dzieci w Grenadzie, dorastali, bawiąc się na ulicach i udzielając się towarzysko na placach. Przebywali głównie w pobliżu Plaza Nueva, gdzie mieściła się kawiarnia rodziców. We wczesnym dzieciństwie urozmaicali sobie czas zabawą w rzucanie monetami jak najbliżej muru albo pływaniem łódką po rzece Darro okrążającej Albaicin. W tej dzielnicy, jednej z najbiedniejszych, choć pełnej życia i radości, mieli wielu przyjaciół.

Ich świat zaludniali bracia, siostry, rodzice oraz koledzy

i koleżanki ze szkoły. Przyjaźnili się z całymi grupami dzieci, które były rodzeństwem. W rezultacie, gdy Concha Ramirez chciała się dowiedzieć, gdzie jest jej dziecko, nie miała z tym żadnych trudności. Zaraz ktoś ją informował: „Emilio bawi się z Alejandrem Martinezem. Przed chwilą mówił mi to jego brat” albo: „Mama Paquity kazała przekazać, że wieczorem zabierają Mercedes na fiestę”.

Z tego względu miasto wydawało się bardzo małe. Dzieci swobodnie kręciły się po okolicy, bardziej narażone na to, że stracą je rozdrażnione muły objuczone przywożonym ze wsi drewnem na opał, niż na to, że potraci je któreś z nielicznych aut jeżdżących po mieście. Za dnia Pablo i Concha ani przez chwilę nie zastanawiali się, gdzie przebywa ich potomstwo. Tu nikomu nic nie groziło, nie można było się zgubić, nie docierały wpływy z zewnątrz. Ramirezowie właściwie nie znali świata poza tym miastem. Pewnego razu, dawno temu, wybrali się nad morze, ale nie powtórzyli tej wyprawy. Regularnie jeździli tylko do siostry Conchy, Rosity, która mieszkała na wsi w górach na północ od Grenady.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku, kiedy proklamowano Drugą Republikę, Antonio miał dwadzieścia lat, Ignacio osiemnaście, Emilio piętnaście, a Mercedes dwanaście. Pablo i Concha kochali każde jednakowo i bez zastrzeżeń.

Antonio, pierworodny, był szerszy w barach od ojca i śniady jak wszyscy w rodzinie. Nosił okulary, zza których patrzyły lśniące kasztanowe oczy o szczerym spojrzeniu. W dzieciństwie był poważnym chłopcem, a potem równie poważnym mężczyzną. W wolnym czasie najbardziej lubił słuchać rozmów dorosłych i w kawiarni, gdzie się wychowywał, miał po temu wiele sposobności. Rodzice ciągle napominali go, żeby bawił się z rówieśnikami, ale jego już w młodym wieku nudziły infantylne zabawy. Pozostawał wszakże w zażyłej przyjaźni z dwoma chłopcami, kolegami od najmłodszych lat.

Jednym był Francisco Perez, którego rodzina mieszkała na rogu Calle Elvira i Plaza Nueva. W tym zamkniętym świecie

rodziny Ramirezów i Perezów łączyły więzy równie silne jak pokrewieństwo. Luis i Maria Perezowie mieli zakład ślusarski, prowadzony przez rodzinę od pokoleń, nad którym mieszkali z dwoma synami — Juliem i Franciskiem. Gdy Luis nie stał przy swoim warsztacie, na pewno przebywał w El Barril. Choć Pablo i Luis przyjaźnili się od ponad czterdziestu lat, nigdy nie brakowało im tematu do rozmów.

Drugim serdecznym przyjacielem Antonia był Salvador. Nazywali go El Mudo, nie wstydząc się tak bezceremonialnego przezwiska. Niemowa. Z upływem lat dobrzy koledzy Salvadora poznali język migowy i potrafili godzinami dyskutować we trójkę. Oczywiście Salvador, chłopiec głuchoniemy od urodzenia, komunikował się w sposób najbardziej elokwentny i elegancki: przebijał powietrze rękami jak szydełkiem, tworząc desenie, które dawały wyraz rozbawieniu, radości, gniewowi i trosce. Czasem uzewnętrzniał swoje uczucia w sposób przejawskrawiony, a czasem wystarczyło lekkie wzruszenie ramion albo ruch palcami.

Gdy powstała Druga Republika, do najważniejszych zadań rządu należało umożliwienie wszystkim nauki czytania. Rozpoczęto kampanię mającą na celu likwidację analfabetyzmu. Antonio właśnie uzyskał dyplom nauczyciela, co od dawna było jego ambicją, więc plany wprowadzenia powszechnego szkolnictwa przyjmował z aprobatą. Cieszył się myślą, że jego codzienna praca w szkole jest częścią większego przedsięwzięcia. Wiedział, że brak umiejętności czytania i pisania czyni z ludzi niewolników i że każdy *analfabeto* nauczony czytać zmniejsza liczbę tych, którzy pozostają na usługach kapitalistów za marną płacę. Zdawał sobie sprawę z wyzwalającej siły wykształcenia.

Po roku trzydziestym pierwszym pani Ramirez przekonywała Antonia, żeby nie chodził na zebrania polityczne. Jej zdaniem były bardziej niebezpieczne od korridy. Paradoksalnie, tylko trochę się myliła. Przynajmniej podczas korridy walka jest chwilami wyrównana, toreador i byk mają równe szanse. W polityce nie zawsze tak bywa.

Ignacio był najbarwniejszą postacią z nich wszystkich, najbardziej zarozumiałym człowiekiem, jakiego można sobie wyobrazić, i zarazem duszą towarzystwa. Miał czarne jak heban włosy i oczy, czym urzekał ludzi, zwłaszcza kobiety. Nie dawały mu spokoju i często komplikowały życie. Wystarczyło, że rzucił na nie okiem, a traciły dla niego głowę. Tak to już było **w** tym świecie macho, świecie toreadorów — stawiano ich na piedestale niczym gwiazdy filmowe.

Walka byków stała się jego namiętnością bardzo wcześnie. Już jako trzylatek, posługując się obrusem z kawiarnianego stolika jak kapą, ćwiczył *verónicas*, wypady i zwody. Zanim nauczył się mówić pełnymi zdaniami, wiedział, kim zostanie, gdy będzie duży.

Ignacio często inscenizował minikorridę ku uciesze bywalców kawiarni, którzy wiwatowali i wstrzymywali oddech **w** chwili wymierzania śmiertelnego ciosu wyimaginowanemu bykowi. Zdarzało się również, że rolę byka odgrywali przyjaciele i bracia, nakłonieni pochlebstwami. Robili to niechętnie, wiedząc, że od uderzenia drewnianą szpadą będą mieć bolesne siniaki na plecach. Ignacio nie wyczuwał granicy między zadawaniem gwałtu na niby i naprawdę.

"*La hora de la verdad!*", wołał triumfalnie z krwiożerczym uśmiechem na twarzy. W ten sposób odtwarzał „chwilę prawdy”, kiedy to matador zamierza się, by wbić ostrze szpady między łopatki byka. Widząc szarżujące zwierzę tuż-tuż, nie mógł wahać się ani chwili i nawet jako mały chłopak zdawał **sobie** sprawę, że im czystsze trafienie, tym większe bezpieczeństwo człowieka i tym większy zachwyt widzów. Trzymał **w** górze drewnianą szpadę i niemal słyszał, jak tłum wciąga powietrze, a zaraz potem zapada niesamowita cisza i nieprzebrane masy ludzkie zamierają w napięciu. Kto wie, ile razy przeprowadzał próbę generalną wydarzenia, które rzeczywiście odbyło się wiele lat później. Pięcioletniemu wnuczkowi babcia uszyła na urodziny ministrów toreadora, który nosił tak długo, **aż** materiał się poprzecierał i popękał w szwach.

Ignacio przestał chodzić do szkoły w wieku piętnastu lat. Przez całe dotychczasowe życie wałkonił się i miał w nosie prawie wszystko, a rodzice z trudem nad nim panowali. Chłopak o klasycznie doskonałych proporcjach twarzy jakby stworzonej pędzlem malarza — czoło, nos oraz usta i broda stanowiły równe części — wydawał się nietykalny niczym istota boska. Ale jego postępowanie miało niewiele wspólnego z boskością. Czasem nie miało nic wspólnego z człowieczeństwem. W dzieciństwie często zachowywał się jak zwierzę — w rzeczy samej był silny jak wół, dzięki czemu łatwiej stawiał czoło bykowi, gdy w końcu wyszedł na arenę, by spełnić się pisany mu los.

Mocno zbudowany, a przy tym wąski w biodrach, prezentował się idealnie w stroju toreadora zwanym *traje de luces*: w wyszywanym złotem żakiecie i obcisłych spodniach podkreślających pośladki, uda i łydki. Gdy miał dziewięć lat, zyskał przydomek El Arrogante, pod którym był znany również w wieku dojrzałym i na korridach w całej Hiszpanii. Nim to się stało, przez trzy lata chodził jak cień za jednym z matadorów w Grenadzie, obserwował go podczas walk i ćwiczeń, gdy tamten robił zwody przed wymyślanym bykiem, tak samo jak on sam w dzieciństwie.

Gdyby kiedykolwiek nadano przydomek jego bratu Emiliovi, mógłby brzmieć El Callado, co znaczy milczek. Ten był zupełnym przeciwieństwem butnego i wywyższającego się Ignacia. Kiedy czasem przerywał długotrwałe milczenie, dobitnie ujawniała się siłajego namiętność. W swych zamierzeniach bardzo różnił się od ambitnego Ignacia: ponad wszystko pragnął pozostać w Grenadzie. Jego horyzonty ograniczała z jednej strony La Vega, pola uprawne pod Grenadą, a z drugiej Sacromonte; co się działo poza nimi, było mu obojętne. Cały jego świat mieścił się w najcenniejszej rzeczy, jaką posiadał — w kształtnym, gładkim, miodowej barwy pudle gitary flamenco.

Emilio przewyższał braci wzrostem. Miał również najjaśniejszą karnację i najsłabsze zdrowie. Jak drzewo, które rośnie ku światłu, był wyższy od pozostałych mężczyzn w rodzinie, ale nie miał szerszych barów ani większej masy ciała.

W przeciwieństwie do Ignacia, który każdą chwilę spędzał na ulicy, grał w piłkę i co jakiś czas przepadał gdzieś z przyjaciółmi do późnej nocy, przysparzając zmartwień rodzicom, Emilio zazwyczaj przebywał w pokoju na poddaszu. Przesiadywał tam bez końca, plecami ocierając się o dachówki, i zgarbiony nad gitarą brzdąkał mocnymi palcami jakąś rzewną melodię. W ogóle nie potrzebował światła do czytania nut. Muzyka rozbrzmiewała w jego głowie i na ponurym poddaszu, a on przymykał oczy, by nie doszedł do niego ani promyk światła.

Jeśli ktoś wszedł na szczyt wąskich schodów, zaintrygowany muzyką, Emilio zwykle nawet nie zauważał jego obecności. Dalej w uniesieniu przebierał palcami po strunach, spowity czarownymi dźwiękami, zanurzony we własnych kompozycjach. Nic potrzebował nikogo. Podśluchujący intruz szybko się wycofywał, mając poczucie winy, że wtargnął w jego prywatny świat.

Emilio nie był tak ambitny jak Antonio i Ignacio, co i dobrze się stało, ponieważ Ramirezowie prędzej czy później potrzebowaliby barmana. Emilio, gdy dokładnie poznał tę pracę, przewidział, że przypadnie jemu. Przed wszystkim pragnął pozostać w Grenadzie. Prawdziwą pasją chłopca była gitara. Nauczył się grać od jednego z kawiarnianych gości, starego Cygana o imieniu Jose, który przed śmiercią — chłopak nie skończył wtedy jeszcze dwunastu lat — zapoznał go z podstawowymi technikami gry flamenco. Ćwiczył tak długo, aż stał się niemal równie dobrym gitarzystą jak gwiazdy z Sacromonte.

Emilio już od jakiegoś czasu akompaniował swojej siostrze, gdy rodzice pozwolili jej występować. W gruncie rzeczy spośród wszystkich osób wspinających po schodach i po drabinie na poddasze tylko na jej obecność zwracał uwagę. Mercedes nie potrafiła trzymać się z dala od grającego na gitarze brata, on zaś tolerował jej zainteresowanie, choć ciekawości innych by nie ścierpiał.

Jak wiele dziewczynek Mercedes tańczyła flamenco od piątego roku życia. Młodsze dzieci zniechęcano do tańczenia, gdyż uważano, że mocne tupanie niekorzystnie wpływa na ich

słabe kości. I dlatego od najwcześniejszych lat Mercedes wymykała się na górę i w klaustrofobicznych ciemnościach, pod pochyłym stropem, wybijała dłońmi rytm. Początkowo siedziała na podłodze, u stóp brata. Potem wstawiała, zaczynała przytupywać i obracać się, a wtedy Emilio otwierał czasem oczy na znak, że nie przeszkadza mu jej obecność. To była ich prywatna fiesta.

Podczas miejscowych *juergas* często widywało się występy małych, sięgających ojcom do kolan dziewczynek, które swym olśniewającym tańcem szybko gromadziły widzów. Nawet gdyby Concha przejmowała się miękkimi kośćmi, nie udałoby jej się niczego zakazać ani nakazać temu dziecku — taki miało charakter. Na niewielkiej powierzchni na poddaszu Mercedes nauczyła się pstrykać palcami, robić obroty i grać na kastanietach. Nikt jej tego nie uczył, po prostu przyglądała się kobietom, naśladowała ich kroki i dumną postawę, chłonęła dźwięki i gwałtowne emocje wyrażane ruchem. Przychodziło jej to naturalnie, choć nie miała w swoich żyłach cygańskiej krwi.

Concha nie mogła się nadziwić, że obecność Mercedes nie budzi irytacji Emilia, aż pewnego wieczoru, stojąc u stóp schodów, zrozumiała, dlaczego tak się dzieje. Dziewczynka wzbogacała jego muzykę. Stuk obcasów o deski podłogi i klaskanie dłońmi dawało perkusyjne brzmienie.

Ludzie przechodzili pod oknami ich mieszkania, słysząc czasem szybkie tupanie, i podnosili wzrok, by znaleźć źródło dźwięku. Był szybki i płynny jak uderzenia językiem o podniebienie, gdy wymawia się z wibracją „r”.

Dwunastoletnia Mercedes odznaczała się siłą i krzepkością, które w ciągu kilku lat przydały jej zmysłowego powabu. Miała twarz w kształcie serca jak jej matka, dołeczki w policzkach i na brodzie oraz pogłębiającą się bruzdę na czole. Lśniące czarne włosy, które spływały falami na plecy, były tak długie, że mogła na nich usiąść.

Najbardziej przyjaźniła się z Paquitą Maneiro, która mieszkała w Albaicin. Często widywano je razem na podwórku, gdy

przyglądały się, jak pani Maneiro wyrabia przędzę albo tka na krosnach. Palce tej kobiety były w ciągłym ruchu od rana do wieczora i nawet po zmroku — jakby mogła widzieć w ciemności — tkła dywaniki przy mrugającej świecy. To był ciężki sposób zarabiania na życie, ale pani Maneiro podjęła taką decyzję świadomie. Gdy jej mąż zmarł pięć lat wcześniej, mogła pójść na ulicę i z tego się utrzymywać. Szybciej zapracowałyby na te kilka peset i nie musiałyby tak harować. Pani Maneiro tkła dywaniki, a dziewczynki przed nią tańczyły, stukając podkutymi czubkami butów o zaokrąglone kamienie brukowe. Paquita uwielbiała flamenco tak samo jak Mercedes, ale z trudem osiągała taką samą płynność ruchów.

Bracia hołubili swoją jedyną siostrę, nawet rozpieszczali. W rezultacie przyzwyczaiła się do tego, że zaspokajano jej pragnienia i nikt nie chciał jej irytować, wiedząc, że ma wybuchowy temperament. Wyniosłość tancerki flamenco leżała w jej charakterze.

Ramirezom żyło się w miarę dobrze, choć w domu nie zawsze panował spokój. Każde dziecko odznaczało się silną indywidualnością, co było dla rodziców powodem do radości, ale również i zmartwień, gdy wybuchały kłótnie i trzaskano drzwiami. Najczęściej wszczynał awantury Ignacio, który z przyjemnością doprowadzał braci do gniewu. Uwielbiał zaczepiać cierpliwego zazwyczaj Antonia i mocować się z nim, by wykazać swoją przewagę nad starszym bratem. Nic też nie sprawiało mu większej przyjemności niż prowokowanie nieśmiałego Emilia do bójk. Natomiast nigdy nie wdawał się w sprzeczki z Mercedes. Droczył się z nią, tańczył i flirtował. Tylko ona umiała oczyścić zatrutą czasem atmosferę między braćmi.

* * *

Ramirezowie, mimo że wiedli szczęśliwe i pomyślne życie nawet w latach dwudziestych, z radością powitali powstanie Drugiej Republiki. Hiszpania przyjęła to zdarzenie jak słodki

powiew wiosny. Ktoś znalazł klucz, otworzył zamek w drzwiach i rozwarł okna na oścież. Wpadło świeże powietrze, podnosząc kurz i rozrywając pajęczyny. W miastach ludzie odżywiali się dość dobrze, natomiast większość mieszkańców wsi żyła z dnia na dzień. Właściciele ziemscy zmuszali swoich pracowników do wegetacji na granicy nędzy, dawali im tylko tyle żywności, by zdołali uprawiać ich pola. Niektórzy klienci El Barril, wywodzący się spoza miasta, często opowiadali o trudach, jakie muszą znosić ludzie z terenów wiejskich; rodzona siostra Conchy też miała krewnych, którym przyszło żyć w ciężkich warunkach.

Concha nie posiadała się z radości, słysząc o swobodach, które Druga Republika gwarantowała zwłaszcza kobietom. Choć Pablo nigdy jej nie gnębił, zniesienie *código civil*, kodeksu cywilnego, zapewniającego mężowi pierwszeństwo przed żoną, miało dla niej ogromne znaczenie. Wiele kobiet, mniej szczęśliwych w małżeństwie od niej, mężowie traktowali jak swoją własność.

— Tylko posłuchaj, Merche! — zawołała rozemocjonowana Concha, podnosząc wzrok znad gazety.

Rozumiała, jaki wpływ na przyszłość jej córki, mimo że teraz ma zaledwie dwanaście lat, mogą mieć niektóre z wprowadzonych zmian.

— Dotąd było tak: „Mąż sprawuje opiekę nad kobietą, a żona winna jest posłuszeństwo mężowi... — czytała. — ...Mąż reprezentuje swoją żonę. Bez zgody męża żona nie może stawać w sądzie”.

Mercedes patrzyła na matkę z obojętną miną. Nic dziwnego, że mając tak oddanych sobie rodziców, dziewczynka nie pojmowała, co wynika z tych słów. Dawne prawo uniemożliwiało kobietom wniesienie sprawy o rozwód.

— A teraz jest tak — ciągnęła z entuzjazmem Concha. — „Rodzina jest pod opieką państwa. Małżeństwo opiera się na równych prawach obu płci i może być rozwiązane za obopólną zgodą małżonków lub na żądanie jednego z nich”.

Te przepisy nie dotyczyły bezpośrednio rodziny Ramirezów, ale świeżo wprowadzona równość w małżeństwie symbolizowała rodzaj zmian zachodzących w republice. Teraz każdy miał dostęp do wykształcenia, bujnie rozwijały się wszystkie gałęzie kultury, a elitaryzm, jak się zdawało, należał do przeszłości.

Tego roku Ramirezowie ekscytowali się nie tylko wydarzeniami politycznymi, lecz również pierwszym występem Ignacia na korridzie. Należał do grupy *banderilleros*, którzy za pomocą kap i włóczni zakończonych haczykiem rozdrażniają byka i zadają mu rany przed wejściem matadora, który ma go trafić jednym ciosem.

Po latach dziecięcych zabaw i rojeń nadszedł czas, by Ignacio poczuł gorący oddech byka.

Walki byków cieszyły się w Grenadzie popularnością. Przez pewien czas były tam aż dwie areny, stara i nowa, obie używane. Ramirezowie wielokrotnie przychodzili do Plaza de Toros, ale wyjście członka ich rodziny na arenę przeżywali jak wydarzenie o historycznym znaczeniu. Wszyscy przybyli na miejsce, żeby być świadkami tej chwili — prócz Emilia, którego napawała wstrętem myśl, że niewinne zwierzę jest mordowane na oczach wiwatującego tłumu. Mercedes pozwoliła obejrzeć korridę po raz pierwszy. Ledwie mogła opanować podniecenie.

Był skwarny czerwcowy dzień, zapowiedź tego, co przyniesie lato, pierwszy prowokacyjny podmuch gorąca, które będzie czymś zwyczajnym w lipcu i sierpniu. Wszyscy byli podnieceni jak podczas fiesty.

Dlaczego ciągle się wachlujesz? — zapytała Mercedes. — Przecież siedzimy w cieniu.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów cała rodzina zajmowała dobre miejsca, gdzie nie prażyło słońce.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że to robię — odparła jej matka, poruszając wachlarzem w tę i w tę. — Nie mogę się doczekać, kiedy zaczną.

Hyla wyraźnie przejęta.

Trąbki zagrały fanfarę i na trybunach zapadła na chwilę cisza. Następnie rozpoczęła się parada. Przez bramę wmaszerowali trzej matadorzy, każdy w otoczeniu *cuadrilla*, zespołu składającego się z *picadores*, jeźdźców z pikami, *banderilleros*, pieszych pomocników uzbrojonych w krótkie włócznie, oraz *mozo de espada*, chłopca do podawania szpady.

— Czy to naprawdę nasz syn? — szepnęła mężowi do ucha pani Ramirez i łzy napłynęły jej do oczu.

Grupa młodzieńców, jeden w drugiego przystojni niczym gwiazdorzy filmowi, defilowała wokół areny. Hafty na strojach pobłyskujące metalicznie w popołudniowym słońcu oślepiły widzów. Bezwstydnie kobiecy w wyrazie ubiór, cukierkowo kolorowy — w odcieniach fioletu, różu, pistacjowej zieleni i żółtej ochry — zdobiony strasem, zaskarbiał im jeszcze większą sympatię kobiet tłumnie przybyłych podziwiać tych walecznych mężczyzn. Owego wyjątkowego dnia Ignacio wystąpił w intensywnie turkusowym kostiumie, który wyróżniał go na tle pozostałych, a nieprzyzwoicie jaskrawe barwy i przylegające do ciała spodnie tylko uwydatniały jego wspaniałą męskość.

W geście szacunku trzymając kapelusze w prawej ręce, a lewą podtrzymując ciężkie różowe peleryny, zawodnicy pokłonili się dostojnikom siedzącym w łoży honorowej. Rzesza widzów już patrzyła na nich z uwielbieniem. Matador, który miał walczyć jako pierwszy, przyjął wiwaty swoich zwolenników szerokim, zamaszystym gestem ręki, po czym cała grupa opuściła arenę. Matador z zespołu Ignacia zajmował drugie miejsce w programie widowiska.

Pierwsza walka była nieciekawa. Byk poruszał się powoli i właściwie nie zagroził członkom *cuadrilla*. Gdy zaprzęg koni ciągnął jego zwłoki wokół areny, widownia ledwie zareagowała zdawkowymi oklaskami.

Chwilę później znowu zadęto w trąbki. Brama się rozwarła i na arenę wypadł byk, potężne czekoladowobrązowe zwierzę o grubym karku, szeroko rozstawionych łopatkach i zakręconych rogach ostrych jak igły.

— Co za piękność! — wyszeptał Pablo Ramirez.

— Jaki wielki! — zawołała rozgorączkowana Mercedes.

Najlepszego z sześciu byków, które miały zostać zabite podczas korridy, zazwyczaj zostawiano na koniec. Ale wspanialsze stworzenie od tego trudno było sobie wyobrazić.

Na początek matador występujący jako drugi oraz jego banderillery, wśród nich także Ignacio, drażnili zwierzę karami, żeby poznać jego charakter, usiłowali je zdeorientować i zmęczyć bieganiami to w tę, to w tamtą stronę. W tej fazie walki zwierzę i człowiek zdawali się sobie równi. Byk jeszcze nie wpadł w szal, ale gdy te igraszki się przedłużały, wyczuł pogardę zawodników i zaczęła narastać w nim złość. Czasem pochylał łeb i szarżował, pędząc szybciej niż biegnący człowiek. Przynajmniej przez chwilę królował na arenie.

W przeciwieństwie do większości byków to stworzenie potrafiło zawrócić niemal w miejscu, poruszało się ze zwinnością zaskakującą przy tak masywnym cielsku. Matador musiał sprawdzić, jaki sposób walki jest najlepszy i czy zwierzę instynktownie szarżuje w lewo, czy w prawo. Gdy się co do tego upewnił, wszyscy zeszli z areny. Concha odetchnęła z ulgą: Ignacio pozostał przy życiu. Chwyliła Mercedes za rękę, a ta poczuła dotyk zimnej i lepkiej ze strachu dłoni.

Potem pojawił się na arenie pikador. Wjechał na koniu obwieszonym ochraniaczami, z klapkami na oczach. W ciągu kilku sekund zawodnik wykonał swoje zadanie. Pika, wbita głęboko w mięsień na karku byka, sterczała pionowo. Z rany wypłynęła krew i pokryła grzbiet jak tkanina szkarłatnej barwy.

Zwierzę wykorzystało możliwość odwetu. Z nisko pochyłym łbem natarło na konia i wzięło go na rogi, rozpruwając nieosłoniętą część brzucha. Podrzuciło nim tak lekko, jakby nic nie ważył. Pikador usiłował utrzymać równowagę, gdy koń osuwał się na ziemię. Mając przecięte struny głosowe, stworzenie padło, nie wydawszy dźwięku.

Biedny koń! — pisnęła Mercedes przerażona tym widokiem. — Czy on umrze?

— Zapewne tak, kochanie — potwierdziła jej matka.

W takim miejscu trzeba było myśleć realistycznie.

Ramirezowie patrzyli, jak Ignacio wraz z pozostałymi banderillerami wraca na arenę, żeby odciągnąć byka od umierającego konia i od znajdującego się w tarapatkach pikadora. W odczuciu Conchyjej synowi przypadła najniebezpieczniejsza rola spośród tych, które odgrywali występujący na scenie mężczyźni. Na nim miały skupić się spojrzenia dwudziestotysięcznej publiczności, gdy niczym niechronieni banderillrzy stali z kawałkami różowego materiału zamiast broni, by osłaniać się przed atakami zdezorietowanego i rozzłoszczonego zwierzęcia o wadze sześciuset kilogramów.

Ignacio, pierwszy banderillero w tym zespole, odłożył kapę, by skorzystać z wyczekiwaney od dawna sposobności i popisać się umiejętnością władania nożami. Chciał pokazać tłumowi widzów, że potrafi dostarczyć im więcej emocji niż sam matador i zadbać o to, by nie mogli usiedzieć na swoich miejscach. To jego imię miało być wysławiane w barach tego wieczoru.

Na wyprostowanych nogach, z uniesionymi do góry rękami, w których dzierżył dwa noże, stał niewzruszenie przed bykiem szarżującym na niego z drugiej strony areny. Gdy rogi zwierzęcia znalazły się na szerokość dłoni od jego piersi, wyskoczył w powietrze, żeby sztylety zakreśliły odpowiedni łuk. W mgnieniu oka zręcznym, płynnym ruchem wbił ostrza banderilli w mięsień karku i odskoczył w bok, usuwając się zwierzęciu z drogi. Noże z powiewającymi chwastami na końcach utkwily opodal rany zadanej już przez pikadora i zagłębiły się w mięśniu łopatkowym. Wyciekająca krew utworzyła lśniąca czerwoną plamę podobną do siodła.

Doskonałe wycucie czasu, jakie zademonstrował Ignacio, można było uznać za zwykłe wariactwo, ale widzowie wpadli w entuzjazm. Z trudem łapali dech, a zarazem wydawali okrzyki uznania. Czekali na takie właśnie widowisko: chcieli mieć świadomość dużego zagrożenia i możliwość zobaczenia ludzkiej krwi.

Ignacio zaspokoił swoje pragnienia. Rozniecił emocje i zyskał uwielbienie tłumów, które nie mogły się nadziwić jego dzielności i z zapartym tchem patrzyły, jak bardzo naraża swoje życie.

Ktokolwiek widział Ignacia podczas walki, nie wątpił, że istnieje związek między tym sportem a skokami przez byka na Krecie w starożytnych czasach. Przez ułamek sekundy mogło się wydawać, że ten zwinny *banderillero* wlatuje w powietrze. Jeszcze kilka centymetrów, a przeskoczyłby przez szarżujące zwierzę. To była czysta ekwilibrystyka. Stał wtedy bez kapy, bez szpady, bez sztyletu i nic nie oddzielało go od zwierzęcia, które odwróciło się w stronę napastnika.

— Nie mogę na to patrzeć — powiedziała Concha i zasłoniła twarz dłońmi przekonana o rychłej śmierci syna.

- Nic mu nie będzie, mamó — rzekł Antonio, delikatnie ściskając jej ramię.

Nie mylił się. Ignacio mógł teraz bezpiecznie przejść przed bykiem. Zwierzę traciło siły. Zagrożenie minęło. Po chwili wycofał się do *callejón*, przejścia za drewnianą rampą wokół areny.

Byk został uśmiercony przez matadora, ale istotną część zadania wykonali *banderilleros*. Może zrobili to aż za dobrze, bo gdy pojawił się matador z muletą, stworzenie niemal padało na kolana. Ostatkiem sił podążyło za czerwoną tkaniną, którą wymachiwał ubrany w złoty strój matador, wykonując zwody. Śmiertelne trafienie szpadą w serce nikogo nie wprawiło w euforię.

Występ byka zakończył się pożegnalną rundą wokół areny. Zaprzęg koni ciągnął martwe zwierzę, niczym pędzlem malując nim na piasku idealne szkarłatne koło. To było dla niego ostatecznym upokorzeniem.

Druga walka Ignacia tego popołudnia zrobiła równie silne wrażenie na publiczności jak pierwsza. Jego kariera rozpoczęła się we wspaniałym stylu. *Aficionados* zwrócili na niego uwagę.

Przez kilka następných dni w karcie dań tutejszych restauracji

przeważał duszony ogon wołowy, *rabo de toro*, oraz pieczeń wołowa — potrawy ze smacznego mięsa zwierząt, których niewinne życie toczyło się na żyznych pastwiskach. Jatki na targu w Grenadzie były pełne *toro*, co cieszyło wszystkich Ramirezów prócz Emilia, który nie mógł patrzeć na mięso.

Concha uprzytomniła sobie, że oglądanie walk Ignacia wcale nie będzie łatwiejsze z upływem czasu. Choć wielokrotnie siedziała na trybunach, zawsze dręczyło ją przecucie, że byk ubodzie jej przystojnego, smukłego syna. Znosiła katusze. Czasem Pablo mówił żonie na pocieszenie, że według danych statystycznych niewielu zawodników ponosi śmierć na arenie, ale nic nie dodawało jej otuchy.

Rozdział 13

Kilka miesięcy po proklamowaniu republiki zaczęły się pojawiać pewne oznaki rozczarowania. Bywalcy El Barril powtarzali pogłoski, że na lewicy tworzą się podziały, bąkali pod nosem, że republikański rząd, w którym przeważali socjaliści, nie podejmuje działań, by zgodnie z obietnicami szybko położyć kres biedzie. Nim dobiegł końca rok tysiąc dziewięćset trzydziesty pierwszy, już dochodziło do starć między siłami bezpieczeństwa a protestującymi robotnikami, którzy uważali, że ich interesy nie są reprezentowane.

Sporo Hiszpanów pragnęło powrotu do władzy ludzi zamożnych i uprzywilejowanych, wielu nie znosiło narastającego liberalizmu, uważając, że jest powodem rozluźnienia obyczajów, którego nie mogli strawić. Przez następnych kilka lat przy każdej okazji występowali przeciwko republice. Nowy rząd szybko naraził się konserwatystom, ingerując w sprawy Kościoła katolickiego poprzez ograniczenie możliwości urządzania procesji i zmniejszenie liczby świąt religijnych. Uznano to za niszczenie tradycyjnego stylu życia. Do osłabienia wpływów duchowieństwa przyczyniło się także otwarcie szkół niezwiązanych z instytucjami kościelnymi. Hierarchowie katolicki, rozżaleni utratą niekwestionowanej dotychczas pozycji, połączyli siły z ziemianami i bogaczami i zaczęli okazywać niechęć nowemu rządowi.

W samym rządzie również tworzyły się podziały, co wykorzystywali ludzie pragnący jego upadku. Na początku roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego fala przemocy ogarnęła prowincję Kadyks. Doszło do tego, że anarchiści otoczyli posterunek Guardia Civil w miejscowości Casas Viejas i ogłosili wprowadzenie anarchokomunizmu. Starcia były nieuchronne.

— Czy ci ludzie nie powinni stać po tej samej stronie? — zauważyła Concha. — Nic z tego nie rozumiem. Jeśli zaczną ze sobą walczyć, równie dobrze możemy wrócić do dyktatury!

Zaglądając Antoniowi przez ramię, czytała nagłówki w numerze codziennej gazety.

— Tak jest w teorii — odparł. — Ale ci robotnicy bez wątpienia uważają, że rząd nie stoi po ich stronie. Większość z nich od roku nie może znaleźć pracy.

Miał rację. Ci przymierający głodem „rewolucjoniści" byli doprowadzeni na skraj rozpacz, żyli z żebractwa i kłusownictwa, licząc na jakąś zapomogę od czasu do czasu. Podwyżka ceny chleba pchnęła ich w końcu do działania.

Po kilku dniach nadeszły jeszcze gorsze wiadomości. Z Kadyksu przybyła Guardia Civil, wsparta przez Guardia de Asalto, żeby stłumić powstanie. Obie jednostki otoczyły dom sześciopalczastego anarchisty, zwanego Seisededos, a potem padł rozkaz spalenia budynku. Ludzie zginęli w płomieniach, a pozostali anarchiści, aresztowani wcześniej, zostali rozstrzelani z zimną krwią.

— To okrucieństwo! — zawołał Ignacio, czytając doniesienia o śmierci dwunastu osób w akcji odwetowej. — Co ten rząd wyrabia?

Ignacio nie należał do ludzi, którzy w sposób naturalny biorą stronę chłopów i rewolucjonistów, ale tacy jak on, niechętni sprawującemu władzę rządowi socjalistów i republikanów, korzystali wtedy z okazji, by krytykować premiera Manuela Azańę. Wydarzenie wstrząsnęło krajem, a prawica spostrzegła, że może wykorzystać sytuację do własnych celów, i szybko oskarżyła rząd o barbarzyństwo.

— Moim zdaniem dni koalicji są raczej policzone — powiedział Ignacio obojętnym, a zarazem znaczącym tonem, by rozzłościć starszego brata.

— To się okaże — odparł Antonio, pilnując się, by nie stracić panowania nad sobą.

Bracia często się kłócili, a ostatnio coraz bardziej dzieliła ich polityka. Według Antonia Ignacio nie miał zdecydowanych poglądów politycznych. Po prostu lubił awantury. Czasem aż nie warto było się z nim spierać.

Podczas wyborów, które odbyły się pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku, Antonio usilnie pragnął, by liberałowie pozostali u władzy. Z niepokojem przyjął wiadomość o przejęciu rządów przez konserwatystów, co groziło zarzuceniem reform wprowadzonych przez lewicę. Pomruki gniewu przerodziły się w wybuch niezadowolenia. Organizowano strajki i protesty. Zarówno socjaliści, jak i faszyci mieli rosnące w siłę organizacje młodzieżowe, na których czele stali mocno upolitycznieni młodzieńcy z pokolenia Antonia.

W następnym roku sytuacja uległa pogorszeniu, a w październiku trzydziestego czwartego lewica spróbowała urządzić strajk generalny. Akcja się nie powiodła, lecz zbrojny bunt w Asturii, okręgu górniczym na północy kraju, trwał dwa tygodnie i miał dalekosiężne konsekwencje. Zbombardowano wioski i ostrzelano miasta na wybrzeżu.

Choć centrum działań znajdowało się daleko od Grenady, Ramirezowie bacznie śledzili przebieg wydarzeń.

- Tylko posłuchajcie — powiedział oburzonym tonem Antonio, trzymając w ręce świeżą gazetę. — Stracono kilku przywódców strajku!

Dziwisz się? — odparł Ignacio. — Nie mogą pozwolić na coś takiego.

Antonio zachował milczenie.

- Należało się tym lewicowcom za spalenie kościołów! — ciągnął Ignacio, chcąc sprowokować brata.

Żołnierze z Hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej, sprowadzeni do opanowania sytuacji, nie tylko rozstrzelali część przywódców, lecz również zabili niewinne kobiety i dzieci. Duże obszary Gijón i Oviedo, głównych miast tego regionu, zniszczyły bomby i pożary.

— Mamo, spójrz na te zdjęcia.

— Tak, widziałam. Mówią wszystko...

Zniszczenie budynków nie było ostatnim aktem zemsty. Zaczęły się brutalne represje wśród ludności. Trzydzieści tysięcy robotników wsadzono do więzień, gdzie tortury były na porządku dziennym. Prasa socjalistyczna milczała.

Odmieniły się nastroje w kraju. Nawet w El Barril, gdzie Pablo i Concha robili wszystko, by okazać bezstronność polityczną, czuło się nieufność wśród gości. Niektórzy otwarcie popierali socjalistów, inni cieszyli się z wejścia konserwatystów do rządu, jedni i drudzy chwilami nie ukrywali wobec siebie wrogości. Atmosfera w barze uległa pewnej zmianie. Nadchodził kres wspaniałych dni Drugiej Republiki.

Niezależnie od przemian i wstrząsów politycznych Concha martwiła się, że zostaną ograniczone uprawnienia, które zyskali zwykli ludzie. Dręczyła ją przede wszystkim myśl o zniesieniu rozporządzeń korzystnych dla kobiet. Po raz pierwszy w dziejach Hiszpanii mogły zajmować stanowiska publiczne i uczestniczyć w życiu politycznym kraju. Tysiącami podejmowały studia uniwersyteckie, uprawiały sport, nawet walczyły z bykami.

Concha i jej przyjaciółki bezceremonialnie określały przyznane kobietom swobody jako „niekrępujące reformy”, nawiązując do reklam atrakcyjnej bielizny, które czasem pojawiały się wtedy w gazetach. Poprzez małżeństwo z Pablem Concha przestała biedować na wsi i pragnęła, by jej córce również żyło się lepiej, dlatego cieszyła ją myśl, że Mercedes będzie dorastała w społeczeństwie, które oferuje więcej możliwości. Widząc kobiety pracujące w różnych zawodach i zajmujące ważne, wpływowe stanowiska, żywiła nadzieję, że dziewczynie będzie

pisane coś więcej niż polerowanie kieliszków i ustawianie ich równo na ładzie. Choć Mercedes miała w głowie tylko taniec, matka traktowała to jako dziecięcą rozrywkę.

O synów się nie martwiła. Już rozpoczęli pracę zawodową i przyszłość każdego z nich wyglądała obiecująco.

— Grenada jest miastem możliwości — powiedziała do Mercedes. — To wyobraź sobie, jak wygląda reszta Hiszpanii!

Mercedes miała nikłe pojęcie o tym, jak wygląda reszta Hiszpanii, ale kiwnęła głową. Właśnie tak najlepiej było postępować w rozmowie z matką. Concha nie traktowała jej zainteresowania tańcem poważnie, o tym Mercedes wiedziała. Z upływem miesięcy i lat nabierała również pewności, że tylko to chce robić w życiu i że przekonanie o tym rodziców będzie trudną sprawą. Wszyscy bracia oceniali jej zamiary przychylnie. Przyglądali się jej w tańcu od dnia, gdy dostała pierwsze buty do flamenco — najmniejsze, jakie kiedykolwiek uszyto — aż do teraz, gdy mogła się równać z każdą tancerką w Grenadzie. Nie miała wątpliwości, że rozumieją jej pragnienia.

Gdy od mieszkających na wsi krewnych zaczęły przychodzić wieści o tym, że znowu pogarsza się traktowanie bezrolnych chłopów, Concha pouczała swą rodzinę, jaka to niesprawiedliwość.

- Nie tego ludzie spodziewali się po republice! — perorowała.

Oczekiwała reakcji dzieci, bo po mężu nie mogła się spodziewać niczego innego niż zachowania pozorów bezstronności. Pablo stwierdził, że przyjęcie takiej postawy jest zdecydowanie najkorzystniejsze, zważywszy, że powodzenie jego interesów zależy od miłego przyjęcia każdego człowieka, który zechce stanąć na progu El Barril. Nie chciał, by kawiarnia kojarzyła się nazbyt wyraźnie z jakimikolwiek barwami politycznymi, tak jak kilka barów w mieście, które stały się miejscami spotkań koterii o jasno określonych zapatrywaniach.

Antonio mruknął coś potakująco. Ze wszystkich członków

rodziny najlepiej zdawał sobie sprawą z zachodzących przemian politycznych. Bacznie śledził obrady w Kortezach, zachłannie i ze zrozumieniem czytał gazety. Choć Grenada wyraźnie skłaniała się ku konserwatystom, dla Antonia, podobnie jak dla jego matki, oczywistością było popieranie lewicy. Rodzina zapewne by o tym nie wiedziała, gdyby nie spory Antonia z Ignaciem. Między młodzieńcami mogło dojść do awantury w każdej chwili.

W dzieciństwie kłócili się właściwie o wszystko, poczynając od zabawek i książek, a kończąc na resztkę chleba w koszyku. Ignacio za nic by nie przyznał, że wiek daje jakiegokolwiek prawo do pierwszeństwa. Po latach, gdy powodem konfliktów stały się sprawy poważniejsze, związane z polityką, bracia może nie wychodzili z potyczek posiniaczeni i podrapani, ale walczyli ze sobą przepelnieni nienawiścią.

Podczas tych awantur Emilio zawsze milczał. Nie dawał się wciągnąć w ich kłótnie, wiedząc, że Ignacio najpewniej zacznie mu dokuczać. Czasem wtrącała się Mercedes przygnębiona gwałtownością scysji. Chciała, by bracia się kochali. Tak głęboka niechęć wydawała jej się czymś nienaturalnym między rodzeństwem.

Innym powodem rozzdźwięku, który wtedy nastąpił, były coraz silniejsze związki Ignacia ze środowiskiem ludzi związanych z korridą. Ten sport — a raczej sztuka, jak uważali niektórzy — przyciągał najbardziej konserwatywnych mieszkańców Grenady, właścicieli ziemskich i bogaczy, których poglądy Ignacio przejął ochoczo. Pablo i Concha akceptowali te upodobania, mając przy tym nadzieję, że gdy ich syn nabierze dojrzałości, zrozumie, iż rozsądek nakazuje zajmować pozycję umiarkowaną. Antonio zaś z trudem znosił butę brata i nie krył swych uczuć.

Domownicy odprężali się, dopiero gdy Ignacio wyjeżdżał na korridę. Jego występy w roli *banderillero* już się skończyły, potem nastąpił czas terminowania jako *novillero*, kiedy mógł walczyć tylko z młodymi bykami. W końcu został uznany za

matador de toros z prawdziwego zdarzenia i podczas oficjalnej ceremonii, zwanej *alternativa*, znawcy docenili jego wcześniej rozwinięty talent. Gdziekolwiek walczył, nie tylko w Grenadzie, lecz również w Sewilli, Maladze i Kordowie, z każdym pojawieniem się na arenie zyskiwał coraz większą sławę.

Emilio dorastał, czując coraz większą antypatię do Ignacia, silniejszą niż niechęć Antonia. Obaj chłopcy spontanicznie zajmowali odmienne stanowiska we wszystkich sprawach. Ignacio naśmiewał się z Emilia, wytykając mu rozmaite rzeczy: że uwielbia grać na gitarze, że nie interesują go kobiety, że nie jest „prawdziwym mężczyzną” — tak się wyrażał. W przeciwieństwie do Antonia, który umiał walczyć na słowa zręczniejszy niż Ignacio, Emilio pograżał się milczeniem, a następnie w muzyce. Niechęć Emilia, by wziąć odwet, odpowiedzieć w sposób zrozumiały dla Ignacia: za pomocą pięści lub zgrabnego sformułowania, rozwścieczała go jeszcze bardziej.

Choć Mercedes była osobą o wiele bardziej towarzyską niż Emilio, żyła zanurzona we własnym świecie muzyki i tańca. Niewiele się u niej zmieniło między piątym a piętnastym rokiem życia. Nadal przesiadywała na poddaszu, słuchając gry brata, albo chodziła do swojego ulubionego warsztatu krawieckiego na tyłach Plaza Bib Rambla, gdzie szyto najlepsze w mieście suknie do flamenco, gawędziła z właścicielką i dotykała materiałów, wodząc palcami po fałdach i sutych falbanach niczym dziewczyna szykująca wyprawę ślubną przed rychłym zamążpójściem.

Warsztat, prowadzony przez panią Ruiz, był prywatnym rajem Mercedes. Na przymocowanych do sufitu wieszakach znajdowały się suknie zarówno dla dorosłych kobiet, jak i dla małych dziewczynek, nawet malutkie kostiumy dla niemowląt, które nie umiały jeszcze chodzić, a co dopiero tańczyć. Wszystkie wykonano z taką samą pieczołowitością; rzędy falban wykończonych wstążką lub koronką wykrochmalono na sztywno. Każda suknia była inna, zrobiona z innego materiału. Wisiały

tam proste spódnice do ćwiczeń oraz białe bluzki, haftowane chusty z jedwabnymi frędzlami, grzebienie do włosów i lśniące kastaniety ułożone w rzędach. Nie zapomniano również o męskich ubiorach, tak dla brzdąców, jak i dla dorosłych przygotowano spodnie i koszule we wszystkich rozmiarach i czarne kapelusze dopełniające stroju.

Suknie, które podobały się Mercedes najbardziej, miały wszyty u dołu drut, żeby rąbek układał się w idealnie falistą linię podczas obrotów. Niektóre pragnęła mieć na własność, ale każda kosztowała wiele tysięcy peset i Mercedes musiała zadowolić się marzeniami. Choć mama uszyła jej trzy stroje do tańca, dziewczyna mimo wszystko tęskniła za „prawdziwą suknią” i prowadziła długie rozmowy z właścicielką warsztatu, która mogła niestrudzenie opowiadać o jakości i cenie tkanin. Pani Ramirez obiecała spełnić życzenie córki w dniu jej szesnastych urodzin.

Gdy Mercedes miała osiem lat, jej umiejętności taneczne już wzbudzały podziw. Występy publiczne takich małych dziewczynek były powszechnym widokiem i nikt nie uważał, że są niestosowne lub przedwczesne. Potem, gdy skończyła jedenaście lat, chodziła na wzgórze Sacromonte, gdzie w wilgotnych, wydrążonych w zboczu jaskiniach mieszkali Cyganie. Miała tam kilka koleżanek, ale tak naprawdę szła odwiedzić starą *bailaora*, znaną jako La Mariposa.

Większość ludzi uważała, że ta kobieta jest obłąkaną wiedźmą. Maria Rodriguez rzeczywiście postradała nieco zmysły, natomiast zachowała wspomnienia z czasów, gdy była znakomitą tancerką. Pamiętała tamte wydarzenia tak wyraźnie, jakby działy się poprzedniego dnia. Patrząc na Mercedes, widziała siebie w młodości i w jej starczym umyśle być może kołatała się myśl, że ona i ta dorastająca dziewczynka są jedną i tą samą osobą, co pozwalało jej za pośrednictwem dziecka ponownie przeżywać swój taniec.

Mercedes miała wielu przyjaciół wśród rówieśników, ale gdy matka chciała ją odszukać, zawsze zaglądała najpierw do

rozwalającej się chałupy starej kobiety. Tam dziewczyna znajdowała schronienie i tam rozwijała się jej pasja.

Pani Ramirez martwiła się, że Mercedes nie przykłada się do nauki i zbiera słabe stopnie. Chciała, by jej córka stała się kimś, by wyjechała z miasta i wykorzystała możliwości, jakie daje ten zmieniający się świat.

- Kiedy ty posiedzisz w domu i zaczniesz się uczyć? — upomniała córkę. — Nie możesz przez całe życie robić piruetów. W ten sposób nie zarobisz na utrzymanie.

Starła się mówić żartobliwym tonem, ale była poważnie zaniepokojona. Mercedes zdała sobie z tego sprawę, więc ugryzła się w język i nie odpyskowała.

Dyskutowanie z mamą nie da — powiedział do niej Emilio. — Nigdy nie zrozumie twojego punktu widzenia. Tak jak nie rozumie mego.

Concha uważała, że Mercedes nigdy nie będzie „porządną” tancerką, ponieważ nie ma w sobie cygańskiej krwi. Jej zdaniem tylko *gitanos* umieli tańczyć flamenco i w rzeczy samej grać na gitarze flamenco. Nawet Pablo nie mógł się z tym zgodzić.

Ona jest tak dobra jak każda z nich — stanął w obronie córki, gdy razem z żoną przyglądali się jej występowi podczas fiesty.

Nawet gdyby tak było — rzekła Concha — wolę, żeby zajmowała się czymś innym. Tak uważam.

A ona uważa, że odpowiednim dla niej zajęciem jest taniec — wtrącił Emilio, zdobywając się na śmiałość.

Nie mieszaj się w nie swoje sprawy, Emilio — warknęła Concha. — Poza tym wolelibyśmy, żebyś jej tak nie rozzuchwalał.

Pablo pochwalał dotychczas umiłowanie tańca u swej córki, ale teraz zaczął się tym martwić, choć z innych powodów niż jego żona. Od wyborów wygranych przez konserwatystów i zamieszek na północy kraju Guardia Civil coraz bardziej dawała się we znaki nieposłusznym. Na przykład każdego, kto

bratał się z Cyganami, uważano za wywrotowca. Dlatego Pablo z rosnącym niepokojem obserwował, ile czasu Mercedes spędza na Sacromonte.

* * *

Któregoś popołudnia Mercedes wróciła pędem od La Mari-posy i z impetem wpadła do kawiarni. W środku był tylko Emilio, który stał za barem, wycierając filiżanki i spodeczki. Od pewnego czasu pracował w El Barril niemal na okrągło. Rodzice akurat odpoczywali w mieszkaniu na górze, Antonio prowadził ostatnie w tym semestrze lekcje w szkole, a Ignacio wyjechał na korrridę.

— Emilio! — zawołała zdyszana. — Koniecznie weź wolny wieczór. Musisz tam ze mną pójść!

Gdy stanęła przy ladzie, zobaczył na jej czole kropelki potu. Na pewno biegła bardzo szybko, piersi falowały jej z wysiłku. Długie włosy — czasami, gdy szła do szkoły, starannie zaplecione w warkocz — były rozpuszczone i potargane.

— Proszę!

— Po co? — zapytał, nie przerywając pracy.

— Będzie *juerga*. Maria Rodriguez powiedziała mi przed chwilą, że zagra syn Raula Montero. Dziś wieczorem. Jesteśmy zaproszeni, ale wiesz, że nie mogę pójść sama...

— O której?

— Koło dziesiątej. Emilio, proszę cię! Chodź ze mną!

Mercedes chwyciła za krawędź blatu i stała z szeroko otwartymi oczami, obrzucając brata błagalnym spojrzeniem.

— Dobrze. Zapytam tatę.

— Dzięki, Emilio. Podobno gra niemal tak dobrze jak jego ojciec.

Widział, jak jest podekscytowana. Staruszka powiedziała jej, że jeśli Javier Montero jest choć trochę tak przystojny jak jego ojciec i w jednej dziesiątej tak uzdolniony muzycznie, to warto go zobaczyć.

Javier Montero właściwie nie był nieznanym człowiekiem —

wielu *gitanos* już o nim słyszało. Na ich zaproszenie przyjechał tu **Z** rodzinnej Malagi. Miejscowi często ściągali muzyków spoza Grenady, ale jak dotąd na żadnego nie czekali z taką niecierpliwością. Ten młodzieniec, znany jako El Nino, był synem najgłośniejszego wówczas artysty flamenco, Raula Montero, i tamtego wieczoru, latem trzydziestego piątego roku, miał wystąpić w Grenadzie.

Gdy Mercedes i Emilio weszli do długiego pomieszczenia bez okien, zobaczyli na krześle muzyka grającego cicho *falseta*, wariację utworu, którym miał rozpocząć występ, jak się później okazało. Widzieli jedynie czubek głowy okolonej gęstwiną lśniących czarnych włosów, które opadały, zupełnie zasłaniając twarz. Pochylony z czułością nad gitarą wydawał się nasłuchiwać, jakby wierzył, że sam instrument poda mu melodię. Opodal ktoś delikatnie wystukiwał rytm na blacie stołu.

Przez dziesięć minut, gdy ludzie się schodzili, siedział ze spuszczoną głową. Gdy podniósł wzrok, spojrzał w dal, na punkt, który tylko on widział. Sprawiał wrażenie całkowicie skupionego, ciemne oczy ledwie dostrzegały zarysy nielicznych siedzących już osób. Ponieważ lampy znajdowały się za nimi, twarze były w cieniu, a sylwetki otoczone aureolami.

Na młodego Javiera Montero padało światło reflektorów, by wszyscy go widzieli. Jak na dwudziestolatka wyglądał młodo, a dołeczek w brodzie nadawał mu zaskakująco niewinny wyraz. Miał w sobie coś niemal kobiecego: bujne lśniące loki i rysy twarzy delikatniejsze niż zazwyczaj u Cyganów.

Od pierwszej chwili gdy Mercedes go zobaczyła, była zauroczona. Uważała, że jest niezwykle piękny jak na mężczyznę, a gdy grzywa włosów znów opadła mu na twarz, miała wrażenie, że coś straciła. Siłą woli chciała zmusić go, by znów podniósł głowę — tak bardzo pragnęła dalej przyglądać się jego twarzy. On zaś nie przestawał przesuwać leniwie palcami po strunach, z próżności czekając na liczniejszą widownię i najwyraźniej nie zamierzając rozpocząć koncertu, dopóki pomieszczenie nie wypełni się do ostatniego miejsca.

Ponad pół godziny później, bez wyraźnej zapowiedzi, rozpoczął występ.

Jego gra była dla Mercedes doznaniem fizycznym. Od pierwszej chwili czuła, jakby rozrastało się jej serce. Mocne uderzenia rozbrzmiewały w uszach niczym donośne dudnienia w bęben, bez udziału jej woli. Siedząc jak wszyscy na niskim, niewygodnym stołku, objęła się rękami, by opanować drżenie ciała. Nigdy dotąd nie słyszała takiej gry. Nawet starsi muzycy, którzy mieli pięćdziesięcioletnie doświadczenie, nie potrafili uzyskać tak wyrafinowanego dźwięku.

W jego flamenco muzyk i instrument stanowili jedność; rytmy i melodie, które wydobywał z gitary, przesywały słuchaczy jak prąd elektryczny. Perkusyjne uderzenia w pudło, akordy i tony ulatujące z instrumentu pozwalały sądzić, że gra tu trzecia, niewidzialna, ręka. Pewność techniki i oryginalność brzmienia zdumiały wszystkich. Temperatura w pomieszczeniu wyczuwalnie wzrosła. Wypowiadane pod nosem *ole* krążyło wśród widzów jak kapelusz.

Dopiero gdy krople potu pokryły twarz Javiera Montero, odchylił do tyłu głowę i publiczność mogła zobaczyć jego zniekształcone skupieniem rysy. Lśniące strużki spływały mu po szyi. Na kilka minut grę przejął bębniarz, pozwalając odpocząć gitarzyście, który znów skierował obojętny wzrok za głowy widzów. Ani przez chwilę nie nawiązał z nimi kontaktu. Z miejsca gdzie siedział, stanowili jedną, bezkształtną masę.

Zagrał jeszcze jeden utwór, po czym, dwadzieścia minut po rozpoczęciu występu, skinął zdawkowo głową, wstał i zaczął się przeciskać przez oklaskujący go tłum.

Gdy wychodził, skraj jego marynarki musnął twarz Mercedes i owiała ją słodko-kwaśna woń jego ciała. Ogarnęło ją uczucie podobne do paniki, silne jak napad bólu, i serce zaczęło znowu jej walić. W jednej chwili, która nadeszła jak grom z jasnego nieba, pozorowane gesty miłości i żalu, które podpatrywała latami u innych tancerek flamenco i potem naśladowała, nabrały

autentyzmu. Dotychczasowe udawanie stanowiło próbę generalną przed tym wydarzeniem.

Ból i rozpacz na myśl, że nigdy więcej nie zobaczy tego mężczyzny, były tak dojmujące, że niemal krzyknęła bez opamiętania: „Stój! Nie odchodź!”. Nie powstrzymała jej ani rozsądek, ani powściągliwość, wstała i wymknęła się z pomieszczenia, zostawiając w *cueva* Emilia, który dyskutował z innymi o tym, czego właśnie byli świadkami.

Takie występy często zachwycały widzów, ale ten muzyk przerastał najlepszych. Co do tego wszyscy się zgodzili i ich zawiść zabarwiona duchem rywalizacji przemieniła się w podziw dla olśniewającego talentu gitarzysty.

Uderzenie rześkiego powietrza niemal odebrało Mercedes odwagę. Tuż za drzwiami, w mroku, zamajaczył *guitarrista*. Jego obecność zdradził żarzący się papieros.

Nagle prawie zawstydziła ją własna śmiałość.

— *Senor* — szepnęła.

Montero przywykł do tego, że okazywano mu względy. Zawsze znalazł się na widowni ktoś, kto nie mógł się oprzeć urokowi mistrza gitary.

— *Si* — rzekł zaskakująco głębokim głosem.

Zrobiwszy pierwszy krok, Mercedes nie zeszła z obranej drogi, choć miała uzasadnione obawy, że zostanie odtrącona. Balansowała na linie zmuszona albo iść do przodu, albo do tyłu. Skoro posunęła się tak daleko, nie pozostało jej nic innego, jak wypowiedzieć przygotowane wcześniej słowa.

Zagra pan dla mnie?

Przejęta własną zuchwałością przygotowała się na odpowiedź odmowną.

Właśnie zagrałem dla ciebie... — rozległ się znużony głos.

Dopiero teraz zechciał na nią spojrzeć. Światło latarni wy dobyło jej twarz z mroku. Ileż to kobiet zwracało się do niego w ten sposób, uwodzicielskich, dostępnych, podnieconych jego grą, ale gdy widział je przy świetle, okazywało się, że mogły być jego matkami. Czasem, czując, jak po występie rozsadza

go adrenalina, pozwalał sobie na godzinę bliskości z którąś z nich. Bycie przedmiotem uwielbienia zawsze sprawia przyjemność.

Ale ta dziewczyna była młoda. Może naprawdę chciała zatańczyć. To byłaby odmiana.

— Musisz poczekać — powiedział szorstko. — Nie chcę, żeby zebrał się tłum.

Nie miał ochoty więcej grać tego dnia, lecz był ciekaw, czego ta dziewczyna od niego chce. Już sama jej zuchwałość, pominawszy ładną buzię, wystarczyła, by wyraził zgodę. Zapalił następnego papierosa i dalej stał w mroku. Mijały minuty, ludzie się rozchodzili.

Krążąc w pobliżu i nikomu się nie pokazując, Mercedes dostrzegła smukłą sylwetkę brata: schodził ze wzgórza wąską brukowaną uliczką, a potem zniknął jej z oczu. Pewnie sądził, że wróciła do domu. W końcu został tylko właściciel jaskini, który nie mógł się doczekać, kiedy zarygluje na noc drzwi.

— Możemy wejść na chwilę do środka? — zapytał go Javier.

— Dobrze, jeśli chcecie — odparł tamten, rozpoznając Mercedes. — Ale za dziesięć minut muszę stąd iść. Tyle daję wam czasu.

Mercedes włączyła światło. Javier zajął swoje miejsce i ze schyloną głową uderzył w kilka strun, przysłuchując się dźwiękom, podkręcił dwa kołki, po czym uniósł wzrok. Teraz był gotów nawiązać kontakt z senioritą.

Dotychczas niewiele mógł powiedzieć o tej dziewczynie — prócz tego, że była młoda — ale teraz, gdy przyjęła pozę wyjściową, zauważył, że nie ma do czynienia ze wstydliwą panienką. Całą sobą pokazywała, że jest wyniosłą damą: postawą, *actitud*, i wyczuciem dramatyzmu.

— Co ma być? *Alegrias*? *Buleria*?

Prosta letnia sukienka z szerokim dołem i buty na płaskich obcasach nie były odpowiednim strojem do tańca, ale to jej nie powstrzymało.

— *Solea*.

Rozbawiła go ta dziewczyna. Uśmiechnął się, gdy tak stała przed nim, emanując pewnością siebie, choć jeszcze nie odgięła nawet czubka palca.

Skupił na niej całą swą uwagę niczym snop światła. Uderzała w dłonie, by uchwycić wygrywany rytm, i gdy poczuła, że muzyka i klaskanie są doskonale zsynchronizowane, zaczęła się poruszać. Tupiała rytmicznie w podłogę, najpierw dość wolno, następnie uniosła ręce nad głowę i obracała dłońmi, wyginając je tak, że układały się niemal równolegle do nadgarstków.

Potem wykonywała ruchy stopami, coraz szybsze i szybsze, aż przeszły w stukot. Jeden krok następował zaraz po drugim, bez chwili wytchnienia. Z początku tańczyła nieśmiało, zachowując pełną szacunku odległość od akompaniatora. Gitarzysta obserwował ją bacznie, umiejętnie wyrażając jej ruchy muzyką, tak jak robił to wcześniej Emilio.

Ten taniec trwał pięć, może sześć minut, dziewczyna obracała się i przytupywała w jednym miejscu. Przez bawełnianą sukienkę widać było zarys umięśnionego ciała. Wiele tancerek poruszało fałdami sukien, traktując to jako element choreografii, ale tkaniny często były ciężkie. Mercedes czuła, że w cienkiej sukience ma więcej swobody. W ostatnim takcie zatrzymała się zdyszana, a jej ciało jeszcze chwilę kołysało się z wysiłku.

- *Muy bien* — powiedział Javier, po raz pierwszy uśmiechając się do niej. — Bardzo dobrze. Bardzo, bardzo dobrze.

Podczas tańca nawet nie zerknęła na niego, on zaś nie odrywał od niej wzroku. Miał wrażenie, że między początkowym a końcowym taktem w dziewczynie dokonała się przemiana.

Zdążył zapomnieć, ile przyjemności daje akompaniowanie do tańca. Przez kilka ostatnich lat już tego nie robił. Rzadko spotykał tancerkę, dla której chciał grać. Nie radziły sobie dostatecznie dobrze.

Z kolei on wybrał muzykę.

- A teraz *buleria* — oznajmił.

Dla Mercedes był to dużo trudniejszy taniec, ale szybko wychwyciła rytm gitary. Od pierwszego dźwięku wyczuła rytm i tempo, jej stopy poruszały się niemal automatycznie. Teraz tańczyła tylko dla Javiera i tym razem to ona miała dostosować się do muzyki. Powoli robiła pełne obroty, wyciągając ku niemu rękę ze zbiegającymi, wyprostowanymi palcami, ale nie dotykając go ani razu.

Ten utwór był dłuższy. Dała z siebie wszystko, wiedząc, że to ostatni taniec. Gdy kręciła się dokoła własnej osi, czarne kędziory płynęły za nią jak płaszcz, spinka upadła z brzękiem na podłogę. Wydawało się, że wyciągnięcie rąk inicjuje obrót, a zarazem jest jego następstwem, aż w końcu, niczym żyroskop, zwolniła i taniec zakończył się tupnięciem wraz końcowym akordem.

Stała zasapana, zlane potem; pasma wilgotnych włosów przykleiły się do twarzy. Wyglądała tak, jakby biegła w deszczu.

Przyciągnęła krzesło i usiadła. Zapadła obezwładniająca cisza, która wprawiała w zakłopotanie po zgiełku, jaki chwilę wcześniej wypełniał pomieszczenie. Chcąc rozładować napięcie, Mercedes pochyliła się i zaczęła wypatrywać spinki do włosów.

Minęło kilka minut. Javier przyglądał się młodej kobiecie, która w tańcu stała się kimś innym. Całkiem nieoczekiwanie ta tancerka go poruszyła. Dotychczas może tylko raz *bailaora* wywołała w nim żywsze uczucia, zazwyczaj czuł się jak obładowany koń juczny. Dawno temu postanowił, że nie zostanie akompaniatorem. Ale z tą dziewczyną stworzył duet.

— No więc... — bąknął, przyglądając się, jak Mercedes spina włosy.

Widząc, że skupił na niej całą uwagę, poczuła zażenowanie. Starła się nie oddychać, żeby usłyszeć dalsze słowa, ale wciąż była zdyszana i miała wrażenie, że pęknie.

— ...tego chciałaś?

Nie spodziewała się pytania, ale musiała na nie odpowiedzieć.

— Moje nadzieje spełniły się z nawiązką. — Tylko tyle przyszło jej na myśl.

Właściciel jaskini stanął w drzwiach i pobrzękiwał kluczami. Nawet jeśli fetowali tego muzyka w innych miejscowościach, on i tak uważał, że czas wszystko zamknąć i wrócić do domu.

Javier włożył gitarę do futerału i zatrzasnął wieko.

Gdy wyszli na dwór, odwrócił się twarzą do Mercedes. Zrobiło się chłodno, dziewczyna drżała z zimna w wilgotnej od potu sukience. Widząc, jak dygocze, naturalnym gestem zdjął marynarkę i okrył jej ramiona.

— Weź to. Odbiorę ją jutro przed wyjazdem — powiedział cicho. — Gdzie cię znajdę?

— W kawiarni mojego ojca. El Barril. Tuż obok Plaza Nueva. Każdy wskaże drogę.

Stojąc pod mrugającą latarnią gazową, przeciągłym spojrzeniem objął dziewczynę zaskoczony własnymi odczuciami. W osobliwy sposób łączyła w sobie dziecięcość i dorosłość, była nastolatką u progu dojrzałości, naiwną, a zarazem doświadczoną. Widział wiele podobnych do niej młodych tancerek flamenco, które zachowały dziewictwo, ale straciły już niewinność. Zazwyczaj ich wybujała seksualność znikwała, gdy kończył się taniec, ale z tą było inaczej. Emanowała zmysłowością, która tej nocy na pewno spędzi mu z oczu sen.

Mercedes weszła do domu i natychmiast wyczuła, że czekają ją kłopoty. Emilio wrócił godzinę wcześniej, spodziewając się ją zastać. Razem z rodzicami siedział teraz przy stoliku w kawiarni. Dziewczętom nie wolno było bez eskorty przebywać wieczorem poza domem. Concha i Pablo byli wściekli zarówno na syna, który nie dopełnił obowiązków opiekuna, jak i na córkę. Mercedes wiedziała, że na nic nie zda się tłumaczenie, iż pragnęła zatańczyć. Usłyszałyby tylko znajome kazanie o tym, że któregoś dnia przez to tańczenie napyta sobie biedy. Nie chciała tego wysłuchiwać.

Co ty właściwie masz na sobie? — zapytał stanowczym tonem Pablo. — Przecież to nie twoje.

Mercedes bezwiednie gładziła klapy marynarki Javiera.

Co ty sobie wyobrażasz? Jak możesz pokazywać się

w męskiej marynarce? — W głosie ojca zabrzmiał ton oburzenia.

Mercedes owinęła się marynarką, która była przesycona zapachem gitarzysty, i wciągnęła tę odurzającą woń głęboko w płuca. Ojciec wyciągnął ręce, oczekując, że zdejmie gorszącą część garderoby, ale Mercedes śmignęła obok niego i pognąła do swojego pokoju.

Concha popędziła za nią na górę i waląc z wściekłością w drzwi, krzychała:

— Merche! Masz natychmiast stamtąd wyjść!

Dziewczyna wiedziała, że może spokojnie zignorować żądanie matki. O tej porze wszyscy byli zmęczeni i chcieli pójść spać. Z awanturą mogli poczekać do rana.

Choć noc była ciepła, Mercedes spała w marynarce, odychając wspomnieniem mężczyzny, do którego ona należała. Nawet jeśli nigdy więcej go nie zobaczy, pozostanie jej ta marynarka. Nie zamierzała się z nią rozstać.

Następnego ranka Javier wszedł swobodnym krokiem do kawiarni. Była sobota, dzień wolny od zajęć szkolnych. Mercedes, od chwili gdy się przebudziła, wyglądała przez okno, licząc na to, że gitarzysta się pojawi.

Javier prawie w ogóle nie spał poprzedniej nocy. Nie mógł przestać myśleć o tej młodej tancerce. Gdy zamykał oczy, pojawiała się jej postać; gdy je otwierał, postać pozostawała. Taka bezsenna noc była w jego życiu rzadkością. Zazwyczaj kładł się do łóżka wyczerpany, przepity whisky i przepalony cygarami.

O ile nie znalazł się w towarzystwie kobiet, niewiele o nich myślał. Ale ta dziewczyna zaczęła go prześladować. Cieszył się na myśl, że ma pretekst, by odszukać ją następnego dnia.

Trochę ludził się nadzieją, że w świetle dziennym nie będzie wyglądała tak, jak ją zapamiętał. Był cokolwiek zły na siebie. Weale nie chciał komplikować sobie życia miłością. Może słabe światło minionego wieczoru przyczyniło się do powstania

tej mrzonki. Tak czy owak musiał odebrać marynarkę. Nie miał lepszej.

Gdy wszedł do środka, jakiś młody mężczyzna parzył kawę przy barze. To był Emilio. Zanim Javier zdążył się do niego odezwać, wpadła Mercedes. W wyciągniętej ręce trzymała lego marynarkę. Za dnia miała jeszcze więcej wdzięku. Nie pozostał ślad nieśmiałości z poprzedniego wieczoru, za to na twarzy dziewczyny pojawił się bezpośredni i czarujący uśmiech, jakiego jeszcze u nikogo nie widział.

Emilio przyglądał się im obojgu. Rozpoznał gitarzystę.

- Dziękuję, że mi ją pożyczyłeś — powiedziała Mercedes, podając marynarkę Javierowi.

Co zrobić, żeby zatrzymać go tu chwilę dłużej? Rozpaczliwie szukała jakiegoś pretekstu.

Dobrze tańczyłam? — zapytała bez zastanowienia.

Jesteś najlepszą nie-Cyganką, najlepszą *payo*, jaką widziałem — odrzekł szczerze.

To stwierdzenie zabrzmiało tak przesadnie, że aż niewiarygodnie. Zarumieniła się, nie wiedząc, czy on drwi z niej, czy mówi prawdę.

Gdy znowu tu przyjadę, zatańczysz dla mnie?

Słowa uwięzły jej w gardle. Pytanie było retoryczne.

Stali metr od siebie, jedno oddychało powietrzem, które wydychało drugie.

Muszę już iść.

Nie mógł cmoknąć jej w policzek ani dotknąć jej ramienia, choć tego pragnął. Wiedział, że takie zachowanie jest niedopuszczalne, a poza tym czuł na sobie baczne spojrzenie Emilia, który stał za barem i głośno stukał talerzami, układając je w stos.

Chwilę później Javier wyszedł. Mercedes stwierdziła, że, o dziwo, nie jest jej smutno. Miała absolutną pewność, że znów go zobaczy.

Mijały tygodnie, a ona czekała ogarniętą jedną myślą, starając się zachować wspomnienie jego zapachu.

W końcu przyszedł list. Javier napisał do Mercedes pod

adresem jej nauczycielki, La Mariposa. Przyjeżdżał do Grenady i chciał, żeby Mercedes z nim wystąpiła. Mieli ćwiczyć w domu, gdzie mieszkała stara *bailaora*.

Mercedes znosiła udrękę. Ten mężczyzna był dla jej rodziny kimś zupełnie obcym, o pięć lat starszym od niej i do tego, co najgorsze, Cyganem. Wiedziała, co powiedzieliby jej rodzice, gdyby poprosiła ich o pozwolenie. Jedyным wyjściem było zrobić to wszystko za ich plecami. Odważyłaby się na każde ryzyko, byle znów zatańczyć do jego akompaniamentu.

Mercedes zwierzyła się Emiliowi, wiedząc, że jej nie zdradzi. Emilio nie przerywał gry, a ona siedziała na jego łóżku i tryskając radością, opowiadała mu o zaproszeniu.

— Powiem o tym rodzicom — obiecała — ale nie od razu. Jestem pewna, że by mi nie pozwolili.

Emilio starał się nie okazać urazy. Zdawał sobie sprawę, że pozostał w tyle.

Mercedes, nie czując, jaką sprawiła mu przykrość, ciągnęła z przejęciem:

— Przyjdiesz na nasz występ, prawda? Nie mogę zaprosić mamy i taty, trudno, ale bez ciebie to nie będzie to samo...

* * *

Gdy Mercedes wspinała się na wzgórze, niosąc buty do flamenco, na pierwszą próbę w chacie Marii Rodriguez, nogi się pod nią ugiwały. Jak poradzi sobie w tańcu, skoro tak dygocze, że ledwie idzie?

Dotarłszy na miejsce, po dawnemu otworzyła drzwi bez pukania. W środku było jak zwykle ciemno i dopiero po kilku minutach wzrok przyzwyczaił się do mroku. Czekając na Marię, która zazwyczaj przychodziła na dźwięk otwieranych drzwi, Mercedes usiadła na starym krześle przy wejściu, żeby zmienić buty.

— Cześć, Mercedes — dobiegł ją głos z ciemności.

Aż się wzdygnęła. Sądząc, że będzie pierwsza, w ogóle nic zauważyła Javiera.

Nie wiedziała, jak się do niego zwracać: mówienie po imieniu byłoby nadmierną poufałością, a per pan wydawało się niedorzeczne.

— O, cześć... — odezwała się cicho. — Jak minęła podróż?

Nieraz słyszała, jak dorośli rozmawiają ze sobą takim neutralnym językiem.

— Dobrze, dziękuję — odrzekł.

Właśnie wtedy, jakby chcąc rozładować atmosferę skrepowania, Maria weszła do izby.

— O, Mercedes, już jesteś — powiedziała. — No więc? Zobaczmy, jak tańczysz? Zdaje się, że zrobiłaś spore wrażenie na Javierze, gdy był ostatnim razem w Grenadzie.

Solea i *buleria*, wykonane poprzednio, zostały powtórzone, a potem Javier zagrał dla Mercedes kilka innych tańców. Po godzinie tańczenia, niemal bez przerwy, Mercedes się odprężyła. Oboje mieli tego dnia niespożyte siły. Prawie zapomnieli o obecności Marii Rodriguez. Od czasu do czasu słychać było jej *palmas* na tyle ciche, by ich nie rozpraszało.

W końcu Javier przestał grać.

— Chyba wystarczy na dzisiaj, prawda? — odezwała się staruszka.

Oboje jakby nie znajdowali słów.

— Jeszcze jedna próba, któregoś dnia w przyszłym tygodniu, i moim zdaniem możecie razem występować — ciągnęła. — Do tego czasu, Mercedes, popracujemy nad kilkoma rzeczami. Dziękuję — zwróciła się z uśmiechem do Javiera. — Zobaczmy się wszyscy w przyszłym tygodniu.

— Tak... — bąknęła Mercedes. — Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Spojrzała na Javiera, który stał po drugiej stronie izby i pakował gitarę. Napotkał jej wzrok i jakby się zawahał. Najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale w końcu się rozmyślił.

Chwilę później wyszedł. Po kilku minutach, których potrzebowała, żeby zmienić buty, Mercedes już szła brukowaną

ulicą, ale on gdzieś przepadł. Byli sobie tacy bliscy, a odnosili się do siebie z rezerwą.

Żołądek pochodził jej do gardła ze zdenerwowania i zmieszania. Myślała tylko o Javierze i liczyła nie godziny, lecz minuty do chwili, gdy go znów zobaczy. W końcu zwierzyła się swojej przyjaciółce Paquicie.

— To jasne, że on nie będzie myślał o tobie w ten sposób — oznajmiła Paquita. — Jest o pięć lat starszy od ciebie! Prawie w wieku Ignacia!

— Hm, nie traktuję go jak brata.

— Uważaj, Merche. Wiesz, jaką opinię mają ci *gitanos*...

— Nie znasz go — powiedziała Mercedes, przyjmując postawę obronną.

— W gruncie rzeczy ty też, prawda? — droczyła się Paquita.

— Zgadza się, ale wiem, co czuję, gdy tańczę do jego muzyki — odparła z całą powagą Mercedes. — Mam wrażenie, że cały świat zawiera się w chatce Marii Rodriguez, a na zewnątrz jest pustka albo coś zupełnie bez znaczenia.

— Kiedy go znowu zobaczysz?

— Przyjeżdża za tydzień. Nie mogę spać. Nie mogę jeść. Nie myślę o niczym innym. Nic innego nie istnieje.

— Pocałował cię? — dociekała Paquita.

— Jak możesz! — zawołała Mercedes niemal obrażona. — Oczywiście, że nie!

Siedziały na podwórzu przy domu Paquity. Przez chwilę obie milczały. Paquita nie wątpiła w szczerść przyjaciółki. Nigdy nie słyszała od niej takich słów. Nieraz godzinami kręciły się po miejskich placach, wymieniając zalotne uwagi i spojżenia z chłopcami w swoim wieku. Ale to, co Mercedes mówiła teraz o uczuciach do Javiera Montero, nie miało nic wspólnego z tamtymi dziecięcymi zadurzeniami.

Dni do następnej próby mijały Mercedes rozpaczliwie wolno. Concha widziała podkrążone oczy i apatyczny nastrój córki. Z coraz większym niepokojem patrzyła na zostawiane na talerzu jedzenie.

- Coś ci dolega, *querida mia*? — pytała z troską. — Wyglądasz tak blade!

— Nic mi nie jest, mamó. Do późna odrabiałam wczoraj lekcje.

Taka odpowiedź zadowalała Conchę. Przecież ciągle goniła córkę do nauki.

* * *

Nadszedł dzień drugiej próby. Mercedes zbierało się na młodości, gdy obudziła się tego ranka. O piątej poszła do chaty La Mariposy. Miała przyjść dopiero o szóstej, ale tym razem chciała być pierwsza.

Zmieniwszy buty, zaczęła rozgrzewać nadgarstki, obracając dłońmi kilkakrotnie w jedną i w drugą stronę, i na siedząco przytupywać rytmicznie: raz! dwa; raz! dwa; raz! dwa; raz, dwa, trzy!; raz, dwa, trzy!; raz, dwa...

Maria wciąż nie przychodziła. Mercedes wstała i jej stopy podjęły rytm *seguriya*. Kręciła się dokoła własnej osi, waląc w deski podłogi obcasami butów podbitych stalowymi gwoździami. Chata była tak mała, że wyciągnięte do góry ręce niemal dotykały sufitu, a hałas potęgował się w zamkniętym pomieszczeniu. Mercedes obracała się do muzyki Javiera, która rozbrzmiewała w jej głowie.

Harmider, jaki robiła, w ogóle do niej nie docierał, natomiast było go wyraźnie słycać na zewnątrz. Javier stał pod oknem przez kilka minut, wpatrując się w Mercedes. Widział młodą dziewczynę całkowicie pogrążoną we własnym świetle, niemal zahipnotyzowaną rytmem swoich ruchów. Natomiast nie widział obrazu siebie samego w jej myślach.

W wyobraźni Mercedes Javier siedział na niskim stołku w tej izbie i grał z taką pasją, że niemal ranił sobie palec.

Przez pięć, może sześć minut wykonywała swój podniosły, osobisty taniec. Javier znieruchomiał oszołomiony nagimi uczuciami, które wyrażała tak otwarcie i szczerze, bez żadnych zahamowań, jak to jest możliwe tylko bez świadków. Dostrzegł

również techniczną doskonałość połączoną niemal z szaleństwem. Robiąc obrót za obrotem, wyglądała jak istota opętana. Wiedział, że nadanie tym precyzyjnym, wyćwiczonym do perfekcji krokom wyrazu improwizacji graniczy z niemożliwością. A jednak ona właśnie to robiła i na ten widok przeszywał go dreszcz podniecenia. *Duende* tego rodzaju było rzadkością. Miał wrażenie, że przechodzi go prąd elektryczny.

Na chwilę przed zakończeniem tańca poczuł klepięcie w ramię. Maria Rodriguez. Nie miał pojęcia, jak długo stała za nim i czy zorientowała się, że obserwował ukradkiem Mercedes. Nie zapytał. Czuł się jak podglądacz.

— Może pomóc? — zapytał, wyciągając rękę po kosz z zakupami i chcąc w ten sposób pokryć zmieszanie. — Chyba ci ciężko.

Podziękowawszy za dobre chęci, staruszka powiedziała:

— Nie wiem, skąd w niej tyle gwałtowności. Jakby coś się w środku gotowało. A ona daje temu upust w tańcu. Sam widzisz, że ta dziewczyna jest wyjątkowa.

Kiwnął głową. Już miał pewność, że Maria spostrzegła, jak przyglądał się jej protegowanej.

Gdy weszli do środka, Mercedes wciąż oddychała ciężko po wyczerpującym tańcu. Niemal uchodziła z niej para. Na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech, który w odczuciu Javiera pozostawał w sprzeczności z nieskrywaną seksualnością, wyrażaną chwilę wcześniej.

Przez minione tygodnie Mercedes nie przestawała myśleć o gitarzyście, więc uważała za rzecz naturalną, że on znów tu jest, siedzi na niskim stołku i stroi gitarę. Miała wrażenie, że żadne z nich nie ruszyło się stąd przez siedem dni.

Wymienili uprzejmości na powitanie, po czym Maria Rodriguez usiadła w kącie gotowa obejrzeć próbę.

— Co mam ci zagrać? — spytał Javier.

— *Seguiriya* — rzuciła stanowczo.

Pochylił się nisko nad gitarą i uśmiechnął pod nosem.

Mercedes uchwyciła rytm po kilku początkowych akordach i zaczęła tańczyć.

Ilekróć ona spoglądała na niego, był zatopiony w muzyce, u gdy on spoglądał na nią, przebywała w jakimś odległym świecie. Zupełnie nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo są zainteresowani sobą nawzajem.

Patrząc teraz na Mercedes, Javier zauważył, że porusza się energicznie, w idealnej harmonii z muzyką. Jej *zapateado* — szybkie uderzenia czubkiem buta, podeszwą albo obcasem — nic budziło żadnych zastrzeżeń, jak przedtem, ale tym razem coś ukrywała. Była powściągliwa, nieśmiała jak jej uśmiech. Gdy zerknął w stronę, gdzie usiadła Maria, zobaczył puste miejsce. Przestał grać, korzystając z nieobecności staruszki, która przy mężczyźnie roztaczała opiekę nad młodą dziewczyną.

— Usiądź tu — powiedział cicho, wskazując puste miejsce obok siebie.

Mercedes była zaskoczona, że raptem przerwał grę i odezwał się w ten sposób. Jeszcze nigdy nie siedzieli tak blisko siebie. Nie wahała się ani chwili. Choć nie zawsze odznaczała się posłuszeństwem, przywykła do tego, że dorośli wydają jej polecenia.

Gdy usiadła, Javier ujął jej rękę, czując, jak bardzo drży ta dłoń. Nagle uprzytomnił sobie, że nie ma nic szczególnego do powiedzenia i że przerwał taniec tylko po to, by móc potrzywać ją za rękę.

Tak pięknie tańczysz, Merche.

Nic więcej nie przyszło mu do głowy.

Trzymał jej dłoń w mocnym uścisku, a następnie, zdumiony własnym szaleństwem, uniósł do ust i pocałował nie wierzch, lecz spód dłoni. Jak na mężczyznę, który obcował z setką kobiet, był to gest zaskakująco intymny.

Bezwiednie podała mu drugą rękę. Obejmował jej dłonie i siedzieli tak przez chwilę, patrząc sobie w oczy po raz pierwszy, bez słowa.

Gdy Maria wróciła do izby, Mercedes wstała. Javier zaczął

ponownie grać i nim minęła godzina, znów się rozeszli każde w swoją stronę. Choć Javier miał w sobie cygańską krew, wiedział, jak daleko może się posunąć.

Ich pierwszy wspólny występ odbywał się tydzień później, ale do tego czasu w życiu Mercedes nastąpiło inne ważne wydarzenie.

Trzy dni przed zaplanowanym spotkaniem z Javierem wypadały jej szesnaste urodziny. Rodzina uczciła ten dzień i zgodnie z dawną obietnicą przygotowała dużą, miękką paczkę, która leżała już na kawiarnianym stoliku, gdy jubilatka zeszła na śniadanie.

Mercedes rozdierała papier, a spod niego wylewała się wspaniała suknia do flamenco. Materiał miał tradycyjny deseń: czarne grochy na czerwonym tle. Właśnie o takiej sukni zawsze marzyła. Przyłożyła ją do ciała i obróciła się w miejscu. Gdy się zatrzymała, usztywnione drutem warstwy falban jeszcze przez chwilę jakby żyły własnym życiem, kołysały się w lewo i w prawo, w górę i w dół.

— Dziękuję, bardzo dziękuję! — wykrzyknęła zachwycona, tuląc i matkę, i suknię.

Aż miło było patrzeć na to podekscytowane dziecko i dzielić jego radość, ale w głębi serca Conchę smuciło zamiłowanie córki do tańca. Zauważyła, że Mercedes spędza jeszcze więcej czasu niż przedtem z Marią Rodriguez.

Przed pierwszym spektaklem Mercedes i Javier mieli się spotkać u Marii. Chata znajdowała się kilka kroków od jaskini, gdzie już gromadzili się ludzie. Większość z nich ściągnęła renoma, jaką cieszył się *tocaor*, ale niektórych zaintrygował wspólny występ wielkiego muzyka z Malagi i tutejszej dziewczyny.

Gdy przybył Javier, Mercedes wyszła z pomieszczenia od tyłu, gdzie się przebierała.

Suknia doskonale przylegała do jej krągłych kształtów, podkreślając linię piersi i bioder. Przemiana była oszalamiająca. Mercedes w pełni zdawała sobie sprawę, jakie wrażenie robi na Javierze, odziana w szkarłat, zarumieniona z podniecenia.

— Wyglądasz... cudownie — powiedział.

— Dziękuję — odrzekła, wiedząc, że to prawda.

Podeszła do niego bliżej pełna odwagi przed występem i zniecierpliwiona oczekiwaniem.

Bez zastanowienia Javier wyciągnął rękę i pogładził jej włosy. Gdy zrobiła jeszcze jeden krok ku niemu, poczuła jego palce na brodzie i odruchowo uniosła głowę.

Była wstrząśnięta siłą i intensywnością tego pocałunku. Dotychczas tylko raz chłopak pocałował ją w usta i przeżyła wtedy rozczarowanie. Uścisk Javiera przelał się falą przez jej ciało, umysł i duszę. Nieistotne, czy to uczucie trwało kilka minut, czy ledwie kilka sekund. Było tak przemożne, że dotyk lego miękkich warg jakby podzielił jej życie na dwie części: do tej pory i od tej pory.

Zbliżał się czas występu. Maria Rodriguez, która wiedziała, co się wydarzyło między nimi, wcześniej niż oni sami, doprowadziła ich do jaskini.

Publiczność nie doznała zawodu. Mercedes nigdy dotąd nie tańczyła z takim przejęciem. *Guitarrista* i *bailaora* byli idealnie zsynchronizowani.

Podczas drugiego spektaklu widzowie nie zmieścili się w jaskini. Tym razem przyszedł także Emilio i nawet on — skłonny krytykować człowieka, który zajął jego miejsce — dostrzegł niezwykłość tego duetu. Chwilami można było odnieść wrażenie, że z iskier przelatujących między Mercedes a Javierem buchnie płomień. Emilio wymknął się z pomieszczenia, zanim uciқты okrzyki zachwyty. Za nic nie chciał, żeby siostra dostrzegła go na widowni, a tym bardziej zobaczyła, jak przyjął ten występ.

* * *

Pablo i Concha sądzili, że córka siedzi w swoim pokoju zajęta odrabianiem lekcji, a ona tymczasem tańczyła do akompaniamentu Javiera na Sacromonte. Prędzej czy później musieli dowiedzieć się o wszystkim i naturalnie tak się stało.

— Dopiero co skończyłaś ledwie szesnaście lat! — krzyknął jej ojciec, gdy wieczorem wróciła do domu.

Miała nadzieję, że rodzice będą już w łóżku, ale siedzieli do późna, czekając na nią. Gniew Pabla zrobił na niej wrażenie — tym większe, że rzadko widziała ojca w takim stanie.

— Przecież ja tylko tańczę! — broniła się.

— W jakim wieku jest ten mężczyzna? Powinien mieć więcej rozumu — grzmiał Pablo.

— Okłamywałaś nas — wypomniała jej Concha.

— Jak ci nie wstyd! — dorzucił Ignacio, który właśnie wszedł do domu. — Żeby tańczyć dla jakiegoś cholernego Cygana!

Mercedes wiedziała, że wykładanie swoich racji na nic się nie zda. Znalazła się pod obstrzałem ze wszystkich stron.

Tylko Emilio rozumiał, że siostra działa pod przymusem wewnętrznym, ale wyczuł, że burza wisi w powietrzu, i poszedł do swojego pokoju. Świadomość, że został wyparty przez obcego człowieka, tylko podsyciła jego żal. Siostrzaną miłość zmiotło zauroczenie, które zawładnęło jej życiem na jawie.

— Idź do swojego pokoju i nie waż się stamtąd wychodzić — rozkazał Pablo.

Mercedes wypełniła polecenie bez słowa. Tego wieczoru Javier wrócił do Malagi, więc nic nie kusiło jej do wyjścia z domu.

Przez dwa dni Mercedes siedziała w pokoju, a Concha stawiała jej posiłki pod drzwiami. Godzinę później okazywało się, że wszystko jest nietknięte.

Jedzenie było ostatnią rzeczą, na jaką Mercedes miała ochotę. Leżała na łóżku i płakała, aż brakło jej sił. Jednym ruchem rodzice odebrali jej to, na czym ogniskowało się jej życie: taniec i Javiera. Skoro nie mogła tańczyć dla swojego *gitano*, postanowiła w ogóle nie tańczyć. A bez tańca życie straciło dla niej sens.

Któregoś dnia, późnym popołudniem, Emilio zapukał do jej drzwi i wszedł do pokoju. Widząc go, Mercedes usiadła na łóżku. Miała zapuchnięte od płaczu oczy.

Emilio stanął z założonymi rękami w nogach łóżka.

— Słuchaj, wiem, co czujesz — odezwał się.

Mercedes zrobiła wielkie oczy.

— Naprawdę? — powiedziała cicho.

— Tak. I chcę porozmawiać z rodzicami. Widziałem twój występ z Javierem. Takie wykonanie nieczęsto się widzi.

— Co masz na myśli?

— To było... hm... — bąkał Emilio, nagle skrępowany.

— No mów.

— To była... czysta perfekcja. Albo prawie perfekcja. To, co się działo między tobą... a nim.

Mercedes nie wiedziała, jak zareagować na niezgrabny komplement brata. Rozumiała, ile kosztowało go wypowiedzenie tej pochwały.

Emilio dotrzymał słowa. Odwołał ojca na stronę, wiedząc, że zamięłowanie siostry do tańca budzi nie tak ostry sprzeciw Pabla jak Conchy.

— Czegoś takiego nie da się pohamować — powiedział. — Przewycięży wszystko.

Wstawiennictwo Emilia skłoniło Pabla do ponownego przemyślenia sprawy. Już sama opowieść o tym, jak tańczyła Mercedes, wbiła ojca w dumę. Po kilku dniach Concha zgodziła się, aczkolwiek niechętnie, poznać Javiera.

Rozdział 14

Podczas kilku tygodni gdy prowadzono te negocjacje, narastała obsesja Mercedes na punkcie tańca. Tylko to dziewczyna chciała robić w życiu.

Doszło do wymiany listów i pewnego dnia Javier pojawił się w El Barril. Przez godzinę rozmawiał z Pablem.

Wbrew sobie pan Ramirez nabrał sympatii do tego młodzieńca. Ponieważ nie ulegało wątpliwości, że Javier jest poważną osobą w świecie artystów flamenco, zaczął inaczej patrzeć na sytuację. Montero występował nie tylko w Grenadzie i Maladze, lecz również w Kordowie, Sewilli i Madrycie. Wkrótce miał pojawić się w Bilbao, gdzie mieszkał jego wuj, znamienity *guitarrista*.

W końcu przyszła pani Ramirez i dokonano prezentacji. Concha nie była usposobiona przychylnie do Javiera, ale nie dało się go nie lubić. Jego szczery sposób bycia rzucał się w oczy. Z czasem, gdy Concha poszła wreszcie na jego koncert, zdała sobie sprawę, że właśnie ten rys daje tak wielką moc jego muzyce.

Mercedes nie pozwolono opuszczać pokoju podczas tej wizyty. Nie tak łatwo było ułagodzić matczyny gniew.

Javier okazał śmiałość. Dał jasno do zrozumienia, że pragnie dalej akompaniować Mercedes w Grenadzie. Miał jednak dużo

szersze zamierzenia: chciał zabrać Mercedes do innych miast. Nie wyjawiał tego jej rodzicom, choć czuł, że całe jego życie jest w stanie zawieszenia. Jego przyszłość była w ich rękach, ponieważ wszystko zależało od tego, czy Mercedes będzie mogła dla niego tańczyć, a on dla niej grać.

Po około godzinie spotkanie się zakończyło. Pablo, mówiąc w imieniu własnym i żony, zgodził się rozważyć prośbę Javiera Montero.

Conchę dręczyły poważne obawy. Tańczenie do muzyki Emilia niczym Mercedes nie groziło, ale teraz sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

- Nie wiadomo, czym to może się skończyć — powiedziała do Pabla. — Ona ma zaledwie szesnaście lat, a on jest prawie o pięć lat starszy!

Poznawszy Javiera, Pablo zmienił zdanie. Przyjął słowa żony z uśmiechem.

A jaka jest różnica wieku między nami? — zapytał z ironią.

Concha zamilkła. Dzielili ich ponad dziesięć lat.

O czym my właściwie rozmawiamy? — ciągnął Pablo. — Tylko o tańcu? Czy chodzi tu o coś jeszcze?

Concha martwiła się, że córka ma podkrążone oczy i odmawia jedzenia. Nie mieściło jej się w głowie, że przyczyną tego jest wyłącznie zakaz tańczenia. Nie była bez serca i kiedyś też zawładnęła nią gorąca, niepohamowana miłość, choć po latach nieco przygasła.

Co niepokoi cię bardziej? — odezwał się Pablo. — Zamiłowanie naszej córki do tańca czy być może miłość do tego mężczyzny?

No cóż, tego pytania nie możemy jej zadać — odparła przygaszonym głosem.

Może być również tak, że jedno wiąże się z drugim — zauważył po namyśle Pablo.

Sam wiesz, jak zależało mi na tym, żeby otworzyły się przed nią szerokie perspektywy — biadoliła Concha. — Ale nie takie.

— Chyba nie ma wyjścia. Jeżeli nie pozwolimy jej występować z Javierem, jak myślisz, co ona zrobi? Będzie siedziała nad lekcjami jak przykładna uczennica?

Do pokoju wszedł Antonio.

— Co o tym myślisz? — zapytała go Concha.

— Naprawdę chcesz poznać moje zdanie, mamó?

Kiwnęła głową. Antonio nie miał ochoty opowiadać się po stronie żadnego z rodziców, gdy toczyli spór, ale bez wątpienia trzeba było rozstrzygnąć tę kwestię.

— Według mnie sprawa wygląda tak. Ludzi porusza jej taniec między innymi dlatego, że widzą tę niezwykłą determinację. I właśnie z powodu determinacji nic nie odwiedzie jej od flamenco. Starając się powstrzymać Mercedes, prowadzicie z góry przegraną walkę.

Concha zamyśliła się nad słowami syna i po dłuższej chwili powiedziała:

— Chyba będę musiała się z tym pogodzić, ale chcę, Pablo, żebyś wszędzie jej towarzyszył.

Za jakiś czas Mercedes, błada jak ściana, zeszła na dół. Wiedziała, że tego popołudnia omawiano jej przyszłość.

Zastała oboje rodziców w barze.

— Poznaliśmy dzisiaj Javiera — oznajmił Pablo, potwierdzając tylko to, co już wiedziała. — I spodobał się nam.

— Będę mogła tańczyć do jego muzyki? — zapytała z niecierpliwością.

Tylko to ją interesowało.

Gdy poznała decyzję rodziców, na jej twarzy pojawił się szeroki, promienny uśmiech.

Tydzień później pakowała swoje rzeczy do torby, z której wylewała się suknia do flamenco, prosto spod igły. Antonio wręczył jej pieniądze na ten zakup, mówiąc: „Sądzę, że przyda ci się zapasowa” i całując ją w czoło.

Razem z ojcem udała się autobusem do Malagi. Mieli wyjechać na trzy dni. Nigdy dotąd nie podróżowała tak daleko, nigdy dotąd nie przebywała tak długo sama z ojcem i po raz

pierwszy tańczyła poza rodzinnym miastem. Nawet gdyby nie miała spotkać się z Javierem, wszystko, co wiązało się z podróżą do ruchliwej, gościnnej Malagi, było dla niej ekscytującą przygodą. Wynajęli pokój opodal mieszkania muzyka. Pierwszego ranka Javier przyszedł zabrać ich na próbę, która odbywała się w pokoju na zapleczu kawiarni, gdzie mieli występować tego wieczoru.

Pablo nie mógł się nadziwić, że taniec jego córki tak się zmienił. Siedział jak zahipnotyzowany, gdy powtarzali swój repertuar: *tangos, fandangos, alegrias* i *soleares*. Ta Mercedes różniła się od tamtej, którą widział w tańcu podczas fiesty przed kilkoma miesiącami. Mała dziewczynka przemieniła się w młodą kobietę.

Występowali na podium postawionym w kawiarni. Publiczność przyjęła ich z otwartością. Znała Javiera i jego ojca, Raula, który grał na początku spektaklu.

Mercedes denerwowała się bardziej niż podczas występów w Grenadzie. Wszystko było dla niej nowe. Dręczyła ją myśl, że nikomu się nie spodoba. Występ udał się tak samo jak próba. Widzowie co do jednego podziwiali wdzięk i żywiołowość tancerki, subtelne ruchy jej rąk wyrażające miłość, strach i gniew.

Tancerka i akompaniator nie przestawali się uśmiechać, co często nie pasowało do nastroju muzyki i tańca. Ale zwyczajnie nie mogli się powstrzymać. Mercedes cieszyła się jak szalona, a gdy zobaczyła dumę na twarzy ojca, okazywała swą radość bez obaw.

Pod koniec wieczoru fotograf zrobił im zdjęcia, razem i osobno. Następnego ranka Javier przyszedł na spotkanie z Mercedes, przynosząc zestaw jej portretów.

Pokażesz mamie — powiedział. — Pięknie na nich wyszłaś!

Na żadnym nie ma ciebie! — zawołała. — Chcę mieć twoje zdjęcie!

Twoja mama na pewno nie będzie zachwycona! — zażartował.

— Ono nie jest dla niej — odparła.

— Wymienimy się. Ja też chcę mieć twoje zdjęcie.

Na każdej fotografii uśmiechali się szeroko i promiennie.

Następny występ odbył się dzień później w sali kinowej. Pomieszczenie było znacznie większe od kawiarni, a scena znajdowała się wyżej. Czekać za grubymi pąsowymi kotarami kulis, czuła niemal obezwładniającą treść.

Javier ujął ją delikatnie za rękę i podniósł dłoń do ust.

— Doskonale ci pójdzie, skarbie. Nie martw się. Będą tobą zachwyceni.

Jego czułość i troska dodały jej odwagi. Była na scenie może minutę, gdy usłyszała ciche: „*Ole!*”, i wiedziała już, że ma za sobą publiczność. Pablo, podobnie jak inni widzowie, osłupiał, widząc w jej tańcu nową moc. To nie było odgrywanie emocji. Wystarczyło, że odtworzyła w myślach ból po rozstaniu z Javierem, a buchał z niej żar potrzebny do tańczenia.

To był kolejny wspaniały spektakl. Miejscowa gazeta użyła określenia „*triumf*” i na pierwszej stronie zamieściła fotografie wykonawców.

Po namowach Pablo zgodził się towarzyszyć córce podczas przyszłych wyjazdów i występów. Wraz z rozwojem kariery rosła jej sława. A także przywiązanie do Javiera. Łączyła ich w pełni odwzajemniona miłość, każde kochało z równą siłą, tak samo jak z równą siłą padały na nich światła reflektorów na scenie. Gdy przychodziło im się rozstać, oboje skrupulatnie liczyli dni do ponownego spotkania.

* * *

Emilio starał się nie okazywać poczucia odrzucenia. Nie słysząc słów zachęty od siostry, coraz rzadziej przebywał w domu i grał na gitarze. Poza godzinami pracy nie chciał kręcić się po El Barril, zwłaszcza gdy w domu był Ignacio.

Najchętniej przesiadywał w Cafe Alameda na Plaza Campillo, lokalu często odwiedzanym przez artystów, pisarzy i muzyków. Razem ze swoim przyjacielem, Alejandro, trzymał się na

obręczach kręgu Garcii Lorki — grona osób zwanego El Rinconcillo, gdyż zazwyczaj zajmowali róg sali — nie mając odwagi przysiąść się do jego stolika.

Lorca odwiedzał Grenadę regularnie. Starał się spędzać jak najwięcej czasu ze swoimi rodzicami, którzy mieszkali na przedmieściach. Jego przyjazd uważano za wydarzenie na tyle ważne, że pojawiały się wzmianki w lokalnych gazetach. Lorca pociągały boleść i tajemniczość właściwe kulturze andaluzyjskiej, a flamenco było dla niego wyrazem wszystkiego, co reprezentował ten region. Przyjaźnił się z tancerzami flamenco i często widywano go z cygańskimi gitarzystami, którzy uczyli go brzdąkać na gitarze na sposób cygański. Lorca czuł się tu jak w domu i styl życia tutejszych ludzi stał się inspiracją dla jego twórczości.

Emilio darzył go podziwem bliskim czci oddawanej bohaterom. Z radością żył w cieniu jego cienia, a gdy Lorca posłał w jego stronę olśniewający uśmiech, Emilio czuł, że gorejące serce przepali mu na wylot koszulę. Uwielbiał wszystko, co Lorca stworzył, od wierszy i sztuk po rysunki i utwory muzyczne. Ale chyba najbardziej podziwiał go za otwartość na temat własnych skłonności seksualnych.

Może i ja kiedyś się na to zdobędę, myślał.

Zainteresowanie, jakie Emilio okazywał gościom Cafe Alameda, stało się dla Ignacia pretekstem do zaczepek. W długie zimowe miesiące, gdy nie wyjeżdżał do innych miast na korridy, spędzał całe noce na pijaństwach z zaprzyjaźnionymi *banderilleros* i wracał do domu w wojowniczym, pijackim nastroju. Nie mając nic do roboty, wielu z tych chłopców zwyczajnie się nudziło. Podobnie jak niektórzy z nich Ignacio czekał na kolejne wyzwanie, na tę chwilę, gdy będzie miał sposobność sprawdzić się jako matador.

Emilio wzдрыgał się, słysząc charakterystyczny trzask drzwi długo po zamknięciu El Barril. Gdy jednocześnie rozlegało się nonszalanckie pogwizdywanie, był to znak, że Ignacio narobi zamieszania. Którejś nocy Ignacio wrócił do domu w takim nastroju.

— Jak się dzisiaj miewa El Maricón? — zapytał, mając na myśli Lorcę.

Używając obraźliwego słowa i sarkastycznego tonu, jednoznacznie nazwał również swego brata pederastą, pewny, że ten nie odpowie atakiem na atak.

Drwiny z Emilia jeszcze bardziej podsyciły nienawiść Antonia do Ignacia.

— Zostaw go w spokoju! — krzyknął Antonio.

Nie chodziło tylko o ubliżanie bratu. Niechęć do homoseksualistów była jednym z przejawów bigoterii właściwej wielu prawicowym politykom wyznającym ciasne, nietolerancyjne, samcze poglądy.

* * *

Ponieważ sytuacja polityczna w kraju nadal była niespokojna, Antonio ucieszył się na wiadomość, że lewica zaczęła rozmawiać o stworzeniu koalicji. Przerażające wydarzenia w Asturii sprzed półtora roku uświadomiły stronnictwom lewicowym konieczność zjednoczenia sił, by odzyskać władzę. Chciały zacząć od nowa, postawić kwestię budowania sprawiedliwości społecznej na pierwszym miejscu w swoich programach i z tym hasłem zwrócić się do przeciętnych wyborców. Przez kilka miesięcy w domu Ramirezów panowała napięta atmosfera spowodowana konfliktami między braćmi na skutek nie tylko niezgodności charakterów, lecz również rozbieżności poglądów politycznych.

W wyborach przeprowadzonych w lutym tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku większość ludzi, w skali całego kraju, opowiedziała się za socjalistami. W Grenadzie sytuacja była skomplikowana. Wygrała partia prawicowa, ale na skutek oskarżeń o zastraszanie wyborców i gwałcenie prawa wynik wyborów został unieważniony. Doszło do starć między zwolennikami prawicy i członkami związków zawodowych oraz nasiliły się antagonizmy między partiami. W Grenadzie ogalano kościoły, dewastowano redakcje gazet, niszczone teatry.

Patrząc na zachowanie Ignacia w tych miesiącach, można by sądzić, że Emilio osobiście wzniecał ogień.

Concha spędzała większość czasu na łagodzeniu konfliktów w rodzinie, ale sytuacja zarówno w domu, jak i poza nim nie ulegała poprawie. Ciąg zdarzeń doprowadził tego lata do zamieszek na szeroką skalę. Gdy porucznik policji zginął od kul czterech faszystów przed swoim domem w Madrycie, w odwecie został zabity przywódca prawicowej partii monarchistycznej, Calvo Sotelo. Potem wywiązała się strzelanina między policjantami z Guardia de Asalto a faszystowską milicją opodal madryckiego cmentarza, gdzie odbywały się obie ceremonie pogrzebowe, i cztery osoby straciły życie. Temperatura wydarzeń politycznych rosła, napięcie jeszcze bardziej.

Mercedes była zaabsorbowana kolejnym występem i liczyła dni do spotkania z Javierem. Ponieważ przestała chodzić do szkoły, mogłoby występować częściej, zważywszy na mnogość otrzymywanych zaproszeń, ale Pablo nie zamierzał opuszczać El Barril na więcej niż kilka dni w miesiącu. Mercedes nie dostrzegała pogłębiającego się rozłamu między braćmi ani nie zdawała sobie sprawy z niepokojów w całym kraju. W lipcu miała wyjechać na występy do Kadyksu, więc po wiele godzin dziennie pilnie ćwiczyła nowe kroki wraz z Marią Rodriguez, spowita słodkimi myślami o tym, że za jakiś tydzień połączy się z Javierem.

Kiedy przebywała sama w swoim pokoju, patrzyła na zdjęcie Javiera oparte o lampkę nocną przy łóżku. Jego twarz, wydatne kości policzkowe, grzywa lśniących prostych włosów i cienkie pasemko opadające na jedno oko wydawały jej się coraz piękniejsze, ilekroć spoglądała na fotografię. Obiektyw aparatu doskonale uchwycił jego szczere spojrzenie. Uśmiechnięte oczy spoglądały z taką intensywnością, że przenikały ją do głębi.

Tymczasem reszta jej rodziny obserwowała nadciągające chmury. Słyszeli grzmoty w oddali, ale nikt nie przewidział siły ani zasięgu burzy.

Rozdział 15

Siedemnasty lipca w Grenadzie był zwykłym letnim dniem. Żar lał się z nieba. Zamknięto okiennice, żeby nie wpadało światło i gorące, zapyłone powietrze. Panowała apatyczna atmosfera. Ludzie nie wiedzieli, co ze sobą zrobić.

Concha siedziała z Mercedes w cieniu markizy przed kawiarnią.

— Na dworze jest jeszcze cieplej niż w domu — powiedziała pani Ramirez. — Ten wiaterek w ogóle nie chłodzi.

— Jest za gorąco, żeby zabrać się do czegokolwiek — dodała Mercedes. — Idę się położyć.

Gdy Mercedes się podniosła, Concha zauważyła na jej sukience mokre plamy od potu. Sama też wstała i postawiła ich szklanki na tacy. Tego popołudnia kawiarnia świeciła pustkami. Na placu nie było widać śladów życia. Nawet liście na drzewach szeleściły monotonnie na lekkim wietrze, tak zeschłe w tym skwarze, że niektóre przestawały trzymać się gałęzi.

Na czas sjęsty miasto jakby zapadło w śpiączkę. Mercedes leżała prawie nieprzytomna, aż zrobiło się dobrze po szóstej i rtęć zaczęła opadać po raz pierwszy od południa. Nawet dla mieszkańców Grenady upał był niemiłosierny. Gdy Mercedes odpoczywała rozpalona na łóżku, miała wyrazisty sen, w którym

tańczyła z Javierem w kawiarni na dole. Po przebudzeniu przez chwilę ogarnął ją smutek na myśl, że w rzeczywistości Javier znajduje się sto kilometrów stąd, w Maladze.

Następnego dnia każdy z przychodzących do El Barril gości powtarzał innej treści pogłoski o ruchach wojsk po drugiej stronie Morza Śródziemnego, w Afryce Północnej. Początkowo wszyscy byli zdezorientowani: wiadomościom podawanym przez jedną rozgłośnię radiową zaprzeczała druga rozgłośnia, ale wkrótce faktyczny stan rzeczy stał się jasny. Grupa generałów zbuntowała się przeciwko rządowi i dokonała próby puczu.

Armia Afrykańska pod dowództwem generała Francisca Franco, składająca się z żołnierzy Legii Cudzoziemskiej i najemników marokańskich tworzących oddziały bojowe, została przetransportowana skoro świt osiemnastego lipca z Maroka Hiszpańskiego przez Cieśninę Gibraltarską na południowe wybrzeże Hiszpanii. Po wylądowaniu wojsk generałowie w garnizonach wojskowych w całym kraju mieli doprowadzić do wybuchu powstań w swoich miastach i ogłosić stan wojny.

Grenada gotowała się w czterdziestostopniowym upale, bruk na ulicach przypiekał skórzane podeszwy butów, a góry znikwały w rozedrganym powietrzu. Lokalna gazeta „El Ideal” zawiadamią na pierwszej stronie porannego wydania, że nie może zamieścić wiadomości krajowych „z przyczyn od nas niezależnych”.

Pablo siedział zdenerwowany w kawiarni.

Źle się dzieje, Concha. Nie ma dwóch zdań — powiedział, wskazując nagłówek w gazecie.

To nic wielkiego, Pablo. Pewnie jakiś strajk albo coś w tym rodzaju. Rząd opanuje sytuację. Nie przejmuj się — próbowała go pocieszać, choć bezskutecznie.

Niepokój Pabla był uzasadniony, tak naprawdę oboje to wiedzieli. Zapewnienia rządu, że mimo *pronunciamiento* wojskowych w Maroku na półwyspie sprawy toczą się jak zwykle, wcale ich nie uspokoiły.

Przeciżyły temu pogłoski, iż jakiś generał Queipo de Liano przejął dowództwo nad garnizonem w Sewilli i zaledwie z setką ludzi szybko zdobył kontrolę nad miastem.

— No więc jak oni mogą nam mówić, że wszystko toczy się normalnie? — pytał Pablo tych, którzy akurat go słuchali.

Mieszkańcy Grenady, podobnie jak innych miast, nie czuli się bezpiecznie. Domagali się od rządu wydania im broni, ale ku ich zaniepokojeniu premier Casares Quiroga zakazał dostarczenia ludziom broni i twierdził z całą stanowczością, iż wydarzenia w Sewilli nie mają wpływu na resztę kraju. Utrzymywał, że we wszystkich pozostałych garnizonach wojsko jest lojalne wobec rządu.

Inne stacje radiowe transmitowały wrzaskliwe wystąpienia generała Queipa de Liano, który obwieszczał swoje zwycięstwo. Prócz Madrytu i Barcelony, grzmiał, cała Hiszpania jest już w rękach sił nacjonalistycznych. Żadna z tych przeciwstawnych wypowiedzi nie była zgodna z prawdą, a Hiszpanie nie wiedzieli, co o tym wszystkim sądzić.

Mieszkańców Grenady ogarnęła trwoga. Powiadano, że w Sewilli dokonuje się rzezi na przeciwnikach wojskowych rządów i zamyka ich tysiącami w więzieniach. Ludzie z sąsiedztwa Ramirezów, sprzyjający dotąd republice, nagle stawali się jej wrogami. Pablo i Concha wyczuli to już rankiem osiemnastego lipca w kawiarni. Goście nie wiedzieli, czy mogą ufać sobie nawzajem, czy mogą ufać właścicielom lokalu. Ziemia zaczęła usuwać się im spod nóg.

Wyglądało na to, że los poszczególnych miast i miasteczek zależy od tego, czy stacjonujące w nich wojsko będzie lojalne republikańskiemu rządowi. W garnizonie w Grenadzie zaledwie od sześciu dni sprawował władzę nowy dowódca. Generał Campins był zagorzałym zwolennikiem republiki i mocno, acz naiwnie, wierzył, że jego oficerowie się nie zbuntują i nie poprą Franco. Robotnicy nie mieli takiej pewności. Gdy poprosili o wydanie im broni na wypadek rebelii wojskowych,

gubernator cywilny Torres Martinez, wypełniając polecenia rządu, odpowiedział odmownie.

O drugiej nad ranem dziewiętnastego lipca niemal wszyscy Ramirezowie byli wciąż na nogach. Nikt nie myślał o spaniu, choć byłoby to zrozumiałe z powodu duchoty, jaka wisiała w powietrzu przez cały miniony dzień.

— Dlaczego nie dostajemy broni? Kto powiedział, że ci żołnierze nie zwrócą się przeciwko nam? — pytał wzburzony Antonio ojca.

— Ależ synu, na tym polega cała sprawa. Co to da, że młodzi ludzie będą ganiać po mieście, wymachując karabinami, którymi nawet nie potrafią się posługiwać? No sam powiedz. Co dobrego może z tego wyniknąć? — próbował przekonać go Pablo.

— Nie denerwuj się — upominała go Concha. — Trzeba zachować spokój i czekać.

— No to posłuchajcie! — ryknął Antonio i pobiegł do ciasnego biura za barem, żeby pogłośnić radio. — Tylko posłuchajcie!

Głos Queipa de Liano dudnił w całej kawiarni, gdy generał wymieniał miasta zdobyte przez nacjonalistów.

— Nie możemy siedzieć i pozwalać na to, prawda?

Prosząc rodziców, by przytaknęli i choć trochę go wsparli, Antonio miał w oczach łzy bezsilności.

— Może mama ma rację — wtrąciła Mercedes. — Chyba lepiej aż tak się nie denerwować. Na razie tu jest w porządku.

Postawa Antonia wcale nie wynikała z młodzieńczego pragnienia, by dźrzeć oręż. Słyszał, że nie tylko wojsko przysparza trosk Torresowi Martinezowi. W rozgrywającym się dramacie kluczowe role odgrywali jeszcze dwaj inni aktorzy: Guardia de Asalto w niebieskich mundurach i Guardia Civil ubrana na zielono.

Obie służby porządkowe teoretycznie winne były posłuszeństwo władzom cywilnym, ale okazało się, że ich wierność republice jest bardzo wątpliwa. Nie dziwiono się, że w wielu

miejsowościach Guardia Civil postępuje niełojalnie wobec rządu. Spodziewano się jednak, że lojalnie zachowa się Guardia de Asalto stworzona i zorganizowana po proklamowaniu republiki. Antonio słyszał, że w Grenadzie obie siły spiskują przeciwko republice. Knuł coś zarówno porucznik Pelayo z Guardia Civil, jak i kapitan Alvarez z Guardia de Asalto.

Być może Martinez i Campins nie mieli pełnego rozeznania w sytuacji, ale robotnicy wyczuwali, że na coś się zanosi, i tamtego wieczoru licznie zgromadzili się na jednym z głównych placów, Plaza del Carmen. Grenada przypominała szybkowar, którego zawartość prawie osiągnęła temperaturę wrzenia. Pod wpływem wewnętrznego ciśnienia pokrywa mogła lada chwila zostać wyrzucona wysoko w powietrze.

Na placu zebrali się przede wszystkim robotnicy fizyczni. Gdyby nie obezwładniający upał, gniew wcześniej pchnąłby ich do działania. Ludziom ogromnie zależało na posiadaniu broni — jakiegokolwiek. Nawet zaczęli odkurzać wiekowe pistolety. Wkrótce ulice wypełniły się chłopcami i mężczyznami gotowymi do walki; również ci, których polityka mało interesowała, dali się porwać fali sympatii dla republiki.

Antonio i jego obaj przyjaciele, Francisco i Salvador, poszli zobaczyć, co będzie się działo na placu. Gdziekolwiek skierowali wzrok, nawet na dachy domów, widzieli uzbrojonych mężczyzn. W tym momencie żołnierzom jeszcze nie wolno było opuszczać koszar. Nikt nie wiedział, kto dzierży władzę ani co się może wydarzyć; w mieście panowały strach i napięcie.

* * *

Nad ranem dwudziestego lipca plan buntu w Grenadzie był przygotowany. Kapitan Alvarez obiecał przywódcy buntowników w garnizonie, że dostanie wsparcie ze strony jednostek Guardia de Asalto.

Przez cały czas, aż do popołudnia, cywilne władze miasta nie wiedziały, co się szykuje. Martinez odbywał spotkanie z kilkoma swoimi stronnikami, wśród których znajdowali się

Antonio Rus Romero, sekretarz Frontu Ludowego, oraz komendant Guardia Civil. W pewnej chwili Romero otrzymał wiadomość, że żołnierze ustawiają się w szeregu i przygotowują do wymarszu z koszar. Campins, powiadomiony przez telefon, nie uwierzył w prawdziwość tej informacji. Oświadczył, że wojsko złożyło przysięgę lojalności, i postanowił natychmiast jechać do koszar, by sprawdzić wiadomość osobiście. Po przyjeździe przeżył wstrząs, widząc, że zbuntowały się nie tylko oddziały artylerii, lecz również pułk piechoty, a Guardia Civil i Guardia de Asalto również wystąpiły przeciwko republice.

Campinsa uwięziono i, co gorsza, zmuszono do podpisania sporządzonego zawczasu dokumentu ogłaszającego stan wojny. Ponadto zapowiedziano w nim kary za nieposłuszeństwo wobec nowej władzy oraz za nieprzestrzeganie zakazów, poczynając od zakazu posiadania broni, a skończywszy na zakazie zgromadzeń powyżej trzech osób.

Obywatele Grenady nie wiedzieli nic konkretnego, ale późnym popołudniem, gdy miasto było pogrążone w ciszy i sklepy nadal pozostawały zamknięte na czas sjeisty, sennymi ulicami przetoczyły się ciężarówki pełne żołnierzy, którzy mieli srogie twarze i wzrok cały czas wbity przed siebie. Za nimi jechała artyleria. Niektórzy mieszkańcy błędnie uważali, że oddziały wyszły z koszar i znalazły się na ulicy, by walczyć z faszystami, i kilka osób pozdrowiło je w swej naiwności.

Łoskot przejeżdżających ciężarówek i chrzęst zmienianych biegów zakłóciły odpoczynek Conchy. Drzemąca w zaciemnionej sypialni, której okna wychodziły na ulicę. Usłyszawszy hałas, natychmiast obudziła Pabla. Uchylili okiennicę na tyle, by zobaczyć, co się dzieje pod ich oknami, i stali tak blisko siebie, że jedno czuło gorący oddech drugiego. Gdyby żołnierze podnieśli głowy, zobaczyliby spoglądającą na nich parę, ale nie usłyszeliby głosu Conchy zagłuszonego wyciem silników.

Matko Przenajświętsza — szepnęła i mocno złapała męża za ramię. — Zaczęło się. To się naprawdę zaczęło.

O tym, co się działo na ich oczach, od wielu dni krążyły pogłoski. Concha czuła, jak narasta w niej panika.

— Gdzie są nasze dzieci? Gdzie one się podziały? Trzeba je odszukać!

W pierwszym odruchu chciała zebrać swoją rodzinę. Nie kryła niepokoju. Widok tych uzbrojonych oddziałów — bez względu na to, po czyjej stały stronie i czyje wypełniały rozkazy — oznaczał, że nikt nie mógł czuć się bezpiecznie.

— Antonia nie ma w domu... Ignacia pewnie też. Ale reszta jest chyba w swoich pokojach — odparł Pablo i rzucił się do pozostałych sypialni.

Choć wszystkie dzieci były silniejsze i masywniejsze od rodziców, Pablo i Concha, o władnięci pierwotnym, przemożnym uczuciem, chcieli zlokalizować swoje potomstwo. Biegali od pokoju do pokoju, obudzili Mercedes i Emilia, po czym stwierdzili, że łóżko Ignacia jest puste.

— Mogę wam powiedzieć, gdzie on jest... — mruknął rozespany Emilio, idąc chwiejnym krokiem po schodach z poddasza.

— Gdzie? Jak myślisz? — dopytywała się zaniepokojona Concha.

— Pewnie z tą Elvirą.

— Nie chcę o tym słyszeć, Emilio. W takich okolicznościach nie mówi się w ten sposób o bracie.

Elvira była żoną jednego z najsłynniejszych matadorów, Pedra Delgado, który wziął pod swoje skrzydła młodego Ramireza. W mieście trzęsło się od plotek o długich popołudniach, które Ignacio u niej spędzał. Ignacio twierdził, że starszy mężczyzna również o wszystkim wiedział i gdy wyjeżdżał z domu, właściwie zostawiał żonę pod jego opieką. Takie wyjaśnienie wcale nie brzmiało zadowalająco. Elvira była przed ślubem prostytutką, aczkolwiek luksusową, i niezależnie od tego, jak Concha Ramirez oceniała postępowanie syna, ten fakt bulwersował ją najbardziej.

— Być może — powiedział opryskliwie Emilio. — Ale jeśli go szukacie, tam go znajdziecie.

Nawet gdy oddziały faszystów wylewały się na ulice, Emilio nie mógł przepuścić okazji, by przedstawić brata w złym świetle.

Antonia również nie było w domu. Przez cały dzień nikt go nie widział.

Wszyscy zebrali się przy wąskiej szparze między połówkami okiennic w małżeńskiej sypialni. Mercedes stanęła na łóżku, dla równowagi opierając ręce na ramionach ojca, i wyciągała szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje na placu. Ostatnie oddziały już przejechały. Zapadła denerwująca cisza.

Co się dzieje, Emilio? Oni wciąż tam są? — Pytania Mercedes zadźwięczały aż nazbyt donośnie w ich uszach. — Nic nie widzę. Nic nie widzę!

Pss, Merche — odezwał się Pablo, uciszając ją gestem ręki.

Doleciały go stłumione głosy ludzi znajdujących się na ulicy, zaledwie kilka domów dalej, i zaraz rozdarły powietrze wyraźne strzały.

Jeden, drugi, trzeci.

W duchu wszyscy liczyli regularne, jednakowe stuki. Od tej chwili ich świat zaczął się zmieniać. Odgłosy wystrzałów miały naznaczać ich życie na jawie i wdzierać się w ich sny jeszcze przez długi czas.

Rozległy się jakieś głosy w dole na ulicy, przed samą kawiarnią, ale żeby zobaczyć, kto tam jest, trzeba było wychylić się przez okno. Wkrótce Ramirezowie zaspokoili swoją ciekawość. Przez plac prowadzono dwóch mężczyzn z podniesionymi lękami.

Wyszli z domu Perezów. To Luis i jego syn! Luis i Julio! — wykrztusiła Concha. — Na Boga! Zabierają ich. Naprawdę zabierają ich...

Umilkła. Ciężko im było patrzeć, jak niewinni ludzie idą pod eskortą żołnierzy do aresztu. Z pewnym niedowierzaniem przyjmowali wagę tego wydarzenia.

No i stało się. Wojsko przejęło władzę — powiedział przygaszonym tonem Emilio.

Stało się to, na co od dawna liczyli ludzie, których nie zachwyciły działania rządu republikańskiego, natomiast zwolennicy wybranej demokratycznie partii nie mogli wprost dać wiary, że rządy prawa zostały obalone na ich oczach.

Ramirezowie z przerażeniem odprowadzali wzrokiem dwóch przyjaciół. Gdy tamci zniknęli im z oczu, odeszli od okna i przez chwilę stali w półmroku.

Concha zamknęła okiennice i osunęła się na łóżko.

— Co teraz zrobimy? — zapytała, patrząc na rysujące się w ciemności postacie męża i dzieci.

Pytanie było retoryczne. Żadne działania nie miały sensu, pozostało im tylko siedzieć w domu i czekać na rozwój wypadków.

Niedługo potem wrócił Antonio. Z niedowierzaniem wysłuchał opowieści o tym, jak zabrano Luisa Pereza i jego syna.

— Ale dlaczego oni ich zabrali? Z jakiego powodu?

— Któż to wie? — odrzekł Pablo. — Niebawem powinniśmy zajrzeć do Marii i Francisca.

— Uważasz, że to rozsądne? — odezwała się Concha, posłuchawszy głosu instynktu samozachowawczego, który nakazywał ostrożność.

Antonio opowiedział wtedy o wieczornych wydarzeniach w mieście, a przede wszystkim o sytuacji, która uprzytomniła mu, że doszło do buntu w wojsku.

Razem z Franciskiem i Salvadorem stał w gęstniejącym tłumie na Plaza del Carmen, gdy dotarła do nich wiadomość, że oddziały wyszły z koszar i zmierzają w kierunku placu. Powstał zamęt.

— Przypuszczaliśmy, że maszerujący w naszą stronę żołnierze mają zapewnić porządek publiczny i bronić republiki — ciągnął. — Ale szybko okazało się, że byliśmy w błędzie.

Zamiary żołnierzy stały się jasne, gdy ustawili przed ratuszem armatę i karabiny maszynowe. Tłum miał do wyboru: albo się rozejść, albo wystawić na strzały.

— Nie byliśmy na to przygotowani. Francisco powiedział,

że jesteśmy tchórzami, którzy dają nogi za pas, ale przecież nie mielibyśmy cienia szansy!

— I co się stało? — spytała Mercedes.

— Rzuciliśmy się w boczną uliczkę, a potem tylko słysze-
liśmy odgłosy wystrzałów.

— Które chyba tu doleciały — dodał Emilio.

— A teraz — kończył swą relację Antonio — stanowiska
artylerii znajdują się we wszystkich strategicznych punktach
miasta: na Plaza del Carmen, Puerta Real i Plaza de la Trinidad.
A ty mi nie wierzyłeś, tato! Gdyby tylko rozdano nam broń,
moglibyśmy ich powstrzymać!

Rodzice pokręcili głowami.

— To straszne — odezwał się Pablo, spuściwszy głowę. —
Nie sądziliśmy, że do tego dojdzie.

Antonio przekazał im inne zasłyszane wiadomości. Torres
Martinez najpewniej przebywał w areszcie domowym („Gdyby
panował nad sytuacją, nie znaleźlibyśmy się w tej opresji”,
narzekał Antonio), a obowiązki gubernatora cywilnego przejął
Valdes. Wyglądało na to, że wszystko odbyło się bez żadnego
oporu. Poza tym podobno zajęto ratusz, a burmistrz Manuel
Fernandez-Montesinos, który był szwagrem Lorki, został areszt-
owany w dramatycznych okolicznościach, podczas zebrania
z radnymi i członkami partii, i uwięziony.

Ramirezowie głowili się, co skromny ślusarz Luis Perez
i jego syn mają wspólnego z ustosunkowanym burmistrzem
o socjalistycznych zapatrywaniach. Wkrótce zobaczyli, że ludzi
z najróżniejszych środowisk wywlekano z domów, wynajdując
dowolne powody. Intelktualiści, artyści, robotnicy i masoni
znaleźli się wśród około sześciu tysięcy aresztowanych w pierw-
szym tygodniu. Jeśli ktoś był znanym stronnikiem lewicy lub
członkiem związków zawodowych, jego życiu zagrażało niebez-
pieczeństwo. Antonio uznał, że lepiej nikomu nie mówić
o poglądach politycznych starszego brata Francisca, Julia.
Zapewne sam Luis nie wiedział o przynależności syna do
organizacji komunistycznej.

— Najgorsze jest to — oświadczył Pablo — że zarówno Guardia Civil, jak i Guardia de Asalto wspierają teraz buntowników.

— Ciągłe to powtarzasz, Pablo, ale nie chce mi się w to uwierzyć — wtrąciła Concha.

— Obawiam się, mamó, że tato ma rację. Widziałem, jak rozmawiali na ulicy z żołnierzami. Wcałe nie wyglądało to tak, jakby należeli do różnych obozów — poparł ojca Antonio.

Widząc, że w matce narasta teraz niepokój o bezpieczeństwo Ignacia, Antonio zaczął ją pocieszać:

— Wkrótce wróci do domu. Jestem przekonany.

Koło północy, gdy wszyscy prócz Conchy zapadli w niepokojny sen, okazało się, że Antonio miał rację: Ignacio przyszedł do domu.

— Jesteś wreszcie — powiedziała Concha, stając w drzwiach swojej sypialni. — Tak się o ciebie martwiliśmy. Nie uwierzysz, co tu się dzisiaj działo, na naszej ulicy.

— Wszystko będzie dobrze — rzekł niefrasobliwie Ignacio, biorąc matkę w ramiona i całując w czoło. — Z całą pewnością.

W ciemności nie zauważył zakłopotania na jej twarzy. Czy Ignacio był tak zajęty kochanką, że wydarzenia tego dnia przeszły obok niego? Nie miała sposobności go zapytać. Wbiegł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, i zamknął za sobą drzwi. Można to zrobić rano, pomyślała, do tego czasu nic się nie zmieni.

Rozdział 16

Następnego ranka ulice były wyludnione. Właściciele nie utworzyli sklepów i kawiarni. Napięta atmosfera przepelniająca każde domostwo rozszerzała się złowieszczo na puste ulice.

Zajęcie siedziby Radia Grenada przez buntowników umożliwiło nacjonalistom rozpowszechnienie za pomocą doskonałego medium własnej wersji wydarzeń z poprzedniego dnia. Gazeta „El Ideal” spotęgowała efekt tych wiadomości i napawała się łatwym zwycięstwem zbuntowanych oddziałów oraz poparciem generała Franco ze strony tak wielu przedstawicieli klasy średniej w Grenadzie.

Ramirezowie zostali w domu, drzwi kawiarni były zaryglowane, a drewniane okiennice zamknięte. Po kolei spoglądali przez okna na pierwszym piętrze i widzieli, że dzień rozpoczął się **od** przejazdu kolumny ciężarówek wyładowanych żołnierzami i od okrzyków wydawanych w równych odstępach przez jednego człowieka:

Niech żyje Hiszpania! Śmierć republice!

Emilio siedział na łóżku, brzdąkając na gitarze. Z pozoru **obojętnie** przyjmował wydarzenia w mieście, ale w żołądku **ściskało** go ze strachu. Chcąc zagłuszyć odgłosy strzelaniny, **grał** namiętne *seguiriyas* i *soleares*, aż rozboleły go palce.

Nawet Antonio, który zazwyczaj miał do brata dużo cierpliwości, był przerażony taką obojętnością — udawaną przekonująco — na pucz wojskowy.

— Czy on nie rozumie, co to może oznaczać? — zwrócił się do ojca.

Obaj siedzieli przy stole, rozgrzebując na talerzach skromny lunch składający się z sera i oliwek. Tego dnia postanowiono nie wychodzić z domu po chleb, żeby nie narażać się na potencjalne niebezpieczeństwo, a i tak wrócić z niczym. Emilio nie był głodny i został w swoim pokoju.

— Oczywiście, że nie — uśmiechnął się szyderczo Ignacio. — Zapadł się w swoim świątku pederastów, jak zwykle.

Cała rodzina prócz Ignacia przymykała oko na skłonności seksualne Emilia, więc nikt nie zareagował na ten przytyk. Tylko raz, przed kilkoma miesiącami, Concha i Pablo wreszcie podjęli dręczący ich temat. Nawet w liberalnym klimacie początków Drugiej Republiki nastawienie mieszkańców Grenady do homoseksualizmu nie uległo zmianie. „Miejmy nadzieję, że wyrośnie z tego”, powiedział Pablo podczas tamtej rozmowy. Concha kiwnęła głową. Pablo uznał, że żona podziela jego opinię, i nigdy więcej nie rozmawiali na ten temat.

Jak wszyscy w mieście, Ramirezowie stracili chęć do jedzenia, ale odczuwali głód informacji. Z radia dowiedzieli się, że lotnisko w Armilla zostało opanowane i że wielka fabryka materiałów wybuchowych w Murcji znalazła się w rękach nacjonalistów. Oba obiekty miały ogromne znaczenie strategiczne. Ludzie, którzy chcieli powrotu do normalności, zaczęli oswajać się z myślą, że w ich mieście nastaną nowe rządy.

O zmierzchu tego dnia Mercedes otworzyła okno w swoim pokoju i wychyliła się, żeby zaczerpnąć powietrza. Na wprost jej oczu jerzyki przecinały niebo, nietoperze latały to w tę, to w tamtą stronę. Pozostały w niej wydarzenia poprzedniej nocy, odgłosy wystrzałów i widok wyprowadzanych z domu sąsiadów, ale myślami była gdzie indziej.

— Javier, Javier, Javier — mówiła w ciemność.

Żółte światło znajdującej się pod oknem latarni gazowej mrugało przy podmuchach ciepłego powietrza. W jasnym kręgu kołowała przez chwilę éma. Mercedes pragnęła zatańczyć, myślała tylko o tym, kiedy znów zobaczy swego gitarzystę. Oby ta wyjątkowa sytuacja skończyła się jak najszybciej, myślała, wtedy będą mogli być razem.

Doleciały ją dźwięki gitary Emilia uchodzące między dachówkami w aksamitną przestrzeń. Poszła po schodach na poddasze, po raz pierwszy od dłuższego czasu, zachęcona pokrzepiającą muzyką. Dopiero teraz nasunęło jej się na myśl, że Emilio mógł czuć się opuszczony, gdy zaczęła tańczyć do muzyki Javiera, i ogarnęły ją wątpliwości, czy zostanie przyjęta życzliwie.

Emilio nie odezwał się, ujrawszy ją w progu, tylko grał dalej jak przed laty, kiedy w dzieciństwie naruszała jego prywatność. Mijała godzina po godzinie, aż nastał świt. Mercedes obudziła się na łóżku brata, on zaś spał na krześle, wciąż trzymając w ramionach gitarę.

Rano Concha otworzyła kawiarnię. Wszyscy poczuli ulgę, odmykając drzwi i okiennice pozawierane na głucho przez cały poprzedni dzień i usuwając zaduch z mieszkania.

Uważali, że nie ma szczególnego powodu, by kawiarnia nadal była zamknięta. Bar stał się miejscem ożywionych rozmów o możliwym rozwoju wypadków. Krążyły liczne opowieści o ludziach, nad którymi znęcano się, by wydali przyjaciół i sąsiadów, oraz relacje naocznych świadków aresztowań dokonywanych za mnóstwo najróżniejszych „przestępstw”. Ale brakowało tylko konkretnych faktów i szerszego obrazu wydarzeń w całym kraju. Ludzi dręczyła niepewność przemieszana ze strachem.

Tylko jedna część Grenady zdecydowanie opierała się rebelianckim oddziałom — Albaicin. Ponieważ kawiarnia znajdowała się na skraju tej starej dzielnicy, Ramirezowie mieli uzasadniony powód do niepokoju o to, że mogą stracić dach nad głową i środki do życia.

Teoretycznie Albaicin powinna się obronić. Leżała na stromym zboczu i nawet miała fosę w postaci rzeki Darro płynącej wzdłuż dolnej granicy.

Mieszkańcy postawili barykady zagradzające wejście na swój teren. Z wysokości wzgórza mogli skutecznie bronić swej „twierdzy” przed wojskiem. Przez kilka dni toczyły się nieustanne walki. Ramirezowie widzieli, jak wywożono wielu rannych funkcjonariuszy Guardia Civil i kilkunastu Guardia de Asalto.

Radio Grenada regularnie ostrzegało, że do ludzi, którzy stawiają opór Guardia de Asalto, zostanie otworzony ogień. Mimo to oblężenie się przeciągało. Nikt nie miał wątpliwości, że walcząc z taką determinacją, obrońcy Albaicin odniosą zwycięstwo.

Mieliby większe szanse, gdyby wojsko już nie zajęło wznoszącej się nad nimi Alhambry. Pewnego popołudnia, siedząc w oknie, Concha widziała, jak z nieba spadał na Albaicin grad pocisków moździerzowych, rozwalając dachy i ściany, obracając w gruzy znaczną część dzielnicy. Gdy żołnierze dokonali rozległych zniszczeń i opadł pył, chwilę później rozległ się głuchy warkot samolotów i zaczęło się bombardowanie z powietrza. Mieszkańcy Albaicin byli łatwym celem.

Jeszcze przez kilka godzin stawiali opór, a potem Concha zobaczyła strumień ludzi, którzy wyłaniali się z chmury ulatującego w górę kurzu. Ze wzgórza schodziły kobiety, dzieci i starsi mężczyźni, wszyscy z tobołkami, w których mieli odzież i resztki uratowanego dobytku. Huk strzałów z broni maszynowej szybko ustawionej na dachach oraz dudnienie artylerii zagłuszały niemal wszystko, ale w zapadającej od czasu do czasu ciszy dał się słyszeć płacz dzieci i cichy jęk kobiet, które biegły w stronę barykad.

Kilku ostatnich mężczyzn, gdy wystrzelali wszystkie naboje i zdali sobie sprawę z przegranej, weszło na dachy domów i zaczęło machać białymi płachtami na znak poddania się. Stoczyli bohaterską walkę, lecz wiedzieli, że faszyci mają dość amunicji, żeby zrównać z ziemią każdy budynek w ich dzielnicy.

Niektórym dopisało szczęście i zdołali się przedrzeć do oddziałów republikańskich, ale większość schwytano.

Antonio wrócił do domu po południu. Był błądy z niepokoju i miał na włosach kurz, który wciąż jakby wisiał w nieruchomym powietrzu.

— Oni rozstrzelują tych ludzi... — powiedział rodzicom. — Wszystkich mieszkańców Albaicin, których uda im się dopaść. Po prostu rozstrzelują... Z zimną krwią.

Konieczność pogodzenia się z własną bezsilnością była dla wszystkich przerażającym przeżyciem.

— Oni są zupełnie pozbawieni skrupułów — rozległ się ledwie słyszalny głos Conchy.

— Potwierdzili to ponad wszelką wątpliwość — przytaknął Pablo.

Choć pierwsza faza zajęcia Albaicin została przeprowadzona z imponującą perfidią i zimną skutecznością, następne dni przyniosły falę oporu i zamieszek. W nocy nie ustawała strzelanina, od świtu do zmroku rozlegały się serie z broni maszynowej.

Po pięciu dniach od przejścia dowództwa w garnizonie, gdy zakończono ostrzeliwanie Albaicin, zrobiło się ciszej. Robotnicy podjęli strajk, wykorzystując jedyną bezpieczną formę bezpośredniego protestu przeciwko temu, co się stało.

Zaopatrzenie w chleb i mleko było dostateczne, więc nikt nie głodował, a kawiarnia El Barril funkcjonowała w miarę normalnie. Ramirezowie trzymali się blisko domu, tylko Ignacio wychodził i przychodził z uśmiechem na ustach.

Mąż Elviry Delgado przebywał w Sewilli, gdy wojsko przejęło władzę. Ponieważ znane były jego zdecydowane prawicowe zapatrywania, bał się podróżować przez tereny między Sewillą a Grenadą będące wówczas w rękach republikańców. Z powodu nieobecności Delgada w mieście Ignacio leszcze bardziej cieszył się z puczu wojskowych.

Zaczął kupować „El Ideal”. Egzemplarz gazety leżał na stoliku w kawiarni. Częste wzmianki o „wspaniałym generale

Franco" nie pozostawiały wątpliwości co do orientacji politycznej pisma. Któregoś dnia Emilio zszedł na dół późnym rankiem i jego wzrok padł na szyderyczy nagłówek, który uraziłby każdego zwolennika republiki.

— Faszystowska świnią! — krzyknął, po czym cisnął gazetę tak zamasyście, że stronice rozsypały się, przykrywając podłogę jak dywan.

— Emilio, proszę cię! — zawołała matka. — Tylko pogarszasz sytuację.

— Jakby mogła być jeszcze gorsza.

— Gdy nastanie spokój, może zobaczymy, że generał Franco nie jest taki zły — powiedziała.

Emilio nie wierzył, że to możliwe, i wiedział, że matka nie mówi tego szczerze.

— Miałem na myśli nie Franco, mamó, lecz mojego brata. — Podniósł jedną stronę z podłogi i pomachał nią matce przed nosem. — Jak on śmie przynosić ten szmatławiec do domu!

— To tylko gazeta — rzekła.

Choć marzenia o zaprowadzeniu spokoju w całym kraju były nierealistyczne, Concha tak pragnęła spokoju we własnej rodzinie, że starała się podejmować pojednawcze kroki. Emilio wiedział, że matka nie cierpi Franco tak samo jak on.

— To nie jest tylko gazeta. To propaganda. Czy ty tego nie widzisz?

— Ale tylko ta jest teraz w sprzedaży, o ile mi wiadomo.

— Posłuchaj, mamó. Nadeszła pora, żebyś pogodziła się z faktem, że Ignacio...

— Dość tego, Emilio! — przerwał mu Pablo, którego sprowadziły do sali kawiarnianej podniesione głosy. — Nie chcemy słyszeć słowa więcej...

— Ojciec ma rację. Nie dość, że walki toczą się poza domem, to jeszcze tutaj jeden krzyczy na drugiego.

Tymczasem zjawił się również Antonio. Wiedział, że zadawione animozje między młodszymi braćmi jeszcze się nasiliły. Głęboki rozdźwięk miał związek z konfliktem, który przetaczał

się niczym grzmot i wstrząsał całym krajem. Podziały polityczne przełożyły się również na stosunki w ich rodzinie. Poglądy twardogłowych konserwatystów, którzy chcieli przejąć władzę w kraju, stanowiły poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa osobistego Emilia. Nienawiść, z jaką odnosili się do siebie ci dwaj młodzi mężczyźni, była teraz równie zaciekle jak między republikanami a faszystowskimi oddziałami, które patrolowały ulice Grenady.

Emilio wypadł z sali. Pozostali milczeli, aż ucichł tupot na schodach prowadzących na poddasze.

* * *

Wiadomości radiowe i prasowe często nie były bardziej dokładne niż pogłoski powtarzane na ulicach, mimo to wyłaniał się z nich coraz jaśniejszy obraz ogólnej sytuacji: oddziały generała Franco nie odniosły spodziewanego sukcesu w regionie; choć niektóre miasta się poddały, wiele innych stawiało zacięty opór i zachowywało się lojalnie wobec rządu. Kraj trwał w niepewności.

Nacjonałiści w Grenadzie, chcąc zmusić mężczyzn do opowiedzenia się po którejś stronie, kazali im zgłaszać się do pełnienia wart. Ochotnicy nosili niebieskie koszule i stawali się wykonawcami tyrańskiej władzy. Swoje poparcie można było okazywać w różny sposób; kolor koszuli — czerwony, zielony albo biały — wskazywał na to, z którą organizacją pravicową człowiek był powiązany. Prawica uwielbiała rygor i schludne mundury.

Pod koniec lipca Antonio doszedł do wniosku, że faszyci opanowali sytuację w mieście. Strajk się skończył i przez krótki okres można było sądzić, że nic się nie wydarzyło. Taksówki stały tam gdzie zwykle, sklepy otwarto, przed kawiarniami rozwinięto markizy. Słońce nadal świeciło, choć nie było takiego skwaru jak tydzień wcześniej.

Wydawało się, że wszystko jest po staremu, ale wszystko się zmieniło. Choć duża część kraju stawiała opór, w Grenadzie

bezsposornie obowiązywał stan wyjątkowy. Cywilom zakazano prowadzić pojazdy, zniesiono prawo do strajku i zabroniono posiadania broni palnej.

Pewnego ranka Concha, jeszcze w koszuli nocnej, popijała pierwszą tego dnia kawę, gdy do kawiarni wszedł głównymi drzwiami Ignacio.

— Dzień dobry, kochanie — z ulgą powiedziała na jego widok, jak zwykle powstrzymując się przed zapytaniem, gdzie był przez całą noc.

Ignacio pochylił się, żeby pocałować matkę w czubek głowy, okolonej zmierzwionymi włosami, i objął za szyję. Odurzyła ją wyraźna woń damskich perfum. Zapach konwalii? A może róży damasceńskiej? Nie miała pewności, ponieważ woń perfum mieszała się ze znajomym zapachem jego ciała i może również cygar wypalonych poprzedniego wieczoru.

Wysunął krzesło obok niej, usiadł i ujął jej dłonie w swoje. Od lat Ignacio ćwiczył na matce swą słynną już umiejętność oczarowywania ludzi. Nie miała wśród synów ulubieńca, lecz jeden z nich potrafił o wiele lepiej od pozostałych przekonać ją do siebie.

Latem Ignacio miał wziąć udział w kilku korridach. Ale w tym sezonie walki zostały odwołane, przynajmniej na razie, zatem dysponował dużą ilością wolnego czasu. Wszystko wskazywało na to, że jest zadowolony z siebie i z życia.

— Nie wygląda to tak strasznie, mamó, prawda? Nie mówiłem?

— Chciałabym ci wierzyć — odparła, odsuwając się od niego na wyciągnięcie ręki i patrząc mu w oczy, ciemne, uwodzicielskie, pełne czułości.

Wydarzenia ostatniego tygodnia wystarczyły, by miała kompletnie zszargane nerwy — byle trzaśnięcie drzwiami i wzdrygała się ze strachu. Wciąż prześladował ją obraz sąsiadów wyciąganych z domu. Poprzedniego dnia Ramirezowie dowiedzieli się, że rozstrzelano Luisa i Julia i tej samej nocy splądrowano dom Perezów. Biedna Maria żyła w strachu o swoje

życie i nie chciała opuszczać mieszkania. Po aresztowaniu mc/a i syna sąsiadki Concha odwiedzała ją codziennie, ale tego ranka mimo wszelkich starań nie zdołała dodać jej otuchy. Rozwścieczony Francisco nie nadawał się na pocieszyciela matki, więc Antonio siedział z nim przez cały dzień, starając się nie dopuścić, by przyjacielowi puściły nerwy. I pomyśleć, że Ignacio próbował jej wmówić, że to nie wygląda „tak strasznie”!

Ich wytrzymałość miała być jednak poddana kolejnym próbom. Z samego rana dwudziestego dziewiątego lipca rozpoczęły się naloty na Grenadę, które trwały z przerwami do końca sierpnia. Najgorsze w tym wszystkim nie było bezsensowne burzenie miasta. Grozę budził fakt, że wielu mieszkańców znajdowało się po tej samej stronie konfliktu co ostrzeliwujące ich teraz samoloty republikańskie.

W nielicznych wypadkach ludzie, którzy nadal popierali legalny rząd, przyjmowali ataki z aprobatą.

Pewnego ranka Antonio szedł razem z ojcem ulicą i zobaczył przelatujące samoloty republikańskie. Pod ostrzał dostała się wieża katedry. Choć była najpiękniejszym i najsłynniejszym miejscem świętym, zniszczenie wspaniałej budowli i miejsca pochówku Izabeli i Ferdynanda w ogóle nie poruszyło ani Pabla, ani Antonia. Jak większość zwolenników prawomocnego republikańskiego rządu od dawna nie klękali przed ołtarzem, lak ich oburzał współudział duchowieństwa w tej rebelii. Od samego początku puczu Kościół katolicki stał po stronie wojskowych.

Gazety nadal były powodem wzburzenia w domu Ramirezów.

Znowu ta faszystowska szmata — mówił Emilio, spoglądając z pogardą na leżącą na ladzie gazetę. — Czy on musi przynosić to tutaj?

Tego dnia zamieszczono szczegółowe relacje ze zwycięskich akcji oddziałów nacjonalistów. Kilku republikańskich pilotów posadziło swoje samoloty na lotnisku w Armilli, nie zdając sobie sprawy, że jest już zajęte przez wojsko. Gdy załoga zesła

na płytę, została wzięta do niewoli, a faszyci z satysfakcją świętowali „dostawę” kilku nowych wspaniałych maszyn.

— Ale prezent dla Franco — burknął pod nosem Antonio.

Takie zdarzenia nie podnosiły morale zwolenników republiki. Choć walczyli o utrzymanie swoich pozycji, nie wiadomo było, na którą stronę przechyli się szala zwycięstwa.

Przez kilka następnych dni nie ustawały naloty na Grenadę, nadal ginęli niewinni ludzie, wokół nich waliły się domy. O nalotach ostrzegało wycie syren alarmowych, ale i tak nie było gdzie się schować. Zdarzało się, że pod gruzami ginął funkcjonariusz Guardia Civil, zazwyczaj jednak to niewinnym obywatelom Grenady zagrażały codziennie bombardowania, z upływem czasu powodujące coraz więcej zniszczeń.

Szóstego sierpnia bomby spadły opodal kawiarni na Plaza Nueva. Wyleciała szyba w oknie na piętrze i odłamki szkła rozprysły się po całym pokoju, zatrzęsło się wszystko w domu. Kieliszki spadły z półek w barze, butelki rozbiły się na podłodze, rozlana brandy popłynęła ciemną strugą.

Concha, z pomocą Emilia i Mercedes, doprowadziła kawiarnię do porządku. Po raz pierwszy w życiu widzieli matkę we łzach i z niepokojem patrzyli na jej rozpacz.

— Nie mogę tego znieść — odezwała się żalonym tonem.

Rodzeństwo wymieniło spojrzenia, domyślając się, że matka zamierza wygłosić tyradę, jak to czasem miała w zwyczaju.

— Nasz kraj jest w opłakanym stanie! Nasze miasto też... a teraz nasza kawiarnia... Tylko spójrzcie! — zawołała.

Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie te nieszczęścia są ze sobą powiązane, ale mogli zaprowadzić ład tylko w pomieszczeniu, które mieli przed oczami.

— Wszyscy pomożemy to uprzątnąć — powiedział Emilio i przykucnął, żeby pozbierać odłamki z może dwunastu butelek. — Nie jest tak źle, jak by się wydawało.

Mercedes poszła po szczotkę. Po raz pierwszy od tygodni coś odwróciło jej uwagę od Javiera. Niemal dzień w dzień od

puczu wojskowych myślała przede wszystkim o Javierze i dopiero wybuch bomby opodal wyrwał ją z tego stanu.

Gdy zamiatała podłogę, nawet melodyjny brzęk kawałków szkła wywoływał wspomnienie ukochanego. Co zajmowało jej myśli, zanim go poznała? Nie mogła ścierpieć, że te okropne wydarzenia w kraju doprowadziły do ich rozłąki.

Wszedł Antonio. Posadził matkę na krześle i postawił przed nią kieliszek trunku z jedynej ocalałej butelki.

- Nie wiem, jak długo damy radę...

— Co masz na myśli? — zapytał, pragnąc uspokoić matkę.

— ...prowadzić kawiarnię. Wszystko jest takie...

Antonio zauważył, że matka jest zmęczona, ale wszyscy musieli się trzymać. Codziennie każdy rozglądał się w poszukiwaniu oznak stabilizowania się sytuacji w mieście i dlatego Antonio stanowczo dbał o to, by choć część ich życia pozostała niezaburzona. Grenada nadal była całkiem dobrze zaopatrzona w żywność, więc nakarmienie gości El Barril nie nastęrczało trudności — brakowało tylko ryb, ponieważ miasto zostało odcięte od wybrzeża, natomiast mięso, chleb, warzywa i owoce kupowało się bez trudu.

- Sama rozumiesz, że musimy starać się żyć normalnie, w przeciwnym razie oni rzeczywiście wygrają — dopingował matkę.

Kiwnęła głową znużona i zrezygnowana.

Bomby spadły na Plaza Cristo i hotel Washington Irving, niedaleko Alhambry, w którym mieszkańcy schronili się przed ostrzałem z broni maszynowej. Tego dnia straciło życie dziewięć osób, w większości kobiety, i było wielu ciężko rannych. Gdy ginęli ci niewinni ludzie, jednocześnie sądzono innych, którzy byli równie niewinni. Głuche dudnienie samolotów republikańskich nad głowami tylko wzmagalo determinację faszystów wydających wyroki na tych, którzy wciąż popierali rząd. Nim zdążył wyschnąć atrament na orzeczeniach sądu, przeprowadzano egzekucje.

Jako pierwsi stanęli przed obliczem sędziego gubernator

cywilny Martinez, przewodniczący rady miejskiej, prawnik Enrique Martin Forero, oraz dwaj związkowcy — Antonio Rus Romero i Jose Alcantara. Od trzydziestego pierwszego lipca, gdy pojawili się przed ławą przysięgłych, do rozpatrzenia spraw przez sąd wojskowy, wydania wyroków i wykonania egzekucji o świcie pod murem cmentarnym minęły zaledwie cztery dni. Przez ten czas oskarżeni, ich rodziny i przyjaciele żyli w strachu, nie mogąc uwierzyć, że takie bezprawne decyzje są podejmowane w imię sprawiedliwości.

W następnych dniach postawiono przed plutonem egzekucyjnym wiele tutejszych osobistości: polityków, lekarzy, dziennikarzy. Wiadomość o ich śmierci przeraziła wszystkich Ramirezów.

— To znaczy, że nikt nie jest bezpieczny — rzekł Pablo. — Nikt a nikt.

— Jeśli oni potrafią uzasadnić skazanie tych ludzi, to masz rację — powiedział Antonio, jak zawsze pragnąc pokrzepić rodziców.

Nawet on stracił już nadzieję, że ten konflikt zostanie szybko rozwiązany, jeśli oddziały wojskowe wierne rządowi republikańskiemu wezmą odwet i przejmą kontrolę. Bezwzględność jednostek wypełniających rozkazy Franco oszałamiała — na kompromis nie należało liczyć. Idealiści w rodzaju Antonia zaczęli sobie uświadamiać, jacy są ich wrogowie.

* * *

W drugim tygodniu sierpnia nasilił się i upał, i bombardowanie miasta. O pogodzie już nie rozmawiano. Ludzie nie posiadali się ze zdumienia, że jednego dnia cały budynek legł w gruzach i jakimś cudem nikomu nic się nie stało, a następnego dnia od jednego wybuchu zginęło kilka osób. Taki los spotkał grupę kobiet, gdy za ceł ataku wybrano Calle de Real Cartuja. Ich śmierć okazała się równie przypadkowa jak wynik rzutu kostką.

Już ponad dwa tygodnie Grenada była wyspą faszystów na

morzu wierności republice. Antonio trzymał się nadziei, że ten względnie nieduży obszar uda się odzyskać, ale powoli tracił wiarę. Napływały wiadomości o zwycięstwach nacjonalistów w innych częściach kraju, w miejscowościach Antequera i Marbella.

Siły nacjonalistyczne przystąpiły do obrony Grenady przed atakami z powietrza. Niemieckie armaty, z których można było wystrzelić sześćset pocisków na minutę, rozstawiono na strategicznych pozycjach i skierowano przeciwko lotnictwu republikańskiemu. Naloty ustały.

Gdy przestały już spadać bomby, miasto znów się ożywiło. Na ulicach panował większy tłok niż zazwyczaj o tej porze roku. W normalnych okolicznościach wiele ludzi wyjechałoby stąd na całe lato, lecz ze względu na niepewną sytuację bało się ruszyć z miejsca. Poza tym pojawili się uciekinierzy z okolicznych wiosek, powiększając liczbę mieszkańców.

W mieście panował bynajmniej nie świąteczny nastrój, ale w pewnych porach dnia rojne ulice i place wyglądały jak podczas fiesty. Kawiarnie były zatłoczone. Goście siedzieli blisko siebie, by zmieścić się w upragnionym cieniu; młode kobiety krążyły między stolikami, zbierając datki na nowo powstałe szpitale Czerwonego Krzyża, gdzie udzielano pomocy rannym.

Kina funkcjonowały jak zwykle. Musiały jednak wyświetlać na okrągło te kilka filmów, którymi dysponowały, a spragniona rozrywek publiczność, nie mając wyboru, godziła się na powtórki i oglądała kroniki filmowe napawające trwogą każdego, bez względu na to, po której stronie politycznego spektrum się opowiadał.

Ignacio nadal zrażał rodzinę swoim nastawieniem do bieżących wydarzeń. Nie krył triumfu, gdy faszyci opanowali miasto i okoliczne wioski. Z czasem zaczął ciskać gromy na obrońców republiki, rozsiewając pogłoski o okrucieństwach, których dopuścili się między innymi w miejscowościach Motril i Salobrena.

— Wciągnęli kobiety do morza! — wykrzykiwał do Antonia i Emilia siedzących w milczeniu. — I wymordowali dzieci!

Bez względu na to, czy mówił prawdę, czy rozpowszechniał prawicową propagandę, ani myśleli zareagować i dać mu satysfakcję.

— I jak zapewne wiecie, zniszczyli zbiory... i wybili stada!

Ich milczenie doprowadzało go do furii. Podeszedł do braci tak blisko, że Antonio czuł jego gorący z wściekłości oddech, gdy tamten rzucał mu prosto w twarz:

— Jeśli wszyscy będziemy głodować, to nie z winy Franco, ale tych twoich republikanów! — krzyczał, stykając się niemal nos w nos z Antoniem. — Nie widzisz, że jest po wszystkim? To koniec republiki!

Wszędzie w Grenadzie ludzie gromadzili się wokół odbiorników radiowych. Mieli pozółkłe od papierosów palce, paznokcie obgryzione do żywego mięsa. Niepokój, napięcie i upał sprawiały, że miasto cuchnęło potem. Pogłoski o masowych egzekucjach przeprowadzanych w innych częściach kraju potęgowały przerażenie.

Bano się ludzi, którzy mieszkali przy tej samej ulicy, a nawet pod jednym dachem. W całym kraju spotykało się podzielone rodziny.

Rozdział 17

W relacjach Ignacia o tym, że oddziały republikańskie porzuciły broń i opuściły stanowiska w wioskach na wzgórzach, było więcej prawdy, niż reszta rodziny chciała przyznać. Armia Franco działała szybko i w pełni skutecznie.

To wprost nie do wiary! — powiedziała Concha pewnego ranka, nie kryjąc oburzenia. — Byliście już na dworze? — Z tym pytaniem zwróciła się do Antonia i Emilia, ale młodszy syn nie zareagował. — Rozejrzyjcie się po ulicy! Pójdźcie do katedry. Nie uwierzcie własnym oczom.

Antonio wstał i wyszedł z kawiarni. Gdy skręcił w prawo w Calle Reyes Católicos, natychmiast zrozumiał, co tak rozdrażniło matkę. Zbliżając się do katedry, zauważył, że ulice są ustrojone czerwonymi i żółtymi chorągiewkami, jak na festę. Zapewne powieszono je o bardzo wczesnej porze.

Był piętnasty sierpnia. Dawniej ta data może by mu coś mówiła, ale teraz nie nasuwała żadnych skojarzeń. Obchodzono wniebowzięcie Marii Panny. Dla setek wiernych, którzy chcąc uczestniczyć w mszy, zgromadzili się przy drzwiach wypełnionej do ostatniego miejsca katedry, to święto należało do najważniejszych w kalendarzu kościelnym.

Z wnętrza kościoła doleciały brawa. Oklaski rozniosły się po placu i zaraz przyłączyli się do nich zebrani tam ludzie.

Gdy w drzwiach katedry pojawił się arcybiskup na czele procesji, jednocześnie zagrzmiały fanfary wojskowe.

Antonio usiłował wyrwać się z tłumu, który zdążył już ciasno go otoczyć. Widok tak dobitnego świadectwa współdziałania wojskowych z duchowieństwem przyprawiał go o mdłości, więc przepchnął się poza plac. Kiedy skręcił w główną ulicę, prowadzącą do Plaza Nueva, niemal zderzył się z oddziałem legionistów o wyrazistych, surowych twarzach, zlanych potem, którzy maszerowali w stronę katedry. Mimowolnie przyspieszył kroku i niemal biegł do domu, ledwie dostrzegając grupki elegancko ubranych ludzi na ozdobionych chorągiewkami balkonach; niektórzy z nich dostrzegli za to jego — samotnego człowieka poruszającego się w odwrotnym kierunku niż strumień żołnierzy.

Gdy wrócił do kawiarni, rodzice siedzieli razem przy stoliku. Pablo palił papierosa i patrzył w dal.

— Co tam się teraz dzieje, Antonio? — zapytała Concha, obdarzając uśmiechem pierworodnego.

— Ludzie świętują, i tyle — odparł, niemal krztusząc się z odrazy. — Katolicy i faszyści. Straszne. Nie mogę tego znieść. Ten zadowolony z siebie arcybiskup z wielkim dupkiem... Boże, mógłbym go zakłuć jak wieprza!

— Pss, Antonio — syknęła Concha, zauważywszy wchodzących do kawiarni gości. Po skończonej mszy bary zaczynały się wypełniać. — Mów ciszej.

— Ale jak to się dzieje? — szepnęła. — Jak zwierzchnik tutejszego Kościoła może z premedytacją nie zauważać tylu zabitych...? Tych wszystkich morderstw! Gdzie jego współczucie?

Antonio zadawał trafne pytania. Monsinior Agustin Parrado y Garcia, kardynał arcybiskup Grenady, był jednym z wielu hierarchów Kościoła katolickiego, którzy całym sercem stali po stronie Franco. On i jemu podobni traktowali powstanie generałów wojska hiszpańskiego jako świętą krucjatę i choćby z tego powodu nie chcieli bronić życia ludzi bezpodstawnie uwięzionych i skazanych przez nacjonalistów.

Concha przepasała się fartuchem i razem z mężem stanęła za barem. Gdy przyjęli zamówienia gości, Antonio już wyszedł z kawiarni.

Nie podniosło go zbytnio na duchu to, że Franco rychło zaczął zwracać się do swoich zwolenników z żądaniami wsparcia w wysokości dziesiątek tysięcy peset. Rozpisano subskrypcje na rzecz armii, Czerwonego Krzyża, na zakup samolotów, a nawet wymagano od niektórych, by zakwaterowali wyższych oficerów wojsk lądowych. Wojna nie była tanim przedsięwzięciem dla nikogo, a banki też znalazły się w trudnej sytuacji. Nikt nie dokonywał wpłat. Jedyne podejmowano pieniądze z kont, uszczuplając rezerwy banków.

Pablo i Concha słuchali narzekania swoich nielicznych zamożnych gości. Bywalcy kawiarni zawsze stanowili mieszane towarzystwo, a małżonkowie dokładali wszelkich starań, by zachować wizerunek ludzi całkowicie neutralnych. Każda inna postawa byłaby w tych okolicznościach samobójstwem.

W zeszłym tygodniu zabrali chryslera mojego męża — zaliła się wyfiokowana pani w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat.

Coś okropnego — rzekła jej przyjaciółka. — Jak myślisz, kiedy ci go zwrócą?

Aż tak mi na nim nie zależy — odparła tamta lekceważąco. — Widziałam go nie dalej jak dziś rano. Wypakowany funkcjonariuszami Guardia de Asalto. Łatwo sobie wyobrazić, jak go zabrudzą. I już ma głębokie wgniecenie z boku!

Obie strony zaczęły odczuwać koszty tego konfliktu. Wielu mieszkańców miało krewnych w innych miastach, a od pewnego czasu łączność Grenady ze światem zewnętrznym była ograniczona. Kolejne kieliszki brandy podawane w El Barril nie uspokajały całkowicie gości zatroskanych o los swoich synów i córek, wujów i rodziców w Kordowie, Madrycie lub odległej Barcelonie, którzy nie dawali znaku życia. Mercedes rozpaczliwie wyczekiwała wiadomości z Malagi.

Mając pełną kontrolę nad Grenadą, nacjonałiści zaczęli

wysyłać wojsko do innych miast. Wiele z nich stawiało zdecydowany opór, co dodawało otuchy Antoniowi i jego przyjaciołom. Choć wąski pas między Sewillą a Grenadą był zajęty przez nacjonalistów i pilnie strzeżony, znaczna część reszty regionu nadal opierała się oddziałom frankistowskim i toczono boje nawet w małych miejscowościach, które jakoby miały poddać się bez walki.

Ponure zadanie śledzenia mieszkańców Grenady przydzielono teraz również młodzieźowce Falangi. Młodzi faszyci chętnie denuncjowali i prześladowali ludzi podejrzanych o republikańskie poglądy. Występowanie przeciwko nowej władzy było przestępstwem, które mogło przybierać różne formy, począwszy od tego, że na ścianie twojego domu pojawiły się hasła komunistyczne (może nawet wypisali je sami falangiści pragnący wywołać niepokoje), a skończywszy na tym, że w poprzednich wyborach głosowałeś na partię socjalistyczną. Ludzie żyli w strachu przed przypadkowym aresztowaniem i osadzeniem w więzieniu.

* * *

Następny dzień po święcie Wniebowzięcia, szesnasty sierpnia, był dla Emilia najgorszy od początku konfliktu politycznego. W ciągu dwudziestu czterech godzin aresztowano jego przyjaciela Alejandra i Lorcę, jego bohatera. Poeta przyjechał do rodziny w Grenadzie tuż przed puczem, ale wiedząc, że z racji sympatii socjalistycznych może grozić mu niebezpieczeństwo, wyprowadził się i schronił u zaprzyjaźnionego falangisty. Zatrzymano go tego samego dnia, gdy jego szwagier, burmistrz Montesinos, został rozstrzelany pod murem cmentarnym.

Wiadomość o aresztowaniu Lorki rozeszła się bardzo szybko. Przez trzy dni zdenerwowana rodzina i wielbiciele czekali na jego powrót. Lorca nie należał do żadnej partii politycznej, więc zarzuty, które doprowadziły do jego aresztowania, opierały się na kruchych podstawach.

Emilio pracował w kawiarni i przypadkiem doleciała go

rozmowa dwóch gości. Gdy uprzytomnił sobie, o kim mówią, w pierwszej chwili uznał, że się przesłyszał.

- Więc strzelili do niego od tyłu, tak? — zapytał jeden z mężczyzn.

- Nie od tyłu, tylko w tyłek — odparł cicho drugi. — Za to, że był homoseksualistą.

Nie zdawali sobie sprawy, że Emilio wyłapuje każde słowo.

Wkrótce zszedł na dół Ignacio i usłyszawszy ostatnie zdanie, natychmiast włączył się do rozmowy.

— Właśnie tak było. Ten *maricón* dostał kulę w dupę! W naszym mieście jest za dużo tych typów.

Wszyscy umilkli. Nawet zegar tykał jakby z zażenowaniem. Ignacio, skupiwszy na sobie uwagę publiczności, nie mógł się powstrzymać, żeby nie dorzucić następnej złośliwości.

- Nasz kraj potrzebuje mężczyzn z prawdziwego zdarzenia. Hiszpania nigdy nie będzie silna, mając tylu pederastów.

Z tymi słowami przemierzył salę i wyszedł na ulicę. Jego zapatrywania podzielało wielu pravicowców. Męskość stanowiła warunek wstępny bycia obywatelem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Emilio stał jak skamieniały, lzy spływały mu po twarzy. Otarł oczy ścierką, ale nie mógł powstrzymać się od płaczu. Gdy do sali weszła Concha, wzięła syna za ramię, zaprowadziła do biura za barem i zamknęła drzwi. Stłumione łkanie zagłuszył gwar podjętych rozmów. Tymczasem stanął za barem Pablo. Nie mając żadnych wiadomości o Alejandrze, Emilio uważał, że gorzej już być nie może.

Śmierć Lorki była znaczącym wydarzeniem w tym konflikcie. Ludzie stracili resztki wiary w uczciwość i sprawiedliwość. Kraj ogarnęło przerażenie.

Pod koniec sierpnia, gdy mieszkańcy poczuli się bezpiecznie, widząc, że nie grożą im ataki z powietrza, znów pojawiły się samoloty republikańskie. Na Grenadę spadło ze trzydzieści bomb; ani jedno działo przeciwlotnicze nie zostało wykorzystane, żeby uniemożliwić naloty. Choć przerażenie na nowo

ogarnęło mieszkańców, nawet tych, którzy popierali działania lotnictwa, pocieszała ich myśl, że republika jeszcze nie przegrała.

— Widzicie! Damy radę przywrócić republikańskie rządy — powiedział Antonio do rodziców dzień później.

— Wszyscy to wiemy — wtrącił Emilio. — Prócz Ignacia, oczywiście.

Concha westchnęła. Tak bardzo starała się nie brać strony żadnego ze skłóconych od lat synów, zachowywać spokój i traktować ich jednakowo, że teraz odczuwała znużenie.

Gdy skończyły się naloty, miasto znów zachowywało pozory normalności.

Pewnego dnia pod koniec miesiąca Ignacio wrócił do domu bardziej zadowolony z życia, jak się zdawało, niż był dotychczas.

— W przyszłym tygodniu odbędzie się korrida — oznajmił rodzinie. — Po raz pierwszy wystąpię tu jako *matador de toros*.

Antonio nie mógł się powstrzymać od uszczypliwości.

— Miło będzie zobaczyć, że arena jest wykorzystywana zgodnie ze swoim przeznaczeniem — powiedział cierpko.

Wszyscy wiedzieli, co miał na myśli.

W sierpniu, jakiś czas wcześniej, posypana piaskiem arena w Badajoz, mieście na południowym zachodzie, nasiąkła krwią nie byków, lecz tysiący republikanów, socjalistów i komunistów. Pognano ich w kierunku zadbanego białego Plaza de Toros, potem przez bramę, przez którą toreadorzy wychodzą na defiladę, i na arenę. Tam czekały ustawione w szeregu karabiny maszynowe, których ogień skosił tysiąc osiemset kobiet i mężczyzn. Zwłoki części z nich leżały tam przez kilka dni, potem ściągnięto je z areny, a na piasku pozostały czarne plamy krwi. Powiadano, że od mdłego zapachu krwi przechodniom zbierało się na wymioty, a ofiarom oszczędzono jedynie widoku splądrowanego miasta.

— Cokolwiek stało się w Badajoz — zaripostował Ignacio — ci czerwoni najpewniej na to zasłużyli.

Przecisnął się obok Antonia i położył dłonie na ramionach matki.

— Przyjdiesz, prawda? — zapytał proszącym tonem.

— Oczywiście. Nie straciłabym takiej okazji — odrzekła. — Ale nie jestem pewna, czy będą tam twoi bracia.

— Ich się nie spodziewam — powiedział, obracając się na pięcie i spoglądając na Antonia. — Zwłaszcza tego na gorze.

* * *

Publiczność zgromadzona tydzień później była w stanie euforii. Na trybunach rozchodził się szmer podniecenia; wystrojeni widzowie prowadzili ożywione rozmowy i machali na widok swoich przyjaciół w tłumie. Dla wielbicieli tego sportu, którzy w większości mieli zapatrywania prawicowe, wznowienie walk byków symbolizowało powrót do jakiejś tam normalności, więc rozkoszowali się tą chwilą.

Tego popołudnia Pablo i Concha przyszli oglądać swego syna na arenie. Antonio, Emilio i Mercedes woleli zostać w domu.

Z miejsca, które zajmowali Ramirezowie, bezpieczni za idealnie kolistymi ścianami Plaza de Toros, nie było widać zniszczonych połaci ich miasta. Większość zebranych tam ludzi cieszyła się, że ich życie znów toczy się jak dawniej, że są jak niegdyś elitą, że stara tradycja i hierarchia zostały przywrócone. Nawet miejsce na trybunach, na słońcu lub w cieniu, *sol o sombra*, odzwierciedlało pozycję społeczną mieszkańca tego miasta.

- Nieważne, co się będzie działo przez następnych kilka miesięcy — doleciał Conchę czyjś głos — przynajmniej pozbyliśmy się tych lewicowców z rady miejskiej.

Od tej chwili starała się nie słyszeć dwóch starszych panów siedzących obok niej, którzy najwyraźniej nie mieli pojęcia, jak brutalnie i jak skutecznie usunięto socjalistycznych radnych. Mimo to strzępy prowadzonej rozmowy dolatywały do jej uszu i nie dało się nie zwracać na to uwagi.

— Oby naród dostrzegł światło i poddał się generałowi Franco — rzekł jeden z nich.

— Żyjemy nadzieją — dodał drugi. — Byłoby to z korzyścią dla wszystkich. Im szybciej, tym lepiej.

— Nie zwracaj na nich uwagi — szepnął Pablo. — Nie zdołamy zmienić sposobu myślenia tych ludzi. Popatrz! Zaczyna się parada...

Widowisko zdawało się bardziej efektowne niż kiedykolwiek przedtem, mężczyźni przystojniejsi, stroje barwniejsze. Przez ostatnią godzinę Ignacio przebywał w garderobie i szykował się do występu. Zasznurowano mu spodnie. Gdy ułożono i upięto mu włosy, włożył gładki filcowy kapelusz zwany *montera*. Z podziwem spojrzął na siebie w lustro i uniósł brodę. Lśniącą biel stroju podkreślała ciemne włosy i ogorzałą twarz.

Gdy wkroczył na arenę wraz z innymi toreadorami i cała drużyna pokłoniła się przewodniczącemu imprezy i lokalnym osobistościom siedzącym w łoży, pomyślał, że życie nie może być wspanialsze.

A wszystko jeszcze przed nim, upajał się radością na myśl, co przyniesie przyszłość.

Ignacio występował jako trzeci z kolei matador. Choć pierwszy nie zrobił większego wrażenia na widzach, zachowywali się uprzejmie. Drugi rozpoczął pechowo: jego pierwszy byk wpadł na drewnianą rampę i roztrzaskał sobie rogi. Przez swą nieostrożność odzyskał wolność i wrócił na żyzne pastwiska, gdzie był wyhodowany. Z drugim bykiem matador poczynał sobie zgrabnie i zabił go szybkim, czystym pchnięciem, ale nie było w tym nic widowiskowego, nic, co poruszyłyby tłumy.

Liczono, że Ignacio nada więcej dramatyzmu imprezie. Znaczna część publiczności oglądała już jego występy i wiedziała, że słynie z tego, iż w sposób zamierzony i zapierający dech w piersiach o włos mija się z bykiem, co potem opisuje szeroko lokalna prasa.

Widzowie czekali na zdarzenie, które zawładnie wyobraźnią, i jak zawsze spodziewali się najlepszego na końcu. Częsty

widok śmierci i przemocy w minionym miesiącu zaostrzył apetyty wielu z nich na więcej takich wrażeń. Tego popołudnia zobaczyli mnóstwo rozlanej krwi, lecz wciąż nie mieli poczucia niebezpieczeństwa i katharsis, bliźniaczych przyjemności. Na razie byki nie stanowiły żadnego realnego zagrożenia dla tych młodych mężczyzn.

Okrucieństwo tłumu można było wyraźnie wyczuć. Publiczność nie chciała, żeby byk został zabity zbyt szybko — proces poniżania zwierzęcia przed ostatnim, rozstrzygającym trafieniem musiał być przeprowadzony powoli i skrupulatnie, jego cierpienie rozciągnięte w czasie.

Na znaczną część areny padał już cień, wreszcie robiło się chłodniej. W promieniach niskiego popołudniowego słońca lśniły złociste hafty na żakiecie Ignacia. To była najlepsza pora dnia na korridę.

Byk pognał w jego kierunku. Rogami dotknął kapy, oderwał przednie nogi od ziemi. Mimo ran, które zadali mu pikadorzy i banderillerzy, miał jeszcze dużo siły. Zręcznym wyrzutem ręki Ignacio przeciągnął muletą po grzbiecie zwierzęcia.

Po kilku łatwych unikach nabrał śmiałości. Zachwyił tłumy elegancją „motylego” zwrotu z kapą za plecami, po czym niespodziewanie przyklęknął na ziemi. Rozległy się stłumione okrzyki zdumienia:

- Ale junak!
- Jaka pewność siebie!
- Ma zimną krew!

Byk pochylił łeb. Czy matadorowi uda się ten śmiały manewr? Po kilku sekundach widzowie poznali odpowiedź na to pytanie.

Ignacio podniósł się i podziękował za owację. Stał zwrócony plecami do byka, dając kolejny dowód przewagi nad zwierzęciem. Ta postawa wyrażała niemal pogardę. Gdyby byka było na to stać, ubódłby wystające, idealnie zaokrąglone pośladki toreadora, ale zaczynał już tracić animusz.

Faena zbliżała się do końca. Ignacio wykonał jeszcze kilka

zwrotów, obracając się wokół własnej osi i machając kapą nad głową. Przy ostatnim piruecie byk niemal otarł się o niego i szkarłatna krew z jego ran trysnęła na śnieżnobiały zakiet.

— Teraz rozumiem, dlaczego wybrał ten kolor — szepnęła do siebie Concha.

Robiąc zwrot, Ignacio dotknął lewego rogu. Tym gestem wyraził coś zbliżonego do czułości, jakby gładził byka, dziękując mu za to, że miał sposobność się sprawdzić.

Przygotowania do finału wyglądały niczym elegancki, pełen gracji taniec w zwolnionym tempie. Byk zbliżał się niemal na ugiętych nogach, z czcią. Ignacio uniósł szpadę i wbił ją głęboko, aż do serca. Patrząc na ostatnie konwulsje pokonanego zwierzęcia, widzowie zerwali się z miejsc i zaczęli machać chusteczkami. Ignacio zmierzył się z bykiem w sposób bliski ideału.

Przez całą walkę rodzice Ignacia wydali zaledwie kilka stłumionych okrzyków, dołączając się do ogólnego zachwyty, poza tym siedzieli w milczeniu. Parę razy Concha chwyciła męża za ramię. Każda matka, widząc swego syna przed szarżującym bykiem, przeżywałaby chwilą grozy. Dopiero gdy zaprzęg koni włókł ogromne cielsko wokół areny, nabrała powietrza w płuca. Pablo poderwał się na równe nogi ze wszystkimi i przepelniony dumą z własnego syna napawał się powszechnym aplauzem.

Zabrzmiały fanfary. Ignacio znów się pojawił, z uniesionymi rękami paradował przed publicznością, przyjmując wiwaty. Zuchwali, atrakcyjni młodzieńcy o wąskich biodrach okrążali arenę dostojnym krokiem, olśniewający w purpurze, różu i splamionej krwią bieli.

Concha podniosła się. Też była dumna z Ignacia, ale nie cierpiała tego miejsca i panującej tu atmosfery, więc z zadowoleniem skierowała się do wyjścia.

Po korridzie Grenada jakby odrodziła się na chwilę w dawnej postaci. Chmara ludzi wylała się z Plaza de Toros, wypełniły się bary, do wczesnych godzin rannych panował ścisk na ulicach.

Guardia Civil zachowywała czujność, gotowa interweniować w razie niepokojów, ale wszyscy, którym nie odpowiadał wyczuwalny triumfalizm prawicowców, zostali tej nocy w domach.

Ignacio był bohaterem dnia. W najelegantszym barze przy Plaza de Toros fetowała go jego świta, dziesiątki zamożnych ziemian i wielbicieli ustawiały się w kolejce, by uścisnąć mu dłoń. Wiele kobiet starało się zwrócić na siebie jego uwagę. Zabawa trwała do późnej nocy. Całe to towarzystwo miało podobne poglądy na temat bieżącej sytuacji w kraju i dawało temu wyraz w pijackich toastach i piosenkach.

*Śliczny Lorca nie swawoli,
Bo go teraz dupa boli!*

Śpiewali tę rymowanąkę na okrągło, rozbawieni jej aluzyjnością.

- Żałujcie, że nie widzieliście mojego brata, gdy dowiedział się o Lorce — powiedział ze śmiechem Ignacio do otaczających go ludzi. — Był zdruzgotany!

Czy on też jest z tych? — zapytał zza chmury dymu z cygara jeden z bardziej ordynarnych mężczyzn.

Powiedzmy tak — odparł Ignacio konspiracyjnym tonem. — Nie podziela mojego upodobania do kobiet...

Podczas tej rozmowy jedna z bardziej ponętnych kobiet stanęła obok Ignacia, a on, nie przerywając rozmowy z zaprzyjaźnionymi panami, objął ją w talii. Można było sądzić, że zrobił to niemal bezwiednie. O trzeciej nad ranem, po zamknięciu baru, poszli do pobliskiego hotelu Majestic, gdzie zawsze trzymano kilka wolnych pokoi dla gwiazd korridy.

W następnych dniach Ignacio tryskał energią i nie posiadał się z radości. Rodzina dostała łeb byka, którego zabił w takim wspaniałym stylu. Przez kilka lat wisiał w jakimś ciemnym kącie kawiarni, pozbawionym wyrazu wzrokiem wpatrując się w gości wchodzących do El Barril.

Gdy Ignacio świętował swój sukces, zagłada trwała nieprzerwanie. Lorca był tylko jednym z setek, po których ślad zaginął.

* * *

Mniej więcej miesiąc później pewnego dnia o trzeciej nad ranem rozległo się straszliwe walenie w szybę w drzwiach El Barril. Pukanie było tak gwałtowne, że mogło polecieć szkło.

— Kto tam? — krzyknął pan Ramirez, wyglądając przez okno swego pokoju na trzecim piętrze. — Co to za raban, do diabła?

— Otwieraj, Ramirez. Natychmiast!

Zwracanie się do Pabla po nazwisku, ostrym tonem, oznaczało, że nie ma żartów.

Ludzie mieszkający przy tej ulicy już zerwali się z łóżek. Otwierano okiennice, kobiety i dzieci wychylały się z okien, paru odważnych mężczyzn wyszło przed dom i znalazło się twarzą w twarz z kilkunastoma żołnierzami. Rozszczękały się psy, zajadłe ujadanie odbijało się od ścian, ogłuszająca kachofonia wypełniła wąską ulicę. Choć słychać było chrobot otwieranych zasuw, wciąż łomotano w szybę. Dopiero gdy Pablo otworzył drzwi, hałas ustał, a wtedy ucichły nawet psy. Pięciu żołnierzy przepchnęło się obok Pabla i weszło do sali. Trzasnęły za nimi drzwi. Pozostali kręcili się na zewnątrz, paląc papierosy i nie zwracając uwagi na niechętnie spojrzenia otaczających ich cywilów. Na ulicy zaległa cisza. Minęły może dwie minuty, a może dwadzieścia. Nikt nie wiedział dokładnie.

W końcu otworzyły się gwałtownie drzwi. Ciszę rozdarły krzyki pani Ramirez.

— Nie możecie go zabrać! Nie możecie! — zawodziła. — On nie zrobił nic złego! Nie możecie go zabrać!

W jej głosie rozbrzmiewała desperacja i bezradność. Wiedziała, że żadne protesty nie powstrzymają tych mężczyzn. Brak prawomocnego nakazu aresztowania nie miał dla nich najmniejszego znaczenia.

Na pozbawionej latarni ulicy trudno było zobaczyć, co się

dzieje, ale wszyscy rozpoznali Emilia. Wciąż miał na sobie koszulę nocną, której biel nabrała w mroku niesamowitego blasku. Stał z rękami związanymi za plecami, nieruchomo, ze upuszczoną głową. Jeden z umundurowanych mężczyzn trącił go kolbą karabinu w brzuch.

- Ruszaj! — wydał polecenie. — No jazda!

Na te słowa Emilio jakby ożył. Oddalał się od domu niepewnym krokiem, jak pijany, niemal tracąc równowagę na wystających brukowcach.

Potem słyhać było, jak pan Ramirez stara się uspokoić żonę.

- Odzyskamy go, kochanie. Na pewno. Oni nie mają prawa go zabierać.

Żołnierze szli gromadą za Emiliem. Dwóch szturchało go III rusz między łopatki, kierując jego krokami. Wkrótce zniknęli za rogiem i ucichł metaliczny stuk żołnierskich butów. Ulica zaraz wypełniła się ludźmi, sąsiedzi zbierali się w grupy, kobiety pocieszały Conchę, mężczyźni czuli i wściekłość, i strach.

Antonio i Ignacio stali twarzą w twarz.

Musimy pójść za nimi. Natychmiast — powiedział Antonio.

Ignacio już od dawna nie zważał na polecenia brata, ale teraz przynajmniej mieli wspólny cel. Na chwilę połączyła ich troska o własną rodzinę, zwłaszcza o matkę.

Wkrótce dostrzegli w przodzie grupę umundurowanych mężczyzn i skradali się za nimi niecały kilometr, przystając w ciemnych bramach i łukowatych przejściach. Gdyby zostali zauważeni, nikt by na tym nie skorzystał, na pewno nie Emilio. Ku zdumieniu Antonia zaszli pod budynek lokalnych władz. Przed niecałym miesiącem stąd rządzono Grenadą dla dobra ludu.

Po jeszcze jednym szturchnięciu w plecy Emilio potknął się, przechodząc przez próg, a potem drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Zaczynało świtać, więc bracia nie mogli dłużej kręcić się po ulicy, jeśli nie chcieli, by ich ktoś zobaczył. Przykucnęli we wnęce drzwi, ale nawet nie mogli zapalić papierosa, bojąc się,

że ogień zapalki przyciągnie czyjś wzrok. Z dziesięć minut zastanawiali się, skuleni, co robić. Zostać? Odejść? Łomotać do drzwi?

Szybko okazało się, że decyzja została podjęta za nich. Niedługo potem z bocznej ulicy wyjechał samochód i wysiadło dwóch żołnierzy. Weszli do budynku, wpuszczeni przez niewidoczną postać, i po kilku minutach opuścili go z jakimś człowiekiem, który ledwie włókł się między nimi, zgięty wpół z bólu, prowadzony pod ramiona — ale nie w ludzkim geście pomocy. Gdy otworzyli drzwi auta i wrzucili go do środka, było jasne, że nie są nastawieni życzliwie. Traktowali go jak tobolek. Braciom mignęła lśniąca biel koszuli nocnej, którą miał na sobie padający na siedzenie człowiek, i już wiedzieli, że to Emilio.

Samochód odjechał z rykiem silnika i zniknął w mroku. Antonio i Ignacio musieli pogodzić się z myślą, że nie ruszą za nim.

Antonio był przybity. Mężczyźni nie płaczą, powtarzał w duchu. Mężczyźni nie płaczą. Twarz zastygła mu w grymasie bólu i niedowierzania, ręką przykrył usta, żeby zdusić łkanie, ale z oczu płynęły mu łzy. Jeszcze przez pewien czas bracia siedzieli skuleni we wnęce drzwi do jakiegoś domu, którego właściciel mocno spał we własnym łóżku.

Ignacio odczuwał coraz większe zdenerwowanie. Zaczęło się rozwidniać, koniecznie trzeba stąd odejść, wracać do domu. Rodzice czekali na wiadomości.

— Co im powiemy? — szepnął Antonio zdławionym głosem.

— Że go aresztowano — odparł bez ogródek Ignacio. — Nie ma sensu czegokolwiek wymyślać.

Wolno, w milczeniu, szli pustymi ulicami. Antonio pragnął usłyszeć słowa pociechy od młodszego brata, ale się nie doczekał. Nie potrafił zrozumieć, że tamten zachowuje zimną krew w takich okolicznościach. Wiedział, że Ignacio nienawidzi Emilia, ale nigdy nie dopuściłby do siebie myśli, że miał udział w jego zniknięciu.

Na nim, jako na pierworodnym synu, spoczywał obowiązek poinformowania rodziców. Ignacio będzie stał z boku, jego zapatrywania na tę sytuację okryje mrok, jak okrywał ulicę, którą szli.

Minął ponad miesiąc od opanowania Grenady przez nacjonalistów, a ciągle rosła liczba ludzi aresztowanych każdego dnia i wywożonych ciężarówkami pod cmentarz na rozstrzelanie. Aż niewiarygodne, że takie rzeczy w ogóle się działy, zwłaszcza że ofiarą była tak bliska im osoba.

- Może oni po prostu chcą przesłuchać Emilia w sprawie Alejandra — powiedziała na pocieszenie Mercedes, podtrzymując resztki nadziei i wiedząc, że o najlepszym przyjacielu Emilia nikt nie miał żadnych wieści od jego aresztowania.

Concha była pogrążona w rozpacz. Żywa wyobraźnia połączona ze strachem przed niewiadomym podsuwała jej najrozmaitsze myśli o tym, co może spotkać Emilia.

Pablo nie dopuszczał możliwości, że już nigdy nie zobaczy syna, i rozmawiał w taki sposób, jakby chłopak miał lada chwila stanąć na progu.

* * *

Sonia i Miguel wypili drugą kawę, a potem trzecią. Kelner spoglądał na nich od czasu do czasu, sprawdzając, czy czegoś nie potrzebują. Spędzili już w tej kawiarni dwie godziny.

Musieli szaleć z rozpacz — powiedziała Sonia.

Na pewno — przytaknęła Miguel. — Przekonali się, że te okropności dotykają nie tylko innych ludzi, lecz również ich. Aresztowanie jednego członka rodziny ściągało niebezpieczeństwo na wszystkich pozostałych.

Bardzo tu nadymione — zauważyła Sonia, rozglądając się wokoło. — Może zaczerpniemy świeżego powietrza?

Zapłacili rachunek i opuścili kawiarnię. Miguel kontynuował opowieść, gdy szli spacerem przez plac.

Rozdział 18

Dzień w dzień Concha modliła się o powrót syna. Klękała przy jego łóżku, splatała błagalnie dłonie i mruzczała pod nosem prośby do Marii Panny o miłosierdzie. Nie liczyła zbytnio na to, że ktoś jej wysłucha. Nacjonaliści zagarnęli Boga, więc zdaniem Conchy nie mógł On spełniać modłów obu stron konfliktu.

W pokoju panował taki sam nieporządek jak tamtej nocy, gdy wyciągnięto Emilia z łóżka. Matka nie zamierzała niczego tu zmieniać. Zmięte prześcieradła ułożyły się w zawijasy jak lody na powierzchni kawy. Ubranie, które nosił przed aresztowaniem, niedbale ciśnięte wisiało na oparciu starego krzesła. Gitara leżała po drugiej stronie łóżka, a jej piękne, zmysłowe zaokrąglenia jakże przypominały kobiece kształty. Panią Ramirez uderzyła myśl: co za ironia losu, że ten instrument jest czymś najbardziej kobiecym i ponętnym, co znalazło się w łóżku Emilia.

Rankiem drugiego dnia po aresztowaniu Emilia Mercedes zastała matkę w pokoju brata, zapłakaną. Po raz pierwszy od tygodni uwagę dziewczyny zaprzątnął ktoś inny niż Javier i zapewne po raz pierwszy w życiu porzuciła dziecięce rozmyślenia o własnych odczuciach.

Minęło już ponad osiem tygodni od ostatniego spotkania Mercedes z Javierem i od tamtego dnia nie uśmiechnęła się

ani razu. O ile wiedziała, Javier przebywał w swoim domu rodzinnym w Maladze, gdy zbuntowani żołnierze zajęli Grenadę, więc po co miałyby narażać własne bezpieczeństwo, przyjeżdżając tutaj. Nawet dla niej. Była wewnętrznie rozdarta: z jednej strony bała się, że przydarzyło mu się coś okropnego, z drugiej zaś ogarniała ją coraz większa irytacja, że nie utrzymuje z nią łączności. Nie wiedziała, co myśleć. Jeżeli był bezpieczny i dobrze mu się wiodło, dlaczego nie napisał do niej? Dlaczego nie przyjechał? Mercedes doświadczała dziwnego dla niej stanu niepewności, była smutna i niezadowolona, obojętna na wszystko, i dopiero łzy matki uświadomiły jej, że otaczający ją ludzie być może również cierpią tak samo jak ona.

— Mamo! — zawołała, biorąc Conchę w ramiona.

Nieprzyzwyczajona do takiej czułości ze strony córki Concha rozplakała się jeszcze bardziej.

— On wróci — szepnęła dziewczyna do ucha matki. — Na pewno wróci.

Czując, jak matka drży w jej objęciach, Mercedes zdrętwiała nagle ze strachu. Może jej kochający, łagodny brat, z którym miała tyle wspólnego, już nigdy nie pojawi się w domu.

Przez kilka dni żyli w niewiedzy. Pablo całkowicie zajął się prowadzeniem kawiarni. Miał mnóstwo klientów, jak dawniej, i mnóstwo pracy, ponieważ zabrakło Emilia. Choć był przytłoczony niepokojem, przez cały dzień absorbowały go inne sprawy. Czasem jednak myśl o nieobecnym synu przeszywała go niczym nagły ból. Czuł wtedy ucisk w gardle i zbierało mu się na płacz tak samo jak jego żonie, ale ona dawała upust swemu żalowi, on zaś dławił go w sobie.

Rankiem czwartego dnia po aresztowaniu Emilia Concha uznała, że nie można dłużej żyć w zawieszeniu. Musiała poznać prawdę. Guardia Civil prawdopodobnie prowadziła jakieś akta.

Concha zawsze była nastawiona podejrzliwie do tych ponurych osobników w brzydkich kapeluszach z lakierowanej skóry, a po puczu jej niechęć tylko się nasiliła. Działania tych ludzi w mieście graniczyły ze zdradą i podstępem.

Poszła sama do siedziby Guardia Civil. Roztrzęsiona podała nazwisko Emilia. Dyżurny strażnik otworzył wielką księgę leżącą na biurku i zaczął przeglądać wpisy z ostatnich kilku dni. Przesuwał palcem po liście nazwisk i przewracał stronicę. Concha nabrała otuchy. Jej syn nie figurował w księdze. Może to oznaczało, że został zwolniony. Odwróciła się do wyjścia.

— *Señora!* — zawołał strażnik. W innych okolicznościach ton jego głosu można by uznać za przyjazny. — Jakie to było nazwisko?

— Ramirez.

— A ja myślałem, że pani powiedziała: Rodriguez...

W tej chwili świat się dla niej zatrzymał. Z głosu tego mężczyzny wywnioskowała, że jej wielkie nadzieje były próżne. Podsycił je jakby w akcie zamierzonego okrucieństwa, a potem zniweczył — zgasił jak ogień wodą.

— Mam tu jakiegoś Ramireza. Zapis z wczoraj rano. Wydano wyrok. Trzydzieści lat.

— Gdzie on jest? — szepnęła. — W którym więzieniu?

— Takich informacji jeszcze nie mogę podać. Niech pani przyjdzie w przyszłym tygodniu.

Oszołomiona ledwie doszła do drzwi i ugięły się pod nią nogi. Usłyszawszy te wiadomości, straciła dech jak po uderzeniu. Z trudem łąpała powietrze i po chwili uprzytomniła sobie, że zwierzęce wycie, jakie słyszy, to jej własny krzyk. Jęki rozpaczły niosły się po holu i odbijały od wysokiego sufitu. Siedzący za ladą mężczyzna w okularach patrzył na nią z całkowitą obojętnością. Tego ranka widział już kilka zapłakanych matek, a ich kłopoty nie budziły w nim zbytniego współczucia. Ich zachowanie tylko go drażniło. Nie lubił „scen” i liczył na to, że ta kobieta, jak poprzednie, szybko się stąd wyniesie.

Znalazłszy się na ulicy, Concha miała jeden cel: dotrzeć do domu i podzielić się wiadomościami. Widok znajomych budynków po drodze dawał tak potrzebne pocieszenie, gdy z każdym niepewnym i niezdarnym krokiem przybliżała się do domu. Zataczała się od drzwi jednego sklepu do drzwi drugiego.

a przechodnie usuwali się na bok, sądząc, że jest pijana. Ledwie poznawała ulice swego miasta, ale wiedziona instynktem, mając oczy pełne łez, wreszcie zobaczyła znajomą fasadę El Barril.

Gdy pchnęła drzwi wejściowe, Pablo nie musiał pytać, co się stało. Wystarczyło spojrzeć na jej twarz, by wiedzieć, że przynosi złe wiadomości.

Przez dziewięć nocy Ramirezowie nie spali ze zgrzyoty, Codziennie Concha usiłowała dowiedzieć się, dokąd zabrano jej syna. Urzędnicy zaczęli ją rozpoznawać. Gdy w końcu uzyskała informację, że Emilia osadzono w więzieniu opodal Kadyksu, rodzina przyjęła to, o dziwo, z ulgą. Więzienie znajdowało się w odległości ponad dwustu kilometrów, ale przynajmniej mieli jakąś pewną wiadomość.

Concha natychmiast postanowiła ruszyć w podróż, zobaczyć syna. Zawieźć mu trochę jedzenia, żeby przynajmniej nie głodował.

- To absurd jechać tak daleko — odezwał się Ignacio. — Zwłaszcza samej.

- Nie ma innego wyjścia — rzekła.

- Oczywiście, że jest! — upierał się Ignacio.

- Któregoś dnia zrozumiesz — powiedziała. — Gdy sam będziesz miał dzieci.

- Niech Bóg czuwa nad tobą. Co tu więcej mówić!

Podróż trwała dwa dni. Choć Concha posiadała dokumenty gwarantujące jej bezpieczeństwo, żołnierze i funkcjonariusze Guardia Civil często dokonywali surowych kontroli, podczas których nieraz sądziła, że odeślą ją z powrotem do domu.

Gdy wreszcie przybyła na miejsce, nie pozwolono jej zobaczyć syna.

- Jest w izolatce — warknął dyżurny oficer. — Tymczasowo został pozbawiony wszelkich przywilejów.

Jakie „przywileje” można mieć w tym okropnym miejscu, nie potrafiła sobie wyobrazić.

- Jak długo tam będzie? — spytała rozczarowana i przybita tą wiadomością.

— Może dwa dni, może dwa tygodnie. Zależy.

Bała się zapytać, od czego to zależy. Poza tym odpowiedź byłaby zapewne niewiarygodna.

Zostawiła kosz z jedzeniem. Nie wiedziała, czy Emilio go dostanie. Zapakowała orzechy włoskie, a w jednym ukryła list, zwykły list od matki z ogólnymi wiadomościami o rodzinie i z serdecznymi pozdrowieniami. Miała najlepsze intencje, ale po znalezieniu listu pobyt Emilia w izolatce został przedłużony o tydzień.

Z różnych stron dochodziły Pabla i Conchę opowieści o warunkach panujących w więzieniach. Czasem komuś udało się zbiec, lecz częściej mówiono o codziennych egzekucjach, których dokonywano według list zależnych od widzimisię władz więziennych.

Gdy Concha przeżywała osobisty dramat po aresztowaniu syna, w całym kraju matki traciły synów. A także synowie tracili matki.

Jesienią bombowce nacjonalistów zaczęły prześladować bezbronną ludność Madrytu i niebezpieczeństwo zawisło nad wszystkimi. Nawet matki, które czekały w kolejce po mleko dla dzieci, przenosiły się na tamten świat. Zdobycie stolicy miało dla generała Franco znaczenie pierwszorzędne. Jego oddziały podeszły już na peryferie. Rozrzucano ulotki ostrzegające ludzi, że jeśli nie poddadzą miasta, zostanie zmiecione z powierzchni ziemi. Pod nieustającymi nalotami słabł opór mieszkańców będących łatwym celem dla wroga.

Wszyscy — zarówno zwolennicy republiki, jak i generała Franco — śledzili wydarzenia w Madrycie. Od losu tego miasta mógł zależeć wynik konfliktu politycznego w całym kraju.

Na początku listopada przyleciały pierwsze samoloty radzieckie i zaczęło się kontrnatarcie. Siły republikańskie lepiej dawały sobie radę w powietrzu, natomiast nacjonałiści odnosili większe sukcesy na ziemi. Jeszcze w listopadzie zajęli Getafe, dzielnicę na przedmieściu, co rozbudziło w nich nadzieje na całkowite zwycięstwo.

Antonio baczniej niż dotychczas przeglądał gazety i często przytaczał wiadomości matce, gdy wycierała rano kieliszki.

„Mimo ataków lotnictwa republikańskiego nacjonałiści opanowali dzielnicę Carabanchel oraz zajęli ważne mosty, co otworzyło drogę do śródmieścia — czytał. — Na ulicach doszło do walk wręcz i po obu stronach zginęły tysiące ludzi. Oddziały generała Franco przedarły się przez linie republikańskie do miasteczka uniwersyteckiego”.

Antonio nie wiedział, że matka zna bieżące wydarzenia z audycji zakazanego radia z Małagi, którego zawsze słucha wczesnym rankiem.

To chyba koniec — orzekł Antonio. — Wygląda na to, że Franco dopnie swego.

No widzisz, mamó — wtrącił się Ignacio, który właśnie wszedł do kawiarni i usłyszawszy uwagę Antonia, skorzystał z okazji, by pocieszyć matkę. — Gdy tylko Franco ogłosi zwycięstwo, może odzyskasz swojego Emilia.

Kamień spadłby mi z serca — powiedziała Concha, uśmiechając się na samą myśl. — Ale czy to nie zależy od postawionych mu zarzutów?

Pewnie tak. Ale sądzę, że nie są poważne.

Czasem Ignacio wołał zajmować ugodowe stanowisko w rozmowach z matką. W ten sposób łagodził poczucie winy wywołane swą nierozważną gadaniną o homoseksualizmie brata, która mogła być powodem jego aresztowania. Gdyby pomyślał, że brat dostanie tak surowy wyrok i że jego uwięzienie przysporzy tyle smutku rodzinie, może byłby trochę ostrożniejszy, bez względu na to, jak wielką odrazę wzbudzał w nim Emilio.

Franco nie zdobył Madrytu tak szybko, jak przypuszczał Antonio. Wyczerpani mieszkańcy, widząc przemarsz umundurowanych żołnierzy, sądzili, że są to bataliony nacjonalistów. Ze zdumieniem i ogromną radością zdali sobie sprawę z pomyłki. Dźwięki rewolucyjnych pieśni i znana melodia Międzynarodówki uprzytomniły im, że jakby za sprawą magicznej siły przyszli im z pomocą *Brigadistas*, członkowie Brygad Między-

narodowych. Należeli do nich Niemcy, Polacy, Włosi i Anglicy. Wszyscy co do jednego nieustraszenie szli na front.

Członkowie ruchu anarchistycznego — zagorzali wyznawcy idei wolności, ale nie zawsze zdyscyplinowani bojownicy — również przybywali bronić Madrytu przed wojskami Franco. Dalej prowadzono walki w miasteczku uniwersyteckim, zaatakowano szpital zajęty przez nacjonalistów. Wkrótce obszar ten znów był pod kontrolą republikanów i linia frontu ponownie została przesunięta.

Któregoś dnia pod koniec listopada trzydziestego szóstego roku Ignacio przeglądał prawicową gazetę codzienną w poszukiwaniu najświeższych wiadomości o wydarzeniach w Madrycie. W przeciwieństwie do pozostałych członków rodziny, dla których tendencyjność zamieszczanych tam artykułów była nie do zniesienia, Ignacio czytał je z ostantacyjnym zainteresowaniem. Gdy z zalem mruknął pod nosem, że w tej fazie działań generał Franco nie powinien był zaprzestać walk o Madryt, zazwyczaj flegmatyczny Pablo stracił panowanie nad sobą.

— Ignacio, czy ty naprawdę uważasz, że to w porządku, by żołnierze zabijali niewinnych ludzi?

— Jakich niewinnych ludzi? — odparł z pogardą Ignacio. — Co to znaczy „niewinnych“?

— Oczywiście chodzi mi o zwykłych mieszkańców Madrytu! Kobiety i dzieci, rozrywane na strzępy. Co oni zawinili?

— A tamci więźniowie? Trudno powiedzieć, że zasłużyli na śmierć, chyba się zgodzisz. Nie mów mi o „niewinności“! Nie ma czegoś takiego! — krzyknął Ignacio, waląc pięścią w stół.

Miał na myśli rozstrzelanie w tym miesiącu tysiąca nacjonalistów osadzonych w więzieniach. W Madrycie mieszkali ludzie o różnych zapatrywaniach politycznych, zarówno republikanie, jak i nacjonałiści. Gdy nastąpił pucz wojskowych, wielu nacjonalistów, którzy nie zdążyli opuścić miasta, musiało się ukrywać. Mimo to znaczną ich część wypłoszono z kryjówek

i wsadzono do więzień. Na początku listopada, gdy wyglądało na to, że Madryt lada chwila znajdzie się w rękach nacjonalistów, poważnie obawiano się, iż uwięzieni oficerowie dołączą do oddziałów atakujących miasto. Aby do tego nie dopuścić, strażnicy, którzy pragnęli bronić Madrytu, wywieźli około tysiąca więźniów i z zimną krwią zabili ich za miastem.

Pablo z konieczności zamilkł — nawet zagorzałych zwolenników republiki ogarnął wstyd po tym, co się stało — i odszedł na bok. Czasem prościej było usunąć się, niż toczyć spory z synem. Choć Pablo zupełnie nie zgadzał się z Ignaciem, jego ostatnie słowa zabrzmiały aż nadto przekonująco. Niekiedy trudno było powiedzieć, kto w tym konflikcie jest całkowicie wolny od winy.

* * *

Mieszkańcy Grenady nadal żyli w przerażeniu. Pewnego grudniowego dnia, gdy ulice tonęły już w mroku wczesnych godzin popołudniowych i kamienie brukowe lśniły metalicznym blaskiem pod latarniami, do kawiarni weszło dwóch żołnierzy armii nacjonalistów. Tym razem nie musieli walić w szybę w drzwiach. Kawiarnia była otwarta, wypełniona gośćmi, którzy popijali kawę po lunchu.

— Chcemy się rozejrzeć — powiedział jeden z żołnierzy do Pabla.

Ton jego głosu był zbyt przyjazny, by nie budził niepokoju.

Właściciel nie zamierzał wchodzić im w drogę, nie chciał wzbudzać ich agresji.

Na tyłach baru znajdowała się mała kuchnia, a za nią przeznaczony na biuro pokój, niewiele większy od zabudowanej wnęki, gdzie Pablo robił zamówienia i prowadził dość chaotycznie inwentarz sprowadzonych i zużytych towarów. Prócz biurka mieściła się tam stara drewniana komoda, z której papiery wysypywały się, jeszcze zanim faszystowscy wandalowie zaczęli ją przetrząsać. Wyjmowali kolejne szuflady i opróżniali je, nie czytając nawet jednego papierka. Zachowywali się jak

dzieci, szeroko uśmiechnięci na widok powiększającego się bałaganu, rozbawieni podrzucaniem do góry kartek, które wirowały jak śnieg podczas zadymki. Wyglądało to jak zabawa. Ani trochę nie interesowały ich rachunki za chleb i szynkę.

Pablo nie przestawał obsługiwać gości przy barze.

— Nie przejmuj się — powiedział dzielnie do żony. — Posprzątam później. Nie mamy nic do ukrycia. Jestem pewny, że wkrótce sobie pójdą.

Concha uważnie kroїła na trójkątne kawałki ogromny krąg sera *manchego* i układała pieczołowiciej niż zazwyczaj na talerzu, sprawiając wrażenie osoby, która ze spokojem wykonuje swoją pracę. Ale ze strachu żołądek podchodził jej do gardła. Bez słowa oboje uznali, że w tej sytuacji najlepiej przybrać niewinną pozę.

Klienci nadal popijali kawę i rozmawiali półgłosem, ale wyczuwało się napięcie na sali. Mieszkańcy Grenady zdążyli się przyzwyczaić do tego rodzaju najść i choć w takich warunkach trudno było prowadzić naturalną rozmowę, starali się zachowywać drobne codzienne zwyczaje, do których należało chodzenie do baru czy kawiarni przynajmniej raz dziennie.

Dwaj żołnierze w gruncie rzeczy nie przyszli dokonać rewizji. Gdy białe kartki zasłały podłogę, skupili się na właściwym celu. Interesowało ich radio. Reszta była teatrem. Z triumfalną miną wyższy żołnierz przekręcił gałkę i zrobił krok w tył. Nie musiał stroić odbiornika. Sygnał został od razu wychwycony i głos spikera wypełnił pomieszczenie. Bez wątpienia był to program komunistycznej stacji radiowej, która regularnie informowała o bieżących wydarzeniach w całym kraju. Żołnierz pogłośnił dźwięk i słowa spikera dotarły do gości. Młodszy żołnierz wszedł do sali, uśmiechając się znacząco. Radio było nastawione na cały regulator. Pablo i Concha przerwali swoje zajęcia i zasłonięci blatem lady chwycili się za ręce. Oczy wszystkich skierowały się na faszystów, którzy stali niewzruszenie, z założonymi rękami.

Concha zawsze słuchała radia we wczesnych godzinach

porannych, gdy Pablo sprzątał kieliszki i opróżniał ostatnie popielniczki, a cała rodzina już od dawna spała.

Wyższy rangą żołnierz odchrząknął. Musiał wyteńczyć głos, żeby przebić się przez ryk radia. Concha puściła rękę męża i zrobiła krok w przód. Nie zamierzała dopuścić, by tych dwóch miało satysfakcję z przesłuchania. Przyzna się i zaoszczędzi wszystkim czasu. Ale nie poszło jej tak łatwo — poczuła mocny uścisk męzowskiej dłoni na ramieniu i chwilę później Pablo odepchnął ją gwałtownie na bok, po czym stanął przed nią, prawie zasłaniając jej widok żołnierzy.

Miała ułamek sekundy, żeby się sprzeciwić, ale nie zdążyła. Pablo wyciągnął ręce, założono mu kajdanki i wyprowadzono go z kawiarni na ulicę. Spojrzenie męża zamknęło Conchy usta. Wiedziała, co ono oznacza. Gdyby się odezwała, aresztowano by i jego, i ją. A tak zabrano tylko jedno z nich.

Dręczyło ją poczucie winy, ale pod wpływem szoku wykonywała codzienną pracę jak we śnie.

Mercedes weszła do El Barril jakąś godzinę po wyprowadzeniu ojca. Przez cały ranek pomagała Paquicie i jej matce urządzać nowe mieszkanie. Ich dom w Albaicín nie wytrzymał letnich bombardowań i dla swego bezpieczeństwa musiały się przeprowadzić. Po raz pierwszy od jakiegoś czasu Mercedes nabrała ochoty do tańca. Wracała do domu z nadzieją, że zastanie tam Antonia, który potrafił jako tako zaimprovizować melodię na gitarze. Tak bardzo chciała zatańczyć, że była gotowa nie zwracać uwagi na to, iż jego umiejętności daleko odbiegają od poziomu Javiera czy Emilia.

Concha zbierała ostatnie papiery rozrzucone po podłodze biura, gdy weszła jej córka. Mercedes natychmiast wyczuła, że stało się coś złego. Twarz matki była tak blada jak tamtej nocy, kiedy zabierano Emilia. Chwilę później Antonio wrócił do domu po zajęciach w szkole. Concha spokojnie opowiedziała im, co się stało. Wszyscy byli zrozpaczeni, ale cóż mogli zrobić.

Ignacio pojawił się późną nocą i nie zauważył, że coś jest nie w porządku. Matka właśnie zamykała kawiarnię. Gdy

powiedziała mu o aresztowaniu Pabla, wybuchnął gniewem — nie na żołnierzy, ale na własną rodzinę, przede wszystkim na Conchę.

— Po co on słuchał tego radia? — wykrzyknął. — Dlaczego mu pozwalasz?

— Nie pozwalałam mu — odparła cicho. — Nie on słuchał radia.

— Na pewno Antonio! — wrzasnął z wściekłością. — Ten rojo! Cholerny głupek! On nas wpędzi do grobu, wspomnisz moje słowa. Nic go nie obchodzi... sama wiesz. Nic go nie obchodzi!

Stał tak blisko matki, że ich twarze niemal się stykały. Wyraźnie czuła jego nienawiść.

— Antonio nie miał z tym nic wspólnego — powiedziała spokojnie. — Ja słuchałam radia.

— Ty...? — ściszył głos.

Wyjaśniła mu, że tak naprawdę to ona popełniła wykroczenie.

Ignacio nie posiadał się z wściekłości na oboje rodziców. Ojciec nie powinien był pozwalać jej na słuchanie wywrotowej stacji, a ona nie powinna była ściągać na siebie podejrzeń, walcząc o uwolnienie Emilia.

— Należało siedzieć cicho — pienił się. — Ojciec zapewne nie wiedział, że ta kawiarnia już nosi nazwę *café de los rojos*.

Nic nie można było jednak zrobić. Po kilku dniach dowiedzieli się, że Pablo Ramirez trafił do więzienia opodal Sewilli.

Zaraz po aresztowaniu Pablo został zamknięty wraz z setkami innych w kinie w pobliskim mieście. W tamtym okresie takich prowizorycznych więzień wciąż było mnóstwo, ponieważ istniejące zakłady karne nie mogły pomieścić tysięcy aresztowanych przez nacjonalistów. Niewinnych ludzi spędzano na areny do korridy, trzymano pod kluczem w teatrach, szkołach i kościołach. Republikanie dostrzegali ironię w tym, że miejsca zabawy, rozrywki, kształcenia i nawet kultu stawały się miejscami tortur i mordów.

Zawieziony do kina, przestraszony i zdezorientowany, Pablo

siedział w ciemnościach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę; ludzie spali w foyer, w przejściu i na niewygodnych drewnianych krzesłach. W takich warunkach spędzili kilka dni, a potem część z nich przewieziono do więzienia dwieście kilometrów na północ. Nikt nie zadał sobie trudu, by podać im nazwę miejscowości.

Zakład karny był przeznaczony dla trzystu więźniów, ale upchano tam dwa tysiące. Nocami leżeli w rzędach na kamiennym podłodze, ciasno obok siebie, nie mając miejsca, żeby się przekręcić na bok. Było piekielnie zimno. Gdy w zapchanej celi jeden zakaszał, budzili się wszyscy. Przy takim zagęszczeniu wystarczył pojedynczy przypadek gruźlicy, by choroba rozprzestrzeniła się jak pożar w suchym lesie.

Pabla kilkakrotnie przewożono z więzienia do więzienia, ale wszędzie obowiązywał identyczny regulamin. Dzień rozpoczynał się jeszcze przed świtem złowieszczym brzękiem kluczy i łomotem metalowych sztab, które przesuwano, żeby wypuścić ludzi z klatek. Potem był rzadki kleik na śniadanie, obowiązkowa msza, śpiewanie faszystowskich pieśni patriotycznych i długie godziny samej nudy i niewygody w lodowatej, zawszonej celi. Wieczorny obiad wyglądał jak śniadanie, z dodatkiem garstki soczewicy pływającej w cieczy; i wtedy zaczynało ich ścisnąć w żołądkach ze strachu.

Po posiłku kilku mężczyzn mamrotało pod nosem modlitwy do Boga, w którego właściwie **nie** wierzyli. Pot występował ludziom na czoła, kołatały im serca. O tej porze dyrektor więzienia odczytywał przytłumionym, monotonnym głosem **lisię** skazanych na rozstrzelanie. Musieli tego słuchać, drżąc ze strachu, gdy rozbrzmiewała pierwsza sylaba nazwiska, bo mogło paść **ich** własne. Skazańców zabierano wieczorem i **rozstrzeliwano** o świcie. Wyglądało na to, że wybór nazwisk był kwestią przypadku, jak gdyby dozorczy siedzieli wokół piecyka i ciągnęli losy, by wypełnić sobie czas.

Większość uwięzionych czuła mdłości i zarazem ulgę na myśl, że przeżyje jeszcze jeden dzień. Paru więźniów na dźwięk

swoich nazwisk zawsze traciło nad sobą panowanie, a ich nieskrywany, daremny żal wytrącał pozostałych ze stanu samozadowolenia. Następnego dnia mogła przyjść kolej na nich.

Od czasu do czasu Concha odwiedzała Pabla. Wyjeżdżała wcześniej rano i wracała o północy zmartwiona, że przyszło mu znosić takie warunki, i pełna lęku, że Emilio zmaga się z takimi samymi okropnościami. Nadal nie pozwalano jej zobaczyć syna.

Jeśli nie była w podróży, całymi dniami pracowała w kawiarni. Widząc, że matka ledwie wytrzymuje obciążenie, Mercedes przysłała jej z pomocą i przekonała się, że w nawale pracy nie myśli się o nieobecności tylu ukochanych osób.

* * *

Dowiedzieli się, że Emilia przeniesiono do więzienia koło Huelvy. Podróż do tej miejscowości była jeszcze bardziej uciążliwa niż do Kadyksu, ale w następnym miesiącu Concha wreszcie mogła wybrać się do syna. Zapakowała do koszyka jedzenie oraz najpotrzebniejsze rzeczy i ruszyła w drogę uradowana, że zobaczy Emilia, ale również pełna obaw, w jakim on będzie stanie.

Gdy dotarła na miejsce, strażnik obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

— Ramirez już nie będzie potrzebował zaopatrzenia z domu — oznajmił lodowatym tonem.

Dostała świadectwo zgonu, w którym napisano, że Emilio zmarł na gruźlicę. Długo podsyciała w sercu wątłą iskierkę nadziei, ale teraz zgasiła ją bezwzględna pewność śmierci.

Concha nie pamiętała drogi powrotnej. Otępiała i wstrząśnięta zachowywała się jak automat podczas wielogodzinnej podróży do Grenady.

Ignacio pojawiał się w domu coraz rzadziej. Rozbicie rodziny mogłoby przysparzać mu trosk, ale on dbał przede wszystkim o swoje bezpieczeństwo, więc tylko Antonio i Mercedes, jak zwykle, powitali matkę po powrocie. Poblądła twarz i bez-

barwne wargi były dostatecznie wymowne. Położyli ją do łóżka i siedzieli przy niej całą noc. Następnego dnia pokazała im świadectwo zgonu, które tylko potwierdziło ich domysły.

* * *

Kiedy Concha jechała odwiedzić męża, Mercedes sama prowadziła kawiarnię. Ale w pozostałe dni, jeśli miała trochę wolnego czasu, chodziła na Sacromonte. Jedyne taniec nadawał teraz sens jej życiu. Narażała się na niebezpieczeństwo, ponieważ w Grenadzie wprowadzono rozporządzenia ograniczające swobodę mieszkańców. Kobiety musiały ubierać się skromnie, zakrywać ramiona i nosić wysokie kołnierzyki. Ważniejszy był Jednak zakaz wykonywania „wywrotowej” muzyki, również tańczenia. Gdy władze coraz bardziej przykręcały śrubę, w Mercedes narastała ochota do tańca. Nie chciała dopuścić, by odebrano jej możliwość wyrażania wewnętrznej niezależności.

Marię Rodriguez cechowała bezgraniczna cierpliwość i niewyczerpana znajomość układów kroków, które mogła pokazywać Mercedes. Ona pierwsza dostrzegła nową głębię uczuć w tańcu tej dziewczyny. Nieobecność Javiera, śmierć Emilia oraz smutek przepelniający jej dom sprawiały, że Mercedes w niewielkim stopniu musiała wykorzystywać swą wyobraźnię, by wyrazić wzniosłe doznania i ból po stracie. Te uczucia były dla niej równie rzeczywiste jak podłoga pod stopami.

Antonio, zatroskany i chłodny, w niczym nie przypominał uśmiechniętego starszego brata z dawnych czasów. Pełnił teraz obowiązki głowy domu i martwił się o Mercedes, zwłaszcza gdy późną porą wracała z Sacromonte. Grenada stała się miastem, gdzie tańczenie było czymś niewskazany.

Nocną ciszę pogrążonego w mroku mieszkania z zawartymi okiennicami przerwał stuk cicho zamykanych drzwi. Mercedes dopuściła się występku, przychodząc tak późno, i do tego zgrzeszyła, usiłując chyłkiem wejść do domu.

Mercedes! Na miłość boską, gdzieś ty się podziewała? — rozległ się surowy szept.

Z ciemności wyłonił się Antonio. Mercedes stanęła przed nim w korytarzu, z pochyloną głową, trzymając ręce za plecami.

— Dlaczego wracasz tak późno? Dlaczego nam to robisz?

Umilkł rozdarty między całkowitą desperacją a bezwarunkową miłością do tej dziewczyny.

— Co tam chowasz? No tak, mogłem się domyślić.

Wyciągnęła przed siebie ręce. Na otwartych dłoniach balansowała para sfatygowanych czarnych butów, miękkich jak ludzka skóra i tak zdartych, że prześwitywały podeszwy.

Delikatnie ujął ją za nadgarstki i przytrzymał.

— Proszę cię, po raz ostatni proszę cię...

— Przepraszam, Antonio — powiedziała cicho, podnosząc wzrok i patrząc mu w oczy. — Nie mogę z tym skończyć. Nie mogę się powstrzymać.

— To jest niebezpieczne, *querida mia*. Naprawdę niebezpieczne.

Rozdział 19

Antonio i Ignacio opowiadali się teraz zdecydowanie po przeciwstawnych stronach konfliktu. Francisco Perez, serdeczny przyjaciel Antonia, podsunął mu myśl, że Ignacio być może miał coś wspólnego z wydaniem nacjonalistom jego ojca Luisa i brata Julia. Choć takie oskarżenie mogłoby się wydawać oburzające, Antonio nigdy nie odrzucił całkowicie tej ewentualności. Bliskie powiązania Ignacia z prawicowcami, którzy obecnie dzierżyli władzę w mieście, nie pozostawiały wątpliwości, że należy do obozu Franco. Był znaną osobą, ulubieńcem najbardziej nikczemnych sprawców niesprawiedliwości i przemocy.

Antonio wiedział, że musi zachowywać nadzwyczajną ostrożność. Ze względu na swoje poglądy i przyjaźnie z aktywnymi socjalistami narażał się na niebezpieczeństwo ze strony brata, mimo że łączyły ich więzy krwi.

Choć nacjonałiści w pełni panowali nad Grenadą, ukryte poparcie dla prawomocnego rządu republikańskiego nie osłabło i wielu mieszkańców było gotowych stawić opór dyktaturze, pod którą przyszło im żyć. W rezultacie nie tylko zwolennicy generała Franco dopuszczali się okropności podczas tej wojny. Rzeczą powszechną były mordy na ludziach podejrzanych o współpracę z armią frankistowską, a na ich ciałach często znajdowano ślady tortur.

Te zdarzenia zaczynały się niekiedy od ulicznej burdy z wyzwiskami i rękoczynami. Po krótkiej chwili już toczyła się regularna bójka z udziałem młodzieńców, którzy częstokroć razem dorastali i kopali piłkę na tej samej ulicy. Labirynty wąskich uliczek o uroczych nazwach: Silencio, Escuelas, Duquesa, dawniej miejsce wiecznych zabaw w chowanego, stały się terenem przerażających pościgów. Bramy, które w tamtych szczęśliwych czasach służyły jako tymczasowa kryjówka, mogły teraz dawać schronienie ratujące życie.

Pewnego dnia pod koniec stycznia trzydziestego siódmego roku Ignacio wraz z trójką przyjaciół spędził prawie cały wieczór przy kieliszku w barze opodal nowej areny do korridy. W tej okolicy widywało się zwolenników nowej władzy, a bar był ulubionym miejscem spotkań wielbicieli korridy, więc gdy pokazywali się tam stronnicy republikanów, mogło dojść do awantury. W rogu sali siedziała mała grupa ludzi nieznanymi większości bywalców. Zapowiadały się kłopoty. Choć nikt nie odwracał głowy i nie przyglądał się obcym, wszyscy zdawali sobie z sprawę z obecności czwórki trochę niechlujnie ubranych młodzieńców, a barman traktował ich bardzo oficjalnie i nie chciał wdawać się w rozmowę.

Koło północy cała czwórka wstała i skierowała się do wyjścia. Przechodząc obok stolika, gdzie siedział Ignacio, jeden z młodzieńców mocno trącił go w ramię. W zwykłych okolicznościach można by to uznać za przyjacielski gest, ale nie w tych czasach i nie w tym barze. Ten młody człowiek nazywał się Enrique Garcia. Chodził razem z Ignaciem do szkoły i już wtedy nie byli najlepszymi przyjaciółmi.

— Jak się miewa nasz Ignacio? — zapytał. — Co słysząc u tutejszego matadora numer jeden?

W drugim pytaniu kryło się szyderstwo, którego podtekst Ignacio natychmiast wyczuł. Insynuacje Garcii, jakoby miał związek z egzekucjami przeprowadzanymi w mieście, wprawiły go w gniew. Jego zdaniem czym innym było zwykłe przekazywanie informacji, a czym innym faktyczne zabijanie. Swej własnej żądzy krwi dawał upust na arenie.

Wiedział, że nie powinien odpowiadać na zaczepkę i dawać Garcii pretekstu do bójki, jeżeli ten przyszedł tu po to, by ją wywołać.

Giarcia górował nad Ignaciem i niczym pikador na koniu miał nad nim wyraźną przewagę. Rzadko kiedy Ignacio znajdował się w równie niepewnej pozycji. Nie mógł znieść, że ten mężczyzna stoi tak blisko niego i groźnie pochyla się, jakby zamierzał wbić mu pikę w bok. Jeśli nie chce, by poniósł go porywczy temperament, musi stąd wyjść. I to szybko.

- No dobra, na mnie już czas — powiedział spokojnie, patrząc na siedzących kręgiem przyjaciół.

Między zebranymi przeleciał szmer. Pora była zbyt wczesna, by wychodzić, ale rozumieli, dlaczego Ignacio nie może zostać. Bez słów wiedzieli, że gdyby opuścili bar razem z nim, prawdopodobnie byłoby to uznane za przejaw agresji. Nie ulegało wątpliwości, że Ignacio powinien się stąd wymknąć, a wtedy sytuacja być może się rozładuje.

W mgnieniu oka znalazł się na ulicy. Mimo wczesnej pory była pusta. Trzymając ręce w kieszeni, poszedł z wolna Calle de San Jerónimo w stronę katedry. Noc była wilgotna, w mętym świetle latarni gazowych lśniły kamienie brukowe. Ani myślał przyspieszać. W pewnej chwili wydawało mu się, że słyszy stąpanie, więc odwrócił głowę, ale nikogo nie zauważył. Wobec tego poszedł dalej, nie zamierzając ani trochę dodać kroku. Niemal przy końcu ulicy skręcił ostro w prawo, w stronę jednej z najruchliwszych ulic miasta.

I właśnie na tym rogu poczuł silne uderzenie w kark. Napastnik czekał na niego w bramie, przekonany, że jego ofiara tamtędy będzie wracać do domu. Od tego ciosu Ignacio zatoczył się i wpadł do rynsztoka. Zgiął się wpół z bólu, wzrok mu się zmącił, żołądek podszedł do gardła. Drugi raz dostał między łopatki. Przerazony najbardziej bał się uszkodzenia przystojnej twarzy — uniósł głowę i zobaczył, że zbliża się do niego jeszcze trzech mężczyzn. Wyszli z ulicy Santa Paula, równoległej do San Jerónimo, i wtedy zorientował się, że wpadł w starannie zastawioną pułapkę.

W tej sytuacji pozostało mu tylko jedno: ucieczka. Napędzany przyływem adrenaliny puścił się biegiem. Nigdy dotąd nie wykorzystał z takim pożytkiem kondycji wyrabianej do walki z bykami. Skręcał na oślep, to w lewo, to w prawo, gubiąc się w uliczkach, które doskonale znał od dzieciństwa. Widział jak przez mgłę, ale patrzył pod nogi, żeby się nie potknąć. Choć noc była zimna, czuł, że jest cały mokry.

Chcąc złapać oddech, przykucnął w bramie. Zorientował się, że koszula przesiąkła nie potem, lecz szkarłatną krwią spływającą po plecach. Był uzbrojony, jak zwykle nosił przy sobie nóż z kościaną rączką, a ponieważ nigdy nie miał sposobności go użyć, sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, by się upewnić, że wciąż tam jest. Myślał teraz tylko o tym, żeby dotrzeć do domu, ale gdy spróbował się podnieść, nie mógł ustać na nogach.

Czuł się jak zaszczute zwierzę i wiedział, że ma niewielką szansę ująć cało prześladowcom niewątpliwie dysponującym ostrzejszymi narzędziami niż on. Przyszła mu do głowy myśl, żeby schować się gdzieś, aż tamci zrezygnują z pościgu. Zdarza się czasem, choć rzadko, że przewodniczący korridy okazuje pobłażliwość i darowuje bykowi życie, gdy ten odznacza się wyjątkową walecznością. Ignacio modlił się, żeby ci czerwoni dali mu spokój, uznawszy, że zgubił pogoń. Być może taką samą nadzieję żywił byk, licząc na ocalenie w ostatniej chwili.

Gdy tego wieczoru poszedł do baru, był równie nieświadomy tego, co go czeka, jak byk, który wbiega na arenę. Ci lewicowcy wszystko zaplanowali, uprzytomnił sobie. Niczym posiadacze biletów na korridzie sądzili, że znają końcowy rezultat. Cały wieczór przeżywał teraz ponownie jak kolejne fazy korridy i gdy siedział skulony w bramie, mocno napiął wszystkie mięśnie, by wytrzymać ostatni, nieunikniony cios. Miał przed oczami chwilę prawdy, która przychodziła dla zwierząt zmuszanych przez niego do uległości, i wiedział, że jego koniec jest równie nieuchronny i oczywisty jak wynik tego rytuału. Tkwił w potrzasku, niczym byk na arenie, od chwili, gdy szturchnął go Garcia, do chwili, gdy dostał cios w plecy.

Być może taka była ostatnia zborna myśl Ignacia, zanim zaczął tracić przytomność. Leżąc bezwładnie w bramie, mógł wyglądać w oczach przypadkowego przechodnia jak śpiący żebrak. Dostrzegł jeszcze niewyraźne sylwetki dwóch zbliżających się osób. Na tle zamazanego, szybko gasnącego światła ich głowy były otoczone aureolą światła latarni. Może anielskie mioty przychodzą mu z pomocą.

Na ulicy o nazwie Paz Garcia chwycił go za kurtkę i szybko zadał cios nożem w pierś. Niepotrzebnie. Nie można zabić martwego człowieka.

Wyciągnęli go za kostki na środek jezdni, żeby wczesnym świtem znaleziono ciało; takie zabójstwo było nie tylko szczególnym aktem zemsty, lecz miało również istotne znaczenie propagandowe. Na ciało Ignacia spoglądał święty stojący we wnęce w ścianie pobliskiego kościoła. Szeroki pas czerwieni znaczył drogę od kryjówki Ignacia. Strużka krwi wiła się między brukowcami. Do rana wszystko miał zmyć deszcz.

W kościele wyciekała krew ze schludnie przebitego boku figury Chrystusa; na zewnątrz uleciało życie przez prymitywne cięcie na szyi zadane prawdziwemu człowiekowi.

O świtaniu wiadomość dotarła do El Barril. Na dźwięk łomotania w drzwi natychmiast ożyło w pamięci Conchy wspomnienie aresztowania Emilia. Od tamtej nocy niemal przed pół roku prawie nie zmrużyła oka, a gdy już zapadła w niespokojny sen, budził ją najlżejszy hałas: stuk okiennicy ulicę dalej, przewracanie się kogoś z jej dzieci na łóżku, skrzyknięcie na schodach lub stłumione kasłanie.

Wysłano Antonia, żeby zidentyfikował zwłoki. Nie znaczyło to, że tożsamość zmarłego wywoływała jakiegokolwiek wątpliwości. Był pokiereszowany, ale jego przystojna twarz nie ucierpiała.

* * *

Ignacio, ubrany w swój najpiękniejszy strój matadora, został przewieziony karawanem ciągnionym przez konia z kostnicy na cmentarz znajdujący się na wzgórzu ponad miastem. Antonio

szedł na czele orszaku żałobników. Mercedes resztkami sił podtrzymywała wątłą matkę.

Każdy krok kosztował Conchę Ramirez wiele wysiłku, jakby na własnych plecach niosła trumnę. Gdy zbliżała się do bramy cmentarnej, z całą wyrazistością uświadomiła sobie niezbity fakt: jej dwaj synowie nie żyli. Do tej pory mogła trzymać się resztki nadziei, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. To nie było miejsce, do którego chciała dotrzeć. Za nimi szli przyjaciele, w milczeniu, z pochylonymi głowami, ze wzrokiem wbitym w zabłocone buty odciskające się na mokrej drodze.

Na pogrzeb przybyło sporo ludzi. Za trumną szli, oprócz rodziny, wszyscy wielbiciele korridy mieszkający w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Grenady, a nawet z dalszych stron. Kariera, jaką zrobił Ignacio, była krótka, ale wybitna — szybko skupił wokół siebie szerokie grono zwolenników. W orszaku żałobnym znajdowało się wiele kobiet, wśród nich zwykle, bezimienne adoratorki oraz równie liczne dziewczyny, które kochał przez kilka dni albo tylko jedną noc. Przyszła także jego kochanka Elvira razem z mężem Pedrem Delgado, który chciał pożegnać jednego z najznakomitszych młodych toreadorów w Andaluzji. Delgado starał się nie zwracać uwagi na łzy płynące niepohamowanie po policzkach żony, po pewnym czasie zauważył jednak, że gdyby nie płakała, wyróżniałaby się spośród kobiet.

Grób oznaczono kamieniem, na którym widniał napis: *Tu familia no te olvida*. Pochowano jednego człowieka, ale żalu starczyłoby na dwóch. Wszyscy Ramirezowie płakali gorącymi łzami. Concha rozpacziała po stracie nie jednego, lecz dwóch wspaniałych synów, opłakiwała ich tak samo i jednakowo gorzko. Zarówno Emilio, jak i Ignacio doświadczali swych rodziców do granic wytrzymałości, ale teraz nikt nie przywiązywał do tego wagi.

Żal po stracie Emilia był równie świeży w ten szary styczniowy dzień jak tamtego dnia, gdy zabrano chłopca z domu, i wydawało się, że przy braku ciała żałoba Conchy może trwać

wiecznie. Ta ceremonia miała podwójne znaczenie: została odprawiona ku czci drugiego i trzeciego dziecka.

Choć i Antonio, i Mercedes byli zdruzgotani śmiercią braci, przytłaczał ich ogrom bólu matki. Przez wiele dni Concha nie jadła, nie odzywała się i nie spała. Wydawało się, że nic nie wyrwie jej z katatonii. Przez długi czas nie sposób było nawiązać z nią kontaktu.

Ramirezowie doznali podwójnego nieszczęścia, tracąc najbliższych po obu stronach konfliktu politycznego. Osłupieli, **ŻE** dotknął ich tak straszliwy cios. Przez następne tygodnie żyli w stanie wstrząsu i otępienia, niepomi, że tak się dzieje w całym kraju. Na razie żadne to było pocieszenie, że nie tylko ich rodzina doświadcza takiej tragedii.

Rozdział 20

Minęły rzeńskie styczniowe dni i nastał wilgotny luty, który przykrył miasto płaszczem szarości. Słońce ledwie przebijało się przez chmury, a góry Sierra Nevada zniknęły we mgle. Grenada jakby nie miała łączności ze światem zewnętrznym.

Dojmujący smutek w rodzinie Ramirezów z wolna przechodził i w końcu wszyscy musieli podjąć codzienne trudy przetrwania w kraju, gdzie toczyła się wojna domowa. Kawiarnia wyglądała na zaniedbaną. Starania Conchy, by utrzymać czystość i porządek, okazały się żałośnie niewystarczające. Nawet gdyby podołała tej pracy sama, wyczerpywał ją niepokój o męża, a ponadto osłabiała ciągle poczucie straty po śmierci Ignacia i Emilia.

Braki żywności pojawiały się coraz częściej. Każdego dnia trzeba było zdobywać jedzenie dla rodziny i zaopatrywać El Barril. Kawiarnię miały dostać w spadku dzieci i dlatego jej przetrwanie stało się teraz głównym celem działań Conchy. Starła się nie patrzeć niechętnym okiem na zażywnych właścicieli okazałych rezydencji na ulicy Paseo del Salon, którzy najwyraźniej zawsze mieli jedzenia pod dostatkiem, podczas gdy inni wystawali wówczas w kolejkach i byli niedożywieni.

Wydarzenia ostatnich kilku miesięcy sprawiły, że Mercedes mniej koncentrowała się na sobie i bez prośzenia pomagała

matce. Ale w głębi duszy była przygnębiona daremnością swoich poczynań. Podawanie gościom kawy i mocnego koniaku w małych kieliszkach wydawało jej się czasem zajęciem tak bezsensownym, że nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć tego matce.

— Masz rację, Merche — usłyszała w odpowiedzi. — Ale ludziom przypomina się normalne życie. Może obecnie to im wystarcza.

Krótkie chwile spędzone na pogawędkach w zatłoczonej kawiarni były jedynym łącznikiem z przeszłością, kiedy to panował pokój, z „dawnymi czasami”, jak zaczęto mówić. Rzeczywistość jawiła się Mercedes raczej ponuro. Nagie drzewa stały jak szkielety na ulicach i placach. Z miasta stopniowo znikali ludzie, na których jej zależało. Nadal nie przyszła wiadomość od Javiera.

Pewnego ranka Concha przyglądała się, jak córka zamiata kawiarnię: powoli, starannie przesuwa okruszki i podarte serwetki na środek sali; rysuje idealnie równe, niewidzialne łuki na podłodze, wykonując koliste ruchy biodrami. Miała na sobie ręcznie dziergany sweter z podwiniętymi rękawami, a pod skórą zaciśniętych na szczotce rąk prężyły się mięśnie. Concha była przekonana, że dziewczyna przeniosła się gdzieś wyobraznią. Niewątpliwie tańczyła. Słuchała muzyki Javiera.

Mercedes od dzieciństwa żyła w świecie marzeń, a teraz jedynie dzięki marzeniom mogła znieść takie życie. Czasem zastanawiała się, czy tak już będzie do końca jej dni. Niewątpliwie tylko w ten sposób dawało się przetrwać te przekłete czasy. Podniosła głowę, czując na sobie wzrok matki.

Dlaczego się na mnie patrzysz? — zapytała z nadąsaną miną. — Żle sprzątam?

Skądże — odparła Concha, słysząc rozzalenie w jej głosie. — Świetnie ci idzie. Twoja pomoc dużo dla mnie znaczy.

Nie cierpię tej roboty. W każdej sekundzie każdej minuty każdej godziny każdego dnia — rzekła poirytowana i cisnęła szczotkę w kąt.

Gdy wysunęła drewniane krzesło spod stolika, Concha zrobiła krok w tył, sądząc, że krzesło poleci w ślad za szczotką.

Ale Mercedes usiadła wyczerpana. Oparła łokcie na blacie i ujęła głowę w dłonie. Dzielnie dawała sobie radę z nieszczęściami, które dotknęły jej w ostatnich kilku miesiącach, ale naraz straciła siły, by dłużej ukrywać swoje uczucia.

Dziewczyna miała wystarczająco dużo powodów do płaczu. Dwóch z jej ukochanych braci nie żyło, ojciec siedział w więzieniu, a Javier, który rozpalił w niej miłość ponad wszelkie wyobrażenie, przepadł. Nawet Concha nie oczekiwała, że córka będzie rozmyślać o tym, co jej pozostało. Teraz lamentowało się nad tym, co zostało zabrane. Z wdzięcznością za doznane łaski można było poczekać.

Jeden ze stałych gości pojawił się w drzwiach i zaraz się wycofał, widząc, że to nieodpowiednia pora na codzienną *café con leche*.

Concha podsunęła sobie krzesło bliżej córki i objęła ją ramieniem.

— Moja biedna Merche — szepnęła. — Biedne dziecko.

Mercedes zawodziła tak głośno, że ledwie słyszała słowa matki.

Choć Concha nie miała wpływu na sytuację, w jakiej się znaleźli, dręczyło ją głębokie poczucie winy, że w ten sposób toczy się życie córki. Widząc, że zostało pozbawione sedna, rozumiała jej smutek i niespełnienie. Choć starały się żyć w miarę możliwości normalnie, na ich twarzach i na twarzach wszystkich mieszkańców Grenady było wypisane, jakim wysiłkiem to okupili. Dręczył ich strach przed funkcjonariuszami Guardia Civil, przed żołnierzami armii nacjonalistycznej i przed nieokiełznanymi językami sąsiadów. Wszystkim ciążyło panujące w mieście napięcie.

Concha instynktownie chciała zatrzymać córkę w czterech ścianach tego ciemnego, wyłożonego boazerią pomieszczenia i chronić ją przed niebezpieczeństwami poza nim. Ale od czasu gdy zabrano stąd jej męża i syna, miała wrażenie, że dom nie daje już takiej ochrony, jaką niegdyś w oczywisty sposób dawał

całej rodzinie. Obie kobiety wiedziały, jak złudne jest jego ciepło i bezpieczeństwo. I dlatego Concha wypowiedziała słowa, które pozostawały w sprzeczności ze wszystkim, co podsuwał jej instynkt macierzyński.

— Musisz go odszukać.

Mercedes spojrzała na matkę ze zdumieniem i z wdzięcznością.

— Javiera — dodała stanowczo Concha, jakby można było nie domyślać się, o kim mówi. — Musisz spróbować go odnaleźć. Sądzę, że czeka na ciebie.

W sekundę Mercedes podjęła decyzję i w ciągu kilku minut się wyszykowała. Pragnienie, by znów zobaczyć Javiera, było silniejsze niż obawy przed odbyciem podróży samotnie. Pobiegła do pokoju, żeby zabrać płaszcz i chustkę. Włożyła zdjęcie swego gitarzysty do torebki i w ostatniej chwili zobaczyła wystające spod łóżka buty do tańca. Bez nich nie pojadę, pomyślała, podnosząc je z podłogi. Kiedy znajdzie Javiera, na pewno będzie ich potrzebowała.

Concha prawie kończyła sprzątać kawiarnię, gdy Mercedes zeszła na dół.

- Posłuchaj, wiem, że ojciec byłby niezadowolony, że ci pozwalam... Tak chyba nie należy robić...

- Proszę cię, nie wycofuj się — jęknęła błagalnie. — Niedługo wrócę... Życz mi powodzenia.

Concha z trudem przełknęła ślinę. Nie mogła okazać, jak bardzo się martwi. Szybko uścisnęła Mercedes i wręczyła jej trochę pieniędzy. Wiedząc, że córka jeszcze nic nie jadła tego dnia, dała jej na drogę kawałek chleba i ser zawinięty w papier woskowany. Ani jednej, ani drugiej nie przeszły przez gardło słowa „do widzenia”.

Gdy dzwony w pobliskim kościele Santa Ana wybijały dwunastą, Mercedes wyszła szybkim krokiem z kawiarni.

Concha wróciła do swoich zajęć. Każdy pomyślałby, że jest to dla niej normalny dzień pracy.

* * *

Sprawy związane z prowadzeniem kawiarni tak absorbowały Conchę, że przestała zwracać uwagę na poczynania Antonia. Mając na głowie tyle trosk, uważała, że jej pierworodny należy do nielicznych osób, o które nie musi się martwić. Szkoły znów otwarto, więc sądziła, że syn wraca do domu późnym wieczorem, ponieważ siedzi w szkole i przygotowuje się do lekcji. Tak naprawdę Antonio spędzał cały wolny czas z Salvadorem i Franciskiem.

Dla El Muda cisza nigdy nie oznaczała samotności. Ludzi pociągały pełne ekspresji oczy i doskonale rysy twarzy tego chłopca. Dziewczyny szukały zaspokojenia w jego ramionach i nigdy nie doznawały zawodu; jego delikatność i zrozumienie ich potrzeb wzmagała niemożność mówienia i słyszenia. Kobiety uwielbiały go tym bardziej, że po opuszczeniu jego sypialni nie dźwięczały im w uszach zapewnienia o miłości, nie rozwiewały się nadzieje rozbudzone na próżno w gorączce nocy. Jego dwaj przyjaciele czuli respekt i podziw, widząc, jakie ma powodzenie.

Chłopcy często odnosili wrażenie, że są obiektem ciekawości. Przyciągali uwagę nieznanym, zafascynowanych widowiskiem, jakie stanowiła ich szalona gestykulacja. Ludzi spoza miasta, zazwyczaj przekonanych, że cała trójka nie słyszy albo nie mówi, bawiło zachowanie chłopców podobne do gry mimów i intrygował bezgłośny świat, w jakim żyli. Dla miejscowych widok Antonia, Francisca i Salvadora, kipiących niemą radością w kącie kawiarni, był czymś zwyczajnym. Gdy spotykali się we dwóch, zawsze grali w szachy.

Nawet po zakończeniu nauki w szkole nadal widywali się niemal codziennie w tej samej kawiarni, gdzie w dzieciństwie zajadali lody. Gdy weszli w dorosłość, wyznawali te same ideały i mieli przekonania socjalistyczne, które jeszcze bardziej zbliżyły ich do siebie. Braterstwo krwi, które przysięgli sobie jako ośmiolatki, nigdy nie zostało ani odrobinę podważone. Dla całej trójki socjalizm był jedyną możliwą drogą do zbudowania sprawiedliwego społeczeństwa. Znali kilku radykałów

w mieście, lewicowych prawników i nielicznych polityków, zaglądali do barów, gdzie bywali tamci, i krążyli wokół każdej grupy ludzi rozmawiających o polityce.

Tego wieczoru zdążyli już omówić ten sam temat co zwykle, po raz setny przedyskutowali wydarzenia w Grenadzie, gdzie wciąż wyłapywano na chybił trafił zwolenników republiki. Nagle Salvador powiedział na migi kolegom, że powinni uważać na dwóch mężczyzn siedzących w rogu kawiarni. Ponieważ był głuchy, z mimiki potrafił odgadnąć więcej, niż to się udawało większości ludzi, i dlatego podejrzewano go czasem, że posiada nadnaturalną moc czytania w myślach. W istocie rzeczy robił to, co potrafi każdy: zauważał nieznaczne zmiany wyrazu twarzy i umiał wyczuć choćby cień zakłopotania. Wnioski, które wyciągał, były precyzyjne i bezbłędne.

- Uwaga — mignął. — Tu nie wszyscy podzielają nasze poglądy.

Zazwyczaj rozmawiali ze sobą, mając poczucie całkowitej prywatności, ale zdarzało się również, że Salvador wyczuwał baczne, nieprzyjazne spojrzenia. Takie wrażenie odniósł tego wieczoru. Ostatecznie nie był jedynym *sordomudo* w Grenadzie, inni też mogli znać język migowy.

- Idziemy — powiedział Antonio, uznając, że powinni omawiać swój plan gdzie indziej.

Wszyscy trzej wstali od stolika, położywszy pod popielniczką kilka peset za piwo.

Po kilku minutach znaleźli się z powrotem w mieszkaniu Salvadora. Zdeterminowany podsłuchiwacz, nawet gdyby przytknął ucho do ciężkich drzwi, miałby trudności, żeby usłyszeć coś więcej niż sporadyczne szelesty. Salvador mieszkał teraz sam. Jego matka i babka wyjechały do ciotki na wieś przed puczem wojskowych i potem już nie wróciły do Grenady. Ojciec umarł, gdy chłopak miał jedenaście lat.

Salvador sprzątnął ze stołu mnóstwo filiżanek i talerzy i wszyscy usiedli. Postawił garnek z wodą na kuchence gazowej, a potem znalazł małą paczkę kawy. Francisco wykorzystał od

razu jeden z brudnych talerzy jako popielniczkę. Kłęb dymu szedł pod wysoki sufit i przywierał do pożółkłych ścian.

Zebrali się przy stole, żeby opracować wspólnie plan działania, ale nie czuli się swobodnie nie tylko dlatego, że sąsiad, księgowy o mizernej twarzy, wyjrzał zza drzwi, gdy mijali jego mieszkanie — przede wszystkim mieli pretensje do siebie nawzajem. Należało oczyścić atmosferę.

Podobnie jak inni przeciwnicy generała Franco cała trójka uważała, że przeciwstawienie się puczowi w Grenadzie przerasowało realne możliwości mieszkańców. Miasto, ostoją sił konserwatywnych, przyjęło oddziały nacjonalistów niemal z otwartymi ramionami. Obecnie było już za późno na jakiegokolwiek działania, gdyż okazanie wrogości wobec nowej władzy równało się z samobójstwem.

Choć ludzie Franco śmiało rządili w Grenadzie, nie oznaczało to, że przeciwnicy *alzamiento*, czyli powstania, zachowywali bierność. Francisco z pewnością nie siedział beczynnie. Gdy dowiedział się, że ojcu i bratu postawiono błahy zarzut posiadania legitymacji związków zawodowych, natychmiast postanowił pomścić ich śmierć. Wszystko jedno jak, byle utoczyć krwi nacjonalistom. Mimo że w Grenadzie faszyci sprawowali rządy żelazną ręką, na okolicznych terenach wiejskich ich władza jeszcze się nie ugruntowała. Francisco uczestniczył w akcjach oporu i działaniach wywrotowych. W niektórych miejscowościach zbuntowane garnizony Guardia Civil zostały łatwo pokonane i gdy już usunięto je z drogi, pojawiło się wielu młodych mężczyzn, którzy chcieli wyładować swój gniew na popierającym Franco ziemiaństwie i duchowieństwie.

Robotnicy rolni i członkowie związków zawodowych zabrali się do kolektywizowania wielkich majątków i wdarli się do magazynów właścicieli ziemskich. Na zewnątrz stali niedożywieni wieśniacy rozpaczliwie potrzebujący nakarmić swoje rodziny. Byki, hodowane i wypasane na najlepszych pastwiskach, zostały zabite na mięso, którego wielu chłopów po raz pierwszy od lat miało okazję posmakować.

Francisco rozlewał krew nie tylko byków. Dopuszczano się również gwałtów na ludziach. Księża i obszarnicy razem z rodzinami ponosili, zdaniem wielu zwolenników republiki, zasłużoną karę.

Antonio, który trwał przy ideałach sprawiedliwości i uczciwości, wzdragał się przed takimi działaniami podejmowanymi impulsywnie, w sposób nieskoordynowany.

- Przynoszą więcej szkody niż pożytku — powiedział bez ogródek, pełen odrazy i zarazem podziwu na myśl, jakich czynów może dopuścić się jego przyjaciel. — Dobrze wiesz, co oznacza dla faszystów wasze zabijanie księży i palenie zakonnic, prawda?

Doskonale wiem, co to dla nich oznacza — odrzekł Francisco. — Że traktujemy sprawę poważnie. Że zamierzamy wygonić ich z kraju, a nie stać z boku i czekać, aż nas stłamszą.

Faszystom nie zależy na tych starych klekach i gromadzie zakonnic. Natomiast zdecydowanie zależy im na czym innym. Wiesz na czym?

Na chwilę porzucił język migowy. Czasem miał kłopot z wyrażaniem myśli w ten sposób. Salvador przyłożył palec do ust, każąc mu się uciszyć. Bardzo możliwe, że ktoś podsłuchiwał pod drzwiami.

Na czym? — zapytał głośno Francisco, nie mogąc zmusić się do mówienia szeptem.

Pragną uzyskać pomoc z zagranicy i wykorzystują wasze akcje do osiągnięcia celów propagandowych. Nie rozumiesz tego, głupcze? Za każdego zabitego księdza dostają pewnie kilka oddziałów zagranicznych żołnierzy. Tego chcecie?

Ledwie panował nad swoimi uczuciami i głosem. Wiedział, że mówi jak belfer, mentorskim tonem, nawet z wyższością, a przy tym, jak podczas lekcji w klasie, był całkowicie przekonany o prawości swego postępowania. Musiał uświadomić przyjacielowi istotę rzeczy. Rozumiał, że Francisco chce zaspokoić żądzę krwi i działania, ale zależało mu na tym, żeby te emocje zostały dobrze wykorzystane, nie przyniosły skutków

odwrotnych do zamierzonych. Uważał, że należy zachować energię do przeprowadzenia ataku na nieprzyjaciela zjednoczonymi siłami. To była dla nich wszystkich jedyna szansa.

Francisco siedział w milczeniu. Antonio nadal robił mu wykład — mimo protestów Salvadora, żeby dał spokój przyjacielowi — ale wrócił do języka migowego.

— Jaka twoim zdaniem będzie reakcja Włoch? Co powie papież na wiadomość o losie tutejszych księży? Nic dziwnego, że Mussolini wysyła wojsko na pomoc Franco! Takie akcje nie zwiększają naszych szans wygrania tej wojny, tylko je zmniejszają! Nie zjednują ludzi dla sprawy republiki.

Francisco nie miał wyrzutów sumienia. Nawet jeśli racja była po stronie Antonia i ich akcje spotykały się z odwetem, on sam pozostawał przy zdrowych zmysłach, mogąc doznać chwilowej ulgi przy pociąganiu za spust. Miał ogromną satysfakcję, gdy obiekt, do którego starannie wycelował, zginał się wpół i powoli osuwał na ziemię. Za dziesiątym razem poczuł, że pomścił ojca i brata.

Choć Antonio starał się tymi słowami przekonać starego przyjaciela, w pewnej mierze gardził sobą za to, że siedzi beczynnienie. Jego rodzina została rozbita, bracia nie żyją, ojciec przebywa w więzieniu — i co on sam w związku z tym uczynił? Choć nie aprobował metod Francisca, w głębi duszy zazdrościł mu, że ma krew wroga na rękach.

Salvador poparł stanowisko Antonia.

— No i jeszcze ta masakra na więźniach — mignął. — Też nie pomogła naszej sprawie.

Z tym Francisco musiał się zgodzić. Przyznawał, że rozstrzelanie w Madrycie osadzonych w więzieniu nacjonalistów było okropnością i nie dawało powodu do dumy. Jak podkreślił Antonio, nacjonałiści wykorzystali to wydarzenie, żeby pokazać barbarzyństwo lewicy, i w rezultacie republikanie zapłacili wysoką cenę, nie uzyskawszy tak potrzebnego im wsparcia.

Niezależnie od różnic poglądów jedno ich teraz połączyło. Wszyscy trzej byli gotowi wydostać się z więzienia, jakim stała

się Grenada; nie zamierzali dopuszczać się pojedynczych aktów okrucieństwa, lecz planowali uczestniczyć w bardziej skoordynowanych działaniach.

- Bez względu na to, co nas łączy, a co dzieli, nie możemy tu tkwić, prawda? — powiedział stanowczo Francisco. — Grenada jest już stracona, ale nie cała Hiszpania. Popatrzcie na Barcelonę!

- Tak, masz rację. Jeszcze Walencja, Bilbao, Cuenca... I inne miasta. Stawiają opór. Nie możemy tu siedzieć.

Przez republikańskie tereny, które znalazły się pod kontrolą faszystów, przelewała się wbrew wszystkiemu fala nadziei na zgniecenie powstania. Ludzie dopiero co zaczęli stawiać opór oddziałom generała Franco. Z czasem zdołają się zorganizować.

Salvador, przysłuchując się z zaangażowaniem i machając rękami na zgodę, wypowiedział na migi słowo, które jeszcze nie padło:

Madryt.

Antonio nie wspominał o stolicy, wymieniając walczące miasta. Tam musieli się udać. Symbolicznego serca Hiszpanii trzeba było bronić za wszelką cenę.

Madryt leżący czterysta kilometrów na północ od mieszkania Salvadora, gdzie siedzieli teraz w półmroku, był oblegany. Jeśli gdziekolwiek należało opierać się faszystom, to właśnie tam. Jesienią zeszłego roku powstała Armia Ludowa, która miała scałić oddziały dochowujące wierności republice i razem z ochotniczymi jednostkami milicji stworzyć jakiś jednolity front posiadający centralne dowództwo. Trójka przyjaciół pragnęła przyłączyć się i wziąć udział w walkach. Jeśli nie wyruszą wkrótce, może być za późno.

Od kilku miesięcy Antonio przesiadywał w mieszkaniu Salvadora, korzystając z radia nastawionego tak cicho, że tylko jedna osoba mogła coś usłyszeć, jeśli przytknęła ucho do odbiornika, i wyłapywał wiadomości o sytuacji w Madrycie. Oddziały generała Franco ostrzeliwały stolicę od listopada, ale wspierane radzieckimi czołgami miasto się trzymało, zaskakując

nacjonalistów silnym oporem. Krążyły jednak pogłoski, że niedługo ma dojść do wielkiej bitwy.

Antonio i jego przyjaciele stali z boku i patrzyli, jak ich własne miasto przeszło w ręce faszystów, ale teraz doskonale rozumieli, co by to oznaczało, gdyby Madryt podzielił los Grenady. Nadeszła pora działania. Musieli wyjechać. Należało powstrzymać Franco. Słyszeli o młodych ludziach z całej Europy: Anglii, Francji i nawet z Niemiec, którzy przybywają, by walczyć dla sprawy. Myśl, że tę wojnę toczą za nich cudzoziemcy, pobudzała ich do czynu.

Przez kilka ostatnich dni Antonio nie przestawał myśleć o tym, że Franco ma coraz większą władzę w Hiszpanii i jego wojsko niepowstrzymanie zagarnia kolejne regiony. Znaczny opór, jaki napotykało na północy, dawał republikanom pewne nadzieje. Jeśli teraz wszyscy bardziej nie włączą się do walki z faszyzmem, każdy z nich może będzie ubolewał nad swoją biernością do końca życia.

— Musimy ruszać — powiedział Antonio. — Już czas.

Podjąwszy stanowczą decyzję, poszedł do domu, żeby przygotować się do wyjazdu.

Rozdział 21

Gdy Antonio szedł do matki, by powiadomić ją o swoich planach, Mercedes była od kilku godzin w drodze. Opuściwszy Grenadę, wybrała trasę przez góry, a nie główną drogę na południe, sądząc, że tam napotka mniej ludzi. Choć w lutym szczyty wciąż pokrywała pokaźna warstwa śniegu, Mercedes zdjęła gruby wełniany płaszcz. Tego dnia szła pięć godzin i czuła, że jest jej aż za ciepło, pominąwszy zmarznięte z braku rękawiczek palce.

Krótki odcinek między Ventas a Alhamą przejechała wozem. Jakiś stary rolnik wracał właśnie z targu, gdzie sprzedał dwa niziny kurcząt, i miał wolne miejsce dla pasażera. Cuchnął zwierzętami gospodarskimi, więc musiała ukrywać obrzydzenie, jakie wzbudzał w niej smród tego mężczyzny i siedzącego między nimi kundla. Mimo to czuła, że jest coś pokrząpiająco normalnego w tym, że jedzie wozem, siedząc obok ogorzałego człowieka o dłoniach czerwonych z zimna, pokrytych siatką głębokich skaleczeń i zadrapań.

Kok w rok spędzała część lata na wsi pod Grenadą, a odwiedziny u wujostwa w górach pozostawiły miłe wspomnienia z dziecięcych lat. Mercedes zachowała w pamięci widoki drzew, które przyciągały wzrok zielenią liści, i łąk kokietujących polnymi kwiatami. Ale zimową porą było tu zimno i pusto.

Szarobrązowe pola czekały na wiosenny siew, drogi były kamieniste i zryte koleinami. Muły co rusz ślizgały się na nieutwardzonej powierzchni pokrytej łupkami, przez co szły wolniej niż zazwyczaj. Słabe popołudniowe słońce w ogóle nie grzało.

Mercedes wiedziała, że nie może nikomu ufać, więc nie wdawała się zbyt w rozmowę, a na pytania starca odpowiadała monosylabami. Wyjawiała mu tylko to, że pochodzi z Grenady i jedzie odwiedzić ciotkę, która mieszka na wsi pod Malagą.

Mężczyzna również nie darzył jej zaufaniem i niewiele mówił o sobie.

Raz zatrzymał ich patrol Guardia Civil.

— Cel podróży? — zapytał stanowczo funkcjonariusz.

Mercedes wstrzymała dech. Spodziewała się, że coś takiego się wydarzy, ale w konkretnej sytuacji miała sucho w ustach.

— Wracamy z córką do naszego gospodarstwa w Periana. Byliśmy na targu w Ventas — powiedział pogodnie gospodarz. — Kurczaki szły dzisiaj po dobrej cenie.

Nie było powodu, by podejrzewać go o kłamstwo. Pusta klatka, lekki zapach kurzych odchodów, dziewczyna. Machnęli ręką na znak, żeby jechał dalej.

— *Gracias* — powiedziała spokojnie Mercedes, gdy funkcjonariusze już nie mogli ich usłyszeć.

Spojrzała w dół na wyboistą drogę, która przesuwała się pod dużymi drewnianymi kołami. Uznała, że mimo to nie wolno jej zaufać temu mężczyźnie i musi trzymać się nieprawdziwych faktów, nawet jeśli ten człowiek wygląda teraz na przyjaciela i wie, że jest jej potrzebna ochrona.

Jechali może jeszcze godzinę do miejsca, gdzie rolnik musiał skręcić. Jego gospodarstwo znajdowało się wysoko na wzgórzach. Wskazał ręką zalesiony teren na horyzoncie.

— Chcesz zatrzymać się u nas na noc? Znajdzie się ciepłe łóżko, a żona zrobi niezłą kolację.

Była tak zmęczona, że przez chwilę kusiła ją ta propozycja. Ale co oznaczało to zaproszenie? Choć potraktował ją życzliwie, nie miała pojęcia, kim jest ten człowiek, czy rzeczywiście ma żonę, i nagle wyraźnie poczuła, że jest całkowicie bezbronna. Musi dotrzeć do Malagi.

- Dziękuję, ale powinnam iść dalej.

W takim razie weź to — rzekł, sięgając za siedzenie. — Nic będzie mi potrzebne. Za jakąś godzinę będę zjadał się kolacją przygotowaną przez żonę.

Stojąc na drodze i patrząc w górę, wzięła od niego niewielki jutowy worek. Wyczuła w środku pokrępiający kształt małego bochenka chleba i wiedziała, że następnego dnia pomyśli o tym człowieku z wdzięcznością. Prawie skończyło jej się jedzenie, które poupychała po kieszeniach, więc z radością przyjęła nowy zapas.

Gospodarz najwyraźniej nie był urażony, że odrzuciła zaproszenie. Mercedes czuła jednak, że postąpiła słusznie, nie rozmawiając z nim szczerze. W tych czasach nie można było mieć pewności względem osób znajomych, a co dopiero nieznajomych. Życzyli sobie wszystkiego najlepszego i wkrótce męczyzna zniknął jej z oczu.

Znów była sama. Rolnik powiedział jej, że jakieś pięć kilometrów stąd biegnie główna droga do Malagi, wobec tego postanowiła dojechać tam i dopiero wtedy odpocząć. Jeśli nie będzie wyznaczała sobie takich celów, nigdy nie dotrze na miejsce.

Była może szósta wieczorem, już zmierzchało, gdy drogi się przecięły. Mercedes burczało w brzuchu z głodu. Usiadła na ziemi, oparła się o duży kamień i sięgnęła do woreczka. Prócz bochenka chleba znalazła trochę ciasta i pomarańczę.

Oderwała kawałek suchego już i kruszącego się chleba i wolno żuła, popijając wodą. Całkowicie skupiona na zaspokojeniu głodu na pewien czas zapomniała, gdzie się znajduje.

Nic nie wiedząc, w jakiej odległości jest następna wioska i czy zdoła kupić tam coś do jedzenia, odłożyła ciasto i pomarańczę

na później. Osłonięta od wiatru przymknęła oczy. W mroku pod opuszczonymi powiekami pojawiła się sylwetka Javiera. Siedział na niskim stołku, zgarbiony nad instrumentem, i przez opadające na twarz, ciemne włosy spoglądał w górę w jej kierunku. Miała wrażenie, że czuje jego gorący oddech. Roifa sobie, że on jest kilka metrów od niej i czeka, by zaczęła tańczyć. Brała ją pokusa, by pogрузić się w tej wizji. Choć wiedziała, że powinna iść dalej i że z każdą godziną zmniejszając się jej szanse na odnalezienie mężczyzny, którego kocha bez miary, położyła się na ziemi i zasnęła.

* * *

Gdy Antonio wrócił do El Barril, za barem wciąż paliła się pojedyncza słaba lampa. Sięgając przez ladę do wyłącznika, zaskoczony usłyszał swoje imię.

W atramentowej ciemności w głębi kawiarni dostrzegł zarys znajomej postaci. Concha siedziała samotnie przy stoliku. Dzięki temu, że z ulicy wpadało nagle światło latarni gazowej, przeszedł przez salę, nie potrącając stolików i krzeseł. Na widok siedzącej samotnie matki serce zaczęło mu walić ze strachu i ze smutku na myśl o tym, co ma jej do powiedzenia. Przecież to będzie dla niej taki cios.

— Mamo! Co tu robisz o tej porze?

Znalazłszy się blisko niej, zobaczył na stoliku pękaty kieliszek. To było zupełnie do niej niepodobne. Sprzątanie baru na koniec dnia zawsze należało do obowiązków ojca, który potem siadał z kieliszkiem i wypalał parę papierosów. Ale matka nigdy tego nie robiła. Późnym wieczorem padała z nóg, resztkami sił ryglowała drzwi, zostawiając na stolikach kieliszki ostatnich gości i wiedząc, że Mercedes sprzątnie je z samego rana.

Concha nie odezwała się.

— Mamo... dlaczego jeszcze się nie położyłaś?

Ogarnął go strach na myśl, że musi być poważny powód tego odstępstwa od rutyny. W tym mieście wszyscy żyli w niepokoju.

Mamo?

Choć jej postać ledwie majaczyła, zauważył, że siedzi z założonymi rękami i lekko kiwa się na boki, jakby kołysała niemowlę.

Antonio przykucnął obok niej i położywszy jej ręce na ramionach, lekko nią potrząsnął. Siedziała z zamkniętymi oczami.

Co się stało? — zapytał stanowczym tonem.

Concha usiłowała coś powiedzieć, ale na skutek płaczu i alkoholu jej słowa zabrzmiały niezrozumiale. Wydobycie głosu kosztowało ją tyle wysiłku, że rozplakała się jeszcze bardziej. Z rozpacy nie mogła się wysłowić. Antonio trzymał ją w mocnym uścisku. W jego ramionach poczuła się pewniej i łkanie ustało. Kiedy wypuścił ją z objęć, podniosła róg kwiecistego fartucha i głośno wytarła nos.

Powiedziałam jej, żeby poszła... — Głos jej się załamał.

O czym ty mówisz? Komu powiedziałaś?

Mercedes. Powiedziałam jej, żeby poszła szukać Javiera.

Bez niego nie zazna szczęścia.

Jak to...? Wysłałaś ją do Malagi? — Antonio nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Gdy go znajdzie, pojedą gdzieś razem. Tutaj usychała z tęsknoty. Widziałam, jak z dnia na dzień starzeje się z rozpacy. Ta wojna jest okropna dla nas wszystkich, ale może choć Mercedes będzie szczęśliwa.

W ciemności Concha nie widziała, że z twarzy syna odpłynęła krew.

Przecież Malaga jest ostrzeliwana — wykrztusił Antonio, czując, że z niepokoju ma sucho w ustach. — Właśnie się dowiedziałem.

Concha jakby tego nie słyszała.

Antonio trzymał dłonie matki w swoich. Ganienie jej nie miało teraz sensu. Był jednak pewny, że ojciec zrobiłby to bez wahania.

My nie mamy wyjścia, musimy żyć tutaj z naszymi

nieprzyjaciółmi — ciągnęła Concha — natomiast ona skorzystała z możliwości, by od nich uciec.

Antonio nie mógł się nie zgodzić. Podzielał opinię matki niemal w pełni. Trafnie wyczuła panujące w Grenadzie poczucie bezsilności. Choć zaraz po rebelii wojskowych poleła się tu dużo krwi i dokonano poważnych zniszczeń, nacjonaści opanowali miasto względnie łatwo i potem wielu mieszkańców żałowało, że nie podjęło walki. Inne miasta, mniejsze i większe, stawiały silniejszy opór.

— Kiedy poszła?

— Rano spakowała parę rzeczy. W południe już jej nie było.

— A jeśli ją zatrzymają, co powie?

— Że ma ciotkę w Maladze...

— To akurat jest bliskie prawdy.

— ...a ponieważ ciotka jest chora, chce ją sprowadzić do Grenady i tu się nią opiekować.

— Dość przekonujące — orzekł Antonio.

Powiedział tak, żeby uspokoić matkę i utwierdzić ją w słuszności podjętej decyzji, choć orientował się, że całe przedsięwzięcie jest najeżone potencjalnymi niebezpieczeństwami.

Będąc teraz głową rodziny, wiedział, że należało okazać więcej niepokoju, nawet gniew, z powodu nieodpowiedzialnego zachowania siostry. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, a potem Antonio podszedł do baru i nalał sobie sporą szklaneczkę brandy. Przechyliwszy w tył głowę, opróżnił ją jednym haustem. Brzdęk szklanki stawianej na blacie wyrwał Conchę z zamyślenia.

— Czy ona wróci, jeżeli go nie znajdzie? Obiecała?

Antonio patrzył, jak oczy matki robią się okrągłe ze zdumienia.

— Naturalnie, że wróci!

Pragnął podzielać jej optymizm i zdawał sobie sprawę, że nie pora zasiewać wątpliwości.

Objął matkę opiekuńczym gestem i głośno przełknął ślinę. To również nie była pora, by wyjawiać własne plany. Nie mógł

jednak zwlekać zbyt długo. Pod osłoną ciemności byłby bezpieczniejszy, a ta noc, przy zachmurzonym niebie i księżycu **w** nowiu, doskonale nadawała się do wyjazdu.

* * *

Następnego dnia wczesnym świtem Mercedes obudziła się z zimna i ruszyła przed siebie główną drogą. Znajdowała się na odkrytym terenie i była ze wszystkich stron odsłonięta, ale ta droga wiodła praktycznie w linii prostej do Malagi.

Po południu Mercedes zobaczyła niewielki tuman kurzu przed sobą na horyzoncie. Przesuwał się powoli, jak słaba trąba powietrzna. W przeciwną stronę nie było żadnego ruchu przez kilka godzin. Mercedes widziała od czasu do czasu jedynie nagie drzewa przy drodze.

Gdy odległość między nią a chmurą pyłu zaczęła się zmniejszać, dostrzegła ludzi, osły i muły, niektóre zaprzężone do wozów. Tłum posuwał się niemiłosiernie wolno, niczym wyjątkowo nieporęczna figura niesiona w procesji wielkanocnej.

Szli jednak nieugięcie. Mercedes zaczęła się zastanawiać, jak ominie tę falę ludzi, którzy zagradzają jej drogę. Prawie godzinę później, gdy dzieliło ich ledwie kilkaset metrów, uprzytomniła sobie, że idą w niesamowitej ciszy, i nasunęło jej się pytanie: dlaczego? Dlaczego w chłodne lutowe popołudnie wyruszyli w drogę? I dlaczego zachowują się tak cicho?

Szybko się okazało, że to kawalkada ludzi i wozów, przemierzająca się karawana. Widok wprawiał w zdumienie — przypominał procesję świąteczną, która przez pomyłkę skrzyła **w** bok, albo pielgrzymkę, która wędruje z cennym obrazem od miasta do miasta. Nawet gdy podeszli całkiem blisko, Mercedes nie pojmowała, co się dzieje. Miała wrażenie, że cała wioska postanowiła przenieść się w inne miejsce, wszystkie rodziny ruszyły naraz, zabierając swój dobytek: krzesła, materace, garnki, kufry i zabawki. Muły były prawie niewidoczne pod ciężarem i mnogością tych rzeczy.

Kiedy już znalazła się twarzą w twarz z osobami w pierwszym

szeregu, cisza zaczęła działać jej na nerwy. Nikt się nie odzywał. Ludzie patrzyli na nią, jakby była przezroczysta, jakby nie istniała. Przypominali lunatyków. Stała na skraju drogi, żeby ich przepuścić. Przechodzili jeden za drugim: starzy, młodzi, kulawi, ranni, dzieci, kobiety w ciąży, patrzyli nieruchomym wzrokiem przed siebie albo pod nogi. Na twarzach wszystkich malował się strach i rezygnacja. Oczy były puste, zubożniałe.

Przez pewien czas Mercedes patrzyła na mijający ją tłum. Czuła się nieswojo, widząc, że nikt nie dostrzega jej obecności, i nie przyszło jej do głowy, by zatrzymać kogoś i zapytać, dokąd zmierzają. W pewnej chwili zauważyła kobietę, która siedziała w kucki na skraju drogi i odpoczywała. Obok przycupnęło dziecko i rysowało patykiem kółka na piasku, bezmyślnie, z roztargnieniem.

Mercedes skorzystała z okazji i odezwała się łagodnym tonem:

— Przepraszam... dokąd idą ci ludzie?

— Dokąd? Dokąd idą? — W słabym głosie kobiety zabrzmiało niedowierzenie, że w ogóle można o to pytać.

Mercedes zadała inne pytanie:

— Skąd idziecie?

Kobieta odparła bez chwili wahania:

— Z Malagi... z Malagi... z Malagi...

Za każdym razem wymawiała te słowa ciszej, w końcu niemal szeptem.

— Z Malagi — powtórzyła Mercedes. Ścisnęło ją w żołądku. Przyklękła obok kobiety. — Co tam się stało? Dlaczego tyle ludzi opuściło miasto?

Dopiero teraz, gdy ich twarze były na tej samej wysokości, kobieta spojrzała na Mercedes. Rzesza ludzi szła dalej. Nikt nie zatrzymał wzroku na dwóch kobietach i brudnym dziecku.

— Nie wiesz?

— Nie wiem. Idę z Grenady do Malagi. Co tam się dzieje?

Mercedes starała się opanować niepokój i zniecierpliwienie.

— Straszne rzeczy... takie straszne rzeczy... — Kobiecie załamał się głos, jakby bała się o nich mówić.

Mercedes była rozdarta między chęcią poznania prawdy a strachem przed nią. Natychmiast pomyślała o Javierze. Czy on wciąż tam przebywa? A może jest w tym nieprzebranym tłumie uchodzących z miasta? Musiała dowiedzieć się więcej. Po kilku minutach siedzenia w milczeniu zadała następne pytanie. Skoro wszyscy przechodzą, nie zatrzymując się, ta kobieta jest może jedyną osobą, od której wyciągnie jakieś informacje.

Powiedz mi, co się stało.

Masz coś do jedzenia?

Mercedes nagle uprzytomniła sobie, że tylko jedna rzecz zaprząta uwagę tej kobiety. Nie interesują jej ani wydarzenia ostatnich kilku dni, ani nieznaną przyszłość. Myśli tylko o tym, że czuje ssanie w żołądku i słyszy jękliwe narzekanie wygłodzonego synka.

Mam. Kiedy ostatni raz coś jedliście? — zapytała Mercedes, natychmiast wyjmując z torby ciasto i pomarańczę.

Javi!

Chłopiec podniósł głowę i w mgnieniu oka doskoczył do nich, wrywając matce ciasto z ręki.

Przestań! — warknęła na syna. — Nie wszystko naraz! Zostaw!

Nic nie szkodzi — wtrąciła spokojnie Mercedes. — Nie będę jadła.

A ja? Też jestem głodna — powiedziała słabym głosem kobieta. — Proszę cię, Javi, zostaw trochę dla mnie.

Zareagowała za późno. Zdesperowany chłopiec pochłonął ciasto do ostatniego okruszka i stał przed nimi z wypchanymi do granic możliwości policzkami, nie mogąc się odezwać.

Nie może zrozumieć, dlaczego tak bardzo brakowało nam żywności przez kilka tygodni — tłumaczyła ze łzami w oczach matka. — On ma zaledwie trzy lata.

Mercedes poirytowało łakomstwo dziecka. Mocno trzymając pomarańczę, wyciągnęła rękę w stronę kobiety.

Proszę. Jedz.

Kobieta powoli obrała owoc ze skórki. Częstkę po części podawała najpierw dziecku, potem Mercedes, a gdy odmawiali, wkładała do ust, po czym zmuszając się do dokładnego przeżuwania, smakowała każdą kroplę soku ściekającego do suchego gardła.

Nikt się nie zatrzymał. Tłum szedł dalej. Kobieta wyraźnie nabrała sił.

— Trzeba się zbierać — powiedziała, nie kierując swych słów do nikogo w szczególności.

Mercedes zawahała się.

— Nie idę w waszą stronę — rzekła w końcu.

— A dokąd? Chyba nie do Malagi!

Wzruszyła ramionami i odparła:

— Taki miałam plan.

— Gdy ci powiem, co tam się działo, może zmienisz zdanie. Siedziały zwrócone do siebie, na skraju drogi.

— No to mów — powiedziała Mercedes, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo się martwi.

— Malaga była bez szans. — Kobieta przysunęła twarz do twarzy Mercedes. — Port został zbombardowany, ale to jeszcze nic. Najgorsze zaczęło się, gdy oni weszli do miasta. — Były ich tysiące, może dwadzieścia tysięcy, tak mówili.

— Kto wszedł do miasta?

— Mauretańczycy, Włosi, faszyci, mieli więcej broni i ciężarówek niż my w całym mieście. Zostało doszczętnie zniszczone... z morza, z powietrza, z ziemi... A my w środku. Bezbronni. Nikt nie pomyślał o sypaniu okopów! Tamci gwałcili kobiety, odcinali im piersi, zabijali nasze dzieci...

Ledwie mogła opisać te okropności. Legioniści byli najbardziej bestialskimi żołnierzami w całej armii generała Franco — nawet śmierć mieli w pogardzie. Większość z nich uległa zezwierzęceniu podczas wojny w Afryce.

— Łapali ludzi tysiącami — ciągnęła. — Rozstrzeliwali niewinnych mężczyzn, takich jak mój mąż. Zwłoki zostawiali nieoprzebane. Okaleczali martwych. Nie było rady. Musieliśmy uciekać.

Kobieta mówiła szybko, urywanie, przytłumionym głosem. Nie chciała, by ta opowieść doleciała do uszu przechodzących obok ludzi. Oni wszyscy tam byli, podobnie jak jej syn, któremu nic należało przypominać horroru minionych dni.

To nie był koniec potworności popełnionych w Maladze. Kobieta, gdy już zaczęła relacjonować tamte wydarzenia, zdecydowała się opowiedzieć Mercedes o wszystkim. Mówiła bez emocji, przytaczała fakty beznamyślnie, otepiała po szoku.

Znaczna część legionistów rekrutowała się spośród zbiegów i przestępców, a po naborze ci ludzie, zmuszani do brutalnej walki, ulegali dalszemu odczłowieczeniu i zachowywali się wobec swych ofiar jak zwierzęta. *Viva la muerte!* — wznosili okrzyki. Wzbudzali strach i odrazę nawet w tych, którzy walczyli po tej samej stronie co oni.

— Miasto płonie. Ogień zagraża wszystkiemu, tylko nie domom faszystów, oczywiście. Tam nie ma jak żyć. Wiele z tych kobiet owdowiało. Spójrz na nie! Spójrz na nas! Nie mamy nic prócz ubrań na grzbietach, ale może uda nam się uciec.

Mercedes przyglądała się żalosnemu tłumowi. Siedząc na skraju drogi, widziała tylko nogi i stopy niezliczonych rzeszy przechodzących ludzi. Patrzyła nie na twarze, lecz na sznur butów tak zdartych i sfatygowanych, jakby przemierzono w nich tysiąc kilometrów. Stara skóra rozlatujących się podeszew słabo chroniła poobcierane stopy. Z przetartych espadryli wystawały palce. W pewnej chwili Mercedes dostrzegła kobietę w szkarłatnych butach, ale gdy baczniej się przyjrzała, stwierdziła, że płótno zabarwiło się na kolor jej własnej krwi.

Patrzyła jak zahipnotyzowana na łydki starców nabrzmiałe fioletowymi żyłakami, na stopy młodych straszliwie zdeformowane, obrzmiałe i pokryte bąblami, na kikuty nóg mocno obwiązane bandażami, przez które przesiąkała krew. I jeszcze tyłu utykało, podpierało się laskami i kulami.

Mercedes zaschło w ustach. Jeżeli zostanie z tymi ludźmi, zapewne będzie bezpieczna. Znowu przyszło jej na myśl, że

on być może jest tu gdzieś w tej masie ludzi. Może odnajdzie ukochanego, jeśli będzie się rozpytywać i pokazywać jego zdjęcie. Jeżeli pójdzie do Malagi, wygląda na to, że najprawdopodobniej zginie. Podjęła decyzję. Wzięła głęboki oddech i odwróciła się twarzą na wschód.

Zapadała noc, ale ludzie nie przzerwali marszu z powodu ciemności. Bali się, że faszystyci nie zadowolą się wypędzeniem ich z miasta i będą ich ścigać nieugięcie także o tej porze.

Księżyc oświetlał im drogę. Musielijeszcze pokonać następne sto pięćdziesiąt kilometrów do Almerii, która była celem ich wędrówki, ale miało minąć wiele dni, zanim nawet młodzi i sprawni fizycznie zobaczyli z oddali miasto.

Mercedes szła z nowo poznaną kobietą, która z wdzięcznością przyjęła jej towarzystwo.

— Jestem Manuela — przedstawiła się w końcu kobieta. — A mój mały ma na imię Javi.

Mercedes poczuła sympatię do chłopczyka jeszcze wcześniej, gdy tylko usłyszała zdrobniałą formę imienia ukochanego. Po zaspokojeniu głodu dziecko przestało marudzić. Przez pewien czas matka niosła je na ramionach. Mercedes nie mogła się nadziwić, ile siły ma ta kobieta, tak wychudzona, że ubranie wisi na niej jak całun, a kości policzkowe niemal przebijają bezbarwną skórę. Później, widząc, że Manuela jest wyczerpana, wzięła od niej chłopca i szła dalej, czując na policzkach uderzenia miękkich stóp, z których matka wcześniej zdjęła buciki. Przypomniało jej się, jak ojciec nosił ją na barana, i tak jak on dla bezpieczeństwa przytrzymywała dziecko za kostki, znajdując pocieszenie w dotyku delikatnej, ciepłej skóry. Ucieszyła się, gdy głowa malca opadła na jej głowę. Javi zasnął.

* * *

Tej nocy również Concha była zmęczona i pragnęła zaznać wytchnienia we własnym łóżku. Wydarzenia minionych dwudziestu czterech godzin nadwerżyły jej siły. Zaraz po wyjściu ostatnich gości podparła otwarte drzwi, żeby wywietrzyć salę,

gdzie wisiała chmura gęstego dymu. Tej nocy znacznie się ochłodziło. Gdy wycierała po kolei stoliki szybkimi, kolistymi ruchami, z jej ust ulatywała biała para.

Pracując przy otwartych drzwiach, nie zauważyła, że do kawiarni wszedł Antonio. Chrząknął, żeby jej nie wystraszyć.

— A, to ty. Wcześniej wróciłeś...

Umilkła, widząc powagę na jego twarzy. Szybko przystąpił do rzeczy.

— Posłuchaj, mamę, muszę wyjechać. Mam nadzieję, że nie na długo.

Choć wszystko ułożył sobie w głowie, nawet nie wspomniał, że robi to dla dobra ojca.

— Właśnie tak powinieneś postąpić — rzekła Concha, wzruszając go szybką, wyważoną odpowiedzią. — Cieszę się, że mnie uprzedziłeś. Ciągle wyobrażałam sobie, że po prostu rozpułniesz się w ciemności.

Antonioowi zabrakło słów. Wewnętrzna siła matki zdumiała go i uskrzydliła.

— Nie mógłbym tak odejść. Nie wiedziałabyś, co się ze inną stało.

— Ale tak robią inni, prawda? Wszystko po to, żeby podczas przesłuchania rodzice mogli powiedzieć szczerze i otwarcie: „Nie ma go? Nie wiem, dokąd poszedł...”.

Jak inni ludzie o sympatiach republikańskich Concha uważała, że ten konflikt wszedł w decydującą fazę i należy zahamować marsz wojsk Franco.

Antonio był zaskoczony, że matka ma takie rozeznanie w sytuacji politycznej. Zastanawiał się jednak, czy nie zaćmiła (ej umysłu obawa, że może stracić następnego syna. Czy w jej odczuciu wyjazd i śmierć to dwie różne rzeczy, czy też jedno zlewa się z drugim, wywołując wszechogarniające i bezdenne poczucie straty?

Nic mi nie mów — poprosiła. — Lepiej nie wiedzieć. Wówczas nic ze mnie nie wyciągną. Nie zmuszą mnie, żebym cię wydała.

— I tak nie wiem, dokąd trafimy.

— My?

— Francisco i Salvador idą ze mną.

— To dobrze... Wiadomo, w ilości siła.

Oboje zamyślili się nad wieloznacznością tych słów. Wiedzieli, że słabością republikanów jest nie stan liczebny, lecz braki w uzbrojeniu. W sytuacji gdy Niemcy i Włochy zaopatrywały wojsko generała Franco w znaczne ilości broni, siły republikańskie wykazywały niedobór amunicji, nie ludzi.

Po chwili milczenia Concha zapytała:

— Kiedy ruszasz?

— Dziś w nocy — odparł prawie szeptem.

— Och... — Jej głos ledwie dało się słyszeć, miała płytki oddech. Starła się zbagatelizować rychły wyjazd syna. — Może zapakuję ci coś do jedzenia? — zapytała w naturalnym dla matki pierwszym odruchu.

Po półgodzinie już go nie było. Sala kawiarni wypełniła się czystym, rześkim powietrzem i dopiero wtedy Concha zamknęła drzwi. Drżała z zimna i ze strachu. Choć Antonio nic jej nic powiedział, domyśliła się, dokąd zmierzał. Ale nawet gdyby zdzierano jej z wolna paznokcie, nigdy by tego nie wyjawiała.

Rozdział 22

Wąski rożek księżycy rzucał niewiele światła na trzy postaci opuszczające Grenadę, pozwalając im uniknąć bacznych spojrzeń funkcjonariuszy Guardia Civil. Wydostanie się nieopstrzeżenie z miasta wymagało łutu szczęścia i osłony nocy. Wszyscy trzej byli zaopatrzeni w żywność do wieczoru następnego dnia i nie zabrali ze sobą żadnych pamiątek po bliskich, które mogłyby podważyć wiarygodność twierdzenia, iż są robotnikami rolnymi poszukującymi pracy. Gdyby zostali poddani rewizji, ich zeznania miały być niepodważalne i żaden drobiazg — upominek czy fotografia — nie mógł zostać użyty jako dowód przeciwko nim. Zapasowe ubranie z pewnością wzbudziłoby podejrzenia i dało podstawę do aresztowania.

Niemal całą noc wędrowali, chcąc przed świtem znaleźć się możliwie jak najdalej od Grenady; starali się wybierać boczne drogi, gdzie napotkanie oddziałów nacjonalistycznych było mniej prawdopodobne.

Wczesnym rankiem następnego dnia złapali okazję: ciężarówkę z milicją republikańską. Ci ludzie płonęli zapalem, byli pewni zwycięstwa nad Franco. Antonio, Francisco i Salvador przyłączyli się do tej gromady obdartusów, którzy zabawiali się śpiewaniem republikańskich pieśni i pozdrawianiem mija-

nych ludzi uniesieniem zaciśniętej pięści. Nie minęło kilka godzin, a cała trójka była traktowana z braterską serdecznością. Wtedy przyjaciele naprawdę poczuli, że są w drodze.

Podobnie jak tamci zamierzali włączyć się do akcji obrony Madrytu i usłyszeli, że toczy się bitwa na południowy wschód od stolicy, nad Jaramą.

— Tam musimy się znaleźć, w centrum wydarzeń — powiedział Francisco — zamiast siedzieć na tej pace.

— Niedługo tam będziemy — mruknął Antonio, starając się rozprostować nogi.

W niewygodzie pokonywali kilometr za kilometrem po otwartym, pustym terenie. Gdzieniegdzie trudno było się domyślić, że ten kraj toczy jakąś wojnę, a zwłaszcza wojnę domową. Rozległe wyżyny tchnęły spokojem. Na części pól rolnicy, którzy ledwie zdawali sobie sprawę, że wokoło szaleje polityczna burza, już wykonali wczesnowiosenne siewy; w innych miejscach, gdzie właściciele majątków nie zadali sobie trudu, w nagiej, leżącej odłogiem ziemi kiełkował głód, który miał ich w końcu dotknąć.

Salvador, osłaniany z jednej strony przez Antonia, a z drugiej przez Francisca, czytał z ust, ale nie uczestniczył w rozmowach. Jego milczenie nie wywoływało komentarzy. Niektórzy mężczyźni byli ledwie żywi z wyczerpania. Pochodzili z miast opodal Sewilli i tam uczestniczyli w wielomiesięcznych walkach przeciwko nacjonalistom, ciężkich, ale bezowocnych. Nawet nie zauważyli obecności Salvadora, a tym bardziej jego odmienności. O to chodziło jego przyjaciołom. Gdyby zaczęto podejrzewać Salvadora o głuchotę, nie mógłby brać udziału w walkach, a przecież tak bardzo mu na tym zależało.

Większość z dwudziestu jeden mężczyzn na pace ciężarówki nie posiadała się z radości, że nareszcie ma przed sobą cel. Zmierzali do Madrytu, żeby zakończyć oblężenie, i śpiewali pieśni zwycięzców, zanim się nimi stali.

Co noc schodzili z paki na kilka godzin. Byli zmęczeni i obolali z braku ruchu i z niewygody, wytrzęsieni po jeździe

wyboistą, niekończącą się drogą. Gdy butelka zatoczyła koło i ucichły śpiewy, mogli pogрузić się na parę godzin w niepokojnym śnie, nie mając nic, co oddzielałoby głowy od zwirowej ziemi, prócz złożonych jak do modlitwy rąk. Nie stać **ich** było na luksus wykorzystania kurtki jako poduszki. Wkładali na siebie wszystko, warstwa po warstwie, żeby krew nie zamarzła im w żyłach.

Francisco cały czas kastał we śnie, ale wszyscy i tak spali. O wpół do piątej Antonio skręcił papierosa i leżał w ciemności, patrząc, jak dym rozwiewa się w wilgotnym powietrzu. Obudził **Ich** brzęk blaszanych kubków i lekki zapach czegoś w rodzaju kawy. Niewypoczęci fizycznie i umysłowo, mając sztywne szyje i puste brzuchy, przeciągnęli się. Niektórzy wstali i poszli w krzaki, żeby oddać moc. To była nieprzyjemna pora: szary świt, przenikliwy chłód, który może trwać do południa, i perspektywa dalszej uciążliwej podróży o głodzie. Później, gdy rozgrzali się, siedząc jeden przy drugim, nastroje się poprawiły i znowu zabrzmiały pieśni.

* * *

Antonio razem z przyjaciółmi przejechali wiele kilometrów na północ, gdy dla Mercedes rozpoczął się drugi dzień wędrówki z uchodźcami z Malagi. Ludzie przeważnie szli w milczeniu, ale czasem rozlegał się rozpaczliwy krzyk matki, która straciła z oczu swoje dziecko. W tak wielkim tłumie łatwo było się rozdzielić i niejeden maluch pałętał się między ludźmi, zamaskany, zapłakany i przerażony. Widząc ich rozpacz, Mercedes wpadała w jeszcze większe przygnębienie i mocniej przytrzymywała Javiego. Wszyscy chcieli uniknąć tych niepotrzebnych zmartwień i dokładano starań, by połączyć rozdzielonych.

Uciekinierzy wędrowali również w nocy, ale zdarzało się, że wyczerpani i głodni zatrzymywali się na jakąś godzinę. Przy drodze co rusz pojawiały się niewielkie kopczyki. Rodziny zbite w gromadkę na zabranym z domu materacu i okryte od

góry kocem, który dawał osłonę i ciepło, miały niewielki prywatny namiot tylko dla siebie, dom w miniaturze.

W nocy dokuczał im ziąb, natomiast w południe nagle przeblyskiwało mocne słońce i przez krótki czas widać było dzieci z gołymi ramionami jak na letnim pikniku. Ale uczucie ciepła szybko mijało.

Na przodzie znajdowały się głównie kobiety, dzieci i starcy i z nimi szła Mercedes. Oni pierwsi opuścili Malagę, w desperacji uciekając przed zdobywcami miasta. Blżej końca wlekli się ocaleli mężczyźni oraz pokonana i wyczerpana milicja republikańska, która stawiała opór, jak długo się dało. Gdyby ten pochód wędrował dniem i nocą, mógłby dotrzeć do Almerii po pięciu dniach, a starzy, chorzy i ranni jeszcze później.

Gdy rozpoczynał się exodus mieszkańców, wyruszono samochodami i ciężarówkami, ale teraz niemal wszystkie pozostawiono przy drodze. Dokoła walały się przedmioty domowego użytku, wyjęte w pośpiechu z szafek kuchennych sprzęty, które miały stanowić podstawę nowego życia. Gdzieś tam pojawiały się zaskakujące rzeczy — maszyna do szycia, ozdobny, choć wyszczerbiony płytki talerz, zabytkowy zegar — wszystkie już bezwartościowe i porzucone razem z optymizmem, który towarzyszył ludziom zabierającym je z domów.

Przez pierwszą połowę drogi wraz z ludźmi ciągnęło wiele osłów objuczonych stosami pościeli, wiadrami, nawet meblami. Z czasem większość padła pod ciężarem ładunku. Martwe zwierzęta leżały w rowach, a wokół ich oczu krążyły muchy. Przylatywały całymi rojami, gdy zwłoki zaczęły się rozkładać.

Choć ludzie szli przeważnie w ciszy, którą mącił jedynie odgłos ich kroków i kołatanie dobytku, od czasu do czasu Mercedes opowiadała Javiemu jakąś historyjkę. Przez sporą część dnia nosła go na rękach i oboje ssali trzcinę cukrową wrywaną z pól. Przy braku jedzenia tylko w ten sposób mogli się wzmocnić. Gdy brakowało im sił, kładli się przy drodze i zapadali w krótki, niespokojny sen.

Mercedes zauważyła na środku drogi kufer, z którego wysypała się zawartość. O ciernisty krzew opodal zaczepiło się kilka porwanych wiatrem ubrań: lśniący biały sukienka do Pierwszej Komunii, haftowana koszulka dla niemowlęcia, ślubna mantyla. Leżały rozłożone jak na plakatach reklamowych, niemal sztywno z ludzi, którzy na ich widok zastanawiali się, kiedy ostatnio noszono te rzeczy, i wspominali spokojne czasy, gdy odbywały się śluby i chrzciny. Wszyscy przechodzący drogą snuli takie myśli. Teraz te ceremonie wydawały im się zamierzchłym luksusem.

Niekiedy mijali miasteczka i wioski, z których ewakuowano mieszkańców. Nic tam nie pozostało. Parę osób przetrząsnęło opuszczone domy, nie w poszukiwaniu wartościowych przedmiotów, lecz z nadzieją, że natrafią na coś przydatnego, na przykład woreczek ryżu, którym wyżywią się przez kilka następnych dni.

Choć Mercedes i Manuela czasem rozmawiały ze sobą, w stu pięćdziesiątysięcznym tłumie rzadko kto się odzywał. Słychać było jedynie chrobot butów o luźne kamyki i niekiedy kwilenie niemowląt, z których część urodziła się podczas wędrówki.

Tuż przed Motril, miastem znajdującym się w połowie drogi, laską mieli do przejścia, doleciało je głucho dudnienie. Było późne popołudnie. Mercedes błędnie sądziła, że to warkot ciężarówek, ale Manuela natychmiast rozpoznała buczenie silników samolotowych, przystanęła i uniosła do góry głowę. Nisko nad nimi przelatywały samoloty nacjonalistów — ciężkie, niezgrabne i głośne.

Ludzie patrzyli na nie w zamyśleniu. Nikt się nie odzywał. Po chwili zaczęło się bombardowanie.

Przez te wszystkie miesiące od wybuchu konfliktu Mercedes nigdy nie była tak przejęta strachem jak teraz. Czuła w ustach metaliczny posmak lęku; bicie jej serca na chwilę zagłuszyło rozlegające się dokoła krzyki przerażenia. W pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki, ale nie miała gdzie się

schować — tu nie było piwnic, mostów ani podziemnych stacji kolejki — żadnej kryjówki. Poza tym trzeba było zająć się Javim i jego matką, która stała jak wrośnięta w ziemię, przyłożywszy dłonie do uszu, gdy samoloty przelatywały nad nią z ogłuszającym rykiem.

Mercedes chwyciła Manuelę, a ta objęła Javiego. Stały w uścisku, z zamkniętymi oczami, by odciąć się od świata i potworności, które działy się dokoła. Mercedes czuła przez ubranie wystające kości Manueli. Bała się, że tamta straci panowanie nad sobą. Jak większość mieszkańców Malagi, którzy tak niedawno przeżywali naloty i ostrzeliwanie z broni maszynowej we własnym mieście, Manuelę sparaliżował na chwilę kolejny atak ze strony faszystów.

— Zejdźmy z drogi! — krzyknęła Mercedes. — To jedyny ratunek.

W tym nieprzyjaznym miejscu schronienie dawały, jak na ironię, tylko leje po bombach, które wcześniej wybuchły na polach. Ludzie wskakiwali do dołów i kulili się skamieniali ze strachu. Sami napastnicy stworzyli swoim przerażonych ofiarom możliwość ukrycia się.

Chwilę później wszędzie leżały zwłoki, niczym zepsute lalki.

Ku przerażeniu i niedowierzaniu wędrującego tłumu okazało się, że możliwy jest atak jeszcze straszniejszy. Gdy bombowce wykonały swoją robotę, nadleciały myśliwce, by z niskiego pułapu ostrzelać drogi i ludzi, siejąc panikę i zbierając następne ofiary. Oślepiające rozbłyski przesywały powietrze ze wszystkich stron, a pociski układały się w dwie ogniste linie na tle wrzeszczących mas. Piloci tych samolotów mieli łatwe zadanie — z zamkniętymi oczami mogli rozedrzeć swój cel na strzępy.

Matki płakały żałośnie, widząc, że ich dzieci przewracają się jak kostki domina. Te, które miały czwórkę albo piątkę, nic dawały rady osłonić wszystkich. Poza tym wystarczyło dobrze wycelować, by jedną serią zmieść całą grupę.

W pewnej chwili dwuosobowy samolot przeleciał tak nisko.

że Mercedes dostrzegła pilota i siedzącego za nim strzelca. Ludzie rozbiegli się, myśląc, że uciekną przed kulami, ale nadaremnie. Strzelec mógł z łatwością ustawić broń tak, by dokonać jak największych spustoszeń. Uśmiech malował się na twarzy pilota, gdy patrzył, jak ludzie padają trupem.

Potem zrobiło się cicho. Mijały minuty i nie słychać było warkotu nadciągających ponownie samolotów.

Chyba odleciały — powiedziała Mercedes, chcąc dodać otuchy Manueli. — Musimy iść dalej. Nie wiadomo, kiedy wrócą.

W powietrzu niosły się jęki tych, którzy zostali ranni albo stracili najbliższych. Ludzie stawali przed dylematem, czy chować zmarłych, czy ruszać w drogę do bezpiecznej Almerii. Ziemia była tu twarda, ale niektórzy podejmowali wysiłek grzebania zabitych. Inni tylko przykrywali ciała kocami i szli dalej, niosąc w sobie poczucie winy i rozpacz. Jeżeli zginęła matka, jej dzieci natychmiast przygarniali inni ludzie, odciągali je od pokiereszowanych zwłok i zabierali w dalszą drogę.

Przez poprzednie czterdzieści osiem godzin Mercedes była pochłonięta myślami o Javierze. W każdej minucie znajdował się w samym centrum jej uwagi. Dopiero spadające dokoła bomby wyrwały ją z zadumy i po raz pierwszy jej myśli odsunęły się daleko od niego. Nawet nadzieja, że ukochany mężczyzna być może jest gdzieś w tym rzednącym tłumie, chwilowo straciła na znaczeniu. Sprawą zasadniczą stało się doprowadzenie tej kruchej kobiety i jej syna w bezpieczne miejsce.

Wiele ludzi zachowało życie, ale zostało okaleczonych, powiększając liczbę wędrujących rannych, którzy utykając, przemierzali drogę z Malagi. Wszyscy wiedzieli, że trzeba iść dalej, że cel pozostaje taki sam. Nie można było ani wracać, ani stać w miejscu.

Manuela milczała, jakby sparaliżowana strachem. Gdy poczuła, że Mercedes obejmuje ją mocno ramieniem, a synek ciągnie za rękę do przodu, oprzytomniała. Ruszyli przed siebie.

W miejscach, gdzie trasa wędrówki skręcała w stronę morza, słychać było uderzenia fal o skały. Przyroda żyła własnym rytmem, na nic nie zważając. Tu i ówdzie Mercedes dostrzegła leżących na plaży ludzi i zastanawiała się, czy są żywi, czy może martwi. W każdym razie, jeśli się nie ruszyli, morze i tak zmiotłoby ich prędzej czy później. Obok ludzi leżały osły, także dogorywające. Z pysków wystawały im obrzmiałe języki.

Gdy miała za sobą pięć dni wędrówki, na chwilę rozjarzyło się słońce i zamigotała powierzchnia morza. Javi szarpnął Mercedes za spódnicę i pociągnął w stronę brzegu. Wydawało mu się, że to dobra pora na zabawę, rzucanie kamykami w fale i brodenie po wodzie.

Jego dzieciństwo jeszcze powróci. Bawienie się wśród trupów byłoby zbyt koszmarnie.

— Nie teraz, Javi — burknęła Manuela i wzięła chłopca na rękę.

— Kiedy indziej pójdziemy pobawić się nad morzem — powiedziała Mercedes. — Obiecuję.

Bywały takie dni, gdy przelatujący wysoko ptak budził w niej strach i przywoływał wspomnienie samolotów, które dokonały wśród nich masakry, i wówczas myślała tylko o jednym. Żeby dotrzeć do celu. Jej uwaga znowu skupiała się na Javierze. Pokonując ostatnie kilometry, Mercedes pokrzepiała się myślą o ukochanym. Musiała jednak na nowo zastanowić się, jak go odnaleźć.

Nie wszyscy doszli do Almerii. Ranni padali na skraju drogi, część umierała z własnej ręki. Ci, którzy jak Mercedes z wolna przesuwali się na koniec rzeki wymęczonych ludzi, widzieli zwłoki tych, co się zastrzelili albo powiesili na drzewach. Owi ludzie pokonali długą drogę, ale w końcu poddali się rozpacz. Manuela wielokrotnie zasłaniała oczy Javiemu.

* * *

Mercedes niemal miała w oczach łzy ulgi, gdy zobaczyła zabudowania Almerii i spełniły się jej nadzieje na znalezienie

schronienia. Po tak długiej wędrówce wszyscy zasłużyli na ucztę i pierwszą myśl Mercedes było poszukanie czegoś do jedzenia. Już od jakiegoś czasu marzył jej się świeży chleb.

Wiele ludzi ogarnęło przemożne zmęczenie. Wiedząc, czym **jest** przebywanie na otwartej przestrzeni, uważali, że ulice tego miasta są bezpiecznym miejscem, gdzie można spać na chodnikach wygodnych jak materac w porównaniu z twardą ziemią, na której kładli się przez ostatni tydzień. Przepelnieni wdzięcznością siadali z ocalałymi członkami rodziny gdzie popadło, a niektórzy zapadali w drzemkę w biały dzień, pośród domów, które otaczały ich jak ściany pokoju.

Zaraz po przybyciu do Almerii Mercedes i Manuela ustawiły się w kolejce po chleb.

- Dlaczego nie wrócisz do swojej rodziny w Grenadzie? — zapytała Manuela, gdy czekały na pieczywo. — Ani Javi, ani ja nie chcemy cię stracić, ale gdybyśmy mieli dokąd pójść, skorzystalibyśmy z tej możliwości. Ty nie musisz tu być.

Mercedes nie zamierzała wracać do Grenady. Ze wszystkich miejsc tam było dla niej najmniej bezpiecznie. Jej rodzina naraziła się nacjonalistom. A poza tym Javiera nie było w Grenadzie. I ten jeden fakt zaważył na jej decyzji. Tylko wtedy przetrwa, gdy będzie trzymać się z dala od Grenady; tylko wtedy będzie szczęśliwa, gdy znajdzie mężczyznę, którego kocha. Javier miał wszelkie szanse, żeby przeżyć. Był młodszy i silniejszy od większości ludzi, których tu widziała. A więc skoro im udało się uciec z Malagi, to on też by tego dokonał.

Połowy mojej rodziny już nie ma w Grenadzie — przypomniała Mercedes Manueli. — No i muszę szukać Javiera. leżeli nie będę go szukać, to go nie znajdę, prawda?

Javi rysował patykami zygzaki na ziemi, nie zważając na toczącą się rozmowę. Mercedes spojrzała w dół na chłopca i pogłaskała jego ciemne włosy. Z góry widziała czubek głowy, długie rzęsy i mały, płaski nosek. Podniosła chłopca i pogładziła po delikatnym policzku. Jego skóra pachniała słodko nawet po

tylu dniach bez kąpeli. Trzymanie go w ramionach niezwykle podnosiło ją na duchu.

— Chyba wiesz, że będziemy szczęśliwi, jeżeli z nami zostaniesz.

— Tak, wiem...

Nie chciała wyrażać się obcesowo, ale jedynym jej pragnieniem było odnaleźć Javiera. Parę kilometrów przed miastem widziała zwłoki kobiety, która powiesiła się na drzewie - straciła cel w życiu. Natomiast Mercedes miała wytknięty cel.

Gdy pomogła Manueli i Javiemu ulokować się we wnęce drzwi zabitego deskami sklepu, gdzie mieli spędzić przynajmniej najbliższą noc, wyruszyła na poszukiwanie.

Nieustannie wypytywała ludzi, czy natknęli się na Javiera, i sto razy wyjmowała z kieszeni jego zdjęcie. Rozmawiała z paroma osobami, które podobno go widziały. Javier cieszył się w Maladze popularnością i dlatego niektórzy mogli twierdzić, że mignął im gdzieś przed ucieczką z miasta, ale więcej go nie spotkali. W pewnej chwili ktoś podsycił jej nadzieję, mówiąc, że widział człowieka z gitarą. Mercedes pospieszyła we wskazanym kierunku i wkrótce zobaczyła plecy opisanego mężczyzny. Serce jej zamarło. Na widok szczupłej postaci z poobijanym pudłem do gitary dodała kroku. Zawołała i mężczyzna się odwrócił. Ani trochę nie przypominał Javiera, był po pięćdziesiątce. Przeprosiła za pomyłkę i gdy odszedł, łyż zawodu ścisnęły ją w gardle.

Wróciła do Manueli i Javiego. Choć mieli skromny dobytek, stworzyli wokół siebie schludny, otwarty na ulicę dom. Javi już spał wyciągnięty na kolanach matki. Manuela drzemała oparta głową o drewnianą framugę drzwi. Siedząc tak razem, tchnęli spokojem.

Mercedes poszła poszukać więcej jedzenia dla nich wszystkich. Stanęła w jednej kolejce, potem w drugiej, ale za każdym razem towar wyprzedano, zanim znalazła się na przodzie. Gdy w trzecim sklepie udało jej się zdobyć kilka gramów soczewicy, uznała to za sukces.

Almeria była niegdyś pięknym miastem, lecz zmęczenie nie pozwalało Mercedes docenić jego uroku. Szła przed siebie, nie zdając sobie sprawy, gdzie jest. Gdy znowu powstała w kilku kolejkach, straciła poczucie czasu. Nie miała zegarka, a zachmurzone popołudniowe niebo też nie pomagało jej kontrolować upływu czasu. Wydawało jej się, że chodziła po mieście może dwie godziny.

Już zamierzała wrócić do centrum miasta, gdy usłyszała w oddali wycie syren i zaraz potem odgłos wybuchu, po nim leszcze jeden, tym razem bliżej. W górze przeleciał lśniący srebrzyście samolot. To niemożliwe, żeby i tutaj... Jakże krótko czuli się bezpiecznie w tej przystani.

Zbliżając się do głównego placu, poczuła zapach spalenizny i jakiś zamęt dokoła. Kiedy skręciła za róg, zobaczyła zmierzający ku niej tłum ludzi, jak tamtego dnia, gdy natknęła się na uchodźców z Malagi. Teraz jednak musiała torować sobie drogę w ścisiku. Ogarnął ją paniczny strach. Od opuszczenia Grenady ani razu nie była tak przerażona, nawet gdy na drodze spadły na nich bomby. Uciekający pchali ją do tyłu, tam skąd przyszła, ale ona opierała się, tak lawirując, by zejść na bok i przepuścić biegnący w popłochu tłum.

Minęła ją pierwsza fala ludzi, za którą pojawili się ranni. Jednych trzeba było podtrzymywać, innych nieść, wielu wyglądało tak, jakby uszło z nich życie. Przechodzili w ciszy prawie nie do wytrzymania. Na końcu wlokło się kilku maruderów, oszołomionych, pokrytych okruciami cegieł i kamieni. Na ulicy znów zapanował spokój. Mercedes trzęsła się ze strachu. Choć wyobraziła sobie, co zobaczy za zakrętem, i tak przeżyła katusze na widok placu.

Jedna strona była całkowicie zburzona, wszystkie budynki się zawaliły. Nie pozostała ani jedna ścian czy kolumna. Na gruzowisku znajdowały się przechylone konstrukcje metalowe, pogięte framugi i szerniałe belki. Wszystko było osmolone albo zrównane z ziemią. Mercedes przypominała sobie, że sklep, w którego drzwiach Manuela stworzyła tym-

czasowy dom, znajdował się na drugim końcu, tam gdzie teraz nie było nic.

— Święta Maryjo, Matko Boża... Święta Maryjo, Matko Boża — mamrotała ze łzami.

Szybkim krokiem przeszła przez plac i zobaczyła zwęglone resztki, pozostałości po ciemnozielonej witrynie sklepu, pod którym widziała swoich przyjaciół ostatni raz. Nie było tam nic prócz gruzu i pogieętych metalowych dźwigarów.

Stała w bezruchu. Brak dwóch osób, które знаła krótko, lecz otoczyła czułą opieką, sprawił, że poczuła straszliwą wyrwę w sercu.

Ktoś podszedł do niej z tyłu i klepnął ją w ramię.

Zaskoczona odwróciła się gwałtownie. Manuela!

Ale nie, to była jakaś staruszka.

— Widziałam ich. Tak mi przykro. Nie mieli szans, gdy spadła belka.

Gdyby schronili się bliżej centrum wybuchu, jak wskazywał lej opodal, może by nie zginęli, pomyślała w pierwszej chwili Mercedes. Javi przynajmniej mocno spał. Miała głęboką nadzieję, że tak było.

— To była twoja rodzina?

Mercedes potrząsnęła głową. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Ale co tu mówić, nawet gdyby słowa przeszły przez ściśnięte gardło? Stała tam, tępym wzrokiem patrząc na miejsce, gdzie niedawno siedzieli jej przyjaciele.

Ten jeden nalot pochłonął ponad dwanaście ofiar. Wśród nich nieliczni byli mieszkańcami Almerii; większość, jak Manuela i Javi, przeszła dwieście kilometrów, by zginąć w obcym mieście. Faszystowskie bombowce atakowały skutecznie. Załoga wiedziała, że ulice będą wypełnione uchodźcami, bezbronnymi ludźmi stanowiącymi łatwy cel.

Mercedes rozejrzała się wokoło. Dostrzegła kobietę, która stała na rumowisku swego domu. Ta kobieta patrzyła, jak dom się walił, a teraz na próżno szukała swego dobytku pośród osmalonych kawałków drewna i połamanych poręczy schodów prowa-

dzących na piętro. Jeżeli nie zdoła wydobyć przydatnych rzeczy, długo tam nie pozostaną. Tyle tu przebywało ludzi pozbawionych środków do życia, tak zdesperowanych, że byli gotowi plądrować każdy porzucony dom, nawet grożący zawaleniem.

Mercedes pomyślała, że wędrując długo po mieście, szczęśliwym trafem uniknęła ostrzeliwania ogniem karabinów maszynowych i artylerii oraz bombardowania z powietrza. Zastanawiała się, dlaczego została oszczędzona również podczas tego ostatniego ataku.

W kieszeniach płaszcza znajdowało się wszystko, co posiadała: w jednej — woreczek z soczewicą i pół bochenka chleba, a w drugiej — buty do tańca.

Rozdział 23

Po kilku dniach od opuszczenia Grenady Antonio dotarł z przyjaciółmi na peryferie Madrytu, przyjechawszy od wschodu, gdzie sytuację kontrolowała milicja republikańska. Byli wstrząśnięci obrazem miasta, z gniewem patrzyli na szkielety zbombardowanych budynków. Na widok ich ciężarówki małe dzieci podnosiły głowy i machały rękami, a kobiety pozdrowiały ich republikańskim gestem *puno* — uniesioną, zaciśniętą pięścią. Każda nowa grupa zwolenników republiki podtrzymywała w ludziach nadzieję, że faszyci nie wkroczą do ich miasta.

Gdy trzech przyjaciele wraz z towarzyszami podróży stali w kolejce, by zaciągnąć się do oddziałów milicji, zorientowali się w położeniu stolicy.

— Gdy nas przyjmą, możemy przynajmniej liczyć na racje — odezwał się jeden z mężczyzn. — Nie mogę się doczekać przyzwoitego żarcia.

— Nie robiłbym sobie zbyt dużej nadziei — wtrącił drugi. - Z tym może być krucho...

Od września w Madrycie przebywało mnóstwo uchodźców. Gdy okoliczne miasteczka zostały zajęte przez faszystów, przerażeni mieszkańcy ścignęli do stolicy, gdzie liczba ludności przewyższyła wielokrotnie stan sprzed wybuchu konfliktu. Madryt był otoczony wrogimi oddziałami, ale nie tak szczelnie,

by nie dało się rozerwać pierścienia, a to umacniało w ludziach wiarę w utrzymanie niezależności. Madrytczycy oraz przybyli tysiącami uchodźcy, których cały dobytek znajdował się w tobołkach, mieli nadzieję, że wkrótce wszystko się zmieni. Nie mogli w nieskończoność żywić się chlebem i fasolą.

W listopadzie poprzedniego roku mieszkańcy podupadli na duchu. Ponad dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy armii nacjonalistycznej rozłożyło się na zachodnich i południowych przedmieściach. W ciągu paru tygodni przybyły wspierające oddziały z Niemiec. Wygłodniała ludność Madrytu czuła, że zaciska się wokół nich obręcz, i przy powiększających się z dnia na dzień niedoborach żywności również zaciskała pasa.

Chodziły słuchy, że rząd republikański przeniósł się z Madrytu do Walencji. W opuszczonych gabinetach dokumenty chowały na biurkach, a portrety pilnowały pustych korytarzy. Przez uchylone okna wlatywały ptaki i zostawiały wyblakłe odchody na fotelach z ciemnej skóry. Przeprowadzka była jakoby tymczasowa. Nie tknięto szafek do połowy wypełnionych aktami i całych ścian książek. Na ich misternie tłoczonych grzbietach i na subtelnym ornamentach perełkowych zdobiących boazerie już zbierał się kurz. Przez wysokie okna ludność nie mogła zajrzeć do tych cichych sal, za to potrafiła je sobie wyobrazić i ogarniała ją rozpacz.

Wtedy madrytczycy nabrali przekonania, że brak rządu wcale nie oznacza, iż miasto musi ulec generałowi Franco, i poczuli nowego ducha w sercach. Mężczyźni, kobiety i dzieci stanęli do walki; i tak już było: małe dzieci biegały na posyłki na linię frontu, a dzielne kobiety trzymały w rękach karabiny zamiast szczotek.

Obawy przebywającego w Walencji rządu, iż generał Franco wkroczy wkrótce do Madrytu, nie spełniły się tak szybko. Marsz jego oddziałów zatrzymano w Toledo, tymczasem Związek Radziecki udzielił nareszcie wsparcia, a ponadto przybyli antyfaszystowscy ochotnicy z całego świata. Członkowie Brygad Międzynarodowych wsparli komunistów, którzy po wyjeździe rządu byli gotowi kierować działaniami obronnymi.

— *Salud!* — wołano.

— *Salud!* — odpowiadali cudzoziemcy.

Nie mieli wspólnego języka, ale ten gest solidarności i to jedno słowo rozumieli wszyscy.

Antonio wdał się w rozmowę z ojcem siedmiorga dzieci.

— Jeszcze niedawno dzieci mogły się bawić na ulicy. Czasem przez kilka godzin wszystko wyglądało całkiem normalnie - powiedział ze smutkiem ów mężczyzna. — Teraz jest inaczej.

Antonio rozejrzał się wokoło. Mury domów były okaleczone po ostrzałach z moździerzy i podziurawione kulami. Częste trzaski karabinów czy wybuchy pocisków artyleryjskich wywoływały chaos i panikę. Antonio widział wyraźnie, że słodycz normalnego życia, w którym pewne sprawy uważa się za oczywiste, została ludziom zabrana, a zamiast niej pojawił się nieustanny strach i ściskanie w żołądku. Plakaty propagandowe, mające wzmocnić ducha walki, odklejały się od ścian całe w strzępach, jak nadzieje mieszkańców.

— Wyobrażasz sobie radość dzieci przez pierwszych kilka dni, gdy zamknięto szkoły — ciągnął mężczyzna. — To była atrakcja, ale szybko im spowszedniała.

Dzieci zaczęły tęsknić za dawnymi zajęciami, matki również. Ich życie, dotychczas uporządkowane, przypominało starannie załadowany owocami wózek, który został przewrócony i cała zawartość wpadła do rynsztoka.

Antonio, przepelniony pragnieniem, żeby bić się w obronie tych ludzi, widział na ulicach, jak ważne stało się zachowywanie pozorów normalności. Między jednym nalotem a drugim mali pucybuci nadal zarabiali na nędzne utrzymanie. Matki i babki przechadzały się w odświętnych zimowych ubraniach; dzieci, ubrane w płaszcze z aksamitnymi kołnierzami, albo pozostawały daleko w tyle za dorosłymi, albo biegły z przodu, robiąc im na złość. Panowie w filcowych kapeluszach i w szalikach chroniących przed podmuchami lutowego wiatru nadal niekiedy odbywali wieczorne spacery — jak w porze *paseo* w zwykły dzień w spokojnych czasach.

Na dźwięk syren kobiety chwyciły mocniej dzieci za rączki, u leżeli miały pod opieką liczną gromadkę, nieznajomi przystawali, żeby im pomóc. Pojawiała się pokusa, zwłaszcza u dzieci, żeby podnieść wzrok na samoloty, a nawet przyjrzeć się bitwie staczanej nad głowami. Wbrew protestom maluchów natychmiast wciągano je do ciemnych tuneli metra, zanim zaczęły spadać dokoła bomby i rozległy się krzyki. Dawniej tymi tunelami przedostawano się z jednej strony miasta na drugą, ale teraz część mieszkańców chroniła się na peronach podczas nalotów albo nawet mieszkała tam na stałe.

Z przerażeniem myśląc o tym, co się dzieje na górze, bojąc się przebywać zbyt długo pod ziemią, ludzie wychodzili w końcu na ulice, gdzie domy wyglądały jak przekrojone nu pół ciastka. Świat mógł obejrzeć czyjeś ukochane mieszkania, wraz z ceną zawartością, w idealnym przekroju poprzecznym. Talerze i naczynia, które oparły się zniszczeniu, czekały, by znów z nich korzystać, choć ich właściciele **być** może już nie żyli.

Wzniesiony wzrok wnikał w prywatne życie nieznajomych, padał na rozwiewane na wietrze ubrania, rozrzuconą pościel na schludnych niedawno łózkach, chwiejący się stół jadalny, gdzie wciąż leżał obrus ze wzorem w szachownicę przytrzymywany wazonem ze sztucznymi kwiatami, na przekrzywione obrazy na ścianach, puste regały, z których książki wysypały się na podłogę, tykający zegar, który odmierzał czas do następnego nalotu albo do dnia, gdy budynek zostanie rozebrany ze względów bezpieczeństwa. Nieraz widziało się wiszące na tylnej ścianie lustro, w którym odbijał się obraz zniszczeń. Tu i ówdzie stały jedynie fasady domów, łamliwe niczym tandetnie zbudowany plan filmowy.

Pierwszego dnia w Madrycie trzech przyjaciół doświadczyło zamętu, jaki powstał na skutek ataku lotniczego, i omal nie zadławiło się powietrzem pełnym pyłu, który nie osiadł przez wiele godzin po ich wyjściu z klaustrofobicznego i dusznego schronu.

Kiedy przybyli do miasta, minęły już pierwsze chłody tej zimy, ale głód nadal dawał się we znaki. Ciągłe burczenie w brzuchu było dla niektórych wystarczającym powodem wstępowania w szeregi milicji, gdzie przynajmniej obiecywano racje żywnościowe. Gdy Antonio wraz z przyjaciółmi stał w kolejce, by zaciągnąć się do milicji, zdał sobie sprawę, że i on spodziewa się dostać talerz pełen jedzenia. Od wielu dni nie jedli nic więcej prócz rzadkiej soczewicy, którą wlewano im do misek.

W Madrycie panował zupełnie inny nastrój niż w Grenadzie, gdzie obowiązywało wiele wprowadzonych niedawno obostrzeń. Tu czuło się niemal rewolucyjną atmosferę, większe rozluźnienie, swobodę, nawet zmysłowość mieszkańców. W hotelach zakwaterowano żołnierzy, którzy częstokroć nigdy w życiu nie widzieli takich okazałych boazerii i wytwornych złocień. Same zaś budynki były popękane niczym stara porcelana.

Cudzoziemcy również byli nowością dla Antonia, Francisca i Salvadora. Cieszyło ich poczucie koleżeństwa z nieznanymi ludźmi z krajów, o których nie mieli najmniejszego wyobrażenia, ale jednocześnie dziwiło to, że wewnętrzny, hiszpański konflikt rozgrywa się na otwartej scenie.

— Jak myślicie, dlaczego oni tu przyjechali? — zapytał przyjaciół Francisco zaskoczony obecnością cudzoziemców. — Przecież wiedzą równie dobrze jak my, co się stanie, gdy Franco zaatakuje to miasto.

— Nienawidzą faszyzmu tak samo jak my — odparł Antonio.

— I jeśli nie pomogą nam złamać go w naszym kraju, rozszerzy się na ich kraje — dodał Salvador.

— Faszyzm jest jak choroba — rzekł Antonio.

Spragnieni walki ochotnicy z Brygad Międzynarodowych w większości nie bali się tego, co może ich czekać. Madrytczycy nie mogli wymarzyć sobie lepszych przyjaciół.

Tej pierwszej nocy w mieście oklejonym plakatami, większym i bardziej finezyjnym niż Grenada, przyjaciele poszli do

baru w jednym ze starych hoteli. W pewnej chwili Antonio dostrzegł swoje odbicie w zmatowiałych, starych lustrach pokrywających ściany za barem. Chociaż było ono ciemne, twarze całej trójki wydawały się radosne i rozluźnione, jakby byli beztrudnymi młodzieńcami w lekko pogniecionych i trochę znoszonych koszulach, którzy ot tak wyszli zabawić się wieczorem. W przyćmionym, żółtawym oświetleniu wyglądali korzystnie: znikły ciemne cienie pod oczami spowodowane niedożywieniem i wyczerpaniem.

Antonio przestał zajmować się swoim odbiciem w lustrze. Jego uwagę przykuło kilka dziewcząt, które rozmawiały przy drzwiach. Dopóki obserwował je w lustrze, zachowywały się naturalnie, ale wiedział, że to się zmieni, gdy tylko zauważą jego wzrok.

Szturchnął łokciem Salvadora i zorientował się, że ten też patrzy na nie jak zahipnotyzowany. Po tylu dniach podróży ciężarówką, gdzie siedzieli stłoczeni jak bydło, myśląc o czekającej ich walce, właściwie nie potrafili się oprzeć urokowi tych kobiet.

Te dziewczęta należały do nielicznych mieszkańców Madrytu, którym żyło się lepiej od rozpoczęcia konfliktu politycznego. Gdy przybyły pierwsze oddziały milicji, a potem ci młodzi cudzoziemcy, interes rozkwitł. Popyt znacznie przewyższał podaż. Choć były kobiety, które w czasach pokoju wolałyby umrzeć, niż sprzedawać własne ciało, część z nich z głodu sprzeniewierzyła się swoim przekonaniom.

Widząc, że trzy z nich zmierzają wolnym krokiem w stronę buru, Francisco odwrócił się z uśmiechem. Także on obserwował te kobiety. Roztaczały przeszłodzoną woń tanich perfum, która upajała tych młodych mężczyzn bardziej niż najlepsze paryskie wonności, jakie stosowały eleganckie panie w Grenadzie. Wywiązała się rozmowa i dziewczęta przedstawiły się jako tancerki. Być może kiedyś nimi były. Młodzieńcy postawili dziewczynom drinki i kontynuowali pogawędkę, starając się przekrzyczeć setkę pozostałych gości i natarczywą muzykę

akordeonisty, który przechadzał się między stolikami. Ale cały czas myśleli tylko o jednym. Dlatego, nim minęła godzina, byli już w zapuszczonym domu publicznym kilka przecznic dalej i odurzeni tanią brandy poddawali się znieczulającemu działaniu seksu.

* * *

Następnego ranka trzech przyjaciele, orzeźwieni twardym snem, zostali wysłani na front. Walki nad Jaramą, na południowy wschód od Madrytu, toczyły się od dziesięciu dni. Właśnie tam chcieli się znaleźć i wziąć udział w bitwie. Antonio nie bał się terkotu karabinów maszynowych, dudnienia eksplodujących opodal pocisków ani głębokiego jęku zapadających się domów. Wraz z przyjaciółmi oficjalnie należał do niewyszkolonego oddziału milicji, z którym odbył długą podróż z południa kraju. Straciwszy znaczną część wyszkolonej armii, republika przyjmowała z otwartymi ramionami każdego mężczyznę chętnego do walki. Szczery zapał tych młodzieńców przesłaniał nawet myśl o śmierci. Coś takiego w ogóle nie przychodziło im do głów. Razem z kolegami z oddziału niefrasobliwie pozwali do fotografii, które najpewniej nie dotrą do ich rodzin.

Zgromadzone nad Jaramą wojska nacjonalistów zamierzały zając szosę Madryt—Walencja i szóstego lutego przystąpiły do niespodziewanego ataku na siły republikańskie. Przy wsparciu niemieckich czołgów i samolotów czterdziestotysięczne oddziały generała Franco (wśród nich wyjątkowo bezwzględni żołnierze z Legii Cudzoziemskiej) rozpoczęły ofensywę. Zanim republikanie zdążyli się zorganizować, strategicznie położone wzgórza i mosty zostały zajęte. Marsz armii Franco nieco opóźniły radzieckie czołgi, ale nacjonałiści i tak posuwali się do przodu, zadając poważne straty jeszcze przed przybyciem trójki przyjaciół z Grenady.

Gdy Antonio, Francisco i Salvador przyjechali ciężarówką na miejsce, spodziewali się, że natychmiast podejmą walkę. Stali przy samochodzie, obejmując wzrokiem krajobraz. W ogó-

le nie przypominał pola bitwy. Widzieli zadbane winnice, rzędy drzew oliwnych i kępy kolcolistu i macierzanki na niskich pagórkach.

- Osłona tu nieszczerólna... — zauważył Francisco.

Miał słuszość. Zanim oddali pierwszy strzał, włączono ich do zespołu, który otrzymał zadanie kopania rowów obronnych. Do wzmocnienia ścian mieli wykorzystać stos starych drzwi wydobytych z ruin pobliskiej wioski. Francisco i Antonio pracowali razem, stali w rowie i odbierali podawane z rąk do rąk drzwi. Przy wielu nadal znajdowały się mosiężne klamki, na niektórych widniał numer namalowany farbą i wyblakły.

- Ciekawe, co się stało z ludźmi, którzy za nimi mieszkali — powiedział Antonio, któremu przyszło na myśl, że te drzwi zapewniały niegdyś prywatność właścicielom, a teraz po ich domach hula wiatr.

Okopani w gajach oliwnych na zboczu wzgórza nad rzeką Jaramą czekali, by wreszcie posmakować walki. Zdążyli już umocnić okopy na dłuższym odcinku, niż na nich przypadało, **I** na razie konflikt zbrojny przyniósł tylko uczucie nudy. Przebywanie w wilgotnym rowie dawało im się we znaki w ciągu dnia, a w nocy pozbawiało ich snu, poza tym pierwszy raz złapali wszy, które miały ich nękać przez wiele miesięcy. Nieuchronne i nieustanne swędzenie w dzień i w nocy było istną torturą.

- Jak myślisz, ile to będzie trwało? — mruknął Francisco.

-Nibyco?

- No to. Siedzenie tutaj. Czekanie. To dno.

- Bóg raczy wiedzieć... Nie przyspieszymy biegu wypadków.

- Od wielu dni siedzimy z założonymi rękami. To nie do wytrzymania. Większy był ze mnie pożytek w Grenadzie. Nie mam ochoty dłużej się tu pałętać.

- Ale musisz. Zastrzelą cię nasi ludzie, jeśli spróbujesz stąd odejść. Więc nawet o tym nie myśl.

Gra w szachy i pisanie listów do rodziny absorbowały ich tylko na pewien czas.

— Pisanie listów jest trochę bez sensu — powiedział Antonio ponurym tonem, zupełnie nie w swoim stylu — gdy pomyśleć, że adresat może zginąć, nim nadejdzie list.

Wysyłał swój list do ciotki Rosity, licząc na to, że zachowa go i pokaże Conchy. Pisanie bezpośrednio do matki narażałoby ją na niebezpieczeństwo. Miał nadzieję, że jest bezpieczna, i zastanawiał się, czy zdołała odwiedzić ojca. Modlił się, żeby Mercedes odnalazła Javiera, a jeśli jej się nie uda, żeby szczęśliwie wróciła do domu. Szesnastolatka pozostawiona bez opieki nie jest bezpieczna.

— Nawet nie wiem, czy żyje moja mama — powiedział Francisco, składając gotową do wysłania kartkę papieru. — Może być też tak, że gdy dostanie ten list, ją już umrę. Z nudów.

Antonio, sam równie przygnębiony, starał się rozweselić przyjaciela. Monotonne wyczekiwanie doprowadzało wszystkich do szału.

Choć w okresach beczynności zatracą się poczucie czasu, nie ciągną się one w nieskończoność — wkrótce walki rozpoczęły się na nowo. Następnego dnia wysłano ich prosto na linię frontu, gdzie bezustanny terkot karabinów maszynowych, huk armat i okrzyki: "Fuego!" przerwały dotychczasową monotonię.

Nagle otrzymali rozkaz zajęcia pasma pobliskich wzniesień. Gdy okopali się u podnóża, kilka nieprzyjacielskich batalionów przetoczyło się przez grzbiet i przystąpiło do natarcia. W chwili gdy żołnierze republikańscy niemal widzieli biały oczu tamtych, padł rozkaz otwarcia ognia. Niektórzy z wrogów zawrócili i pobiegli wykorzystać osłony, inni zostali skoszeni. Karabiny umilkły na chwilę, gdy wymieniano pasy z amunicją, i wtedy nacjionaliści otworzyli trwający kilka minut ogień z karabinów maszynowych. Wydano rozkaz, by kilkudziesięciu żołnierzy, wśród nich Antonio, ruszyło na wzgórze, gdzie będą mieć dogodniejszą pozycję do ostrzeliwania nacjonalistów, ale odepchnęła ich ciężka artyleria. Żołnierza biegnącego obok Antonia rozerwało na strzępy. Krew trysnęła na wszystkich w promieniu kilku metrów. W dymie wybuchów Antonio

potknął się o człowieka leżącego na ziemi z rozłożonymi rękami i nogami. Nie wiedząc, czy tamten jest żywy, czy martwy, zataszczył go do okopu. Za ledwie połowę jednostki przetrwała. Te potworne sceny uprzytomniły mu, jak wyglądają realia tego konfliktu. W nocy dręczyły go wizje zmasakrowanych ciał.

Nacjoniści chcieli odepchnąć republikanów i kontynuowali atak na kilka ostatnich kluczowych pozycji. Straty w ludziach były ogromne, także wśród idealistów z Brygad Międzynarodowych, którzy często po raz pierwszy trzymali karabiny w rękach. Wielu miało zawodną broń, starą i wadliwą, z zacinającymi się zamkami, albo niesprawną amunicję. Tysiące z nich nigdy nie nauczyło się obsługiwać karabinów, ponieważ po kilku godzinach walki już nie zvl. Niedaleko ich stanowiska Antonio zliczył dziesiątki zabitych podczas ataku. Poświęcenie tych ludzi wydawało się daremne.

Sytuacja uległa zmianie, gdy wprowadzono do walki radzieckie samoloty, które uniemożliwiły nacjonalistom osłanianie własnych żołnierzy. Radzieckie myśliwce przegoniły bombowce nacjonalistów.

Pod koniec lutego walki się zakończyły. Obie strony poniosły ogromne straty, a nacjoniści przesunęli się do przodu za ledwie o kilka kilometrów. Każdy zdobyty centymetr ziemi kosztował ich życie wielu żołnierzy. W kategoriach matematycznych to wszystko nie miało sensu, natomiast znacznie poprawiło morale oddziałów republikańskich. Obie strony znalazły się w impasie, który republikanie potraktowali jako swoje zwycięstwo.

Francisco nie miał poczucia zwycięstwa.

- Straciliśmy tysiące ludzi, podobnie jak tamci. Ale oni zyskali kawałek terenu — dowodził.

- Niewielki kawałek — mignął Salvador.

- Dla mnie to była krwawa jatka i tyle — mruknął ze złością Francisco.

Nikt nie zamierzał oponować. To, co się wydarzyło, właśnie tak należało nazwać.

* * *

Na krótko wrócili do Madrytu. W mieście nadal można było iść do fryzjera ogolić się i obciąć włosy, kupić nowe ubranie albo uprać stare czy przespać się w wygodnym łóżku. Życie toczyło się normalnie mimo groźby nalotów. Przyjaciele parokrotnie słyszeli, że w ich dzielnicy pojawiła się legendarna przywódczyni komunistów, Dolores Ibarruri, i któregoś dnia przyłączyli się do gęstniejących tłumów, które pragnęły wysłuchać jej przemówienia. Ubrana na czarno sylwetka nieustrudzonej Ibarruri, znanej każdemu jako La Pasionaria, czyli passiflora, często pojawiała się na ulicach Madrytu. Zawsze udało jej się pociągnąć za sobą tych, którzy upadli na duchu.

Gdy Antonio pierwszy raz zobaczył jej wyrazistą twarz, miał wrażenie, że zaczerpnął haust czystego powietrza. Głos La Pasionarii często można było usłyszeć w radiu, a także z przenośnych megafonów, które wożono wzdłuż linii frontu, ale nie oddawał majestatyczności żywej postaci. Ta kobieta miała niezwykłą prezencję, ogromną siłę i charyzmę wyczuwaną przez wszystkich na placu.

Splatała dłonie w mimowolnym geście właściwym Hiszpankom i najpierw zwracała się do kobiet, przypominając im o poświęceniu, na które muszą się zdobyć.

— Lepiej, żebyście były wdowami po bohaterach niż żonami tchórzy — nawoływała, a jej głęboki, tubalny głos niósł się nad milczącym tłumem.

Wszystkich inspirowała ta pełnokrwista kobieta. Wszyscy chcieli mieć jej siłę.

— *No pasaran!* — krzyczała. — Nie przejdą!

— *No pasaran!* — odpowiadały tłumy. — *No pasaran! No pasaran!*

Swoją niezmaconą pewnością dawała im przykład. Jeżeli **oni** staną oporem, faszyci nigdy nie wejdą do ich miasta - zaciśnięta pięść uderzająca w powietrze potęgowała ich wiarę, że to nigdy nie nastąpi. Wśród tych mężczyzn i kobiet było wielu wyczerpanych, rozczarowanych, zalęknionych, ale **ona** przekonała ich, że warto uczestniczyć w tej walce.

Salvador chłonął jej urok osobisty i ciepły odzew tłumu. Ibarri stała zbyt daleko, by mógł czytać z jej warg, ale i tak przykuła jego uwagę.

- Lepiej umrzeć, stojąc, niż żyć na kolanach! — zawołała.

Nikt nie pozostał obojętny, ani mężczyzna, ani kobieta, ani dziecko.

Gdy skończyła przemawiać, ludzie się rozeszli.

- Potrafi człowieka natchnąć, prawda? — zauważył Antonio.

- Niezwykła kobieta — dodał Francisco, na chwilę porzucając sarkastyczny ton. — Przekona cię, że tak się stanie.

- I ma rację — powiedział Antonio. — A tobie nie wolno przestać w to wierzyć.

Rozdział 24

Mercedes wciąż przebywała w Almerii. Przez kilka dni włóczyła się bez celu po mieście. Teraz nie знаła tu nikogo. Czasem mignęła jej na wpół znajoma twarz, ale należała do osoby widzianej w tłumie wędrującym z Malagi. To nie byli przyjaciele, lecz ludzie tacy jak ona, wszyscy w nieodpowiednim miejscu, nadal na nogach, z mozołem przechodzący z jednej kolejki do drugiej.

Ludzie z rodzinami nie mieli wyboru, musieli zostać w Almerii, gdyż przeniesienie się gdzie indziej wymagało wysiłku ponad ich siły. Taka możliwość najmniej odpowiadała Mercedes. Dziewczyna znajdowała się na ulicy, gdzie snuło się wielu uchodźców, ludzi obcych w tym mieście i wobec siebie nawzajem. Nie wyobrażała sobie, że miałyby tu pozostać. To było wykluczone.

Stała przed wyborem. Najprościej byłoby wrócić do Grenady. Z niepokojem pomyślała o matce i ogarnęło ją poczucie winy, że nie jest przy niej. Tęskniła również za Antoniem, wiedziała, że brat robi wszystko, by pocieszyć matkę. Może wypuszczono już ojca. Gdyby tylko mogła jakoś się tego dowiedzieć.

Serce ścisnęła jej rozpaczliwa tęsknota za kawiarnią i przytulnym mieszkaniem, gdzie każdy ciemny schodek i parapet okienny były takie znajome. Pofolgowała sobie przez chwilę

i zaczęła wspominać to, co kochała w domu najbardziej: słodki, nieokreślony zapach matki, słabe światło lampy rzucającej żółtawy blask na schody, piżmowy zapach w jej własnej sypialni, grubo kładzioną brązową farbę na drzwiach i framugach okien, jej stare drewniane łóżko i na nim ciężki koc z zielonej wełny, który od niepamiętnych czasów dawał jej ciepło. Wezbrała w niej straszliwa tęsknota. Miała wrażenie, że te wszystkie drobne i pokrzepiające rzeczy znajdują się gdzieś bardzo daleko od tego zburzonego, nieznanego miasta. Może właśnie te życiowe drobiazgi były najistotniejsze.

Potem pomyślała o Javierze. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, które w jednej chwili odmieniło jej życie. Zachowała żywe wspomnienie, jak to Javier podniósł głowę znad gitary i skierował w jej stronę, na widzów, przejrzyste oczy okolone ciemnymi rzęsami. Nie widział jej, ale pamiętała, jak podziała na nią jego spojrzenie. Czowała, jakby jego oczy wydzielały ciepło, a ona w nim się rozpływała. Po tym jak zatańczyła dla Javiera pierwszy raz, kolejne spotkania były niczym kamienie, po których przechodzi się przez rzekę, każdy zbliżał ich do brzegu, a tam, jak przypuszczała, mieli już nigdy się nie rozstać. Ich pragnienie przebywania ze sobą było wzajemne, namiętne i absolutne. Rozstanie trapiło ją jak nieustanny, tępy ból, który nie chce ustać. Jak choroba.

Może tydzień po śmierci Manueli szła pewnego dnia ulicą i po drugiej stronie dostrzegła niepozorne drzwi kościoła. Może Maria Panna wskaże jej właściwą drogę, pomyślała.

Gdy pchnęła zniszczone drzwi, zobaczyła okazałe barokowe wnętrze. Nie było to takie zaskakujące, gdyż za skromnym wejściem z bocznej uliczki często kryła się ogromna budowla kościoła. Zdumiała ją mnogość ludzi w środku. Raczej nie szukali tu schronienia. W tych burzliwych czasach nad budynkami kultu religijnego nie czuwała opatrność boża. Kościoły mogły uciepnieć jak wszystko inne, czy to zbombardowane przez nacjonalistów, czy to podpalone przez republikanów. W wielu z nich nawy główne i boczne były wystawione na

działanie sił natury, na ambonach i na galeriach dla chóru gnieździły się ptaki.

Mężczyźni i kobiety, choć tracili wiarę, szukali bezpieczeństwa i ciepła w tym otwartym kościele. Mercedes przypomniała sobie, czym kiedyś była religia, ale miała wrażenie, jakby minęły wieki od czasów, gdy przystąpiła do Pierwszej Komunii, a potem co tydzień spowiadała się z grzechów. Przed świętym obrazem migotały świeczki, oczy Marii Panny napotkały spojrzenie Mercedes. Dawniej słowa: „Zdrowaś, Mario” płynęły z jej ust jak woda z kranu. Teraz oparła się pokusie, by wyrecytować modlitwę. Nie mogła postąpić tak obłudnie. Nie była osobą wierzącą. Patrzyły na nią sztuczne oczy, namalowane farbą na płótnie. Odwróciła się, czując w nozdrzach zapach wosku. Pomyślała niemal z zawiścią o ludziach, którzy znajdowali pocieszenie w takim miejscu.

Wokół półkolistej apsydy cherubini wzlatywali rzędami ku niebu. Niektórzy spoglądali na wiernych z figlarnym uśmiechem. Pod nimi siedziała Maria Panna z bezwładnym Chrystusem w ramionach. Mercedes przyglądała się jej bacznie, szukając wymowy tego obrazu, jakiegoś komunikatu. Po chwili uprzytomniła sobie, że ta postać w ogóle nie wyraża bólu, jaki ujrzała u pewnej kobiety na drodze z Malagi kilka dni wcześniej: matki — jak Maria Panna — która karmiła piersią martwe dziecko. Nie ulegało wątpliwości, że malarz tej piety nigdy nie widział na własne oczy bolejącej matki. Nawet w przybliżeniu nie potrafił oddać prawdziwej rozpacz. Ten wizerunek w istocie obrażał ludzi w żałobie. We wszystkich małych bocznych kaplicach znajdowały się prostackie obrazy cierpienia i udręki, na każdym sklepieniu zażywne anioły spoglądały w dół z uśmiechem.

Odchodząc od głównego ołtarza, Mercedes znalazła się naprzeciwko gipsowej rzeźby naturalnych rozmiarów przedstawiającej wyprostowaną Marię Pannę. Na gładkich policzkach lśniły szklane łzy, w niebieskich oczach kryła się stanowczość, kąciki ust lekko opadały. Patrzyła na Mercedes przez pręty

kaplicy, zamknięta pod kluczem wraz z ołtarzem i wyblakłymi sztucznymi kwiatami w wazonie. Ludzie potrafili prznosić na te posągi swoje nadzieje i marzenia i wierzyli, że znajdują ukojenie, jeśli nie zawsze wyraźne odpowiedzi, natomiast w odczuciu Mercedes teatralna symbolika tych figur była absurdałna.

Pobożni klękali na stopniach przed każdą kaplicą albo siedzieli z pochylonymi głowami w głównej nawie. Zdawało się, że wszystkich przepęlnia spokój, ale w Mercedes wzbierał gniew.

Na co przydał się Bóg? — chciała wykrzyknąć i zburzyć ciszę pilnącą w tym wzniosłym miejscu. Co zrobił, żeby nas chronić?

Tak naprawdę Kościół zwrócił się przeciw nim. Nacjoniści wielokrotnie występowali przeciwko republice, czyniąc to w imię Boga. Mimo to, jak jasno widziała Mercedes, wielu obywateli Almerii nadal wierzyło, że Maria Panna im pomoże. Ludzie, którzy ślali błagalne modły, choć w istocie nie oczekiwali odpowiedzi, bez wątpienia nadal znajdowali w tym miejscu pocieszenie, ale dla Mercedes, która przyszła tu po wskazówkę, to wszystko wydało się teraz śmiechu warte. Ci święci i męczennicy z pomalowanymi krwistoczerwoną farbą ranami i teatralnymi stygmatami byli kiedyś częścią jej życia. Teraz uważała, że Kościół to jedna wielka szopka, szafa pełna niepotrzebnych rekwizytów.

Usiadła w ławce i patrzyła, jak ludzie wchodzą i wychodzą, zapalają świece, mamrocząc pod nosem modlitwy i wpatrując się w obrazy świętych. Co też oni czują? — zastanawiała się. Czy jakiś głos odpowiadał na ich modlitwy? Odzywał się od razu czy następnego dnia, gdy się tego najmniej spodziewali? Czy te figury świętych o nieruchomych spojrzeniach rzeczywiście stawały się dla nich istotami z krwi i kości? Zapewne tak. Może ci ludzie zanoszący prośby ze łzami w oczach, składający dłonie tak, że białą im palce, naprawdę obcowali z czymś, czego ona nie umiała zrozumieć, z czymś nadprzyrodzonym. Nie potrafiła pojąć tego umysłem ani poczuć sercem.

Coś takiego jak ręka boża nie istnieje. Co do tego miała już pewność. Przemknęło jej przez myśl, czy nie powinna pomodlić

się za dusze Manueli i jej synka, tych niewinnych, bezbronnych istot, ale ich zagłada tylko umocniła ją w przekonaniu, że Boga nie ma.

Gdy okazało się, że brak jej wiary i pobożności, w których mogłaby szukać pomocy, uprzytomniła sobie, że sama musi podjąć decyzję. I wtedy stanął jej przed oczami Javier, piękniejszy niż ci przystojni święci na malowidłach. Rzadkością były dłuższe chwile, kiedy o nim nie myślała. Może w wypadku ludzi pobożnych to Bóg zajmuje ogromną przestrzeń umysłu. W wypadku Mercedes tę przestrzeń zajmował Javier. Wielbiła go ciałem i duszą i uważała, że jest tego godny.

W kościele otuliło ją ciepło, półmrok oraz intensywny piżmowy zapach świec. Mogła sobie wyobrazić, że ludzie przychodzą tutaj i zostają, bo czerpią zadowolenie z tych fizycznych doznań. Sama posiedziałyby tu dłużej, gdyby nie zaduch tak okropny, że musiała zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na ulicy było cicho. Jakiś zdesperowany pies grzebał w gruzach, drugi gonił kawałek gazety łopoczącej jak ubłocony ptak, który usiłuje wzlecieć w powietrze. Spojrzały na Mercedes podejrzliwym, a przez chwilę nawet wygłodniałym wzrokiem. Pewnie nic nie jadły od wielu dni. Dawniej żywiły się obfitymi resztkami restauracyjnych dań wyrzucanych do śmietników, teraz nie znajdowały nic, nawet padliny.

Miała absolutną pewność — zrozumiała dla każdego, kto poznał przemożną siłę odwzajemnionej miłości — że nie wróci do Grenady. Przypomniała sobie, w jaki sposób matka zachęciła ją do wyjazdu, i była przekonana, że może ją zaliczyć do osób, które nie potępia jej za to, iż zamiast wrócić do rodzinnego miasta, jeszcze bardziej się od niego oddali. Mercedes uważała, że Javier jest jej jedyną szansą na miłość, a zatem musi go odnaleźć niezależnie od tego, czy na koniec zazna goryczy, czy spełnienia. Już samo poszukiwanie i niewzruszona wiara, że zdoła go odnaleźć, łagodziły ból rozłąki.

Nie patrząc, dokąd niosą ją nogi, szła wolno ulicą pogrążona w rozmyślaniach. Może niczym nie różni się od tamtych ludzi

w kościele. Może przepelnia ich taka sama wiara jak ją. Oni "wiedzieli", że Bóg istnieje, i ich wiara w cud zmartwychwstania była niezachwiana. Ona wierzyła, że Javier żyje. Przystanęła na chodniku, mając świadomość, że decyzja została podjęta. Musi ruszyć na północ, opierając się na instynkcie i jedynej posiadanej informacji, a mianowicie, że wuj Javiera mieszka w Bilbao. Może tam czeka na nią jej ukochany.

Choć właściwie nie odczuwała już strachu, wiedziała, że to niewskazane, by kobieta podróżowała sama. Bezpieczniej było jechać z innymi. Spośród tej masy uchodźców, którzy ściągnęli do Almerii, wielu będzie teraz udawać się w dalszą drogę, więc mogłaby przyłączyć się do kogoś. Nawiązała rozmowę z dwiema kobietami. Powiedziały jej, że zostaną tu jakiś czas, ale znają pewne małżeństwo, które razem z córką wybiera się w podróż.

Słyszałam, jak mówili, że wkrótce wyruszają — odezwała się młodsza kobieta do swojej siostry.

Chyba tak. Jadą do rodziny gdzieś na północy.

Gdy dostaniemy chleb, chodźmy ich odszukać. Nie możesz podróżować sama, a oni na pewno będą zadowoleni z towarzystwa.

Po jakimś czasie, gdy każda przyciskała do piersi kawałek chleba, skierowały się do szkoły na krańcu miasta, gdzie obozowały setki ludzi, także obie kobiety. Mercedes zdumiała się, widząc w salach lekcyjnych więcej dorosłych niż dzieci, **stosy** krzesel i stołów w kątach i koce na podłodze. Na ścianach nadal wisiały wesole dziecięce rysunki. Teraz wyglądały tu dziwacznie i przypominały, że stary porządek został zburzony.

Siostry znalazły salę, gdzie zostawiły swój skromny dobytek. Opodal siedziała kobieta w średnim wieku. Wydawało się, że ceruje skarpetkę, ale był to but, który starała się zszyć. Mogła to robić zwykłą igłą, gdyż tak zmiękła i wytarła się skóra. W zasadzie próbowała uszyć buty od nowa — bez nich nie mogłaby się nigdzie ruszyć.

- Senora Duarte, to jest Mercedes. Chce jechać na północ. Czy mogłaby zabrać się z państwem?

Kobieta nie podniosła głowy, tylko szła dalej.

Mercedes pogładziła zaokrąglone czubki butów do tańca, po jednym w każdej kieszeni płaszczka. Czasem zapominała o nich, lecz gdy tylko poczuła ich ciężar, nabierała otuchy. Te buty i ubranie, które miała na sobie, stanowiły cały jej dobytek.

— Jeszcze nie jedziemy — odparła po chwili pani Duarte, spoglądając na Mercedes. — Ale gdy będziemy gotowi, możesz się z nami zabrać, jeśli chcesz.

W jej głosie nie wyczuwało się ani trochę ciepła, nawet tonu szczerego zaproszenia. Mimo zaduchu w sali Mercedes wstrząsnął dreszcz. Wiedziała, że ludzie mogą zatracić zdolność troszczenia się o innych. Wielu było świadkami potworności — Mercedes dostrzegła to w oczach tej kobiety. Ta niewątpliwie przekroczyła granicę, za którą człowiek traci zainteresowanie obcymi ludźmi, a nawet własną rodziną.

Chwilę później pojawiła się dziewczyna w wieku Mercedes.

— Udało ci się coś dostać? — zapytała jej matka, znów nie podnosząc głowy.

— Wzięłam, co mi dali — odrzekła córka. — Niewiele tego. Tak naprawdę ledwie starczy dla jednej osoby.

— Ale nas jest troje, razem z twoim ojcem... a teraz czworo, jeśli ta dziewczyna przyłączy się do nas — dodała, ruchem głowy wskazując Mercedes.

Mercedes zrobiła krok w przód. Kobieta, która wcześniej dokonała prezentacji, już odeszła.

— Wasze znajome mówiły, że mogłabym z wami podróżować. Udajemy się w tym samym kierunku. Nie masz nic przeciwko?

Mercedes powiedziała to z wahaniem, a nuż spotka się z równie chłodną reakcją córki.

Dziewczyna zmierzyła ją wzrokiem z góry na dół, bez podejrziwości, za to z zainteresowaniem.

— Nie, w porządku. — W jej głosie wyraźnie zabrzmiał serdeczny ton. — Chodźmy zobaczyć, gdzie można coś ugotować — ciągnęła, machając żałośnie małą torebką z soczewicą. — Na pewno powiększy się objętość... O, widzę, że masz trochę chleba.

Dziewczyny stanęły w kolejce do niewielkiej kuchni. Wszyscy przywykli już do czekania. W takich okolicznościach luźna znajomość przeradzała się czasem w przyjaźń.

- Przepraszam za moją mamę. Nie zachowała się zbyt życzliwie.

- Nie przejmuj się. Jestem obcą osobą. Nic dziwnego.

- Dawniej była inna.

Mercedes spojrzała w jej twarz i zobaczyła dziewczynę jak ona sama, o dziewczęcej cerze i oczach starej kobiety — pełnych smutku, jakby widziały już tyle cierpienia, ile niektórzy widzą przez całe życie.

To z powodu mojego brata, Eduarda. Szedł z trójką przyjaciół. Wyprzedzili nas i się rozdzieliliśmy. Mama zdarła do cna buty, miała popękane, pokrwawione pięty. Ponieważ nie mogła iść szybko, Eduardo zniecierpliwiał się. Podczas nalotu cudem uniknęliśmy śmierci. Gdy samoloty odleciały i poszliśmy dalej, zobaczyliśmy ich. Całą czwórkę. Byli martwi. Leżeli rzędem. Zabrano ich ze środka drogi, żeby ludzie nie musieli chodzić dokoła. Rodzice pozostałych szli w tyle, więc my pierwsi ich rozpoznaliśmy.

Mercedes miała wrażenie, że była tam razem z nią. Całkiem możliwe, że przeszła obok tego miejsca niedługo przed nimi.

Nadeszliśmy chwilę później. Wiesz, jak to jest, gdy przychodzisz spóźniona na spotkanie i ktoś ci mówi: „Och, oni właśnie wyszli”, a ty masz wrażenie, że coś straciłaś, zaprzepaściłaś jakąś szansę. Właśnie tak się stało, tylko że na zawsze. Eduardo zginął. Nadeszliśmy chwilę później. Był jeszcze ciepły. Nie mieściło nam się w głowach, że on nie żyje. Mieliliśmy przed oczami jego ciało, ale Eduarda już w nim nie było.

Łzy spływały jej po policzkach. Mercedes czuła ogrom bólu tej dziewczyny. Przypomniało jej się, jak zobaczyła leżące bez życia zwłoki swego brata. Ciało Ignacia było zimne od wielu godzin. Była wstrząśnięta własną reakcją. To nie jej brat leżał przed nią — przypomniawszy sobie, że zauważyła wówczas różnicę

między żywym a martwym ciałem. Martwy człowiek wyglądał jak pusta muszla na plaży.

Zabrakło jej słów wsparcia. Setki ludzi zginęły na drodze z Malagi, lecz pojedyncza śmierć, nawet gdy bierzemy pod uwagę wielką skalę cierpienia, zawsze jest wstrząsająca.

— Tak mi przykro. Co za tragedia... co za tragedia.

— Nigdy nie odzyskają równowagi. To pewne. Tato nie odzywał się przez dwa dni. Mama nie przestaje płakać. A ja mam być tą silną...

Przez kilka minut stały w milczeniu. Dziewczyna wyglądała tak, jakby to ona płakała od wielu dni. W końcu powiedziała, wycierając oczy:

— Mam na imię Ana.

— Mercedes.

Czekający w kolejce nie przysłuchiwali się tej rozmowie. Historia, którą opowiedziała Ana, nie była niczym wyjątkowym w tych czasach.

Ana mieszła garstkę gotującej się soczewicy i dalej rozmawiała. Mercedes powiedziała, że chce się dostać do Bilbao. Ana zaś wyjaśniła, że rodzice jadą do jej stryja, który mieszka na wsi na północy. Brat ojca, Ernesto, nie był zwolennikiem republiki, a ojciec nie miał ukształtowanych poglądów politycznych. Udało mu się nakłonić matkę, żeby przenieśli się bliżej jego rodziny i rozpoczęli nowe życie w bezpieczniejszym miejscu. Był przekonany, że zajęcie Madrytu przez Franco jest tylko kwestią czasu, a potem wystarczy kilka dni, by nacjoniści przejęli władzę w całym kraju. Wiedzieli, że czeka ich długa podróż, ale mieszkanie w Maladze zostało zburzone i prawdopodobnie nigdy tam nie wrócą. Ojciec nigdy nie był członkiem związków zawodowych ani żadnej innej organizacji robotniczej, więc uważał, że może popierać, kogo chce.

Mercedes zależało wyłącznie na odnalezieniu Javiera, czy to na terytorium opanowanym przez nacjonalistów, czy republikanów. Wiedziała, że raczej będzie przebywał w regionie wiernym republice, ale wołała nie dzielić się tą informacją.

Szybko zorientowała się, że niepodjęcie rozmów o polityce z tą rodziną wyjdzie jej na dobre. Ważne, że zmierali mniej więcej w tym samym kierunku.

— Chciałabym, żebyś dołączyła do nas. Mamy przed sobą długą drogę, a rodzice prawie się nie odzywają, więc przyda mi się towarzystwo.

Po powrocie do sali, gdzie zostawiły matkę Any, zastały tam jej ojca. Choć spędził w kolejkach całe popołudnie, przyniósł tylko jedną cebulę i pół główki kapusty. Gdy przedstawiono mu Mercedes, powitał ją uprzejmie.

Mimo że nie miał opatrunków ani widocznych obrażeń, wyglądał jak człowiek, któremu zadano rany; przygniatało go brzemień nieszczęścia. Nie ulegało wątpliwości, że unika rozmów. Mercedes uświadomiła sobie, że ci ludzie są znacznie młodszy, niż jej się początkowo wydawało. Panią Duarte można było spokojnie wziąć za babcię Any. Mercedes zastanawiała się, czy to śmierć jedynego syna postarzyła ich o tyle lat.

Pani Duarte stała się trochę życzliwsza — może dlatego, że Mercedes dała jej kawałek chleba. We czwórkę usiedli w krąg, jedno tuż przy drugim, rozlali zupę do czterech emaliowanych misek i podzielili chleb. Ponieważ w pomieszczeniu znajdowało się więcej ludzi, dobre wychowanie nakazywało nie eksponować jedzenia, nawet w niewielkiej ilości.

- A więc, Mercedes, chcesz jechać z nami na północ — przerwał ciszę pan Duarte, gdy wszyscy zjedli.

- Tak, jeśli nie będę państwu zawadzać.

- Nie będziesz. Ale musisz przyjąć do wiadomości jedną rzecz.

Ana spojrzała nerwowo na ojca. Nie chciała, żeby wystraszył jej nową przyjaciółkę.

- Gdy nas zatrzymają, ja będę z nimi rozmawiał — zwrócił się szorstko do Mercedes, patrząc jej zimno w oczy. — Jeżeli ktoś zapyta, powiem, że jesteście siostrami. Rozumiesz, prawda?

- Chyba tak — odrzekła.

Pan Duarte krępował ją swoim sposobem bycia, ale cóż,

będzie musiała nie zwracać na to uwagi; pani Duarte była całkiem miła, poza tym to sensowny pomysł, żeby obcy uważali ją za członka ich rodziny. Droga do Bilbao prowadziła przez regiony okupowane przez wojska nacjonalistyczne. Skoro Ana nie okazała niepokoju, to i ona nie powinna się tym przejmować.

* * *

Po mizernej kolacji dziewczęta chciały wyrwać się z tego przeludnionego budynku i pospacerować po ulicy. Już miały wyjść na dwór, gdy gdzieś z głębi korytarza niespodziewanie doleciały je dźwięki muzyki i nie mogły się jej oprzeć. Po raz pierwszy od tygodni słyszały coś innego niż odgłosy walki. Nawet gdy nie zrzucano bomb albo nie ostrzeliwano ich bronią maszynową z powietrza czy z ziemi, wybuchy i strzały ciągle dzwoniły im w uszach. Zachwycające, płynne arpedžio sprawiło, że z bijącym szybciej sercem każda przyspieszyła kroku.

Zaraz znalazły klasę, skąd dobiegała muzyka, i zobaczyły krąg słuchaczy już otaczający gitarzystę, którego łysina na czubku głowy połyskiwała w świetle jedynej żarówki w pomieszczeniu. Siedział zgarbiony nad instrumentem, jakby chciał osłonić go ciałem.

Ludzie wylewali się przez wszystkie drzwi na korytarz i gromadzili w sali; na podłodze siedziała chmara dzieci wpatrzonych w muzyka. Podczas wędrówki z Malagi stracili dziecięcą naiwność i wydawało się, że przemawia do nich tragizm wygrywanej melodii.

Nikt nie wiedział, jak nazywa się ten gitarzysta flamenco. Chyba nie miał tu rodziny. Gdy Mercedes i Ana weszły do sali, kilka osób już towarzyszyło mu cichym klaskaniem. Jego długie, poźółkłe paznokcie prześlizgiwały się po strunach lekko i beztrasko. Grał dla siebie, ale czasem podnosił wzrok i zwracał uwagę na gęstniejący tłum. Mercedes wróciła na chwilę do swojej klasy. Przyszło jej na myśl, że powinna coś stamtąd zabrać.

Po powrocie usłyszała znajomą sekwencję dźwięków, które poruszyły ją do głębi. Wystarczyły cztery nuty zagrane w spe-

cyficznej kolejności, by flamenco gitarzysty zabrzmiało w jej uszach szczególnie. Ta melodia znaczyła dla niej więcej niż wszystkie inne. *Solea*. Pierwszy utwór, który zatańczyła do muzyki Javiera. Te melancholijne tony wcale nie wprowadziły jej w przygnębienie. Uznała je za znak, że odnajdzie Javiera, i ta myśl podniosła ją na duchu.

Zgromadzeni ludzie również rozpoznali *compas* i zaczęli klaskać do rytmu. Mercedes stała z boku, ale po chwili, niemal odruchowo, wyjęła z kieszeni buty, włożyła je i drżącymi łękami zapięła sprzączki. Dotyk miękkiej skóry był taki znajomy, taki ciepły. Bez wahania okrążyła dzieci siedzące kilka metrów od gitarzysty. Podbite stalowymi gwoździami obcasy stuknęły o podłogę. Dzieci skupiły całą uwagę na dziewczynie, która zasłoniła im muzyka.

Rok wcześniej zapewne uznano by, że tylko nazbyt śmiała kobieta staje przed obcym mężczyzną gotowa dla niego zatańczyć, ale teraz takie zasady już się nie liczyły. Co miała do stracenia, pojawiając się przed widzami, którzy nie znali ani jej, ani jej rodziny? Wszyscy byli sobie obcy, znaleźli się tutaj w wyniku bolesnych okoliczności.

Gitarzysta podniósł głowę i obdarzył ją szerokim, zachęcającym uśmiechem. Jej postawa, poza, sposób trzymania się powiedziały mu, że tańczyła wielokrotnie i będzie umiała nim pokierować.

Mercedes pochyliła się i szepnęła mu do ucha:

Można prosić to samo jeszcze raz?

Słuchając jej, przebiegał palcami w górę i w dół w poszukiwaniu melodii i z wirtuozowską zręcznością uderzał paznokciami o struny.

Gdy ta dziewczyna znalazła się przed nim, miał wrażenie, że mignęło mu przed oczami dawne życie i tamte wieczory, które toczyły się z zachwycającą żywiołowością. Często najmowano go, by grał podczas *juergas*, kiedy to można było ręczyć wyłącznie za jedno: za niepewność, jak rozwinie się zabawa, kto zagra dobrze, jak zatańczą kobiety, czy spotkanie będzie miało ducha, *duende*.

Uśmiechnął się do niej. Mercedes i wszystkim, którzy do-

strzegli wyraz jego twarzy, wydawało się, że zza chmur wyrzało nagle słońce. Okazywanie takiego ciepła było rzadkością ostatnimi czasy. Z początkowego pasażu wyłoniła się *solea*, którą Mercedes tak bardzo chciała znów usłyszeć. Zaczęła uderzać w dłonie, niezbyt głośno, aż wyczuła, że rytm przenika widzów do głębi i zlewa się z biciem ich serc. Kilka kobiet przyłączyło się do klaskania, nie odrywając wzroku od dziewczyny, która zjawiała się znikąd i znalazła się w centrum uwagi. Gdy *palmas* nabrało wyrazistego brzmienia, Mercedes zaczęła uderzać obcasem prawego buta w podłogę, aż powstał mocniejszy, bardziej zdecydowany rytm. Chwilę później tupnęła głośno lewą nogą i rozpoczął się taniec. Płynnie poruszały się uniesione nad głowę ręce, nadgarstki i długie smukłe palce o wiele szczuplejsze niż przed miesiącem.

Dopiero teraz opuściło tych ludzi dojmujące poczucie klęski, które nosili w sobie od wielu dni.

Muzyka odzwierciedlała ruchy tancerki, nabierała żaru, stawała się niemal agresywna, gdy paznokcie szarpały struny i waliły w wierzch pudła gitary. Ten instrument przebył wiele kilometrów, przewieszony przez plecy, i wytrzymał kilka upadków na ziemię, jakimś cudem doznając nielicznych uszkodzeń. Ale teraz muzyk grał tak, jakby nieodwołalnie postanowił rozbić go na drzazgi.

Miał całkowitą pewność, że cedrowe pudło zniesie takie traktowanie, i wyrażał za pomocą instrumentu cierpienie zarówno własne, jak i słuchaczy. W muzyce rozbrzmiewało echo ich bólu.

Podczas tańca ten nieznajomy mężczyzna przestał być dla Mercedes kimś obcym. Wtedy, przed dwoma laty w *cueva*, ona i Javier też się nie znali. Muzyka przeniosła ją w tamten wieczór i tańcząc w skupieniu, z mocno zamkniętymi oczami. Mercedes znów dała z siebie wszystko.

Po *solea*, w której przejawia się zdecydowane, spokojne opanowanie i uczucie płynące z niezmierzonej głębi, widzowie niemal zesztynieli z bólu i wzruszenia. Wiedzieli, że ten taniec był spontaniczny. Uciszyli kilka osób, którym wyleciało z ust przytłumione: „*Ole!*”, jakby nie chcieli, by czar prysnął.

Dla rozładowania atmosfery gitarzysta zaczął grać nastrojowo lżejsze *alegrias*, a tancerka z większą swobodą podjęła nowy rytm. Usztywnienie ciała, jakie odczuwała po tyłu tygodniach bez tańczenia, szybko minęło i znów mogła wyginać się i obracać z dawną giętkością i strzelać palcami z idealną precyzją.

Ten przepełniony radością taniec pozwolił wszystkim zapomnieć o ich zburzonych domach i wypalonym życiu, o leżących na ziemi zwłokach i srogich twarzach ludzi, którzy ich wygnali z ich własnego miasta. Z narastającym z minuty na minutę entuzjazmem wielu widzów akompaniowało tancerce rytmicznym klaskaniem.

Występ zmęczył Mercedes. Pot lał jej się po karku i po plecach, płynął strużką między pośladkami. Włożyła w taniec całą siebie, nie wiedziała, gdzie się znajduje, i ledwie wiedziała, jak się nazywa. Razem z widzami zapomniała o teraźniejszości. Duszą przeniosła się na fiestę, gdzie towarzyszyła jej rodzina i przyjaciele. Wśród oklasków przecisnęła się przez tłum w kierunku stojącej pod ścianą Any. Twarz nowej przyjaciółki promieniała zachwytem.

— *Fantastico* — powiedziała po prostu. — *Fantastico*.

Gitarzysta nie wypadł z rytmu ani razu. Między ostatnim tupnięciem buta Mercedes, które zakończyło *alegrias*, a pierwszym cichym akordem następnego utworu nie było przerwy nawet na złapanie oddechu. Muzyk chciał utrzymać publiczność w stanie urzeczenia.

Rzeczą prawie niemożliwą zdawało się wydobyć takich tonów z jednej gitary. Siła dźwięku, głębia i bogactwo muzyki wskazywałyby, że gra kilka instrumentów, a gdy doszło ciepłe brzmienie uderzeń w pudło rezonansowe, powstał efekt wielowarstwowej aksamitnej miękkości. Poza tym słychać było klaskanie w dłonie i gdzieś tam rytmiczne stukanie w oparcie krzesła czy blat stołu, więc miało się wrażenie, że muzyka dobiega z każdego kąta sali. Zebranych tłumnie ludzi oczarował i porwał rwący potok dźwięków.

Mercedes delikatnie uderzała czubkami palców w dłoń. Stała oparta plecami o ścianę, dotykając ramieniem ramienia Any.

Z mroku wyłonił się jakiś mężczyzna. Był masywny, przerastał o głowę większość zgromadzonych tu mężczyzn. Miał gęstą grzywę ciemnych kędziorów, szorstkich z wyglądu, które sięgały znacznie poniżej kołnierzyka. Ospowatą twarz tylko częściowo zasłaniał zarost. Publiczność przepuściła go, domyślając się z jego sposobu bycia, że bez wahania przeciśnie się do przodu. Sprawiał odpychające wrażenie, w jego surowej twarzy nie było nic ujmującego.

Utwór zbliżał się do końca. Nowo przybyły podsunął sobie krzesło i usiadł obok gitarzysty. Widać było, że zachowują się swobodnie, jakby się znali. Gdy prowadzili krótką, przyciszoną rozmowę, gitarzysta ani na chwilę nie odrywał palców od strun, improwizując jakąś melodię, i cały czas skupiał na sobie uwagę zebranych.

Usłyszawszy pierwszy dźwięk, publiczność nie potrafiła określić jego źródła. Nie skojarzyła go ze śpiewakiem. Patrząc, jak zajmuje miejsce dla wykonawcy, wszyscy mieli z góry powzięte wyobrażenie o jego głosie, ale rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Wydobył z płuc niski, słodki ton, który zaskoczył widzów przyzwyczajonych do chropowatych dźwięków, jakie wydawali Cyganie. Był to cichy głos ludzkiej duszy. Gdy skończyło się wprowadzenie do pieśni, *taranta*, głos się podniósł, a dłonie cygańskiego śpiewaka stały się środkiem wyrazu wylewających się z niego uczuć. Jego wielkie, jasne ręce odcinały się na tle czarnej marynarki i w przyćmionym świetle poruszały się niczym kukiełki w teatrze lalek. Odgrywały role żalu, gniewu, niesprawiedliwości i smutku w opowieści o cygańskich gettach, którą mężczyzna powtarzał przez całe swoje życie. Jej tragizm bardziej niż kiedykolwiek trafił poruszonym mieszkańcom Malagi do przekonania.

Dopiero teraz publiczność zrozumiała śpiewaka. Ludzie spojrzeli po sobie i pojęli, że również oni, podobnie jak on, są nieprzyjemni w obejściu. Wszyscy wyglądali teraz tak samo: byli szorstcy, brudni, zaszczuci i przygnębieni.

Po pierwszym *cante* Ana odezwała się do Mercedes:

- Zastanawiam się, czy on zawsze tak śpiewa.

- Któż to może wiedzieć? — powiedziała Mercedes. — Ale tak pięknego głosu jeszcze nigdy nie słyszałam.

Gitano zachwycił publiczność. Opisał ich doświadczenia i ich życie. W cudowny sposób wyraził ich własne uczucia.

- Skąd on to wie? — mruknęła pod nosem Ana.

Tego wieczoru tańczyło potem jeszcze wiele osób, niektóre luk żywiłowo, że udało się rozproszyć ponury nastrój w Almerii. Pojawił się następny gitarzysta, a za nim przyszła starsza kobieta z kastanietami, które nosiła w kieszeni spódnicy od wyjazdu z domu i na których grała ze zdumiewającą biegłością. Jak para butów dodawała otuchy Mercedes, tak te zwykłe kawałki drewna przynosiły pociechę owej kobiecie, ilekroć dotykała palcami chłodnych, wypukłych powierzchni. Kastaniety były dla niej jedynym stałym elementem w niepojętym, koszmarnym życiu, na jakie nagle została skazana.

To była *feria* jedyna w swoim rodzaju. Do czwartej nad innem w sali tłoczyli się wszyscy — mężczyźni, kobiety i dzieci — którzy znaleźli schronienie w tej szkole. Zrobiło się tam tak gorąco, jak rzadko kiedy bywało w sierpniu. Ludzie zapomnieli o swojej ciężkiej sytuacji i na ich twarzach zagościł uśmiech. Wieczór zakończył się, gdy gitarzysta nie miał już siły dalej grać. Wszyscy zapadli na kilka godzin w głęboki sen, jakiego nie zaznali od wielu dni, i nie obudził ich nawet szary świt.

Mercedes i Ana spały pod jednym kocem na twardej podłodze. W takich okolicznościach przyjaźnie między ludźmi zawiązywały się bardzo szybko. Po przebudzeniu dziewczyny leżały skulone pod kocem i wymieniały się informacjami o sobie.

- Szukam kogoś — wyjaśniła Mercedes. — Dlatego jadę na północ.

Słyszała swoje słowa wypowiedziane z całą stanowczością i zdecydowaniem, ale mina Any uprzytomniła jej, jak absurdalnie mogło to zabrzmieć.

- Kogo szukasz?

— Javiera Montero. Ma rodzinę pod Bilbao. Sądzę, że próbuje się do nich dostać.

— Zatem wszyscy zmieramy w tym samym kierunku - rzekła Ana. — Zrobimy co w naszej mocy, żeby ci pomóc. Ruszamy za jakiś czas. On się dzisiaj wyszykuje — dodała, ruchem głowy wskazując ojca, nieruchomą postać pod kocem, śpiącą przy ścianie.

Mercedes już wiedziała, że nie powinna oczekiwać serdeczności od ojca Any. Poprzedniego wieczoru podsłuchiwała rozmowę, która wstrząsnęła nią do głębi. Wróciła do sali po buty do tańca; już miała wejść do środka, gdy usłyszała podniesione głosy i padło jej imię.

„Przecież my nic nie wiemy o tej Mercedes” — złościł się na żonę pan Duarte. Niemal wszyscy współmieszkańcy opuścili już klasę zaintrygowani nieodparcie kuszącą muzyką. „A jeśli ona jest komunistką...” — ciągnął pan Duarte.

„Ależ skąd! Po co mówisz takie rzeczy?”.

Mercedes stała przy uchylonych drzwiach.

„Bo komuniści są wszędzie. Ekstremiści. Ludzie, którzy doprowadzili do tego”. Zamaszystym gestem wskazał panujący dokoła rozgardiasz, dobytek ludzi będący tak wyrazistym symbolem utraty korzeni.

„Jak możesz twierdzić, że to ich wina? — zapytała podniesionym głosem pani Duarte. — Mam wrażenie, jakbym słyszała twoich braci”.

Mercedes skamieniała, przysłuchując się tej rozmowie. Ana wspominała, że jej ojciec nie znosi rządu republikańskiego, ale teraz Mercedes sama się zorientowała, że musi zachowywać szczególną ostrożność.

„Gdyby nie ci *rojos*, nie działałyby się takie rzeczy”. Słowo *rojos* zabrzmiało jak splunięcie.

„Gdyby nie Franco, nawet by się nie zaczęły” — odparła pani Duarte.

Pan Duarte wpadł we wściekłość i zamierzył się na żonę. Nie mógł pozwolić, żeby tak mu odszczekiwała.

Kobieta zasłoniła się ramieniem przed ciosem.

„Pedro!” — krzyknęła.

Natychmiast pożałował swego czynu, ale stało się. Nigdy dotąd nie zezłościł się aż tak, żeby uderzyć żonę. Z drugiej strony nigdy w ten sposób mu się nie sprzeciwiała.

„Przepraszam, bardzo przepraszam” — szepnął niemal bezludnie, pełen skruchy.

Mercedes była przerażona, widząc, że mąż podnosi rękę na żonę. Ojciec z pewnością nie tknąłby jej matki nawet palcem. Przemknęło jej przez myśl, czy nie powinna interweniować. Pan Duarte najwyraźniej miotał się, próbując obarczyć kogoś odpowiedzialnością za śmierć jedyne go syna. W jego odczuciu winni byli wszyscy, nie tylko bombowce, które położyły trupem jego dziecko, i oddziały nacjonalistów, które zajęły połowę kraju, lecz również republikanie, którzy nie umieli stworzyć zjednoczonego frontu.

Pani Duarte dalej spierała się rozjątrzona.

„A więc twierdzisz, że będziesz żył w kraju rządzonym przez faszystów i podporządkujesz się im, zamiast bronić tego, na co głosowałaś?”.

„Wolę tak postąpić, niż umrzeć. Śmierć jest bezsensowna. Pomyśl o naszym chłopcu”.

„Ciągle o nim myślę — odrzekła. — Zabili go ci, których teraz chcesz popierać...”.

Rozpacz i gniew targały nimi obojgiem. Prowadzenie rozsądnej rozmowy przekraczało ich możliwości.

Pani Duarte ze łzami w oczach wyszła z sali. Mercedes schowała się przed nią w ciemnym kącie. Chciała zabrać buty, więc teraz skorzystała z okazji i wbiegła do środka. Pan Duarte podniósł głowę. Od tej chwili zadawał sobie pytanie, czy Mercedes słyszała jego rozmowę z żoną.

Po południu cała czwórka była gotowa do wyjazdu. Zabrali się autobusem do Murcji.

Rozdział 25

Mniej więcej w tym samym czasie trzech przyjaciele z Grenady znowu opuszczali Madryt. Porywający apel La Pasionarii miał trafić wraz z nimi na front.

Od jakiegoś czasu Włosi wycofywali swoich żołnierzy z nad Jaramy i teraz, na początku marca, rozpoczęli kolejną ofensywę pod Guadalajarą, pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Madrytu. Na to czekali Antonio, Francisco i Salvador przepełnieni bojowym duchem. Realia, w jakich przyszło im stanąć do boju, nie były jednak takie, jak sobie wyobrażali. Dysponując całą zbrojownią: czołgami, bronią maszynową, samolotami i ciężarówkami, ludzie Mussoliniego rozpoczęli zmasowany atak na terytorium republikańskie.

Gdy trójka przyjaciół dotarła na miejsce walk, Włosi już przełamali linię frontu i mieli przewagę. Ponieważ nieprzyjaciół rozporządzał silną artylerią, armia republikańska znalazła się w trudnym położeniu. I wtedy nastąpiła zmiana pogody. Zaczął padać deszcz ze śniegiem i od tej pory siły przyrody odgrywały niemal równie znaczącą rolę co karabiny.

Ludzie znajdujący się w rzadkim zagajniku, pod bezlistnymi drzewami, które nie dawały żadnej osłony, trzęśli się albo powoli kostnieli z zimna. W wilgotnym powietrzu gasły papierosy.

- Chryste — odezwał się Francisco, patrząc na swoją dłoń — prawie nie widzę własnej ręki. Jak odróżnimy naszych od faszystów?

- Ciężko będzie — powiedział Antonio, stawiając kołnierz i mocno splatając ręce na piersiach, żeby było mu ciepłej. — Może przestanie padać.

Jego nadzieje się nie spełniły. Następnego dnia zaczął sypać śnieg, a potem wszystko przesłoniła mgła. Gdy republikańskie wojska lądowe rozpoczęły kontratak, umundurowani jak na tropiki Włosi cierpieli z zimna jeszcze bardziej niż ich przeciwnicy. Arktyczne temperatury dały się we znaki obu stronom i zdarzały się przypadki zgonów po prostu z wyziębienia. Antonio stwierdził nie bez satysfakcji, że Włosi przecenili swoje możliwości szybkiego przemieszczania się i w zamieszaniu wywołanym mgłą i opadami ich jednostki traciły ze sobą łączność. Brakowało również paliwa, pojazdy były porzucane, a samoloty z trudem startowały.

Republikanie zdobywali przewagę z godziny na godzinę.

- Przynajmniej raz szczęście dopisuje tym co trzeba — powiedział na migi Antonio.

- Może dlatego, że my tu jesteśmy — zażartował Salvador, uśmiechając się. — Wreszcie dostało się temu Franco.

Gdy we włoskich oddziałach występowały kłopoty z łącznością, jednostka milicji, do której należał Antonio, miała minimalnie lepszy obraz sytuacji. Dokoła toczyły się zaciekle walki, lecz niewiele można było zobaczyć z powodu prawie zerowej widoczności. W tym zimnie i zamęcie Antonio słyszał przemijające krzyki konających, nieraz postrzelonych przez własnych kolegów.

Gdy ruszyli do boju, Antonio starał się trzymać jak najbliżej Salvadora. Czuł się odpowiedzialny za przyjaciela, choć ten dał już dowody odwagi nad Jaramą.

Salvador zdążył się przekonać, że w działaniach zbrojnych głuchota ma pewne zalety: nie słyszał ani świstu kul, ani jęku rannych; miało to również wadę: nie usłyszał ostrzegaw-

czego okrzyku. W chwili śmierci nie czuł strachu. Tylko mignęła mu przed oczami wykrzywiona twarz przyjaciela. Krzyk bólu, który rozległ się chwilę później, wydobył się nie z gardła ofiary, lecz Antonia, gdy odwrócił się i zobaczył, jak kochany El Mudo, jego najstarszy przyjaciel, pada na ziemię.

To koszula Antonia przesiąkła krwią. Poczzerwieniała, gdy tulił w ramionach umierającego przyjaciela. Resztę wchłonęła ziemia i zrobiła się purpurowa.

Na tym polu bitwy nie było czasu, by pozwalać sobie na przeżywanie żałoby. Salvador zginął pod koniec dnia, więc w przeciwieństwie do wielu innych, którzy godzinami leżeli tam, gdzie padli, mógł zostać szybko pochowany przez Francisca i Antonia. Zamarznęta ziemia nie ułatwiała im zadania. Gdy wyrąbywali ją kawałkami, było im ciepło jak nigdy w ostatnich dniach. Trzeba wykopać pokaźny dół, żeby pochować człowieka. Kopiec wybranej ziemi wydał się absurdalnie wielki w porównaniu z owiniętymi w całun zwłokami Salvadora.

Następnego dnia otrzymali rozkaz zebrania sprzętu pozostawionego przez Włochów. Innym polecono pilnować jeńców. Antonio ucieszył się, że nie im przypadło to zadanie. Nie miał pewności, czy Francisco traktowałby ich humanitarnie. Ani on sam, jeśli chodzi o ścisłość.

Od tego dnia powodowała nimi wściekłość. Już nikt nie musiał im przypominać, że walczą w słusznej sprawie. Porzucona broń i inne rzeczy znalezione na polu bitwy dowodziły tego, co wszyscy wiedzieli od jakiegoś czasu — że Włochy łamią porozumienie o nieinterwencji, które jakoby obowiązuje w Europie. Na mocy tego porozumienia państwa europejskie miały nie opowiadać się po żadnej ze stron wewnętrznego konfliktu w Hiszpanii. Kilka krajów nie respektowało jednak tego porozumienia. Dokumenty przechwycone przez milicję republikańską przydały się politykom jako materiał dowodowy. Z kolei zdobyty sprzęt dodał skrzydeł walczącym

dla dobra republiki. Dla nich wartość każdego działa była nieoceniona.

* * *

Po bitwie pod Guadalajarą Antonio i Francisco wrócili do Madrytu. Bojownicy, którzy mieszkali niedaleko i wciąż mieli rodziny, dostali przepustki na wyjazd do swoich wiosek. Francisco i Antonio w żadnym wypadku nie mogli odwiedzić rodzinnego miasta. W Grenadzie rządzili twardo nacjonałiści; poza tym podróż skończyłaby się najpewniej aresztowaniem.

Zostali w Madrycie i pomagali umacniać barykady. Choć trudno było bronić miasta przed atakami z powietrza, zamierzano zbudować solidne wały, by zrobić ze stolicy fortecę. Dzień po dniu Antonio i Francisco układali ściany z worków z piaskiem, zamokłych po deszczu, podobnych do wielkich, gładkich, zaokrąglonych głazów. Wiele budynków, w których na skutek wybuchów wyleciały okna, wyglądało jak plaster miodu. Te gmachy ciągle przypominały o konieczności bronienia Madrytu, nawet gdy generał Franco zmienił kierunek ofensywy.

Antonio i Francisco boleśnie odczuwali brak Salvadora. Jego łagodzący wpływ był konieczny w ich przyjaźni; jego odejście pozostawiło pustkę w samym jej środku. Po wielu latach troski o przyjaciela mieli dojmujące poczucie porażki, że nie zdołali go osłonić przed śmiercionośną kulą. Te dni w Madrycie były wypełnione niepewnością, gdzie przyjdzie im teraz walczyć, z rozczarowaniem. Lewica dzieliła się coraz bardziej, a Franco nu pewno wykorzysta jej brak spójności.

Problem w tym, że nadal nie ma jedności, nie ma silnego jądra — powiedział z niepokojem Antonio. — A zatem na co możemy liczyć?

Ale jeżeli ludzie mają mocne zasady, bez względu na to, czy są marksistami, czy komunistami, dlaczego mieliby od nich odstąpić? — zapytał Francisco. — Gdyby tak zrobili, czy nadal braliby udział w walkach?

— Jest tu mnóstwo ludzi o żarliwych przekonaniach odrzekł Antonio. — Niekoniecznie wyznających skrajne poglądy polityczne. I wielu z nas chce walczyć. Ale dopóki przywódcy nie uzgodnią wspólnego stanowiska w paru sprawach...

— ...dopóty niczego nie osiągniemy — dokończył myśl Francisco. — Patrząc na to, co się zaczyna dziać, trzeba ci przyznać rację.

Choć jednostki milicji zostały teraz przyłączone do Armii Ludowej, dochodziło do dalszych rozłamów wśród podzielnym na frakcje przeciwników generała Franco. W szeregach komunistów, anarchistów, marksistów i w mnóstwie mniejszych grup dochodziło do konfliktów wewnętrznych, obmawiania się i niezgody. Antonio pragnął, żeby przywódcy wszystkich tych organizacji zrozumieli, że nie ma innego rozwiązania, jak się zjednoczyć, ale każdy dzień przynosił nowe podziały i spory.

Rozdział 26

Podróż autobusem do Murcji dobiegała końca. Mercedes patrzyła przez szybę i myślała o swoich rodzicach. Gdy państwo Duarte nie wymienili ani słowa przez całe sześć godzin podróży, uświadomiła sobie, że między Conchą a Pablem taka wrogość byłaby absolutnie niemożliwa. Mimo że czasem nie zgadzali się w różnych sprawach, generalnie odnosili się do siebie serdecznie.

Ana spała niemal całą drogę.

W Murcji, podobnie jak w wielu innych miejscowościach, ludzie byli zmuszeni do zebrania na ulicach, ale ci, do których wyciągali ręce, najczęściej również znajdowali się w potrzebie. Gdy dziewczęta wysiadły z rozklekotanego autobusu, zauważyły starszego mężczyznę, który grał na trąbce, i tańczącego przed nim psa.

Popatrz! — zawołała rozbawiona Ana, pociągając Mercedes za rękaw. Przez chwilę pokaz wywierał jakiś urok i po raz pierwszy tego dnia miały trochę rozrywki. — Słodkie stworzenie, ale jakie wychudzone...

Pies spoglądał smutnym wzrokiem, jak jego pan. Uroczy z początku duet wydawał się teraz żaloszny. Przedstawienie było poniżające i dla człowieka, i dla zwierzęcia. Kilka monet wrzuconych do znajdującego się przed nimi kapelusza zapewne

rekompensowało poniżenie z nawiązką, ale przechodnie za-
trzymywali się z rzadka.

— Ciągłe myślę tylko o swoim brzuchu — uskarżała się Ana. — To jedyna część ciała, jaką czuję. — Pośladki i nogi zdrętwiały jej od siedzenia prawie przez cały dzień. — Gdzie znajdziemy coś do jedzenia?

Zaopatrzenie sklepów było dobre, ale rodzina Duarte musiała oszczędnie wydawać pieniądze, żeby starczyło ich na dłuższy czas. Przed kilkoma tygodniami pan Duarte opróżnił swoje konto w banku i teraz zaciskał pasa, nie wiedząc, jak długo przyjdzie im żyć w takich warunkach.

Choć Mercedes miała wrażenie, że chętnie dzieli się z nią tym, co mają, często dręczyły ją wyrzuty sumienia. W zamian mogła im zaoferować niewiele więcej prócz towarzystwa i możliwości porozmawiania i wiedziała, że Ana liczy i na jedno, i na drugie. Pieniądze skończyły się Mercedes dawno temu.

Dziewczęta poszły się przejść, a pan Duarte zaczął szukać miejsca na nocleg. Podczas spaceru Mercedes cały czas miała w pamięci tańczącego psa z obrozą z falbanki. Nagle, nie bez obaw, uprzytomniła sobie, co musi zrobić. Gdyby znalazła akompaniatora, mogłaby tańczyć, a jeżeli ktoś chciałby jej za to zapłacić, zwróciłaby trochę pieniędzy tej rodzinie i w ten sposób nie byłaby dla nich ciężarem.

Od razu weszły do jednej z kawiarni na placu. Jak reszta miasta o tej porze, wyglądała na opustoszałą. Wielu młodych mężczyzn wyjechało, żeby wstąpić do milicji republikańskiej, toteż można było odnieść wrażenie, że wśród mieszkańców zabrakło całej jednej grupy wiekowej. Właściciel kawiarni był mężczyzną w średnim wieku, o dość wesołym usposobieniu. Wiedział, że wieczorem i tak przyjdzie dużo gości, więc szykował lokal na ich przyjęcie. Zaopatrzenie w alkohol nadal było całkiem niezłe, a ludzie sporo pili. Interesy szły nie tak źle. Uśmiechem powitał dziewczyny.

— Czym mogę służyć?

— Mamy do pana pytanie — odezwała się śmiało Ana.

Moja przyjaciółka chce tańczyć. Czy mogłaby występować tutaj?

Mężczyzna przestał wycierać kieliszki.

Tańczyć? W mojej kawiarni?

Zareagował tak, jakby usłyszał jakąś niezwykłą prośbę, u przecież w deski tej podłogi tupali najlepsi tancerze w regionie. Na ścianie za barem wisiało nawet zdjęcie z autografem, które zostawiła znakomita *bailaora*, znana jako La Argentina.

Dawniej tańczenie było taką prostą czynnością: naturalną reakcją na muzykę każdego człowieka, osoby dorosłej czy dziecka. Ale teraz nawet to niewinne zajęcie miało polityczną wymowę.

Gdy zmysłowa i buntownicza sztuka flamenco, wspaniale rozwijająca się w wielu częściach kraju, nie uzyskała akceptacji surowego i świętoszkowatego reżimu generała Franco, nikt się nie zdziwił. Niepokój wzbudziła natomiast dezaprobata w części regionów znajdujących się pod władzą republikanów, gdzie na plakatach informowano, że taniec jest ni mniej, ni więcej tylko przestępstwem. Rozwieszali je anarchiści, budząc zarówno poczucie winy, jak i strach. Gdy Mercedes zobaczyła taki afisz na ulicy w Murcji, wstrząsnął nią dreszcz. Jak można zakazać tańczenia?

GUERRA A LA INMORALIDAD", krzyczał nagłówek plakatu. Uznano, że taniec, wraz ze spożywaniem alkoholu w barach oraz chodzeniem do kina i do teatru, stanowi przeszkodę w walce z faszyzmem.

"El baile es la antesala del prostitución", mówił dalej plakat. "Taniec prowadzi do prostytucji".

Doszukiwanie się związku między tancerkami a prostytutkami może miałoby jakieś uzasadnienie w dużych miastach, ale te dwie młode dziewczyny wydały się właścicielowi kawiarni słodkimi, niewinnymi, naiwnymi pannami. Był republikaninem i podobnie jak Mercedes oburzało go zaliczenie tańca do działań niezgodnych z prawem.

A co byś za to chciała? — zapytał rzeczowym tonem

człowieka interesu, tak by nie domyślono się, co mu chodzi po głowie.

— Jakaś zapłatę — odparła Mercedes z pewnością siebie, na jaką tylko było ją stać.

Nigdy dotąd nie tańczyła wyłącznie dla pieniędzy, ale zmieniło się życie i wraz z nim zasady postępowania.

— Zapłatę... Hm, jeśli przyciągniesz więcej gości, będzie ci się należało wynagrodzenie. A jeżeli oni zechcą ci coś dać, nie ma w tym chyba nic złego. W porządku. Czemu nie?

— Dziękujemy — powiedziała Ana. — A czy jest tu ktoś, kto gra na gitarze?

— Myślę, że tak — rzekł już rozbawiony właściciel kawiarni.

W każdej z tutejszych wiosek i osad znalazłoby się człowieka grającego na tyle dobrze, by akompaniować do tańca. Mógłby sprowadzić muzyka na dziewiątą, poćwiczyliby kilka kawałków na dziedzińcu, a potem wystąpili przed publicznością.

— Jeszcze jedna sprawa — dodał. — Chyba powinnaś włożyć coś... bardziej odpowiedniego.

Mercedes zarumieniła się, nagle zawstydzona swoim wyglądem. Od kilku tygodni nosiła tę samą bluzkę i spódnicę. Nadarzyło się niewiele okazji, żeby zrobić pranie, a poza tym przywykła do brudu.

— Mam tylko to — wyznała. — W tym ubraniu opuściłam dom. Prócz butów nie wzięłam nic.

— Maria! Maria! — zaczął od razu wołać w kierunku schodów, które prowadziły prosto z baru na piętro, i chwilę później pojawiła się drobna kobieta, jego żona.

Właściciel kawiarni nie dokonał prezentacji, tylko wskazał Mercedes, mówiąc:

— Ona będzie dzisiaj tańczyć, ale nie ma sukni. Spróbuj jej coś znaleźć.

Kobieta objęła Mercedes wzrokiem i poszła na górę.

— Zaraz będzie z powrotem — powiedział jej mąż. — Nasza córka tańczyła kiedyś... była trochę tęższa od ciebie, ale **cos** tam się dopasuje.

Po kilku minutach kobieta wróciła z dwiema sukniami przewieszonymi przez ramię. Mercedes przymierzyła je w pokoju na zapleczu. Zrobiło jej się nieswojo, gdy poczuła ciężar i wyraźne kołysanie falban wokół kostek. Czerwona suknia w wielkie białe grochy leżała na niej lepiej, choć była za luźna w biuście i miała za szerokie rękawy. Ale ostatecznie każdy strój bardziej nadawałby się do tańca niż jej wytarta spódnica.

Dziewczęta wyszły z kawiarni, obiecawszy, że przyjdą pod wieczór.

Gitarzysta grał całkiem dobrze. Miał koło pięćdziesiątki i wielokrotnie pojawiał się na *juergas*, ale chętniej występował jako solista niż akompaniator. Zaprezentowali repertuar, który miał zabawić gości i uprzyjemnić im kilka godzin. Od czasu do czasu ten i ów z widzów mruknął: „Ole”.

Mercedes nie mogła się nadziwić, że tańczenie jedynie dla pieniędzy jest taką mechaniczną czynnością. Ten występ był zupełnym przeciwieństwem tamtego wieczoru w Almerii. Niemniej goście wrzucali monety do miski, z którą Ana chodziła po sali, a właściciel kawiarni wyjął z kasy garść drobnych i dołożył je z uśmiechem. Jego wpływy wzrosły tego dnia.

Jakie to było drętwe — rozpacziała Mercedes, gdy położyła się spać koło Any.

Nie przejmuj się. Goście nic nie zauważyli. Potrzebowali rozrywki i byli zachwyceni. I tak wypadłaś lepiej od tamtego psa!

Mercedes roześmiała się.

Mieliby więcej przyjemności, oglądając teatrzyk kukielkowy — powiedziała.

Ten pomysł powieliły w kilku miastach, zmierzając powoli w kierunku Bilbao. Mercedes zorientowała się, co sprawia widzom przyjemność, a co ich nie porusza, i odkryła, jak zademonstrować taneczną biegłość w sposób bardziej praktyczny. Tylko nieliczni widzowie zauważyli, jak mało daje z siebie. Dobrze wiedziała, że w ten sposób nikogo nie wzruszy, ale i tak zarabiała pieniądze i była szczęśliwa, mogąc dzielić

się nimi z Aną i jej rodzicami. Taniec znów ją ratował, choć inaczej niż poprzednio.

Podczas wielogodzinnej jazdy autobusem czy samochodem dostawczym rodzice Any zazwyczaj się nie odzywali, a Mercedes często patrzyła na pana Duarte i zastanawiała się, ile trudu sprawia mu udawanie, iż ona jest jego córką. W połowie marca wjechali na tereny opanowane przez nacjonalistów. Pan Duarte był jeszcze bardziej podenerwowany. Na każdym rogu ulicy stali donosiciele.

— Koniec z tańczeniem — powiedział pewnego wieczoru do dziewcząt. — Nie wiemy, jak to zostanie przyjęte w tym regionie.

— Czym się tu przejmować, tato? — zawołała Ana. - Wszyscy zachwycają się tańcem Mercedes, więc co w tym złego?

— To, że ludzie zwracają na nas uwagę. A my chcemy się tego ustrzec. Wolimy nie rzucać się w oczy.

Wieczne przedstawienia ogromnie ożywiły podróż. Mercedes zauważyła z radością, że każdy występ rozładowuje napięcie nagromadzone przez cały dzień, i obudził się w niej dawny zapal. Z przykrością zrezygnowała z tańczenia, choć rozumiała powody zakazu.

Pan Duarte nie ufał nikomu, poza tym nawet w głębi obszaru opanowanego przez nacjonalistów, dokąd zdołali już dotrzeć, częstokroć trudno było się domyślić, czyją stronę trzyma lokalna ludność.

Kilkakrotnie podczas podróży zatrzymywali ich funkcjonariusze Guardia Civil w lśniących lakierowanych kapeluszach nasadzonych na czubek głowy. „Skąd przyjechaliście?“, „Dokąd się udajecie?“, rzucali warkliwie pytania. Wprawnym okiem potrafili dojrzeć pierwsze kropelki potu na czole przesłuchwanego i ocenić wyraz oczu, które uciekały przed ich surowym wzrokiem. Rozbiegane spojrzenie czy brak pewności siebie natychmiast budziły podejrzenia prowadzące do długotrwałych przesłuchań.

Pan Duarte odpowiadał na pytania całkiem *szczerze*. Wywiózł rodzinę z regionu zajętego przez republikanów i zmierzał do swojego brata w San Sebastian. Funkcjonariusze słusznie przypuszczali, że jest stronnikiem Franco. Niektórzy zauważyli wyraz twarzy i milczenie żony, wyczuli jej strach, ale nie zwracali sobie głowy jej zagadkowym zachowaniem. Uważali, że społeczeństwo nie dozna uszczerbku, gdy kobiety będą żyły w strachu przed mężami. Otrzymali zadanie wyłapywania wywrotowców, a ta kobieta i jej dwie córki, okazujące brak zainteresowania tym, co się działo dokoła, wyglądały na osoby zupełnie nieszkodliwe.

Po miesiącu wspólnej podróży dotarli do rozwidlenia drogi: Ana jechała z rodzicami do wioski swego wuja, Mercedes zmierzała na północ w kierunku Bilbao, ponownie wkraczając **NA** tereny pod władzą republikanów. Dziewczęta wolały nie myśleć o kolejnych etapach podróży, którą już będą odbywać osobno.

Pan Duarte pożegnał się zdawkowo, jego żona okazała więcej ciepła.

Ich córka przyłgnęła do Mercedes, jakby nie chciała wypuścić z objęć.

Obiecuj, że znowu się zobaczymy — poprosiła.

Na pewno tak będzie. Gdy tylko ustabilizuje się moje życie, napiszę do ciebie na adres wuja.

Mercedes postanowiła panować nad uczuciami. Obietnice ponownego spotkania odpędzały myśl o tym, co było dla nich niewyobrażalne — że już nigdy się nie zobaczą. Przez ostatnie tygodnie nie rozstawały się ani na chwilę, w dzień czy w nocy. Nawet siostry nie były sobie tak bliskie.

Rozdział 27

Concha nadal prowadziła El Barril. Dzięki temu mogła jakoś znieść mijające nieznośnie wolno tygodnie. Tylko codzienne obowiązki pomogły jej zorganizować sobie życie po tym, jak przestała odwiedzać Pabla w więzieniu. Przez pierwsze miesiące po aresztowaniu jeździła do niego w miarę możliwości regularnie, ale gdy konflikt polityczny zaczął się przeciągać, sprawiało jej to coraz więcej trudu. Drogi były niebezpieczne, ciągle obawiała się aresztowania, do tego podróż nadwerężała jej siły. W końcu, przed dwoma tygodniami, Pablo wymusił na niej obietnicę, że przestanie przyjeżdżać.

W półmroku, oddzieleni podwójną metalową siatką, stali, patrząc jedno na drugie i widząc tylko niewyraźny zarys postaci. Odległość między nimi uniemożliwiała prowadzenie rozmowy, co najwyżej mogli rzucać krótkie zdania, starając się przekrzywić gwar innych małżonków wymieniających informacje. W obecności stojących opodal strażników nie było tu miejsca na zwierzenia czy dzielenie się lękami. Przy każdej kolejnej wizycie Concha miała wrażenie, że jej mąż coraz bardziej się kurczy. Widząc jedynie mglistą sylwetkę, nie wiedziała, jak bardzo choroba odbija się na jego wyglądzie. Całe szczęście

„Ktoś musi zachować siły, *querida mia*” — doleciał ją ledwie słyszalny głos Pabla zza przegrody.

„Ale to mnie powinni byli zamknąć” — powiedziała.

„Nie mów tego — skarcił ją Pablo. — Wolę tu siedzieć, niż myśleć o tym, że przebywasz w jakimś strasznym miejscu”.

Pablo, jak wszyscy, wiedział, co się dzieje w więzieniach dla kobiet, i za wszelką cenę chciał oszczędzić tego żonie. Więźniarkom golono włosy, dawano olej rycynowy na oczyszczenie, częstokroć gwałcono je, wypalano piętna na ich cudach. Żaden mężczyzna, jeśli tylko mógł coś zrobić, nie dopuściłby, by jego żona znosiła takie upokorzenia. Pablo nigdy nie żałował swojej decyzji.

„Nie przyjeżdżaj — błagał żonę. — Tylko sobie szkodzisz”.

„A paczki żywnościowe?”.

„Przeżyję”.

Pablo nie chciał wyjawiać, że z paczki zazwyczaj pozostawało niewiele, gdy strażnicy o lepkich rękach sprawdzili jej zawartość i przekazali ją więźniowi. Wiedział, że jedzenie i tytoń znalazły się w tych przesyłkach za cenę przeogromnych wyrzeczeń żony, więc nie należało pozbawiać jej złudzeń.

Concha przestała odwiedzać Pabla, ale dręczyło ją nieustające poczucie winy. Myśl, że to ona mogła być zamknięta w celi, głodzona i torturowana, nie opuszczała jej ani na chwilę. Zdając sobie sprawę, że gniew i rozpacz nie poprawią jej położenia, na wszystkie sposoby usiłowała oderwać się myślami od tego, co musi znosić Pablo.

Niepokój Conchy potęgował również brak wiadomości od dzieci. Tylko matka Salvadora, Josefina, wiedziała cokolwiek o chłopcach. Wróciła do Grenady miesiąc po ich wyjeździe do Madrytu i zastała list z oddziału milicji zawiadamiający o śmierci syna. Niczego więcej nie można było się dowiedzieć, ale przyszły do niej również dwa listy od Salvadora wysłane wcześniej, w których potoczyście, z humorem i ze szczegółami opisywał poczynania trójki przyjaciół. Salvador miał łatwość pisania i żywe pióro. Josefina pokazała te listy Conchy i Marii Perez, a potem wszystkie trzy zaczytywały się nimi godzinami.

Concha była pewna, że Mercedes nie zdołała dotrzeć do

Malagi. Podtrzymywała w sobie nadzieję, że córka jest gdzieś razem z Javierem, ale boi się wracać do Grenady. Wierzyła, że ten okres niepewności wkrótce minie, że rodzina znów się połączy, i z utęsknieniem czekała na list od Mercedes.

* * *

Mercedes uprzytomniła sobie, że stała się osobą samodzielną. Tęskniła za Aną, ale samotność nie była dla niej niczym nowym. Miała wrażenie, że minęły wieki od czasu, gdy ktoś otaczał ją opieką, i zbladło w jej pamięci wspomnienie hołubiących ją braci.

Gdy dotarła do Kraju Basków, gdzie władzę dzierżyli republikanie, wyliczyła sobie, że już za kilka dni powinna znaleźć się w Bilbao. W torbie miała buty i suknię do tańca, którą podarowała jej żona właściciela kawiarni, oraz trochę zapasowych ubrań kupionych za zarobione pieniądze. Nie zamierzała dawać występów podczas samotnej podróży, ale pewnego wieczoru, w małej mieścinie, która ledwie zasługiwała na to, by nazwać ją miasteczkiem, okoliczności wydały się sprzyjające.

Autobus zajechał na ostatni przystanek późnym popołudniem. Mercedes szybko znalazła nocleg. Gdy mocno wychyliła się przez okno wynajętego pokoju, które wychodziło na boczną uliczkę prowadzącą na plac, zobaczyła jakiś ruch w oddali i postanowiła zobaczyć, co się tam dzieje.

Był dziewiętnasty marca. Mercedes nie zdawała sobie sprawy, co to za dzień. Na niewielkim placu zbierali się mieszkańcy. Dwie małe dziewczynki biegały dokoła, goniły się z piskiem, stukały kastanietami, niemal się przewracały, gdy falbany tanich sukienek do flamenco plątały im się między nogami. Ten pokryty kurzem plac z ciurkającą fontanną na środku stanowił centrum ich wszechświata. Był jedynym miejscem, jakie znały. Mercedes zazdrościła im, że żyją w nieświadomości tego, co się dzieje nie tak daleko stąd. Ich rodzice ciężko pracowali, żeby nie odczuwały skutków niedostatecznego zaopatrzenia.

które doskwierało na obszarach miejskich. Sporadyczny, cichy huk i rozbłysk na wieczornym niebie, oznaki spadających gdzieś daleko bomb, były jak z innego świata w odczuciu dzieci tej zamkniętej, jak się zdawało, społeczności. Kilkoro z nich poznało strach — ich ojcowie zniknęli nocną porą — ale społeczność nadal funkcjonowała normalnie.

Mercedes zobaczyła dziewczęta, które siedziały na murze I gawędziły, inne zaplatały sobie nawzajem warkocze, jeszcze inne kręciły się w koło, przytrzymując obszyte frędzlami chusty. Stojący w grupie chłopcy patrzyli na nie z pewnej odległości, nagradzani od czasu do czasu ukradkowym spojrzeniem kątem oka rzuconym w ich stronę. Jeden z chłopców, trochę starszy od pozostałych, trzymał gitarę. Brzdąkał w struny z nonszalancją właściwą zadufanym przystojniakom. W pewnej chwili podniósł głowę i zauważył, że Mercedes go obserwuje. Uśmiechnęła się. Prawdopodobnie był niewiele młodszy od niej, ale ona czuła, że ma sto lat więcej. Już bez lęku i bez wahania podeszła do niego.

- Będą później tańce? — zapytała.

Odpowiedział pogardliwym spojrzeniem. Niewielka scena z desek, zbudowana opodal, wyraźnie świadczyła o tym, że odbywa się tu fiesta. Była to pierwsza fiesta, jaką Mercedes widziała od miesięcy i choć religijna wymowa uroczystości miała dla niej niewielkie znaczenie, to ceremonia, muzyka i tańce odznaczały się żywością, której nie zdołałaby się oprzeć.

- Przecież to dzień Świętego Józefa! — odparł chłopak. — Nie wiesz o tym?

Później zobaczyła tego młodego gitarzystę u boku starszego mężczyzny, jak siedzieli na krzesłach na skraju sceny. Zbliżała się ósma. Był to pierwszy wieczór tego roku, gdy ciepło dnia utrzymywało się do tak późna. Ciche strojenie gitar nie wiadomo kiedy przeszło we wstęp do pierwszego utworu, *alegrías*, i zerwały się oklaski.

Wydawało się, że muzyka napływa z przeciwnych kierunków

w rytmach, które ścierają się ze sobą i potem znów łączą niczym prądy dwóch spływających ku sobie strumieni. Muzyka ojca i syna się splatała. Ich melodie się krzyżowały, współgrały i znowu cofały, by płynąć w kierunku podjętym wcześniej. W momentach szczególnie przyjemnych dla ucha oba instrumenty wydawały jeden dźwięk, potem znów się oddalały, powracając każdy do swojej melodii. Nawet dysonanse brzmiały harmonijnie, akordy molowy i durowy czasem zderzały się łagodnie ze sobą.

Mercedes siedziała blisko sceny, z uśmiechem uderzając rytmicznie dłońią w kolano. To była cudowna muzyka. Targany walkami świat na chwilę przestał istnieć.

Gdy ten boski koncert dobiegł końca, starszy gitarzysta podniósł głowę i spojrzeniem dał znak Mercedes. Nadeszła jej kolej. Zagadnęła go wcześniej tego wieczoru i dowiedziała się, że obaj mężczyźni też są przyjezdnymi. Opuścili Sewillę przed kilkoma miesiącami i czekali, aż okoliczności pozwolą im wrócić do domu. Teraz było tam zbyt niebezpiecznie.

„Ucieszą się, mogąc zobaczyć, jak ktoś tańczy prawdziwe flamenco!” — powiedział z uśmiechem, odsłaniając szeroką przerwę między przednimi zębami.

Taniec Mercedes na małej scenie z desek, gdzie przed publicznością występowali już chłopcy, dziewczęta i kilka starszych kobiet, stał się czymś więcej niż uzewnętrznieniem namiętności i mocy, jak to zwykle bywa we flamenco. Widzowie wyczuwali pierwotną siłę jej gestów. Stłumione *ole* słyszało się zarówno od kobiet, jak i mężczyzn zaskoczonych pojawieniem się tej wspaniałej tancerki. *Guittarristas* może i dali ludziom zapomnienie, natomiast Mercedes przypomniwała im, że ich kraj jest rozdarty. W jej ruchach zawierała się udręka, którą widzowie odczuwali na myśl o zwróconych przeciwko sobie karabinach i armatach. Po dwudziestu minutach tańczenia dała z siebie wszystko. Ostatnie mocne i donośne tupnięcie było jednoznacznym wyrazem sprzeciwu. „Nie ulegniemy”, zdawało się mówić. Wybuchła burza oklasków.

Ludzie zainteresowali się Mercedes. Kilkoro z tych, z którymi rozmawiała tego wieczoru, nie mogło zrozumieć, dlaczego jedzie do Bilbao, gdzie, jak uważali, grozi jej niebezpieczeństwo.

Nie zostałabyś z nami? — zapytała kobieta, u której miała spędzić noc. — Tu jest bezpieczniej. Mogłabyś zatrzymać len pokój, jeśli ci pasuje.

- To miłe z pani strony — odrzekła Mercedes. — Ale muszę ruszać w drogę. Wujostwo czeka na mnie już od dłuższego czasu.

Prościej było skłamać, niż powiedzieć prawdę. Mercedes nie straciła nadziei, że odnajdzie Javiera, choć jego obraz powoli bladł w jej pamięci. Budziła się rano i próbowała przywołać wspomnienie jego twarzy, na próżno, czasem nie pojawiała się zupełnie nic, nawet kontur. Niekiedy musiała wyjąć z kieszeni lego zdjęcie, by przypomnieć sobie rysy twarzy, przejrzyste owalne oczy, orli nos, piękne usta. Tamta doskonała chwila w Maladze, gdy pozowali do zdjęć, wydała się odległa jak sprzed wieków. Mogłoby się zdawać, że taki olśniewający uśmiech można oglądać jedynie na portretach z podręczników do historii.

Rozstanie z ludźmi, których знаła, i z miejscami, do których przywykła, wywoływało w niej coraz większe poczucie pustki. Gdy tylko zniknęła jej z oczu rodzina Duarte, poczuła, że utraciła realny byt i powiązanie ze światem. Minęły już tygodnie czy miesiące od wyjazdu z domu? Trudno było powiedzieć. Nie miała nic, z czym mogła porównać upływ czasu. Jego trwałe ramy się rozsypały.

Teraz wiedziała z całą pewnością chyba tylko jedno: skoro przebyła taki szmat drogi, to musi iść dalej i dotrzeć do celu. Choć pojawiła się w jej głowie nowa, dręcząca wątpliwość, czy odnajdzie obiekt swoich poszukiwań, starała się o tym nie myśleć.

Następnego ranka wstała jeszcze przed świtem, nie chcąc spóźnić się na autobus, którym, jak ją poinformowano, miała

dojechać do Bilbao. Po kilku godzinach jazdy grzechoczący autobus wysadził ją na skraju miasta. Niedługo potem Mercedes zaczęła się domyślać, dlaczego poprzedniego wieczoru ludzie patrzyli na nią z niedowierzaniem, gdy mówiła o swoim zamiarze przyjazdu tutaj.

Z peryferii zabrał ją samochodem jakiś lekarz i zawiózł na jeden z głównych placów.

— Nie chcę cię zniechęcać — powiedział uprzejmie — ale nie będzie ci łatwo w tym mieście. Większość ludzi usiłuje się stąd wydostać.

— Wiem — odrzekła. — Musiałam jednak tu przyjechać.

Lekarz zorientował się, że nic jej nie powstrzyma, i nie zadawał pytań. Przynajmniej zrobił, co w jego mocy. Podobnie jak ta młoda kobieta nie udawałaby się do Bilbao, gdyby nie czuł się w obowiązku. W jego wypadku powodem był szpital pełen rannych.

— Szczerze mówiąc, sądzę, że niedługo to miasto padnie, więc uważaj na siebie.

— Postaram się — powiedziała i zmusiła się do uśmiechu. — Dziękuję za podwiezienie.

W mieście panował chaos. Mieszkańcy byli nękani częstymi nalotami bombowymi, żyli w strachu, w rozpacz i w panice. Czegoś takiego Mercedes nie widziała poprzedniego lata w Grenadzie ani nawet w Almerii, pośród wyniszczonych psychicznie uchodźców z Malagi.

Wydawało jej się, że niezmierną przestrzeń dzieli Bilbao od niektórych miasteczek poznanych w podróży, gdzie konflikt polityczny nie dotknął mieszkańców fizycznie ani nawet psychicznie. Miasto było pod nieustannym ostrzałem. Dzień i noc atakowano je z morza i z powietrza. Na skutek blokady portu niedobory żywności sięgnęły krytycznego poziomu. Ludzie żywili się ryżem i kapustą; jeśli nie chcieli jeść oślego mięsa, to innego nie mieli. Zwłoki ludzkie były zwyczajnym widokiem. Leżały na ulicach, w rzędach jak worki z piaskiem, i każdego ranka zawożono je wozami do kostnicy.

Znalazła się w tym piekle tylko z jednego powodu: musiała sprawdzić ostatni trop, który mógł doprowadzić ją do ukochanego. Na kawałku papieru, złożonego w kostkę i schowanego do torebki, widniał adres. Tam może zastanie Javiera. Nawet nikła szansa powodzenia wprawiała ją w taką euforię, że Mercedes chciała jak najszybciej być na miejscu.

Pierwsze osoby, które zapytała o drogę, też były nietutejsze. Uznała, że sklepikarz prędzej udzieli jej informacji, i pchnęła drzwi najbliższego sklepu. Handlowano w nim artykułami żelaznymi, ale na półkach leżało tyle towaru, ile sprzętów znajduje się w zwykłej kuchni. W środku nie było ani jednego klienta, a leciwy właściciel siedział w ciemnym kącie przy kasie, nadal udając, że interesy idą normalnie. Gdy usłyszał dźwięk dzwonka, zerknął znad gazety.

- Czym mogę służyć?

Wzrok Mercedes nie przystosował się tak szybko do mroku, więc skierowała się tam, skąd dobiegał głos, i wpadła na stół zastawiony zakurzonymi patelniami.

- Szukam tej ulicy — powiedziała, rozwijając kartkę papieru. — Wie pan, jak tam trafić?

Staruszek wyjął okulary z górnej kieszeni fartucha i ostrożnie nałożył je na nos. Powiódł grubym palcem po literach.

- Wiem, gdzie to jest. W północnej części miasta — odrzekł.

Na odwrocie kartki narysował tępym ołówkiem schematyczną mapkę. Potem wyprowadził Mercedes na chodnik i polecił jej iść do końca ulicy, parę razy skręcić, aż pojawi się druga główna ulica, która w końcu zawiedzie ją do celu.

- Po drodze upewnij się, czy dobrze idziesz. To jakieś pół godziny marszu stąd.

Po raz pierwszy od tygodni poczuła przypływ optymizmu i obdarzyła staruszka uśmiechem, jakiego nie widział od długiego czasu.

Zdziwił się, że ta młoda kobieta jest taka podekscytowana

na myśl, że znajdzie się w dzielnicy najbardziej zniszczonej bombami. Ale nie miał serca jej o tym powiedzieć.

Gdy Mercedes przemierzała ulice, ściśle stosując się do wskazówek i zbliżając się do celu, uśmiech powoli schodził jej z ust. Na kolejnych ulicach widziała coraz większe zniszczenia. Początkowo zauważyła kilka okien bez szyb, najczęściej zabitych deskami, ale po półgodzinie wędrówki jej oczom ukazały się budynki w dużo gorszym stanie. Potem zobaczyła skrawek morza i domyśliła się, że jest blisko celu. Tam z większości domów mieszkalnych pozostały same szkielety. W najlepszym razie stały cztery zewnętrzne ściany z ziejącą w środku dziurą, jak pudełko bez wieczka. W najgorszym razie pozostały tylko gruzy. W ruinach walały się resztki dobytku: połamane meble i tysiące osobistych rzeczy porzuconych w czasie chaotycznej ewakuacji.

Mercedes musiała kilkanaście razy pytać o drogę. W końcu zobaczyła na narożnym budynku tabliczkę z nazwą ulicy. Ocalał tylko ten jeden dom, pozostałe przy tej ulicy były poważnie uszkodzone. Można było odnieść wrażenie, że bomba spadła na środek jezdni i zburzyła wszystko w promieniu pięćdziesięciu metrów. Nawet z miejsca, gdzie stała Mercedes, widać było, że wszystkie mieszkania są puste. Czarne dziury okien przypominały oczodoły w czaszce. Wyliczyła, w którym budynku mieszkało wujostwo Javiera, i stwierdziła, że na pewno tam ich nie ma.

Ulica była wyludniona, jak każdy z tych domów. Mercedes doszła do wniosku, że ludzie, którzy przebywali w mieszkaniach podczas wybuchu bomby, są teraz albo ranni, albo martwi. Przez tyle tygodni podtrzymywała w sobie nadzieję, a teraz ostatnie iskierki zaczynały gasnąć. Tak bardzo chciała odnaleźć tu Javiera, ale stojąc na tej ulicy, uprzytomniła sobie, że woli, jak na ironię, by w ogóle nie dotarł do Bilbao. Drżała na całym ciele, wstrząśnięta i odrętwiała. Przenikało ją lodowate zimno.

Bezwiednie zgmiotła w twardą kulkę trzymany w dłoni

skrawek papieru z adresem Javiera. Gdy później tego dnia zauważyła brak kartki, przyjęła to z obojętnością. Teraz nie miała przed sobą żadnego celu.

* * *

Przez kilka następnych godzin Mercedes stała w kolejce po chleb. Takiego długiego rzędu ludzi nie widziała ani w Almerii, ani w żadnym innym mieście na terenach opanowanych przez republikanów. Wił się ulicą, zakręcał na rogu i ciągnął się następną ulicą. Matki robiły wszystko, żeby uciszyć kwilenie małych dzieci, ale jeśli stanęły w ogonku z głodnymi pociechami, to po trzech godzinach czekania jeszcze bardziej doskwierał im pusty żołądek. Z czasem ludzie tracili cierpliwość, a **także** pewność, że cokolwiek dla nich zostanie.

Wczoraj stała przede mną co najmniej setka ludzi — zrzędziła kobieta przed Mercedes. — A potem nagle zamknięto okiennice. Trzask. I po wszystkim.

Co zrobiliście? — spytała Mercedes.

A jak myślisz?

Kobieta mówiła ordynarnym językiem, była napastliwa. Mercedes czuła się w obowiązku wziąć udział w rozmowie, choć najchętniej stałaby w milczeniu. Była całkowicie zaabsorbowana myślami o Javierze i w odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami.

Czekaliśmy, to jasne. W żadnym wypadku nie chcieliśmy stracić miejsca w kolejce, więc spaliliśmy na chodniku.

Kobieta uparła się ciągnąć swą opowieść, choć Mercedes w ogóle jej do tego nie zachęcała.

I wiesz, co się stało? Gdy się obudziliśmy, przed nami stali jacyś ludzie. Zajęli nasze miejsca.

Wypowiadając ostatnie słowa, uderzyła zaciśniętą pięścią w rozłożoną dłoń drugiej ręki. Gdy przeżywała na nowo tę chwilę, jak to wyrugowano ją z kolejki, znów wpadła w gniew.

Sama widzisz, muszę dostać trochę chleba. Nie ma innej możliwości.

Mercedes była przekonana, że ta kobieta nie powstrzyma się przed niczym, żeby nakarmić rodzinę, nawet użyje siły, jak można by sądzić po jej groźnym zachowaniu.

Szczęście dopisało Mercedes tego ranka. Towaru nie zabrakło, gdy znalazła się na przodzie kolejki. Wiedziała jednak, że tamta kobieta odnosi się do niej z niechęcią, usłyszawszy, że Mercedes nie ma nikogo na utrzymaniu. Ponieważ nie wprowadzono racjonowania żywności, wiele osób z dziećmi twierdziło, że ich zaopatrzenie jest niedostateczne. Tamta kobieta niewątpliwie uważała, że cały świat sprzymierzył się przeciw niej i, co gorsza, chce oszukać jej rodzinę. Mercedes czuła na sobie jej świdrujące spojrzenie, gdy brała z lady chleb. Takie przejawy wrogości, nawet wobec ludzi z tego samego obozu, należały do najgorszych stron tej wojny.

Choć Mercedes zdawała sobie sprawę, że wśród mieszkańców narasta poczucie desperacji, nie wyjechała od razu z Bilbao. Przemierzyła szmat kraju i już nie miała dokąd się udać. Zobaczywszy zburzony dom wujostwa Javiera, przez następne dni podtrzymywała w sobie nadzieję, że ukochany jest gdzieś w mieście. Natychmiastowy wyjazd stąd był bezcelowy, wobec tego została i codziennie wypytywała ludzi.

Przede wszystkim musiała jak najszybciej znaleźć dach nad głową. Stojąc w kolejce po żywność, wdała się w rozmowę z jedną z matek. Maria Sanchez, pogrążona w żałobie po stracie męża, z wdzięcznością zgodziła się przyjąć ją na opiekunkę czwórki swoich dzieci w zamian za mieszkanie. Mercedes zamieszkała w pokoju z dwiema dziewczynkami, które niedługo potem zaczęły mówić do niej *tia*, ciociu.

Rozdział 28

W marcu, gdy zakończyła się bitwa pod Guadalajarą, generał Franco przerwał atak na stolicę i przystąpił do ofensywy na uprzemysłowioną północ kraju: Kraj Basków wciąż stawiał nieugięty opór. Antonio i Francisco wrócili tymczasem do Madrytu, który, choć nie był już głównym celem kampanii Franco, nadal musiał się bronić.

Spędzali tygodnie we względnej bezczynności: pisali listy, grali w karty i od czasu do czasu brali udział w potyczce. Francisco, jak to on, koniecznie chciał być znów w centrum działań, Antonio zaś starał się zachować cierpliwość. Stale odczuwał głód wywołany nie tylko niedostatkiem chleba, lecz również brakiem wiadomości o wydarzeniach w innych częściach kraju. Pochłaniał informacje z codziennych gazet, ledwie dostarczono je do kiosków.

Pod koniec marca usłyszeli o zbombardowaniu bezbronniego Durango. Bomby spadły na kościół podczas mszy i zabiły większość wiernych, wśród nich kilka zakonnic i księdza. Ponadto gdy niemieckie myśliwce ostrzelały uciekającą ludność cywilną, zginęło około dwustu pięćdziesięciu osób. Zniszczenie Innego miasteczka, starej Guerniki w Kraju Basków, wywarło silniejsze wrażenie i na Antoniu, i na Mercedes, choć znajdowali się w odległości setek kilometrów od siebie i z dala od domu.

Tamten dzień pod koniec kwietnia, gdy podano wiadomość, że z Guerniki pozostały osmalone kikuty domów, należał do najczarniejszych podczas tego konfliktu. Antonio siedział w wiosennym madryckim słońcu i tak mu się trzęsły ręce, że ledwie trzymał gazetę. Żaden z przyjaciół nigdy nie był w Guernice, lecz opis zniszczeń wywoływał przerażające wrażenie.

— Popatrz na te zdjęcia — wykrztusił Antonio, podając gazetę Franciscowi. — Tylko popatrz...

Przyjaciele nie mogli uwierzyć własnym oczom. Kilka fotografii pokazywało wykrzywione szkielety budynków oraz leżące na ulicy zwłoki ludzi i zwierząt — był dzień targowy. Najbardziej wstrząsające wrażenie robił widok małej dziewczynki leżącej bez życia. Na rączce miała opaskę i wyglądała jak lalka, na której zawieszono metkę z ceną. Zapisano w ten sposób miejsce znalezienia dziecka, na wypadek gdyby jego rodzice zgłosili się do kostnicy. Takich okropności Antonio i Francisco jeszcze nigdy nie widzieli ani na własne oczy, ani w prasie.

Nad miasto nadleciały falami głównie niemieckie, a także mniej liczne włoskie bombowce; w ciągu kilku godzin zrzuciły tysiące bomb i ostrzelały ogniem maszynowym ludność cywilną, która próbowała ratować się ucieczką. Miasteczko zostało zmiecione z powierzchni ziemi, całe rodziny zginęły w płomieniach swoich domów. Opisano, jak ledwie trzymające się na nogach ofiary usiłowały w dymie i pyłe odkopywać spod gruzów przyjaciół i krewnych, a chwilę później ginęły w kolejnej fali nalotów. Tego jednego popołudnia straciło życie ponad tysiąc pięciuset mieszkańców.

Rzeź niewinnych ludzi napawała Antonia i Franciscę jeszcze większym oburzeniem niż śmierć ich towarzyszy, którzy zginęli w równej, choć niesprawiedliwej walce.

— Franco sądzi, że zniszczenie tych wszystkich miast przyniesie mu zwycięstwo — powiedział Francisco, w którym wraz z każdą porażką republikanów wzbierała coraz większa nienawiść. — Ale się myli. Dopóki nie wkroczy do Madrytu, **nie** osiągnie nic...

Zrównanie z ziemią Guerniki było bolesnym przeżyciem dla Antonia i Francisca, podobnie jak dla wszystkich zwolenników republiki, i zwiększyło determinację oddziałów milicji w walce przeciwko generałowi Franco.

* * *

Masakra w Guernice wzmogła zawziętość obrońców Madrytu, natomiast w Bilbao wzbudziła przerażenie. Mieszkańcy tego miasta na północy oraz przybyli tam uchodźcy z trudem opanowywali uczucie paniki. Jeżeli Franco unicestwił w ten sposób jedno miasto, to prawdopodobnie bez wahania potraktuje tak samo drugie. Siła nalotów zaszokowała nawet ludzi narażonych na codzienne ataki w Bilbao. Na ulicach i w kolejkach nie mówiło się o niczym innym.

Słyszeliście, co oni zrobili? Czekali do czwartej po południu. Gdy ludzie wychodzili z domów, udając się na rynek, akurat wtedy zrzucili bomby.

I przylecieli drugi raz, trzeci, czwarty... I tak przez trzy godziny... aż wszystko zrównali z ziemią i niemal wszystkich zabili.

Podobno było tam pięćdziesiąt samolotów. Bomby spadały jak deszcz.

Nie pozostał kamień na kamieniu...

Musimy wywieźć dzieci — powiedziała Mercedes do pani Sanchez.

Nie ma miejsca, gdzie byłyby bezpieczne. Gdybym
o takim wiedziała, wysłałabym je tam dawno temu.

Pani Sanchez poddała się sytuacji w Bilbao do tego stopnia, że nie potrafiła sięgnąć wyobraźnią w przyszłość. Przeżycie, w jej rozumieniu, nie oznaczało szukania drogi ucieczki, lecz sprowadzało się do życia z dnia na dzień i modlenia się
o wybawienie.

Podobno mają odpływać jakieś statki, zabierać ludzi w bezpieczne miejsce.

Dokąd ich zawiozą?

— Do Meksyku, do Rosji...

Na twarzy pani Sanchez malowało się przerażenie. Widziała zdjęcie dzieci, które przybyły pociągiem do Moskwy. Dziwnie to wyglądało: transparenty pokryte niezrozumiałymi napisami, mali komuniści z kwiatami na powitanie, obce, niepodobne do tutejszych twarze oczekujących ludzi...

— Ani mi w głowie wysyłać tam dzieci! Jak możesz coś takiego w ogóle proponować?

Z oburzenia i ze strachu zakręciły jej się łzy w oczach. Odległość, jaką musiałyby przebyć, była nie do pojęcia; to, co zastałyby na końcu podróży, wykraczało poza granice wyobraźni. Instykt podpowiadał jej, żeby trzymać dzieci przy sobie.

— To tylko na jakiś czas — zapewniała ją Mercedes. - Pozostaną w bezpiecznym miejscu, aż sytuacja się tutaj uspokoi, i nie będą głodować.

Ludzie zaczęli ustawiać się, by złożyć wnioski o miejsce na statku dla swoich dzieci. Kolejki były jeszcze dłuższe niż po chleb. Okropności, jakie dotknęły Guernicę, zrzucanie bomb na bezbronnych i metodyczne niszczenie całego miasteczka uświadomiły wszystkim w Bilbao okrutną prawdę: to samo może się wydarzyć w ich mieście.

Całkowita zagłada mogła nadejść z lądu, z morza czy z powietrza. Nigdzie nie znajdą spokojnej przystani — na pewno nie w Hiszpanii. W ciągu kilku ostatnich dni pani Sanchez zdała sobie sprawę, podobnie jak wielu tutejszych rodziców, że byłoby najlepiej dla jej potomstwa, gdyby wyjechało do bezpiecznego kraju. Tylko na trzy miesiące, powiadano.

* * *

Ponad osiemnaście godzin Mercedes czekała razem z panią Sanchez i czwórką jej dzieci, aż zostaną przyjęci na rozmowę w sprawie wniosku o ewakuację za granicę. Wszyscy byli zdenerwowani, czasem spoglądali na jasne, puste niebo, zastanawiając się, ile będą mieć czasu od chwili, gdy zobaczą

pierwszy samolot, do huku eksplozji wstrząsającej ziemią. Stali w kolejce, by dostać miejsca na statku „Habana” płynącym do Anglii. Choć pani Sanchez nie potrafiła stworzyć sobie obrazu Anglii, wiedziała, że Wielka Brytania leży dużo bliżej niż niektóre z pozostałych krajów proponowanych uchodźcom i dlatego prędzej zobaczy się ponownie z dziećmi.

Po wielu godzinach cierpliwego wyczekiwania wreszcie przysłała kolej na panią Sanchez, która miała uzasadnić wyjazd jej ukochanych synów i córek.

- W jakim wieku są pani dzieci? — zapytał surowo urzędnik.

- Trzy, cztery, dziewięć i dwanaście — odpowiedziała, wskazując je po kolei.

Urzędnik obrzucił wszystkich bacznym spojrzeniem.

- A ty? — zwrócił się do Mercedes.

- Nie jestem dzieckiem pani Sanchez — odparła. — Pomagałam opiekować się nimi. Moje nazwisko nie widnieje na wniosku.

Urzędnik mruknął pod nosem i zaznaczył coś na formularzu.

- Dwójka młodszych dzieci nie spełnia wymagań wiekowych — oświadczył, patrząc na panią Sanchez. — Przyjmujemy dzieci tylko między piątym a piętnastym rokiem życia. Dwójka starszych mogłaby jechać, ale najpierw musi pani odpowiedzieć na kilka pytań.

Burkliwym tonem wyrzucał z siebie jedno pytanie za drugim, domagając się bezzwłocznej, zgodnej z prawdą odpowiedzi: zawód ojca, jego wyznanie, przynależność do partii politycznej. Maria odpowiadała szczerze. Oszukiwanie nie miało teraz sensu. Jej mąż należał do związków zawodowych i był członkiem partii socjalistycznej.

Urzędnik odłożył pióro, wziął leżący na biurku segregator i wodził palcem z góry na dół, licząc w myślach. Przez kilka minut coś pisał. Lista dzieci zakwalifikowanych do wyjazdu miała być sporządzona tak, by ich rodzice należeli do wszystkich partii politycznych w proporcji odzwierciedlającej rozkład

głosów w ostatnich wyborach. Utworzono trzy grupy: republikańskie i socjaliści, komuniści i anarchiści, oraz nacjonałiści. Wyglądało na to, że na statku są jeszcze wolne miejsca i lisa dzieci członków partii socjalistycznej jest niepełna.

— A ty? — zapytał urzędnik Mercedes. — Chciałabyś popłynąć tym statkiem?

Mercedes była kompletnie zaskoczona. Nie przyszło jej do głowy, że mogłoby się znaleźć miejsce również dla niej. Z racji wieku nie kwalifikowała się do wyjazdu w grupie dzieci, więc postanowiła zostać w Bilbao. Nie zamierzała starać się o przyjęcie na któryś ze statków zabierających dorosłych ludzi do dalekich krajów. Taki krok oznaczałby dopuszczenie do siebie myśli, że nigdy nie odnajdzie Javiera. Musiała przecież trzymać się tej nitki nadziei, coraz węższej, gdyż przejście z powrotem tą samą drogą było teraz niemożliwe.

— Zabieramy młode kobiety do opieki nad maluchami i mamy kilka wolnych miejsc. Ponieważ przez jakiś czas opiekowałaś się dziećmi, przydałabyś się nam — rzekł urzędnik.

Stojąc przed nowym dylematem i usiłując zebrać myśli, Mercedes ledwie słyszała jego głos.

— Musisz jechać, Mercedes! — zawołała Maria. — Co **za** okazja!

Po raz pierwszy od dnia gdy się poznały, z twarzy tej kobiety znikł wyraz tępej rezygnacji.

Mercedes miała wrażenie, że wyciąga się do niej pomocna dłoń i niewdzięcznością byłoby jej nie przyjąć w sytuacji, gdy ludzie głośno domagali się, żeby przyznano im miejsca na tych statkach. Mówiła sobie, że wróci za kilka miesięcy i połączy się z rodziną. Myśl, że mogłaby zaprzestać poszukiwań Javiera nie mieściła jej się w głowie.

Dwoje starszych dzieci, Enrique i Paloma, których los już się rozstrzygnął, patrzyło na nią błagalnym wzrokiem. Bardzo chcieli, żeby towarzyszyła im do tego nieznanego kraju, i wy czuwali, że matka byłaby spokojniejsza, wiedząc, iż opiekunka płynie z nimi statkiem. Mercedes widziała ich szeroko otwarte.

pełne nadziei oczy. Może po raz pierwszy zrobi coś naprawdę pożytecznego, weźmie odpowiedzialność za drugiego człowieka.

Dobrze — usłyszała swój głos. — Pojadę.

Trzeba było załatwić jeszcze kilka formalności. Najpierw badania lekarskie. Mercedes zaprowadziła dwójkę swoich podopiecznych do biura Asistencia Social, gdzie mieli czekać w kolejce do angielskiego lekarza. Rozmowa z nim była krótka, ponieważ nie mogli się porozumieć w żadnym języku.

Paloma i Enrique dostali świadectwa zdrowia. Do ubrania przyczepiono im sześciokątne tekturki z napisem: *Expedición u Inglaterra, oraz z nadanym każdemu numerem osobowym i kazano nosić je cały czas.*

Co zabierzesz ze sobą? — zapytała podekscytowana Paloma swego brata, tak jakby wybierali się na wycieczkę.

Bo ja wiem — odparł żalonym tonem. — Może szachy? **N**ie jestem pewny. Nie wiem, czy znajdzie się ktoś, kto będzie ze mną grał.

Każdemu pozwolono zabrać jedną niedużą torbę z ubraniami nu zmianę i nielicznymi przedmiotami osobistymi. Wybór tych rzeczy należało starannie przemyśleć. W bagażu dzieci katolików miała się również znaleźć Biblia niewielkiego formatu.

Ja zabieram Rosę — powiedziała stanowczo Paloma.

Rosa była jej ulubioną lalką i wyimaginowaną przyjaciółką. Paloma uważała, że jeśli Rosa uda się w tę podróż, wszystko ułoży się dobrze. Jej brat nie był o tym przekonany. Z niepokojem myślał o wyjeździe do obcego kraju, ale jako najstarszy męzczyzna w rodzinie musiał nadrabiać miną.

Skromny dobytek Mercedes od dawna mieścił się w niedużej torbie, więc nie musiała podejmować żadnych decyzji. Statek **odpływał** za dwa dni. Podczas tych czterdziestu ośmiu godzin w każdej chwili mogła jeszcze spotkać Javiera. Przez cały czas wypatrywała jego twarzy wśród przechodniów na ulicach i ludzi stojących w kolejkach.

Dwudziestego maja, o szóstej wieczorem, tysiące ludzi przybyły na dworzec kolejowy w Portugalete. Dzieci przewożono w grupach, po sześćset, specjalnymi pociągami do Santurce, głównego portu Bilbao, gdzie zacumowała „Habana”. Część rodziców nigdy w życiu nie podróżowała dalej niż do Pampeluny, więc ledwie mogła pogodzić się z myślą, że ich potomstwo wyjeżdża w nieznanne. Niektóre maluchy trzymały się kurczowo spódnic matek, ale częściej to matkom krajało się serce. Tu i ówdzie widać było pogodne, zadowolone, uśmiechnięte buzie dzieciaków, które sądziły, że wkrótce znów zobaczą rodziców, a teraz czeka je przejażdżka statkiem, krótkie wakacje, piknik, przygoda. Były podniecone tą odświętną, w ich odczuciu, atmosferą. Nawet prezydent Azana przyjechał pomachać im na pożegnanie.

Enrique był przegnębiony do samego odjazdu, nawet nie mógł uśmiechnąć się do matki, która z trudem powstrzymywała łzy. Pani Sanchez nie chciała jechać z nimi pociągiem do portu; wołała pożegnać się na peronie.

W przeciwieństwie do brata Paloma nie posiadała się z radości. Miała dość wycia syren i dotkliwego głodu. „To tylko parę tygodni — mówiła do Enrique. — Przeżyjemy przygodę, będziemy się dobrze bawić”.

Wszystkim dzieciom powiedziano, że jadą w podróż, by znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Zostały elegancko ubrane dziewczynki miały wstążki we włosach, najlepsze sukienki w kwiatki i białe krótkie skarpetki; chłopcy prezentowali się schludnie w wyprasowanych koszulkach i spodenkach do kolan.

„Habana” zdumiała dzieci swoim ogromem — ciemny kadłub wznosił się wysoko w górę niczym wieloryb gotowy je pochłonąć. Najmłodsze nawet nie mogły dosięgnąć liny przy trapie. Marynarze prowadzili je wąskim drewnianym pomostem, mocno trzymając za rączki, żeby nie wpadły do ciemnej wody między nabrzeżem a burtą.

Statek mógł pomieścić ośmuset pasażerów, ale stworzono warunki, by zabrać prawie cztery tysiące dzieci i ponad półtorej setki dorosłych (dwudziestu nauczycieli, sto dwadzieścia osób

personelu pomocniczego, do którego należała Mercedes, piętnastu księży katolickich i dwóch lekarzy). Nim zapadła noc, wszyscy byli już na pokładzie i po posiłku bardziej sutym, niż jedli od tygodni, położyli się spać.

O świcie dwudziestego pierwszego maja odwiązano cumy. Rozległ się łoskot grubych łańcuchów i pasażerowie poczuli, jak statek drgnął i zaczął z wolna wypływać z portu.

Mercedes poczuła skurcz żołądka. Gdy zakołysało statkiem, natychmiast zrobiło jej się niedobrze (nigdy dotąd nie była na morzu), choć prawdopodobnie to stan psychiczny wywołał nudności. Opuszczała Hiszpanię. Dokoła niej zawodziły młodsze dzieci, starsze stały obok nich, dzielnie trzymając je za ręce. Przygryzła wargę i ledwie zdusiła narastający w piersiach krzyk żalu. Po kilku dniach oczekiwań i przygotowań wszystko zaczęło się toczyć zbyt szybko. Z każdą sekundą coraz bardziej oddalała się od Javiera.

Drobiny słonej wody łączyły się ze łzami spływającymi po policzkach. Nie mogła znieść myśli, że zostawia za sobą wszystkich, których kocha i zna. Miała przemożną chęć, by pobiec na rufę i rzucić się w spienione fale, ale powstrzymało ją jedynie to, że musi robić dzielną minę przy dzieciach.

Z poczuciem kompletnej beznadziejności patrzyła, jak najpierw ludzie na nabrzeżu, a potem budynki stają się drobnymi punkcikami, aż w końcu znikają z oczu. Miała wrażenie, że razem z nimi znikają jej nadzieje na spotkanie z Javierem.

* * *

- I to było ostatnie spojrzenie Mercedes na Hiszpanię — powiedział Miguel.

- Jak to? — Sonia nie zdołała ukryć zaskoczenia. — Nigdy **nie** wróciła?

- Nigdy. Co więcej, nie mogła powiadomić matki, gdzie się znajduje, gdyż bała się narazić ją na niebezpieczeństwo.

- Coś okropnego — rzekła Sonia. — Zatem Concha nawet **nie** wiedziała, że córka opuściła kraj.

— Tak było. Dowiedziała się dużo później.

Po lunchu w restauracji opodal katedry szli wolnym krokiem z powrotem do El Barril. Nagle Sonię ogarnął niepokój. Skoro Mercedes wyjechała z Hiszpanii na dobre, to Miguel może nic więcej o niej nie wiedzieć. Już miała zwrócić się do niego z pytaniami, gdy sam podjął opowieść.

— Powinna pani dowiedzieć się więcej o Antoniu — oświadczył stanowczym tonem i wydłużył krok, przecinając plac w stronę swojej kawiarni. — Jeszcze nie doszliśmy do końca wojny domowej.

Rozdział 29

Przez całą wiosnę i początek lata tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku Antonio i Francisco przebywali w Madrycie. Przejście jednej pory roku w drugą odbyło się gwałtownie: po przyjemnym majowym cieple nastąpił nagły skok temperatury i zaczęły się letnie upały. W stolicy prawie nie dało się oddychać. Obaj przyjaciele żyli w odrętwieniu.

Ucieszyli się, gdy na początku lipca wznowiono działania zbrojne i wysłano ich w kierunku Brunete, mniej więcej dwadzieścia kilometrów na zachód od Madrytu. Armia republikańska zamierzała wbić się klinem na terytorium opanowane przez nacjonalistów. Jeśli udałoby się przerwać łączność faszystów z ich oddziałami w wioskach pod Madrytem i na jego obrzeżach, odblokowano by okrążoną stolicę. Osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy, wśród nich Antonia i Francisca, a także tysiące ochotników z Brygad Międzynarodowych zmobilizowano do przeprowadzenia tej kampanii.

Początkowo zdawało się, że wszystko idzie dobrze. Nim zapadł zmierzch pierwszego dnia, wdarli się na terytorium opanowane przez faszystów, zajęli Brunete, a potem wioskę Villanueva de la Cañada. Następnie oddziały republikańskie skierowały się w stronę Villafranca del Castillo.

Przez pewien czas Antonio i Francisco walczyli z nielicznymi

oddziałami frankistów, wciąż pozostającymi w rejonie, albo zbierali amunicję i żywność, które tamci porzucili podczas odwrotu. Raz ich batalion znalazł się pod ostrzałem; przez cztery godziny grad pocisków spadał na żołnierzy, którzy zdołali schronić się w rowach po obu stronach drogi. Potem nadleciały samoloty nacjonalistów i też ich ostrzelały. Wszystkim dokuczał kurz, żar, pragnienie i wyczerpanie, ale nikt się tym nie przejmował, czując w powietrzu woń zwycięstwa. Była w niej słodysz silniejsza niż ostry fetor krwi, potu i odchodów.

Francisco wpadł w euforię.

— To jest to, według mnie — powiedział z młodzieńczym entuzjazmem do Antonia. — To jest to. — Przekrzykiwał huk ognia artyleryjskiego.

— Obyś miał rację — rzekł Antonio, ciesząc się, że przyjaciel daje upust innym uczuciom niż złość i frustracja.

Podczas kilku pierwszych dni republikanie wyczuwali, **że** w tej bitwie uderzają z impetem. Wiedzieli, że nacjonaści również zdają sobie z tego sprawę i będą przygotowywać skuteczne akcje odwetowe. Panowanie na tym obszarze miało decydujące znaczenie — jeśli republikanie wykonaliby swój następny zamysł i zdobyli wzgórza nad Madrytem, ich cel zostałby osiągnięty.

Nacjonaści, początkowo nieprzygotowani na taką ofensywę, włączyli teraz do działań duże siły i przypuścili zaciekły kontratak. Republikańskie lotnictwo dominowało w powietrzu w początkowej fazie bitwy, lecz w ciągu kilku dni przeciwnicy zyskali przewagę i nieustannie bombardowali ich linie.

Siedząc w płytkich okopach — ziemia była za twarda i **za** sucha, żeby kopać głębiej — Antonio i Francisco wiedzieli, **że** sytuacja przedstawia się nie najlepiej i że będą walczyć o zwycięstwo dłużej, niż im się wydawało wcześniej, gdy wszystkich przepelniał optymizm.

Samoloty nacjonalistów nadlatywały jeden po drugim, zrzucając bomby z nużącą regularnością. Nieustanny ogień **ar-**tyleryjski i huk dział niszczyły morale żołnierzy. Skwar narasta I

Zamki karabinów, które poprzedniej zimy zamarzały, teraz parzyły przy dotknięciu. Na polu bitwy panowało istne piekło.

W okopach rzadko rozmawiano ze sobą, tylko czasem ktoś burknął jakieś bezsensowne, jak się zdawało, polecenie, które przekazywano dalej.

- Chcą, żebyśmy przemieścili się tam — powiedział pewnego dnia Antonio, wskazując teren słabo porośnięty drzewami.

- Co? Przecież tam nie ma żadnej osłony! — Krzyk Francisca przebił się przez huk wybuchającego pocisku.

Między jednym a drugim ostrzałem z powietrza przyjaciele wyskoczyli z okopów i pobiegli schronić się w zagajniku. Rozległy się strzały snajperów, ale nikt nie został trafiony. Jednostce, do której należał Antonio, szczęście się od początku tego konfliktu. Miała niewielkie osiągnięcia, ale również niewielkie straty w ludziach.

Ziemia była usłana poczerniałymi zwłokami ochotników z milicji republikańskiej. Czasem ściągano je z pola walk, ale zazwyczaj gotowały się na słońcu oblepione muchami. Krajobraz robił przygnębiające wrażenie. Jasna ziemia z każdym dniem blakła jeszcze bardziej. Kępki rosnącej tu i ówdzie trawy, które akurat znalazły się na linii ognia, zapalały się i przez chwilę rozbłyskiwały jaskrawym płomieniem, podnosząc i tak wysoką temperaturę otoczenia ku utrapieniu ludzi znajdujących się opodal.

Przeraźliwa nieudolność linii zaopatrzenia wkrótce stała się źródłem kłopotów. Republikanom brakowało nie tylko amunicji, lecz również żywności i wody.

Stoimy przed wyborem: albo pijemy to paskudztwo i chorujemy na tyfus, albo umieramy z pragnienia — powiedział Francisco, unosząc poobijany emaliowany kubek.

Zaopatrzenie w wodę było katastrofalne. Francisco pociągnął trochę brandy z butelki, choć najchętniej wymieniłby ją na łyk zwykłej, czystej wody.

Wiecie, w gorze strumienia leżą martwe zwierzęta — dorzucił.

Kilku stojących wokół niego mężczyzn wylało swoją rację wody na ziemię i patrzyło, jak wsiąka w piasek. Wiedzieli, że Francisco ma rację. Poprzedniego dnia jeden z ich towarzyszy umierał przy nich na tyfus.

Naloty nasiliły się. Przeżycie na tej otwartej przestrzeni często zależało od szczęścia. Gdy spadła bomba, grudy suchej kamienistej ziemi wlatywały w powietrze, a potem spadały na głowy żołnierzy, zasypując kurzem twarze i uszy. Umiejętne posługiwanie się karabinem czy precyzyjne rzucanie granatu nie miały znaczenia. Dzielność nie zwiększała szans przeżycia, tchórzostwo także.

— Wiesz, czym jesteśmy? — powiedział Francisco którejś nocy, gdy zapadła cisza i przez chwilę można było spokojnie rozmawiać. — Celem ćwiczebnym dla niemieckich samolotów.

— Pewnie masz rację — mruknął coraz bardziej zniechęcony Antonio, choć zazwyczaj odznaczał się pozytywnym nastawieniem.

Okazało się, że republikańscy przywódcy nie prowadzą ze sobą rozmów, nie mają pewności co do zasadniczego kierunku działania, a nawet nie potrafią sprecyzować własnego stanowiska. Początkowo zdecydowana i przemyślana strategia traciła wyrazistość w tumanach kurzu i chaosie wydarzeń.

Mimo że piechota generała Franco poniosła znaczne straty w ludziach na skutek ostrzeliwania ich linii, nacjonałiści nadal bombardowali lotniska republikańców, znacznie ograniczając możliwości ich działań z powietrza. Republikanie zorientowali się, że walczą teraz o utrzymanie terytorium, które zdobyli na początku kampanii.

W ostatnim tygodniu lipca, przy nadal nieznośnej spiekocie, potencjał lotniczy nacjonalistów okazał się czynnikiem decydującym. Niektórzy republikańscy chcieli ratować się ucieczką, a wtedy część z nich zginęła od kul swoich towarzyszy. W końcu strzelanina ustała. Zapasy amunicji niemal się wyczerpały. Pole bitwy było usiane wrakami wypalonych czołgów.

Początkowe sukcesy republikanów straciły na znaczeniu w ostatecznym rozrachunku — wszystko z powodu szwankującej łączności, marnego dowództwa, słabej orientacji w topografii okolicy, kiepskiego systemu zaopatrzenia i przewagi nacjonalistów w powietrzu. Końcowy wynik nie był oczywisty i w wojennym zamieszaniu obie strony przypisywały sobie zwycięstwo. Choć przywódcy na lewicy twierdzili, że bitwa pod Brunete została rozegrana z lisią przebiegłością, zdobycie pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych przy stracie dwudziestu tysięcy ludzi i takiej samej liczbie rannych oznaczało niewielki postęp ogromnym kosztem.

- Więc tak wygląda zwycięstwo — powiedział Francisco, uderzając obcasem w ziemię. — I tak smakuje wygrana.

Tymi gorzkimi słowami wyraził niezadowolenie wśród towarzyszy broni i złość spowodowaną bezsensownymi stratami w ludziach.

Gdzie była teraz La Pasionaria, dlaczego nie dodawała im ducha i nie przypominała, że nie wolno się poddać? Słyszając triumfalne wypowiedzi przywódców partii komunistycznej, wiedzieli, że zostaną wezwani do dalszej walki, ale tymczasem cieszyli się na myśl o odpoczynku w Madrycie. Jeszcze znajdują się fronty, na których przyjdzie im się bić.

* * *

Przez kilka miesięcy Antonio i Francisco stacjonowali w stolicy, gdzie życie codzienne stwarzało złudzenie normalności, które w każdej chwili mogło prysnąć. Gdy siedzieli w słońcu, z przyjemnością popijając chłodny napój, na dźwięk syreny przeciwlotniczej przypominali sobie o zagrożeniu, które nieustannie czaiło się w tym mieście, i biegli do schronu. Antonio często wracał myślą do Grenady i zastanawiał się, jak żyje się w mieście opanowanym przez faszystów. Na mieszkańców nie spadały bomby, ale jego ukochana matka zapewne nie siedziała na Plaza Nueva, zajadając lody.

Jesienią przystąpiono do ofensywy na froncie aragońskim.

Antonio i Francisco dowiedzieli się, że ich jednostka nie znajdzie się wśród tych, które skierowano do walki.

— Dlaczego nas nie wysyłają? — jęknął Francisco. — Nic możemy tu siedzieć beczynn timer do końca życia.

— Ktoś musi zostać i bronić Madrytu — odrzekł Antonio. — Ta kampania wydaje się strasznie chaotyczna. Chcesz być mięsem armatnim?

Antonio wierzył w sensowność walki zbrojnej, ale widząc, jak marnotrawiono ludzkie życie, wpadał w złość. Nie chciał poświęcać się bez potrzeby. W madryckich gazetach czytał wyczerpujące doniesienia o wewnętrznych podziałach wśród republikanów, które niczemu nie służyły. Marksistowska milicja i związki zawodowe zostały pozbawione uzbrojenia za sprawą komunistów zamierzających przejąć kierownictwo. W ich własnych szeregach wywiązały się spory, które nie przyczyniły się do powodzenia ich sprawy.

Antonio nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego przyjaciel pragnie walczyć dla samej walki. Jak się spodziewał, szybko zaczęły napływać wiadomości o ogromnych stratach w ludziach na froncie aragońskim.

Pomimo to w grudniu przyszedł rozkaz wymarszu. Na początku jednej z najsurowszych zim, jakie pamiętał, załadowano ich na ciężarówkę i wysłano w kierunku miasteczka Teruel, na wschód od Madrytu, które było w rękach nacjonalistów. Republikanie liczyli, że zaatakowany Franco wycofa swoje oddziały spod Madrytu. Istniały obawy, że faszyci zamierzają wznowić ataki na stolicę, i dlatego republikańscy przywódcy uznali, że trzeba coś zrobić, aby odciągnąć ich siły.

Atak na Teruel zaskoczył nacjonalistów. Republikanie uzyskali na jakiś czas przewagę, zdobyli tamtejszy garnizon. Niemieckie i włoskie samoloty, uziemione z powodu ciężkiej zimy, początkowo nie mogły włączyć się do walki, ale nacjonałiści i tak mieli przewagę w uzbrojeniu i liczebności armii, co w pełni wykorzystywali, niszcząc Teruel.

Sam teren był niesprzyjający: płaskie nieużytki z nagimi,

wyraźnie zarysowanymi grzbietami wzgórz. Antonio i Francisco zajmowali pozycje w mieście, skąd niemal zmartwiali z zimna patrzyli, jak ich towarzysze giną dziesiątkami na tym pustkowiu. Obaj byli już tak zaprawieni w znoszeniu niewygód, że Antonio powątpiewał, czy przyjdzie dzień, gdy nie będą odczuwać bólu. Francisco przestawał narzekać na powszechne uciążliwości związane z tą wojną i nieudolność republikańskich dowódców tylko w obliczu niebezpieczeństwa i śmierci. Nawet nie przeszkadzał mu suchy, uporczywy kaszel. Można było odnieść wrażenie, że jest najbardziej usatysfakcjonowany, gdy dokoła słychać strzały z karabinów maszynowych.

W dzień Bożego Narodzenia obozowali poza granicami miasta. Ponieważ od wielu dni padał śnieg, żołnierze mieli przemoczone ubrania. Na wysuszenie czegokolwiek nie można było liczyć. Poruszanie się w nasiąkniętych wodą butach, które stawały się dwukrotnie cięższe, wymagało ogromnego wysiłku.

Francisco oddychał chrapliwie. Upuścił papierosa, gdy podczas ataku kaszlu zgiął się wpół.

— Usiądź na chwilę, a najlepiej chodź tutaj — powiedział Antonio, obejmując go ramieniem i prowadząc do prowizorycznego namiotu, gdzie trzymano środki medyczne.

— Nie przejmuj się. To tylko grypa albo coś takiego. Nic mi nie jest — zbył go Francisco i szorstkim ruchem strącił jego rękę.

— Słuchaj, Francisco, musisz odpocząć.

Z zaflegmionego gardła wydobył się cichy charkot:

— Nie muszę.

Antonio spojrział przyjacielowi w oczy i zobaczył w nich lzy. Być może oczy łzawiły z zimna, ale Antonio dostrzegł w nich człowieka bliskiego załamania. Trudności w oddychaniu i wyczerpanie po czternastu bezsennych nocach spędzonych w wilgotnym otoczeniu spowodowały, że nawet tak twardy człowiek był u kresu wytrzymałości. Nie zabrakłoby mu hartu ducha, by znieść bolesne obrażenia, ale teraz zawodził go własny organizm dotknięty chorobą.

— Muszę być silny — zaszlochał bezradnie.

Świadomość, że możliwości ciała tak bardzo ograniczają jego pragnienia, i konieczność skonfrontowania się z własną słabością były trudniejsze do zniesienia niż sama choroba. Nic posiadał się ze wstydu.

Antonio znów objął go ramieniem i poczuł, że Francisco opiera się na nim całym ciężarem. Przez grube sukno munduru wyczuł, że przyjaciela trawi gorączka. Jego skóra parowała.

— Ja nie... ja nie... Chcę... Nie... — bełkotał wstrząsany dreszczami, popadając w delirium.

Nie minęła godzina, a stracił przytomność i tego samego wieczoru został zabrany z pola bitwy do lazaretu.

W tej bitwie wrogiem było w równym stopniu ostrzeliwanie z powietrza jak zacinający w twarz śnieg z deszczem. Wilgoć zagrażała płucom. Wielu żołnierzy umierało z zimna. Po prostu nie budzili się rano ze snu. Niektórzy znieczulali się alkoholem i odprężeni zapadali w tak głęboki sen, że serca zapominały bić. W śniegu ciała przynajmniej nie rozkładały się od razu.

* * *

Kampanię prowadzono przez następny miesiąc, jeszcze po Nowym Roku. Gdy z powodu choroby odesłano Francisca do Madrytu, Antonio stwierdził, że potrafi odciąć się od okropności, które dzieją się dokoła. Francisco nieustannie zżymał się zarówno na swoich, jak i na wrogów i jego bezustanna krytyka tylko pogłębiała rozgoryczenie obu przyjaciół.

Antonio przetrzymał te tygodnie na froncie aragońskim, ale ciągle miał wrażenie, że nie dokonuje bohaterskich czynów. Zanim skończyła się bitwa o Teruel, bój toczono na ulicach miasta, gdzie dochodziło do walki wręcz. Dotychczas Antonio zawsze strzelał przed siebie, na oślep, ale któregoś dnia stanął z wrogiem twarzą w twarz i zobaczył kolor jego oczu.

Na ułamek sekundy — zanim stało się to, czego nie dało się cofnąć — Antonio się zawahał. Przed nim stał mężczyzna młodszy od niego, z kędzierzawymi włosami, o wystających

kościach policzkowych. Można by ich wziąć za kuzynów. Tylko po kolorze koszuli Antonio rozpoznał, że tamten walczy w szeregach nacjonalistów. Wyłącznie barwnik użyty do farbowania kazał mu odebrać życie temu człowiekowi; jeśliby się powstrzymał, zapewne to on straciłby życie.

Antonio przekonał się, że nie ma nic bardziej brutalnego jak dźgnięcie drugiego człowieka bagnetem, i po zadaniu tego ciosu poczuł, że w nim samym coś umarło. Nigdy nie zapomniał, jak na twarzy tego chłopca pojawił się strach, potem grymas bólu, a następnie koszmarna maska śmierci. W niecałe pół minuty ofiara przeszła przez te fazy na oczach Antonia i osunęła się ciężko na ziemię. To było przerażające.

Gdy żołnierze wracali wieczorem do bazy, straciwszy kilku ludzi, Antonio uprzytomnił sobie, jak wielką rolę odgrywa w tym wszystkim przypadek. Po raz pierwszy od dnia gdy został żołnierzem, poczuł się jak pionek na szachownicy. Poświęcano ludzkie życie pod wpływem kaprysu człowieka, którego większość z nich nigdy nie pozna.

Walki o Teruel trwały do lutego, kiedy to nacjonałiści odebrali miasto republikanom. Kolejna kampania przyniosła ogromne straty w ludziach po obu stronach i niewielkie zyski. Antonio nie chciał jej uznać za przełomowe wydarzenie w tym konflikcie, ale musiał pogodzić się z mrozącą krew w żyłach myślą, iż środki w dyspozycji Franco są, jak się zdaje, nieograniczone.

Rozdział 30

Antonio, pełen pesymizmu, znów wrócił na kilka miesięcy do Madrytu i wcale nie zależało mu na tym, by ponownie stanąć do walki z Franco. Faszyci rozpoczęli nową ofensywę w Aragonii, zamierzając przeciąć na pół szeroki pas republikańskiego terytorium, który ciągnął się z północy na południe wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego, i do połowy kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku osiągnęli swój cel, przebijając się do morza. Katalonia na północy została oddzielona od regionów centralnych i południowych.

W połowie lata Francisco wrócił do zdrowia. Jednostkę, w której służyli przyjaciele, kolejny raz przydzielono do obrony miasta. Republikanie postanowili walczyć o stolicę do upadłego.

Wszyscy spodziewali się, że nacjonałiści pomaszczą na północ, żeby zająć Barcelonę, dokąd w październiku poprzedniego roku przeniósł się rząd republikański, ale oddziały generała Franco ruszyły na południe, w kierunku Walencji.

Na podzielonych obszarach znajdujących się pod kontrolą republikańców zarówno żołnierze, jak i cywile cierpieli na dotkliwy brak wszystkiego: nie tylko jedzenia i środków medycznych, lecz również ducha bojowego. Ludzi przepęlniał

coraz większy strach na myśl, że będą żyć w izolacji na swojej połowie podzielonego terytorium, mając utrudniony kontakt z drugą połową. Część mieszkańców dużych miast ukradkiem wspierała nacjonalistów od samego początku konfliktu, tworząc siatkę informatorów potęgującą niepokój i poczucie zagrożenia.

Antonio i Francisco mieli wkrótce wziąć udział w kolejnej bitwie. Republikanie, niemal w akcie desperacji, chcieli znów połączyć obie części swego terytorium.

— Jak oceniasz nasze szanse? — zapytał Francisco, sznurowując buty przed wyruszeniem na front nad rzeką Ebro.

— Po co snuć przypuszczenia? — odrzekł Antonio. — Mamy mniej broni i mniej samolotów, więc wolę o tym nie myśleć.

Choć był nastawiony pesymistycznie, wiedział, że stan liczebny ich oddziałów jest wysoki — w przeciwieństwie do uzbrojenia. Na front posłano ogromną, osiemdziesiątysięczną armię. Powołano do wojska masę ludzi, zarówno ledwie szesnastoletnich chłopców, jak i mężczyzn w średnim wieku. Nocą dwudziestego czwartego lipca tysiące żołnierzy sforsowały Ebro od północy na południe i zaatakowały linie nacjonalistów.

Działając z zaskoczenia, siły republikańskie uzyskały początkowo przewagę, lecz generał Franco spokojnie ściągnął posiłki. Uznał, że ma sposobność rozbić armię republikańską.

Jednym z jego pierwszych działań było otwarcie zapór w górnym biegu rzeki w Pirenejach. Woda podniosła się tak wysoko, że uszkodziła mosty, którymi republikanie dowozili zaopatrzenie dla wojska. Potem Franco systematycznie bombardował jeden most po drugim, uniemożliwiając ich naprawę. Nacjonałści nie tylko ściągnęli dodatkowo tysiące żołnierzy, ale również sprowadzili ogromną liczbę samolotów i przez kilka pierwszych dni niemieckie i włoskie lotnictwo atakowało armię republikańską całkowicie pozbawioną osłony własnych sił powietrznych.

W pierwszym miesiącu zmagających temperatura poszybowała tak wysoko, że powtórzyło się piekło z Brunete. Podobnie jak tam żołnierze nie mieli żadnej osłony na otwartym terenie. Natomiast walki toczyły się z większą gwałtownością. Republikanie, odwodnieni i zagłodzeni, tygodniami znajdowali się pod ostrzałem z ziemi i powietrza. Wyposażenie niemieckich oddziałów, zwłaszcza w samoloty, było niewyczerpane, a generał Franco nie przejmował się i wysyłał setki tysięcy ludzi pod broń, byleby zmiotli republikanów z powierzchni ziemi.

* * *

W upalne popołudnie, gdy żołnierze republikańscy szukali osłony w dolinie, a nad nimi, na grzbiecie zbocza, znajdowały się nieprzyjacielskie stanowiska, Francisco oddał kilka celnych strzałów w kierunku faszystów, którzy, jak się okazało, byli łatwym celem.

— Musimy unieszkodliwić ich znacznie więcej! — krzyknął Antonio.

Gdy człowiek całymi tygodniami spodziewa się, że lada chwila trafi go kula, a tak się nie dzieje, to z upływem czasu ta myśl nasuwa mu się coraz rzadziej. Podczas kilku miesięcy nad Ebro we Franciscu narastało poczucie nieśmiertelności. Antonio stwierdził w duchu, że tak się uzewnętrznia przekorna natura jego przyjaciela: im gorsza sytuacja i widoki na przyszłość, tym bardziej pozytywne nastawienie Francisca.

— Po tym, co przetrzymaliśmy, nic nas już nie dopadnie — powiedział z optymizmem, przekonany, że skoro wykaraskał się z choroby, która groziła śmiercią, to nie podda się niczemu.

W twardej ziemi nie dało się wykopać rowów obronnych, wobec tego żołnierze z ich jednostki zbudowali niewielką, prowizoryczną forteczę z głazów i mniejszych kamieni. Korzystając z rzadkiej okazji, gdy na godzinę ustał ostrzał artyleryjski, usiedli w piątkę w cieniu za wzniesionym murem i oparci niemal wygodnie o kamienie zapalili papierosy.

— Pomyśl tylko, Antonio, że Franco musi zabiegać o pomoc Niemców i Włochów — zażartował Francisco. — Natomiast my walczymy z nim sami. No, może przy odrobinie wsparcia ze strony Rosjan...

— Ale popatrz, jakie ponosimy straty w ludziach... Każda bitwa to masakra. Padamy jak muchy.

— Skąd możemy mieć pewność?

— Lepiej uwierz w to, co niektórzy ci mówią — rzekł ze znużeniem Antonio.

Tego popołudnia, gdy nieprzyjaciel nagle przypuścił atak, Antonio i Francisco zostali rozdzieleni. Przez godzinę nieustannie spadał na nich grad pocisków ze szczytu wzgórza. Nie mieli żadnej osłony, a gwizd kul był tak donośny, że zagłuszał wydawane polecenia. Od czasu do czasu zapadała cisza i wtedy niesły się przejmujące krzyki rannych.

Francisco umarł, nie czując bólu. Zmieciony siłą wybuchu, gdy pocisk upadł tuż obok, był niemal nie do rozpoznania. Antonio, który wówczas stał może pięćdziesiąt metrów dalej, zidentyfikował szczątki. Złoty sygnet noszony w charakterystyczny sposób, na środkowym palcu prawej ręki, rozwiął wszelkie wątpliwości. Choć zbierało mu się na mdłości, Antonio ostrożnie zsunął pierścień z oderwanej ręki, zaskakująco lodowatej, i położył ją przy resztkach ciała. Zakrywając Francisca kocem, uprzytomnił sobie, że nie stanęły mu w oczach łzy. Czasami przepełniający człowieka żal jest silniejszy od łez.

Dwa tygodnie później, na początku października, również dla Antonia miała się skończyć ta batalia.

Zapadał zmierzch, co oznaczało rychłe ustanie walk na ten dzień.

— Zrobiło się tam bardzo spokojnie — zauważył jeden z towarzyszy. — Może się wycofują.

— Nie łudź się — powiedział Antonio, przeładowując karabin.

Zauważył jakiś ruch w zagajniku na górze i uniósł broń. Zanim zdążył wystrzelić, poczuł gwałtowny, przejmujący ból

w boku. Nie mogąc krzyknąć ani wezwać pomocy, z wolna osunął się na ziemię, co w oczach jego towarzysza wyglądało tak, jakby się potknął o kamień, których pełno było na gołej, twardej ziemi. Czuł, że kręci mu się w głowie i wszystko mu obojętnieje. Może nie żyje? Dlaczego jakiś człowiek pochyła się nad nim i dobrotliwym głosem pyta cicho o coś, czego on nie rozumie...

* * *

Gdy odzyskał przytomność, przeżywał męczarnie nie do zniesienia. Majaczył z bólu, gryzł się mocno w rękę, żeby zdusić krzyk. W namiocie lekarskim kończyły się zapasy chloroformu, a dokołajęczeni ranni. Prócz brandy było niewiele środków znieczulających tak bardzo potrzebnych ludziom, którzy zostali trafieni szrapnelami lub mieli amputowane kończyny. Jakiś czas później, po iluś dniach, może tygodniach, nie mając poczucia czasu ani miejsca, Antonio patrzył, jak kładą go na nosze, a potem wciskają do przedziału pociągu przystosowanego do przewożenia rannych.

Potem, gdy powoli zaczął wychodzić z tego sennego stanu, zdał sobie sprawę, że jest w Barcelonie, która nadal stawia opór siłom generała Franco. Pociąg znad Ebro, z czerwonym krzyżem na dachu jako błaganiem o łaskawość faszystowskich pilotów, którzy opanowali niebo, dowlókl się na północ i dowiózł rannych w bezpieczne miejsce.

W wypadku Antonia powrót do zdrowia był niczym przejście z ciemności w jasność. W miarę upływu tygodni ból stopniowo słabł, pogłębiał się oddech, wracały siły — jakby budził się świt, z wolna, ale w pełnej krasie. Gdy zdarzyło się, że miał oczy otwarte dłużej niż kilka minut, uświadomił sobie, że osoby, które ciągle krążyły koło niego, to kobiety, a nie anioły.

— A więc jesteś prawdziwa — powiedział do dziewczyny, która trzymała go za nadgarstek, mierząc puls.

Po raz pierwszy poczuł chłodny dotyk jej palców.

— Tak. — Spojrzała na niego z uśmiechem. — Ty też.

Przez kilka ostatnich tygodni widziała, że życie tego chudego jak szkielet mężczyzny wisi na włosku. Tak samo było z większością tutejszych pacjentów. Zdrowieli dzięki łutowi szczęścia i wysiłkom pielęgniarek pragnących otoczyć jak najlepszą opieką ciężko rannych, których z każdym dniem przywożono coraz więcej i upychano w przepelnionych salach. Wielu żołnierzy umarło niepotrzebnie z braku środków medycznych. Byli niedożywieni i przez to nieodporni na infekcje. Ci mężczyźni przetrwali uderzenie nad Ebro, by skonać na łóżkach szpitalnych z powodu gangreny, a nawet tyfusu.

O wydarzeniach minionych kilku miesięcy Antonio dowiedział się dopiero po powrocie do świata żywych. Bitwa nad Ebro się skończyła. Pod koniec listopada, trzy miesiące po tym, jak należało przyznać się do całkowitej porażki i zarządzić odwrót, przywódcy republikańscy wreszcie wycofali resztki armii. Choć została zdziesiątkowana i wymanewrowana w każdej fazie działań, uparcie nie przyznawali się do przegranej, aż zginęło trzydzieści tysięcy ich ludzi, a ponad dwa razy tyle odniosło rany.

Na sali szpitalnej rzadko panował spokój. Wypełniały ją jęki pacjentów i dochodzące niemal bezustannie odgłosy działań zbrojnych. Było tu ciszej niż na polu bitwy, lecz ciągle trwały bombardowania, a zapadającą niekiedy ciszę przerywały huki dział przeciwlotniczych. Gdy te odgłosy zaczęły docierać do świadomości Antonia, pojawiło się w jego głowie pytanie, co będzie dalej. Mógł już codziennie trochę chodzić i z każdą godziną nabierał sił, więc niedługo powinien opuścić szpital będący teraz jego domem. Gdyby tylko mógł wrócić do swego prawdziwego domu i zobaczyć się z matką. Tęsknił za nią i za ojcem, ale powrót do Grenady nie wchodził w rachubę. Jak również ponowne dołączenie do oddziału milicji. Antonio był jeszcze zbyt osłabiony.

Gdy nasiliły się ataki faszystów na Barcelonę, Antonio przeniósł się do domu noclegowego, gdzie wraz z towarzyszami,

jak on niezdolnymi do służby, czekał, aż znów będzie mógł chwycić za broń. Nadal byli żołnierzami.

Nadszedł pierwszy dzień nowego, tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Ale nikt nie miał powodu świętować. Na ulicach panowała atmosfera pogodzenia się z nieuniknionym losem. Sklepy z żywnością ziały pustkami, paliwo się skończyło, a ostatnie nawoływania do stawienia oporu niosły się echem po wyludnionych ulicach. Barcelona dogorywała i nic już nie mogło jej uratować. Dwudziestego szóstego stycznia faszyci zajęli niemal całkowicie opuszczone miasto.

Rozdział 31

Po upadku Barcelony pół miliona ludzi udało się na emigrację, wszyscy osłabieni z niedożywienia, a wielu nie w pełni **sił** po odniesionych ranach.

Antonio znalazł się w towarzystwie Victora Alvesa, młodego Haska, który również walczył w oddziałach milicji, powołany do wojska jako siedemnastolatek. Nie mając żadnego wykształcenia w posługiwaniu się karabinem, chłopak został ranny pierwszego dnia, gdy włączono go do działań prowadzonych nad rzeką Ebro. Teraz chciał dojechać do rodziny, która już od **kilku** tygodni przebywała we Francji.

Należało poważnie rozważyć, którą z dwóch tras do Francji najlepiej wybrać. Pierwsza prowadziła przez Pireneje. Dla Antonia i Victora, którzy jeszcze nie odzyskali całkowicie zdrowia, wędrówka po nierównym, skalistym terenie nie była jedynym utrudnieniem. Przez całą drogę musieliby brnąć w śniegu. Antonio słyszał, że w pewnych miejscach śnieg sięgał dzieciom prawie do pasa, a ludzie starsi i niedoężni co rusz gubili laski w głębokich zaspach. Wielu ślizgało się i traciło równowagę na lodzie. Przejście przez góry odbywało się niezwykle wolno.

Choć Antonio i Victor mieli dość skromny bagaż, musieli również pamiętać, że niektórzy ludzie nie potrafią oprzeć się

pokusie zabrania części swego dobytku, a potem zostawiają swoje rzeczy w głębokim śniegu, stwarzając zagrożenie niewidoczne dla osób idących z tyłu. Wiosną, gdy przyjdzie odwilż, spod białej pokrywy wyłoni się dziwny szlak wyznaczony przez najróżniejsze bibeloty. Pojawią się rzeczy bezużyteczne, ale mające wartość sentymentalną, na przykład cenny flakonik perfum czy święty obraz, oraz rzeczy użyteczne, natomiast zupełnie pozbawione wartości sentymentalnej, jak metalowy garnek czy małe krzeselko.

Prócz zdradliwej trasy przez góry prowadziła do Francji droga wzdłuż wybrzeża, ale wówczas należało się liczyć z niebezpieczeństwem kontroli granicznej. Antonio i Victor zgodzili się, że nie mają wyboru, jak tylko iść tą drugą drogą, i dołączyli do wielkiej kolumny ludzi zmierzających na północ.

Wszyscy dźwigali sprzęty domowe, koce, tobołki z ubraniem, rzeczy, które wydawały się niezbędne w podróży do nowego życia. Samotne kobiety z kilkorgiem dzieci miały najgorzej. Antonio często proponował pomoc. Sam niósł tylko karabin. Nie miał żadnego dobytku i był przyzwyczajony do chodzenia tygodniami w tym samym ubraniu. Inni zaś wpakowali do toreb, ile tylko się zmieściło, i przysporzyli sobie kłopotów.

Widząc, że jakaś kobieta ze łzami w oczach zмага się z ciężką torbą, przy której urwały się rączki, że jej dziecko niesie na rękach niemowlę, a trzecie dziecko drepcze obok, opatulone kilkoma kocami, Antonio przyszedł jej z pomocą. Na zmianę z Victorem niósł niemowlę i bagaż. Wkrótce zaczęli zabawiać małego chłopca piosenkami marszowymi. Antonio przypomniał sobie, jak po opuszczeniu Grenady napotkał ciężarówkę z milicją republikańską i dla podniesienia ducha bojowego wszyscy śpiewali pieśni. Wówczas odniosło to pożądaną skuteczną, tym razem również.

Antonio był świadkiem okropności na polu bitwy, ale nawet jego szokowało to, co od czasu do czasu widział po drodze. Kobiety rodziły dzieci i w tej mistycznej chwili, gdy człowiek przychodzi na świat, osłaniały je spódnicami stojące dokoła krewne.

— To niebezpieczne rodzić się w takich czasach — mruknął pod nosem Antonio, słysząc żałosny płacz noworodka.

Mieli do przejścia dwieście kilometrów. Po tygodniu Antonio dotarł wreszcie do granicy w Cerbere. Spojrzał na morze i poczuł, jak rozbłyskuje w nim iskierka optymizmu. Morze Śródziemne migotało w słońcu, którego promienie przebijały się przez ciężkie lutowe chmury, i na płatach ołowioszarej wody ciągnęły się smugi srebrzystego światła. Przed nimi była Francja, inny kraj. Może tam uda im się zacząć wszystko od nowa. Zmordowani i przybici ludzie, którzy podjęli ten wielki exodus, musieli wierzyć w nowy początek, w ziemię obiecaną. Niektórzy byli już obojętnie nastawieni do własnego kraju, gdzie nie mieli rodziny, domu ani nadziei na przyszłość.

Większość uchodźców stojących w kolejce do przejścia granicznego porzuciła swoje ciężary po drodze, natomiast żołnierze nie rozstali się z karabinami. Niczego więcej nie potrzebowali. Długimi nocami z nudów czyścili zacinające się zamki karabinów i teraz byli pewni, że ta wysłużona rosyjska broń zapewni im bezpieczeństwo.

— Co się dzieje tam na przodzie? — zapytał Victor.

— Nie wiem — odparł Antonio, wyciągając szyję, by spojrzeć nad tysiącem głów w większości przykrytych kapełuszami. — Może znowu zamknęli granicę.

Już wcześniej krążyły pogłoski, że Francuzi zamknęli granicę na jakiś czas. Byli zaskoczeni masą uchodźców. Po hiszpańskiej stronie robił się coraz większy tłok, ale wszyscy byli zrezygnowani, nikt się nie niecierpliwił. Przebyli szmat drogi i mieli zaledwie kilkadziesiąt metrów do celu wędrówki.

Mniej więcej po godzinie zaczęli przesuwac się do przodu. Antonio widział już budynek straży granicznej i słyszał obce dźwięki francuskiej mowy. Surowy ton głosów był dla nich zaskoczeniem.

— *Mettez-les ici!*

Słowa mogły się nie liczyć, ale towarzysząca im gestykulacja oraz stos karabinów i tobołków na skraju drogi mówiły

wszystko. Francuzi wypowiadali się jasno. Wyczerpani uchodźcy musieli oddać broń przed opuszczeniem Hiszpanii, wielu z nich zmuszono również do pozostawienia dobytku. Antonio zobaczył kilka metrów przed sobą jakiegoś starca, który wdał się w ostrą sprzeczkę. To błąd, pomyślał, nie należy wszczynać awantury z pogranicznikiem, zwłaszcza gdy jest się takim wątłym człowiekiem jak ten stary wojownik. Nastęstwa wymiany zdań okazały się dużo gorsze.

Stary Hiszpan musiał opróżnić kieszenie na oczach wszystkich. Gdy zacisnął dłoń w pięść, jeden ze strażników, widząc to, szturchnął go w ramię bagnetem.

— *Qu'est-ce que vous faites? Cochon!*

Drugi chwycił starca od tyłu, a trzeci, przekonany, że tamten nie zamierza się do ciosu, lecz trzyma coś w ręku, rozwarł mu kościste palce jeden po drugim i otworzył dłoń. Co spodziewał się zobaczyć? Garść złota? Zakamuflowany pistolet?

Na wyciągniętej dłoni leżała tylko kupka ziemi, żałosny kawałeczek Hiszpanii, który starzec niósł przez góry.

— *Por favor* — powiedział błagalnie.

Nim domówił ostatnie słowo, strażnik strząsnął piasek jednym zamaszystym ruchem. Mężczyzna spojrział na drobiny ojczystej ziemi, które utkwiły w zagłębieniach linii papilarnych.

— *Hijo de puta!* Ty skurwysynu! Dlaczego to... — zawołał, piniąc się ze złości.

Strażnicy roześmiali mu się w twarz. Antonio zrobił krok do przodu i delikatnie wziął starca pod ramię. Po pomarszczonej twarzy spływały łzy, ale wściekłość nadal nim wstrząsała i uniesiona pięść była gotowa zadać cios. Ten wybuch gniewu tylko sprowokuje Francuzów i polecą następne wyzwiska, uznał Antonio, poza tym nic to nie da. Drogocenna hiszpańska ziemia już została rozdeptana buciorami. Starca ponownie szturchnięto w plecy. Jeśli przestanie się awanturować, wkrótce będzie we Francji.

Strażnicy zainteresowali się Antoniem. Jeden z nich złapał za lufę jego karabinu. Gest był prowokacyjny i całkowicie

niepotrzebny, skoro opodal leżał stos karabinów będący dobitnym znakiem, że Hiszpanie muszą być nieuzbrojeni, jeśli chcą przekroczyć granicę francuską. Antonio oddał broń bez słowa.

— Dlaczego musimy to zrobić? — warknął pod nosem Victor.

— Bo nie mamy wyboru — odrzekł Antonio.

— Ale dlaczego oni nas do tego zmuszają?

— Bo się boją.

— Czego?! — krzyknął Victor z niedowierzaniem, obejmując wzrokiem wychudzonych mężczyzn, kobiety i dzieci. Niektórzy byli zgięci we dwoje pod ciężarem bagaży i przypominali wielkie ślimaki, wszyscy stali zgarbieni z wyczerpania. — Czego tu się bać?

— Niepokoją się, że być może wpuszczą bandę uzbrojonych komunistów, którzy opanują ich kraj.

— To obłąd...

W pewnej mierze to istotnie była obłądna myśl, ale z drugiej strony obaj wiedzieli, że w tej zbieraninie niedobitków oddziałów milicji są ekstremiści i że podczas tego konfliktu zbrojnego szerzyły się we Francji mocno przesadzone pogłoski o postępowaniu czerwonych. Tych, którzy spodziewali się miłego powitania, czekało wyłącznie rozczarowanie. Obecność Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii pozwalała sądzić, że wszędzie mogą liczyć na wsparcie i solidarność innych narodów, ale takie przekonanie było błędne. Zimne okrucieństwo pograniczników odebrało im resztki nadziei.

Za posterunkiem droga wiła się w dół ku morzu. Wybrzeże było dzikie i skaliste, powietrze ostrzejsze niż w ojczyźnie. Ale szli po opadającym terenie i samo to dawało trochę wytchnienia. Poruszali się teraz jakby mechanicznie, popędzani przez niecierpliwych francuskich policjantów, których przydzielono do pilnowania tego tłumu.

— Zastanawiam się, dokąd nas prowadzą — pomyślał na głos Antonio.

Mówiono, że Francuzi, choć niechętnie wpuszczali ich do swego kraju, przygotowali imjakiś lokum. Po tej wielodniowej

wędrowce w lodowatej temperaturze z ulgą złożyliby głowy gdziekolwiek bądź.

Gdy zeszli do samego wybrzeża, wilgoć przeniknęła ich do szpiku kości. Victor nie odpowiedział na słowa Antonia, szli więc w milczeniu. Niemal skostnieli z zimna i może dlatego ich reakcja na to, co zobaczyli, była taka otępiała.

Antonio sądził, że skręca w głąb lądu, oddalą się od surowego morza, ale niedługo później dotarli do szerokiej piaszczystej plaży, która ciągnęła się dalej, niż sięgał wzrok. Przed nimi znajdował się ogromny teren otoczony drutem kolczastym i w pierwszej chwili nie zorientowali się, że doszli do celu. Ta zagroda była chyba przeznaczona dla zwierząt, a nie dla ludzi? Gdzieniedzie ogrodzenie wchodziło w morze.

— To niemożliwe, że oni chcą nas tutaj... — Victor pozwolił sobie powiedzieć to, co innym nie przechodziło przez gardło. Popatrzył na rząd czarnoskórych strażników, którzy kolbami karabinów wpychali ludzi do zagrody. — Wydostaliśmy się z łap Mauretańczyków i wpadliśmy w łapy tych drani? Matko Boska...

Antonio czuł, jak wściekłość wzbiera w jego przyjacielu. Też był oburzony, że Francuzi posłużyli się oddziałami złożonymi z Senegalczyków do utrzymania porządku wśród hiszpańskich emigrantów. Wielu uchodźców doświadczyło brutalności mauretańskich żołnierzy Franco, tworzących najokrutniejsze oddziały w faszystowskiej armii, i miało wrażenie, że na tych czarnych twarzach maluje się ten sam wyraz bezduszości.

Ci ludzie nie słuchali prośb rodzin pragnących trzymać się razem, rozdzielali je wedle zasad arytmetyki, nie okazywali życzliwości. Zależało im tylko na tym, by tę chmarę ludzi rozbić na grupy — postępowanie ściśle według planu było jedynym znanym im sposobem sprawowania kontroli. Francuzi obawiali się, nie bezpodstawnie, że ich nadgraniczne miasteczka zaleje fala uchodźców. Do St Cyprien, które miało niewiele powyżej tysiąca mieszkańców, wkrótce przybyło ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy cudzoziemców i miasteczko mogło im

udostępnić jedynie rozległy, nienadający się do użytku teren nad morzem, a mianowicie plażę. Tak samo było w innych miejscowościach położonych dalej na Côte Vermeille: w Argeles, Barcares i Septfonds. Dla uchodźców znalazło się miejsce tylko na piasku.

* * *

Żyli w potwornych warunkach. Ulokowano ich w prowizorycznych namiotach z drewnianych pali i koców, które nie dawały ochrony przed działaniem warunków atmosferycznych. Przez pierwsze tygodnie na plażach szalał deszcz i wiatr. Co noc przez godzinę Antonio czuwał na ochotnika, żeby słabi i niedołążni nie zostali pogrzebani żywcem pod warstwą nawiewanego wiatrem piasku. Na tych odludnych terenach piasek wciskał się w oczy, nos, usta i uszy. Ludzie jedli piasek, wdychali piasek, byli oślepieni piaskiem; nie mogąc się go pozbyć, niektórzy popadali w obłęd.

Brakowało żywności i wody. Pierwsze dwadzieścia tysięcy przybyłych korzystało z jednego niewielkiego źródła. Pomoc lekarska była niedostateczna w porównaniu z potrzebami: tysiące ciężko rannych ewakuowano z barcelońskich szpitali, u wielu z nich gangrena już wdała się w rany. Strażnicy izolowali ludzi z objawami dyzenterii, łatwo rozpoznawanych po odrażającym smrodzie, jaki od nich bił, i zostawiali ich, żeby zgnili poddawani prowizorycznej kwarantannie. Szerzyły się również inne choroby, zwłaszcza gruźlica i zapalenie płuc. Codziennie grzebano zmarłych głęboko w piasku.

Dla Antonia szczególnie nieznośna była sytuacja, gdy strażnicy prowadzili ich grupami, by załatwili potrzeby fizjologiczne. Odczuwał lęk, gdy nadchodziła jego kolej i pod pogardliwym spojrzeniem strażników miał wypróżnić się wprost do wody na wydzielonym w tym celu kawałku brzegu morskiego. Nic nie było bardziej upadającego niż konieczność pójścia pod nadzorem na tę obrzydliwą część plaży, gdzie wiatr podrywał umazany kałem piasek i papier.

Jeśli pominąć czynności wynikające z narzuconego im porządku dnia, życie na plaży upływało w poczuciu kompletnej beczasowości. Ustawiczne przyływy i odpływy fal, które przewały się z miarowym hukiem, odzwierciedlały obojętność natury na ludzką tragedię rozgrywającą się na tych piaskach. Dni przechodziły w tygodnie. Większość ludzi nie mierzyła czasu, ale Antonio wykonywał nacięcia na kiju, żeby złagodzić udrękę powolnego mijania dni. By nie zwariować z nudów, niektórzy uciekali się do różnych sposobów: grali w karty albo w domino, rzeźbili w drewnie, wielu robiło rzeźby nawet z kawałków drutu kolczastego, który wygrzebali na plaży. Zdarzało się, że czytali wieczorami poezje, i od czasu do czasu, w środku nocy, słychać było posępne, przeszywające dźwięki *cante jondo*, które dolatywały z któregoś namiotu. Tragizm tej pierwotnej formy flamenco podnosił Antoniowi włosy na głowie.

Pewnego wieczoru urządzono występ taneczny. Strażnicy przyglądali się, początkowo rozbawieni, a potem zahipnotyzowani. Zmierzchało. Ze starych skrzynek, znalezionych przy namiocie z żywnością, zbudowano niewielki, masywny podest, na którym stanęła młoda kobieta. Tańczyła bez muzyki, tylko przy akompaniamencie rytmicznego klaskania w dłonie, które uderzały z coraz większą siłą i intensywnością, aż utworzyły orkiestrę, jedne wydawały dźwięki łagodne, drugie ostre, dochodzące do crescendo i przycichające, tak jak dyktowały im uderzenia stóp tancerki.

Kobieta była mizerna, niegdyś może dorodnych kształtów, lecz po miesiącach głodowania straciła krągłości. Wyczucie rytmu, które tkwiło w niedotykanej części jej istoty, pozostało. Faliste ruchy rąk i palców podkreślała ich żałosna chudość. Ciemne wijące się włosy, zmatowiałe pod wpływem soli w wilgotnym powietrzu, przylgnęły do twarzy, ale ich nie odgarnęła.

Choć nie miała sukni z warstwami ciężkich falban kołyszających się wokół kostek ani akompaniatora grającego na gitarze, w wyobraźni czuła dotyk materiału i wsłuchiwała się w muzykę, a widzowie też to wyczuwali i słyszeli. Jej najlepsza jedwabna chusta z cieniutkimi frędzlami spaliła się wraz z całym dobyt-

kiem, gdy bomba spadła na jej dom. Tańczyła z podartą chustką na głowę, postrzępioną na brzegach, daleką od tamtej wytwornej i kosztownej. Zaraz zebrała się publiczność; mężczyźni, kobiety i dzieci oglądali pokaz zmysłowości i namiętności, który zupełnie nie pasował do tego zimnego i surowego miejsca. Taniec przyniósł im zapomnienie i zagłuszył ryk fal. Dziewczyna nie przestawała tańczyć, nawet nie spociła się w tę chłodną noc. Gdy zdawało się, że dała już widzom wszystko, znowu rozlegał się delikatny stuk obcasów. Występ obudził w każdym wspomnienia świąt i innych szczęśliwych chwil składających się na normalne życie, które zostało obrócone wniwecz. Każdy z widzów przeniósł się myślami gdzieś daleko za góry, do rodzinnych wiosek i miasteczek, do przyjaciół i krewnych.

Antonio pomyślał o siostrze. Gdzie jest teraz Mercedes? Uzyskanie jakichkolwiek wiadomości było niepodobieństwem. Od czasu do czasu nadal pisał zawołowane listy do ciotki Rosity, licząc, że będzie miała sposobność przekazać je Conchy. Równie dobrze Mercedes mogła znajdować się na tych plażach. Zastanawiał się, czy odnalazła Javiera i czy nadal tańczy. Na chwilę przybrała bardziej realną postać niż kobieta na podeście. Głęboka bruźda na czole tancerki przypomniawszy mu skupienie na twarzy tańczącej Mercedes. Na tym kończyło się jednak podobieństwo, jeśli założyć, że obraz, jaki zachował w pamięci, nie był nieaktualny. Może jej rysy straciły dziecięcą krągłość, może miała ptasią twarz jak ta wychudzona istota przed jego oczami. Chciałby to wiedzieć.

Gdy skończyła się *buleria*, wesoły taniec, jakby nie na miejscu w tej scenerii, do podestu dopchał się mały chłopiec o buzi ubrudzonej smarkami i błotem.

— *Mama! Mama!* — zawołał, pochlipując.

Tancerka, uprzytomniwszy sobie, gdzie się znajduje, natychmiast chwyciła go w ramiona i zniknęła w którymś ze stojących w oddali namiotów.

* * *

Po kilku tygodniach Francuzi ogłosili projekt przebudowy obozu, dając ludziom poczucie celowości działania. Silnym mężczyznom, jak Antonio i Victor, kazano rozebrać obskurne budy i postawić w równych rzędach drewniane chaty. Praca fizyczna absorbowała ciało i umysł, ale również przygnębiała. Palenie starych koców, które wielu z nich chroniły podczas przejścia przez góry, było bolesnym pożegnaniem z przeszłością. Nowe *barracas* może i lepiej osłaniały przed niepogodą, ale sprawiały przykre wrażenie trwałości.

— A więc to ma być teraz naszym domem? — rozlegały się pomruki.

Traktowali ten obóz jako miejsce tymczasowego pobytu, zanim znajdą coś bardziej nadającego się do życia. Nagle okazało się, że być może przyjdzie im tu zostać na zawsze.

— Przestaliśmy być uchodźcami i staliśmy się więźniami - powiedział stanowczym tonem Victor. — Musimy się stąd wydostać.

— Na pewno niedługo ustalą, co z nami zrobić — rzekł Antonio na pocieszenie, choć w pełni się z nim zgadzał.

— Nie możemy udawać, że to jest jakaś bezpieczna przystań! — ciągnął Victor, w którym młodzieńcza bojowość ani trochę nie osłabła. — Na miłość boską, przecież my tu siedzimy zajęci grą w karty albo słuchaniem wierszy Machado!

Miał rację. Byli trzymeni w więzieniu na świeżym powietrzu. Mogli wydostać się stąd tylko wtedy, gdy zgłosili się na ochotnika do grupy roboczej. Ładowano ich wówczas na ciężarówki dostawcze i wieziono wiele kilometrów w niewiadomym kierunku; tam selekcjonowano mężczyzn pod względem krzepkości, niczym bydło, i wynajmowano do ciężkich prac fizycznych jak budowa dróg, kładzenie torów kolejowych czy uprawa ziemi. Trudno to było uznać za wyzwolenie, bardziej przypominało niewolnictwo.

Jak wielu żołnierzy Antonio stwierdził, że jeśli pozostanie w obozie, łatwiej mu będzie uciec przez góry z powrotem do Hiszpanii, by podjąć na nowo walkę z Franco. Czuł również,

że ma obowiązki wobec małej grupy dzieci, które codziennie zbierały się i patrzyły, jak rysuje im litery na piasku. Za żadne skarby nie chciał znaleźć się w jakiejś nieznannej francuskiej wiosce odległej o setki kilometrów i pracować bez wynagrodzenia jako robotnik w nieprzyjaźnie nastawionym kraju, który ledwie toleruje jego obecność.

I tak żałował, że w ogóle opuścił Hiszpanię. Przed tygodniami, zmuszony do ucieczki z Barcelony, po prostu poszedł za tłumem zmierzającym na północ. Od tamtej pory nieustannie się zdręczał. Może należało udać się na południe, do Madrytu. To, co początkowo wyglądało na siatkę asekuracyjną, okazało się siłdami, które zaciskały się na nim coraz mocniej.

Wielu ludzi z oddziałów milicji zachowało resztki wiary w to, że dopóki Madryt się trzyma, nie wszystko stracone, i twierdziło, że powinni być na miejscu i bronić miasta do końca. Dla niektórych przetrwanie oznaczało rezygnację. Zaczęli obserwować wschody słońca i cieszyć się tą ulotną, ale dojmująco piękną chwilą, gdy patrzyli, jak z mgły wyłania się na horyzoncie ich ojczyzna. Była tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki.

Na kilka miesięcy uciekli w bezpieczny świat codziennych czynności i obrządków, które pomagały im wypełnić czas. Nadawali nazwy ulic przejściom między chatami, a chatom — nazwy hoteli. Dzięki temu ich życie nabierało sensu.

Dla niektórych sensem życia były drobne akty buntu i nieznaczące działania wywrotowe, na przykład ulepienie z piasku popiersia generała Franco i polanie go syropem, żeby zleciały się muchy. Victor należał do grupy inicjatorów tej akcji. Jego konfrontacyjna postawa została zauważona już wcześniej. Strażnicy wiedzieli, że jest jednym z wichrzycieli, i tylko czekali, żeby znowu się wyłamał. Któregoś dnia nie stanął na czas w kolejce po obiad i to wystarczyło. Tej nocy zakopano go po szyję w piasku. Gdy zaczął wdzierać mu się do oczu, uszu i nosa, mało brakowało, a chłopak by się udusił. W końcu jeden ze strażników zlitował się nad nim i o trzeciej nad ranem niezdarnie przytknął mu do ust kubek z wodą.

Antonio zaopiekował się Victorem, gdy ten chwiejnym krokiem wszedł do chaty. Chłopak był bliski obłądu, oszalały z braku wody i z wściekłości. Kipiał taką nienawiścią do strażników, że gotów był mordować.

— Spróbuj myśleć o czymś innym — powiedział spokojnie Antonio i usiadł w nogach jego łóżka. — Nie dawaj im satysfakcji, okazując gniew. Zachowaj go na później.

Łatwo było mówić. Ten sadystyczny czyn wywołał jednak głęboką nienawiść wybuchowego Victora.

Wiosną niebo coraz bardziej się niebiesciło. W pełnym blasku słońca odbijało się w morzu, a szary piasek migotał złociście. Dopiero wtedy przypomnieli sobie, jak bardzo kochali niegdyś plaże. Dawniej były miejscem wypoczynku, gdzie maluchy chlapały się w falach przy brzegu, ale to wybrzeże wykpiwało teraz tamte szczęśliwe wspomnienia.

Wraz z wiosną przyszedł najgorszy dla nich dzień. Dowiedzieli się, że nacjonaliści wkroczyli do Madrytu. To, co było nieuchronne od miesięcy, stało się rzeczywistością. Pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku generał Franco ogłosił zwycięstwo. Dostał list z gratulacjami od papieża.

W Grenadzie świętowano hucznie, frankiści machali flagami. Concha spuściła żaluzje, zamknęła kawiarnię i poszła do mieszkania na piętrze. Nie mogłaby znieść widoku uradowanych, triumfujących twarzy prawicowców z Grenady, którzy stanowili znaczną większość ludności miasta. Po dwóch dniach wyłoniła się z głębi mieszkania i spojrzała przez okno na nowy, nieprzyjazny kraj. Takiego kraju nie chciała widzieć.

* * *

Wielu uchodźców musiało liczyć się z faktem, że ludziom powracającym do Hiszpanii grozi niebezpieczeństwo. Wyglądało na to, że tymczasowa ucieczka znacznie się przedłuży. Nie uchwalono amnestii dla przeciwników Franco; szykujący się do powrotu bojownicy z oddziałów milicji nie mieli wąp

liwości, że zostaną aresztowani, gdy tylko znów postawią stopę na hiszpańskiej ziemi. Szerzyły się pogłoski o masowych egzekucjach wrogów Franco. Najbezpieczniej było zostać na emigracji.

— Dlaczego i ty nie złożysz podania? — zapytał Victor, który właśnie dowiedział się, że jego rodzina popłynęła już do Meksyku.

— Nie mógłbym opuścić swojego kraju — odparł Antonio. — Moja rodzina może nawet nie wie, że żyję, ale jeśli wie, to będzie się spodziewała mojego powrotu.

— Pewnie i tak nie znalazłoby się dla nas miejsce. Podobno komitet do spraw ewakuacji został zasypany wnioskami.

Victor miał rację. Do Servicio de Evacuación de Refugiados Españoles nadeszło dwieście pięćdziesiąt tysięcy podań i jedynie dla nikłej części ubiegających się wystarczyło miejsc na odpływających statkach. Victorowi dopisało szczęście. Dostał zgodę na wyjazd do Ameryki Południowej i wkrótce miał wsiąść na statek. Zawdzięczał to nazwisku swego ojca, które było znane pracownikom Servicio i dostatecznie wpływowe.

Francuzi pałali chęcią odesłania do ojczystego kraju rzeszy uchodźców, którym niechętnie udzielili tymczasowego schronienia, a generałowi Franco również zależało na ich powrocie. Przez megafony zachęcano ludzi, żeby przeszli przez góry i wrócili do nowej Hiszpanii.

Wszyscy stanęli przed trudnym wyborem. Francja obawiała się napaści ze strony Niemiec. Gdyby do niej doszło, hiszpańscy uchodźcy byłiby narażeni na nowe niebezpieczeństwa.

Jedno jest pewne — oświadczył Antonio. — Nie będę niewolnikiem Hitlera.

Postanowił zaryzykować i jechać do kraju. Chciał wrócić do Grenady. Nowe władze, podobnie jak stare, chyba potrzebują nauczycieli. Od wyjazdu z domu każdego dnia myślał o rodzinach i zastanawiał się, jak wygląda ich życie. Choć pisał do nich listy, nie dostał odpowiedzi od ponad roku, ale spodziewał się, że ojca wypuszczono już z więzienia, zważywszy, że nie

popenił żadnego przestępstwa. Ponieważ nie miał zdjęcia rodziców, ich obraz zacierał się w jego pamięci. Nie zapomniał jedynie czarnych włosów matki i jej wyprostowanej postawy oraz pokaźnego brzuszka ojca i kręconych siwych włosów, ale gdyby teraz natknął się na nich, pewnie by ich nie poznał.

Wielu ludzi pragnęło wrócić do domu i podobnie jak Antonio woleli nie brać pod uwagę przerażających doniesień o egzekucjach i aresztowaniach. Antonio wyruszył w drogę razem z kolegami z milicji, towarzyszami walk nad Ebro, którzy również chcieli opuścić Francję, gdzie doświadczyli niemal tylko wrogości. Trasa wędrówki prowadziła przez Pireneje. Gdy się wspinali, Antonio po raz ostatni spojrział na znienawidzone plaże. Zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek pozbędzie się wstrętnego smaku piasku w ustach, czy zapomni o bezsensownym okrucieństwie, jakie widział na tym piaszczystym pustkowiu.

Rozdział 32

Antonio spodziewał się, że gdy przejdzie przez góry i zobaczy równiny ciągnące się w kierunku Figueres, poczuje radość na widok ukochanej ojczyzny. Nic takiego się nie stało. W jego oczach Hiszpania się zmieniła. Była jego ojczyzną, a zarazem obcym krajem, gdzie rządzą teraz faszyci. Miał nadzieję, że miłość rozbudzi się w nim na nowo po powrocie do rodzinnego miasta.

Stojąc na górskiej grani i widząc szybującego wysoko orła, Antonio skierował wzrok na południe. Ponad dziewięćset kilometrów na południowy zachód od tego miejsca znajdowała się Grenada. Jakże zazdrościł temu ptakowi zdolności latania.

Po zejściu z gór mężczyźni poszli każdy swoją drogą. Tak było bezpieczniej. Antonio obrał trasę przez duże miasta, gdzie łatwiej zachować anonimowość i uniknąć spojrzeń ciekawskich. Uważał, że wśród rzesz ludzi powracających do domów prześlizgnie się niezauważenie. Nie wziął pod uwagę czujności funkcjonariuszy Guardia Civil ani informatorów, którzy nabrawszy choćby najlżejszych podejrzeń co do nowo przybyłych, donosili o tym władzom.

Zbliżała się ósma wieczorem, gdy dotarł na obrzeża Gerony. Zapadał zmierzch, więc pora wydawała się sprzyjająca. Szedł spokojną uliczką, gdy nie wiadomo skąd pojawiło się dwóch

ubranych po cywilnemu mężczyzn, którzy zastąpili mu drogę, żądając, by się wylegitymował.

Antonio nie miał stosownych dokumentów, poza tym po jego wyglądzie widać było ponad wszelką wątpliwość, po czyjej stronie stał podczas niedawno zakończonych walk. Nie musiał nosić munduru ani charakterystycznego znaczka z czerwoną gwiazdą, by funkcjonariusze Guardia Civil wywęszyli stronnika republiki oraz dawnego członka republikańskiej milicji i mieli wystarczający powód do aresztowania.

Znalazł się opodal Figueres, w więzieniu, gdzie panowały prymitywne warunki, jak było do przewidzenia. Gdy trafił do celi, strażnik rzucił mu szorstki koc i papierosy. Tam Antonio zrozumiał, dlaczego uważano, że papierosy są cenniejsze niż jedzenie. W wypchanym słomą sienniku, na którym spał, gnieździły się wszy. Jeśli nie chciał, by nocą łążyły mu po twarzy, musiał palić papierosy.

Po tygodniu został w trybie doraźnym osądzony i skazany na trzydzieści lat więzienia. Po raz pierwszy od ponad dwóch lat napisał list bezpośrednio pod adresem matki w Grenadzie. Faszyci z radością gwarantowali dostarczanie przesyłek, które odbierały ducha rodzinom takich wyrotowców jak Antonio Ramirez.

* * *

Trudy, jakie Antonio znosił w więzieniu, nie były dla niego niczym nowym. Czasem zastanawiał się, do jakiego stopnia człowiek może uodpornić się na cierpienia fizyczne i nie stracić człowieczeństwa. Istna udręka obozowania na kamiennej ziemi na mrozie w Teruel, piekielny skwar w Brunete, niewysłowione męczarnie, gdy był ranny i śmierć wydawała się upragnioną ucieczką, skrajna nędza, w jakiej początkowo przyszło mu żyć we francuskim obozie na plaży — to wszystko odcisnęło na nim swoje piętno. Rany, fizyczne i psychiczne, pokryły się twardymi bliznami; ból stawał się coraz odleglejszym wspomnieniem. Antonio się znieczulił.

Więzienne jedzenie było jednostajne, raczej — minimalne. Na śniadanie miska kleiku, na obiad fasola, na kolację to samo, czasem rybi łeb lub ogon. Bywało, że dostawali sardynki z puszki.

Mijały miesiące. Antonio oraz większość współwięźniów byli odporni na okrucieństwo strażników, ale kilku dosłownie marniało ze zgryzoty, jak to zdarza się mężczyznom, gdy nie mają po co żyć ani nie mogą liczyć na zmianę sytuacji.

Więźniowie wypełniali sobie czas rozmowami o ucieczce, ale po pierwszej próbie winowajcy zostali tak surowo ukarani, i to na oczach wszystkich, że inni nie mieli ochoty ryzykować. Jeszcze długo potem słyszeli niosące się po dziedzińcu wrzaski uciekinierów.

Przez jakiś czas jedyną działalnością wywrotową, jaką mogli prowadzić, była odmowa śpiewania patriotycznych pieśni obecnego reżimu oraz prowadzenie rozmów podczas kazań, których musieli wysłuchiwać na dziedzińcu więziennym. Nawet za to groziły kary. Z najbłahszego powodu chłostano ich szpicrutą ze stalowym prętem w środku.

Każdego dnia z przerażeniem myśleli o chwili, gdy zostanie odczytana lista więźniów skazanych na stracenie dzień później. Pewnego dnia o świcie strażnik zaczął wymieniać nie kilkanaście nazwisk, jak zazwyczaj, lecz setki. Lista ciągnęła się bez końca. Antonio stał w przejmującym porannym zimnie i czuł, że krew mu krzepnie.

Tak jak umysł ludzki potrafi wyłowić z tłumu znajomą twarz, tak Antonio usłyszał swoje nazwisko w szumie innych nazwisk niemal nie do rozróżnienia. Z monotonnej listy Juanów i Jose nagle wyskoczyły słowa: „Antonio Ramirez”.

Zapadła cisza.

— Wycytani wystąp!

Minęło kilka minut, zanim więźniowie postąpili naprzód i stanęli szeregami. Bez żadnych wyjaśnień wyprowadzono ich za bramę więzienia. W powietrzu niósł się kwaśny odór potu przenikającego przez brudne koszule. Była to woń strachu. Czy

oni naprawdę chcą nas wszystkich zabić? — myślał Antonio, ledwie trzymając się na rozdygotanych nogach. Na pożegnania zabrakło czasu. Ci, których połączyły żywsze więzi podczas długotrwałego pobytu w więzieniu, zdołali wymienić ukradkiem spojrzenia. Pozostający za murami patrzyli na odchodzących ze współczuciem, wszystkich łączyło jednak przekonanie, że faszyci w żadnym wypadku nie mogą dostrzec strachu na ich twarzach. Sprawiloby im to zbyt wielką satysfakcję.

Antonio zorientował się, że kolumna zmierza do miasta. Wiedział, że przenoszono ludzi z jednego więzienia do drugiego, ale nigdy w takiej masie. Gdy dotarli na dworzec kolejowy, kazano im się zatrzymać. Najwyraźniej wysyłano ich w podróż.

Godzinami pociąg toczył się z turkotem na południe.

— Mam wrażenie, jakby zamknięto mnie w klatce — mruknął jeden z mężczyzn.

— Miło, że nie zatrasnęli wieka — wtrącił drugi.

— To do nich niepodobne — dodał z ironią trzeci.

Zabierano ich w nowe miejsce, ale traktowano tak samo. Ponad stu wepchnięto na każdą okratowaną platformę. Wszyscy musieli stać, niektórzy trzymali się prętów i patrzyli na zmieniający się krajobraz, coraz bardziej płaski z upływem dnia. Wciśnięci do środka widzieli tylko niebo.

Przez kilka godzin smagał ich deszcz, aż w końcu chmury przeszły i z położenia słońca Antonio wywnioskował, że zmierzają mniej więcej na południowy zachód. Po długiej jeździe pociąg się zatrzymał i otworzono drzwi klatek. Więźniowie zwalili się na twardą, pylastą ziemię, wielu odetchnęło z ulgą, mogąc dać odpoczynek nogom.

Pilnowała ich grupa uzbrojonych żołnierzy. Stali z odbezpieczonymi karabinami i tylko czekali, żeby ich użyć, gdyby któremuś z więźniów przyszło do głowy uciekać. Teren nie sprzyjał takim zamiarom. Z jednej strony piętrzyły się skały, z drugiej nie było nic. Nie miałyby dokąd uciec. W nagrodę za podjęcie próby otrzymałby kulę w plecy.

Z nieskrywaną pogardą ciśnięto kilka kawałków chleba

w tłum. Zakotłowało się. Zdesperowani więźniowie rzucili się na jedzenie niczym ławica ryb, szarpali się i przepychali, tracąc resztki godności.

Antonio obserwował, jak kilkunastu mężczyzn sięga po jeden kawałek. Z obrzydzeniem patrzył na własną wychudłą rękę z brudnymi paznokciami, która próbuje wydrzeć skórkę chleba z dłoni innego mężczyzny. Podjudzani przeciwko sobie zachowywali się jak zwierzęta.

Potem znów załadowano ich do pociągu, który włókł się przez wiele godzin, aż zatrzęsł się gwałtownie i stanął. Na chwilę zapanowało poruszenie.

— Gdzie jesteśmy? — krzyknął ktoś ze środka.

— Co tam widać? — spytał drugi. — Co się dzieje?

Jeszcze nie dojechali do celu. Antonio znowu wypadł z bydlęcej klatki i zobaczył kilkanaście ciężarówek, na które kazano im wejść.

Ścisk był jeszcze większy. Na wyboistej drodze wszyscy kiwali się jednocześnie to w tę, to w tamtą stronę. Po jakiejś godzinie zazgrzytały zmieniane biegi i nagle zapiszczały hamulce. Więźniowie runęli do przodu. Drzwi otworzyły się i zatrzęsły, odsunięto rygle, rozlegały się krzyki, padały rozkazy, skądś dochodziły odgłosy ostrej kłótni. Znowu zdjął ich strach. Znajdowali się na pustkowiu, w oddali majaczyły obrzeża miasta, tak wydawało się Antoniowi.

Więźniowie zaczęli rozmawiać półgłosem.

— Dziwne, że więźli nas taki szmat drogi tylko po to, by nas zabić — zauważył jeden z mężczyzn.

Antonio stał twarzą w twarz z tym mężczyzną, przyciśnięty do niego przez ostatnie cztery godziny. Wstrętny zapach z ust tamtego niemal go dusił. Zdawał sobie sprawę, że sam nie ma różanego oddechu, ale na widok bezzębnych ust i gnijących dziąseł tego żołnierza zbierało mu się na wymioty.

Antonio już miał się odezwać, ale ktoś go uprzedził.

— Moim zdaniem już by nas załatwili, gdyby chcieli.

— Nie byłbym taki pewny — rzucił jakiś pesymista.

Zastanawiali się do czasu, gdy jeden z żołnierzy wydał szczekliwym głosem rozkaz, by poszli drogą gruntową, boczną od tej, którą przyjechali. Cel podróży wkrótce ukazał się ich oczom. Na widok stojących rzędem chat wielu z nich doznało niewysłowionej ulgi. Płakali na myśl, że mają przed sobą kolejny dzień życia.

Zaprowadzono ich na plac przed chatami i ustawiono w szeregi. Przemówił do nich kapitan wojsk lądowych, człowiek o wąskich, zaciętych wargach i wystających kościach policzkowych. Reszta jego twarzy pozostawała niewidoczna, oczy przysłaniał daszek czapki, co irytowało Antonia. Więźniowie milczeli, czekali — po raz pierwszy z optymizmem — nie odrywając wzroku od poruszających się warg kapitana.

— Wspaniałomyślności naszego wielkiego generała Franco zawdzięczacie ten niezasłużony łut szczęścia. Dzisiaj dostaliście jeszcze jedną szansę.

Tłum wydał westchnienie ulgi. Ton tego przemówienia wzbudzał w Antoniu odrazę, ale treść napawała go radością. Kapitan mówił dalej. Miał przekazać informacje i chciał to zrobić niezwłocznie.

— Niewątpliwie słyszeliście, że uchwalono prawo pozwalające na odkupienie winy przez pracę. Za każdy przepracowany dzień przysługuje wam skrócenie wyroku o dwa dni. Taka hołota, jak część z was, nie zasługuje na to, lecz generalissimus wydał dekret.

Sądząc po tonie głosu kapitana, można by przypuszczać, że połknął gorzką pigułkę. Pobłażliwość tego rodzaju najwyraźniej nie zyskała jego aprobaty i uważał, że tym ludziom należy się kara w maksymalnym wymiarze, ale liczyło się słowo generała Franco. On sam zaś miał obowiązek wypełniać rozkazy.

— Co ważniejsze, zostaliście wybrani, by wykonać wyjątkowo zaszczytne zadanie.

Antonia ogarnął niepokój. Słyszał o wykorzystywaniu więźniów jako przymusowej siły roboczej w przedsięwzięciach

budowlanych, na przykład do odbudowy Belchite i Brunete, miast zniszczonych podczas działań zbrojnych. Może taki czekał go los.

— Oto jak w zamyśle El Caudillo ma wyglądać ten projekt. Cytuję...

Kapitan wyprostował się jak struna i wpadł w jeszcze bardziej pompatyczny ton. Jak na ironię mówił głębszym i bardziej męskim głosem niż Franco, którego piskliwą, zduszoną mowę znali wszyscy.

— „Chcę, by to miejsce odznaczało się majestatem dawnych świątyń... by tchnęło spokojem sprzyjającym zadumie, gdy przyszłe pokolenia będą składać hołd ludziom, którzy stworzyli lepszą Hiszpanię...”.

Przytaczał słowa Franco śpiewnym tonem, niemal z uwielbieniem. Po chwili jego głos znów zabrzmiał surowo.

— Wybrano was do budowania Doliny Poległych. Ten pomnik upamiętni tysiące ludzi, którzy ponieśli śmierć w walce o ocalenie naszego kraju przed czerwoną zarazą, przed komunistami, anarchistami i związkowcami...

Kapitan mówił coraz donośniej. Miał w sobie tyle awersji, że trzęsa mu się czapka na głowie i żyły wystąpiły na szyję. Ledwie pohamowywał atak hysterii. Stojący najbliżej niego widzieli rozpryskujące się w powietrzu kropelki śliny, gdy z. wściekłością wymawiał ostatnie słowa. Prawie wrzeszczał, choć nie miał powodu, zważywszy na zalegającą dokoła ciszę.

Wszyscy słyszeli pogłoski o tym zamierzeniu. Teraz już wiedzieli, że znajdują się w Cualgamuros, niedaleko Madrytu i blisko Escorialu, gdzie mieszczą się grobowce królów hiszpańskich. Planom generała Franco przyświecał jeden cel. Dolina Poległych miała utrwać pamięć o żołnierzach, którzy ponieśli śmierć w imię jego idei, ale przede wszystkim być jego własnym mauzoleum.

Fanatyczny, upojony władzą kapitan skończył przemawiać. Jego podwładni poprowadzili tłum więźniów w kierunku chat.

— No to wiemy już, po co przywieźli nas aż tutaj... —

odezwał się starzec, który przez całą drogę jechał obok Antonia. — Zawsze jakaś odmiana po siedzeniu w zamknięciu.

Odporność tego człowieka była dla niektórych balsamem, innym działał na nerwy jego niezmiennie pogodny głos. Po tylu ciężkich miesiącach, nawet latach, widok człowieka zupełnie pozbawionego gorczy budził zdumienie.

— Będziemy mieli okazję częściej patrzeć na niebo - przytaknął Antonio, starając się myśleć pozytywnie.

Chata, która miała być ich nowym domem, ogromnie różniła się od więzienia, gdzie całymi dniami siedzieli w pozbawionej okna celi, przy żarówce świecącej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wnętrze wyglądało obskurnie, ale przynajmniej były tam okna, które ciągnęły się po jednej stronie, i dwa rzędy po jakieś dwadzieścia łóżek w całkiem przyzwoitej odległości jedno od drugiego.

— Nie wygląda tak źle, co?

W gwarze rozmów tysiąca mężczyzn, którzy gromadzili się na porośniętym nędzną roślinnością placu przed chatami, by dostać następne polecenia, wesołe słowa starca stanowiły wyzwanie dla Antonia. Zastanowiło go, dlaczego niektórzy ludzie odznaczają się taką pogodą ducha, choć dokoła wali się świat.

Kazano im włożyć brązowe uniformy leżące na siennikach ze słomy.

— Zmieściłoby się dwóch takich jak ja — powiedział siedemdziesięcioparolatek, podwijając rękawy i nogawki. Wyglądał absurdalnie. — Na szczęście nie ma tu lustra — dodał.

Nadal prezentował się komicznie, jak chłopiec w ubraniu swego ojca. Antonio uśmiechnął się chyba po raz pierwszy od miesięcy. Poczul się dziwnie, ponieważ odruch śmiechu zanikł w nim już dawno temu.

— Skąd u pana ten niezmiennie dobry nastrój? — zapytał Antonio, z trudem zapinając guziki. Ledwie poruszał zgrabiającymi palcami.

— A jest sens mieć jakikolwiek inny? — rzekł starzec

Zapinanie marynarki i jemu sprawiało kłopot, tak bardzo dokuczał mu artretyzm w rękach. — Co możemy zrobić? Nic. Jesteśmy bezsilni.

Antonio zamyślił się na chwilę.

— Stawić opór? Uciec? — zapytał niepewnie.

— Wiesz równie dobrze jak ja, co się dzieje z uciekinierami. Są załatwieni. Na amen. — Ostatnie słowa wymówił z naciskiem. Przybrał inny ton. — Dla mnie to kwestia zachowania człowieczeństwa. Jedni ludzie walczą do samego końca. Ja zaś wyrażam sprzeciw, podporządkowując się tym faszystom z uśmiechem, pokazując im, że nie zmiażdżą we mnie duszy, nie zniszczą mojej istoty.

Antonio słuchał go ze zdumieniem. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Ten człowiek, jak i pozostali przewiezieni w bydłowej klatce, sprawiał wrażenie wynędzniałego robotnika. W sensie materialnym posiadał jeszcze mniej — nawet to, co włożył na grzbiet, nie było jego własnością. Ale sposób mówienia i formułowania myśli świadczył o czymś zupełnie innym.

— I co? Sprawdza się takie nastawienie? — zapytał Antonio.

— Na razie tak. Nie wyznaję żadnej religii. Można powiedzieć, że jestem ateistą, i to od wielu lat. Jednak przekonanie, że twoje ja wymaga ochrony, pomaga przetrwać, wierz mi.

Antonio spojrział przez ramię starca na zbiorowisko dwustu ubranych w uniformy mężczyzn, których człowieczeństwo przybrało teraz postać bezkształtnej plamy koloru łąjna. W tej masie wreszcie zabito wszelką indywidualność, choć znajdowali się tam lekarze, prawnicy, profesorowie uniwersytetów i pisarze. Być może ów starzec też był kimś takim.

- Czym pan się zajmował przed... tym wszystkim? — zapytał Antonio.

- Jestem profesorem filozofii na uniwersytecie w Madrycie — odrzekł bez wahania starzec, celowo używając czasu teraźniejszego, i kontynuował rozmowę, zadowolony, że przyciągnął uwagę Antonia. — Tylko popatrz, jak wielu ludzi

zdołali doprowadzić do samobójstwa. Zapewne tysiące. To jest największym sukcesem dla faszystów, nie sądzisz? Jeszcze jeden więzień skazany na męki piekielne. I jedna gęba mniej do wyżywienia.

Mówił tak rzeczowo, tak realistycznie opisywał ich położenie, że niemal przekonał Antonia, który sam był świadkiem kilku samobójstw. Najgorzej przeżył śmierć współwięźnia, który zabił się zaledwie kilka dni wcześniej, przed wyjazdem z Figueres. Ów człowiek podskoczył, by zerwać wiszącą pod sufitem żarówkę, i zanim ktokolwiek, przyjaciel czy faszysta, zdołał go powstrzymać, jednym ruchem stłukł żarówkę o oparcie krzesła, po czym wbił sobie odłamek szkła w żyłę. W końcu przyszli strażnicy i wywlekli zwłoki z celi. Takie zdarzenia widzieli wielokrotnie. Skrócenie kabla kosztowałoby zbyt wiele fatygi.

— Wygląda na to, że mamy zabrać się do pracy — powiedział profesor, nasadzając na głowę okrągły kapelusz, który leżał na wierzchu uniformu.

Wesołość starca była, na krótką chwilę, zaraźliwa.

— Widzisz to? — ciągnął, wskazując przyczepioną do kapelusza literę „T”, skrót od *Trabajos Forzados*, roboty przymusowe, i znak niewolnika.

— Widzę — odrzekł Antonio.

— Mogą ujarzmić moje ciało, ale nie mój umysł — oświadczył profesor.

Każdy człowiek miał jakiś powód, by trzymać się życia, a ten mężczyzna znalazł właśnie taki sposób.

Wszyscy opuścili już izbę. Choć mieli puste żołądki, jeszcze tego dnia musieli rozpocząć pracę. Ich ciemżyciele nie zamierzali marnować dwóch godzin, które pozostały do zmierzchu.

Nowo przybyli przeszli jeden za drugim przez gęsty las i w końcu dotarli na skraj placu budowy. Gdy zobaczyli ogromną polanę i uprzytomnili sobie skalę całego przedsięwzięcia, nie mogli otrząsnąć się z szoku.

Pracowały tam tysiące mężczyzn podzielonych na brygady. Wszyscy poruszali się bez chwili przerwy, w sposób zor-

ganizowany i efektywny. Niewątpliwie wykonywali jakieś kolosalne zadanie, żmudne i ciągnące się bez końca. W jedną stronę szli z ładunkiem, wracali z pustymi rękami; przypominało to nieustanne wędrówki mrówek budujących mrowiska.

Grupę, w której znajdował się Antonio, poprowadzono w kierunku zbocza wzgórza odsłoniętego na rozległej powierzchni. Zrazu mieli wrażenie, jakby wyznaczono im zadanie przeniesienia góry, w dosłownym sensie. Hałas był ogłuszający. Od czasu do czasu z wnętrza wzgórza wydobywał się potężny grzmot. Już wiedzieli, na czym będzie polegało ich zadanie. W wyniosłej skale wykuwano ogromny otwór. Łoskot, jaki usłyszeli po przyjsciu, zagłuszyłby wszelkie polecenia. Przed nimi leżały stopy kamieni. Część mężczyzn rozbijała je kilofami. Odłamki leciały na wszystkie strony. Pozostali zbierali je gołymi rękami i wynosili. Co rusz rozlegał się krzyk, wydawano polecenie albo udzielano upomnienia, podnosiła się ręka z kijem. Tak mogłoby wyglądać piekło.

Szybko rozwiały się nadzieje Antonia, że pracując na świeżym powietrzu, będzie miał okazję spoglądać na niebo. W powietrzu było gęsto od pyłu. Rozwiała się również iluzja wolności, którą ich zwodzono tego popołudnia. Faszyści jedną ręką dawali, a drugą odbierali.

Rozdział 33

Gdy Antonio budował grobowiec generałowi Franco, Concha Ramirez nadal prowadziła kawiarnię El Barril, zdecydowana nie dopuścić do upadku rodzinnego interesu. Jak wszyscy, którzy stali po niewłaściwej stronie barykady, była naznaczona piętnem męża i syna osadzonych w więzieniu. Ciągłe dręczyła ją Guardia Civil; funkcjonariusze często obserwowali jej lokal i przeprowadzali rewizje. Była to zwykła taktyka zastraszania, ale Concha nie mogła w żaden sposób uchronić się przed tymi najściami. Ludzie, którzy znaleźli się w takiej samej sytuacji jak ona, często stwierdzali, że ich dzieci są zatrudniane jedynie do pracy fizycznej. Ci, których dzieci usiłowały wrócić do domu po zakończeniu walk o republikę, natychmiast trafiali do więzienia. Jeden z braci Paquity został rozstrzelany w tym miesiącu.

W któryś czwartek po południu, kilka miesięcy po ogłoszeniu przez generała Franco zwycięstwa, Concha była w kuchni, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi kawiarni. Kończyła się praca wita pora lunchu.

Pewnie spóźniony gość, pomyślała zirytowana. Oby **nic** spodziewał się, że dostanie coś do jedzenia.

Wpadła na salę, by powiedzieć spóźnialskiemu, że już **nic** podaje posiłków, i stanęła jak wryta. Chciała się odezwać,

wymówić imię, ale żaden dźwięk nie wydostał się z gardła. Zrobiło jej się sucho w ustach.

Choć męczyzna miał zapadnięte oczy i przygarbione plecy, rozpoznałaby go w tłumie setek tysięcy ludzi.

— Pablo — powiedziała bezgłośnie.

Stał, jedną ręką trzymając się mocno oparcia krzesła. Nie mógł powiedzieć słowa ani się poruszyć. Resztkami energii i siłą woli dotarł do domu. Concha przeszła przez salę i wzięła go w ramiona.

— Pablo. To ty — szepnęła. — Nie mogę uwierzyć.

Rzeczywiście, Concha nagle przestała dowierzać własnym zmysłom. Czy ten bladzi cień człowieka to naprawdę jej mąż? Może ta słaba, wątła istota, którą trzyma w objęciach, wcale nie jest postacią rzeczywistą, przeleciało jej przez myśl, lecz stanowi tylko wytwór fantazji. A jeśli wyrok śmierci został wykonany i pojawia się przed nią duch Pabla? W jej wyobraźni wszystko było możliwe.

Jego milczenie nie rozwiało jej wątpliwości.

— Powiedz, że to ty — nalegała.

Męczyzna już osunął się na krzesło. Był tak słaby z głodu i wyczerpania, że nie mógł dłużej ustać na nogach.

Patrząc załzawionymi oczami w jej oczy, wreszcie się odezwał:

— Tak, Concha, to ja, Pablo.

Ujęła jego dłonie w swoje i rozplakała się. Kręciła głową z niedowierzaniem.

Przez godzinę siedzieli tak razem. Nikt nie wszedł do kawiarni — panowała martwa pora.

W końcu podnieśli się i Concha zaprowadziła męża do sypialni. Pablo przysiadł niepewnie na skraju łóżka, po lewej stronie. Tak długo była pusta. Concha pomogła mu zdjąć wiszące na nim łachy. Starła się nie okazać, jak bardzo wstrząsnął nią widok wymizerowanego ciała i torsu, który zmienił się nie do poznania. Odchyliła pościel i pomogła mężowi wejść do łóżka. Nieprzyzwyczajony do prześcieradeł

czuł, jak ich chłód przenika go na wylot. Położyła się przy nim i otoczyła go ramionami, rozgrzewając własnym ciałem, aż paliła go skóra. Spali godzinami, spleceni za sobą niczym łądygi winorośli. Ludzie zaglądali do kawiarni na dole i wychodzili zaskoczeni i trochę zaniepokojeni nieobecnością Conchy.

Dopiero po przebudzeniu się Pablo zapytał o Antonia i Mercedes. Concha bała się tych pytań, ale musiała powiedzieć mężowi wszystko, co wiedziała: że Antonio siedzi w więzieniu, a o Mercedes nie ma żadnych wiadomości.

Zastanawiali się również, dlaczego Pablo został wypuszczony. Stało się to ni stąd, ni zowąd. Pewnego wieczoru, po odczytaniu codziennej listy skazanych na śmierć, odprowadzono go na bok i powiedziano, że wychodzi z więzienia. Przerażony, z walącym sercem, zastanawiał się, jaki okrutny podstęp się za tym kryje. Wolał jednak nie zadawać pytań w obawie, że ułaskawienie zostanie cofnięte.

Z dokumentami potwierdzającymi zwolnienie z więzienia udał się z powrotem do Grenady, pokonując drogę częściowo ciężarówką, częściowo pieszo. Zajęło mu to trzy dni. I cały czas rozmyślał: dlaczego ja?

— Elvira — powiedział Concha. — Moim zdaniem miała z tym coś wspólnego.

— Jaka Elvira?

— Elvira Delgado. Na pewno ją pamiętasz. Żona matadora — wyjaśniła niepewnym głosem.

Pablo miał ogromne luki w pamięci, tyle szczegółów z życia przed uwięzieniem wyleciało mu z głowy. W ciągu minionej doby Concha kilkakrotnie zauważyła puste spojrzenie swego męża i nie mogła oprzeć się niepokojącemu wrażeniu, że jakaś jego część pozostała w celi więziennej.

Niezrażona mówiła dalej:

— Była kochanką Ignacia. Sądzę, że użyła swoich wpływów i nakłoniła męża, żeby wstawił się za tobą. Nie znajduję innego wytłumaczenia.

Pablo wyglądał na zamyślonego. W ogóle nie pamiętał tej kobiety.

— No cóż, to chyba nieistotne, jak i dlaczego do tego doszło — powiedział w końcu.

Domysły Conchy były trafne. Uwolnienie Pabla nastąpiło w wyniku działań Elviry Delgado, ale odszukanie tej kobiety, by jej podziękować, nie wchodziło w rachubę. Jakikolwiek gest świadczący o jej zaangażowaniu w tę sprawę mógł zaszkodzić obu stronom.

Wiele miesięcy później Concha minęła Elvirę Delgado na Plaza de la Trinidad. Rozpoznała Elvirę, ponieważ jej zdjęcie regularnie pojawiało się w gazecie „El Ideal”. Nawet gdyby nie zwróciła uwagi na znajomą twarz, jej wzrok przykułaby olśniewająca postać w dopasowanym czerwonym płaszczu wykończonym futrem. Przechodnie odwracali za nią głowy. Pełne usta kobiety były umalowane pod kolor szkarłatnego stroju; czarne włosy, upięte wysoko, lśniły takim samym blaskiem jak kołnierz z ciemnych norek.

Gdy Concha dostrzegła zbliżającą się Elvirę, serce zaczęło jej bić szybciej. Każda matka czułaby się dziwnie, mając przed sobą zmysłową kobietę, która uwiodła jej własnego syna, i uświadamiając sobie siłę jej oddziaływania. Nic dziwnego, że tak ryzykował, żeby z nią być, pomyślała Concha, zbliżywszy się na tyle, by dostrzec doskonale gładką skórę i poczuć woń perfum. Kusilo ją, by zagadnąć tę młodą kobietę, ale tamta szła zdecydowanym krokiem, pewna siebie, ze wzrokiem utkwionym na wprost. Nie wyglądała na osobę, która aprobeje zaczepki na ulicy. Concha pomyślała o swoim pięknym synu i poczuła ucisk w gardle.

* * *

Pablo niewiele mówił Conchy o pobycie w więzieniu. Nie było takiej potrzeby. Concha potrafiła wyobrazić sobie wszystko, patrząc na jego pomarszczoną twarz i pokryte bliznami plecy. Najego ciele wyryła się cała historia, razem z fizycznymi i psychicznymi torturami.

Zachowywał milczenie, ponieważ nie chciał wracać do tych okropnych czterech lat, a poza tym uważał, że im mniej opowie o nich żonie, tym rzadziej będzie się zastanawiała, co wycierpiał przed śmiercią Emilio. Strażnicy więzienni byli bardzo pomysłowi i prześcigali się w okrucieństwie, zwłaszcza wobec homoseksualistów. Lepiej, żeby ten temat w ogóle nie zaprzętała jej myśli.

Najbardziej nie mógł znieść dźwięku dzwonów.

— Co za hałas — jęczał, trzymając się za głowę. — Niech ktoś je stąd zabierze.

— To dzwony kościelne, Pablo. Były tam od lat i zapewne pozostaną jeszcze kilka.

— No tak, ale tyle kościołów spalono, prawda? Dlaczego ten nie spłonął?

W pobliskim kościele Santa Ana brali ślub i tam dwóch najstarszych synów przystępowało do Pierwszej Komunii. Wiązało się z nim tyle radosnych i ważnych wspomnień, ale teraz Pablo nie mógł ścierpieć tego miejsca. Kapelan więzienny miał swój udział w poddawaniu więźniów torturom i ciążyła na nim taka sama wina jak na strażnikach. Złośliwie i cynicznie proponował skazańcom udzielenie ostatniego namaszczenia, przez co stał się najbardziej pogardzaną osobą w zakładzie. Pablo zniechęcił się do wszystkiego, co miało związek z Kościołem katolickim.

W ostatnim więzieniu, gdzie przebywał cały rok, jego cela znajdowała się w pobliżu dzwonnicy. Noc w noc dzwony wybijały godziny, odbierając mu tę odrobinę cennego snu i przypominając o nieubłaganym upływie czasu.

* * *

Każdego ranka po przebudzeniu Concha nie posiadała się z radości, widząc leżącego obok Pabla. Jego obecność nieustannie dziwiła ją i ekscytowała. Przez następne miesiące Concha przyglądała się, jak jej mąż nabiera siły i wigoru.

Może miesiąc po powrocie Pabla przyszedł list. Był zwięzły i starannie sformułowany.

Kochana Mamo!

Przeniosłem się w inny region naszej wspaniałej ojczyzny. Przez jakiś czas nie będę mógł przyjechać do Ciebie, ponieważ pracuję przy realizacji szczególnego przedsięwzięcia El Caudillo, które ma na celu odbudowę kraju. Znajduję się w Cualgamuros. Gdy tylko dostanę pozwolenie, zaproszę Cię w odwiedziny.

Twój kochający syn

Antonio

— Jak to rozumieć? — zapytała Concha. — O co tu tak naprawdę chodzi?

Zważywszy na lakoniczną treść i oficjalny ton, nie ulegało wątpliwości, że Antonio coś ukrywa. Użycie określenia „El Caudillo”, wielki wódz, w odniesieniu do Franco na pewno było ironiczne. Antonio jedynie pod przymusem wyraziłby się z taką aprobatą o dyktatorze. Wszystko wskazywało na to, że wiedział, iż wiadomość zostanie ocenzurowana.

Pablo sam przeczytał ten list. Był zaskoczony, że syn w ogóle o nim nie wspomina, tak jakby przestał istnieć.

— Nie mówi o tobie, bo sądzi, że nadal trzymają cię w więzieniu — powiedziała Concha. — Tak jest bezpieczniej. Lepiej nie rozgłaszać, że kogoś z rodziny uwięziono...

— No tak, masz rację. Wykorzystaliby to jako pretekst, żeby go gnębić.

Jeszcze przez chwilę zastanawiali się, co — jeśli w ogóle cokolwiek — jest napisane w tym liście między wierszami i na czym polega to szczególne przedsięwzięcie. Doszli do wniosku, że syn znajduje się w obozie pracy i jak setki tysięcy mężczyzn jest wykorzystywany jako przymusowa siła robocza przez nową tyrańską władzę w Hiszpanii.

— Skoro pracuje, to przynajmniej będą chcieli utrzymać go przy życiu — rzekła Concha, chcąc napęłnić męża optymizmem.

— Cóż, musimy uzbroić się w cierpliwość. Może niedługo znów napisze i dowiemy się czegoś więcej.

Nie przyznając się, że ze strachu ściska ich w żołądku, zaczęli razem pisać list do syna.

Antonio nie posiadał się z radości, gdy dostał list ze stemplem pocztowym Grenady. Łzy zakręciły mu się w oczach na wieść, że ojca wypuszczono z więzienia, a gdy przeczytał, że matka obiecała przyjechać do niego, o mało nie pękło mu serce. Robotników z Cualgamuros można było odwiedzać; zdarzało się nawet, że ludzie osiedlali się w okolicy, żeby widywać członków rodziny. Minie zapewne kilka miesięcy, nim Concha się wyszykuje, ale myśl o spotkaniu podtrzymywała wszystkich na duchu.

Rozdział 34

Otrzymali odpowiedź od Antonia. W drugim liście podał im więcej informacji o budowie, na której pracuje, i nawet przysłał trochę pieniędzy. Dla zachowania pozorów normalności wypłacano robotnikom pensję, aczkolwiek nędzną.

— Zmuszanie ludzi do stawiania pomnika wrogom ma w sobie coś okrutnego. To naprawdę jakiś chory żart — powiedział Pablo.

Antonio prawie przywykł do nowego trybu życia. Był silny i mógł nosić duże ciężary, ale rzadko coś rozpraszało codzienną monotonię.

Drażnienie skały niesło zagrożenie dla zdrowia i życia robotników. Ciągłe przysyłano nowych ludzi na miejsce tych, którzy zostali okaleczeni i stracili życie.

Pewnego dnia Antonio dostał nowe zadanie. Tego lękał się najbardziej. Znosił najgorsze warunki pracy i ból na granicy wytrzymałości, lecz nie potrafił przezwyciężyć irracjonalnego strachu na myśl, że ugrzęźnie w środku tej góry. Poczucie klaustrofobii było przemożne.

Ludzie wyznaczeni do pracy na ścianie skalnej szli na swoje stanowiska w ciemności. Im głębiej wchodził, tym bardziej obniżała się temperatura ciała Antonia. Oblewał go zimny pot, wszechogarniający, nie do pokonania. Tyle lat Antonio znosił

skrajne cierpienie i dopiero teraz, po raz pierwszy, dusił w sobie płacz. Lęk nie miał racjonalnego uzasadnienia. To nie ciemności, lecz piętrzące się masy skalne przytłaczały go i wprawiały w panikę. Zanim rozległy się huki wybuchów, wielokrotnie musiał powstrzymywać się od krzyku, ale gdy robotnicy przystawali, czekając, aż upadną przed nimi kamienie, czasem wył ze strachu i poczucia beznadziejności, łzy mieszały się z brudnym potem, który lał się z niego strumieniami i spływał do butów.

Choć granit stawiał opór, z każdym dniem coraz bardziej zagłębiali się w ciemność. Tylko megalomanowi może wpaść do głowy drażnienie tak ogromnej groty, przeszło przez myśl Antoniowi. Powstawała ni mniej, ni więcej tylko podziemna, zrobiona przez człowieka katedra. Niekiedy, z samego rana, panowała tam tajemnicza cisza. Zanim poszły w ruch wiertła i młoty, Antonio próbował wyobrazić sobie, że wchodzi do jakiegoś spokojnego pomieszczenia, jakby kościoła, ale wkrótce wpadał w paniczny strach i miał wrażenie, że zbliża się do jądra ziemi, skąd może nigdy nie wrócić.

Ciągle powtarzał sobie, że niedługo wyjdzie na powietrze, ale przebywając w ciemnościach i nie mając zegarka, nie mógł się zorientować, kiedy to nastąpi. W końcu ruszał w drogę powrotną, ale i tak każdy dzień wydawał się wiecznością.

Tygodnie przechodziły w miesiące. Prace postępowały powoli. W porównaniu ze skalą przedsięwzięcia wydawało się, że zbocze wzgórza zostało ledwie drażnione. Robotnicy wiedzieli coraz więcej o tym doniosłym zamierzeniu. Według planów budowa powinna być zakończona w ciągu roku.

— Równie prawdopodobne jest to, że Franco odeśle nas do domów na Boże Narodzenie — rzekł Antonio. — Jesteśmy tu już rok, zgadza się? A teren wygląda tak samo jak w dniu naszego przyjazdu!

Miał rację. Trzeba było dwudziestu lat i dwudziestu tysięcy ludzi, żeby zakończyć budowę Doliny Poległych.

Każdego tygodnia ginęły dziesiątki robotników: na skutek

eksplozji, osuwania się skał lub porażenia prądem. Wielu ludzi pracujących przy drążeniu skały zapadało na groźną chorobę. Podczas wiercenia i kucia unosił się w powietrzu pył. Mimo że zasłaniali twarze gąbkami, przedostawały się przez nie drobiny krzemionki krystalicznej i osiadały w płucach.

Praca była tak wyczerpująca, że ekipy często się zmieniały. Przyjaźnie zawiązywały się z trudem. Sporadycznie wypuszczano kogoś na wolność, ale większość nie miała tyle szczęścia. Profesora zabrano ledwie kilka tygodni po jego przybyciu do Cualgamuros. Okazało się, że oskarżono go — bezpodstawnie — o działalność antypaństwową, a do jego najcięższych przewinień należało to, że był intelektualistą i Żydem. Nawet gdy wyprowadzano go o świcie z chaty, uśmiechnął się na pożegnanie do Antonia.

— Nie przejmuj się — powiedział. — Przynajmniej nie pojedę do Mauthausen.

Profesor Diaz przebywał przez rok we Francji, gdy zajęli ją Niemcy. Wielu tamtejszych Żydów schwytano w łapankach i wywieziono do tego osławionego obozu koncentracyjnego. Antonio darzył profesora ogromnym podziwem. Ten człowiek był jedyną osobą, którą mógł uważać za przyjaciela w tym zatraconym miejscu. Choć ze stoicyzmem szedł na egzekucję, la myśl budziła w Antoniu przerażenie.

Potem Antonio nie zaprzyjaźnił się już z nikim. Co wieczór padał wyczerpany na siennik i zamykał oczy. Tylko wyobraźnia uchroniła go przed obłądem. Starał się oderwać myślami od tego miejsca i wystarczały mu proste, swojskie wyobrażenia. Nigdy nie fantazjował o kobietach — takie pragnienia należały do odległej przeszłości. Zazwyczaj siedział przy stoliku z Franciskiem i Salvadorem, dokoła snuł się urzekający zapach brandy, słychać było gwar rozmów, świeży *polvorón* rozsypywał się na słodki proszek na języku. Tam był poza czymkolwiek zasięgiem i w końcu zasypiał.

* * *

Mężczyzna, który spał na sąsiednim sienniku, pierwszy zauważył, że coś złego dzieje się z Antoniem.

— Nie wiem, czy kaszlesz przez cały dzień, nie słychać w tym hałasie, ale na pewno w nocy. Każdej nocy.

Antonio wyczuł nutę poirytowania.

— Nie mogę przez to spać — narzekał sąsiad.

— Przepraszam. Postaram się nie kasać, ale możliwe, że robię to przez sen...

Ciasnota i zadymione powietrze w chatach sprzyjały rozprzestrzenianiu się zarazków, podobnie jak wilgotna okolica nad Guadarramą. Antonio nie był jedynym robotnikiem, który nocną porą przewracał się z boku na bok.

Kilka tygodni później już w ogóle nie mógł spać. Przez całą noc się pocił, a podczas napadu kaszlu widział teraz, że odpływa krwią. Męczyły go bóle w klatce piersiowej.

Wielu ludzi, podobnie jak Antonio, nabawiło się krzemicy. Zagnieździł się w nich kawałek tej zniechęcającej skały.

Chorzy nie spotykali się z życzliwością, więc szli pracować, dopóki trzymali się na nogach. Antonio zamierzał postępować tak samo, ale któregoś dnia jego ciało odmówiło posłuszeństwa. Przez wiele dni nie mógł podnieść się z mokrego od potu siennika. Nie doświadczał spokoju, który jakoby spływa na człowieka przed spotkaniem ze stwórcą; bredząc w malignie, odczuwał jedynie gniew i frustrację.

Którejś nocy mignęła mu przed oczami matka. Mętnie przypomniał sobie, że zapowiedziała w liście swój przyjazd, i zastanawiał się, czy to ona stoi nad nim, czarnowłosa, czule uśmiechnięta. Zaznał ulotnego spokoju, ale nie przyszli po niego inni aniołowie i półprzytomny zdał sobie sprawę, że traci poczucie rzeczywistości. Książd, który czasem wykorzystywał takie sytuacje, by w ostatniej chwili nawrócić człowieka na wiarę, nie pofatygował się do niego. Władze uważały, że nie da się ocalić duszy Antonia.

Po kilku godzinach majaczenia ogarnął go przegniatający, bezmierny smutek. Był zlany potem i łzami, tonął w rozpacz,

wszystko oddalało się od niego. I wtedy śmierć zgarnęła go niczym olbrzymia fala, niepowstrzymana.

* * *

Przez cały miniony rok, choć żaden z nich tego nie wiedział, Javier Montero mieszkał zaledwie kilka metrów dalej. Razem z ojcem został schwytany w łapance, gdy faszyści opanowali Malagę w lutym trzydziestego siódmego roku, i całą wojnę przesiedział w więzieniu. Jego jedynym przewinieniem było cygańskie pochodzenie, co oznaczało, z definicji, że jest wywrotowcem. Jego i Antonia ścieżki niemal się przecięły setki razy, ale obaj tak się zgarbili, że rzadko kiedy podnosili wzrok. Ostatnie lata wyniszczyły i jednego, i drugiego.

Javier należał do ekipy, która tego dnia otrzymała ponure zadanie grzebania zmarłych. Czasem jego wzrok padał na niegdyś piękne dłonie, teraz zaciśnięte na trzonku łopaty, pokrwawione, zrogowaciałe, pocięte odłamkami granitu. Od czterech lat nie obejmował szczupłymi palcami gryfu gitary i niemal równie długo nie słyszał dźwięków muzyki.

— Wiesz co? Chyba dopisuje nam szczęście — powiedział kolega Javiera, również grabarz, gdy rozbijali kilofami twardą ziemię. — Przypuszczam, że jest miększa od granitu.

— Pewnie masz rację — zgodził się Javier na znak, że docenia żart.

Ułożyli zwłoki i opuścili do grobu. Nie były owinięte całunem, więc ziemia spadła z łopaty Javiera prosto na twarz mężczyzny. Tak Antonio otrzymał ostatnie namaszczenie. W tym miejscu nie odprawiano ceremonii.

Grabarze nie przyglądali się zmarłemu, ale przez kilka minut stali w milczeniu. Jedynie tyle i aż tyle mogli dla niego zrobić.

Kilka dni wcześniej, zgodnie z dawno złożoną obietnicą, Concha wyruszyła z Grenady do Cualgamuros. Musiała się zameldować przy wejściu, podając cel przyjazdu, a potem skierowano ją do małego budynku stojącego w pewnym odaleniu od rzędów chat, które ciągnęły się w dal.

Wymieniła imię i nazwisko syna. Czekwała cierpliwie, gdy sierżant wodził palcem po spisach robotników, przewracając stronę po stronie z dziesiątkami nazwisk, i wzdychał wyraźnie znudzony. Nie mogła odczytać nazwisk, bo spis leżał do góry nogami, ale widziała, że niektóre są przekreślone.

Palec zatrzymał się w połowie strony.

— Umarł — powiedział beznamiętnym głosem żołnierz. — W zeszłym tygodniu. Krzemica.

Serce jej zamarło. Te słowa ugodziły ją, jakby otrzymała cios nożem.

— Dziękuję — rzekła uprzejmie, za nic nie chcąc okazać słabości przy tym człowieku, i wyszła na oślep z budynku.

Była piąta po południu. Część robotników wróciła już z dwunastogodzinnej zmiany do swoich chat. Javier wyjrzał przez okno i zauważył jakąś kobietę. Osoby płci żeńskiej, nie licząc mieszkających opodal żon robotników, rzadko się tu widywało. Ale nie dlatego zwrócił na nią uwagę. Twarz wydała mu się znajoma, więc przyjrzał się bacznie, a potem wymknął się z chaty i pospieszył za kobietą.

Szła tak wolno, że zaraz ją dogonił.

— Przepraszam — odezwał się, dotykając lekko jej ramienia.

Concha sądziła, że jakiś strażnik chce ją zganić za to, że krąży po zabronionym terenie. Zatrzymała się. Nic już nie czuła, nawet strachu.

Wzrok Javiera nie mylił. Concha wyglądała tak samo jak dawniej, jedynie we włosach pojawiły się pasma siwizny.

— Pani Ramirez — powiedział.

Dopiero po dłuższej chwili Concha zorientowała się, kim jest ta chuda jak szkielet istota. Bardzo się zmienił — tylko wielkie, wyraziste oczy pozostały takie same.

— To ja, Javier Montero.

— Tak, tak — szepnęła tak cicho, że zagłuszyły ją śpiew ptaków. — Wiem...

— Co pani tu robi?

W pierwszej chwili myślał, że pani Ramirez dowiedziała się, że jest tu przetrzymywany, i przywiozła mu wiadomość o Mercedes.

— Przyjechałam zobaczyć Antonia.

— Antonia? On tu jest?

Opuściła głowę. Nie mogła wykrztusić słowa, ale płynące po twarzy łzy mówiły wszystko.

Przez chwilę stali w miejscu. Javier był zakłopotany. Chętnie wziąłby panią Ramirez w ramiona, jak własną matkę, ale uważał, że to niestosowne. Gdyby tylko umiał jakoś ją pocieszyć.

Zmierchało. Concha wiedziała, że wkrótce będzie musiała stąd odejść. Kazano jej opuścić ten teren przed nastaniem nocy. W końcu uspokoiła się i odzyskała głos. Pozostało jeszcze jedno do zrobienia.

— Może wiesz, gdzie został pochowany? Chciałabym tam pójść — powiedziała, starając się panować nad sobą.

Javier wziął Conchę pod ramię. Delikatnie poprowadził ją w stronę cmentarza znajdującego się kilkaset metrów za chatami. Na polanie wśród drzew zauważyła świeżo wrzuszoną połąć ziemi pofałdowanej jak zaorane pole. Podeszli bliżej. Concha przystanąła, zamknęła oczy i poruszała ustami, odmawiając modlitwę. Javier milczał, uprzytomniwszy sobie, że pochówek Antonia odbył się podczas jego zmiany. Słyszając swój oddech, miał wrażenie, że nawet ten dźwięk jest tu nie na miejscu.

Wreszcie Concha podniosła wzrok.

— Muszę już iść — oznajmiła stanowczo.

Javier znów ujął ją pod ramię. Minęli grupę robotników, którzy kierowali się do bramy i obrzucili go pytającym spojrzeniem. Javiera dręczyła jedna myśl i nie wyobrażał sobie, że pozwoli pani Ramirez odejść, nie uzyskawszy informacji.

— Mercedes...

Przez ostatnią godzinę Concha prawie nie pamiętała o córce, ale wiedziała, że nadejdzie chwila, gdy trzeba będzie powiedzieć

Javierowi, że Mercedes wyjechała, żeby go odszukać, i ślad po niej zaginął.

— Nie mogę cię oszukiwać — odezwała się, biorąc go za rękę. — Gdy dostaniemy od niej wiadomość, natychmiast do ciebie napiszę.

Teraz jemu zabrakło słów.

Gdy brama zamknęła się z łoskotem, Conchę przeszedł dreszcz. Owinęła się ciasno płaszczem i pospiesznie ruszyła przed siebie. Choć tu był grób jej syna, chciała odejść jak najszybciej.

W przyszłości wyrósł na szczycie tego wzgórza stu pięćdziesięciometrowy krzyż, majestatyczny i arogancki krzyż zwycięstwa. Wraz z kłęzącymi figurami świętych u podstawy został postawiony nad grobowcem generała Franco. W niektóre dni roku długi cień krzyża padał na porosły lasem teren, gdzie znajdował się bezimienny grób Antonia.

Część 3

Rozdział 35

Grenada, 2001

Cienie na placu przed kawiarnią El Barril już się wydłużyły, gdy ucichł głos Miguela. Sonia prawie zapomniała, gdzie się znajduje. Ze zdumieniem słuchała tej opowieści.

— Jak to możliwe, że jedna rodzina przeżyła aż tyle? — odezwała się.

— Takie wydarzenia dotknęły nie tylko Ramirezów — odparł Miguel. — Nie różnili się od innych. Ani trochę. Każda republikańska rodzina ucierpiała.

Miguel niestrudzenie opowiadał tę historię, ale widać było, że zaczyna tracić siły. Sonia patrzyła na kawiarnię innymi oczami. Czuło się, że pozostał tu ślad smutnych losów tych ludzi.

Choć starszek mówił przez kilka godzin, opowieść była niepełna. Brakowało w niej fragmentu, który interesował Sonię najbardziej.

— A co się stało z Mercedes? — zapytała.

Zdjęcia tancerki, wiszące nad nimi na ścianie, przypominały jej nieustannie, dlaczego tak naprawdę jest tutaj.

— Z Mercedes? — powtórzył z roztargnieniem.

Sonia zaniepokoiła się przez chwilę. Czyżby ten uprzejmy starszek zapomniał o jej istnieniu?

— Mercedes... Ach tak, oczywiście, Mercedes... No więc

długi czas nie było żadnych wiadomości, ponieważ listy mogły poważnie obciążać adresata, poza tym Mercedes nie chciała, by jej matkę, która już ściągnęła na siebie podejrzenia władz, oskarżono jeszcze o to, że jej córka sympatyzuje z czerwonymi.

— A zatem Mercedes przeżyła. — Ta wiadomość ponownie wzbudziła nadzieje Sonii.

— O tak — potwierdził radośnie Miguel. — Gdy już żyło się bezpieczniej, mogła pisać listy do Conchy, na adres El Barril.

Miguel zaczął grzebać w szkatułce stojącej przy kasie.

Serce waliło Sonii jak oszalałe.

— Gdzieś tu są — powiedział.

Sonia drżała z przejęcia, widząc, że Miguel trzyma w ręku starannie przewiązany plik listów od dziewczyny, której fotografia nie dawała jej spokoju.

— Chciałaby pani, żebym przeczytał kilka fragmentów? Pisała po hiszpańsku. — Miguel usiadł obok niej na krześle.

— Chętnie posłucham — odrzekła cicho, nie odrywając wzroku od poźółkłych kopert z oślimi uszami.

Z koperty, która leżała na wierzchu ułożonego chronologicznie stosu, ostrożnie wyjął i rozłożył kilkanaście stron cienkiego papieru lotniczego. List został napisany w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

Sonia nie rozpoznała charakteru pisma. Nigdy nie widziała, by matka pisała odręcznie — nie pozwalała jej na to choroba. Jak sięgnąć pamięcią, Mary zawsze korzystała z maszyny.

Litery przebijały na drugą stronę, utrudniając czytanie. Staruszek bardzo się starał, każde zdanie czytał najpierw po hiszpańsku, a potem tłumaczył na trochę przestarzały angielski.

Kochana Mamo!

Na pewno zrozumiesz, dlaczego tak długo się nie odzywałam. Nie chciałam narażać Cię na niebezpieczeństwo. Wiem, że uznano mnie za zdrajcę, ponieważ nie wróciłam do Hiszpanii, i mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Uważałam, że w ten sposób nikomu nie zaszkodzę.

Chcę ci opowiedzieć, co się wydarzyło, gdy cztery lata temu popłynęłam „Habana” do Anglii...

Z każdą minutą coraz szersza tafla wody oddzielała Mercedes od rodzinnego kraju. Niedługo po wypłynięciu statku z portu wiatr się nasilił i fale na Zatoce Biskajskiej stawały się coraz wyższe. Niespokojne morze zaskoczyło wszystkich. Dzieci, które pierwszy raz płynęły statkiem, wystraszyły się gwałtownego kołysania. Zdezorientowane płakały i miały mdłości.

Nawet kolor morza nie wydawał się znajomy. Już nie było niebieskie, lecz przybrało barwę wzburzonego błota. Niektóre dzieci zaraz zaczęły wymiotować, po jakimś czasie również dorośli dostali torsji. Na pokładach było ślisko od wymiocin.

Mimo sprzeciwu Mercedes Enrique został zabrany na górny pokład. Mercedes straciła chłopca z oczu na wiele godzin i dręczyła ją myśl, że zawiodła zaufanie jego matki.

— Jesteś tu nie po to, by zajmować się tylko tą dwójką — upomniała ją jedna ze starszych opiekunek.

Miała słuszość. Do obowiązków Mercedes w czasie i po zakończeniu tej podróży należało pilnowanie większej grupy dzieci. Gdy poświęcała zbyt wiele uwagi rodzeństwu, narażała się na pełne dezaprobaty spojżenia nauczycielek i księży.

Tej nocy dzieci spały, gdzie popadło, na rozkołysanym statku. Niektóre umościły się na dnie łodzi ratunkowych, inne położyły się skulone na ogromnych zwojach lin. Później również Mercedes zrobiło się niedobrze i nie mogła dłużej dodawać otuchy maluchom. Gdy następnego dnia morze się uspokoiło, wszyscy przyjęli to z ogromną ulgą. Od jakiegoś czasu widać już było wybrzeże Anglii, ale dopiero gdy fale przestały rzucać statkiem, pasażerowie zauważyli na horyzoncie cienką, ciemną linię wybrzeża Hampshire. O wpół do siódmej drugiego dnia statek wpłynął do basenu portowego w Southampton.

Port, gdzie woda stała nieruchomo, był prawdziwym schronieniem. Wreszcie przeszła wszystkim okropna choroba morska. Dzieci zebrały się na pokładzie, zaciskając rączki na barierkach,

i przyglądały się nieznanemu krajowi. Widziały jednak tylko ciemne, wznoszące się wysoko ściany nabrzeża.

Zaczęła się hałaśliwa procedura cumowania. Rozległ się przeraźliwy szczęk łańcucha kotwicy, na nabrzeże rzucono liny grube jak ludzkie ramię. Szpakowaci mężczyźni stali z uniesionymi głowami i spoglądali na dzieci ze współczuciem przemieszonym z ciekawością. Nie mieli złych zamiarów. Niosły się krzyki w niezrozumiałym języku, szorstkie i napastliwe, oraz wrzaski robotników portowych, którzy musieli się słyszeć w ogólnym ggiełku.

Słońce wyszło zza chmur, ale dzieci nie odczuwały już radości na myśl o czekającej je przygodzie. Chciały być w domu przy matkach. Wiele z nich odłączono od rodzeństwa na czas podróży. Minęło sporo czasu, zanim zostały podzielone na grupy — wtedy przydały się sześciokątne tekturki. Każda grupa miała swoją opiekunkę. Mercedes liczyła na to, że podczas podróży uda jej się poznać swoich podopiecznych, ale uniemożliwił to sztorm.

Przed opuszczeniem statku dzieci przeszły jeszcze jedno badanie lekarskie, po którym zawiązano im kolorowe wstążki na nadgarstkach. Kolor wstążki wskazywał, jakim zabiegiem mają być poddane: czerwony oznaczał wyprawę do zbiorowej łaźni na odwyszawienie, niebieski — chorobę zakaźną i pobyt w szpitalu, a biały — brak zastrzeżeń co do stanu zdrowia.

Biedne maluchy wyglądały niechlujnie. Włosy, niecałe dwa dni wcześniej pięknie uczesane, starannie zaplecione w warkocze i związane wstążkami, zlepiły się w sztywne pasma. Szykowne dziane sweterki były poplamione wymiocinami. *Señoritas* robiły co w ich mocy, by doprowadzić dzieci do przyzwoitego wyglądu.

Na koniec małym pasażerom zwrócono skromny dobytek, który ze sobą zabrali. Dziewczynki tuliły w ramionach ulubione lale, a chłopcy robili dzielne miny, jak przystało na mężczyzn, choć niewielkiego wzrostu. Od zacumowania statku minęło sporo czasu, zanim przygotowali się do zejścia na ląd.

Ciekawość była wzajemna. Wszyscy patrzyli szeroko otwartymi oczami. Hiszpanie przyglądali się Anglikom, a Anglicy wpatrywali się w cudzoziemskie dzieci idące nabrzeżem. W Wielkiej Brytanii wiele mówiono o barbarzyńskim postępowaniu czerwonych w Hiszpanii, o tym, że palili kościoły i torturowali niewinne zakonnice. Ludzie spodziewali się ujrzeć małych dzikusów. Gdy pojawiły się te dzieci, niektóre nadal ubrane całkiem elegancko, nie posiadali się ze zdumienia.

Pierwszymi mieszkańcami obcego kraju, których zobaczyły hiszpańskie dzieci, byli członkowie orkiestry Armii Zbawienia. Ubrani w ciemne mundury wygrywali wesołe melodie na lśniących trąbkach i puzonach. Mercedes nie wiedziała, co o nich sądzić. Wyglądali po wojskowemu, ale szybko okazało się, że mają dobre intencje.

Southampton sprawiało wrażenie, jakby właśnie odbywała się fiesta. Widząc powiewające na ulicach flagi, mali Hiszpanie uśmiechali się, przekonani, że tak udekorowano miasto na ich powitanie. Dużo później okazało się, że to pozostałości po uroczystościach towarzyszących niedawnej koronacji.

Dzieci, które otrzymały świadectwa zdrowia, przewieziono piętrowymi autobusami kilkanaście kilometrów z Southampton do North Stoneham, gdzie miały czasowo zamieszkać. Na trzech polach zorganizowano tam wielki obóz składający się z pięciuset białych namiotów w kształcie dzwonów, ustawionych równo rzędami. Każdy namiot miał pomieścić od ośmiorga do dziesięciorga dzieci, osobno dziewczynki i chłopców. Na ten widok niektórzy zawołali z entuzjazmem: „*Indios!*”.

— Oni myślą, że szykuje się świetna zabawa w kowbojów i Indian — powiedział pogardliwie Enrique do siostry, która stała obok, ściskając lalkę.

Mercedes natychmiast przypomniały się prowizoryczne namioty, jakie stawiali ludzie podczas wędrówki z Malagi do Almerii. Tu panował porządek, wszyscy czuli się bezpiecznie i, co najbardziej wzruszające, stykali się z życzliwością. Na tych zielonych łąkach znaleźli schronienie.

Talent organizacyjny Anglików zrobił wrażenie na przybyłych. Dzieci podzielono nie tylko według płci, lecz również w zależności od poglądów politycznych ich rodziców — powstały trzy grupy, z których każda zajmowała swój teren. Organizatorzy chcieli zredukować możliwość wystąpienia agresywnych zachowań u członków rywalizujących grup.

Obóz był swego rodzaju zamkniętym światem, miał określone zasady i ustalony plan dnia. W kolejkach po jedzenie wszyscy stali spokojnie, choć wydanie pierwszego posiłku trwało cztery godziny. W odczuciu przybyszów dania miały dziwny smak, ale i tak byli wdzięczni, że są najedzeni, i szybko zaznajamiali się z nowymi zapachami i smakami, na przykład gorącego mleka słodowego, które podawano przed snem, czy herbaty. Mercedes zauważyła, że część jej podopiecznych gromadzi jedzenie na zapas — tak długo żyli w niepewności, kiedy znów będą mieli co jeść.

Posiłki spożywali na świeżym powietrzu, w słońcu, lecz przez wiele dni ogarniał ich niepokój, gdy słyszeli nad głowami warkot samolotów zmierzających na pobliskie lotnisko w Eastleigh. W ich umysłach dźwięk samolotu był nierozzerwalnie związany z groźbą ataku z powietrza. Po pewnym czasie strach minął, dzieci wylegiwały się na miękkiej angielskiej trawie i obserwowały jasne, puszyste chmury, przekonane, że bombowce nie zakryją słońca.

Dni miały wypełnione nauką, gimnastyką i zajęciami porządkowymi, ale nie narzucano im surowego rygoru i dokładnie wszelkich starań, by nie czuły się jak w więzieniu. Codziennie odbywał się konkurs na najczystszy namiot. Mercedes dbała o to, żeby jej podopieczni często dostawali nagrody. Wszyscy mniej lub bardziej tęsknili za domem, ale nawet najmłodszy powstrzymywali się od płaczu aż do nastania nocy.

Okazało się, że liczba uchodźców jest znacznie większa, niż pierwotnie zakładano. Obciążenia z tym związane zmniejszyły się, gdy w pierwszym tygodniu przewieziono czterysta dzieci do schroniska Armii Zbawienia, a w ciągu miesiąca następny

tysiąc trafił do katolickich rodzin. Czasami brakowało jedzenia, ale nie na taką skalę jak w Bilbao. Któregoś dnia Mercedes zwróciła uwagę na stare, sfatygowane sztuce, którymi jadła, i uprzytomniła sobie, że każda rzecz w tym obozie pochodzi z darów. Chociaż nie dawano im odczuć, jakie jest nastawienie do nich świata zewnętrznego, wiedziała, że rząd brytyjski nie wyraził zgody na pokrycie kosztów ich pobytu w Anglii. Byli zdani wyłącznie na życzliwość obcych ludzi, którzy nieustannie podejmowali gorączkowe starania, by zebrać pieniądze na zakup jedzenia i odzieży.

Choć nie widzieli gazet piszących z oburzeniem o ich przybyciu do Anglii, dotarła do nich wiadomość o zdobyciu Bilbao przez nacjonalistów. Za ledwie miesiąc po ich wyjeździe miasto upadło. Był to czarny dzień w Stoneham. Dzieci płakały i krzyczały, oszalałe ze strachu na myśl, że ich rodzice być może nie żyją. Enrique razem z kilkoma chłopcami uciekł z obozu na poszukiwanie statku, którym chciał wrócić do Hiszpanii, by włączyć się do walki. Wkrótce ich odszukano i przywieziono z powrotem. Mercedes pocieszała Enrique całą noc, zapewniała go, że matce nic się stało. Gdy siedziała przy nim, myślała również o Javierze i znów podtrzymywała w sobie nadzieję, że opuścił Malagę dużo wcześniej.

Po zdobyciu Bilbao wszyscy znaleźli się w kłopotliwym położeniu.

— W tej sytuacji chyba nie możemy wrócić, jak myślisz? — zapytała Mercedes jedną z opiekunek.

— Też tak uważam. Dzieciom groziłoby jeszcze większe niebezpieczeństwo niż przedtem — odparła Carmen.

— To co się stanie z nami wszystkimi?

— Wiem tyle samo co ty. Ale nie sądzę, byśmy mogli bez końca biwakować w tym klimacie!

W niedługim czasie uchodźcom przebywającym w obozie w North Stoneham należało znaleźć stałe lokum. Komitet na rzecz Baskijskich Dzieci już szukał jakiegoś rozwiązania. W całym kraju powstały „kolonie”, w których dzieci miały być

zakwaterowane. Przypadek decydował, gdzie zamieszkało każde z nich. Jedne trafiły do innego namiotu, drugie do opuszczonego hotelu albo do zamku. Mercedes została przeniesiona do rezydencji na wsi.

Pod koniec lipca gromadka dwadzieściora pięściora dzieci, wśród nich Enrique i Paloma, wyruszyła wraz z nią do Sussex. Pojechali pociągiem do Haywards Heath, gdzie na dworcu powitała ich miejscowa orkiestra, a tamtejsze dzieci przyniosły im prezenty i słodycze. Dzień był ciepły i radosny. Autobus zabrał przybyszów ze stacji do wioski odległej o piętnaście kilometrów. Stamtąd pozostał już krótki spacer do bramy Winton Hall.

Kolumny zwieńczone wizerunkami orłów wyglądały imponująco, choć zaczynały się sypać. Gdzieniedzie obruszyły się cegły, a jeden z pokrytych mchem orłów stracił skrzydło. Ale i tak dzieci patrzyły na bramę wjazdową z onieśmieleniem, nie wiedząc, czego jeszcze mogą się spodziewać. Trzymając się za ręce, pomaszerowały porytym koleinami podjazdem następny kilometr. Mercedes szła obok Carmen, nauczycielki odpowiedzialnej za całą grupę. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy bardzo się zaprzyjaźniły.

Było tak gorąco, że wszyscy mieli wrażenie, jakby znów znajdowali się w swoim kraju. Pod jasnym, czystym niebem ciągnęły się nieskoszone jeszcze pola, wyblakłe i suche. Motyle wyżywały się w krzakach budlei, które rosły szpalerem wzdłuż drogi. Młodsze dzieci piszczały z radości na widok rusatek admirałów krążących nad ich głowami, zbierały jaskry i stokrotki przy drodze i wymyślały na poczekaniu piosenkę. Droga minęła im tak szybko, że całkiem zapomniały o ciężkich bagażach.

Mercedes pierwsza doszła do zakrętu, skąd otwierał się widok na rezydencję. Widziała w książkach wiele fotografii angielskich pałaców, więc orientowała się, jak wyglądają, ale nigdy nie przypuszczała, że zamieszka w takim domu. Winton Hall był zbudowany z szarobeżowego kamienia i miał tyle wieżyczek i kominów, że młodsze dzieci nigdy zdołałyby ich policzyć.

— To zamek z bajki! — zawołała Paloma.

— Czy zamieszkamy u nowego króla? — spytała jej koleżanka.

Gospodarze obserwowali maszerujące dzieci z okna na piętrze. Gdy wyszły z za zakrętu, stali na szczycie schodów przed głównym wejściem, z dwoma spanielami siedzącymi przy nogach.

Sir John i lady Greenham posiadali wszystkie atrybuty angielskiego ziemiaństwa prócz zamożności. Winton Hall postawił dziadek sir Johna, bogaty przemysłowiec, lecz po latach użytkowania przez kolejne pokolenia budowla zaczynała się rozpadać.

— Witajcie w Winton Hall — powiedział pan domu, idąc im na spotkanie.

Z całej grupy tylko Carmen znała angielski. Dzieci nauczyły się kilku słów od przyjazdu, ale nie dość, by prowadzić rozmowę. Mercedes umiała powiedzieć jedynie „dzień dobry” i „dziękuję”. Ponieważ oba wyrażenia były przydatne w tej sytuacji, postarała się je wydukać.

Lady Greenham wciąż stała na szczycie schodów, mierząc nowo przybyłych chłodnym spojrzeniem. To nie jej przyszła do głowy myśl, by udzielić schronienia uchodźcom — na ten dziwaczny pomysł wpadł jej mąż. Sir John był dalekim krewnym budzącej postrach księżnej Atholl, założycielki Komitetu na rzecz Baskijskich Dzieci, która szukała nowych domów dla mieszkańców obozu. Lady Greenham doskonale pamiętała rozmowę z mężem, gdy po powrocie ze spotkania w Londynie, na którym „czerwona księżna”, jak o niej mówiono, zabiegała o poparcie dla swojej inicjatywy, pierwszy raz wspomniał o otwarciu podwoi ich domu.

„Och, pomóżmy tym biednym maluchom! — namawiała ją. — Długo tu nie zabawią”.

Sir John miał dobre serce i nie widział powodu, dla którego nie mieliby udostępnić kilku zakurzonych pokoi gromadce nieszkodliwych młodych Hiszpanów. Sami nie mieli dzieci,

poza tym od dawien dawna nie słyszeli na korytarzach swej rezydencji żadnych oznak życia, może poza sporadycznym chrobotaniem myszy.

„No dobrze — zgodziła się niechętnie lady Greenham. — Ale żadnych chłopców. Same dziewczynki. I to nie za wiele”.

„Nie możemy stawiać takich warunków — rzekł stanowczo. — Rozdzielanie rodzeństwa jest wykluczone”.

Lady Greenham od początku była niechętna temu pomysłowi. Dom napawał ją dumą, choć obrósł kurzem i znajdował się w stanie upadku. Służba utrzymująca pokoje w nieskazitelnej czystości została zwolniona dawno temu, pozostała jedynie gospodyni, która miała krótki wzrok i od czasu do czasu machnęła miotełką, żeby zdjąć pajęczyny. Mimo to lady Greenham chlubiła się dawną świetnością swojej siedziby i miała świadomość, że jako pani na dworze zajmuje wysoką pozycję społeczną.

Dzieci weszły jedno za drugim po schodach do holu, na którego widok zrobiły oczy jak spodki. Ze ścian patrzyły na nich ciemne obrazy. Paloma zachichotała.

— Popatrz na tego — szepnęła do Enriqué, wskazując jeden z portretów rodowych. — Ale grubas!

Carmen natychmiast spojrzała na nią z dezaprobatą, przekonana, że gospodarze, choć nie zrozumieli słów dziewczynki, z łatwością domyślili się, co ją rozbawiło.

Z twarzy lady Greenham zniknął przyklejony uśmiech.

— Słuchajcie, dzieci — odezwała się, nie zważając na to, że nie mają pojęcia, o czym ona mówi, ale na wszelki wypadek podniosła głos z nadzieją, że coś do nich dotrze. — Musimy ustalić kilka zasad.

Wszyscy otoczyli ją kołem. Mercedes dopiero teraz przyjrzała się baczniej Angielce. Kobieta była mniej więcej w wieku jej matki, może czterdziestopięcioletnia. Jej mąż wyglądał na starszego o kilka lat. Miał łysinę, którą nieskutecznie zasłaniał pasmami rudawych włosów, i mnóstwo piegów na twarzy Mercedes odwróciła wzrok, wiedząc, że niegrzecznie jest gapić się na ludzi.

Carmen tłumaczyła słowa lady Greenham.

— Nie wolno biegać tam i z powrotem po schodach... Po powrocie z ogrodu buty należy zdejmować na progu... Nie macie wstępu do salonu i do biblioteki... Nie wolno bawić się z psami.

Słuchali w milczeniu.

— Czy wszyscy rozumieją te zasady? — spytała Carmen, chcąc rozładować napięcie.

— *Si! Si! Si!* — przytaknęli.

— A teraz pokażę wam, gdzie będziecie spać — powiedział sir John.

Weszli za gospodarzami na schody, stukając butami o gołe deski. Lady Greenham przystanęła i odwróciła się. Dzieci też się zatrzymały.

— Chyba już złamaliśmy zasadę.

Carmen oblała się rumieńcem.

— Rzeczywiście. Bardzo przepraszam — powiedziała ze skruchą. — Zejdźcie na dół i zdejmijcie buty.

Wszyscy wykonali polecenie. U stóp schodów leżała sterta zakurzonych butów.

— Później pokażę wam, gdzie należy zostawiać buty — rzekła lady Greenham i ruszyła w stronę sypialni, głośno stukając obcasami czółenek.

Mercedes zauważyła przede wszystkim to, że gdy tylko przestąpili próg tego domu, przyjemne ciepło, jakie odczuwali przez cały dzień, zostało za drzwiami.

Chłopców zakwaterowano na piętrze, w pokoju z wysokim sufitem, wielkimi oknami otwieranymi pionowo i dużym perskim dywanem, mocno spłowiałym. Dziewczynkom zaś przydzielono dwa osobne pokoje na poddaszu, załatujące stęchlizną, niegdyś przeznaczone dla służby. Znajdowało się tam po kilka łóżek, w których miały spać razem, jak się dało, a Carmen i Mercedes wraz z nimi, na waleta.

Nadeszła pora kolacji. Gospodyni, pani Williams, była początkowo równie nieprzyjazna jak lady Greenham. Gdy dzieci pojawiły się w kuchni, usłyszały listę zakazów.

— Nie zostawiajcie talerzy na stole. Nie stukajcie sztućcami. Nie marnujcie jedzenia. Nie karmcie psów resztkami. Nie wrzucajcie skórek ani łupin do zlewu. Nie zapominajcie myć ręce przed jedzeniem.

Przy każdym zdaniu demonstrowała, jak nie wolno się zachowywać. Na koniec uśmiechnęła się szeroko, wykorzystując wszystkie mięśnie twarzy — uśmiech było widać również w jej oczach, ustach i dołkach w policzkach. Dzieci wyczuły, że ta kobieta ma ciepłe serce.

Na długim stole w okazałej jadalni, gdzie brudne kryształowe żyrandole zwieszały się z sufitu, stała zielona zastawa z Woolwortha i blaszane kubki — osobliwy widok w takim wnętrzu. Lady Greenham nie zamierzała wyjmować swojej najlepszej porcelany z okazji przyjazdu tych małych cudzoziemców.

Na pierwszą kolację dostali mielone mięso i pudding z tapioki na deser. Większość dzieci jakoś przełknęła tłuste danie, natomiast tapioka rosła im w ustach. Niektóre zaczęły się krztusić. Paloma wymiotowała cały posiłek na podłogę. Carmen i Mercedes natychmiast zabrały się do sprzątanía. W żadnym wypadku nie mogła dowiedzieć się o tym lady Greenham, gdyż tego rodzaju uchybienie dowiodłoby, iż zaproszenie tych dzieci było głupotą ze strony sir Johna.

Gospodyni, aczkolwiek lojalna wobec swoich chlebowawców, chcąc wybawić z kłopotu nowo przybyłych, pomogła wyczyścić podłogę i obiecała nie wspominać o tym zdarzeniu. Uznała, że zamiast tapioki lepiej podawać kaszę mannę.

Następnego dnia, po śniadaniu, na które był chleb z margaryną, pozwolono dzieciom rozejrzeć się po okolicy. Miały wrażenie, że posiadłość ciągnie się w nieskończoność. Najpierw ujrzały ogród francuski, a w nim zarośnięte trawniki i obramowane ceglami klomby, na których pieniające się chwasty toczyły z różami godną podziwu walkę. Nieco dalej ich zdumionym oczom ukazał się kawał zapadniętej ziemi; widząc pozbawioną dna łódź, która osiadła na środku zagłębienia, i wiosła sterczące z błota niczym maszty, domyśliły się, że

dawniej było tu sztuczne jezioro. Kilkoro dzieci chciało pójść brzegiem, ale okazało się to niemożliwe, gdyż ścieżki zarosły krzakami. Za jeziorem widać było po jednej stronie las, a po drugiej pola, na których tu i ówdzie pasły się krowy.

W parku znajdowała się niewielka świątynia dumania, gdzie niewątpliwie szukała kiedyś schronienia osoba, która lubiła malować. Do okrągłej budowli słońce wpadało przez cały dzień. Wewnątrz stała oparta o ścianę sztaluga, a na starym stole upakowanym farbami olejnymi nadal leżały tubki. W kubku tkwiły pędzle, włosiem do dołu. Od lat nikt tu nie zaglądał. Dwie starsze dziewczynki, Pilar i Esperanza, oczarowane tą tajemną kryjówką, znalazły kawałki papieru i resztki węgla. Papier był zawilgocony, ale nadawał się do użytku, więc natychmiast zabrały się do rysowania. Kilka godzin później wciąż tam siedziały całkowicie pochłonięte nowym zajęciem.

Mercedes zainteresowała się drewnianą altaną nad jeziorem. Pchnęła drzwi i zobaczyła stertę starych leżaków.

— Wystawmy kilka na dwór — zaproponowała Paloma, która zwiedzała posiadłość razem z Mercedes. Gdy wyciągnęła pierwszy leżak na słońce, okazało się, że płótno jest zbutwiałe. — Nie przejmujmy się — powiedziała, nie tracąc pogody ducha. — Może da się je zreperować.

Jeszcze tego samego tygodnia zaczęły naprawiać leżaki.

Grupka dzieci znalazła otoczony murem teren, gdzie tu i tam nadal rosły warzywa. Dawniej uprawiano je w ilości przemysłowej, ale teraz wystawało z ziemi trochę ziemniaków i cebul. Jedna z dziewczynek poszła do szklarni i znalazła rynienkę z truskawkami. Nie mogąc oprzeć się pokusie, zjadła jedną truskawkę, a potem do końca dnia dręczyła ją myśl, że lady Greenham być może liczy owoce i zauważy brak.

Inne dzieci odkryły nieużywany kort tenisowy. Ze stojącego opodal pawilonu wyniosły starą, zwiniętą siatkę, którą Carmen z pomocą paru chłopców zdołała zamocować. Linie kortu były ledwie widoczne, ale to nie przeszkadzało im przerzucać piłkę

nad siatką, gdy tylko wygrzebali stare rakiety, wszystkie z kilkoma popękkanymi żyłkami. Od miesiący nie mieli tyle zabawy.

Gdy zbliżała się pora lunchu, sir John poszedł ich szukać. Kierując się w stronę, skąd dobiegał śmiech, rychło zobaczył gromadkę dzieci, które starały się utrzymać piłkę w powietrzu.

— Co to jest? — spytała Carmen, pokazując mu ogromny drewniany młot. — Jest ich więcej, tam w pudle.

— Młotek do krokiet — wyjaśnił z uśmiechem.

— Młotek do krokiet... — powtórzyła Carmen ani na jotę mądrzejsza.

— Po lunchu mogę wam pokazać, jak się w to gra.

— A więc to służy do gry? — upewniła się.

— Tak, graliśmy w krokiet na tym trawniku. — Wskazał rozległą, płaską murawę pokrytą teraz kępami mchu. — Zrobiło się tu trochę nierówno, ale nie ma powodu, żebyśmy nic spróbowali.

Gdy zjedli lunch — podano kartoflankę, chleb i kawał sera, który wydał się dzieciom trochę gumowaty, ale całkiem niezły w smaku — znowu wyszli do ogrodu.

Część z nich udała się na lekcję krokiet. Sir John ustawił bramki i zaczął wyjaśniać zasady tej nieznannej i dziwacznej gry. Nawet chłopcy nie mieli ochoty wypychać przeciwnika poza boisko i woleli przyjąć łagodniejszą strategię. Dość już widzieli brutalności w swoim krótkim życiu.

Ten urozmaicony ogród, pełen cudnych zakątków i jakże romantyczny, zauroczył wszystkich. Zapomnieli o przeszłości i cieszyli się chwilą obecną, idealnym angielskim popołudniem w pełni lata. Mogli swobodnie biegać po parku albo siedzieć gdzieś w spokoju. Paru maluchów wybrało nasłonecznioną ławkę i zaczęło rysować.

Carmen zdała sobie sprawę, ile mieli szczęścia, przyjeżdżając do Winton Hall, gdy nauczyciele, z którymi utrzymywała kontakty, zaczęli jej opisywać warunki panujące w innych koloniach. Zdarzyło się, że dzieci wykorzystywano jako nieopłacaną siłę roboczą w pralni. W niektórych ośrodkach katolic-

kich zakonnice śmiało wymierzały kary cielesne za niewłaściwe zachowanie. Ci, którzy trafili do schronisk Armii Zbawienia, skarżyli się najczęściej. „Surowe twarze ubranych w czepki kobiet, które każą nam śpiewać angielskie hymny, nieustannie przypominają mi, dlaczego musieliśmy opuścić Hiszpanię — pisała jedna z koleżanek Carmen. — Ludzie w mundurach zmuszają nas do podporządkowania się nakazom ich wiary! Czy to nie brzmi znajomo?”.

Mercedes stwierdziła, że wśród osób prowadzących kolonie trafiają się ludzie, którzy często mają dobre intencje, ale nie uświadamiają sobie, co wycierpiały te dzieci.

Rozdział 36

Mijał jeden ciepły letni dzień po drugim, a w Winton Hall na ogół panowało zadowolenie. Wiele dzieci dostało niedawno listy od krewnych z Bilbao. Do szczęśliwców należeli również Enrique i Paloma, pewni już, że ich mama i młodsze rodzeństwo są bezpieczni.

Po śniadaniu dzieci miały kilka godzin lekcji, natomiast popołudnia były przeznaczone na zabawę. Któregoś dnia gromadka dzieci próbowała przypomnieć sobie słowa ulubionych piosenek i kroki paru tradycyjnych baskijskich tańców. Dokładały starań, by nie zapomnieć dobrych rzeczy, jakich zaznały w kraju ojczystym. Następne dni spędziły na próbach, aż nauczyły się śpiewać i tańczyć bez najmniejszego potknięcia. Zamierzały urządzić przedstawienie dla sir Johna, lady Greenham i pani Williams, jeśli to ich zainteresuje.

Występ odbył się pewnego wieczoru po kolacji. Nawet lady Greenham biła brawa. Sir John wprost tryskał entuzjazmem.

— To było wspaniałe — zwrócił się do Carmen. — Naprawdę wspaniałe.

— Dziękuję — odrzekła, promieniając radością.

— Mam pomysł! Zróbcie przedstawienie dla mieszkańców wioski!

— To się nie uda. Dzieci będą zbyt onieśmiałone.

- Onieśmielone? — zawołał sir John. — Wcale nie wyglądają na onieśmielone!

— Porozmawiam z nimi — powiedziała, nie chcąc odrzucać tej myśli. — Sądzi pan, że ludzie byliby skłonni zapłacić?

W ciągu ostatnich kilku tygodni zorientowała się, że brakuje pieniędzy na ich utrzymanie. Choć Komitet na rzecz Baskijskich Dzieci z zaangażowaniem zbierał datki, Brytyjczycy niechętnie sięgali głębiej do kieszeni, by wesprzeć dzieci komunistów — takie było ich nastawienie. W każdej kolonii uchodźcy szukali sposobów zarobkowania.

Sir John miał rację. Tego wieczoru dzieci jednogłośnie zgodziły się wystąpić publicznie, jeśli nadarzy się taka sposobność.

— Ale mamy tylko trzy tańce i pięć piosenek — odezwała się jedna ze starszych dziewcząt. — Czy to nie za mało, jeżeli chcemy pobierać opłatę za wstęp?

Rozległy się głosy poparcia i wtedy Mercedes bez wahania wysunęła jeszcze jedną propozycję.

— Mogłabym zatańczyć. Może oni nie znają również flamenco.

— To z pewnością urozmaiciłoby repertuar — powiedziała Carmen, która dużo wiedziała o Mercedes. — Ale kto ci będzie akompaniował?

— Cóż, nie ma tu gitarzysty — odparła Mercedes, bagatelizując sprawę — ale mogę was nauczyć klaskać do rytmu.

Dzieciom nie brakowało zapału: kilka rąk natychmiast uniosło się w górę.

— A ja mam to — rozległ się głos z drugiego końca pokoju.

To Pilar odezwała się ze swojego łóżka. Wszyscy odwrócili głowy, słysząc stuk kastanietów. Przypominał trzeszczenie cykad — i raptem, w tę upalną noc, prawie wydawało im się, że są w domu. Pilar bawiła się kastanietami od trzeciego czy czwartego roku życia i teraz, mając czternaście lat, grała z niezwykłą biegłością.

— Doskonale — ucieszyła się Mercedes. — Mamy z czym wystąpić.

Trupa taneczna rozrosła się, liczyła teraz dwadzieścioro dzieci i wszystkie zapamiętałe odbywały próby przez trzy dni. Pozostałe robiły afisze, które sir John kazał rozwiesić potem w wiosce.

Ku niezadowoleniu lady Greenham Mercedes ćwiczyła w holu, gdzie podłoga była na tyle solidna, że wytrzymała mocne tupanie. Dziewczęta siedziały na schodach i przyglądały się przez tralki balustrady. Nigdy nie widziały takiej tancerki — patrzyły jak zahipnotyzowane, a gdy robiła sobie przerwę na odoczynek, klaskały i tupały z uznaniem.

Pilar siedziała w tylnej części holu. Najpierw stuką cicho dłońmi, ucząc się wzorów rytmicznych, a potem powtarzała je na kastanietach niemal bezgłośnie, tylko dla własnych uszu. Dopiero gdy nabrała całkowitej pewności, że trzyma rytm, wysunęła się do przodu i zaczęła akompaniować Mercedes. Grała, wykorzystując wszystkie możliwości instrumentu i prezentując różnorodne kombinacje dźwięków: tryle, stuki, klekoty, brzęczenia i pomruki.

— Wspaniale, Pilar — powiedziała Mercedes.

Pierwszy raz słyszała, żeby ktoś tak wymownie grał na kastanietach.

* * *

Mieszkańcy wioski wypełnili dom ludowy do ostatniego miejsca. Niektórzy przyszedli z czystej ciekawości, chcieli zobaczyć tych „małych ciemnowłosych szkrabów”, jak mówili o nich członkowie Komitetu na rzecz Baskijskich Dzieci. Wybrali się na ten występ z takim nastawieniem, jakby mieli oglądać zwierzęta w zoo. Inni przybyli zwyczajnie z nudów. Na angielskiej wsi jest niewiele rozrywek.

Widzowie zachwycili się baskijskimi tańcami. Pani Williams wyszperała odpowiednie tkaniny i dziewczynki uszyły sobie stroje: czerwone spódnice, zielone kamizelki, czarne fartuchy i proste białe bluzki. Tańczyły z werwą i zapalem. Wszyscy bili brawa, domagając się bisów.

Również piosenki zauroczyły publiczność. Serca topniały nawet najbardziej nieczułym widzom, gdy rozlegało się słodkie brzmienie chóru i słowa: *Anda diciendo tu madre*. Mercedes stała za kulisami i na dźwięk słowa *madre* poczuła ucisk w gardle. Te dzieci były tak daleko od swoich matek, a zachowywały się tak dzielnie.

Mercedes wyszła na scenę jako ostatnia. Jej występ był zupełnym przeciwieństwem niewinnych i naiwnych tańców baskijskich wykonywanych przez dzieci. W niczym też nie przypominał mechanicznych popisów, jakie dawała podczas podróży do Bilbao. Tańcząc przed tymi Anglikami o kamiennych twarzach, zgromadzonymi pod przeciekającym dachem domu ludowego, wyraziła całe swoje cierpienie i tęsknotę. Miała na sobie czerwoną suknię w grochy, którą podarował jej właściciel baru przed wieloma miesiącami. Od tamtego czasu znacznie przytyła, więc materiał idealnie opinał jej nabierającą krągłości sylwetkę.

Gdyby publiczność rozplynęła się w powietrzu tego ciepłego wieczoru, nie miałoby to dla niej znaczenia. Tańczyła dla siebie. Niektórzy poddali się nastrojowi tańca. Z przejściem śledzili wzrokiem pełne ekspresji ruchy i rozumieli uczucia, jakie przed nimi obnażała. Kiedy zabrzmiały kastaniety i ich stukot złął się z rytmicznymi uderzeniami butów, widzom dreszcz przeszedł po plecach.

Innych ten występ wprawił w zakłopotanie. Był dziwaczny, niezrozumiały i obcy. Poczuli się nieswojo. Gdy przedstawienie dobiegło końca, zapadła na chwilę cisza. Czegoś takiego Anglicy jeszcze nie widzieli. Jedni zaczęli z uprzejmości bić brawo. Inni zgotowali tancerce żywiołową owację. Niektórzy powstali. Mercedes podzieliła publiczność.

Szybko rozeszła się fama o baskijskich tańcach i śpiewie oraz o flamenco. Nawet pisała o tym lokalna gazeta. Zaczęły nadchodzić listy z miast i wiosek na południu Anglii z zaproszeniami na występy. Uchodźcy przyjmowali wszystkie propozycje, wiedząc, że z zarobionych pieniędzy pokryją część

kosztów swego utrzymania. Co tydzień pakowali stroje i ruszali w podróż. Kontrast między niewinnością ludowych tańców baskijskich a ekspresyjnością flamenco wszędzie wywoływał zaskoczenie.

Nie było dnia, żeby Mercedes nie myślała o Javierze. W każdym tańcu ożywiała wspomnienia o ukochanym i wyczarowywała go na nowo. Powtarzała sobie, że musi być w formie, gdy się znowu spotkają.

Upłynęło kilka miesięcy, kiedy to w Winton Hall żyło się we względnej szczęśliwości, a jedyną osobą, której nie cieszył świąteczny nastrój, była lady Greenham. Któregoś wieczoru Mercedes zapytała Carmen:

— Dlaczego ona wygląda tak, jakby połknęła cytrynę?

— Bo nie podoba jej się, że tu jesteśmy — odparła Carmen, stwierdzając oczywisty fakt.

— Więc po co nas zaprosiła?

— Sądzę, że nie ma w tym jej zasługi. To robota sir Johna. Poza tym taki to już typ. No wiesz... nigdy nie będzie zadowolona.

Pewnego dnia lady Greenham wkroczyła do jadalni w porze śniadania, mając jeszcze bardziej niż zazwyczaj zaciśnięte usta. Sir John siedział u szczytu stołu i popijał herbatę wśród przyjemnego dla jego ucha szumu rozmów prowadzonych w niezrozumiałym języku.

— Popatrz! — powiedziała i cisnęła przed nim na stół „Daily Mail”. — Tylko popatrz!

Dziewczynki umilkły przestraszone, słysząc złość w jej głosie.

BASKIJSKIE DZIECI NAPADAJĄ NA POLICJANTÓW,
krzyczały litery.

Sir John odwrócił gazetę, żeby nikt inny nie przeczytał nagłówka.

— Może doszło do czegoś podobnego, choć wątpię. Natomiast bez wątpienia nie stało się to tutaj, prawda? Poza tym nie należy wierzyć wszystkiemu, co pisze prasa.

— Przecież to jasne, że im nie można ufać! — oświadczyła lady Greenham głośnym szeptem.

— Porozmawiajmy o tym gdzie indziej — syknął rozgniewany sir John.

Oboje wyszli z pokoju, ale i tak dochodziły z korytarza ich podniesione głosy. Kilkoro dzieci podsłuchiwało pod drzwiami, mimo że prawie nic nie rozumiały. Carmen odsunęła je na bok i natężyła słuch.

Sir John przyznał, że doszły go wiadomości o drobnych incydentach w miejscowościach leżących opodal paru kolonii — jakaś kradzież jabłek, czasem bójka z miejscowymi chłopakami, tu i ówdzie wybite okno, tego rodzaju sprawy — ale mógł powiedzieć z absolutną pewnością, że nic takiego nie zdarzy się w Winton Hall.

Niejasne stanowisko lady Greenham odnośnie do ich pobytu w tym domu było rzeczą oczywistą, ale dopiero teraz Carmen miała pełny obraz sytuacji. Ta chłodna Angielka chętnie spełniała dobre uczynki i zajmowała się filantropią, jeśli tylko nie zakłócało to zbytnio jej życia. „Przedsięwzięcie” męża zupełnie je zdominowało i dlatego nigdy nie czuła się swobodnie w obecności tych przybyszów. Byli cudzoziemcami, a zatem potencjalnymi dzikusami — tak uważała.

Carmen uznała, że nie trzeba nic o tym mówić dzieciom, ale podzieliła się swymi przemyśleniami z Mercedes.

— Moim zdaniem powinnyśmy zostawić tę sprawę — rzekła Mercedes.

Carmen zgodziła się, dodając:

— Trzeba po prostu pokazać jej, że się myli. Dzieci muszą się zachowywać wzorowo.

I tak było przez kilka następnych miesięcy. Nie dawano lady Greenham powodu do narzekań.

W listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku do komitetu zaczęły napływać listy od rodziców. Chcieli, żeby dzieci wróciły do domu. Skończyła się blokada Bilbao, ustały ataki z powietrza. W kwietniu trzydziestego ósmego

roku pani Sanchez znalazła nowe lokum — poprzednie mieszkanie straciła na skutek wybuchu bomby — i podjęła starania, by jej rodzina się połączyła. Enrique i Paloma przygotowali się do powrotu.

Mercedes odwiozła ich pociągiem do Dover, skąd mieli popłynąć statkiem do Francji, a potem podróżować dalej na południe. Gdy siedziała w przedziale, a za oknem przesuwały pomarańczowo-złote jesienne pejzaże, przyglądała się swoim podopiecznym. Choć minął rok, Paloma wciąż była małą dziewczynką. Tak jak w maju zeszłego roku, podczas jazdy pociągiem z Santurce do portu, trzymała na kolanach lalkę Rosę. Za to Enrique zmienił się zasadniczo. Nadal miał zafasowany wyraz twarzy, ale stał się młodzieńcem. Mercedes wyobraziła sobie, jak będzie wyglądało spotkanie dzieci z matką, i poczuła ukłucie w sercu.

— Nie wiem, czy powinniśmy tam jechać — powiedział Enrique do Mercedes, gdy zobaczył, że siostra przysnęła ukołysana ruchem pociągu. — Część chłopców nie chce wracać. Mówią, że to niebezpieczne.

— Ale wasza mama napisała list. Przecież nie proponowała by powrotu do domu, gdyby podejrzewała, że coś wam grozi - próbowała go uspokoić.

— A jeśli to nie była jej propozycja? Może ktoś zmusił ją do napisania tego listu.

— Jesteś bardzo podejrzliwy. Komitet na pewno nie pozwoliłby wam wracać, gdyby istniało takie ryzyko.

Mercedes nie przeczuwała niczego złego, gdy zaczęły regularnie przychodzić listy wzywające dzieci do domu. Przecież to normalne, że wracają do Hiszpanii — takie były plany od samego początku. Wielu rodziców wołało, żeby dzieci stały obok nich i unosiły ręce w faszystowskim pozdrowieniu, niż żeby mieszkały w obcym kraju odległym o tysiące kilometrów. Pomruki wojny niosły się po całej północnej Europie i w tej sytuacji „dom” niewątpliwie był dla każdego najbezpieczniejszym miejscem.

Mercedes uścisnęła mocno dzieci, zanim przekazała je osobie, która sprawowała opiekę nad grupą wracającą do Hiszpanii. Enrique powstrzymał się od płaczu, natomiast Mercedes i Paloma nie potrafiły pohamować łez. Podczas tego smutnego pożegnania zapewniali się z całego serca, że jeszcze się spotkają.

Patrząc na odpływający statek, Mercedes walczyła z pragnieniem, by wrócić do kraju. Ponieważ nie wiedziała, gdzie przebywa Javier, i poważnie obawiała się, co może ją spotkać po powrocie do Grenady, uznała, że będzie lepiej, jeśli zostanie w Anglii. Nadal miała tu wiele obowiązków wobec dzieci, które jeszcze nie zostały wezwane do powrotu. Niektóre z nich zdawały sobie sprawę, że takie wezwanie nie nadejdzie, jeśli ich rodzice zginęli.

Mercedes wsiadła do pociągu do Haywards Heath i wróciła do Winton Hall, gdzie spodziewano się przyjazdu dzieci z innej kolonii. Gdy coraz więcej uchodźców wracało do domów, część z początkowych dziewięćdziesięciu kolonii zaczęto zamykać.

Trupa taneczna, choć mniej liczna, nadal dawała przedstawienia. Ponieważ sława tancerzy rosła, wszędzie oczekiwano ich z niecierpliwością i przyjmowano dużo cieplej niż na początku. Zdarzało się, że Mercedes występowała z jeszcze jedną tancerką flamenco albo akompaniowali jej dwaj bracia z kolonii w Sussex, znakomici gitarzyści.

* * *

Gdy wiosną trzydziestego dziewiątego roku padł Madryt, generał Franco wezwał wszystkich uchodźców do powrotu z Anglii. Wielu z nich przestrzegano przed podjęciem takiej decyzji. Istniało duże prawdopodobieństwo, że będzie grozić im nędza, prześladowania i więzienie.

Mercedes doszła do wniosku, że musi zaryzykować. Napisała krótki, ostrożny list do matki z wiadomością, gdzie się znajduje, i z nadzieją, że w odpowiedzi dostanie wskazówki, jak ma postąpić.

Pablo i Concha rozplakali się z radości, gdy otrzymali list i okazało się, że ich córka żyje i jest bezpieczna.

— I pomyśleć, że cały ten czas opiekowała się dziećmi! — zawołał Pablo, przyglądając się jej starannemu pismu. — Sama była dzieckiem, gdy widzieliśmy ją ostatni raz!

— I wciąż tańczy... — dodała Concha. — To wspaniale, że wciąż tańczy.

Czytali ten list na okrągło i w końcu zaczęli się zastanawiać nad odpowiedzią.

— To będzie cudowny dzień, gdy znów ją zobaczymy. Ciekawe, kiedy przyjedzie.

Pablo upajał się myślą o jedynej córce. Concha przeszła od razu do sedna sprawy. Ostatnimi czasy to raczej ona kierowała przebiegiem dyskusji i podejmowała decyzje. Od powrotu z więzienia Pablo dość wolno kojarzył fakty.

— Według mnie powinna zostać w Anglii — powiedziała bez ogródek Concha. — Nie możemy pozwolić jej na powrót.

— Niby dlaczego? — zaproponował Pablo. — Wojna się skończyła.

— Ale niebezpieczeństwo nie minęło — obstawała przy swoim. — To nie jest najlepsze rozwiązanie dla Merche. Nieważne, że tak bardzo chcemy ją zobaczyć.

— Nie rozumiem — zezłościł się i odstawił gwałtownie kieliszek. — Ona jest taka młoda, nie zrobiła nic złego!

— Władze będą innego zdania — upierała się Concha. — Ona opuściła kraj, a to jest traktowane jako przejaw wrogości. Potem odwlekała powrót do domu. Wierz mi, Pablo, prawdopodobnie trafi do więzienia. Chcę mieć pewność, że nic jej nie grozi.

— A Javier? — powiedział Pablo. — Na pewno będzie chciała przyjechać i go odwiedzić.

Tego Concha obawiała się najbardziej. Gdy Mercedes dowie się, że Javier żyje i przebywa w Cualgamuros, wróci tu — to niemal pewne. Dla dobra córki Concha postanowiła trzymać tę wiadomość w tajemnicy.

* * *

Mercedes nie mogła się doczekać, kiedy dotrze do Winton Hall odpowiedź od jej rodziców. Wreszcie, wśród przychodzących z Hiszpanii listów pokrytych znaczkami z podobizną dyktatora, znalazła się koperta z Grenady. Już na widok liter skreślonych ręką matki Mercedes zaczęła drżeć z przejęcia. Znajome pismo sprawiło, że uczucie bliskości z matką stało się wprost nie do zniesienia. Rozerwała kopertę, spodziewając się wiadomości o wszystkich bliskich osobach, ale spotkał ją zawód. W środku była pojedyncza kartka papieru, a na niej dwa gołe zdania.

Tato i ja czekamy niecierpliwie na Twój rychły powrót do domu. Siostra przesyła Ci serdeczne pozdrowienia.

Ileż to dało się wyczytać między wierszami! Mercedes nie posiadała się z radości, że ojciec wrócił do domu, ale zaskoczył ją i rozczarował brak wieści o Antoniu. Obawiała się najgorszego. Sens drugiego zdania był oczywisty. Wzmianka o nieistniejącej siostrze zawierała jasną informację: to nieprawda, co napisałam. Choć Concha Ramirez nie mogła wypowiedzieć się szczerze i otwarcie, ponieważ korespondencję kontrolowali cenzorzy, Mercedes zorientowała się, że kazano jej nie wracać do kraju. Po nieposłusznym dziecku nie pozostał ślad. Dojrzała młoda kobieta posłuchała rady matki.

Rozdział 37

W maju tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, gdy ostatnie dzieci z Bilbao wreszcie opuściły Winton Hall, Mercedes zdała sobie sprawę, że i dla niej nadszedł czas wyjazdu. Przez dwa lata miała tu dach nad głową i zapewnione bezpieczeństwo. Na pewno będzie wspominać z rozrzewnieniem okazałe wnętrza tego domu i romantyczne ogrody.

Wiele opiekunek zatrudniało się jako pomoce domowe albo szło na kursy dla sekretarek. Wszystkie zaczęły uczyć się angielskiego. Po dwóch latach pobytu w Anglii tylko nieliczne znały więcej niż kilka słów. Mieszkały z rodakami i jedynie z nimi utrzymywały kontakty towarzyskie; przede wszystkim starały się zachować język ojczysty i kulturę. W ogóle nie myślały o tym, że być może przyjdzie im pozostać w Wielkiej Brytanii.

Carmen, podobnie jak Mercedes, też nie mogła wrócić do kraju. Jej ojciec i brat zostali aresztowani w pierwszych miesiącach po puczu generała Franco. Przyłączyli się do ruchu oporu, ale zostali złapani tuż po tym, jak wysadzili most pod Barceloną. Na obu został teraz wydany wyrok śmierci. Matka Carmen również przebywała w więzieniu.

Gdy przyszła pora pożegnania, lady Greenham była niemal serdeczna. Dziewczyny podejrzewały, że cieszy się z ich

wyjazdu, ale uśmiech na wąskich wargach nie zdradzał żadnych uczuć. Natomiast sir John miał łzy w oczach. Nie rozplakał się, ale widać było, że jest do głębi poruszony. Obiecały, że go odwiedzą, a on kiwnął w milczeniu głową i odszedł.

Z napięciem i drżeniem serca Mercedes czekała, co przyniosą następne miesiące. Spodziewała się — jak wtedy, gdy wsiadła na statek w Bilbao — że pobyt na emigracji nie będzie trwał wiecznie.

Wyjazd do Londynu sam się narzucał. Miałaby wsparcie już dość licznej społeczności hiszpańskiej oraz więcej możliwości znalezienia pracy, gdy opanuje język angielski.

— Dziwnie się czuję, będąc znów w mieście — powiedziała do Carmen, gdy wysiadły na Victoria Station i wyszły na ruchliwą ulicę.

— Dla mnie to miła odmiana. Miałam dość życia na wsi.

— A ja miałam dość Bilbao, gdy zaproponowano mi wyjazd — oznajmiła Mercedes.

— Londyn to nie Bilbao. Będziemy dobrze się bawić! Jestem pewna.

Na londyńskich ulicach panował tłok. W oczach Carmen i Mercedes wszyscy przechodnie wyglądali elegancko i sprawiali wrażenie, jakby mieli przed sobą jakiś cel.

Dziewczęta były umówione z pewnym hiszpańskim małżeństwem, które mieszkało w Finsbury Park i zgodziło się udostępnić im pokój. Wsiadły do autobusu i z pierwszego rzędu na górnym piętrze oglądały z przyjemnością miasto, wprost nie mogąc uwierzyć, że jakimś szczęśliwym trafem znalazły się tutaj. Hyde Park Corner, Oxford Street, Regent's Park — słyszały o tych miejscach, ale rzeczywistość przerosła ich wyobrażenia. Jakież to wszystko było kolorowe, olśniewające, pełne życia! W końcu konduktor podał nazwę przystanku, na którym miały wysiąść. Stąd było tylko pięć minut spacerem i zaraz zobaczyły swoje nowe lokum: wiktoriański dom szeregowy przy ślicznej ulicy wysadzonej wiśniami, które właśnie okryły się kwiatem.

Właściciele domu przyjechali do Anglii przed puczem generała Franco i ochoczo wspierali działalność Komitetu na rzecz Baskijskich Dzieci. Bardzo serdecznie przyjęli Mercedes i Carmen. Widząc na ścianach pięknie malowane płytki ceramiczne i obrazki przedstawiające góry Sierra Nevada, dziewczyny natychmiast poczuły się swojsko.

Ale zagrożenie faszyzmem narastało — jak się tego obawiali zwolennicy republiki w Hiszpanii — i wybuchła w Europie wojna. We wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku zaczęły się naloty na Londyn i przez następne osiem miesięcy miasto było nieustannie atakowane z powietrza.

— Teraz w ojczyźnie nastał pokój, a na nas spadają bomby... — powiedziała Mercedes któregoś wieczoru, gdy razem z Carmen siedziały skulone ze strachu w schronie na końcu ogrodu.

— To ironia losu, że mieszkamy na obcej ziemi i wciąż celują do nas Niemcy — zauważyła Carmen. — Ale mylisz się, mówiąc, że w Hiszpanii nastał pokój. Czy w kraju, gdzie są setki tysięcy więźniów politycznych, może być pokój?

Wojna z Hitlerem była straszna. Choć doszło do tego, że zaczęto ewakuować dzieci z Londynu, panującej tam atmosfery nie dało się porównać z atmosferą w Bilbao opuszczanym przez mieszkańców. W Hiszpanii ludność walczyła między sobą. To, co się działo w Anglii, nie działało aż tak destrukcyjnie na naród. Panował tu strach, ale nie terror.

Mieszkańcy domu szeregowego często spędzali w schronie całe noce. Tam było najbezpieczniej. Mercedes i Carmen rozmawiały godzinami o tym, czego doświadczyły w przeszłości i co jeszcze może je spotkać. W przyszłości wszystko mogło się wydarzyć, więc ich marzenia nie miały granic ani ograniczeń. Ten teren był niezbadany.

Nauka angielskiego i praca w charakterze pomocy domowej wypełniały Mercedes dni. Odjesieni czterdziestego pierwszego roku radość dawał jej El Hogar Espanol. Przebywający na emigracji premier Republiki Hiszpańskiej Juan Negrin wynajął

dom przy Inverness Terrace, gdzie spotykali się hiszpańscy uchodźcy, którzy nie mogli wrócić do kraju.

W El Hogar Espanol koncentrowało się życie towarzyskie i kulturalne. Przychodzili tam wszyscy — dziewczyny, które jak Mercedes polerowały półki nad kominkami, oraz intelektualści i politycy na emigracji. Utrzymywali kontakty towarzyskie, czasem śpiewali, nawet urządzali fiesty podczas weekendów. Mercedes odkładała miotełkę z piór i przychodziła tańczyć. Wirowanie falbaniastej sukni i stuk butów podbitych gwoździami na czubkach uzdrawiała jej duszę. Czuła, że jest sobą, i w wyobraźni wracała do domu. Znalazło się więcej ludzi, którzy umieli śpiewać, tańczyć, grać na gitarze czy kastanietach. W ciepłe wieczory pod otwartymi oknami zbierali się na ulicy przechodnie, żeby posłuchać rytmicznego tupania podobnego do terkotu karabinu i melancholijnych dźwięków gitary flamenco. Od czasu do czasu odbywały się występy publiczne, w których również Mercedes brała udział.

Listy od rodziców zaczęły przychodzić regularnie. Mercedes dostała od matki kilka ulubionych zdjęć i w odpowiedzi wreszcie opisała swoje przeżycia z ostatnich lat. Listy Conchy, z których wynikało, iż ojciec nie jest już taki jak dawniej, przejęły ją smutkiem i żalem, że nie może przyjść matce z pomocą. Z następnych listów dowiedziała się trochę więcej o Antoniu i ogólnej sytuacji w Hiszpanii. Wynikało z tego, że Carmen miała rację. Dopóki ludzie będą niesłusznie więzieni i traktowani jak niewolnicy, w kraju nie zapanuje pokój. Ilekroć przychodził list z hiszpańskim znaczkiem, łudziła się, że to od Javiera. Była pewna, że matka przekazałaby jej wszelkie wiadomości od niego, i ani na moment nie traciła nadziei.

* * *

Z upływem czasu Mercedes coraz lepiej posługiwała się angielskim. W czterdziestym trzecim roku mówiła na tyle swobodnie, że zapisała się na kurs dla sekretarek. Wkrótce po ukończeniu kursu złożyła podanie o pracę w Beckenham.

Poszcęściło jej się i została przyjęta. Ponieważ dojazd z Finsbury Park do pracy zajmował zbyt dużo czasu, a Carmen również miała chęć przeprowadzić się, znalazły niezależne mieszkanie w południowej części Londynu.

Były zadowolone z życia, choć na obczyźnie. Po przeprowadzce nie mogły przychodzić tak często na spotkania w El Hogar Espanol. Mercedes otrzymywała jednak zaproszenie na występy przynajmniej raz w miesiącu i jej ekspresyjny taniec zawsze budził zachwyty.

Starła się nie myśleć, jak wiele trudów codzienności musieli znosić jej rodzice. Kawiarnia prosperowała dość dobrze za nowej władzy, lecz ból po śmierci trzech synów nie słabł. Conchy wydawało się czasem, że wypłakała wszystkie łzy. Było to jednak złudzeniem — żal po takiej stracie trwa całe życie i ciągle się odnawia. Każdy dzień oznaczał chodzenie po świeżo rozbitym szkle. Każdy krok, z konieczności ostrożny i niepewny, miał pomóc im złagodzić cierpienie i dotrzeć od rana do wieczora. Ledwie znosili ciche tykanie zegara po wyjściu ostatnich gości.

Listy docierały do Anglii, aczkolwiek szły długo. Concha zawsze starała się, by jej słowa brzmiały pogodnie, ale stanowczo odradzała córce powrót do kraju. „Jestem pewna, że miło spędzasz tam czas — pisała. — Po przyjeździe stwierdziłabyś, że tu jest zupełnie inaczej”. Na swój sposób starała się trzymać Mercedes z dala od kraju, w którym zrobiło się pusto i żyło się wspomnieniami.

Listy Mercedes do rodziców pozwalały sądzić, że jej nowe życie się ustabilizowało. Podczas gdy ona zawsze znalazła sens ukryty pomiędzy wierszami, oni nigdy nie wgłębiali się w treść jej listów ani nie zastanawiali się, czy szczerze jest zadowolone, które po długotrwałych staraniach udawało jej się wreszcie wyrazić. Brak szczerości nie oznaczał, że nie darzyli się miłością. Po prostu tak się kochali, że chcieli oszczędzić sobie nawzajem smutku.

Ale wydarzyło się coś, czego Concha nie mogła zataić przed

Mercedes. W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku umarł Pablo. Przyszła sroga zima, jak to czasem bywa w Grenadzie, gdy zimno wnika do wnętrza człowieka i zagnieżdża się w płucach. Pablo był za słaby, żeby to przeżyć. Ta chwila była najtrudniejsza dla Mercedes od wypłynięcia z portu w Bilbao.

Gdy skończyła się wojna w Europie i mężczyźni wrócili z frontu, życie towarzyskie młodych Hiszpanek toczyło się głównie w miejscowej sali tanecznej Locarno. Po sześciu latach walki i trwogi taniec stanowił doskonałe lekarstwo. Pozwalał dzielić się radością z zachowania życia i nie wymagał posiadania kartek. Wszyscy w wieku Carmen i Mercedes tańczyli walca i quickstepa. Gdy przyszła moda na tańce latynoamerykańskie, dziewczyny łatwo podchwyciły nowe rytmy.

To właśnie w salach tanecznych młodzi ludzie odbywali zaloty, których jasnym i oczywistym celem było zazwyczaj wybranie sobie żony lub męża. Mercedes należała do wyjątków. Najmniej zależało jej na poznaniu bratniej duszy — już ją znalazła. Gdy w piątek i w sobotę szła na potańcówkę, pragnęła jedynie rozkoszować się ożywczym i podniecającym tańcem.

Mężczyźni tańczyli co wieczór z innymi kobietami; niektóre znali od dawna, z innymi dopiero zawarli znajomość, ale cały czas zastanawiali się, czy którąś z nich poślubią.

Gdy Carmen i Mercedes pojawiły się w Locarno pierwszy raz, wzbudziły powszechne zainteresowanie. Miały ciemną karnację, mówiły z wyraźnym akcentem i wyglądały oryginalnie, bez wątpienia jak cudzoziemki. Tylko ubiorem przypominały miejscowe dziewczyny. „Czarne jak Cyganki”, słychać było pomruki.

Chodziły do Locarno w każdy piątek i sobotę od ponad roku, gdy pewnego wieczoru poprosił Mercedes do tańca jakiś młody Anglik, którego wcześniej nie zauważyła.

— Zatańczysz? — powiedział zwyczajnie i wyciągnął rękę.

Grali tango. Mercedes tańczyła tu chyba z setką mężczyzn, ale ten był o klasę lepszy. Później tego wieczoru przebiegła

myślą wspomnienia z tego tańca i przypomniwała sobie każdą nutę.

Dla młodego Anglika taniec z Mercedes również miał magiczny urok. Czuł, z jaką lekkością jej drobne ciało reaguje na najłżejszy dotyk jego dłoni, jak bardzo jej ruchy różnią się od miarowych i niezdatnych kroków większości angielskich dziewcząt. Gdy po tańcu wrócił do swoich przyjaciół i znów popijał piwo, a ona znów stała obok swojej koleżanki, nie miał pewności, czy w ogóle z nią tańczył. Pozostało mu tylko wspomnienie czegoś niematerialnego.

Tydzień później Mercedes miała nadzieję, że ten młody jasnowłosy Anglik ponownie poprosi ją do tańca. Nie spotkał jej zawód i odpowiedziała uśmiechem, gdy mężczyzna podszedł do niej. Tym razem grali quickstepa.

Miał wrażenie, że w jej sposobie tańczenia jest coś stanowczego i przynaglającego. Tańczyła bez porównania lepiej od wszystkich poprzednich partnerek, a jej ruchy nie były tylko odpowiedzią na jego ruchy. W tej ciemnowłosej Hiszpance tkwiła siła, na jaką nie wskazywał jej wygląd.

„Poznałam wspaniałego tancerza — napisała Mercedes do matki. — Zazwyczaj są po prostu niezdatni, choć niezwykle się starają”.

Ciągle opowiadała matce o tańczeniu. Ten temat podnosił na duchu jak żaden inny. Concha z radością przeczytała któregoś dnia, że Mercedes dostała pierwszą nagrodę w konkursie.

„Partneruję temu świetnemu tancerzowi, o którym ci wspominałam. Doskonale nam idzie. W przyszły weekend odbędą się finały w hrabstwie i jeśli nam się uda, przejdziemy do etapu regionalnego” — pisała z entuzjazmem.

Przez kilka lat występowali razem, ale spotykali się tylko na parkiecie, czasem szli na filiżankę herbaty przed tańcem. Wygrywali każdy konkurs, do którego przystąpili, olśniewając wszystkich stylem i wdziękiem wykonania. Nikt nie mógł się z nimi równać. Wprawiali widzów w euforię. Sędziowie zawsze widzieli radość na twarzy wirującej przed nimi Mercedes.

Oświadczył się dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku, niemal dziesięć lat po tym, jak zatańczyli pierwszy raz. Mercedes nie posiadała się ze zdumienia. Przez te wszystkie lata nawet nie przeszło jej przez myśl, że partner kocha się w niej. Była zdruzgotana oświadczyniami, które w jej odczuciu nastąpiły ni stąd, ni zowąd. Kochała Javiera i tylko jego. Przepęłniało ją irracjonalne poczucie winy.

Carmen, która wyszła za mąż przed trzema laty i już spodziewała się drugiego dziecka, potraktowała przyjaciółkę surowo.

— Musisz coś sobie uświadomić, Mercedes — powiedziała. — Czy ty spodziewasz się, że kiedyś znów zobaczysz Javiera?

Mercedes nie śmiała zadać sobie tego pytania przez ostatnie pięć lat.

— Nie sądzisz, że gdyby żył, toby się odezwał?

Była skłonna przyznać rację Carmen. Javier znał adres Conchy i gdyby żył, napisałby do niej, a ona przesłałaby list. Mimo to dręczyła ją myśl, że listy giną, i coś jej mówiło, że ukochany nadal żyje.

— Trudno powiedzieć. Ale nie mogę się go wyrzec.

— Tego mężczyzny też nie możesz się wyrzec. On jest na wyciągnięcie ręki. To szaleństwo pozwolić mu odejść.

Następnym razem gdy tańczyli ze sobą, Mercedes starała się zobaczyć swojego partnera w innym świetle. Zawsze traktowała go bardziej jak brata niż jak kochanka. Czy to mogło się zmienić?

Po próbie poszli na herbatę. Mercedes uznała, że tak wypada. Powinni porozmawiać.

— Chcę tylko powiedzieć, że możesz się zastanawiać tak długo, jak masz na to ochotę. Nawet dwadzieścia pięć lat, jeśli zajdzie potrzeba — oświadczył.

Gdy to mówił, Mercedes przyglądała się jego twarzy. Dostrzegła w niej tyle ciepła i życzliwości, że o mało nie zmiękła. Jasnieniebieskie oczy wpatrywały się w jej oczy. Wiedziała, że

te słowa są całkowicie szczerze. Nie ulegało wątpliwości, że ją kocha.

Nie potrzebowała dwudziestu pięciu lat, żeby podjąć decyzję. W ciągu kilku miesięcy uprzytomniła sobie, że byłaby głupia, gdyby pozwoliła temu uroczemu mężczyźnie odejść.

— Małżeństwo z nim w żadnym wypadku nie może być błędem — żartowała Carmen. — Skoro jesteście tak zgrani na parkiecie, wyobraź sobie...

— Ależ Carmen! Jak możesz tak mówić! — zawołała Mercedes, rumieniąc się.

* * *

Napisała do matki o zaręczynach i gorąco namawiała ją do przyjazdu na ślub. Concha miała już swoje lata i bała się takiej długiej podróży choćby dlatego, że nie miała pewności, czy zostanie wpuszczona z powrotem do Hiszpanii. Mercedes rozumiała ją w pełni. Miesiąc przed ślubem nadeszła paczka z Grenady. Mercedes wpatrywała się zaintrygowana w nierówne pismo matki na papierze pakowym i rząd znaczków z popiersiem generała Franco pokrytych czarnymi stemplami pocztowymi. Drżały jej ręce, gdy przecinała sznurek tępymi nożyczkami kuchennymi.

Wewnątrz znajdowała się biała koronkowa mantyla, w której Concha brała ślub. Przez czterdzieści pięć lat mantyla leżała zawinięta w papier woskowany i przetrwała czasy, gdy tak wiele zostało stracone. Była w nienaruszonym stanie, bez skazy, może odrobinę zszarzała. To, że dotarła szczęśliwie na miejsce, graniczyło z cudem. Pod warstwami papieru pakowego znajdowała się wydawana w Grenadzie gazeta „El Ideal”, którą Concha wyłożyła pudełko. Mercedes odłożyła pismo na bok, żeby przejrzeć później, choć było sprzed ponad miesiąca. Na sam widok winiety zrobiło jej się niedobrze.

Wyjęła z pudełka list od matki i znalazła w kopercie prosty złoty łańcuszek.

„Ten łańcuszek też miałam na sobie w dniu ślubu — pisała

Concha. — Dała rai go moja mama, a teraz ja daję go Tobie. Był do niego krzyżyk, ale zdjęłam go jakiś czas temu i gdzieś się zapodział. Chyba wiesz, jakie są moje odczucia wobec Kościoła".

Mercedes żałowała, że matka nie przyjedzie najej ślub. Poza tym tylko jedno sprawiało jej przykrość: rodzice narzeczonego odnosili się do niej z niechęcią. Była cudzoziemką, a w tamtych czasach niektórzy ludzie bali się cudzoziemców. W odczuciu przyszłych teściów pochodziła z innej planety. Prócz tego nie podobało im się, że jest o kilka lat starsza od ich syna, ale nim młoda para powiedziała „tak”, już trochę zmienili zdanie.

Ślub odbył się w urzędzie stanu cywilnego w Beckenham. Panna młoda była ubrana w prostą bawełnianą sukienkę, obcisłą, do kolan, z rękawami trzy czwarte, którą sama uszyła. Z włosów upiętych do góry, w stylu hiszpańskim, spływała na ramiona suta koronkowa mantyla. Carmen wystąpiła jako świadek, a wśród gości znajdowali się głównie uchodźcy hiszpańscy, którzy również postanowili pozostać w Wielkiej Brytanii.

Victor Silvester, szef orkiestry tanecznej, który wielokrotnie widział ich występy, przysłał telegram odczytany potem na przyjęciu w pobliskim hotelu: „Życzę młodej parze, żeby byli równie doskonałymi partnerami w małżeństwie jak w tańcu”.

Rozdział 38

Z pliku listów wyjętych ze szkatułki pozostał tylko jeden. Miguel trzymał w ręku ostatnią kartkę. Minęła północ i Sonia bała się, czy staruszek nie jest zbyt zmęczony, by kontynuować opowieść. Historia Mercedes — gdyby ją urwał w tym miejscu — miałyby szczęśliwe zakończenie i może to powinno Sonię zadowolić.

— Czy na pewno ma pan siłę mówić dalej? — zapytała z troską.

— Naturalnie. Muszę przeczytać pani ten list. Ostatni, jaki napisała. Niedługo po ślubie.

Anglia dała mi bezpieczną przystań, za jaką tęsknilam. Pod pewnymi względami nadal czuję się tu obco, ale spotykam wielu życzliwych ludzi.

To pewne, że zawsze podtrzymywał mnie na duchu taniec, i od przyjazdu tutaj też tak jest. Zdaje się, że wiedza Anglików o Hiszpanii sprowadza się do jednego: że kobiety tańczą tam w sutych sukniach z falbanami i grają na kastanietach. Gdy występuję, przypominam sobie, kim jestem, choć czasem lepiej nie rozmyślać o tym za wiele.

Najbardziej uszczęśliwił mnie, oczywiście, ten cudowny mężczyzna, którego poślubiłam. Gdy go zobaczyłam, od

razu wiedziałam, że jest młodszy ode mnie. Ale dobrze patrzy mu z oczu i tańczy "niczym Fred Astaire", jak to mówią Anglicy. Ma jasną karnację i blond włosy, więc ani trochę nie przypomina mieszkańca Grenady, jestem jednak pewna, że polubiłabyś...

Sonia wstrzymała oddech i w napięciu czekała, aż padnie imię.

... Jacka.

Przygryzła do krwi wargę. Czowała w piersiach dławiący ból niewylanych łez. Starła się jednak nie pokazać po sobie, jakie wrażenie wywarł na niej ten list. Nie była pewna, czy to właściwa pora na wyjaśnienia. Miguel miał do przeczytania jeszcze kilka zdań.

Tak naprawdę nikt tu nic nie wie o Hiszpanii. Niewiele opowiadałam mężowi o Grenadzie, a o okropnościach tej wojny w ogóle nie chciałam mu mówić.

Ciągle zastanawiam się, co się stało z Javierem, i często o nim myślę.

Jestem pewna, że rozumiesz, dlaczego nie wróciłam do kraju — mam na myśli to wszystko, co spotkało naszą rodzinę i prawdopodobnie również człowieka, którego kochałam.

Mercedes

I wtedy Sonia zauważyła po raz pierwszy, że nie tylko ona stara się powstrzymać łzy. Miguel miał wilgotne policzki. Była zaskoczona, że aż tak zasmuciła go historia dobrze mu znana. Objęła staruszką ramieniem i podała mu parę jego własnych serwetek papierowych, żeby otarł twarz.

— Widzę, że pan bardzo lubił Ramirezów — powiedziała łagodnie.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Sonia potrzebowała czasu na zastanowienie. Teraz nie miała żadnych wątpliwości. Tak wyglądało życie jej matki, o którym do tej pory nie miała pojęcia. Była przejęta do głębi; ojciec zapewne również się wzruszy, gdy pozna szczegóły z przeszłości żony. Będzie musiała jednak poważnie rozważyć, czy takie informacje są potrzebne człowiekowi, który znajduje się u kresu życia.

Historia Mercedes leżała przed nimi na stole. Miguel ujmował zniekształconymi palcami kartki, składał je na załamaniach i wsuwał do kopert. Sonia zauważyła, że te listy były czytane wiele, wiele razy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego korespondencja jej matki do jej babki tyle znaczy dla Miguela. Serce zabiło jej szybciej, nie wiedzieć dlaczego. Pytanie nie chciało przejść przez gardło.

Miguel przyglądał się Sonii. Widziała, że chce coś powiedzieć.

— Dziękuję, że wysłuchała pani tego wszystkiego — rzekł.

— Niech pan tak nie mówi! — zawołała, starając się zapamiętać nad wzruszeniem. — Podziękowanie należy się panu. To ja prosiłam, żeby opowiedział pan tę historię.

— Istotnie, ale była pani taką dobrą słuchaczką.

Wreszcie nadeszła właściwa chwila. Pragnęła pokazać Miguelowi zdjęcia, które nosiła w torebce, i teraz, gdy przekonała się, że Mercedes Ramirez i jej matka to jedna i ta sama osoba, miało to sens.

— Nie bez powodu — odrzekła, szukając w torebce portfela.

Wyjęła dwie fotografie: pierwsza przedstawiała jej matkę w sukni flamenco, na drugiej gromadka dzieci siedziała na beczce.

Miguel wziął do ręki pierwsze zdjęcie.

— Przecież to Mercedes! — wykrzyknął podekscytowany. — Skąd pani ma tę fotografię?

Zawahała się.

— Dał mi ją ojciec — powiedziała.

— Pani ojciec? — powtórzył z niedowierzaniem Miguel. — Nie bardzo rozumiem...

Minęła dłuższa chwila, zanim Sonia wykrztusiła:

— Mercedes była moją matką.

Staruszek zaniemówił. Sonia patrzyła na niego zaniepokojona, ale szybko doszedł do siebie. Kręcił głową, nie mogąc uwierzyć jej słowom.

— Mercedes była pani matką...?

W milczeniu przyglądał się uważnie Sonii, wprawiając ją w zakłopotanie.

— Proszę spojrzeć na nich. — Wskazał drugie zdjęcie. — Już pani wie, co to za dzieci, prawda? Antonio, Ignacio, Emilio... i pani matka.

— Nadzwyczajne — szepnęła Sonia. — To rzeczywiście oni. Miguel wstał powoli z krzesła.

— Chyba powinna się pani czegoś napić. — Poszedł na drugi koniec sali.

Sonia patrzyła za nim z sympatią. Przyniósł dwa kieliszki brandy. Siedzieli przy stoliku, mając wrażenie, że jest jeszcze tyle do powiedzenia.

Sonia zaczęła wyjaśniać, co przyciągnęło ją akurat do kawiarni Miguela.

— Jest najładniejsza na placu. Ale mogło być też tak, że ta beczka coś mi przypominała. Pewnie myślałam o zdjęciu z dziećmi siedzącymi na beczce.

— Można by sądzić, że ją pani rozpoznała — zauważył Miguel.

— Przecież to atrybut tej kawiarni, mam rację? Zaraz, zaraz... El Barril... właśnie uprzytomniłam sobie, co znaczy ta nazwa. Muszę popracować nad swoim hiszpańskim!

Wzrok Sonii padł na zegar. Było wpół do drugiej. Musiała wracać. Przez kilka minut obejmowali się mocno. Wyglądało na to, że Miguel nie ma ochoty rozstać się z Sonią.

— Dziękuję za wszystko — powiedziała.

Słabo zabrzmiały te słowa, ale żadne nie byłyby dość wymowne. Miguel miał lzy w oczach, gdy pocałowała go mocno w oba policzki.

— Zobaczymy się przed pani wyjazdem?

— Samolot odlatuje dopiero po południu, więc rano będę miała parę godzin. Przyjdę na śniadanie.

— Proszę przyjść jak najwcześniej. Chciałbym panią zaprowadzić w jedno miejsce.

— Dobrze — powiedziała Sonia, ściskając go za ramię. — Do zobaczenia jutro. Wpół do dziewiątej?

Staruszek kiwnął głową.

* * *

Sonia wkładała klucz do zamka w drzwiach mieszkania Maggie, gdy ta pojawiła się za jej plecami.

— *Hola!* — zawołała wesoło przyjaciółka. — Wymknęłaś się cichaczem na tańce?

— Niezupełnie. Miałam niezwykły dzień.

Maggie spędziła tak ekscytujący wieczór, że nie w głowie jej było zadawanie dalszych pytań. Mimo zmęczenia Sonia zgodziła się wysłuchać całej historii o nowym mężczyźnie w życiu przyjaciółki. Ten był kimś wyjątkowym. Czula to w kościach.

Zanim poszły spać, Sonia powiedziała Maggie, że niedługo będzie musiała przyjechać tu na parę dni.

— Zawsze jesteś mile widziana! Przecież wiesz — odrzekła Maggie. — Tylko daj wcześniej znać, to będę w domu.

* * *

Po kilku godzinach snu Sonia szła znajomą drogą do El Barril. Miguel wiedział, że będzie punktualna, więc na ladzie baru już czekała filiżanka z *café con leche*. Niedługo potem wyszli z kawiarni i skierowali się do najbliższej przecznicy, gdzie za rogiem stał zdezelowany seat Miguela.

— Miejsce, które chcę pani pokazać, znajduje się kawałek za miastem, dlatego jest nam potrzebny samochód — powiedział.

Przez dwadzieścia minut pokonywali trudności, jakie piętrzył skomplikowany system ruchu jednokierunkowego w Grenadzie,

jechali szerokimi bulwarami wśród szpalerów drzew i krętymi brukowanymi uliczkami, gdzie ledwie mieścił się jeden samochód. Droga ciągnęła się skrajem najstarszego *barrio* w Grenadzie, a potem zaczęła się pięć pod górę.

Mało rozmawiali podczas jazdy, ale nie czuli się skrępowani nawet zapadającą co jakiś czas ciszą. Sonia z przyjemnością oglądała wspaniałe krajobrazy otaczające Grenadę, żyzne równiny i porywające góry Sierra Nevada. Nic dziwnego, że te okolice były cenną zdobyczą zarówno dla Maurów, jak i chrześcijan, pomyślała.

W końcu dojechali do celu. Przed potężną, bogato zdobioną bramą zaparkowało kilkadziesiąt aut. Można było odnieść wrażenie, że znaleźli się przed wrotami do francuskiego chateau.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała Sonia.

— Przed cmentarzem miejskim.

— Ach tak — powiedziała cicho, przypomniawszy sobie, że Miguel już raz zachęcał ją, żeby odwiedziła to miejsce.

Gdy parkował samochód, pod bramę dotarł kondukt pogrzebowy. Za karawanem jechało osiem lśniących limuzyn, z których wysiadła duża grupa elegancko ubranych żałobników. Wszystkie panie miały na głowach czarne koronkowe mantyle, które zasłaniały im twarze. Ciemne garnitury panów były szyte na miarę, eleganckie i dobrze skrojone. Orszak szedł za trumną z wolna, w posępnym nastroju, aż zniknął za bramą; szoferzy zostali przy samochodach i palili papierosy oparci o maski.

Miguel popatrzył za żałobnikami i najwyraźniej coś chciał powiedzieć. W jego głosie Sonia wyczuła napięcie. Przypomniała sobie, że gdy spotkali się po raz pierwszy, zauważyła ślad rozgoryczenia w tym człowieku. Zdziwiło ją to i wtedy, i teraz.

— Podczas wojny domowej zginęło wiele osób, którym nie sprawiono takiego pogrzebu — powiedział. — Tysiące ciał po prostu wrzucono do zbiorowych grobów.

— To straszne — szepnęła Sonia. — Czy krewni nie starają się odnaleźć tych grobów?

— Niektórzy szukają. Ale nie wszyscy.

Wysiedli z samochodu i przeszli przez bramę. Sonię zdumiała wielkość i okazałość tutejszych grobowców. Angielskie cmentarze wyglądały zupełnie inaczej. Przypomniała sobie cmentarz, gdzie została pochowana jej matka, w południowym Londynie, i aż się wzdrygnęła. Na ogromnej powierzchni porosłej trawą stały rząd za rzędem małe płyty nagrobne, a do każdej przynależał skrawek ziemi szerokości i długości trumny. Odwiedzała grób matki tylko raz w roku, ale jadąc do ojca, zawsze mijała cmentarz i bez trudu widziała przez bariereki nowe groby. Nadal leżały tam świeże kwiaty, jaskrawe żółto-pomarańczowe wieńce, goździki tworzące słowo „TATO” albo białe chryzantemy tworzące słowo „MAMA”, a czasem chwytający za serce pluszowy miś. Pomijając nieliczne wyjątki, na starszych grobach nie leżało nic albo stał tam słoik po dżemie z kilkoma zwiędłymi kwiatami. Wszędzie obecne były za to sztuczne kwiaty; ci, co je przynosili, nie przyjmowali do wiadomości maksymy *memento mori*.

Cmentarz w Grenadzie miał zupełnie inny charakter. Niektóre grobowce wyglądały jak małe domy. Całość przypominała wioskę z białego marmuru, z uliczkami i ogródkami.

To miejsce zachęcało do kontemplacji; w środowy poranek było tu dość pusto. Ani Sonia, ani Miguel nie czuli się zobowiązani do prowadzenia rozmowy.

Teren cmentarza był podzielony na kilkadziesiąt mniejszych *patios*, a w każdym znajdowało się wiele dużych grobowców, krzyży i kamieni pamiątkowych z nazwiskami zmarłych. Uwagę Sonii zwróciło nie tylko to, że cmentarz zajmuje tak dużą powierzchnię, lecz przede wszystkim brak opuszczonych grobów.

Na wszystkich leżały kwiaty, co okazało się całkowicie zrozumiałe, gdy spostrzegła znajdującą się na większości płyt inskrypcję: *Tu familia no te olvida*. Twoja rodzina cię nie zapomni.

Większość ludzi dotrzymywała słowa.

— Mogę się przejść? — zapytała Sonia, czując wewnętrzną potrzebę przyjrzenia się co ciekawszym pomnikom.

Gdy wchodzili na cmentarz, Miguel kupił nieduży kwiatek w doniczce, więc Sonia uznała, że będzie chciał przez chwilę побыć sam. Zdecydowanym krokiem poszła alejką, sądząc, że prowadzi na skraj cmentarza, ale przy murze okazało się, że teren ciągnie się dalej. Można było odnieść wrażenie, że cmentarz nie ma końca, rozpościera się w obie strony. Spacerowała, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu, zafascynowana okazałością niektórych grobowców. Niekiedy wejścia do budowli strzegły anioły, zdobiły je rowkowane kolumny i kunsztownie rzeźbione w kamieniu wieńce. Dokoła wznosiły się krzyże, ozdobnie kute z żelaza albo proste z marmuru. I wszędzie leżały kwiaty. Sonia widziała kobiety z konewkami, z szufelkami i szczotkami — robiły porządki domowe, z miłością zmiatały żwir z progów siedziby swoich przodków. Była to jedna ze szczególnie wzruszających chwil w jej życiu.

Zawróciła i znalazła Miguela, który siedział na kamiennej ławce, niedaleko miejsca, gdzie się rozstali.

— Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu — powiedziała.

— Nie szkodzi. Tu czas się zatrzymał.

— To prawda — uśmiechnęła się.

Usiadła obok niego na ławce. Był już późny ranek, słońce przypiekało, więc z przyjemnością schronili się w cieniu drzewa. Mieli przed sobą wielką ścianę z sześcioma rzędami tablic pamiątkowych od góry do dołu. Pod każdą tablicą wystawała półka, na której stawiano wazoniki z kwiatami.

— Przypomina sobie pani te nazwiska? — zapytał Miguel.

Patrząc prosto przed siebie, na drugi rząd od dołu, Sonia przeczytała głośno:

Ignacio Ramirez López

28-1-37

Pablo Ramirez Garcia

20-12-45

Concha López Dominguez

14-8-56

Dostrzegła kwiatek w doniczce, który Miguel kupił przy bramie cementarza. Różowe płatki niemal dotykały liter ostatniego imienia. Obok doniczki leżał bukiet wspaniałych czerwonych róż, już lekko przywędłych.

— Zdaje się, że jeszcze ktoś ich odwiedza — zauważyła Sonia.

Miguel nic nie odpowiedział, więc odwróciła się twarzą ku niemu. Kręcił głową.

— To ja — powiedział i popatrzył na nią błyszczącymi oczami. — Tylko ja.

Teraz musiała mu zadać pytanie, które nie dawało jej spokoju od zeszłego wieczoru, gdy zakończył opowieść o Ramirezach, a ona uprzytomniła sobie, jak głębokie są jego uczucia.

— Dlaczego? — zapytała. — Dlaczego jest pan tak silnie związany z tą rodziną?

Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Przełknął ślinę i niemal nabrał powietrza, zanim się odezwał.

— Jestem Javier. Javier Miguel Montero.

Sonii zaparło dech w piersiach.

— Javier! Ale...

Na tę rewelację można było odpowiedzieć tylko w jeden naturalny sposób. Sonia ujęła jego dłonie w swoje i przez dłuższą chwilę spoglądali sobie w wypełnione łzami oczy. Sonia widziała to, co Mercedes ujrzała przed tyloma laty, a Miguel przyglądał się odbiciu Mercedes w twarzy jej córki.

— Javier — odezwała się w końcu Sonia.

Zwracanie się teraz do niego tym imieniem wydawało się niezręczne, więc starszy przerwał jej.

— Mów mi Miguel. Używam tego imienia już bardzo długo. Od przyjazdu do El Barril.

— Bardzo chętnie, jeśli tak wolisz.

Tyle pytań cisnęło jej się na usta, ale nie chciała przysparzać mu więcej cierpienia.

— Mógłbyś mi powiedzieć, co się działo? — poprosiła delikatnie. — Kiedy wróciłeś do Grenady?

— Zwolniono mnie z pracy przymusowej w El Valle de los Caidos, Dolinie Poległych, w pięćdziesiątym piątym roku. „Odkupiłeś swoją winę przez pracę”, tak mi powiedzieli. To, że w ogóle nie popełniłem żadnego przestępstwa, nie miało nic do rzeczy. Któregoś dnia, bez zapowiedzi, pojawiłem się w El Barril. Ani w Maladze, ani w Bilabo nie żył już nikt z mojej rodziny. Praca w Cualgamuros wyniszczyła mnie fizycznie. Dwa palce u lewej ręki były wykrzywione na skutek złamania, więc zdawałem sobie sprawę, że nie będę mógł zarabiać na życie grą na gitarze. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

Miguel umilkł na chwilę.

— Po prostu nie miałem pojęcia, dokąd pójść. Concha przyjęła mnie i zaproponowała, żebym z nią zamieszkał. Traktowała mnie jak syna.

— Ale Concha umarła niedługo po twoim powrocie — zauważyła Sonia.

— Istotnie. Wkrótce zachorowała i opiekowałem się nią najlepiej, jak umiałem.

— Czy powiadomiła Mercedes, że tu jesteś?

— Nie — odparł krótko Miguel.

— Pewnie wyszłoby wtedy na jaw, że od dawna wiedziała, gdzie przebywasz i że najprawdopodobniej wciąż żyjesz...

— Ale powiedziała mi, że Mercedes mieszka w Anglii i wie, gdzie ustabilizowane życie.

— Przecież ona tak bardzo cię kochała — wykrztusiła zdławionym głosem Sonia. — I ty ją.

— Rzeczywiście. Ale wiedziałem, że jest szczęśliwa, i to dawało mi radość. Odebranie jej tego szczęścia byłoby okrucieństwem. Dość się wycierpiała...

Siedzieli w cieniu drzewa jeszcze z godzinę. Sonia uważała, że nie ma prawa oceniać Conchy za to, że nie podzieliła się tą wiadomością z Mercedes. Gdyby to zrobiła, Sonia nie znajdowałaby się teraz w tym miejscu.

Była pełna podziwu dla szlachetności tego mężczyzny i jego bezmiernej miłości.

Rozdział 39

W przeciwieństwie do Hiszpanii, która wyglądała ciepłego lata i nie patrzyła wstecz, angielski kwiecień nadal tkwił w okowach zimy. Wieczór, gdy Sonia przyleciała do Anglii, był lodowato zimny, na parkingu leżała cienka warstwa śniegu. Zanim Sonia zdążyła zdrapać lód z przedniej szyby, zsiniały jej ręce.

Przyjechała do pustego domu i poczuła się tak, jakby była kimś obcym, kto włamuje się i wchodzi do mieszkania, a potem ogląda ślady pozostawione przez innego człowieka i świadczące o jego życiu. Zajrzała do salonu. Na środku niskiego stolika znajdowały się uschnięte róże w wazonie i pokryte płatkami numery „Country Life” i „Tatlera”. Na kominku stały rzędem zaproszenia na przyjęcia koktajlowe i parę „tekturek”, jak mawiał James, mając na myśli kilkumilimetrowe kartoniki, na których niezmiennie drukowano zaproszenia na oficjalne przyjęcia firmowe. Sonia zauważyła „tekturkę” obwieszczającą polowanie na kozły w Szkocji akurat tego dnia. Może tam udał się James.

Na podłodze w kuchni wałało się kilkanaście pustych butelek po czerwonym winie, a w zlewie — co było niepodobne do Jamesa, który nie cierpiał widoku brudnych i nieodstawionych na miejsce naczyń — stał kieliszek z zeskorupiałym na dnie osadem.

Sonia zaniosiła torbę na górę, po czym machinalnie skierowała się do pokoju gościnnego i położyła się do łóżka. Dopiero gdy usłyszała chrobot klucza w zamku, przeniknęła ją myśl, że oziębienie stosunków z Jamesem było jednym z powodów jej wyjazdu do Grenady. Gdy słuchała opowieści Miguela, Londyn wydawał się taki daleki.

Tydzień upłynął w lodowatej atmosferze. Sonia nie spodziewała się niczego innego. Atrakcję tygodnia stanowiły piątkowe zajęcia z salsy, po których wróciła do domu pełna energii. Czar tańca sprawił, że choć była otępiała po kilku dniach pracy w biurze i przytłoczona dziwnym klimatem w domu, poczuła, iż życie znowu nabiera barw i lżej robi jej się na sercu.

W weekend mieli udać się z zaplanowaną od dawna wizytą do rodziców Jamesa. Sonia myślała o tym z jeszcze większą niechęcią niż zazwyczaj, ale James najwyraźniej oczekiwał, że pojedą tam razem. Trzeba było zachować pozory — odwołanie przyjazdu wywołałoby lawinę pytań. Oboje woleli nadal nie odzywać się do siebie i zdołali odbyć całą podróż, nie wypowiedziawszy słowa. Sonia mogłaby skorzystać z okazji i opowiedzieć mężowi o swoich niezwykłych odkryciach, ale nie miała ochoty nawet wspomnieć na ten temat. Ta sprawa tak wiele dla niej znaczyła, że nie zniosłaby jego złośliwości czy braku zainteresowania.

Na obiad zaproszono kilku starych przyjaciół domu, również chrzestnego Jamesa. Sonia zauważyła, że spośród pięciu kobiet jest jedyną, która nie założyła pereł. Potraktowała to jako dobitne potwierdzenie faktu, że odstaje od środowiska. Spojrzawszy na Jamesa przez stół nakryty zmatowiałymi srebrami oraz odświętną zastawą Wedgwooda, uprzytomniła sobie, że to wykluczone, by ktoś z gości zwrócił uwagę na brak serdeczności między nią a Jamesem. Siedzące przy stole pary nie odzywały się do siebie słowem. Taka oziębłość między małżonkami była zapewne czymś zupełnie normalnym w środkowej Anglii.

Duże, pełne przeciągów probostwo zostało odnowione w la-

tach siedemdziesiątych. W pokoju z dwoma pojedynczymi łózkami, który Sonia zajmowała z Jamesem, ilekroć tu nocowali, znajdowała się morelowa umywalka umieszczona w kącie, a ze ściany zwisały strzępy tapety przypominającej łuszczącą się skórę. Zasłony w oknach z pewnością prezentowały się kiedyś okazale — udrapowane, z lambrekinami, z jedwabnymi sznurami i chwastami — ale teraz wyglądały przygnębiająco. Diana, matka Jamesa, ledwie zauważała postępujące zniszczenia, pozostawiając mężowi naprawianie co jakiś czas zepsutej kłamki lub ciekącego kranu. Sonia mówiła sobie, że właśnie tak lubią mieszkać wyższe warstwy angielskiej klasy średniej: w stanie wytwornego rozkładu. Może dlatego James miał wysokie wymagania co do wystroju własnego domu.

Gdy teściowa Sonii wyremontowała dom przed kilkoma dziesiątkami lat, skupiła się na ogrodzie i z czasem stała się niewolniczą starannie zaplanowanych grządek kwiatowych i despotycznego ogrodu warzywnego, który w pewnej porze roku dawał cukinię i sałatę w zaskakującej obfitości, zmuszając domowników do odżywiania się w sposób dość monotony, a potem całymi miesiącami nie rodził nic. Dla Sonii, istoty o zdecydowanie miejskim rodowodzie, taki tryb życia był niezrozumiały.

Jednoosobowe łóżka do tej pory pozwalały Sonii i Jamesowi trzymać się z daleka jedno od drugiego. Późnym wieczorem, po pogawędce z ojcem przy porto i cygarach, James udał się do sypialni na piętrze, niezdarnie przysiadł na brzegu łóżka Sonii i szturchnął ją w plecy.

— Sonia, Sonia... — mówił przeciągle, na koniec niemal prosto do jej ucha.

Sztywna z zimna mimo termoforu, obejmując się rękami, żeby się rozgrzać i dodać sobie otuchy, Sonia znieruchomiała.

Proszę... daj... mi... spokój, modliła się w duchu.

Wsunął rękę pod koc i potrząsnął nią za ramię.

— Sonia... no obudź się, Sonia. Zrób to dla mnie.

Choć dobrze udawała martwą, doskonale wiedział, że ona

nie śpi. Tylko prawdziwego trupa nie obudziłby taki hałas i gwałtowne szarpanie.

— Psiakrew, Sonia... na miłość boską.

Słuchała jego ciężkich kroków i odgłosów niezdarne przygotowywania się do snu. Nie patrząc, widziała stertę zwiniętych ubrań, sztruksowe spodnie, koszulę i pulower na podłodze przy łóżku oraz wyglansowane brązowe półbuty ciśnięte, gdzie popadło, o które na pewno się potkną, jeśli będą musieli wstać w nocy. Za chwilę doszło ją głośnie płucie przy myciu zębów i stuk wrzucanej do kubka szczoteczki. Potem pociągnął za sznureczek, żeby wyłączyć światło nad umywalką, a jej ucho, nastawione na te dźwięki, wyłowiło stuk plastikowej kulki, która lekko uderzyła w lustro.

Zaszeleściła pikowana narzuta i zaskrzypiały sprężyny, gdy wreszcie położył się do łóżka. Dopiero wtedy zorientował się, że nie zgasił górnego światła.

— Psiakrew, psiakrew, psiakrew... — powtarzał jak mantrę.

Powlókł się do kontaktu przy drzwiach i w drodze powrotnej do łóżka potknął się w ciemności, jak było do przewidzenia, o swój but. Po kolejnym przekleństwie zapadła cisza.

Sonia odetchnęła z ulgą i przewróciła się na plecy. Po dużej dawce porto James będzie spał mocno przez całą noc.

Wczesnym rankiem, osnuta obłokiem wydychanej pary, zeszła na dół na herbatę. Przy stole w kuchni zastała teściową, która sękatymi, spracowanymi dłońmi ogrodnika obejmowała gorący kubek.

— Nalej sobie — powiedziała do Sonii i ledwie podnosząc wzrok znad gazety, podsunęła jej czajnik z herbatą.

Może mieszkanie w domach pełnych przeciągów sprawia, że ci ludzie nie mają w sobie ani odrobiny ciepła, pomyślała Sonia, patrząc, jak brązowy, za długo parzony płyn spływa do wyszczerbionego kubka stojącego na stole.

— Dziękuję... Jak tam ogród? — zapytała.

Można było mieć pewność, że ten temat wzbudzi w pani domu jakieś uczucia.

— No wiesz, jako tako — odparła, nadal nie podnosząc głowy znad gazety.

Osoba postronna zastanawiałaby się, jak rozumieć tę powściągliwą wypowiedź, ale Sonia wiedziała, że lekceważący ton Diany jest miarą obojętności wobec synowej.

Zgodnie z domową tradycją przed południem wszyscy poszli na spacer z labradorami. Diana wyglądała władczo w długim do kostek płaszczu firmy Barbour i żartowała sobie z miejskiego odzienia Sonii, kurtki ze sztucznego futra. Szła na przodzie z Jamesem, narzucając tempo przechadzki, a jej mąż Richard szedł na końcu — szczupły, lekko utykający pan, po wszczęciu protezy stawu biodrowego nadal wspierający się na lasce.

Z jakichś niewyjaśnionych powodów Sonii tego dnia było żal teścia. Wyglądał na wycieńczonego, wyblakłego jak stara koszula. Gdy próbowała nawiązać z nim rozmowę, odpowiadał monosylabami, ozięble jak mężczyzna, który woli przebywać w towarzystwie osób własnej płci. W zasadzie należał do ludzi, którzy całkiem dobrze znoszą milczenie, pod warunkiem że przerywa je szczekanie psa.

Szli wokół jeziora. Sonia czuła, jak zimno sączy się przez podeszwy wysokich butów i przenika ją do kości. Richard przerwał milczenie, gdy przyszła mu na to ochota.

— No to kiedy dasz Jamesowi syna i sukcesora? — zapytał.

Zaparło jej dech w piersiach, gdy padło pytanie zadane z dość typową dla tego człowieka bezceremonialnością. Czy jest na to jakaś sensowna odpowiedź? Czy w ogóle jest na to jakaś odpowiedź?

Kusiło ją, by rozłożyć jego zdanie na czynniki i zakwestionować każde słowo: „danie” Jamesowi syna niczym prezentu, śmiechu wartą myśl, że dziecko jest „sukcesorem”, co prawdopodobnie miało utwierdzić ich w przekonaniu, że należą do ziemiaństwa, oraz przede wszystkim pokreślenie słowa „syn”.

Przełknęła ślinę zaskoczona impertynencją tego pytania. Musiała jakoś zareagować, choć możliwości były ograniczone. Nie mogła obsztorcować tego człowieka ani posłużyć się

jednym jedynym słowem, które cisnęło jej się na usta i zawierało szczerą, choć bulwersującą prawdę: nigdy.

Nerwowy śmiech i wymijająca odpowiedź musiały wystarczyć.

— Jeszcze nie wiem — odparła.

Wszyscy wrócili do domu skostniali z zimna.

Po raz pierwszy w ciągu ostatnich dni miało się wrażenie, że w domu jest ciepło. James rozgarnął żar w kominku w salonie i ogień zaraz się rozpałił.

Kawał dobrej roboty, pomyślała Sonia, nakrywając duży stół kuchenny do lunchu. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego jest podenerwowana. Gdy James wszedł do kuchni, uświadomiła sobie przynajmniej jeden powód swego niezadowolenia.

— Gdzie jest korkociąg? — zapytał zdecydowanym tonem, machając butelkami czerwonego wina, pojednej w każdej ręce.

— W górnej szufladzie, kochanie — odrzekła z wyrozumiałym uśmiechem matka. — Lada chwila podam do stołu.

— Teraz pijemy drinka — oświadczył kategorycznie. — Z jedzeniem można poczekać pół godziny, prawda?

Bez wątpienia było to stwierdzenie, a nie pytanie, ponieważ wyszedł z kuchni, zanim matka zdążyła się sprzeciwić.

Po lunchu panowie wypili drugą butelkę wina i resztę porto, po czym udali się do zrujnowanej stodoły na partyjkę bilardu. Gdy wrócili, Sonia była gotowa do wyjazdu, torba z jej rzeczami stała w holu.

— Po co ten pośpiech? — zapytał wstawiony James. — Potrzebna mi dawka kofeiny!

— Dobrze, ale potem chcę wracać do Londynu.

— Wyjedziemy, gdy napiję się kawy.

Pozwoliła, żeby miał ostatnie słowo. Znudziła ją ta wymiana zdań i wołała oszczędzać siły na poważniejsze sytuacje.

W holu pojawiła się Diana.

— Wyjeżdżasz tak wcześnie? — zwróciła się do Jamesa.

— Sonia uważa, że już pora — odpowiedział żartobliwie, udając pantoflarza.

Podczas czterogodzinnej podróży do Londynu, gdy James

wysłuchał całej powieści Dana Browna, Sonia rozważała propozycję, którą złożył jej Miguel, zanim wyjechała z Grenady. Powiedział, że powinna przejąć w spadku rodzinny interes.

* * *

O piątej rano następnego dnia James gwałtownie otworzył drzwi do jej sypialni.

— Wciąż czekam — powiedział.

— Na co? — spytała zaspanym głosem.

— Na odpowiedź.

Wzburzyło go szczere zdumienie malujące się na jej twarzy.

— Taniec albo nasze małżeństwo. Chyba pamiętasz!

Zmierzyła go obojętnym spojrzeniem.

— Lecę do Niemiec i wracam w piątek. Byłoby miło, gdybyś postarała się podjąć decyzję do mojego powrotu.

Wyczuła nutę sarkazmu w jego głosie i zauważyła, że jeszcze nie wyrzucił z siebie wszystkiego.

— Zakładam, że nie będziesz jak zwykle poza domem — dodał.

Nie miała mu zupełnie nic do powiedzenia. A właściwie nie było nic, co chciałaby mu powiedzieć w tej chwili. James wziął torbę podróżną, zszedł na dół i zatrzasnął za sobą drzwi domu.

Rozdział 40

Sonia poszła do biura i przez cały dzień pracowała jak szalona. W porze lunchu zadzwoniła do ojca z pytaniem, czy może go odwiedzić wieczorem.

— Obiecuję, że nie przyjadę bardzo późno — powiedziała. — Nie szykuj kolacji ani nic takiego.

Jack Haynes zazwyczaj jadł posiłek o szóstej i o wpół do dziesiątej już leżał w łóżku.

— Dobrze, kochanie. Dostaniesz kanapkę. Chyba mam trochę szynki. Odpowiada ci?

— Jak najbardziej, tato. Dziękuję.

Tego popołudnia miała dużo spraw do załatwienia w biurze i wyszła z pracy dopiero o wpół do siódmej. W godzinach szczytu na szosach wylotowych z Londynu panował duży ruch. Była już ósma, gdy Sonia zadzwoniła do drzwi mieszkania ojca.

— Witaj, kochanie. Co za miła niespodzianka. I to w poniedziałkowy wieczór! Cudownie. Chodź, chodź.

Jack zawsze okazywał wielką radość na widok Sonii. Od razu zaczął się krzątać po mieszkaniu: wstawił wodę, wyjął serwetkę i puszkę z herbatnikami. Na stole przy ścianie już czekała kanapka z białego pieczywa pokrojona w trójkąty, a obok kilka plasterków ogórka.

— Dzięki, tato. Wspaniale. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci moja wizyta w dzień powszedni.

— Dlaczego miałyby przeszkadzać? Dla mnie to bez różnicy, jaki jest dzień tygodnia.

Poszedł zrobić herbatę. Gdy wrócił, kanapka leżała nietknięta. Sonia nie mogła nic przełknąć.

— Jedźże, Soniu! Założę się, że przez cały dzień nie miałas nic w ustach. Może zrobić ci coś innego?

— Nie, tato. Wszystko w porządku. Zaraz zjem.

— Dobrze się czujesz, kochanie?

Sonia uśmiechnęła się do ojca. Miała wrażenie, że nic się nie zmieniło przez trzydzieści pięć lat. Ojciec zawsze przywiązywał wagę do tego, jak ona się odżywia, i martwił się, że wygląda „mizernie”.

— Doskonale, tato — uspokoiła go łagodnym tonem.

Widziała, że trzęsą jej się ręce ze zdenerwowania, ale chciała podzielić się z ojcem pewnymi wiadomościami i nie mogła stąd wyjechać, nie zrobiwszy tego.

— Byłam znowu w Grenadzie — powiedziała cicho. — Spotkałam człowieka, który znał mamę. Nie miałam pojęcia, że tak naprawdę miała na imię Mercedes.

— Zawsze mówiłem do niej Mary. Tutaj nikt nie potrafiłby wymówić jej hiszpańskiego imienia.

Jack ostrożnie wysunął krzesło i usiadł naprzeciw Sonii.

— To wspaniale, że natknęłaś się na kogoś z jej przeszłości. Ale ci się poszczęściło! Jak ją zapamiętano?

Ojciec uśmiechał się przejęty, żądny wiadomości.

Sonia powtórzyła mu całą historię w wersji starannie okrojonej. Mimochodem napomknęła raz o Javierze, ale uznała, że ojciec nie powinien czuć się gorszy od nikogo. Dzięki niemu Mercedes Ramirez zaznała wielu lat szczęścia i nie należało zaciemniać tego obrazu. Znajdzie sposób, żeby w odpowiednim czasie przybliżyć ojcu Miguela.

Jack Haynes nie znał tych faktów. Szanował pragnienie żony, by nie wracać do przeszłości.

— Zawsze mówiła mi, że taniec rozprasza jej smutki i zaciera złe wspomnienia — powiedział w zadumie. — Nie miałem wątpliwości, że to prawda. Gdy krążyliśmy po parkiecie, była lekka jak piórko. Nie mogłaby tak tańczyć, gdyby dźwigała na swoich barkach brzemień tego świata!

— Musiał jej dawać ogromne ukojenie — przytaknęła Sonia. — Może właśnie taniec, całe to radosne podniecenie, pomógł jej przetrwać. Doskonale wiem, co miała na myśli, mówiąc, że taniec rozprasza smutki.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Jack zerknął na zegarek. Zwykle już od kilku godzin był w łóżku.

Sonia upiła łyk wody.

— Ten pan, który przejął El Barril, chce mi ją oddać.

— Co? Chce dać ci kawiarnię?

— To nie tak. Formalnie kawiarnia wciąż należy do Ramirezów, a ja jestem jedynym żyjącym członkiem tej rodziny.

Jack nie posiadał się ze zdumienia.

— Co byś powiedział, gdybym zamieszkała w Hiszpanii? Przyjeżdżałbyś mnie odwiedzać? — dopytywała się Sonia, nie kryjąc już entuzjazmu. — Jeżeli nie będziesz przyjeżdżał, zrezygnuję z wyjazdu.

— A James? Czy on chce się przeprowadzić?

— James nie jedzie ze mną.

Nie czekał na dalsze wyjaśnienia. Nie przyszłoby mu do głowy, żeby wtrącać się w sprawę Sonii i Jamesa.

— Ach tak, rozumiem — powiedział krótko.

Jack, którego życie zmieniało się nieznacznie z dziesięciolecia na dziesięciolecie, miał wrażenie, że wszystko stało się tak nagle, ale młode pokolenie pewnie inaczej to widzi.

— Oczywiście, że będę przyjeżdżał, o ile będziesz mi gotować coś smacznego i prostego! A ty będziesz mnie odwiedzać?

— Naturalnie, tato. — Dotknęła jego ręki. — Przypuszczam, że będziemy widywać się częściej niż dotychczas. Bilety lotnicze są naprawdę tanie. Mam do ciebie prośbę. Czy mog-

łabym zostawić tu parę kartonów ze swoimi rzeczami? Na krótko.

— Dobrze. Wstaw je pod moje łóżko. Tam jest trochę miejsca.

— Wpadnę z nimi jutro. Pasuje ci?

— Miło mi będzie widzieć cię dwukrotnie w ciągu jednego tygodnia. Zadzwoń i powiedz, kiedy przyjedziesz.

Po raz pierwszy od lat Jack widział Sonię taką szczęśliwą. Objęli się i trwali w uścisku dłuższą chwilę.

— Rozumiesz, dlaczego wyjeżdżam, prawda? — zapytała.

— Chyba tak.

Wypiwszy małą whisky, Jack Haynes spał mocno i miał cudowny sen, w którym tańczył paso doble z czarnooką młodą Hiszpanką.

* * *

Nocną porą Sonia dojechała na Wandsworth w niecałe dwadzieścia minut. Gdy znalazła się w domu, natychmiast padła na łóżko. Kiedy obudziła się o siódmej następnego ranka, stwierdziła, że wciąż jest w ubraniu. Czekając na pracowity dzień, więc zaraz wstała.

Zaczęła od ubrań. Większość z nich w ogóle nie pasowała do jej nowego życia. Kostiumy i długie suknie włożyła do toreb plastikowych, razem z nimi zimowe płaszcze gromadzone przez dziesięć lat i kilkanaście par butów na wysokich obcasach, nie do noszenia na brukowanych ulicach Grenady. Spakowała kapelusze, w których chodziła na śluby, i torebki we wszystkich odcieniach niemal każdego koloru. Znalazła mnóstwo apaszek, których w większości nawet nie rozpoznawała. To wszystko wypełniło dwadzieścia trzy pękate torby. W obawie, że mogłaby się rozmyślić, od razu wsiadła do samochodu i zawiozła odzież do siedziby organizacji humanitarnej Oxfam. Losu tych ubrań nie podzieliła sukienka, którą Sonia miała na sobie podczas przyjęcia zaręczynowego w winiarni, gdzie serwowano wyłącznie szampana, w Mayfair. James kupił jej tę zwiewną kreację

z liliowego szyfonu, więc musiała ją włożyć. Nie była w jej guscie, ale nadal kojarzyła się z chwilami szczęścia.

Niektóre rzeczy trafiły prosto do pojemnika na śmieci: stary, brudny płaszcz firmy Barbour i kilka par kaloszy, które na pewno nie przydadzą się w Hiszpanii. Skoroszyty, w których tkwiły stare papierzyska, podania o pracę, CV i wyciągi bankowe jeszcze z czasów studenckich można było wyrzucić.

Zebrała do pudełka swoje ulubione płyty CD. James nie słuchał większości tych nagrań, więc nie odczuje ich braku. Na wierzch włożyła kilka pluszowych zabawek z dzieciństwa, z którymi za nic by się nie rozstała.

Była zajęta przez cały dzień. Umyślnie skupiała się na błahostkach, żeby nie myśleć o powadze swoich działań. Dopiero podczas dziesięciominutowej przerwy na herbatę dotarło do niej, co tak naprawdę robi. Usuwa się z życia Jamesa. Było jej strasznie smutno, ale na razie nie miała poczucia winy. Mieszając herbatę z mlekiem, rozejrzała się po kuchni i zdała sobie sprawę, że nie nadała temu domowi osobistego piętna. Od początku należał do Jamesa i nadal tak było.

Należało uporządkować jeszcze sypialnię, wobec tego z kubkiem w ręku poszła na górę. Podjęła stanowczą decyzję, że nie weźmie stąd nic, co nie jest jej własnością. Dom pozostanie nietknięty; nie zamierzała brać nawet tych rzeczy, które kupili razem. Mężczyźni rzadko prowadzą samotne życie przez dłuższy czas, rozmyślała, więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że jakaś kobieta wkrótce zajmie jej miejsce. I wtedy zauważyła stojącą na toalecie szkatułkę z biżuterią. Podniosła wieczko i wyjęła tanie błyskotki leżące na wierzchu. Pod spodem znajdowały się małe przegródki, a w nich rodzinne klejnoty, które dostała od matki Jamesa na oficjalne uroczystości: szmaragdowe kolczyki, wisiorek z rubinem i dość szkaradne, aczkolwiek cenne broszki. Wszystkie te kosztowności zamknęła w sejfie, gdzie zdaniem Jamesa powinna być przechowywać. W osobnej przegródce znajdował się złoty łańcuszek, podarunek

od ojca po śmierci matki. Wyjęła go i drżącymi rękami zawiesiła na szyi.

Potem pojechała do ojca. Był jak zwykle serdeczny, choć nieco strapiiony.

— Jesteś pewna, że postępujesz słusznie? — zapytał, gdy wsunęli dwa pudełka pod łóżko. — Trochę się martwię o ciebie.

— Wiem, że moje postępowanie może się wydawać pochopne, ale jeszcze nigdy nie byłam aż tak przekonana, że to, co robię, jest właściwe. Daję ci słowo, że wszystko przemyślałam.

— No dobrze, kochanie. Ale jeśli coś się odmieni, zawsze możesz tu wrócić. Wiesz o tym, prawda?

Nie powiedział nic więcej.

Powłócząc nogami, przeszedł przez pokój.

— Mam tu coś. Pomyślałem sobie, że ucieszysz się, jeśli będą teraz u ciebie.

Wziął brązową papierową torbę z komody i podał Sonii.

Czując ciężar i kształt, natychmiast domyśliła się, co jest w środku.

— Twojej mamie nawet nie przeszłoby przez myśl, żeby je wyrzucić — ciągnął. — Byłaby szczęśliwa, wiedząc, że wróciły do Grenady.

Papier szeleścił, gdy wyjmowała buty. Te same — z miękkiej skóry, na czubkach i obcasach podbite stalowymi gwoździami startymi do cna — dokładnie takie, jak opisał je Miguel.

— To chyba nawet mój rozmiar — zauważyła Sonia. — Może będę je nosić...

Oboje umilkli na chwilę.

— Postaraj się niedługo przyjechać — powiedziała Sonia, chcąc rozładować napięcie i bezwiednie głaszcząc wierzch butów. — Za kilka tygodni. Do tego czasu zdążę się urządzić.

Uścisnęli się czule, a potem Jack patrzył, jak córka schodzi po schodach i znika za drzwiami.

* * *

Nadszedł jej ostatni dzień w Londynie; następnego dnia leciała z powrotem do Grenady. Zadzwoiła do Miguela z wiadomością o swoim przyjeździe.

— Tak się cieszę — powiedział. — Miałem nadzieję, że szybko wrócisz.

Pozostało jej tylko napisać list do Jamesa. Od pewnego czasu myślała o tym z lękiem, wiedząc jednak, że jest mu winna odpowiedź na ultimatum i zapewne jakieś wyjaśnienia.

Drogi Jamesie!

Chyba już wiesz, co Ci odpowiem. Sprawa jest prosta: taniec jest dla mnie wyrazem tego, że żyję. Nie mogę zrezygnować z tańca, tak jak nie mogę przestać oddychać.

Nie oczekuję, że wybaczysz mi tę decyzję albo zrozumiesz jej powody.

Nic od Ciebie nie chcę. Nie zależy mi na części domu ani na alimentach. Uważam, że teraz możemy jedynie zwrócić sobie nawzajem wolność.

Adwokat zna mój adres i będzie przekazywał mi całą korespondencję.

Dobrze Ci życzę i mam nadzieję, że z czasem i Ty będziesz mi dobrze życzył.

Sonia

Napisała wiele znacznie dłuższych wersji tego listu, ale w końcu uznała, że w tych kilku prostych i jednoznacznych zdaniach mieści się wszystko, co chce powiedzieć. Zostawiła kartkę na stole w kuchni. Tam skieruje się James zaraz po przyjeździe z lotniska, żeby zrobić sobie drinka.

Była już spakowana; w walizce znalazły się przede wszystkim jej ulubione ubrania spośród tych, które nie trafiły do organizacji charytatywnej. Zamówiła również taksówkę na następny dzień.

O piątej rano zadzwonił budzik. Sonia wzięła prysznic, pościeliła starannie łóżko i zeszła na dół. Rozejrzawszy się ze

smutkiem, wytoczyła walizkę za próg, zamknęła drzwi na podwójny zamek i przez otwór na listy wrzuciła klucze do środka. Poszła w stronę czekającego samochodu.

* * *

Lecąc raniem z północy na południe, patrzyła przez okno na urozmaicony krajobraz Hiszpanii. Widziała ostre wierzchołki Pirenejów, za nimi łagodne zaokrąglone pagórki, a dalej rozległe równiny uprawiane teraz na skalę niemal przemysłową. Przelatywały jej przez myśl nazwy: Jarama, Guadalajara, Brunete, lecz blizny wojenne już się zatarły.

Widząc, że samolot oddala się od bezchmurnego nieba i zniża lot, Sonia zaczęła się zastanawiać, ile tygodni zajęło jej mamie przemierzenie tej samej odległości. Mercedes podróżowała miesiącami, ona — niecałą godzinę. Gdy podchodzili do lądowania, w oddali mignęła Grenada i w piersiach Sonii serce zaczęło tłuc się niecierpliwie.

Samolot był wypełniony w połowie, więc po kilku minutach stanęła na schodkach i poczuła na twarzy słodki, ciepły powiew andaluzyjskiego powietrza. Chwilę później zmierzała po płycie lotniska do pobliskiego terminalu, wiedząc, że tam czeka na nią Miguel.

Szła tanecznym krokiem, z lekkim sercem.

Od Autorki

Pucz wojskowych rozpoczęty w lipcu 1936 roku pod wodzą generała Francisca Franco miał mieć szybki i zdecydowany przebieg. W rzeczywistości doprowadził do trzyletniej wojny domowej i do zniszczenia kraju. Pół miliona ludzi zginęło, tyle samo wyemigrowało, a część z nich nie wróciła do Hiszpanii. Po zwycięstwie frankistów w 1939 roku setki tysięcy republikanów nadal gniło w więzieniach, wielu staowało przed plutonem egzekucyjnym i potem spoczywało w bezimiennych grobach. Tych, którzy walczyli z armią generała Franco, dotknęły długoletnie represje. Nawet po śmierci faszystowskiego dyktatora w 1975 roku znaczna część Hiszpanów wolała nie opowiadać o swoich przeżyciach.

Rząd socjalistycznego premiera Jose Luisa Rodrigueza Zapatero, którego dziadek został rozstrzelany przez frankistów, przygotował Ustawę o Pamięci Historycznej przyjętą w październiku 2007 roku. W ustawie potępia się pucz i dyktaturę generała Franco, zakazuje umieszczania na budynkach publicznych wszelkich symboli frankistowskich i odniesień do reżimu oraz nakazuje usunięcie pomników ku czci Franco. Ponadto ustawa

uznaje za nielegalne procesy polityczne przeciwników Franco z okresu dyktatury i zobowiązuje samorządy do umożliwienia ekshumacji zwłok ofiar pogrzebanych w bezimiennych grobach.

Pacto de olvido, pakt zbiorowego zapomnienia, został wreszcie złamany.

Czerwiec 2008